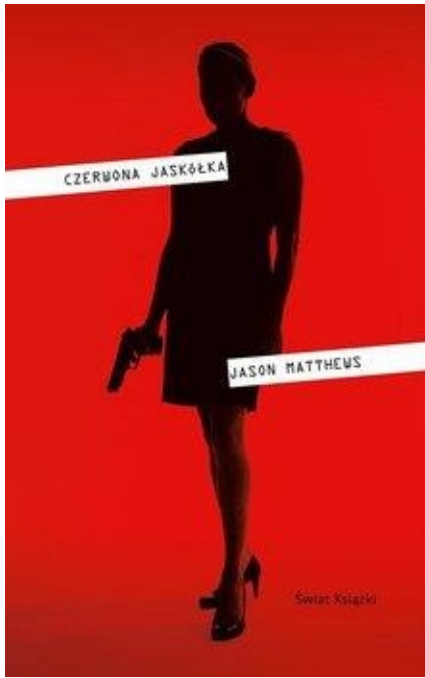


CZERWONA JASKÓŁKA

JASON MATTHEWS

Świat Książki



CZERWONA JASKÓŁKA

JASON MATTHEWS

Z angielskiego przełożył

Krzysztof Puławski

Świat Książki

Tytuł oryginału

RED SPARROW

Wydawca

Grażyna Smosna

Redaktor prowadzący

Katarzyna Krawczyk

Redakcja

Sylwia Bartkowska

Korekta

Irena Kulczycka

Marianna Filipkowska

Copyright © 2013 by Jason Matthews

All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Puławski 2014

Wszystkie postaci w tej książce, wyjąwszy osoby publiczne, są fikcyjne.

Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych

- żywych czy zmarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Świat Książki

Warszawa 2014

Świat Książki Sp, z o.o.

02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: Fabryka.pl

Łamanie *Joanna Duchnowska*

Druk i oprawa Abedik

Firma Księgarska Olesiejuk sp, z o.o., sp. k.a.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

e-mail: hurt@olesiejuk.pl, tel. 22 721 30 00

www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-7943-357-5

Nr 90091653

Dla Suzanne, Alexandry i Sophii

1

Dwanaście godzin trasy sprawdzeniowej sprawiło, że Nathaniel Nash nie czuł nóg. Były jak z drewna, kiedy szedł po kocich łbach jednej z moskiewskich uliczek. Zdążyło się już ściemnić, a Nate wciąż przemierzał miasto, sprawdzając, czy nie puszczono za nim obserwacji; próbował podrażnić agentów, zaniepokoić ich, zmusić, by się ujawnili. Nic jednak nie mógł dostrzec, żadnego poruszenia, żadnej wymiany agentów, żadnego krycia się gdzieś z tyłu za rogiem, zero reakcji na jego kolejne ruchy. Jest czysty? A może zajmuje się nim jakiś wielki zespół? Reguły gry mówiły, że lepiej widzieć dziesiątki ogonów niż nie widzieć nikogo.

Początek września, ale w ciągu trzech pierwszych godzin trasy padał śnieg, co pomogło mu w ucieczce z wozu. Późnym rankiem Nate wyskoczył w biegu z łady kombi, prowadzonej przez Leavitta z rezydentury, który, kiedy Nate obliczał czas przerwy w obserwacji przez Federalną Służbę Bezpieczeństwa, bez słowa uniósł w górę trzy palce, gdy skręcili w przemysłową uliczkę, a następnie klepnął go po ramieniu. Przerwa wynosiła trzy sekundy i agenci przejechali tuż obok schowanego za zaspą Nate'a, wciąż podążając za Leavitem. Nate zostawił w wozie włączony swój oficjalny telefon, więc FSB mogła go sobie namierzać przez następne trzy godziny.

W czasie skoku uderzył kolanem o chodnik, więc w ciągu pierwszych godzin marszu zeszywniała mu noga. Teraz cały już był sztywny. Do zmroku, ślizgając się i przedzierając przez śnieg, przeszedł niemal pół Moskwy, nie wykrył jednak ogona. Miał więc wrażenie, że jest czysty.

Nate należał do niewielkiej grupy agentów wewnętrznych CIA, wywiadowców przeszkolonych do działań pod czujnym okiem nieprzyjaciela na jego własnym terenie. Gdy pracował na ulicy, nie miał wątpliwości, nad niczym się nie zastanawiał. Znikał strach

przed tym, że zawiedzie lub nie okaże się doskonały. Dzisiaj bez trudu radził sobie w bardzo różnych sytuacjach. „Nie przejmuj się zimnem, które cię otacza i ściska kleszczami ciało. Pozostań w beczuciowej bańce i pozwól, by stres ją jeszcze wzmocnił”.

Wzrok mu się wyostrzył.

„Skoncentruj się na drugim planie, szukaj powtarzających się pieszych i pojazdów. Zapamiętuj kolory i kształty”. Nie myślał o tym za dużo, ale jednocześnie rejestrował dźwięki miasta, które stopniowo pogrążało się w mroku. Szum trolejbusów i pisk opon samochodowych na mokrej jezdni, skrzypienie węglowego miała pod stopami. Wciągnął do płuc gorzki zapach dieslowskich spalin i węglowego dymu, a także bogaty aromat barszczu z jakiegoś otworu wentylacyjnego. Był jak kamerton, reagujący na każdy dźwięk w mroźnym powietrzu, nastrojony i gotowy, ale dziwnie spokojny. Po dwunastu godzinach zyskał niemal pewność, że jest czysty.

Kontrola czasu: 22.17. Dwudziestosiedmioletni Nate Nash miał za dwie minuty spotkać się z legendą, klejnotem w koronie, najcenniejszym współpracownikiem CIA. Znajdował się zaledwie trzysta metrów od uliczki, gdzie umówił się z Marmurem - wykształconym, obytym mężczyzną po sześćdziesiątce, generałem Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR), będącej spadkobierczynią I Zarządu Głównego KGB, w którym pracowali najlepsi kremlo-wscy szpiedzy. Marmur chodził w zaprzęgu CIA od czternastu lat, co było wyjątkowym wynikiem, zważywszy na średnią, która w przypadku informatorów jeszcze z okresu zimnej wojny wynosiła półtora roku. Nate rozglądał się dookoła, a przed oczami stanęły mu ziarniste zdjęcia utraconych agentów: Pieńkowski, Motorin, Tołkaczew, Poliakov i wszyscy inni, których już nie było. „Nie ten, nie w czasie mojej służby”. Nie mógł zawieść.

Marmur był teraz szefem Wydziału Ameryki SWR, dzięki czemu miał dostęp do najtajniejszych informacji, ale należał też do

starej szkoły KGB i zdobył doświadczenie (oraz generalskie szlify) w czasie służby zagranicznej, w której wyróżnił się nie tylko sukcesami zawodowymi, ale też umiejętnością przetrwania czystek, reform i wewnętrznych gier. Nie miał złudzeń co do systemu, któremu służył, nie znosił jego kaprysów, ale był ze wszech miar profesjonalny i lojalny. Kiedy miał czterdzieści lat i już jako pułkownik pracował w Nowym Jorku, centrala odmówiła jego żonie leczenia onkologicznego w Ameryce, w wyniku czego żona zmarła na wózku w szpitalnym korytarzu w Moskwie. Był to przejaw bezmyślnej sowieckiej bezkompromisowości. Marmur potrzebował aż ośmiu lat, by podjąć decyzję, a następnie przygotować i wreszcie nawiązać bezpieczną współpracę z Amerykanami. Kiedy został szpiegiem lub też - mówiąc profesjonalnym językiem - agentem, przeproszał pokornie swoich oficerów prowadzących z CIA za to, że przekazuje im tak mało informacji. Ludzie z Langley byli zadziwieni. Marmur stanowił nieocenione źródło informacji o operacjach KGB i SWR, związanych z penetracją obcych rządów, a także co jakiś czas, gdy nadarzała się okazja, na temat Amerykanów pracujących dla Rosji, co stanowiło ukoronowanie wszystkiego. Był nadzwyczajnym, nieocenionym wprost współpracownikiem.

22.18. Nate skręcił na rogu i po nierównym chodniku ruszył w dół wąskiej uliczki z kamienicami po obu stronach i gołymi, przysypanymi śniegiem drzewami. Na końcu uliczki na tle świateł ze skrzyżowania zauważył znajomą sylwetkę, która wyłoniła się zza rogu i ruszyła w jego stronę. Stary był prawdziwym zawodowcem - zmieścił się w czterominutowej luce czasowej.

Zmęczenie opadło z niego niczym stary łąch i Nate poczuł przypływ adrenaliny. Odruchowo sprawdził, czy na ulicy wszystko wygląda normalnie. „Nie ma samochodów. Teraz w górę. Okna pozamykane i ciemne. Za mną - spokój. Teraz cienie. Nie ma śmieciarzy ani włączających się meneli”. Mały błąd - mimo tylu

godzin trasy sprawdzeniowej, prowokacji, czekania na śniegu i mrozie, obserwacji - mógł skutkować tylko jednym: śmiercią Marmura. Dla Nate'a nie byłaby to utrata informatora czy też porażka dyplomatyczna, ale śmierć jego człowieka. Dlatego nie mógł zawieść.

Marmur szedł niespiesznie przed siebie. Widzieli się wcześniej dwukrotnie. Marmur miał różnych oficerów prowadzących z CIA i wszystkich ich uczył zasad postępowania. Niektórzy byli naprawdę utalentowani. U kilku podejrzewał postępujący debilizm. Zdarzyło się też ze dwóch na tyle apatycznych i niezainteresowanych pracą, że stanowili prawdziwe zagrożenie. Nate wydawał się inny, ciekawy. Była w nim jakaś potencja i wyczuwalna potrzeba profesjonalizmu. Może jeszcze zbyt mało obyty, zbyt impulsywny, ale Marmur przyznawał, że niewielu mogło się pochwalić takimi predyspozycjami.

Teraz aż zmrzył z przyjemnością oczy na widok młodego Amerykanina: średniego wzrostu, szczupły, z ciemnymi włosami zaczesanymi na czoło nad prostym nosem. Czujne brązowe oczy Nate'a nie zaprzestawały obserwacji; zbliżając się, spoglądał za jego ramię, ale nie sprawiał wrażenia podenerwowanego.

- Witaj, Nathanielu - zaczął z lekkim brytyjskim akcentem, który pozostał mu po pracy w Londynie, co później zmienił jednak pobyt w Nowym Jorku. Marmur chciał mówić po angielsku, by bardziej zbliżyć się do swojego oficera prowadzącego, chociaż Nate niemal równie dobrze mówił po rosyjsku.

Rosjanin był niski, krępy, miał ciemnobrązowe oczy i mięsisty nos. Krzaczaste siwe brwi pasowały do falujących siwych włosów, które nadawały mu wygląd bon vivanta.

Przepisy nakazywały im używać pseudonimów, co tylko budziło śmiech. Marmur miał dostęp do albumu fotograficznego SWR i doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

- Miło cię widzieć. Wszystko w porządku? - Przyjrzał się

uważnie twarzy Nate'a. - Zmęczony? Jak długo jesteś na ulicy? -
Były to zwykle grzecznościowe pytania, ale Marmur naprawdę się
tym interesował. Nigdy nie uważał niczego za pewne.

- *Dobryj wieczor, diadia* - odrzekł Nate. Zwracał się tak do
niego po trosze, by okazać szacunek, a po trosze z prawdziwej
sympatii. Spojrzał na zegarek. - Dwanaście godzin. Wygląda na to,
że ulice są czyste. - Obaj wiedzieli, o co mu chodzi. Nate rozumiał
też, że Marmur chce sprawdzić, jak bardzo przyłożył się do tego, by
zgubić wszelkie ogony.

Marmur nie skomentował jego słów. Ruszyli razem w cieniu
rosnących na chodniku drzew. Było mroźno, ale spokojnie. Mieli
mniej więcej siedem minut na rozmowę. Nate mówił mało i słuchał
uważnie. Marmur mówił szybko, ale bez pośpiechu, mieszał plotki
z polityką, opowiadał o tym, kto poszedł w górę, a kto w dół.
Streścił szczegóły nowej akcji SWR, pomyślnego zwerbowania
kogoś z obcego kraju. Szczegóły na płytce. Nie przypominało to
zwykłej rozmowy, lecz raczej przekaz informacji. Brzmienie ich
głosów, kontakt wzrokowy, chichot Marmura. To było najważ-
niejsze.

W trakcie spaceru obaj musieli się powstrzymać, by nie
wziąć się pod rękę, jak ojciec i syn. Wiedzieli, że nawet ich ubrania
nie mogą się zetknąć, w obawie przed „metką”, szpiegowskim
proszkiem. Marmur sam dostarczył informacji na temat tajnego
programu rozpylania metki na przypuszczalnych agentach CIA
pracujących w Ambasadzie USA w Moskwie.

Był to żółty, pienisty związek chemiczny nitrofenyl- pentadienol,
znany jako NPPD. Wystarczyło, że paru dziobatych techników roz-
pyliło tę substancję za pomocą gumowych gruszek, a pokrywała ona
ubrania, wycieraczki i kierownice. Zaprojektowano ją tak, by roz-
przestrzeniała się niczym kleiste pyłki żonkili, z uścisku ręki na kartkę,
a potem klapę kurtki. Niewidoczna dla oka, oznaczała wszystko,
czego dotknęli oficerowie CIA. Dlatego podejrzewani o szpiegostwo

przedstawiciele rosyjskich władz byli skończeni, gdy badanie lampą fluorescencyjną ujawniało NPPD na ich dłoniach czy ubraniach.

Raporty Marmura informujące o tym, że do metki dodawane są różne substancje znaczące, pozwalające ujawnić kontakty z konkretnymi agentami, zdenerwowały Langley.

W czasie spaceru Nate sięgnął do kieszeni i wyjął z niej zapieczetowaną plastikową torebkę. Były w niej zapasowe baterie do kryptokomunikatora Marmura - trzy stalowszare i niezwykle ciężkie pudełka papierosów. Kryptokomunikatorów używali do przekazywania gorących informacji w przerwach między spotkaniami i dla podtrzymania kontaktu. Ale krótkie osobiste spotkania, choć śmiertelnie niebezpieczne, dawały im znacznie więcej. W ich trakcie Marmur przekazywał mnóstwo informacji, płytki, pendrive'y, a dostawał wyposażenie i ruble. Liczył się też kontakt z drugim człowiekiem, możliwość wymiany paru słów i wzmocnienie partnerstwa, które nabrało niemal religijnego charakteru.

Nate ostrożnie otworzył plastikową torbę i wyciągnął ją w stronę Marmura, a ten wyjął zapakowane sterylne w laboratorium w Wirginii baterie. Następnie wrzucił je do swojej torby.

- Na płytce jest około pięciu metrów bieżących dokumentów - powiedział. - Przyjemnej lektury.

Nate zauważył, że Marmur wciąż myśli w starych kategoriach, chociaż wykrada dane cyfrowe.

- Dzięki. Dałeś streszczenie? - Agenci zajmujący się tymi informacjami błagali Nate'a, by przypomniał Marmurowi o streszczeniach. Dzięki nim mogli szybciej zlecić tłumaczenia ważniejszych dokumentów i w ogóle przyspieszyć proces ich obróbki.

- Tak, tym razem pamiętałem. Na drugiej płytce znajdziesz też nową książkę telefoniczną biura. Parę zmian, ale nic szczególnego. I moje plany zagranicznych wyjazdów na przyszły rok. Szukam operacyjnych powodów do wyjazdu, tam znajdziesz szczegóły. - Wskazał płytkę.

- Z przyjemnością spotkam się z tobą poza Moskwą - rzekł

Nate. - Gdziekolwiek zechcesz.

Czas biegł szybko, dotarli już do końca uliczki, zawrócili i ruszyli z powrotem. Marmur się zamyślił.

- Wiesz, zastanawiałem się nad swoją pracą, związkami z Amerykanami i tym, co mnie czeka - zaczął. - Prawdopodobnie zostało mi tylko parę lat do emerytury. Polityka, starość, niewybaczalny błąd. Trzy, cztery, a może tylko dwa lata. Pomyślałem, że wtedy chętnie zamieszkałbym w Nowym Jorku. I co ty na to, Nathanielu?

Nate przystanął i obrócił się lekko w jego stronę. Przestały do niego docierać uliczne hałasy. O co chodzi? Czy jego agent ma kłopoty? Marmur uniósł dłoń, jakby chciał uścisnąć jego ramię, ale tego nie zrobił.

- Nie ma powodów do obaw. Po prostu głośno myślę.

Nate przyglądał mu się z boku. Stary był spokojny, pewny siebie. To normalne, że agenci też myślą o emeryturze, marzą o końcu wiecznego zagrożenia, podwójnego życia i nasłuchiwania, czy ktoś nie zapuka natarczywie do drzwi. Życie w końcu zaczyna męczyć, a to prowadzi do błędów. Czy w głosie Marmura pobrzmiewa zmęczenie? Nate będzie musiał opisać szczegóły dzisiejszej rozmowy w jutrzejszej depeszy operacyjnej. Wszystkie problemy zawsze uderzały w oficera prowadzącego, a on wcale nie potrzebował problemów.

- Coś się dzieje? Wyczuwasz niebezpieczeństwo? - spytał. -

Wiesz, że konto już na ciebie czeka. Możesz zamieszkać, gdzie zechcesz, i będziesz miał nasze pełne wsparcie.

- Nie, wszystko w porządku - odparł Marmur. - Mamy jeszcze zadanie do wykonania, a potem będzie można odpocząć.

- Praca z tobą to dla mnie prawdziwy zaszczyt - rzekł z przekonaniem Nate. - Trudno przecenić informacje, które od ciebie uzyskaliśmy.

Stary rozejrzał się po ciemnej uliczce. Ich spotkanie trwało aż sześć minut. Powinni się już zebrać.

- Potrzebujesz czegoś? - Nate zamknął oczy, żeby się skoncentrować. Przekazał baterie, odebrał płytki z informacjami, streszczeniem i planami wyjazdów. Teraz musiał się tylko umówić na kolejne spotkanie. - To jak, za trzy miesiące? To będzie już prawdziwa zima. Nowe miejsce, Orzeł, nad rzeką.

- Tak, Oriel - mruknął Marmur. - Potwierdzą to jeszcze na tydzień przed spotkaniem.

Znowu zbliżali się do końca uliczki i jaśniej oświetlonego skrzyżowania. Po drugiej stronie ulicy znajdował się neon, wskazujący przejście do metra. Nate poczuł nagle, jak po plecach przebiega mu ostrzegawczy dreszcz.

Przez skrzyżowanie przejeżdżała zniszczona łada sedan, w której siedziało dwóch mężczyzn. Nate i Marmur przywarli do pograżonej w mroku ściany budynku. Marmur też zauważył samochód, gdyż podobnie jak Nate był profesjonalistą w każdym calu. Kolejny wóz, tym razem nowszy Opel, przejechał w drugą stronę. Mężczyźni w środku obserwowali inne miejsce. Nate zauważył kolejny samochód, który skręcił w uliczkę po skosie za nimi. Jechał wolno na światłach postojowych.

- Szukają w ciemno - syknął Marmur. - Nie zostawiłeś tu przypadkiem swojego wozu?

Nate pokręcił głową. Nie, kurwa! Nie! Serce biło mu mocno.

Znaleźli się w prawdziwych opałach. Przez moment patrzył na Marmura, a potem zaczęli wspólnie działać. Zapomnieli o proszku, zapomnieli o wszystkim - Nate pomógł Marmurowi zdjąć ciemne palto, wywracając go jednocześnie na drugą stronę. Miał teraz w rękach jasny płaszcz o innym kroju, poplamiony i postrzępiony na rękawach i na dole. Pomógł Marmurowi go włożyć, a następnie sięgnął do swojej kieszeni, wyciągnął z niej nadjedzoną przez mole uszankę - stanowiącą część jego własnego przebrania - i szybko

nałożył ją na głowę starego. Marmur wyjął okulary w grubej, skleionej z jednej strony białą taśmą oprawie i założył je na nos. Z innej kieszeni Nate wyjął krótką laskę, potrząsnął nią, a ona błyskawicznie się rozłożyła. Wcisnął ją w dłoń Marmura.

Dostatnio ubrany mężczyzna w średnim wieku zniknął nagle, a zastąpił go zmarniały staruch, który szedł niepewnie, podpierając się laską. Nate pchnął go lekko w stronę skrzyżowania i wejścia do metra. Było to sprzeczne z zasadami, zamknięte metro stanowiło spore zagrożenie, ale warto było zaryzykować, żeby Marmur mógł się wydostać z tego rejonu. Jego przebranie wystarczy jako zabezpieczenie przed licznymi kamerami.

- Skieruję na siebie ich uwagę - rzucił jeszcze Nate, kiedy przygarbiony Marmur oddalał się w stronę skrzyżowania. Stary spojrział na niego poważnie, ale spokojnie, i mrugnął.

Ten człowiek to legenda, pomyślał Nate. Teraz jednak powinien się skupić na tym, by odciągnąć uwagę wywiadowców od Marmura. Nie może tylko dać się aresztować. Płytką, którą miał w kieszeni, stanowiłaby jawne świadectwo winy starego, gorsze niż samo zatrzymanie.

Nie, to się nie może zdarzyć. Nie w czasie jego służby. Poczł w głowie i gardle lodowate pieczenie. Uniósł kołnierz kurtki. Wiedział, co ma robić. Przeszedł szybko przed ładą wywiadowców, zaparkowaną mniej więcej pół przecznicy dalej. To pewnie agenci Federalnej Służby Bezpieczeństwa, odpowiedzialnej za walkę ze szpiegostwem na terenie Rosji. To był ich teren.

Silnik o pojemności tysiąca dwustu centymetrów sześciennych zawył, kiedy dostrzegli jego sylwetkę w odbitych od mokrej ulicy światłach swoich reflektorów. Nate ruszył biegiem w stronę następnej przecznicy, skręcił w prowadzącą do sutereny, cuchnącą moczem i wódką klatkę. Za nim rozległ się pisk opon, więc pomyślał, że musi czekać, czekać na następny ruch, a potem znowu biegł alejkami, przemykał niczym duch przez przejścia dla pie-

szych, następnie zbiegał po schodach w stronę rzeki. „Korzystaj z przeszkód, przechodź przez tory, zmieniaj kierunek, kiedy tracą cię z oczu, spraw, by podejmowali błędne decyzje, prześlizguj się wokół ich posterunków”. Kontrola czasu: prawie dwie godziny.

Drżał ze zmęczenia, ale biegł, potem szedł, w końcu przykucnął za samochodami. Wokół słyszał wycie silników, które najpierw się przybliżało, potem oddalało, a później znowu przybliżało. Agenci próbowali zbliżyć się doń na tyle, by rozpoznać jego twarz, złapać go, przycisnąć do mokrego asfaltu i wsadzić łapy do jego kieszeni.

Słyszał rozbryzującą się przy hamowaniu wodę, słyszał, jak wrzeszczeli do mikrofonu, byli coraz bardziej zdesperowani.

Pierwszy agent, który uczył go obserwacji, powtarzał: „Musisz pan poczuć ulicę, panie Nash, niezależnie od tego, czy jest to Wisconsin Avenue, czy Twerska. Musi ją pan poczuć”. I Nate ją czuł, ale wiedział, że wrogowie są liczni, nawet jeśli nie wiedzą dokładnie, gdzie go szukać. Opony piszczwały na mokrym bruku, kiedy jeździli tam i z powrotem. Na szczęście wiedzieli za mało, by rozesłać piesze patrole, ale niestety czas działał na ich korzyść.

Bogu dzięki, skierowali na niego całą swoją uwagę, co znaczyło, że zdołał ją skutecznie odwrócić od Marmura. Nate pomodlił się w duchu, by stary spokojnie dotarł do metra i żeby nie okazało się, że od początku był pod obserwacją, bo to znaczyłoby, że musi się teraz zmagać z drugim zespołem wywiadowców. Nie mogli dorwać jego agenta, jego agenta, a tym bardziej torebki z płytką, która tkwiła niczym bomba zegarowa w jego kieszeni. Pisk opon ucichł, na ulicach zrobiło się spokojnie.

Kontrola czasu: dwie godziny z minutami, ból nogi i kręgosłupa, pole widzenia zamazane na brzegach. Nate szedł wąską alejką tuż przy ciemnych ścianach, z nadzieją, że wszystkie te stare, ociekające błotem wozy stoją już w garażu, że wszyscy ci ludzie zgromadzili się w pokoju odpraw, a wściekły dowódca krzyczy na nich i im wygraża. Nie widział samochodu od ładnych paru minut i

miał nadzieję, że uszedł pogoni. Znowu zaczął padać śnieg.

Nagle jakiś wóz zatrzymał się przed nim gwałtownie, następnie cofnął się i skręcił w alejkę. Płatki śniegu zaśniły w świetle reflektorów. Nate obrócił się w stronę ściany domu, próbował się niemal w nią wcisnąć, ale wiedział, że tamci musieli go zobaczyć, a kiedy światła przesunęły się po jego ciemnej sylwetce, wóz przyspieszył i zjechał na jego stronę. Nate patrzył z fascynacją i niedowierzaniem na nadjeżdżający samochód, bok od strony pasażera sunął tuż przy ścianie, widoczne za szybą z pracującymi wycieraczkami dwie pary oczu wbijały się w niego niczym sztylety. Czy te bestie z FSB w ogóle go nie widzą? Nagle zrozumiał, że widzą go doskonale i że chcą go rozgnieść o ścianę. „Niepisana reguła grup obserwacyjnych mówi, że nigdy nie stosują one przemocy wobec zagranicznych dyplomatów”, powtarzali jego instruktorzy. Więc co, do kurwy nędzy, chcieli zrobić ci faceci?! Nate obejrzał się za siebie i stwierdził, że wylot alejki jest zbyt daleko.

„Musi pan poczuć ulicę, panie Nash”. A jeśli nie ulicę, to przynajmniej żelazną rynnę, przytwierdzoną do ściany zardzewiałymi metalowymi klamrami. I kiedy wóz był tuż-tuż, Nate wspiął się po tych klamrach wyżej. Samochód uderzył w ścianę i roztrzaskał rynnę, poszarzały dach znajdował się tuż pod uniesionymi nogami Nate'a. Wóz przesunął się wzdłuż ściany z potwornym chrobotem, a potem się zatrzymał. Silnik zgasł, a jemu zabrakło już siły; zwałił się na dach wozu, a potem na chodnik. Drzwiczki od strony kierowcy uchyliły się, zobaczył wielkiego faceta w futrzanej czapce, który właśnie wysiadał, ale oni przecież nigdy nie używają przemocy, Nate napał więc barkiem na drzwiczki, przycinając szyję faceta, usłyszał krzyk i zobaczył wykrzywioną bólem twarz. Szybko doprawił go jeszcze dwa razy drzwiczkami i facet opadł na fotel. Drugą stronę blokowała ściana, Nate zobaczył drugiego zbira, który próbował przeleźć do tylnych drzwiczek; był więc czas na ucieczkę. Przebiegł alejką do końca, skręcił i po chwili skrył się w

cieniu.

Trzy domy dalej znajdowała się brudna, otwarta mimo późnej pory jadłodajnia, której światła sączyły się na zaśnieżony chodnik. Nate usłyszał wycie silnika cofającego się samochodu. Wszedł pośpiesznie do środka i zamknął za sobą drzwi.

Jadłodajnia składała się z jednego pomieszczenia: w odległym końcu znajdowała się lada, gdzie wydawano jedzenie, w środku stało kilka stolików i ław, ściany pokrywała poplamiona tapeta, a w oknach wisały pożółkłe firanki. Za ladą siedziała starucha z widocznymi dwoma siekaczami, słuchała odrapanego radia i jednocześnie czytała gazetę. Na elektrycznej kuchence grzały się dwa aluminiowe garnki z zupą. Powietrze przesycił zapach gotowanej cebuli.

Nate podszedł do lady, starając się opanować drżenie rąk, i zamówił po rosyjsku talerz barszczu. Starucha patrzyła na niego obojętnie. Usiadł tyłem do okna i nasłuchiwał. Obok przejechał jeden samochód, drugi, a potem zapanowała cisza. W radiu jakiś satyryk opowiadał dowcip o Chruszczowie:

Chruszczow odwiedził chlewnię, gdzie zrobiono mu zdjęcie. Następnie w lokalnej gazecie odbyła się gorąca dyskusja, jak je podpisać: „Towarzysz Chruszczow wśród świń”, „Towarzysz Chruszczow i świnię”, „Świnię i towarzysz Chruszczow”.

Wszystkie tytuły wydawały się nieodpowiednie. W końcu redaktor prowadzący podjął decyzję: „Towarzysz Chruszczow - trzeci od lewej”.

Kobieta za ladą zachichotała.

Nate od kilkunastu godzin nie miał nic w ustach, jadł więc z wilczym apetytem, choć ręka wciąż mu drżała. Starucha popatrzyła na niego, wstała i podeszła do drzwi. Nate obserwował ją kątem oka. Otworzyła drzwi i poczuł zimny powiew z dworu. Kobieta rozejrzała się po ulicy, a następnie zatrzasnęła drzwi. Wróciła na stół i sięgnęła po gazetę. Kiedy zjadł już zupę i chleb, podszedł

do starej i odliczył parę kopiejek, a ona zgarnęła pieniądze do szuflady, którą zamknęła.

- Cisza i spokój - powiedziała. - Z Bogiem.

Nate wyszedł, unikając jej wzroku.

Po godzinie spocony i drżący przeszedł koło budki strażników przy mieszkalnej części ambasady. Płytką była w końcu bezpieczna. Nie tak należało kończyć operację, ale spóźnił się parę godzin na podstawiony specjalnie dla niego samochód. Oczywiście to wejście nie uszło uwagi i wkrótce FSB, a zaraz potem SWR wiedziały, że to młody pan Nash z sekcji ekonomicznej pozostawał poza ich zasięgiem przez większą część wieczoru. W dodatku domyślały się dlaczego.

BARSZCZ STARUCHY

W dużym garnku topimy masło, dodajemy pokrojoną w kostkę cebulę i prażymy do zeszklenia. Dodajemy trzy starte na tarce buraki oraz jeden pokrojony pomidor. Dolewamy rosołu wołowego i dodajemy octu, cukru i pieprzu do smaku. Zupa powinna być jednocześnie cierpka i słodka. Należy ją doprowadzić do wrzenia, a potem przez godzinę gotować na wolnym ogniu. Barszcz podajemy gorący z odrobiną kwaśnej śmietany i pokrojonym koperkiem.

2

Następnego dnia rano w dwóch oddzielnych biurach na przeciwległych krańcach Moskwy miały miejsce dwie nieprzyjemne sceny. W kwaterze głównej SWR w Jasieniewie pierwszy zastępca dyrektora generalnego Iwan Dimitriewicz Jegorow czytał raport FSB z prowadzonych poprzedniego wieczoru obserwacji. Wodniste światło sączyło się przez wielkie okna, wychodzące na okalający budynek ciemny sosnowy las. Aleksiej Ziuganow, podlegający Wani malutki szef kontrwywiadu, stał przed jego biurkiem, bo nie pozwolono mu usiąść. Jego przyjaciele, czy może tylko matka, mówili do tego jadowitego karła: „Liosza”, ale nie dzisiaj.

Jegorow miał sześćdziesiąt pięć lat i był generałem z szerokimi kompetencjami. Na jego wielkiej łysej czaszce tylko nad uszami rosły dwie kępki siwych włosów. Szeroko rozstawione brązowe oczy, grube wargi, wielkie bary i brzuch oraz umięśnione ręce sprawiały, że wyglądał na cyrkowego siłacza. Nosił doskonale skrojoną ciemną marynarkę od Augusta Caracenięgo z Mediolanu, a do niej ponury granatowy krawat. Lśniące czarne buty od Edwarda Greena z Londynu dostarczono mu pocztą dyplomatyczną.

Na początku kariery Jegorow niczym się nie wyróżniał. Kilka nijakich pobytów w Azji przekonało go, że nie przepada za działaniami w terenie. Po powrocie do Moskwy osiągnął prawdziwe mistrzostwo w realizacji krwawej polityki czystek. Piął się po szczeblach kariery, pracując najpierw w planowaniu, potem w administracji i na koniec w nowo utworzonym inspektoracie generalnym. Wyróżnił się w 1991 roku przy przekształcaniu KGB w SWR. Wybrał też właściwą stronę w czasie nieudanego zamachu stanu Władimira Kriuczkowa przeciwko Michaiłowi Gorbaczowowi, a w 1999 zainteresował się nim flegmatyczny przewodniczący rządu Federacji Rosyjskiej, jasnowłosy skorpion z wodni-

stymi oczami, czyli Władimir Władimirowicz Putin. W następnym roku nie było już na Kremlu Jelcyna i zastąpił go Putin, a Wania zaczął czekać na telefon, bo wiedział, że do niego zadzwonią.

„Chcę mieć nad wszystkim pieczę”, powiedział mu Putin w czasie szybkiej, pięciominutowej rozmowy w eleganckim gabinecie, gdzie wypolerowane drewno ścian odbijało się upiornie w oczach prezydenta. Obaj doskonale wiedzieli, o co mu chodzi, i Wania wrócił do Jasieniewa najpierw jako trzeci zastępca dyrektora generalnego, następnie awansował na drugiego i dopiero rok temu mógł się przenieść do gabinetu pierwszego zastępcy, vis-à-vis biura dyrektora, od którego oddzielał go tylko wyściełony dywanem hol. Przed marcowymi wyborami wystąpiły pewne niepokoje, dziennikarze i partie opozycyjne zaczęły szaleć jak nigdy dotąd. SWR zajęła się paroma dysydentami, działała dyskretnie w punktach do głosowania i dostarczała informacji na temat wybranych opozycjonistów. Współpracujący z nią oligarcha miał założyć własną partię, by odebrać część głosów opozycji i wprowadzić nowe podziały.

Wówczas Wania sam podjął olbrzymie ryzyko - położył wszystko na jednej szali - doradził mianowicie, aby winę za demonstracje, które doprowadziły do wyborów, Putin zwałił na obce, zwłaszcza amerykańskie władze. Kandydatowi bardzo spodobała się ta sugestia i bez mrugnięcia okiem zaczął myśleć o powrocie Rosji na światową scenę. Klepnął też Wanę po plecach, może dlatego, że ich kariery w wywiadzie były podobne i obaj osiągnęli tak mało za granicą, a może dlatego, że jeden informator rozpoznał kumpla. Niezależnie od wszystkiego Putin go lubił i Jegorow wiedział, że w końcu dostanie nagrodę. Był już blisko szczytu. Miał też czas oraz odpowiednie środki, by piąć się wyżej. I tego też pragnął.

Jednak opiekun jadowitych węży musi bardzo uważać, by któryś go w końcu nie ugryzł. Współczesny Kreml to były garnitury,

krawaty, rzecznicy prasowi, uśmiechy w czasie międzynarodowych spotkań, ale ktoś, kto mógł obserwować to miejsce dostatecznie długo, wiedział, że niewiele się tam zmieniło od czasów Stalina. Przyjaźń? Lojalność? Opieka? Wystarczył jeden fałszywy krok, dyplomatyczna lub operacyjna porażka czy - w najgorszym wypadku - coś, co zdenerwowało prezydenta, a wtedy, *czort wazmi!*, nie można się już było uratować. Wania potrząsnął głową. Ta cała awantura z Nashem. Tylko tego mu teraz trzeba!

- Gorzej nie można było chyba przeprowadzić tej akcji - wściekał się, choć zwykle odgrywał przed podwładnymi subtelniejszą dramę. - To jasne, że ten amerykański skurwieli spotkał się ze swoim informatorem. Jak mogliście go wypuścić na całych dwanaście godzin? I przede wszystkim, co robiły służby informacyjne z tego rejonu?

- Wygląda na to, że szukały Czeczenów, którzy handlują narkotykami. Bóg jeden wie, czym zajmuje się teraz FSB - odparł Ziuganow. - Poza tym ten rejon to cholerne bagno.

- A co z tym wypadkiem samochodowym?

- Sprawa nie jest jasna. Podobno nasi ludzie myśleli, że przyszpilili Czeczena i że ma broń, ale osobiście w to wątpię. Może podnieciła ich sama pogon.

- Kołchoźnicy zrobiliby to lepiej! Zadbam o to, by dyrektor przekazał tę informację prezydentowi w czasie najbliższego poniedziałkowego spotkania. Nie możemy dopuścić, by na ulicach Moskwy zabijano obcych dyplomatów, nawet jeśli spotykają się ze zdrajcami - warknął Jegorow. - Jak coś takiego się powtórzy, FBI zabierze się do naszych agentów w Georgetown.

- Przekażę tę informację swoim podwładnym, panie generale. Zespoły obserwacyjne na pewno zrozumieją, o co mi chodzi, zwłaszcza jeśli wspomnę też o katordze.

Jegorow spojrział obojętnie na szefa kontrwywiadu, odnotowując jednak, że ten z prawdziwą przyjemnością użył popularnego za

carów określenia zamiast słowa: „gułag”. Boże!

Aleksiej Ziuganow był mały, miał ciemną cerę, płaską jak patelnia twarz i odstające uszy. Obrazu kagiebigi z Łubianki dopełniały zęby jak kołki i uśmiezek, który nie zniknął z jego twarzy. A jednak ten złośliwy karzeł był skrupulatny i miał też inne zalety.

- Możemy skarżyć się na FSB, ale mówię ci, ten Nash spotyka się z kimś ważnym. A ci idioci przegapili świetną okazję. - Jegorow rzucił raport na blat. - Domyślasz się, jakie będziesz miał teraz zadanie? - Zrobił przerwę. - Musisz. Ustalić. Kto. To. Taki. - Po każdym słowie stukał grubym wskazującym palcem w drewniany blat. - Chcę mieć głowę tego zdrajcy na swoim biurku.

- Zajmę się tym w pierwszej kolejności - powiedział Ziuganow, doskonale wiedząc, że bez dalszych informacji, nowych wiadomości od kreta z CIA i zespołów obserwacyjnych będą musieli zaczekać. W tym czasie będzie mógł zacząć jakieś śledztwo i przesłuchać parę osób, ot tak, byle coś zrobić.

Jegorow raz jeszcze spojrzął na beużyteczny raport. Jedynym potwierdzonym w nim faktem była tożsamość Nathaniela Nasha przy wejściu na teren ambasady. Poza tym nic pewnego. Kierowca jednego z samochodów, którego zdjęcie z opatrzonym okiem dołączono do raportu, jakby mogło to usprawiedliwić incydent w uliczce, też zidentyfikował Amerykanina, podobnie jak milicjant przy bramce.

Mogą być z tego zaszczyty albo niezły gips, pomyślał Jegorow. Wielkie zwycięstwo wywiadu i kompromitacja Amerykanów albo całkowite fiasko, które do tego stopnia rozjuszy jego napędzanego testosteronem patrona z Kremla, że zakończy on jego karierę. A jeśli prezydent bardzo się rozgniewa, to może wylądować w kolonii karnej numer siedem w Siegieży, w celi obok Chodorkowskiego. Jegorow nie mógł przestać o tym myśleć, dlatego już wcześniej zażądał *litiernowo dieła*, czyli teczek operacyjnej Nasha, gdzie przeczytał: „Młody, aktywny, zdyscyplinowany, dobrze mówi po

rosyjsku. Pilnuje się, jeśli idzie o kobiety i alkohol. Żadnych narkotyków. Sumiennie wywiązuje się z obowiązków w sekcji ekonomicznej ambasady, co stanowi jedynie przykrywkę dla jego działalności”. Jegorow chrząknął. Młokos! Spojrzał jeszcze na szefa kontrwywiadu.

Ziuganow poczuł nagle, że musi wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu. Pierwszy zastępca dyrektora generalnego może nie jest zbyt dobrym wywiadowcą, ale za to znanym biurokratą z politycznymi ambicjami. Trzeba na niego uważać.

- Panie generale, żeby wyśledzić naszego zdrajcę, musimy się skupić na tym amerykańskim szpiegu. Niech pracują nad nim trzy zespoły. Trzeba go opleść naszą siatką. Kazać, nie, lepiej poprosić FSB, żeby prowadziła pełną, dwudziestoczęterogodzinną obserwację tego jankeskiego gieroja. Niech narobią wokół niego hałasu, a my uruchomimy dyskretnie naszych ludzi. Niech zobaczy, że coś się dzieje, a potem ma spokój. Sprawdzimy, czy coś zmieni. Jestem pewny, że za trzy do sześciu miesięcy będzie nowe spotkanie.

Jegorowowi spодobały się słowa o opleceniu agenta ich siatką.

Postanowił powtórzyć je dzisiaj na spotkaniu z dyrektorem.

- Dobra, zaczynaj. I daj znać, jakie masz plany, żebym mógł poinformować szefa o naszej strategii. - Odprawił Ziuganowa machnięciem ręki.

Poinformować szefa o n a s z e j strategii, pomyślał Ziuganow, opuszczając pokój.

Tereny należące do ambasady amerykańskiej leżą w priesnieńskim rejonie nieopodal Kremla, niedaleko zakola rzeki Moskwy, na północny zachód od Jasieniewa. Późnym popołudniem odbyła się tam kolejna nieprzyjemna rozmowa, tym razem między szefem rezydentury CIA Gordonem Gondorfem i Nate'em, który podobnie jak szef rosyjskiego kontrwywiadu musiał stać w jej trakcie, czując pulsujący ból w kolanie.

O ile postura Jegorowa przywodziła na myśl cyrkowego siłacza,

o tyle wynędzniały Gondorf przypominał cyrkowego charcika. Miał on niewiele ponad metr sześćdziesiąt, przerzedzone włosy, świńskie, osadzone zbyt blisko siebie oczka i małe stopy. Jednak braki w wyglądzie nadrabiał wyjątkowo paskudnym usposobieniem. Nikomu nie ufał i nie zdawał sobie sprawy z ironii tego, że jednocześnie właśnie wpaja to innym. Gondorf (nazywany za plecami Gond-Orkiem) wciąż musiał borykać się z sekretnym piekłem, które znali tylko niektórzy starsi oficerowie - wszystko wokół go przerastało.

- Przeczytałem twój raport z wczorajszych zdarzeń - zaczął. -

Z tego, co piszesz, wynika, że uważasz, iż operacja przebiegła pomyślnie - ciągnął monotonnym głosem.

Nate poczuł, jak ściska mu się żołądek. Muszę stawić mu czoło, pomyślał.

- Jeśli chodzi o bezpieczeństwo naszego agenta, to z całą pewnością wszystko jest w porządku. - Nate wiedział, do czego zmierza szef, ale nie chciał mu w tym pomagać.

- Niemal doprowadziłeś wczoraj do aresztowania naszego najlepszego, najbardziej wydajnego człowieka. W dodatku prawie cię złapali.

Nate starał się powstrzymać narastający gniew.

- Przeszedłem dwunastogodzinną trasę sprawdzeniową, którą sam pan zatwierdził. Rozpoznałem sytuację i byłem czysty, kiedy dotarłem na spotkanie. Tak jak Marmur.

- Więc skąd się wzięli rosyjscy wywiadowcy? Nie sądzisz chyba, że to był przypadek, prawda? - rzekł z przekąsem Gondorf.

- Właśnie tak sędzę. Niemożliwe, żeby to właśnie mnie szukali. Inaczej nie zachowaliby się w ten sposób w uliczce. To wykluczone. Nie śledzili mnie, działali na oślep i mało subtelnie.

Marmur wyszedł z tego bez uszczerbku.

Nate zauważył, że Gondorf w ogóle nie przejął się tym, iż chcieli go zabić. Inny szef od razu podniósłby raban i poszedł z tym

prosto do ambasadora.

- Bzdura! - Gondorf był innego zdania. - Cała ta operacja to katastrofa. Jak mogłeś skierować go do metra? To przecież pułapka. I zignorowałeś procedurę, bo pomogłeś mu się przebrać. Powinien był sam to zrobić. Doskonale zdajesz sobie z tego sprawę i wiesz, co będzie, jeśli zacznie świecić!

- Sam podjąłem tę decyzję. Uznałem, że musi jak najszybciej się przebrać i opuścić ten rejon. Marmur jest zawodowcem, będzie wiedział, jak pozbyć się laski i kurtki. Możemy mu wysłać wiadomość. Sprawdzę to przy następnym spotkaniu - przekonywał Nate. Ciężko rozmawiało mu się z kimś, kto zupełnie nie znał ulicy.

- Nie będzie już następnego spotkania. A w każdym razie ty się z nim nie spotkasz. Mają cię na celowniku. Sprawdzili cię wczoraj parę razy i twoja przykrywka już nie wystarczy. Będzie cię śledzić połowa moskiewskich agentów - mówił z wyraźną przyjemnością Gondorf.

- Przecież i tak wiedzieli, że nie jestem ekonomistą. Znam dobrze sytuację i nadal mogę spotykać naszych informatorów - powiedział Nate, opierając się o krzesło.

Gondorf miał na biurku atrapę ręcznego granatu, na którym znajdował się napis: „W celu szybszego kontaktu z wydziałem zażaleń wyciągnij zawleczkę”.

- Nie sądzę. - Gondorf pokręcił głową. - Jesteś spalony i mogą z tego wyniknąć same nieszczęścia.

- Jeśli rzeczywiście tak się mną zajmą, to możemy ich doprowadzić do bankructwa - zauważył Nate. - Mogę przez najbliższe pół roku jeździć po mieście i niechaj mnie śledzą. Im więcej ich będzie, tym łatwiej da się nimi manipulować.

„Musisz stawić temu czoło!”, przypomniał sobie instrukcję.

Jego słowa nie zrobiły na szefie większego wrażenia. Ten młody osiłek stanowił zbyt wielkie zagrożenie dla niego samego. Gondorf marzył o awansie po przyszłorocznym powrocie do Waszyngtonu i

nie zamierzał podejmować ryzyka.

- Będę wnosił o skrócenie twojego pobytu w Moskwie. Jak mówiłem, jesteś na celowniku i Ruscy zrobią wszystko, by dorwać twoich agentów. - Uniósł na chwilę wzrok. - Nie przejmuj się, zadbam o to, żebyś dostał dobre kolejne zadanie.

Nate był wstrząśnięty. Nawet ci, którzy wyjeżdżali na pierwsze zadanie, doskonale wiedzieli, że skrócenie pobytu przez szefa rezydentury - i to niezależnie od powodu - może zwichnąć karierę oficera. Był też pewny, że Gondorf użyje swoich kanałów, by przekazać informację, iż Nate spieprzył robotę. Ucierpi na tym jego reputacja, nieoficjalny życiorys, co będzie miało wpływ na ewentualny awans i dalsze zadania. Nagle zaczęło do niego powracać dawne uczucie, że stoi na czarnych ruchomych piaskach.

Nate znał prawdę - dzięki szybkiej i słusznej decyzji udało mu się wczoraj ocalić Marmura. Popatrzył na obojętną twarz Gondorfa. Obaj wiedzieli, co się teraz dzieje i dlaczego. Nate uznał więc, że może zakończyć tę rozmowę, i wypalił z grubej rury:

- Gondorf, jesteś tchórzem, który boi się wyjść na ulicę.

Chcesz mnie wrobić, żeby samemu się nie narażać. Dużo się od ciebie nauczyłem.

Z tymi słowami opuścił biuro szefa. Zauważył przy tym, że Gondorf nie wydarł się na niego, co wyraźnie wskazuje, jakiej miary jest człowiekiem.

Wyrzucenie z rezydentury w czasie oficjalnego pobytu. To nie tak źle, jak doprowadzić do śmierci swojego informatora, zdefraudować państwowe fundusze czy fałszować raporty, ale i tak można to uznać za katastrofę. Nate nie wiedział, jak to wpłynie na jego ewentualny awans i przyszłe zadania, ale spodziewał się informacji na ten temat, kiedy depesza od Gondorfa dotrze do centrali. Niektórzy z jego kumpli z kursu byli już na drugim wyjeździe i pięli się po szczeblach kariery. Krążyły plotki, że jednemu zaproponowano nawet stanowisko szefa niewielkiej rezydentury.

Dodatkowe miesiące, które poświęcił na przygotowanie się do misji w Moskwie, sprawiły, że wypadł trochę z kursu. No, a teraz jeszcze to.

Choć mówił sobie, żeby nie skupiać się na decyzji Gondorfa, wciąż się tym zagryzał. Zawsze mówiono mu, że ma nadażać, że nie może być ostatni i musi wygrać. Dorastał na południu Stanów, gdzie w przypominającej elegancką zamkniętą klatkę palladiańskiej posiadłości na południowym stromym brzegu rzeki James wychowały się kolejne pokolenia Nashów. Dziadek, a potem ojciec Nate'a - pierwszy założyciel, a drugi członek firmy Nash, Waryng and Royall z Richmond - przesiadywali w ocienionych zielenią gabinetach, cmokali i strzepywali rękawy. Obaj przyjęli z zadowoleniem to, że bracia Nate'a, jeden z niepasującymi do niego lokami Juliusza Cezara, a drugi nadmiernie spocony i ze straszliwą fryzurą, wbili się w garnitury, liznęli trochę prawa i w końcu poženili z piersiastymi pięknościami, które milkły, kiedy mężczyźni wchodzili do pokoju, a ich błękitne oczy szukały aprobaty.

Wszyscy jednak zastanawiali się, co tu, kurde, zrobić z najmłodszym Nate'em. Nate skończył rusycystykę na Uniwersytecie Johna Hopkinsa i szukał duchowego ukojenia w ascetycznych światach Gogola, Czechowa i Turgieniewa - światach, do których nie miało dostępu brukowane cegłą Richmond. Bracia robili mu z tego powodu wymówki, a ojciec uważał to za zupełną stratę czasu. Wszyscy spodziewali się, że pójdzie na prawo - miał już wstępną akceptację w Richmond - i w końcu zostanie młodszym wspólnikiem w firmie. Magisterium z rosyjskiego z dalekiego Middlebury okazało się więc problemem, a podanie o przyjęcie do CIA wywołało rodzinny kryzys.

- Moim zdaniem takie urzędnicze życie wcale ci się nie spodoba - przekonywał ojciec. - Wszędzie tam pełno biurokracji. - Ojciec znał paru wcześniejszych dyrektorów Agencji.

Bracia Nate'a byli już mniej oględni w słowach. W czasie jed-

nego z burzliwych rodzinnych posiłków zaczęli się zakładać, jak długo Nate wytrzyma w CIA. Dawali mu góra trzy lata.

Podanie o pracę w Agencji nie wynikało z potrzeby ucieczki przed szelkami, eleganckimi spinkami i otoczonym kolumnami, przytłaczającym domem czy w ogóle niezachwianym absolutem Richmond. Nie wynikało też z jego patriotyzmu, chociaż Nate był prawdziwym patriotą. Wzięło się natomiast bezpośrednio z bicia jego serca, kiedy to w wieku dziesięciu lat zmusił się do spaceru po okalającym dom parapecie na trzecim piętrze w towarzystwie krążących nad rzeką jastrzębi. Chciał pokonać strach oraz demony strachu i porażki. A także z napięcia między nim a ojcem, dziadkiem i wszystkożernymi braćmi, którzy hałaśliwie domagali się od niego posłuszeństwa, choć sami robili, co chcieli.

To samo bicie serca towarzyszyło mu w czasie rozmów kwalifikacyjnych, a on musiał je uciszać, kiedy ukrywał, a potem ochocho potwierdzał, jak bardzo lubi te rozmowy, nowe wyzwania i rozwikływanie niejasności. Kiedy jego serce cichło, a głos się uspokajał, doznawał prawdziwego olśnienia, że może na zimno stawić czoło sytuacjom, nad którymi nie panuje. Naprawdę potrzebował pracy w CIA.

Zaalarmowała go dopiero uwaga pracownika odpowiedzialnego za rekrutację, który stwierdził, że prawdopodobnie go nie przyjmą, bo nie ma odpowiedniego „doświadczenia życiowego”. Drugi, bardziej optymistyczny agent zdradził mu w zaufaniu, że może być łakomym kąskiem dla CIA, ze względu na doskonałe wyniki testów z rosyjskiego. Agencja potrzebowała aż trzech miesięcy, by zdecydować, czy ktoś taki jak Nate jest jej potrzebny, a w tym czasie bracia obstawiali zakłady dotyczące końca jego pracy w CIA.

Powitali też okrzykami dezaprobaty wyczekany list. Nate dostał pracę.

Zameldował się na służbie, podpisywał niekończące się formularze, zapisywał na różne zajęcia, spędzał miesiące w ciasnych

pokojach i salach konferencyjnych, gdzie uczyli ich obojętni instruktorzy, i całą wieczność na prezentacjach z PowerPointem. W końcu ośrodek szkoleniowy w Camp Peary, czyli Farma, szutrowe drogi, biegnące prosto przez piaszczyste, porośnięte sosnowym lasem połacie, akademiki z linoleum, zatęchłe sale z szarą wykładziną, a także ponumerowane krzesła, na których wcześniej siedzieli zeszłoroczni bohaterowie oraz bohaterowie sprzed czterdziestu lat, rekruci bez twarzy, wspaniali agenci albo i nie, jacyś wykolejeńcy, zdrajcy, inni dawno już zmarli, o których pamiętali jedynie najbliżsi.

Planowali tajne spotkania i chodzili na próbne przyjęcia dyplomatyczne, starając się wmieszać w tłum głośnych instruktorów o czerwonych twarzach, ubranych w sowieckie albo maoistyczne mundury. Szli po kolana w wodzie przez sosnowy las, sprawdzając teren przez noktowizor i licząc kroki, aż w końcu docierali do wydrążonego pnia i znajdowali zawiniętą w jutę cegłę, a okoliczne sowy gratulowały im zwycięstwa. Kazano im się kłaść na rozgrzanych maskach samochodów, pod którymi grały silniki, kiedy instruktorzy, czyli „straż graniczna”, która urządziła blokadę, machali im przed oczami jakimiś papierami i żądali wyjaśnień. Na wiejskich drogach przesiadywali w pochylonych domach rodem z *Amerykańskiego gotyku*, pili wódkę i przekonywali bełkoczących „wieśniaków”, że powinni zdradzić swój kraj. Przez sosny widać było czarną tafłę rzeki, która marszczyła się, gdy wpadały do niej żerujące o zmierzchu rybołowy.

Nate nie miał pojęcia, jaki instynkt sprawiał, że tak świetnie radził sobie w terenie. Zostawił w Richmond ciężar, który go męczył, i wybiegł na ulicę, bez wysiłku zwodząc zespoły obserwatorów i spotykając okutanych w długie płaszcze i noszących nieprawdopodobne kapelusze instruktorów-agentów. Mówili, że ma niezłe oko. Nate zaczął nawet w to wierzyć, ale złe wróżby braci wisiały nad jego głową niczym miecz Damoklesa. Bał się, że za-

wiedzie, że go wyrzucą i będzie musiał wracać do rodziny. Niektórzy bardzo szybko wylatywali z kursu.

- Oczekujemy od was uczciwości - powiedział instruktor od prac operacyjnych. - Odsyłamy ludzi za to, że zachowują się jak dowódcy i próbują rozwiązać przyszłe problemy. Chodzi o to, by jeszcze utrudnić ćwiczenia. A jeśli złapiemy kogoś z notatnikiem instruktora czy innymi zakazanymi materiałami, może od razu pakować manatki. - Zdaniem Nate'a powyższe słowa stanowiły zachętę, by tego spróbować.

Byli grupą, ale złożoną z indywidualności, i wszyscy myśleli o pierwszych zadaniach: wyjazdach do Caracas, Delhi, Aten czy Tokio. Wszyscy chcieli się wybić i zdobyć jak najlepsze zlecenia, a emocje osiągnęły apogeum w czasie tygodnia potwornie męczących przyjęć, organizowanych w ośrodku szkoleniowym przez różne oddziały centrali, rekrutujące nowych szpiegów.

Podczas jednego z takich przyjęć wzięli go na stronę mężczyzna i kobieta z Wydziału Rosja i poinformowali, że mają dla niego wstępną akceptację, więc nie musi już szukać innych zleceń. Nate wspomniał, że ze swoją znajomością rosyjskiego mógłby ścigać Rosjan na Bliskim Wschodzie czy w Afryce, ale oni się tylko uśmiechnęli i odparli, że czekają na niego pod koniec miesiąca w centrali.

Skończył kurs i otrzymał wstępną akceptację. Znalazł się wśród elity.

Teraz zaczęły się wykłady dotyczące współczesnej Rosji.

Dyskutowali na temat igrzysk damoklesowej polityki gazowej Moskwy, zagrożeń dla Europy, a także chronicznej potrzeby Kremla udzielania poparcia bandyckim państwom - rzekomo w imię sprawiedliwości, a tak naprawdę tylko po to, by się zamęt i dowieść, że Rosja wciąż się liczy. Włochaci faceci mówili o szansach postsowieckiej Rosji, wyborach, reformie służby zdrowia, niżu demograficznym, żalu związanym z ponownie opadającą żelazną

kurtyną i o znajdującej się za nią parze lodowatych niebieskich oczu, które widzą wszystko. Święta *Matuszka Rossija*, bezkresne tereny z wielką czaszą nieba nad nimi, musiała jeszcze wytrzymać, bo tymczasem ekshumowano trupa Sowietów, wyciągnięto go z czarnego bagna, jego serce ponownie ożyło, a stare więzienia znowu zapełniły się ludźmi myślącymi inaczej.

Z kolei twarda kobieta poprowadziła wykłady na temat nowej zimnej wojny, udawanych negocjacji rozbrojeniowych i sprytnych myślicieli ponaddzwiękowych, które mogą latać bokiem i wciąż mają na skrzydłach kokardy z czerwoną gwiazdą, a także o wściekłości Moskwy, dotyczącej planów instalacji tarczy antyrakietowej w Europie Środkowej - jakże trudno było przeboleć utratę państw satelickich! - oraz na temat zgrzytu zardzewiałych mieczy w pochwach, śpiewki, która towarzyszyła rządowi Breżniewa i Czerienki. A im, Wydziałowi Rosja, chodziło o to, by nieustannie poznawać plany i zamiary kryjące się za błękitnymi oczami i niewzruszoną twarzą przywódcy tego kraju. Te tajemnice były teraz inne, ale tak jak zawsze - aby je poznać, trzeba je było ukraść.

Następnie do Wydziału Rosja przybył z nieformalną prezentacją emerytowany oficer operacyjny. Wyglądał jak handlarz z jedwabnego szlaku, tyle że miał zielone oczy i się krzywił.

- Musicie zapomnieć o źródłach energii, niżu demograficznym, zasobach naturalnych i państwach satelickich. Rosja w dalszym ciągu jest jedynym krajem, który może wystrzelić międzykontynentalny pocisk balistyczny na Lafayette Square nieopodal Białego Domu. Jedynym z taką liczbą bomb atomowych. - Urwał i potarł nos. Mówił głębokim, gardłowym głosem. - Rosjanie nie nawiązują cudzoziemców tylko odrobinę mniej niż siebie samych, a w dodatku są urodzonymi konspiratorami. Oczywiście wiedzą, że są najlepsi, ale twój Rusek potrzebuje potwierdzenia, chce, żeby go szanowali i się go bali jak za najlepszych czasów Związku Sowieckiego. Rosja chce uznania i ma zamiar zawsze grać pierwsze

skrzypce. Dlatego Putin tworzy teraz ZSRR w wersji 2.0 i nic nie może mu w tym przeszkodzić.

Moskwa to takie dziecko, które ściąga obrus i tłucze zastawę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Rosjanie nie chcą, by ich ignorowano, i zniszczą wszystkie naczynia, by tak się nie stało. Będą sprzedawać broń chemiczną Syrii, przekazywać Iranowi prety paliwowe, uczyć Indonezyjczyków projektowania wirówek, budować w Birmie niewielkie reaktory wodne, no, wszystko, co się da.

Ale prawdziwe zagrożenie stanowi wywoływana przez to destabilizacja, ogrom możliwości otwierających się przed różnego rodzaju wariatami, którzy chcieliby zniszczyć świat. No mówię, druga zimna wojna dotyczy odradzania się rosyjskiego imperium, i zapewniam was, że Rosjanie nie będą patrzeć i czekać, żeby zobaczyć, jak radzi sobie chińska marynarka, kiedy, a nie jeśli, zacznie się strzelanina w Cieśninie Tajwańskiej. - Narzucił lśniącą marynarkę. - Teraz jest tam ciężko, ale sami musicie to rozgryźć. Zazdroszczę wam. - Uniósł rękę. - Pomyślnych łowów - zakończył i wyszedł z sali. Wszyscy milczeli i nie opuszczali swoich miejsc. Nate był teraz na słynnej ścieżce moskiewskiej, przechodził specjalistyczne kursy, podzielone na części ćwiczenia operacyjne, a kiedy perspektywa wyjazdu zaczęła się przybliżać, zaczął uczyć się rosyjskiego słownictwa operacyjnego, uzyskał też dostęp do papierów agentów, poznawał nazwiska i studiował rysy informatorów, z którymi miał się spotykać w mieście tuż pod nosem zespołów obserwacyjnych. Życie i śmierć w śniegu, wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Zajęcia z obozu szkoleniowego poszły w niepamięć. Teraz odpowiadał też za życie innych ludzi i nie mógł zawieść!

Trzy dni po rozmowie z Gondorfem Nate siedział w restauracji lotniska Szeremietiewo i czekał na swój samolot. Wziął poplamione tłuszczem menu i zamówił „sanwicza Cubano” oraz piwo. W ambasadzie zaproponowano, że przydzielą mu pracownika

administracji, by pomógł z biletami i kontrolą paszportową, ale Nate uprzejmie odmówił. Poprzedniego wieczoru Leavitt przyniósł parę piw i ucieli sobie cichą pogawędkę, unikając oczywistych tematów, a zwłaszcza tego, co wiedzieli już wszyscy agenci, że zarówno kariera, jak i reputacja Nate'a bardzo poważnie ucierpią z powodu tego, co się stało. W czasie pożegnania byli spięci. Jedyny jasny punkt stanowiło to, że w odpowiedzi na przyspieszone pismo Gondorfa centrala przysłała wiadomość, że właśnie zwolniło się miejsce oficera operacyjnego w pobliskich Helsinkach. Ponieważ Nate znał rosyjski, a Rosjan w Finlandii nie brakowało, i w dodatku nie był żonaty, więc dyspozycyjny, zaproponowano mu natychmiastowe objęcie tej funkcji. Nate przyjął tę propozycję i chociaż Gond-Ork trochę się szarpał, to jednak wyraził zgodę. Zaraz też pojawiła się oficjalna nota z rezydentury w Helsinkach, a za nią nieoficjalny list od jego przyszłego szefa, Toma Forsytha, który napisał po prostu, że cieszy się ze spodziewanej współpracy.

Poinformowano, że samolot Finnair czeka na pasażerów, i Nate wraz z innymi przeszedł na pas startowy. Wysoko nad nim, w przeszklonym pomieszczeniu obserwacyjnym wieży kontrolnej, dwóch ludzi naprowadzało na niego długą lunetę. To żegnała się z nim FSB. Zarówno ludzie z FSB, jak i SWR, a w szczególności Wania Jegorow, byli przekonani, że ten nagły wyjazd jest istotnym wydarzeniem. Kiedy Nate wchodził po schodkach przy dźwiękach aparatu fotograficznego, pogrążony w myślach Jegorow siedział w swoim biurze. Szkoda. Właśnie tracił szansę na wykrycie ważnego zdrajcy. Trzeba będzie miesięcy, może nawet lat, by znaleźć do niego jakąś lepszą drogę, jeśli w ogóle okaże się to możliwe. Nash wciąż stanowi klucz do całej sprawy, pomyślał Jegorow. Zapewne dalej będzie prowadził swego informatora, ale już spoza terytorium Rosji. Zdecydował, że nie może go stracić z oczu. Zajmiemy się nim trochę w Helsinkach, pomyślał. SWR mogła bez

przeszkód operować w Finlandii, w dodatku miała tam większą swobodę. Nie będzie już musiał współpracować z głupkami z FSB. Zobaczymy, pomyślał Wania. Świat jest za mały na to, by się w nim schować.

KANAPKA PO KUBAŃSKU

Z MOSKIEWSKIEGO LOTNISKA

Chleb kubański (ok. 30 cm) kroimy wzdłuż, nie rozkrawając go do końca. Rozkładamy na płasko. Skrapiamy oliwą na zewnątrz, a do środka dodajemy zwykłej musztardy. Kładziemy plaster szynki konserwowej, pieczonej wieprzowiny, szwajcarskiego sera i cienko pokrojone ogórki kiszane. Następnie ściskamy w grillu albo między dwiema rozgrzanymi, owiniętymi folią aluminiową cegłami (które wcześniej trzymamy przez godzinę w piekarniku rozgrzanym do pięciuset stopni Celsjusza). Kanapkę podajemy przekrojoną ukośnie na trzy części.

3

Dominika Jegorowa siedziała w prywatnej łoży, pośród kryształów i marmurów Baccary, najbardziej eleganckiej z nowych restauracji w Moskwie, położonej zaledwie parę kroków od placu Łubiańskiego. Nigdy wcześniej nie widziała tylu kryształów i sreber, a te stały tuż przed nią, na śnieżnobiałym obrusie. Bawiła się świetnie i chociaż była na służbie, zamierzała cieszyć się nieprzyzwoicie drogą kolacją.

Naprzeciwko siedział potwornie napalony Dimitrij Ustinow. Był wysoki, zwalisty, miał bujne ciemne włosy i wystającą dolną szczękę. Należał do przywódców gangu oligarchów, którzy w latach prosperity po zakończeniu zimnej wojny utworzyli warte miliardy dolarów imperium. Zaczynał jako zwykły *rakietior*, ale szybko zdobył znaczącą pozycję.

Ustinow miał na sobie nienaganny smoking, śnieżnobiałą prążkowaną koszulę ze spinkami z błękitnymi brylantami. Nosił zegarek Tourbillion od Comma, które produkowano jedynie w liczbie dziesięciu sztuk rocznie. Jego niedźwiedzie łapy spoczywały leniwie na wykonanej w 1908 roku dla cara papierośnicy Fabergé. Wyjął papierosa i zapalił go szczerozłotą zapalniczką Ligne Deux, a kiedy ją zamykał, rozległ się sygnał dźwiękowy charakterystyczny dla wszystkich zapalniczek Duponta.

Ustinow był trzecim najbogatszym człowiekiem w Rosji, ale nie należał do najsprytniejszych. Publicznie sprzeciwiał się rządowi, a przede wszystkim premierowi Putinowi, i nie chciał przyjąć do wiadomości rządowych ustaleń dotyczących jego firmy. Trzy miesiące wcześniej, kiedy spór był najbardziej zaogniony, wypowiedział się obraźliwie w moskiewskiej telewizji na temat Władimira Władimirowicza. Ludzie, którzy orientowali się w sytuacji, byli zdziwieni, że jeszcze żyje.

Tego wieczoru Ustinow myślał tylko o Dominice. Zobaczył ją w telewizji miesiąc po swoim pamiętnym wywiadzie. Jej uroda i

żywiłowa seksualność sprawiły, że zaparło mu dech w piersi.

Gotów był kupić stację, byle tylko móc się jeszcze raz spotkać z tą kobietą, ale okazało się to niekonieczne. Dominika od razu, i z przyjemnością, przyjęła zaproszenie na kolację. I kiedy teraz patrzył na nią, miał ochotę dotykać całego jej ciała.

Dwudziestopięcioletnia Dominika miała kasztanowe, zaczesane do góry i związane czarną wstążką włosy. Jej kobaltowe oczy pasowały kolorem do papierośnicy, a kiedy Ustinow to powiedział, odruchowo pchnął bezcenne cacko w jej stronę.

- To dla ciebie.

Odznaczała się pełnymi wargami i eleganckimi, szczupłymi ramionami, których dzisiaj niczym nie zasłoniła. Ubrała się w prostą czarną sukienkę z dużym wycięciem, odsłaniającym imponujący rowek między piersiami. Rozproszone światło świec ujawniało jedynie błękitną żyłę, która biegła w dół ku jej piersi pod nieskazitelną jasną skórą. Sięgnęła i przez moment obracała cudowną papierośnicę w długich palcach. Nie pomalowała krótko przyciętych, prostokątnych paznokci. Popatrzyła na niego wielkimi oczami, a on poczuł napięcie między żołądkiem a kroczem. Wiedziała dość, by poddać się instynktowi i przełknąć gulę, która zaczęła jej rosnąć w gardle.

- Jest cudowna, Dimitriju, ale nie mogę jej przyjąć - powiedziała. - Jesteś dla mnie zbyt hojny.

- Jasne, że możesz - powiedział, próbując być czarujący. - Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam, a twoja obecność tutaj to dla mnie największy możliwy prezent. - Wypił łyk szampana i wyobraził sobie, że ta czarna sukienka leży gdzieś w kącie jego sypialni.

- Już teraz bardzo cię lubię - dodał.

Dominika musiała uważać, żeby się nie roześmiać, choć jednocześnie poczuła cudowny chłód, który przebiegł jej po plecach i wzdłuż ramion. Ten *dierewienszczina*, zwykły gbur, miał tyle ogłady co prosty bandyta, którym zresztą był jeszcze tak niedawno.

Ale też miał kupę kasy. W czasie tygodnia przygotowań do akcji Dominika wiele się o nim dowiedziała: o jego jachtach, domach nad morzem, luksusowych apartamentach. Ustinow miał udziały w koncernach naftowych i innych firmach wydobywczych na całym świecie. Prywatną armię ochroniarzy, w której służyli wyszkoleni najemnicy. Trzy odrzutowce.

Dominika była jedynym dzieckiem Niny i Wasilija Jegorowów.

Jej matka pracowała jako koncertmistrz w Moskiewskiej Orkiestrze Symfonicznej, była rozwijającym się wirtuozem, studiowała u Klimowa i miała tak olbrzymi potencjał, że Muzeum Kultury Muzycznej im. Michała Glinki powierzyło jej oryginalne skrzypce Kochański del Gesù z 1741 roku. Piętnaście lat wcześniej nie dostała jednak spodziewanego awansu do Rosyjskiej Orkiestry Narodowej, bo tego stanowiska zażądał Prochor Bielenko, kiepski skrzypek, ale za to prywatnie żonaty z córką członka Politbiura. Wszyscy wiedzieli, że tak nie powinno się stać, ale nikt nie pisnął nawet słówkiem.

Nina Jegorowa była znana nie tylko z mistrzowskiej gry na pomalowanych na czerwono skrzypcach, ale też ognistego usposobienia i temperamentu. Dlatego zdzieliła Bielenkę po głowie jego własnym pulpitem przed ośmioma rozbawionymi muzykami orkiestry narodowej w czasie jego ostatniej próby z moskiewską orkiestrą. Nina była twardą kobietą, przeszła dobrą szkołę w ówczesnym Związku Sowieckim. Zabrali jej skrzypce Guarneriego, a ona odmówiła gry na gorszym instrumencie. Zdegradowano ją z pierwszej skrzypaczki na trzecią. Wysłała ich do wszystkich diabłów. Była najpierw na zwolnieniu, a kiedy Ministerstwo Kultury ogłosiło koniec jej kariery, wyrzucono ją z pracy. Teraz, po latach, jej długa szyja przygięła się, palce poskręcały, a ciemne włosy stały się siwe i Nina wiązała je w kok.

Ojciec Dominiki, Wasilij Jegorow, słynny uczonek, profesor zwyczajny Uniwersytetu Moskiewskiego, wykładał historię. Był

on jedną z najbardziej szanowanych i wpływowych postaci w świecie sowieckiej nauki i otrzymał tytuł zasłużonego dla uczelni. W domu wisiał na ścianie złoto-niebieski Order Świętego Andrzeja, a na co dzień Jegorow nosił do garnituru ciemnoczerwoną baretkę Medalu Puszkina, który otrzymał za osiągnięcia w naukach humanistycznych i edukacji. Jak na ironię Wasia Jegorow wcale nie wyglądał na kogoś dystygowanego czy wpływowego. Był niski, chudy i zaczesywał sobie rzadniejące włosy na czubek głowy. W przeciwieństwie do żony Wasilij przetrwał dawny system, unikając polityki, sojuszy i kontrowersji. Zamknął się w swoim pokoju na uniwersytecie i zawsze uchodził przede wszystkim za uczciwego naukowca, który jednakże jest dyskretny i lojalny. Nikt nie wiedział, że towarzysz profesor ma tajemnicę, że jest kimś zupełnie innym i jako prawdziwy moralista czuje obrzydzenie do Związku Sowieckiego. Jak wszyscy Rosjanie w latach trzydziestych i czterdziestych stracił wielu członków rodziny podczas stalinowskich czystek, zesłań i walk z Niemcami. To jednak nie wszystko. Jegorow nie znosił braku równowagi i logiki sowieckiego systemu, faworyzowania aparaczyków, których gnuśność i rozpasanie doprowadziły kraj na krawędź przepaści. Mówił o tym tylko z Niną.

Wszyscy Rosjanie są z konieczności skryci i dlatego Wasilij i Nina ukrywali też swoją niechęć do współczesnej Rosji, która ich zdaniem niewiele się zmieniła. Nawet kiedy Dominika dorosła i zaczęła wszystko rozumieć, ojciec nie mówił jej, co czują. Oboje z żoną chcieli dać jej wyrazistą wizję świata, by mogła sama odkrywać prawdę. Jeśli więc nie mogli odsłonić przed nią piekielnej ewolucji kraju: od strasznej rewolucji poprzez obumieranie sowieków i w końcu po *glasnost*, nieokiełznaną chciwość, która napędzała Federację Rosyjską, Wasilij postanowił przynajmniej odsłonić przed córką prawdziwą wielkość Rosji.

W przestronnym trzypokojowym mieszkaniu, które po aferze z

Niną zdołali zatrzymać tylko ze względu na pozycję profesora, pełno było książek, płyt, dzieł sztuki, o których rozmawiało się w trzech językach. Kiedy Dominika skończyła pięć lat, rodzice zauważyli, że ma świetną pamięć. Potrafiła recytować duże fragmenty z Puszkina i rozpoznawała fragmenty z Czajkowskiego. A kiedy grała muzyka, bosonoga dziewczynka tańczyła na perskim dywanie w salonie, utrzymując takt, obracając się i skacząc w rytmie melodii, nie tracąc przy tym równowagi. Jej oczy lśniły, a ręce tylko migały w powietrzu. Rodzice popatrzyli na siebie i w końcu Nina spytała, jak się tego nauczyła.

- Naśladuję kolory - wyjaśniła Dominika.

- To znaczy? - spytała matka, a dziewczynka odparła poważnie, że kiedy gra muzyka albo tata coś czyta, w pokoju pojawiają się kolory.

Niektóre są jasne, inne ciemne, czasami „skaczą w powietrzu”, a wtedy wystarczy je tylko naśladować. Dzięki temu udaje jej się też tyle zapamiętać. W czasie tańca przeskakuje przez pasy błękitu, podążając za migotliwymi czerwonymi plamkami. Rodzice ponownie popatrzyli na siebie.

- Lubię czerwony, niebieski i fioletowy - mówiła Dominika. - Są naprawdę piękne, jak papa czyta albo mamula gra na skrzypcach.

- A kiedy mama się na ciebie gniewa? - spytał Wasilij.

- Żółte. Nie lubię żółtego - odparła dziewczynka, przewracając strony książeczki. - I czarnego. Czarna chmura wcale mi się nie podoba.

Wasilij postanowił skonsultować się z kolegą z wydziału psychologii.

- Czytałem o podobnych przypadkach - powiedział tamten. -

O tym, że niektórzy odbierają litery w postaci kolorów. To bardzo ciekawe. Może przyprowadzisz ją kiedyś do mnie?

Wasilij czekał w swoim gabinecie, a kolega rozmawiał z małą

Dominiką w jednej z sal wykładowych. Miało to trwać godzinę, ale przeciągnęło się do trzech. Kiedy w końcu do niego przyszli, Dominika była uśmiechnięta i rozkojarzona, a psycholog głęboko zamyślony.

- I co? - spytał Wasilij, obserwując córkę kątem oka.

- Fascynujące. Mógłbym z nią siedzieć całymi dniami - odparł kolega, nabijając fajkę. - To najprawdopodobniej synestezja, zdolność do postrzegania dźwięków, liter lub liczb w postaci kolorów.

Wasilij spojrzał na córkę, która siedziała przy jego biurku i zadowolona kolorowała obrazki.

- Mój Boże! - westchnął. - Czy to jakaś choroba? Może jeszcze umysłowa?

- Trudno powiedzieć, czy to choroba, ciężar, czy przekleństwo. - Psycholog ubijał tytoń. - Z drugiej strony można to uznać za dar. - Inteligentny i odcytany Wasilij tylko kręcił głową. - I jeszcze jedno - dodał psycholog, patrząc na pochyloną dziewczynkę. -

Wygląda na to, że jej synestezja dotyczy również relacji z ludźmi. Twoja mała widzi kolory nie tylko przy słowach czy dźwiękach, ale również uczuciach. Mówiła mi o czymś, co przypomina aureole wokół głów i ramion różnych osób. - Wasilij wlepił wzrok w kolegę. - Być może będzie miała zespół sawanta, jeśli idzie o intencje różnych osób. No i oczywiście ma doskonałą pamięć. Parę razy bez zająknięcia powtórzyła dwadzieścia pięć cyfr. Ale o tym wiedziałeś wcześniej. Czasami tak się zdarza w podobnych przypadkach - dodał psycholog, a Wasilij skinął głową. - I jeszcze jedna dość niezwykła rzecz. Twoja córka często ulega bujstwu, czyli napadom złego humoru, płatanii figli, czemuś w tym rodzaju. Zrzuciła na podłogę moje papiery, kiedy nie mogła wykonać zadania. W przyszłości będzie musiała nauczyć się nad tym panować.

- *Moj ty Boh!* - jęknął Wasilij i zaraz też pospieszył do domu, by opowiedzieć o tym żonie.

- Ma to po tobie - mówił cierpko do Niny, kiedy czerwona z wściekłości Dominika wbijała w niego płomienny wzrok, gdy wyłączała muzykę. Jeśli zachowuje się tak w tym wieku, to co będzie dalej?

Kiedy dziesięcioletnia Dominika zdawała do położonej przy ulicy Frunzenskiej 5 Moskiewskiej Akademii Choreografii, zrobiła wielkie wrażenie na komisji. Brakowało jej techniki i dyscypliny, ale nawet w tak młodym wieku wyczuwało się jej energię, naturalne umiejętności i instynkt wielkiej tancerki. Ktoś spytał ją, dlaczego chce tańczyć, a potem cała komisja roześmiała się na słowa: „Bo widzę muzykę”. Jednak po chwili wszyscy ucichli, gdyż już wtedy piękna twarzyczka dziewczynki pociemniała i Dominika popatrzyła na wszystkich tak, jakby chciała zrobić im krzywdę. Triumfalnie przechodziła z klasy do klasy, świadoma tego, że na absolwentów akademii czeka Bolszoj. Kwitła mimo rygorów klasycznej metody Waganowej. Przyzwyczała się też do życia z kolorami. Umiejętność dostrzegania ich w czasie słuchania muzyki, tańca czy rozmów stała się bardziej subtelna i Dominika nauczyła się nad nią panować. Potrafiła też rozpoznawać znaczenie kolorów i wiązać je z nastrojami i uczuciami. Nie uważała tego za ciężar, po prostu z tym żyła.

Była coraz lepsza, i to nie tylko w tańcu. Otrzymywała najlepsze oceny na obu poziomach akademii, gdzie wykorzystywała swoją umiejętność zapamiętywania. Było to coś nowego, coś innego. Dominika słuchała wykładów na tematy polityczne i ideologiczne, na temat historii komunizmu, powstania i upadku socjalizmu, historii sowieckiego baletu. Oczywiście zdarzały się błędy i wypaczenia, które trzeba było skorygować. A teraz nowa Rosja miała rosnąć w siłę, silna swoją federacyjną wielością. Młody umysł zaabsorbował ten sposób myślenia i język.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, przyjęto ją do pierwszego zespołu szkoły, przodowała też na zajęciach politycznych. Co-

dziennie wieczorem mówiła przerażonemu i milczącemu ojcu, czego się nauczyła. Wasilij próbował równoważyć jej rosnący entuzjazm, opowiadając o literaturze i historii. Jednak Dominika była odurzona swoją młodością i karierą. Nawet jeśli rozumiała jego intencje i potrafiła właściwie odczytać kolory nad jego głową, to nie dała tego po sobie poznać. Ojciec nie mógł nic więcej zrobić. Bał się mówić otwarcie, co sądzi o systemie.

Oczywiście Nina była szczęśliwa z powodu oszałamiającej kariery córki. Dominika miała przed sobą wspaniałą i bezpieczną przyszłość. Ale ona też z niechęcią myślała o tym, że dziewczyna staje się wcieleniem Nowej Russkiej, że jest ultranacjonalistką, piękną, która chodzi jak balerina, ale zachowuje się jak sowiecki aparatczyk.

Dominika leżała na dywanie w salonie, a matka rozczesywała delikatnie i rytmicznie jej kasztanowe włosy szczotką z długą rączką, która należała jeszcze do jej babki. Ta szylkretowa szczotka z pięknie rzeźbioną rączką, zdjęcie w ramkach i srebrny samowar stanowiły jedyne pamiątki uratowane przed bolszewikami z eleganckiego domu w Petersburgu. Naturalna szczecina dzika wydawała przyjemny dźwięk, który w powietrzu zamieniał się w czerwień. Włosy Dominiki lśniły, a ona sama, wyciągnięta wygodnie po całym dniu ćwiczeń, przerwała ojcu i zaczęła opowiadać, czego dowiedziała się w szkole.

- Papo, czy ty wiesz, że zagrażają nam o b c e w p ł y w y ? Czy zdajesz sobie sprawę, że coraz więcej dysydentów s i e j e c h a o s ? Czy czytałeś artykuł prezydenta Putina o syjonistach, którzy działają na szkodę naszego państwa?

Rodzice popatrzyli na nią z tępym bólem. *Gospodi, pomiluj!*

My, Putin, dysydenci! Rozciągnięte na podłodze gibkie ciało Dominiki stało się już ich narzędziem, a jej wyćwiczony umysł miał odtąd im służyć. Nina zerknęła na męża. Chciała powiedzieć córce prawdę, przestrzec ją przed pułapkami systemu, który zniszczył jej

kariere i trzymał pod korcem niezwykle umysł jej męża. Wasilij potrząsnął głową.

- Ani teraz, ani nigdy - szepnął.

W wieku dwudziestu lat Dominika została wybrana na prima-balerinę pierwszego zespołu. Wciąż miała doskonale stopnie, a umiejętności fizyczne kazały jej nauczycielowi tańca porównać ją do „młodej Galiny Ułanowej”, noszącej tytuł prima *ballerina assoluta* Teatru Bolszoi po wojnie. Teraz w tańcu nie widziała już tylko podstawowych kolorów, ale wyszukane wielobarwne fale, które przetaczały się i pulsowały, niosąc ją ze sobą. Sepiowe barwy, otaczające jej partnerów, pozwalały jej lepiej się do nich dostosować. Reagowała szybko na dotyk, była precyzyjna, miała silne nogi i kręgosłup i cudownie unosiła się na palcach. Jej baletmistrz uważał, że przyszedł czas, by zaczęła przygotowywać się do corocznego naboru do Teatru Bolszoi.

Stała się silna i giętka, a jednocześnie coś jeszcze zaczęło się dziać z jej organizmem. Rygorystyczne ćwiczenia pozwoliły jej poczuć swoje ciało. Nie była to lubieżność, gdyż Dominika tłumiała w sobie seksualność. Było to jej osobiste przebudzenie i bez wstydu zaczęła sprawdzać swoje cielesne możliwości. O ile dobrze wiedziała, nie przejęła tego od żadnego z rodziców, więc może odziedziczyła to po jakiejś dalekiej wyzwolonej kuzynce.

Badała więc swe doznania w zaciemnionym pokoju, gdy tylko miała taką potrzebę, i to z taką intensywnością jak w czasie ćwiczeń przy drążku. Jej oddech brzmiał pod jej powiekami, kiedy wstrząsały nią kolejne dreszcze, a ona odkrywała swoją seksualność. Nie było w tym nic z fetyszyzmu czy nałogu i tylko jej tajemne ja rozwijało się wraz z upływającym czasem. Lubiała to swoje ja, choć nie było ono tak do końca naturalne i niewinne. Co jakiś czas odczuwała potrzebę czegoś zakazanego, mocniejszego i w czasie nocy ze straszną burzą zaciskała mocno powieki, zadziwiona tym, że trzyma w dłoniach szczotkę prababci i dostosowuje jej rytm do

rytmu rozbłysków na niebie. Chciała coraz więcej i wciąż zadziwiona wyczuła wilgotny punkt, a potem poczuła jeszcze potężniejszy przypływ rozkoszy, kiedy rączka szczotki przeszła ją nagle jak igła motyla w gablotce. Na szczęście teraz już sama czesała włosy po zajęciach w szkole baletowej.

Chociaż zdarzały jej się przyjaźnie, to jednak nie w szkole. Była przecież liderką klasy i zajmowała się głównie potrzebami swojej grupy, tym, żeby była ona jak najlepsza i zawsze wygrywała, a zwłaszcza z klasami ze szkoły w Sankt Petersburgu, centrum baletu w dawnym, imperialnym stylu. Dominika urządzała pogadanki dla zmęczonych kolegów i koleżanek, mówiąc im o czystości moskiewskiej szkoły i jej nieskazitelnie rosyjskim charakterze. Nazywali ją klikuszą, demoniczną krzykaczką, mówili za jej plecami, że jest No woj Russkoj, gwiazdeczką, prawdziwie oddaną sprawie... Niech się wreszcie zamknie, myśleli w czasie pogadanek. Sonia Morojewa miała dwadzieścia dwa lata i najprawdopodobniej ostatnią okazję, by dostać się do Teatru Bolszoi, ale też ze względu na Jegorową niewielkie szanse, by się tam w końcu znaleźć. Tańczyła przez całe życie i jako córka członka Dumy Państwowej była próżna i zepsuta do szpiku kości. Poza tym była zdesperowana. Sypiała nierozważnie z jednym z członków zespołu - jasnowłosym Konstantinem o rysich oczach - co było bardzo ryzykowne, bo gdyby ktoś to odkrył, natychmiast wyrzucono by ich ze szkoły. Ale po piętnastu latach w szkole Sonia wiedziała, kiedy jest w niej spokojnie i mogą skorzystać z sauny. Spocona, z niewiarygodnie zgiętymi nogami szeptała Kostii do ucha, że go kocha, co potwierdzała, wwiercając się weń biodrami, zlizując pot z jego twarzy i błagając, by ocalił jej karierę, jej życie.

Doświadczeni uczniowie szkoły baletowej wiedzą o stawach i urazach mniej więcej tyle samo co chirurdzy. Konstantin, który nie mógł przestać myśleć o cipce Soni, czekał, aż zostanie partnerem Dominiki. I kiedy wśród innych par ćwiczyli *pas de deux*, nadepnął

mocno na jej piętę, gdy była *en pointe*, i pchnął stopę do przodu, wtedy kolory zaczęły krwawić, jej świat pograżył się w ciemności i Dominika upadła, zwijając się z bólu. Zaniesiono ją do szkolnego ambulatorium, a jej koledzy i koleżanki patrzyli na nią bladzi, stojąc wzdłuż drążka. Sonia była biała jak ściana. Dominika dostrzegła ją, zauważyła wyraz winy na jej twarzy, szare miazmaty unoszące się wokół jej głowy, i domyśliła się wszystkiego. Kiedy znalazła się na łóżku, noga była już czarno-fioletowa - najgorszy z możliwych znaków - a ból promieniował w górę.

- Złamanie stawu Lisfranca - mruknął lekarz.

Po wielu badaniach i operacji zagipsowano jej nogę aż po kostkę, co oznaczało koniec nauki w akademii, koniec dotychczasowego życia. Stało się to tak szybko i było nieodwołalne. Nagle gdzieś rozwiąły się wszystkie komplementy, zapewnienia, że będzie następczynią Ułanowej. Mistrzowie, nauczyciele nawet nie chcieli na nią patrzeć.

We wczesnej młodości nauczyła się panować nad bujstwem, atakami wściekłości, ale teraz pozwalała wściekłości narastać, pragnęła ją poczuć na języku. Najpierw chciała od razu oskarżyć Kostię i Sonię o spisek. Ich również by wyrzucono, gdyby władze dowiedziały się, co ich łączy. W końcu jednak uznała, że nie jest to najlepsze wyjście. Wciąż w odrętwieniu myślała o swojej przyszłości, kiedy odebrała telefon od matki.

Wasilij Jegorow miał poważny wylew i zmarł w drodze do kliniki w Kuncewie, przeznaczonej głównie dla kremlowskich urzędników. Ojciec był najważniejszym człowiekiem w jej życiu, przewodnikiem i obrońcą, a teraz została niemal zupełnie sama. Mogłaby przytulić jego dłoń do policzka i opowiedzieć o tym, że wyrzucono ją ze szkoły, i o spisku Kostii i Soni. Poprosiłaby go o radę, zapytała, co ma teraz robić. Nie mogła tego wiedzieć, ale Wasilij szepnąłby jej do ucha, że można zakochać się we własnym kraju, ale ten kraj, nigdy, przenigdy, nie odwzajemni tego uczucia.

Dwa dni później Dominika siedziała w salonie, prawą stopę miała zagipsowaną, wyciągała wysoko elegancką szyję, trzymając głowę jak najwyżej. Ubrana na czarno matka siedziała obok, cicha i spokojna. Mieszkanie wypełniali goście, którzy przyszli złożyć kondolencje. Zjawili się uczeni, artyści, członkowie rządu i politycy. Ich rozmowy zabarwiały przestrzeń na zielono, gdyż ten właśnie kolor wiązał się ze smutkiem i żałobą. Było go tak dużo, że wydawał się wypierać powietrze. Dominika z trudem łapała oddech. Na stole stały bliny z czerwonym kawiolem, wędzony jesiotr i pstrąg, a obok karafki z wodą mineralną, parujący srebrny samowar, soki, whisky i zmrożona wódka.

Potem zobaczyła wujka Wanię, który pochylał się nad jej matką i mówił o głębokim żalu. Bracia nigdy nie byli sobie bliscy, a ich osobowości i temperamenty sytuowały ich na przeciwległych biegunach. Dominika nie bardzo wiedziała, czym się zajmuje, ale w domu szeptało się czasami na temat KGB czy SWR. Wujek podszedł do niej i usiadł obok, jego grube rysy wdarły się nagle w jej smutek. Dominika zauważyła, jak mierzy ją wzrokiem, czarną sukienkę, zaczesane do tyłu ciemne włosy, wyraz żalu na twarzy. Gardło ścisnęło jej się znajomo, ale matka przysunęła się i wzięła ją za rękę. „Panuj nad sobą!”.

- Moje najszczęśliwsze wyrazy żalu - powiedział wujek. - Wiem, jak byliście sobie bliscy.

Przytulił ją po ojcowsku, ocierając się policzkiem o jej policzek. Używał mocnej lawendowej wody kolońskiej Houbigant prosto z Paryża.

- Przykro mi też z powodu twojej nogi i tego, co to dla ciebie znaczy. - Wskazał gips. - Wiem, że doskonale sobie radziłaś i z tańcem, i w szkole. Ojciec zawsze był z ciebie dumny.

Ktoś z rodziny podszedł, by złożyć kondolencje. Wuj przysiadł na kanapie.

- Jakie masz teraz plany? - spytał. - Może uniwersytet?

Dominika wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Taniec to było całe moje życie, a teraz muszę szukać czegoś innego. - Zauważyła, że wpatruje się w nią intensywnie.

Wygładził krawat, wstał i spojrzał na nią z góry.

- Mam do ciebie prośbę, Dominuszka. - Popatrzyła na niego zdziwiona. Wujek wzruszył ramionami. - To nic wielkiego, ale sprawa jest dosyć ważna. No i nieoficjalna - dodał.

- Miałabym zrobić coś dla wywiadu? - spytała zdumiona.

Wania położył palec na ustach, a następnie zaprowadził kulejącą w kątek pokoju. Specjalnie wybrał dzień pogrzebu. Zawsze tak robią.

- Potrzebuję twego talentu, *dorogaja*, i urody - zaczął. - Wiem, że mogę ci zaufać i że jesteś dyskretna. - Przysunął się do niej, a ona poczuła ciepło wywołane jego bliskością i pochlebstwami.

- Zadanie jest proste. To prawie zabawa. Musisz się z kimś spotkać, poznać go lepiej, resztę powiem ci później.

Gad, pomyślała.

- Pomożesz staremu wujowi? - spytał, a jego gadzi język wysuwał się i chował, sprawdzając powietrze. To, że pytał teraz, było ohydne, wręcz potworne. Dominika czuła rozpierające pulsowanie krwi pod gipsem na stopie.

Głowę wujka otaczała żółta aureola, jak u bizantyjskich świętych. A potem zaczęła normalnie oddychać i poczuła pustkę i spokój. Zgodziła się właśnie dlatego, że przypuszczał, iż odmówi. Popatrzyła nań śmiało, a on zmrużył oczy, jakby się nad czymś zastanawiał. Próbował odczytać wyraz jej twarzy, ale nie pozwoliła na to, a on w odpowiedzi też ukrył się za maską.

- Doskonale - powiedział. - Wiesz, że ojciec byłby z ciebie naprawdę dumny. Wasia był prawdziwym patriotą i tak też wychował ciebie. Na prawdziwą rosyjską patriotkę.

Jeszcze słowo o ojcu, a odgryzę ci wargi, pomyślała Dominika.

A potem przywołała na usta uśmiech, który - co odkryła dopiero

niedawno - mocno działał na ludzi.

- Skoro wyrzucili mnie ze szkoły, mogę zrobić coś dla w y -
w i a d u - rzuciła.

Coś drgnęło w jego twarzy, ale zaraz się opanował.

- Zjrzyj do mnie w przyszłym tygodniu - powiedział i spoj-
rzał na jej gips. - Mogę przysłać po ciebie samochód. - Wania zapiął
wełniany garnitur. Wziął jej dłoń w swoje łapsko, jego nos znaj-
dował się zaledwie parę centymetrów od jej twarzy. - No, pożegnaj
się z wujkiem. - Dominika położyła dłonie na jego barkach i
cmoknęła go w oba policzki, zerknęła też na jego wilgotne wątro-
biane usta. Zapach lawendy i żółta aureola.

- Ta przysługa nie będzie za darmo - szepnął jej do ucha. -
Powinienem móc coś zrobić w kwestii tego mieszkania. - Dominika
cofnęła się. - Nie powinnyście go stracić. Myślę, że będzie to dużą
pociechą dla twojej matki.

Wania puścił jej dłoń, wyprostował się i wyszedł. Patrzyła
zdziwiona, jak zamyka za sobą drzwi. Pierwszy raz czuje jarzmo,
pomyślała Dominika.

Wania usadowił się na tylnym siedzeniu mercedesa i dał kie-
rowcy znak, żeby ruszał. No dobrze, pomyślał, złożyłem kondol-
encje. Wasilij był wartogłowym naukowcem, który żył przeszło-
ścią. A Nina zupełnie straciła rozum. *Sumaszedszaja!* Ale Domi-
nika wygląda jak grecka bogini i naprawdę się cieszę, że o niej
pomyślałem. Zwłaszcza że z tą stopą nie ma innego wyjścia.
Dziewczyna może się jeszcze wiele nauczyć. Mieszkanie warte jest
miliony, no ale przecież to rodzina i przynajmniej tyle mogę dla
nich zrobić, dumął Wania.

Wieczorem po wyjściu gości Dominika usiadła z matką w
ciemnym salonie. Słuchały cicho Bacha, któremu towarzyszył
niemal pusty samowar, który wzdychał co jakiś czas resztkami
pary. Dominika nie potrzebowała świateł. Widziała obok pulsującą
intensywnie czerwoną muzykę. Nina złożyła dłonie na podołku, a

kiedy spojrzała na córkę, domyśliła się, że ta „widzi kolory”. Ścisnęła dłonie Dominiki, by skłonić ją do uwagi, i zaczęła cicho i wolno mówić. Pochylała się tuż nad jej uchem i opowiadała o ojcu i jego pracy. Mówiła o szkole baletowej, Rosji i o tym, co się stało. A potem o mniej przyjemnych rzeczach, o obietnicach, zdradzie i zemście. Dwie postaci w ciemnym pokoju wypełnionym karmazynowym Bachem, dwie klikusze w leśnej dolinie, planujące zamach.

Dwa dni później Dominika zajrzała do akademii, rzekomo po to, by porozmawiać z lekarzami i zabrać swoje rzeczy. Była już obca i miała wrażenie, że wszyscy czekają, aż sobie pójdzie. Usiadła dyskretnie przy wyjściu i patrzyła, jak Sonia Morojewa tańczy z Kostią: jej prawa noga uniesiona nieprawdopodobnie wysoko i prosto *en penché*, kiedy partner oprowadzał ją wolno dokoła. Oczywiście miał wbite w wąski pasek trykotu na jej kroczu. Dominika widziała, jak w czasie wieczornej przerwy wymknęli się oboje z niemal pustej sali ćwiczeń, gdzie słały się długie cienie, i ruszyli w stronę sauny. Wcześniej słyszała już plotki na ich temat, ale teraz wiedziała na pewno. Czując znajomy ścisk w gardle, czekała i patrzyła, jak ciemnieje sala ćwiczeń. Panowała nad sobą, była jak lód.

W budynku ucichło, w pokojach żadnych świateł, paliły się tylko w gabinetach baletmistrza i dwóch przełożonych. Dominika pokuśtykała ostrożnie do pomieszczenia znajdującego się przed wyłożoną drewnem sauną, a potem przez przyciemnioną szybkę zajrzała ostrożnie do jej wnętrza. Leżeli nadzy na listwach górnej ławki, słabo widoczni przy świetle pojedynczej żarówki. Kostia uniósł właśnie głowę znad krocza Soni i zawisł niczym bestia nad jej rozłożonymi nogami. Dziewczyna złapała go za szyję i zarzuciła nogi na jego barki. Dominika dostrzegła odciski na jej stopach i zgniecione po tańcu palce.

Usta miała otwarte, głowę opartą o ławkę, ale ciężkie cedrowe drzwi tłumiły jęki Soni. Dominika cofnęła się i zmusiła swoją

wściekłość, by ustąpiła przed lodem. Gdyby przekręciła termostat i zaryglowała drzwi szczotką, ugotowaliby się w ciągu dwudziestu minut... Nie. Potrzebowała czegoś eleganckiego i niewykrywalnego, czegoś, co załatwiłoby sprawę raz na zawsze. Oboje zniszczyli jej karierę, teraz ona musiała zrobić to samo, ale tak, by nikt się nie mógł zorientować, czyje to dzieło.

Dominika otworzyła drzwi do prowadzącego do sauny pomieszczenia i zapaliła światło na korytarzu. Po chwili też otworzyła jedno z okien. Zimne wieczorne powietrze wdarło się do środka, a ona ruszyła jego śladem, widząc, jak niebieskie rozbłyski niczym świetliki płyną w kierunku gabinetu przełożonej. Wśliznęła się do oddalonego nieco, ciemnego pokoju, oparła się o ścianę i zaczęła nasłuchiwać.

Opiekunka - Dominika zastanawiała się, która - poczuła zimno po trzech minutach i poszła sprawdzić, co się stało. Kiedy zobaczyła światło i otwarte drzwi, zaczęła mamrotać. Mogła to być madame Butyraska, najbardziej surowa i nieprzejednana z psów łańcuchowych akademii. Dominika czekała w ciszy, licząc sekundy, a potem dotarł do niej szelest otwieranych ciężkich drzwi i coś, co zabrzmiało jak zduszony szloch. Madame zaczęła wrzeszczeć, Dominika usłyszała odgłosy bosych stóp na linoleum oraz płacz i miauknięcia, które cichły wraz z oddalającymi się krokami. Nawet papa z Dumy nie zdoła jej ocalić, pomyślała.

W niemal ciemnym pokoju Dominika podniosła rękę do oczu - dłonie były spokojne i świetliste. Kobieta zaczerpnęła powietrza, znowu mogła oddychać, jakby ktoś podał jej tlen. Z lekkim zdziwieniem stwierdziła, że nie czuje żadnych emocji związanych z tym, że zniszczyła tych dwoje, cieszyła się nawet tą myślą z całym wdziękiem i spokojem, aż nagle pomyślała o ojcu i trochę się zawstydziała.

Gips zdjęto. Specjaliści z SWR postanowili pokazać Dominikę Ustinowowi w telewizji. Chcieli, by ją gdzieś zaprosił. Nie mówili

jej, że ma iść z nim do łóżka, ich zdaniem nie było to konieczne, ale ona wiedziała, że jedno wiąże się z drugim. Przejrzała ich niecny plan i była zaskoczona, stwierdziwszy, że jest jej wszystko jedno. Instruktorzy patrzyli na nią ostrożnie, zaniepokojeni śmiałym spojrzeniem i uśmiechem, nie mogąc dociec, z kim mają do czynienia.

Dobrze, dobrze, chcieli wiedzieć więcej o jego interesach, planowanych wyjazdach zagranicznych, kontaktach. Powiedzieli, że toczy się śledztwo związane z jego oszustwami i defraudacją państwowych pieniędzy. Ich słowa były blade, wyprane z kolorów, jakby jeszcze się w pełni nie uformowały. Tak, wiedziała, czego chcą, i powiedziała, że to zrobi. Mężczyźni popatrzyli po sobie, a potem znowu na nią, a ona czytała w nich jak w otwartej książce. To było naprawdę ciekawe odkrycie - ci wywiadowcy z tajnych służb byli jak stado gęsi.

Kiedy czytała raporty, będące burzą kolorów, postanowiła uciszyć przemądrzałych, patrzących na nią zamglonymi oczami kontrwywiadowców i sprawić, by uśmiech zniknął z ust kochanego wujka Wani. Pamiętała zapach lawendy. Biedna bratanica, skończona balerina, córka zmarłego brata. Zrobisz coś dla mnie? Może jednak uda się zatrzymać dla was to mieszkanie. Tak, *choroszo*. Teraz przy migotaniu świec i brzęku kryształów, kiedy Ustinow wypychał jedzenie do ust, Dominika poczuła dlań wzgardę, co z kolei przywołało lodowatą obojętność. Była gotowa na wszystko, by wypełnić swoje zadanie, i wiedziała dokładnie, co i jak ma zrobić.

Właśnie tego się trzymała. W czasie kolacji była urzekająca. Wykształcona, uważna, pociągająca. Przeciągnęła palcem po zagłębieniu szyi, patrząc na pomarańczowe parabole nad jego barkami. Ciekawe, pomyślała, żółty, oznaczający oszustwo, miesza się z czerwienią pożądania. Prawdziwy zwierz.

Ustinow z trudem dotrwał do końca obiadu - widziała, jak źłopie

szampana, bo z rosnącego pożądanego zaschło mu w gardle. Guziki jego koszuli napięły się. Pod koniec kolacji powiedział, że ma w domu butelkę trzystuletniego koniaku, lepszego od wszystkich trunków w restauracji. Czy przyjmie zaproszenie? Dominika popatrzyła na niego i konspiracyjnie pochyliła się w jego stronę. Jej piersi uniosły się w blasku świecy.

- Nigdy nie piłam koniaku - szepnęła.

Ustinow poczuł pulsowanie serca w ustach.

BLINY ZE STYPY WASILIJA JEGOROWA

Do szklanki mąki dodajemy proszku do pieczenia i gruboziarnistej soli, a następnie dolewamy mleka, wbijamy dwa jajka, dodajemy trochę klarowanego masła i mieszamy wszystko na jednolitą masę. Następnie łyżką nakładamy masę na patelnię i smażymy po obu stronach na średnim ogniu, aż bliny się zezłocą. Podajemy z czerwonym kawiozem, łososiem, *crème fraîche*, kwaśną śmietaną i koperkiem.

4

Pojechali eleganckim bmw Ustinowa z pancernymi szybami. Jego mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze wielkiego neoklasycystycznego budynku, stojącego w części Arbatu określanej jako „złota mila”. Był to wspaniały penthouse, utworzony z dwóch przyległych mieszkań; podłogi były w nim z marmuru, fotele i kanapy pokryte białą skórą, a żyrandole złożone. Okna na całe ściany odsłaniały widok na dachy Moskwy wraz z jej światłami.

W powietrzu wyczuwało się woń kadzidełka. Olbrzymie chińskie lampy rzucały ciepłe kręgi światła; w kącie wisiał abstrakcyjny akt, na którym palce rąk i stóp oraz oczy leżącej kobiety wystrzelały we wszystkich możliwych kierunkach. Picasso, domyśliła się. Za kwadrans sama będę tak wyglądać, pomyślała cierpko.

Ustinow machnięciem ręki odprawił ochroniarzy i z cichym trzaskiem zamknął drzwi. Na hebanowym kredensie stały najróżniejsze butelki, Dominika dostrzegła tam pękatą flaszkę koniaku, zapewne tego trzystuletniego. Ustinow nalał go do siedemnastowiecznych kieliszków z czeskiego kryształu i nalegał, żeby wypić. Z innej tacy wzięła trójkątny tost z kawałkiem ziemistego pasztetu o delikatnej cytrynowej nucie.

Ustinow wziął ją za rękę i poprowadził szerokim korytarzem z podświetlonymi obrazami, a potem weszli po trzech stopniach do jego przyciemnionej sypialni. Nie zauważył ledwie widocznego, lekkiego utykania, kiedy stawiała do niedawna chorą stopę. Za bardzo wpatrywał się w jej włosy, szyję i wypukłość piersi.

Ruch spowodował zapalenie się świec i Dominika z podziwem rozejrzała się dookoła. Sypialnia była olbrzymim pomieszczeniem wielkości sali tronowej, pomalowanym w kontrastujące czerń i biel. Przepastne okrągłe łoże na podeście na środku pokoju pokrywały narzuty ze skóry. Na ścianach pyszniły się rzędy wielkich luster. Ustinow wziął pilota i nacisnął guzik. Rolety z materiału

zwinęły się automatycznie, odsłaniając rozgwieżdżone niebo, widoczne przez szyby z hartowanego szkła.

- Mogę stąd obserwować wędrówkę gwiazd i księżyca - powiedział. - Czy chcesz ze mną jutro obejrzeć wschód słońca?

Dominika zmusiła się do uśmiechu. Wieprz w swoim chlewie!

Jak to możliwe, że ktoś taki zgromadził tak wielkie bogactwo, gdy inni wciąż muszą stać w kolejkach po chleb? Powietrze w sypialni było ciężkie, przesycone zapachem drewna sandałowego. Dywan w kolorze kości słoniowej był mięciutki i gęsty. Srebrne naczynia, stojące na szafce z jesionu amerykańskiego, mrugały w ruchomym świetle. Oddzielną żarówkę skierowano na oprawioną płytkę ebru z pajęczyną linii. Ustinow zauważył, że na nią patrzy.

- Szesnastowieczna - rzucił takim tonem, jakby za chwilę miał ją zdjąć ze ściany i wręczyć Dominice.

Teraz, w jego sypialni, gra stała się trudniejsza, a aura erotyzmu, którą roztaczała w czasie kolacji, nie wydawała się już tak sprytnym zagranieciem. Sam fizyczny akt nie powinien nastroić trudności; Dominika nie była świętoszką. Zastanawiała się tylko, co straci, jeśli uwiedzie tego mężczyznę. Nic, odpowiedziała sama sobie. Ustinow nie mógł jej nic zabrać, podobnie jak łypiący na nią podejrzliwie kontrwywiadowcy czy pachnący lawendą wujek Wania ze swoimi kondolencjami. „Poważne zadanie”, powiedział. Bzdura, pomyślała. To tylko polityczna gra, chodzi o to, żeby pokonać rywala. Ale ta swołocz, ta przylizana bladź, zasługiwała na to, by stracić wszystko i pójść do ciupy. Załatwi go tak, że wujek Wania jeszcze się zdziwi.

Obróciła się do Ustinowa, odsłaniając ramiona. Pocałowała go przelotnie w usta i przesunęła palcami po policzku. Przyciągnął ją i pocałował namiętnie. Lustra powieliły stukrotnie ich połączone sylwetki.

Ustinow oderwał się od Dominiki i wbił w nią oczy. Jego ciało było niczym odsłonięty nerw, mózg odrywał się od punktów za-

czepienia wewnątrz czaszki. Zrzucił marynarkę i zaczął szarpać jedwabny krawat. Oligarcha, który zbił fortunę, bo był sprytniejszy i silniejszy od innych zbirów, który potrafił zabijać, widział teraz tylko błękitne oczy i kosmyki kasztanowych włosów opadających na cienką szyję i wciąż wilgotne od pocałunku usta. Dominika położyła dłonie na jego piersi i szepnęła:

- Zaczekaj na mnie na łóżku, *sołnce*. Przyjdę za dwie minuty.

W łazience ze złotymi zdobieniami Dominika spojrzała w lustro. Powiedziałaś „tak”, upomniała samą siebie, najpierw Wani, a potem temu dyszącemu żądzą niedźwiedziowi. Chciałaś się sprawdzić, więc powinnaś teraz dokończyć dzieła. Sięgnęła do tyłu, rozpięła zamek i zostawiła sukienkę na podłodze. Skorzystaj z niego, pomyślała, patrząc na swoje ciało w lustrze, i zrób to, co masz zrobić. Musisz go zniewolić, dowiedzieć się tego, co chcą wiedzieć. Powiedzieli, że Ustinow jest niebezpieczny, że ma na sumieniu wielu ludzi. Dobrze. Jutro rano będzie go karmić mrożonym bulionem, wkładać łyżkę do uniesionych otwartych ust, a on wyśpiewa jej wszystkie swoje tajemnice, a później będzie już tylko oglądać świat zza kratki. Przypomniała sobie odprawę i sięgnęła do torebki: wyjęła tabletkę benzedryny, którą dostała „dla poprawienia nastroju” - jak jej powiedzieli.

Ustinow leżał na plecach wsparty na łokciach i miał na sobie tylko bokserki z czarnego jedwabiu. Dominika podeszła wolno do łóżka, nie bardzo wiedząc, jak zacząć. Przypomniała sobie, jak dobrze się czuła, gdy instruktorzy ze szkoły baletowej rozcierali jej piekące nogi, więc uklękła i przesunęła mocno kciukami po podbiciach jego stóp. Ustinow popatrzył na nią tępo. Idiotka, pomyślała. Ale ze mnie kurtyzana! Wiedziona intuicją, zdesperowana, wzięła w usta duży palec prawej stopy Ustinowa i przeciągnęła po nim językiem. Stęknął i opadł na łóżko. Lepiej. Sięgnął drżącą ręką do wgłębienia za łóżkiem i pokój natychmiast pogrążył się w czerwonej poświacie. Ich ciała i łóżko nagle załśniły bogactwem

czerwieni. Kolor wydawał się jeszcze głębszy z powodu małych różowych plamek, które krążyły po pokoju, nad karmazynowym ciałem Dominiki i odbijały się w lustrach. Łóżko zaczęło się obracać z cichym szumem. Boże chroń nas przed gangsterami, pomyślała Dominika.

Ustinow wymamrotał coś w jej stronę i wyciągnął rękę. Obracające się różowe kropki nagle stały się podwójne, a potem potrójne, w dodatku krążyły nie tylko po pokoju, ale też wokół siebie. Miała już dość świateł i kolorów, a Ustinow wciąż ją wabił. Jego całkowicie pierwotne i brutalne gardłowe świntuszenie miało postać pomarańczowych smagnień, z jakichś powodów widocznych pod, a nie na różowych kropkach.

Dominika spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek i zaczęła się zastanawiać, czy powinna oblizać usta, by osiągnąć lepszy efekt. Ustinow obracał się niczym danie w mikrofalówce, ale wciąż wbijał w nią wzrok. Wiedziała, że musi jednocześnie wymazać jego twarz i ciało, by móc z nim zostać. Tydzień, dwa, może miesiąc. Mówili, że ten okres może być bardzo krótki, ale im dłużej, tym lepiej. Powtarzali, że chodnik przed jego domem jest mokry od łez kobiet, które miał tylko na jedną noc.

Ustinow przesunął się wolno w jej stronę. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie klęczała, chwycił ją w talii, rzucił na plecy - poczuła, że rozdarł jej majtki - a następnie zaczął się z nią namiętnie i dziko kochać, pochylony nad nią jak gargulec. Jego zaciśnięte zęby, normalnie białe i równe, wydawały się w tym świetle niebieskie i czarne na brzegach. Dominika odrzuciła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Poczowała na piersiach jego gorący oddech. Różowe iskry unosiły się nad jej drżącymi nogami, ciałami obojga i lustrami. Uniosła pośladki i zaczęła poruszać miednicą w rytm jego zwierzęcych ruchów, zacisnęła dłonie na jego ramionach i starała się doprowadzić go do szaleństwa. Ustinow uniósł głowę w paroksyzmie nadciągającego wybuchu. Gdy ruchy stały się szybsze i

mocniejsze, Dominika zaczęła mimowolnie dyszeć. Oprócz czerwieni widziała jego niebieskie zęby, słyszała pochrząkiwania; zdziwiło ją, że jej ciało - jej tajemne ja - reaguje na niego - to zaczęła działać benzedryna. Spojrzała na szklany sufit za jego brodą, ale nic nie zobaczyła. Gdzie się podziały gwiazdy?

Dostrzegła natomiast Anioła Śmierci. Początkowo był tylko plamą, która powoli nabierała kształtów, spływając jednocześnie jak czarna rtęć w stronę łóżka poprzez stukrotnie odbite w lustrach sufitowe panele. Kiedy zjawa zawisała nad głową Ustinowa, Dominika poczuła kolejne uderzenia powietrza. Oczy gangstera były ślepe z pożądania. Nic nie czuł. Na jego gardle zalśnił stalowy drut garoty, który zacisnął się z melodyjnym jękiem, wrzynając się w jego ciało. Nagle Ustinow otworzył oczy, chwycił za drut, który właśnie wrzynał mu się w tchawicę. Palce konwulsyjnie szukały garoty, a jego twarz zawisała parę centymetrów nad twarzą Dominiki. Jej usta zastygły w niemym krzyku. Nic nie rozumiejąc, patrzył na nią oczami w czerwonych obwódkach, na jego czole pulsowała żyła, a palce próbowały zyskać jeszcze trochę czasu. Usta mu się rozwarły i czarny strumyk śliny spłynął na policzek Dominiki. Zaczęły się konwulsje. Ustinow rzucał się z boku na bok, jak złapana na haczyk ryba. Dominika zauważyła, że wciąż w niej jest; pchnęła jego pierś, odwracając głowę, by uniknąć śliny i krwi, i spróbowała się spod niego wydostać. Jednak Dimitrij Ustinow był wielki i zrobił się nagle ciężki, więc nie bardzo jej to szło. Mogła tylko zamknąć oczy, skrzyżować ramiona i czuć, jak życie uchodzi z ciała Ustinowa. Krople krwi z jego przeciętego gardła kapały jej na szyję i piersi. Ustinow już rzeził i stawał się bezwładny; krwawe bańki oddechu, niebiesko-czarne w tym świetle, wydobywały się z jego przeciętej tchawicy. Dominika poczuła dreszcz, który przeszedł przez jego ciało, jego stopy zabębniły szybko o materac, dwa, trzy razy, a potem znieruchomiał. Łóżko obracało się w różowawej ciszy.

Przez następną przerażającą minutę nic się nie działo. Dominika

otworzyła oko i zobaczyła zwieszoną tuż nad sobą twarz Ustinowa z otwartymi oczami i widocznym językiem. Nad nimi unosiła się niewyraźna czarna postać, poznaczona różowymi kropkami. Czy rzeczywiście miał z tyłu czarne skrzydła, czy też było to złudzenie, wynikające ze zwielokrotnionego odbicia luster? Żywy obraz z jednym martwym ciałem obracał się wciąż wokół swej osi. W którymś momencie Ustinow ześliznął się z niej, a czarna postać pociągnęła go na bok, jakby obaj zgrali tę akcję. Zabójca nie przejął się ciałem i sięgnął do panelu sterującego łóżka. Chciała wstać, ale tamten pchnął ją lekko na łóżko. Naga, pokryta krwią drżała jak w febrze. Całe piersi miała w czarnej, wilgotnej mazi. Zebrała splątana pościel i zaczęła się nią wycierać.

Nie chciała patrzeć na mężczyznę, ale wiedziała skądś, że jej nie skrzywdzi. Stał bez ruchu w nogach łóżka, Dominika wreszcie przestała się wycierać i tylko trzymała w dłoniach zakrwawione prześcieradło. Zszokowana i przerażona, oddychała z trudem.

Tamten patrzył na jej widoczne pod prześcieradłem stopy. Sięgnął w jej stronę, a ona zaczęła się cofać, a potem, wiedzioną jakimś pierwotnym instynktem, zastygła bez ruchu. Mężczyzna pogładził ręką wierzch jej stopy. Większość ludzi na powitanie podaje sobie dłonie, ale z Matorinem było inaczej.

Oficjalnie Siergiej Matorin był etatowym pracownikiem SWR w randze majora, zatrudnionym w wydziale do zadań specjalnych, czyli V, nieoficjalnie zaś czystilszczikiem, „mechanikiem”, czyli egzekutorem wywiadu. W czasach KGB zadaniami specjalnymi zajmował się departament XIII, ale mówiło się też, że to ten od „mokrej roboty”. U szczytu zimnej wojny departament XIII parał się porwaniami, przesłuchaniami i zamachami, ale teraz powtarzano, że obecnie w SWR nawet nie myśli się o takich rzeczach. To prawda, że znajdowano krnąbrnych dziennikarzy zastrzelonych w moskiewskich windach, a krytyków reżimu ze śladami dużych ilości radioaktywnego polonu w wątrobie, ale przecież współcze-

sne rosyjskie służby wywiadowcze nie mogły mieć z tym nic wspólnego. Czasy, kiedy posuwano się do tego rodzaju działań, minęły bezpowrotnie.

W czasie wojny w Afganistanie Matorin służył w elitarniej jednostce Alfa ze Specnazu, która podlegała wówczas kierownictwu KGB. Coś mu się wtedy obluźowało w głowie, coś się na dobre zmieniło. Jego ośmioosobowa jednostka słuchała rozkazów, ale Matorin przestał się przejmować dowodzeniem. Był w gruncie rzeczy samotnikiem, który lubił zabijać.

W czasie walki jakiś odłamek ranił go w prawe oko, które zaszło bielmem. Wysoki, chudy i żyłasty, z dziobatą i pokrytą bliznami twarzą oraz siwymi, przyklepanymi do trupiej czaszki włosami, przypominał przedsiębiorcę pogrzebowego, zwłaszcza że miał w dodatku haczykowaty nos. Po wycofaniu z Afganistanu pojawiał się co jakiś czas w kwaterze głównej SWR i nawiedzał pomieszczenia wydziału V. Młodszy pracownicy patrzyli z uznaniem na tego przechodzonego cyklopa. Starsi odwracali się i żegnali.

Chociaż Matorinowi zlecano teraz co pewien czas jakieś „zadania specjalne”, brakowało mu Afganistanu. Często o nim myślał. Potrafił wracać tam w wyobraźni, widzieć zdarzenia, słyszeć dźwięki, czuć zapachy. Pewne sytuacje wywoływały to automatycznie. Te nieoczekiwane wizje były najlepsze, najbardziej żywe i towarzyszyła im muzyka. Słyszał wyraźnie stacatto rababu i crescendo tabli.

Matorin pogłaskał Dominikę po stopie, tak jak pogładził stopę schwytanej Afganki z Doliny Pandzszeru. Jego ludzie rozpięli płótno na wirniku Mi-24 i zwiążali rogi, tak że mieli wielki, zacieniony kawałek gruntu, gdzie mogli odpocząć. Wcześniej ostrzelali grupę mudżahedinów na drodze i wylądowali po łup, a ta dziewczyna chowała się za skałami przy spienionej rzece.

Miała koło piętnastu lat, ciemne włosy, oczy w kształcie migdałów, podarte i zakurzone ubranie, jak zwykle u cywilów, którzy

chodzili ze zbrojnymi. Wszyscy radzieccy żołnierze wiedzieli, co takie kobiety robiły z jeńcami, więc nie było dla niej miłosierdzia. Starła się wyswobodzić ręce z więzów, ale gdy za bardzo się szarpała, zaciskała się podwójna pętla wokół szyi. Dziewczyna przeklinała, krzyczała i pluła na komandosów z Alfy, którzy stanęli wokół niej kołem. Matorin kucnął między jej rozciągniętymi nogami, przywiązał jej kostki i patrzył, jak się wije. Wyciągnął dłoń i pogładził jej stopę. Kiedy dziewczyna poczuła dotknięcie niewiernego, zaczęła wrzeszczeć, przyzywając towarzyszy broni, by zeszli z gór i ją ocalili.

To, że protestowała tylko dlatego, że ktoś dotknął jej stopy, było zupełnie bez sensu. Czekają ją znacznie więcej. W ciągu następnego kwadransa Matorin starannie porzcinał jej ubrania i rozwinął jej hidżab. Leżała w kurzu na plecach pod wydymającym się w podmuchach wiatru baldachimem. Jeden z żołnierzy polał ją wodą i umył jej twarz, ale plunęła na niego i szarpnęła się w więzach. Matorin sięgnął do tyłu i wyjął z pochewki ponad sześćdziesięciocentymetrowy nóż chajberski, którego eleganckie ostrze w kształcie litery T lśniło srebrzyście od ciągłego ostrzenia.

Leżący jakieś sto metrów dalej na wzgórzu Afgańczyk odłożył AK-47 i wyjrzał zza swego głazu. Widział na ziemi wielki, pstry helikopter - który był dla niego *szajtan arba* - z płatami wirnika, uginającymi się pod własnym ciężarem. Widział złożony z ludzi krąg pod baldachimem. Przy wtórze szumu rzeki i wiatru wśród skał docierały do niego inne dźwięki: płacz dziewczyny, jej niekończące się krzyki. Chłopiec zmówił modlitwę i wymknął się ze swego miejsca. Wiedział, że tam na dole jest jeszcze coś straszniejszego niż niewierni Rosjanie.

Tego dnia żołnierze nadali Matorinowi jego ksywę: Chajber - przynajmniej ci z nich, którzy mogli zobaczyć, jak korzystał z długiego noża. Chajber spojrzał swoim mlecznym okiem na leżącą Dominikę, cofnął rękę i powiedział: „Ubieraj się”. Czekał na nią

wujek Wania.

WIEJSKI PASZTET USTI NOWA

Karmelizujemy drobiowe wątróbki, boczek i czosnek. (Aby usunąć przywarte resztki, zalewamy patelnię brandy). Kroimy wszystkie składniki, dodajemy pietruszkę, kapary, szalotkę, skórkę cytryny, sok z cytryny, oliwę i mieszamy. Dolewamy jeszcze odrobinę oliwy. Podajemy z cytryną na tostach.

5

Po egzekucji na Ustinowie wujek wezwał Dominikę do Jasieniewa. Odprowadzono ją do wind w kwaterze głównej SWR. W tej, którą jechała, wisiało godło SWR z gwiazdą z globusem. Dominika wciąż miała w ustach smak miedzi, a na ciele czuła oślizgłe ślady po krwi Ustinowa. Przez tydzień walczyła z nawracającym koszmarem i na próżno starała się zasnąć, powstrzymywała przyprawiające o gęsią skórkę pragnienie, by zdrzeć skórę z piersi i brzucha. Koszmary zbladły, ale teraz była przybita, załamana i wściekła z powodu manipulacji, jakiej została poddana. A potem dostała wezwanie od wujka.

Nigdy wcześniej nie była w siedzibie SWR w Jasieniewie, a tym bardziej na trzecim piętrze, gdzie znajdowało się dowództwo.

Panowała tu grobowa cisza: zza drzwi w korytarzu nie dochodził żaden dźwięk. Przechodziła obok namalowanych aerografem oficjalnych, dyskretnie podświetlonych portretów byłych szefów KGB. Wisiały one po jednej stronie wyłożonego czerwonym dywanem korytarza prowadzącego do gabinetów dowództwa: Andropow, Czebrikow, Chruszczow - Berlin, Węgry, Czechosłowacja, Afganistan. Na przeciwległej ścianie wisiały portrety nowych władz SWR: Primakow, Trubnikow, Lebiediew, Fradkow - Czeczenia, Gruzja, Ukraina. Czy są oni w niebie, czy w piekle? Ich oczy śledziły Dominikę, gdy szła korytarzem.

Po prawej miała imponujące drzwi do gabinetu szefa, a po lewej równie imponujące do gabinetu jego pierwszego zastępcy. Wprowadzono ją do środka. Wujek Wania siedział za wielkim biurkiem z jasnego, wypolerowanego drewna. Na blacie leżał ciężki szklany przycisk. Poza pokrytym czerwoną skórą bibularzem nie było tam już nic więcej. Kilka białych telefonów przycupnęło na szafce z tyłu. W wielkim gabinecie z niebieskim dywanem znajdowała się też wygodna kanapa i krzesła, stojące w przeciwległym jego końcu, zaraz obok trzech wielkich, wychodzących na sosnowy zagajnik

okien. Był piękny zimowy dzień i słońce wlewało się do wnętrza szerokim strumieniem.

Wania wskazał jej miejsce. Przyjrzał jej się uważnie. Miała na sobie ciemnoniebieską spódniczkę z czarnym paseczkiem w talii i świeżą białą bluzkę. Wyglądała jak zwykle pięknie, ale miała podkrążone oczy i była wyraźnie blada. Wykorzystanie jej w sprawie Ustinowa było doskonałym posunięciem. Szkoda, że okazało się dla niej tak... ekstremalnym przeżyciem. Miała pecha, że nagły rozkaz z Kremla zbiegł się z końcem jej tanecznej kariery i śmiercią ojca.

Oboje milczeli. Według raportu zachowała się odpowiedzialnie: oczarowała Ustinowa do tego stopnia, że ten odprawił ochroniarzy, co z kolei pozwoliło Matorinowi wślizgnąć się do środka. Choć nie wpadła w histerię, Wania uznał, że przeżycie było dla niej ciężkie. Matorin to trochę za dużo dla debiutantki, ale w końcu jakoś dojdzie do siebie.

- Gratuluję, w tej operacji zachowałeś się tak, jak trzeba - powiedział Wania i zmierzył wzrokiem bratanicę. - Wiem, że było ci ciężko, że przeżyłaś prawdziwy szok. - Pochylił się w jej stronę. - Ale to już koniec i możesz zapomnieć o tym niemiłym zdarzeniu. Oczywiście, nie muszę ci przypominać, że pod żadnym pozorem nie wolno ci o tym mówić. To twój o b o w i ą z e k , twoja odpowiedzialność.

Matka zawsze mówiła, żeby na niego uważała, ale Dominika była zbyt pobudzona. Ze ściśniętym gardłem popatrzyła na otaczającą go żółtą mgiełkę.

- Niemiłym, mówisz - rzekła drżącym głosem. - Patrzyłam, jak umiera tuż przy mnie. Byliśmy nadzy, on leżał na mnie, jak doskonale wiesz. Byłam cała w jego krwi, miałam ją nawet we włosach. Wciąż ją czuję. - Popatrzyła mu w oczy i zauważyła jego skrępowanie. Uważaj, powiedziała sobie w duchu, ale gniew wkradał się do jej myśli. - Mówiłeś, że to nic takiego, mała przy-

sługa - dodała już cieplejszym tonem i się uśmiechnęła. - Chyba musiał naprawdę nadepnąć komuś na odcisk, skoro spotkał go taki koniec.

Co za bezczelność! Wania nie miał zamiaru dyskutować o polityce, toksycznym narcyzmie Putina czy potrzebie dania przykładu innym. Nie, wezwał tu bratanicę z dwóch powodów. Pragnął ocenić stan jej ducha i sprawdzić, czy potrafi trzymać buzię na kłódkę, a także pozbierać się z przeżytej traumy i zapomnieć o całym zdarzeniu. Od odpowiedzi na pierwsze zależało to, co zrobi z Dominiką.

Gdyby podniosła się z krzesła, wpadła w gniew i nie chciała go słuchać, nie wyszłaby żywa z budynku. Matorin już by się o to zatroszczył. Dominika mogła nie zdawać sobie z tego sprawy, ale była naocznym świadkiem zamachu, o którym przeciwnicy Putina chętnie opowiedzieliby światu. Gdyby tak się stało, on, Jegorow, przepadłby z kretesem. W tej chwili organa państwowe robiły, co trzeba, by to morderstwo wyglądało na zemstę biznesowego konkurenta. Wszyscy znali prawdę; właśnie tego należało się spodziewać. Ale gdyby jego dwudziestopięcioletnia bratanica z oczami w kolorze błękitu Fabergé i dziewięćdziesięciopięciocentymetrowym biustem powiedziała, co widziała - i w dodatku, z jakiej pozycji - prasa opozycyjna rozjazgotałaby się na dobre. Jeśli jednak okaże się, że panuje nad sobą, Wania podejmie kroki, by zapewnić dalszą jej dyskrecję. Jego polityczna kariera zależała od zachowania tej dziewczyny. Już zdecydował, że zwerbuje ją do służby, zadba o jej dyscyplinę i bez przerwy będzie ją nadzorował. To nic trudnego - znajdzie jej jakąś papierkową pracę w archiwum. Dzięki temu będzie miał nad nią pieczę, a ona przejdzie szkolenie, nauczy się odpowiednich procedur i przepisów. W ten sposób będą ją mieli na oku. W zależności od tego, co pokaże - Wania nie spodziewał się po niej zbyt wiele - dostanie jakąś urzędniczą robotę i będzie stanowiła ozdobę gabinetu tego lub

owego generała. A później może nawet pośle się ją za granicę, ukryje w rezydenturze w Afryce czy Ameryce Łacińskiej. Po pięciu latach - bo po tylu chciał zostać tu szefem - będzie ją można o coś oskarżyć i wylać z pracy.

- Służba krajowi i lojalność to twój obowiązek, moja droga - zaczął łagodnie. - W tej sprawie musisz zachować całkowitą dyskrecję. Czy mogę na to liczyć? - Spojrzał na nią uważnie, strzepując popiół z papierosa do popielniczki.

To właśnie w tym momencie ważyły się jej dalsze losy. Zazwyczaj żółta aureola wokół głowy wujka pociemniała, jakby zmieszała się z krwią; w jego głosie pojawiły się groźne nuty.

Dominika zrozumiała wszystko w telepatycznym olśnieniu, przypomniała sobie też szepty matki. „Stań się jak lód. Trzymaj się *kriepko*” . Spojrzała na Wanię, który zaczął jednocześnie napawać ją strachem i obrzydzeniem. Ich oczy się spotkały.

- Możesz na mnie polegać - powiedziała wypranym z emocji głosem.

- Wiedziałem - mruknął. Dominika była naprawdę sprytna, zauważył moment, kiedy włączył się jej instynkt, ta dziewczyna miała wycucie. Teraz trochę cukru do tej goryczy. - A ponieważ tak dobrze się spisałaś, mam dla ciebie propozycję. - Opadł na oparcie krzesła i zapalił kolejnego papierosa. - Chcę, żebyś zaczęła pracę w naszych służbach. Będziemy tu razem.

Dominika zmusiła się, by nie pokazać, co czuje, i z satysfakcją stwierdziła, że wujek nie może nic wyczytać z jej twarzy.

- W służbach? - powtórzyła. - Nigdy o tym nie myślałam.

- Wydaje mi się, że jest to dla ciebie teraz dobra propozycja.

Będziesz miała etatową pracę, która da ci w przyszłości emeryturę.

No i moja bratowa będzie mogła zatrzymać wasze mieszkanie. A poza tym, co mogłabyś robić? Pracować jako instruktorka tańca? -

Skrzyżował ręce na biurku.

Zauważyła plamkę na kieszonce koszuli, do której wkładał le-

żące na blacie wieczne pióro. Spuściła oczy i mówiła spokojnie.

- To dla mnie ważne, że będę mogła pomóc mamie - zaczęła, a

Wania potwierdził to gestem. - Będę się tutaj dziwnie czuła.

- Tu wcale nie jest tak dziwnie - rzekł Wania. - I będziemy mogli pracować razem. - Słowa popłynęły nad jego głowę i w blasku słońca zmieniły kolor.

No tak, pomyślała Dominika, szeregowy pracownik na pewno ściśle współpracuje z pierwszym zastępcą szefa.

- Jakie miałabym obowiązki? - spytała. Wiedziała dostatecznie dużo, by domyślić się odpowiedzi.

- Oczywiście musiałybyś zacząć od podstawowego poziomu.

Ale wszystkie zajęcia tutaj powinny dać ci satysfakcję. Zbieranie danych, badania, archiwum. Istnienie wywiadu zależy od tego, jak radzi sobie z informacjami.

No jasne, chcieli ją zagrzebać gdzieś w piwnicach.

- Niestety, niewiele wiem o takiej pracy - odparła ostrożnie. -

Obawiam się, że się w niej nie sprawdzę.

Wania z trudem powściągnął irytację. Naprawdę miał tylko dwa wyjścia w wypadku tej Wenus z Milo. Albo zajmie się nią Matorin, albo znajdzie się pod dyskretną opieką służb. Nic pośredniego. Nie może pozwolić, by chodziła po Moskwie z coraz większymi pretensjami.

Sukinsyn, pomyślała Dominika.

- Jestem pewny, że szybko się nauczysz. To bardzo odpowiedzialna praca - zapewnił Wania. Zniżał się do tego, by przekonywać tę idiotkę.

- Wydaje mi się, że mogłabym się bardziej przydać przy innych zadaniach - powiedziała Dominika. - Wania spojrzał na nią, zaciskając zmartwiałe dłonie. Wciąż siedziała wyprostowana, z uniesioną brodą. Nic nie mówił. Czekał. - Chciałabym być przyjęta jako kandydatka do Akademii Wywiadu Zagranicznego.

- Do akademii - powtórzył wolno Wania. - Chcesz zostać

czynnym wywiadowcą?

- Tak, myślę, że sprawdziłabym się w tej pracy - odparła

Dominika. - Sam powiedziałaś, że dobrze się spisałam i zdobyłam zaufanie Ustinowa.

Ta wzmianka zrobiła swoje. Wania podniósł do ust, trzeciego już w czasie tej krótkiej rozmowy, papierosa. Nie licząc kobiet, które pełniły pomocnicze funkcje, w I Zarządzie Głównym starego KGB były dwie, najwyżej trzy kobiety, w tym jedna stara jędza z prezydium. Żadnej nie przyjęto do szkoły KGB ani do Instytutu im. Andropowa, ani do obecnej akademii. W terenie działały jedynie zwerbowane żony rezydentów, które były „jaskółkami”, czyli miały za zadanie uwodzenie wskazanych mężczyzn, którzy stali się celem działań operacyjnych.

Wania Jegorow potrzebował pół minuty, by błyskawicznie przemyśleć sprawę. W szkole jego bratanica znalazłaby się pod jeszcze ściślejszą kontrolą. Wciąż sprawdzano by jej działania i to, gdzie się w danej chwili znajduje. Poza tym przez długie okresy nie byłoby jej w Moskwie. Gdyby popełniła błąd i zaczęła gadać, znalazłaby się pod jurysdykcją dyscyplinarną samego wywiadu. Łatwo można by ją wówczas zwolnić czy nawet wsadzić do więzienia.

W grę wchodziły jeszcze zyski polityczne. Dzięki temu zostanie tym zastępcą dyrektora, który jako pierwszy zaprotegował kobietę - wysportowaną, wykształconą, znającą języki - do pracy w nowych Służbach Wywiadu Zagranicznego.

Szefowie z Kremla na pewno dostrzegą związane z tym korzyści wizerunkowe.

Dominika obserwowała jego twarz zza biurka i śledziła tok jego myśli. Teraz czas na niechętną zgodę i nieuchronne przestrogi.

- Prosisz o bardzo wiele - rzekł Wania. - Czekająby cię egzaminy wstępne, których wiele osób nie zdaje, a następnie długie, surowe szkolenie. Obrócił się w fotelu i zadumany spojrzął przez

okno. Już podjął decyzję. - Czy jesteś zdecydowana, by pójść tą drogą?

Dominika skinęła głową. Nie miała oczywiście całkowitej pewności, ale było to poważne wyzwanie, a ona nie bała się wyzwania. Była też lojalna i kochała ojczyznę, no i wiedziała, że chce wstąpić do jednej z najważniejszych organizacji w kraju i być może - tak sobie myślała - przyczynić się do jej rozwoju. Zabicie Ustinowa było dla niej czymś odpychającym, ale też uświadomiło jej, że ma w sobie dość siły, odwagi i sprytu, by móc działać w wywiadzie.

Wiedziała również, że jest coś jeszcze, coś niesprecyzowanego, co narastało w jej piersi. Wykorzystali ją. Teraz ona chciała wtargnąć do tego świata domowładzielców, którzy mieli za nic sam system i żyjących w Rosji ludzi. Przez chwilę zastanawiała się, co pomyślałby o tym jej ojciec.

- Zastanowię się nad tym - rzucił Wania, obracając się w jej stronę. - Jeśli zdecyduję się wysunąć twoją kandydaturę i zostaniesz przyjęta, to, co zrobisz w SWR, odbije się na mnie i na całą rodzinie. Rozumiesz to, prawda?

Jakie to miłe. A jednak mimo tak wielkiej troski o rodzinę zdecydował się rzucić ją na pożarcie Ustinowowi.

Dominika niemal powiedziała: „Zadbam o to, byś zachował reputację”, ale w końcu powstrzymała gniew i ponownie skinęła głową, jeszcze bardziej pewna, że chce zdawać do akademii. Wania wstał.

- Może pójdziesz na górę i zjesz obiad. Później powiem ci, co postanowiłem. - Musi jeszcze uzgodnić to z dyrektorem (łagodna perswazja), a szefa szkoleń trzeba będzie zastraszyć (przyjemność). Ale Dominika znajdzie miejsce w akademii i w ten sposób rozwiąże się jej problem. Po jej wyjściu Wania podniósł słuchawkę i odbył krótką rozmowę.

Dominikę poprowadzono korytarzem do windy. Wszyscy byli

dyrektorzy patrzyli na nią teraz z lekkim uśmiechem. Kiedy znalazła się w wielkim bufecie, wzięła kotlet po kijowsku, kajzerkę i butelkę wody mineralnej. Wewnątrz znajdowało się sporo ludzi i musiała szukać wolnego miejsca. W końcu znalazła stolik, przy którym siedziały dwie panie w średnim wieku. Obie zmierzyły zmęczonym wzrokiem piękną i młodą dziewczynę, zauważyły plakietkę z informacją, że jest tu gościem, ale nic nie powiedziały. Dominika zaczęła jeść. Kurczak był lekko panierowany, usmażony na złoty kolor i naprawdę doskonały. Z jego wnętrza wydobywała się strużka masła, poza tym czuła wyraźny smak czosnku i estragonu. Zwinięty kotlet zamienił się nagle w szyję Ustinowa, a rozpuszczone masło zrobiło się czerwone. Odłożyła sztucce drżącymi rękami. Zamknęła oczy, walcząc z falą nudności. Kobiety patrzyły na nią. To nie był codzienny widok, choć nie miały pojęcia, czy dobrze zgadują.

Dominika uniosła wzrok i zobaczyła wirującą czerń. Przy dalszym stoliku siedział pochylony nad miską Siergiej Matorin i jadł zupę. W trakcie patrzył na nią, a zasze bielmem oko ani razu nie mrugnęło. Był niczym wilk, który nawet u wodopoju uważnie wszystko obserwuje.

KURCZAK PO KIJOWSKU Z BUFETU SWR

Mieszamy masło, estragon, sok z cytryny i pietruszkę. Schładzamy. Rozbijamy pierś kurczaka na cieniutkie płaty, a następnie zwijamy, wkładając do środka kawałki przyprawionego masła, i wiążemy nicią. Posypujemy mąką z przyprawami, maczamy w roztrzepanym jajku i posypujemy tartą bułką. Smażymy na złoty kolor.

6

Niedługo po pogrzebie ojca Dominika wstąpiła do Akademii Wywiadu Zagranicznego. W czasie zimnej wojny parokrotnie zmieniano jej nazwę: Wyższa Szkoła Wywiadu, Instytut Czerwonego Sztandaru, Instytut im. Andropowa, ale weterani nazywali ją po prostu szkołą Nr 101. Jej główny kampus od dzieścioleci znajdował się na północ od Moskwy, nieopodal wioski Czielobitjewo. Jeszcze przed przemianowaniem na AWZ szkołę zmodernizowano, poprawiono jej program i zliberalizowano kryteria przyjęcia. Przeniesiono ją też do budynków na leśnej polanie, znajdującej się dwadzieścia pięć kilometrów na północ od miasta przy drodze M7, zwanej kiedyś *Gorkowskoje szosse*. Dlatego też teraz mówi się o niej „dwudziesty piąty kilometr” albo po prostu „las”.

Na samym początku czujną i podnieconą Dominikę wraz z jej grupą, w której była jedyną kobietą, wożono autobusami PAZ z przyciemnionymi szybami do różnych miejsc w samej Moskwie i na jej przedmieściach. Wjeżdżali przez automatycznie zamykane bramy na pozbawione tabliczek i otoczone wysokim murem tereny, które oficjalnie miały być laboratoriami, centrami badawczymi lub obozami pionierskimi. Całe dni wypełniały im wykłady na temat historii służb wywiadowczych, Rosji, zimnej wojny i Związku Sowieckiego.

KGB wymagało od kandydatów na szpiegów przede wszystkim wierności partii, natomiast SWR całkowitego oddania Federacji Rosyjskiej i gotowości, by jej bronić przed zewnętrznymi i wewnętrznymi wrogami.

W pierwszym okresie indoktrynacji kandydaci na pracowników wywiadu byli oceniani nie tylko na podstawie swoich umiejętności, ale też tego, co kiedyś określano mianem „poprawności politycznej”. Dominika była najlepsza w dyskusjach i pracach pisemnych. Wyczuwało się w nich jednak nutę niezależności, zniecierpliwienie

zbyt wyszarganymi sformułowaniami i powiedzeniami. Jeden ze szkoleniowców napisał, że kadetka Jegorowa waha się przez chwilę, zanim udzieli odpowiedzi, „jakby zastanawiała się, czy w ogóle to zrobić”, ale potem zawsze jej odpowiedź zasługiwała na najwyższe uznanie.

Dominika wiedziała, czego od niej chcą. Slogany w książkach i na tablicy stanowiły prawdziwy kalejdoskop kolorów i łatwo mogła je posegregować i zapamiętać. Zasady dotyczące obowiązków, lojalności i obrony Rosji. W przyszłości miała należeć do elity tego kraju - wczorajszego Miecza i Tarczy, a dzisiejszego Globusa i Gwiazdy. Jej młodzieńcze poglądy przerażały kiedyś jej ojca, który był wolnomyślicielem - teraz to zrozumiała i nie akceptowała już c a ł k o w i c i e tej ideologii. Mimo to chciała dobrze wypaść na zajęciach.

Początek drugiego bloku szkoleniowego. Grupa przeniosła się już na stałe do długich, niskich budynków z pochyłymi dachami na dwudziestym piątym kilometrze, otoczonych sosnami i kępami brzoź. Między budynkami znajdowały się rozległe trawniki, a żwirowe ścieżki prowadziły do znajdujących się na tyłach obiektów sportowych. Cały kompleks dzielił kilometr od czteropasmowej drogi M7, odgródzonej początkowo palisadą z bali, które pomalowano na zielono, by stopiły się z lasem. Trzy kilometry dalej za tym „leśnym murem” znajdowało się jeszcze podwójne ogrodzenie z drutów kolczastych, między którymi biegały swobodnie czarne owczarki belgijskie Malinois. Można je było zobaczyć z okien niewielkich klas, a w nocy z pokoi dwupiętrowych burs słychać było ich dyszenie.

Była tam jedyną kobietą i dlatego dostała położoną na końcu korytarza jedynekę, ale i tak musiała korzystać ze wspólnej łazienki i natrysków, więc rano i wieczorem szukała spokojniejszych chwil, by móc to zrobić. Większość kolegów nie przedstawiała większego zagrożenia, byli to głównie chłopcy z wpływowych rodzin powią-

zanych z Dumą, wojskiem lub Kremlem. Niektórzy inteligentni, nawet bardzo, inni raczej nie. Paru odważnych i przyzwyczajonych zawsze dostawać to, czego sobie zażyczą, gotowych było podjąć ryzyko, widząc za kotarą zgrabną kobiecą sylwetkę.

Pewnego wieczoru Dominika sięgnęła po ręcznik, który powiesiła na zewnątrz prysznic we wspólnej łazience, ale ten zniknął. Po chwili pod prysznic wtargnął krzepki, grubokościsty chłopak z Nowosybirsk z rudoblond włosami; przyparł ją do muru i objął w talii. Czowała, że jest nagi, kiedy trzymał jej twarz przy ścianie i przeciągał nosem po mokrych włosach. Szeptał coś, czego nie rozumiała; nie widziała kolorów. Przycisnął ją mocniej, a jedna ręka powędrowała z talii ku jej piersiom. Kiedy je ścisnął, zadawała sobie pytanie, czy czuje bicie jej serca, rytm jej oddechu. Stała przyciśnięta jednym policzkiem do białych kafelków, które niczym pryzmat w słońcu zmieniały kolor na ciemnoczerwony.

Zwężająca się rączka od prysznic zawsze była luźna i Dominika poruszyła ją parę razy, aż w końcu ją oderwała. Obróciła się do niego śliska, zdyszana, z piersiami wpartymi w jego pierś i powiedziała ze ściśniętym gardłem: *Prieklati*. Uśmiechał się, kiedy wsadziła wąski koniec rączki do jego lewego oka, a potem zwałił się na nią jego pełen przerażenia krzyk w kolorze zielonych wymiocin. Chłopak zakrył twarz i osunął się na podłogę, przyciskając mocno kolana do ciała. *Prieklati* - powtórzyła. - Mówiłam, żebyś przestał.

Wyrok tajnej rady AWZ brzmiał: „Próba gwałtu i uzasadniona samoobrona”, a Nowosybirsk zyskał jednookiego konduktora. Rada zalecała też usunięcie kobiety z akademii. Dominika powiedziała, że nie zrobiła nic, by sprowokować takie zachowanie, a członkowie rady - kobieta i dwóch mężczyzn - przyglądali jej się uważnie z surowymi minami. Znowu chcieli ją wyrzucić. Najpierw szkoła baletowa, Ustinow, a teraz to. Dominika powiedziała radzie, że złoży oficjalne zażalenie. Tylko komu miała się poskarżyć?

Jednak wieści o tym incydencie dotarły do Jasieniewa i zastępca dyrektora Jegorow zaklął przez telefon tak szpetnie, że dostrzegła brązową stróżkę wydobywającą się ze słuchawki, ale powiedziano jej, że zdecydowano, iż pozostanie w szkole na okres próbny. Od tego momentu koledzy nie zwracali na nią uwagi i starali się jej unikać; znowu była klikuszą, prostą jak struna, poruszającą się z gracją - choć lekko utykając - między ukrytymi w lesie budynkami. Początek trzeciego bloku zajęć na AWZ. Weszli do wytłumionej panelami akustycznymi sali z plastikowymi krzesłami i topornym, przytwierdzonym do sufitu rzutnikiem. Między szybami leżały całe stosy zdechłych much. Czekwały ich zajęcia na temat światowej gospodarki, zasobów energii, polityki, trzeciego świata, spraw międzynarodowych i „problemów globalnych” oraz Ameryki, która przestała co prawda być „głównym wrogiem”, ale wciąż była największym konkurentem Rosji. Tyle mogli zrobić, by utrzymać równowagę między supermocarstwami. W czasie tych wykładów pojawiały się tony pełne gorczy.

Amerykanie się z nimi nie liczą, zbywają Rosję, s t a r a j ą s i ę nią manipulować. Waszyngton ingerował w czasie ostatnich wyborów, na szczęście bez rezultatu. Ameryka wspierała rosyjskich dysydentów i zachęcała do destrukcyjnych zachowań w okresie przejściowym. Wojska USA zagrażają suwerenności Rosji od Bałtyku aż po Morze Japońskie. Niedawna polityka „resetu” stanowiła wręcz obrazę, niczego nie trzeba było resetować. Chodzi po prostu o to, że *Rodina* to nie byle co, Rosja zasługuje na szacunek! Ironia całej sytuacji polegała na tym, że - jak mówili wykładowcy - Ameryka znajdowała się w odwrocie, nie była już tak potężna jak kiedyś. Zaangażowane w zbyt długie wojny, pogrążone w kryzysie domniemane miejsce narodzin równości było teraz podzielone przez walkę klas i wyniszczane przez politykę wrogich sobie ideologii. W dodatku głupi Amerykanie nie rozumieli, że już niedługo będą potrzebować Rosjan, by powstrzymać ekspansję

Chin, i że może ona stać się ich sojusznikiem w przyszłej wojnie. Ale jeśli Amerykanie chcą walczyć z Rosją, bo wydaje im się słaba, to czeka ich spora niespodzianka. Jeden ze studentów za-protestował. Powiedział, że dawne podziały na „Wschód i Zachód” są przestarzałe. W dodatku należy pogodzić się z tym, że Rosja przegrała zimną wojnę. W sali zapanowała cisza. Po chwili wstał inny student z płonącym wzrokiem: „Rosja z całą pewnością nie przegrała zimnej wojny - powiedział. - Zimna wojna nigdy się nie skończyła”. Dominika patrzyła na szkarłatne litery unoszące się w stronę sufitu. Dobre, mocne słowa. Ciekawe. Zimna wojna nigdy się nie skończyła.

Niedługo potem oddzielono ją od reszty grupy. Dominika nie potrzebowała zajęć językowych, sama mogła uczyć angielskiego czy francuskiego. Nie skierowano jej też na ścieżkę administracyjną, gdyż jej wykładowcy dostrzegali potencjał, jakim dysponowała. Przekazali tę informację władzom akademii, które z kolei zadzwoniły do Jasieniewa z prośbą, by centrala pozwoliła Dominice Jegorowej - bratanicy pierwszego zastępcy dyrektora - przejść do praktycznej, czyli operacyjnej części szkolenia. Miała być jedną z niewielu kobiet szkolonych przez SWR na oficera operacyjnego. Decyzja zapadła szybko. Dominika miała już zapewnioną zgodę centrali.

Przyjęto ją do fabryki szpiegów, do przedsionka gry; dotarła do ostatniej fazy procesu edukacyjnego, po którym miała wyfrunąć z kokonu i zacząć służyć ojczyźnie. Czas mijał, a ona nie zdawała sobie z tego sprawy. Pory roku następowały po sobie, ale bez jej świadomego udziału. Zajęcia, wykłady, laboratoria, rozmowy - wszystko to zwały się na nią niczym lawina.

Zaczęło się od rzeczy idiotycznych, od sabotażu, materiałów wybuchowych, infiltracji, tego wszystkiego, czego nauczali już za czasów Stalina, kiedy Wehrmacht oblegał Moskwę. Następne zajęcia były już bardziej praktyczne i Dominika zabrała się do

ciężkiej pracy. Tworzyła legendy operacyjne, fałszywe życiorysy, przykrywki, które miały usprawiedliwić jej działania, opracowywała trasy sprawdzeniowe, by wykryć ogony, znajdowała lokale konspiracyjne, przekazywała zaszyfrowane wiadomości, odnajdywała miejsca spotkań, czyli wstriecek, planowała werbunki. Ćwiczyła przebieranie się i komunikację cyfrową, znajdowanie kanałów łączności i skrytek. Jej pamięć, to, że potrafiła powtórzyć szczegóły z zajęć, zdumiewały wszystkich wokół.

Szkoleniowcy zajmujący się walką bez broni byli pod wrażeniem jej siły i zrównoważenia. Trochę ich zaniepokoiła jej zacięłość, to, że pokonana, szybko chciała się podnieść z maty.

Wszyscy słyszeli, co stało się w Lesie, pilnowali się więc i chronili swoje *mudia*, kiedy walczyli z nią w czasie treningów. Widziała ich twarze, pełne dezaprobaty i strachu zielone oddechy, kiedy dyszeli na sali gimnastycznej. Żaden nie podszedł do niej z własnej woli.

Szkolenie praktyczne trwało. Zawieziono ją do centrum Moskwy, by mogła sprawdzić w terenie umiejętności wyniesione z zajęć w obskurnych salach w okolicach Jasieniewa. Instruktorzy od zajęć na ulicy byli starymi, czasami nawet siedemdziesięcioletnimi szpiegami, piensionierami, którzy wieki temu przeszli na emeryturę. Czasami trudno im było za nią nadążyć, kiedy ćwiczenia nabrały tempa. Patrzyli tylko, jak wysportowane łydki tancerki suną nad lśniącymi moskiewskimi trotuarami. Lekkie, wiele mówiące utyknięcie było rozczulające. Nastawiła się na to, by dać z siebie wszystko. Twarz Dominiki lśniła od potu, który przyciemnił też jej koszulkę między piersiami i na żebrach.

Kolory ułatwiały jej pracę na ulicy: niebieski i zielony, pochodzące od ludzi z wozów z radionamiarem i ekip obserwacyjnych, pozwalały znaleźć odpowiednią osłonę w tłumie. Robiła, co chciała, z brygadami obserwacyjnymi, drobiazgowo planowała BMP - błyskawiczne spotkania z możliwością przekazania czegoś na zatłoczonych peronach metra - spotykała się z agentami na

brudnych klatkach schodowych, kontrolowała przebieg tych spotkań, czytała w myślach tych ludzi. Starzy szkoleniowcy wycierali twarze i mamrotali: „Fanatyczka”, a ona się tylko śmiała, potrząsała końskim ogonem i wyprostowana potajemnie odczytywała kolory ich zdyszanej aprobaty. Dalej, dinozaury! - myślała. Jeszcze trochę! Ci gburowaci faceci uwielbiali ją, a ona doskonale o tym wiedziała. Podstarzali szkoleniowcy mieli ją nauczyć, czego się może spodziewać za granicą, jakie warunki będzie miała na ulicach, jak działać w obcych miastach. *Głupost'*, myślała Dominika. Co ci faceci, którzy ostatnio byli za granicą, kiedy Breżniew kierował oddziały do Afganistanu, mogą jej powiedzieć o współczesnym Londynie, Nowym Jorku czy Pekinie? Zuchwale wspomniała o tym koordynatorowi kursu, który powiedział jej, żeby trzymała język za zębami, i przekazał wyżej jej komentarze. Dominika poczerwieniała, słysząc te słowa, ale odeszła, przeklinając siebie w duchu. Powoli się uczyła.

W czasie, kiedy oceniano jej przydatność, zaczęła kurs z psychologii zbierania danych, psychiki źródeł, rozumienia ludzkich motywacji i wyszukiwania słabości. Jej instruktor, Michaił, mówił, że to „otwieranie koperty, jaką jest człowiek”. Miał czterdzieści pięć lat, był psychologiem i pracował w centrali SWR. Dominika była jego jedyną podopieczną. Chodził z nią po Moskwie, obserwując ludzi i ich interakcje. Dominika nie powiedziała mu o kolorach, gdyż matka zmusiła ją kiedyś, by przysięgła, że nigdy tego nie zrobi. „Skąd, na miłość boską, to wiesz?” - pytał, kiedy Dominika informowała go szeptem, że mężczyzna na ławeczce obok czeka właśnie na jakąś kobietę.

„Tak mi się po prostu wydawało” - odpowiadała, nie informując o tym, że jego namiętność wybuchła czerwienią, kiedy kobieta pokazała się na rogu ulicy. Misza śmiał się, a potem patrzył na nią z podziwem, gdy okazywało się, że ma rację.

Kiedy skupiła się na tych sesjach, wyostrzona intuicja podpo-

wiedziała jej, że silnie działa na Michaiła. Chociaż początkowo prezentował się jako surowy pracownik Zarządu T, działań aktywnych, widziała, jak spogląda na jej włosy lub zerka ukradkiem na ciało. Liczyła w myśli, ile razy udawał, że wpadł na nią przypadkowo, dotykał jej ramienia albo pleców, gdy wchodzili do jakiegoś wnętrza. Promieniował pożądaniem, wokół barków i głowy unosiła się karmazynowa mgła.

Ona zaś wiedziała, jak mu podać herbatę i kiedy potrzebuje okularów, by przeczytać, co jest w menu, wiedziała, w jakim tempie bije mu serce, gdy przyciskali się do siebie w metrze. Widziała, że Misza zerka na jej naturalne paznokcie i obserwuje, jak bawi się butem w kawiarni.

Romans z nim stanowił olbrzymie ryzyko. Był jej instruktorem, a w dodatku psychologiem, który miał ocenić jej osobowość i przydatność do zawodu. Wiedziała jednak, że może liczyć na jego milczenie i ma nad nim kontrolę, a poza tym tak poważne naruszenie przepisów dodawało dodatkowego smaku czysto fizycznej rozkoszy.

A tej też jej nie brakowało. Po południu, po ćwiczeniach na ulicy, znaleźli się w mieszkaniu, które Misza dzielił z rodzicami i bratem. Cała rodzina była w pracy. Kapa z jego łóżka powędrowała na podłogę. Kiedy go dosiadła, jej uda drżały, ramiona kołysały się, włosy opadły na twarz; poczuła, jak ciarki przechodzą jej wzdłuż kręgosłupa aż po palce nóg, zwłaszcza na tej stopie, która była kiedyś złamana. Wiedziała, czego chce, ostatnio zaniedbywała swe tajemne ja, bo jej życie obracało się wokół szkoły, bursy i ćwiczeń. Złapała go w pułapkę - kto tu na kogo się nadział? - i zaczęła poruszać się gwałtownie, chcąc wziąć sobie to, czego potrzebowała, kiedy jeszcze była świeża. Później przyjdzie czas na pieszczoty, westchnienia i czułe słówka. Teraz patrzyła na niego spod półprzymkniętych powiek, koncentrując się na ruchu i budowaniu napięcia: mocniej, mocniej, *poworacziwajsia!*, do nagłego porywu,

przy którym aż się zgięła - zbyt tkliwa, by iść dalej, zbyt spragniona, by przestać. Wzrok powoli wracał do normy, odgarnęła włosy z twarzy, czując skurcze w udach i stopach. Misza leżał pod nią i patrzył wielkimi oczami, nie bardzo wiedząc, co sądzić o tym, czego był świadkiem.

Później zerkał na nią ukradkiem, kiedy przygotowywał herbatę. Dominika, która siedziała przy stole w jego swetrze, patrzyła na niego otwarcie, a on jako psycholog wiedział, że seks nie miał z nim nic wspólnego. Wiedział też, że nigdy nikomu o tym nie powie. I że nigdy już się nie będą kochać. W pewnym sensie poczuł ulgę. Kurs operacyjny zbliżał się ku końcowi. Ostatnia podstawa trójnogu, na którym wspierało się całe szkolenie, była już niemal gotowa. Wyczerpani emeryci, którzy zajmowali się Dominiką, już dawno nazwali ją *muszka*, co po rosyjsku oznaczało zarówno pieprzyk, jak i muszkę od pistoletu. Ocena całościowa wypadła pozytywnie, podkreślano wytrwałość Dominiki, jej inteligencję i czasami trudną do wyjaśnienia intuicję. Nikt nie kwestionował jej lojalności i oddania ojczyźnie. Jeden czy dwóch szkoleniowców zauważyło, że jest niecierpliwa. Potrafiła być apodyktyczna i powinna wykazywać większą elastyczność przy werbunku. Jeden z emerytów napisał, że mimo doskonałych wyników na ulicy Dominice brakuje żarliwego patriotyzmu. Jej niezależna natura mogła sprawić, że zakwestionuje to, w co teraz wierzy. Było to tylko wrażenie, odczucie, nie miał on żadnych dowodów na poparcie tej tezy. Jego opinię odrzucono jako majaczenia starego głupca, a Dominika tak czy tak nie widziała żadnego z kwestionariuszy. Pozostał jej już tylko egzamin praktyczny. Miała pokazać na ulicy wszystko, czego się nauczyła. Ostatnie ćwiczenie, potem egzamin pisemny i rozmowa na koniec kursu. Zanim to jednak nastąpiło, ku konsternacji wszystkich w akademii Dominika nagle zniknęła - wezwano ją do centrali. „Konieczna do zadania specjalnego” - brzmiało jedyne wyjaśnienie, jakiego udzielono.

*

Powiedziano jej, żeby zgłosiła się do pokoju na drugim końcu korytarza na czwartym piętrze, niedaleko portretów dyrektorów. Dominika zapukała do prostych mahoniowych drzwi i weszła do środka. Znalazła się w jadalni szefostwa; było to niewielkie, pozabawione okien pomieszczenie z boazerią na ścianach i dywanem w kolorze burgunda. Polerowane drewno i zabytkowe serwantki lśniły w przyćmionym świetle. Wujek Wania siedział przy końcu nakrytego śnieżnobiałym obrusem stołu, na którym znajdowała się porcelana Winogradowa. Kryształowe kieliszki pobłyskiwały delikatnie. Kiedy zobaczył Dominikę, ruszył w jej stronę i ujął ją za ramiona.

- Absolwentka wróciła do domu. - Uśmiechnął się szeroko i odsunął na długość ramion, by jej się przyjrzeć. - Najlepsza na zajęciach, najlepsza na ulicy. Wiedziałem! - Wziął ją pod rękę i poprowadził w głąb jadalni.

Po drugiej stronie stołu siedział inny mężczyzna, który w milczeniu palił papierosa. Wyglądał na pięćdziesiątkę. Na miejscu nosa miał poznaczony żyłkami czworościan, oczy matowe i wodniste, zęby zepsute i poplamione. Siedział przygarbiony w ów władczy sposób, który znamionował dziesięciolecia komunistycznych rządów. Krawat miał przekrzywiony, garnitur w kolorze spranego brązu, przypominającego płytkie wody przypływu na plaży. Pasował do lotnej chmurki, w której siedział. Nie chodziło o ubranie - choć czernie, szarości i brązy zwiastowały kłopoty - ale bladość i to, jak miękko go otaczała. To *bluźdajuszczij*, pomyślała Dominika. Nie można mu ufać!

Usiadła naprzeciwko i spojrzała prosto w oczy mężczyzny, który najwyraźniej starał się ją ocenić. Wania usiadł na swoim miejscu na końcu stołu i z powagą skrzyżował łapska na piersi. W przeciwieństwie do sowieckiego aparatczyka wuj jak zwykle miał na sobie elegancki, perłowszary garnitur, niebieską koszulę z

wykrochmalonym kołnierzykiem i granatowy krawat w malutkie białe groszki. Do klapy przypiął niewielką czerwoną wstążkę z błękitną gwiazdą *Za Zasługi pieried Otczestwom*, odznaczenie przyznawane tym, którzy pracowali na rzecz obronności kraju. Wania zapalił papierosa wysłużoną srebrną zapalniczką, którą następnie energicznie zamknął.

- Pułkownik Siemionow - przedstawił pochylonego mężczyź-
nę. - Szef Piątki. - Siemionow w milczeniu strząsnął papierosa do
stojącej obok jego nakrycia mosiężnej popielniczki. - Udało nam
się ustalić, jak przeprowadzić wyjątkową operację, i Piątka ma za
nią odpowiadać - dodał Wania, a Dominika popatrzyła tępo naj-
pierw na niego, a potem na Siemionowa. - Przekonałem pułkow-
nika, że doskonale się do tego nadajesz, zwłaszcza że ukończyłaś
akademię z doskonałymi wynikami. Właśnie dlatego chciałem,
żebyście się poznali.

Co to za bzdury? - pomyślała Dominika.

- Bardzo dziękuję, panie generale. - Pamiętała oczywiście, by
nie mówić do niego: „wujku” przy obcych. - Ale zostały mi jeszcze
dwa tygodnie do końca kursu i...

- Masz już ostateczną ocenę - przerwał jej Wania. - Nie musisz
wracać do akademii. Powinnaś za to zacząć kolejne szkolenie z
pułkownikiem, żeby przygotować się do tej nowej operacji. - Wu-
jek zgasił papierosa w identycznej popielniczce przy swoim na-
kryciu.

- Czy mogę spytać, czego ma dotyczyć operacja? - Dominika
popatrzyła na obie, wyprane z emocji twarze. Mężczyźni byli zbyt
sprytni, by zdradzić coś miłą, ale nie znali wszystkich możliwości
Dominiki. Bańki wokół ich głów nabrzmiały kolorami.

- Na razie wystarczy tyle, że w grę wchodzi bardzo delikatna i
potencjalnie ważna kwestia konspiracyjna - odparł Wania.

- A na czym będzie polegało moje szkolenie? - spytała Do-
minika, starając się mówić z szacunkiem.

Drzwi do jadalni otworzyły się i stanął w nich ordynans ze srebrną tacą z przykryciem.

- Nasz obiad. - Wania wyprostował się na swoim miejscu. - Porozmawiamy o wszystkim po posiłku.

Ordynans uniósł przykrycie, ukazując zawinięte w kapustę i otoczone gęstym sosem ze śmietaną *gołubcy*.

- Najlepsze rosyjskie jedzenie - dodał Wania, nalewając Dominice wina ze srebrnej karafki.

Była w tym jakaś zagadka. Mózg Dominiki, jeszcze bardziej wyczulony po odbytych kursie, działał na najwyższych obrotach.

Wcale nie miała ochoty na ciężkie jedzenie.

Ponury obiad przeciągnął się do pół godziny. W tym czasie Siemionow wypowiedział najwyżej parę słów, chociaż wciąż gapił się na Dominikę. Miał przy tym znudzoną minę i sprawiał takie wrażenie, jakby chciał być zupełnie gdzie indziej. Kiedy skończył jeść, wytarł usta serwetką i odsunął się od stołu.

- Za pozwoleniem, panie generale - rzekł. Raz jeszcze przyjrzał się Dominice, skinął głową w jej stronę i wyszedł z jadalni.

- Chodźmy na herbatę do mnie - powiedział Wania i odsunął krzesło. - Będzie nam wygodniej.

Dominika przycupnęła ostrożnie na kanapie w gabinecie wuja. Przed sobą miała jasioniewski las. Była ubrana w nieformalny mundur akademii: białą bluzkę i czarną spódniczkę. W dodatku spięła wsuwkami niesforne włosy. Popatrzyła na dwie szklanki parującej herbaty w podstakannikach z wytwórni Kołczugina.

- Ojciec byłby z ciebie dumny - powiedział Wania.

- Dziękuję. - Dominika czekała na ciąg dalszy.

- Gratuluję wyników i awansu do służb.

- Szkolenie było trudne, ale właśnie czegoś takiego potrzebowałam - odrzekła Dominika. - Jestem gotowa na nowe wyzwania. - Mówiła prawdę; mogła już znaleźć się na linii frontu.

- To prawdziwy zaszczyt móc służyć ojczyźnie - rzekł, bawiąc

się odznaczeniem w klapie. - Największy możliwy. - Przyjrzał się jej uważnie. - Ta operacja w Piątce jest czymś wyjątkowym. Zwłaszcza dla kogoś, kto dopiero ukończył akademię. - Wypił trochę herbaty.

- Chętnie podejmę dalszą naukę.

- Wystarczy powiedzieć, że masz zająć się werbunkiem zachodniego dyplomaty. Sprawa jest wyjątkowo ważna i chodzi o to, żeby nie było żadnej wpadki, żadnego razoblaczenia. Trzeba go całkowicie i bezwzględnie skompromitować - mówił coraz ciszej, coraz bardziej poważnym tonem.

Dominika milczała, czekając na dalszy ciąg. Jego słowa były niewyraźne, blade i nie mogła ich dokładnie zobaczyć.

- Pułkownik Siemionow wyraził oczywiście niepokój z powodu twojego braku doświadczenia, mimo tak doskonałych wyników w czasie szkolenia. Zapewniłem go jednak, że moja b r a t a n i c a - rzekł z naciskiem, pragnąc pokazać, jakich użył wpływów - doskonale nadaje się do tego zadania. W końcu też uznał moje rozumowanie, zwłaszcza w świetle dodatkowego zaproponowanego przeze mnie szkolenia. - Dominika czekała. Gdzie ją poślą? Na zajęcia techniczne? Z języków? Na temat samych operacji? Wania zapalił papierosa i wydmuchał dym aż pod sufit. - Masz chodzić na zajęcia specjalistyczne w Instytucie Kona.

Dominika zmusiła się, by nic po sobie nie pokazać, nawet nie drgnąć, czując zimno, które rozchodziło się jej od żołądka po całym ciele. W akademii szeptało się czasem o tym instytucie, znanym wcześniej jako Szkoła Państwowa IV, ale nazywanym raczej szkołą jaskółek. Kobiety i mężczyźni uczyli się w niej sztuki uwodzenia w celach szpiegowskich. Chcesz zrobić ze mnie kurwę, pomyślała.

- Czy chodzi o szkołę jaskółek? - spytała, starając się opanować drżenie głosu. - Myślałam, że będę oficerem operacyjnym, zajmę się pracą wywiadowczą, a to przecież szkoła dla prostytutek.

- Z trudem oddychała.

Wania popatrzył na nią spokojnie.

- Myśl o tym pozytywnie. Dzięki temu szkoleniu zyskasz nowe możliwości, które będziesz mogła wykorzystać w dalszej pracy. - Usiadł nieco dalej na kanapie.

- Więc operacja przeciwko dyplomacie to ma być *polovaja zapadnia*? Sekspułapka? Mam go uwieść? - W akademii czytała o obrzydliwych operacjach, gdzie w grę wchodził seks.

- Cel jest *zastienczyj*, nieśmiały. Przez wiele miesięcy badaliśmy jego słabości. Pułkownik Siemionow zgadza się, że jest to rozwiązanie.

Dominika zeszywniała.

- A czy wie, co mam zrobić? O szkole jaskółek? - Potrząsnęła głową. - Cały czas bardzo uważnie mi się przyglądał. Równie dobrze mógł mi kazać otworzyć usta i obejrzeć zęby.

Wuj przerwał jej, lekko zniecierpliwiony.

- Jestem pewny, że był pod wrażeniem. To doświadczony oficer. Pamiętaj, że każda operacja jest wyjątkowa. Jak na razie nie ma jeszcze ostatecznej decyzji w kwestii procedury, ale to z pewnością dobra okazja, żeby pokazać, co potrafisz.

- Nie mogę - rzuciła Dominika. - Po tym, co się stało, potrzebowałam miesięcy, żeby zapomnieć Ustinowa...

- Ty znowu o tym? Masz go pogrzebać w pamięci i nigdy o nim nie mówić! Oczekuję od ciebie w tej sprawie całkowitego posłuszeństwa.

- Nie pisnęłam o tym nawet słówkiem - odburknęła. - Ale jeśli znowu ma się to tak skończyć, to wolę...

- Wolisz? Jesteś absolwentką Akademii Wywiadu Zagranicznego, a teraz już czynnym podoficerem. Masz słuchać rozkazów i spełniać swoje obowiązki. I przede wszystkim bronić ojczyzny.

- Chcę służyć Rosji. - Dominika skinęła głową. - Nie chcę tylko, by mnie wykorzystywano w taki sposób... Wiem, że niektóre

nie mają przed tym oporów. Dlaczego nie skorzystacie z ich usług?

Wania zmarszczył brwi.

- Przestań gadać. Ani słowa więcej. Nie potrafisz właściwie ocenić tego, co ci proponuję. Myślisz tylko o sobie i swoich dziecięcych uprzedzeniach. Jako oficer SWR nie masz wyboru. Musisz robić to, co ci każą, najlepiej, jak potrafisz. Jeśli więc chcesz odmówić, dać się ponieść swoim uprzedzeniom i skończyć karierę, zanim się jeszcze zaczęła, lepiej powiedz mi to teraz. Zwolnimy cię ze służby, zamkniemy teczkę, przestaniemy płacić i cofniemy przywileje - i t o w s z y s t k i e .

Ile jeszcze razy będzie groził mojej matce? - pomyślała Dominika. Do czego mnie jeszcze zmuszą, bym służyła z honorem ojczyźnie? Wania zauważył, że lekko opadły jej barki.

- Dobrze - powiedziała, podnosząc się. - Czy mogę odejść?

Wstała i przeszła przed dużym oknem. Słońce prześwietlało jej włosy i okalało klasyczny profil. Wania patrzył na nią, zastanawiając się, czy utyka. Zatrzymała się na chwilę przy drzwiach i spojrzała w jego stronę. Dreszcz przebiegł mu po ciele, kiedy poczuł zimne i ostre niczym skalpele błękitne oczy. Patrzyła na niego bez mrugnięcia przez trzy zatrważające sekundy. Jej oczy lśniły jak oczy wilka. Nigdy w życiu nie widział podobnego spojrzenia.

Zniknęła, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, tak jak *klikusza* z Krasnego Boru.

GOŁĄBKI Z SWR

Blanszujemy liście kapusty i gotujemy ryż. Podsmażamy pokrojoną cebulę, marchewkę oraz obrane ze skórki i pozbawione nasion pomidory. Dodajemy do nich ryż i mieloną wołowinę. Wykładamy po dwie łyżki tego nadzienia na liście kapusty, które składamy w duże koperty. Smażymy na maśle, aż zbrązowieją, a następnie przez godzinę dusimy w wywarze z dodatkiem sosu pomidorowego i liści laurowych. Podajemy z zagęszczonym sosem i kwaśną śmietaną.

Nate Nash przyleciał po dwóch godzinach na lotnisko Helsinki-Vantaa. Nowoczesny budynek lśnił czystością i był doskonale oświetlony. Podobnie jak na Szeremietiewie wisiały tu reklamy wody kolońskiej, zegarków i wakacyjnych wypraw.

Wzdłuż przestronnego terminalu ciągnęły się sklepy z bielizną, różnego rodzaju smakołykami i kolorowymi pismami. Brakowało jednak wszechobecnego zapachu gotowanej kapusty, wody różanej i mokrej wełny. Zamiast tego poczuł świeże bułeczki z cynamonem. Nate odebrał walizkę, przeszedł przez kontrolę celną i ruszył w kierunku postoju taksówek, nie dostrzegając niskiego mężczyzny w zwykłym garniturze, który obserwował go z drugiej strony hali przylotów. Mężczyzna powiedział coś do komórki i się odwrócił. Po półgodzinie znajdujący się dziewięćset kilometrów od tego miejsca Wania Jegorow dowiedział się, że Nash przybył do Finlandii. Gra miała się właśnie rozpocząć.

Następnego ranka Nate wszedł do pokoju Toma Forsytha, szefa rezydentury w Helsinkach. Miał on małe, ale wygodne biuro z jednym obrazem o tematyce morskiej i kanapą, która stała przy przeciwległej ścianie. Na stoliku obok znajdowało się zdjęcie jachtu na szklistych wodach oceanu, a dalej jeszcze jedno z młodszym Forsythem za sterem. Pojedyncze okno zasłaniały żaluzje. Wysoki, chudy Forsyth dobijał do pięćdziesiątki, miał mocny podbródek i siwe, rzadziejące włosy. Para bystrych brązowych oczu spojrzała na Nate'a znad okularów do czytania. Forsyth uśmiechnął się, rzucił jakiś papier na plastikową tacę ze sprawami do załatwienia i wstał, żeby się przywitać. Wyciągnął dłoń przez biurko i uściśnął mocno jego rękę.

- Witam w domu, Nate - powiedział i wskazał mu obite skórą krzesło po drugiej stronie.

- Dziękuję, szefie.

- Dostałeś mieszkanie? Co ci przydzielili?

Dział logistyki przeznaczył dla niego wygodne dwupokojowe mieszkanie w dzielnicy Kruununhaka, z widokiem na marinę i port oraz otwarte morze. Nate był uradowany, kiedy zobaczył je dziś rano, i nie omieszkał poinformować o tym szefa.

- To miły rejon - przyznał Forsyth. - I będziesz miał blisko do pracy. Chciałbym, żebyśmy spotkali się jeszcze z Martym Gable'em, to zobaczysz, czym się zajmujemy. - Gable był zastępcą szefa rezydentury i Nate go nie znał. - Mamy parę poważnych spraw, ale możemy zrobić znacznie więcej. Zapomnij o celach wewnętrznych. Finowie to nasi sojusznicy i wiemy o nich to, co powinniśmy. Koordynujemy z Martym wspólne działania, więc nie będziesz się musiał przejmować służbą wewnętrzną. Będziemy uzgadniać wszelkie wspólnie planowane akcje. Jak wszędzie jest tu sporo Arabów: Hezbollach, Hamas, Palestyńczycy - wszyscy mają tu przedstawicieli. Może być trudno się do nich zbliżyć, więc pomyśl o agentach typujących. Irańczykach, Syryjczykach, Chińczykach. Mają tu małe ambasady i czują się bezpiecznie w neutralnej Skandynawii. Irańczycy mogą chcieć tu kupić sprzęt, na który mają embargo. Możesz ich sprawdzić kanałami dyplomatycznymi. - Forsyth odchylił się lekko do tyłu.

- Wolałbym coś większego - mruknął Nate. - Muszę się wykazać po tym, co stało się w Moskwie.

No tak, pomyślał Forsyth. Dostrzegł ślady zmartwienia w oczach Nate'a i determinację, z jaką ten zaciskał zęby. Jego podwładny siedział prosty jak struna.

- Dobrze, Nate - westchnął - ale pamiętaj, że każdy werbunek to sukces. A duże sprawy pojawiają się, kiedy jesteś cierpliwy, pracujesz ze swoją siatką i szukasz nowych kontaktów.

- Wiem, szefie - rzucił szybko Nate. - Tyle że brakuje mi czasu. Ten Gondorf ma mnie na celowniku. Gdyby nie pan, wróciłbym do centrali i wgąbiał się w komputer. Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczny.

Forsyth przejrzał dokładnie teczkę Nate'a, którą przysłano mu po zatwierdzeniu jego kandydatury na nowe stanowisko. Nie miał zbyt wielu oficerów z niemal płynnym rosyjskim. No i najlepszymi ocenami ze szkolenia na Farmie, a także w rejonie pod ścisłą inwigilacją w Moskwie, gdzie ćwiczył Nate. W papierach znalazła się też bardzo dobra ocena Nate'a z jego działań w Rosji, włączając poufną sprawę, której szczegółów nie zdradzono.

Teraz jednak miał przed sobą rozkojarzonego młodego oficera, który chciał coś udowodnić. Niedobrze, w takiej sytuacji nietrudno o wypadki i brawurę, pomyślał.

- Nie chcę, żebyś przejmował się Moskwą. Rozmawiałem z paroma osobami w centrali i nikt ci nie ma nic do zarzucenia. -
Zobaczył, jak twarz Nate'a zmienia się na myśl o teźce z danymi. -
A teraz posłuchaj. - Urwał, czekając, aż podwładny skupi na nim uwagę. - Chcę, żebyś postępował mądrze: żadnych skrótów, tylko porządna robota. Wszyscy chcemy znaleźć coś dużego. Cholera, masz przecież teraz ważną sprawę! Nie przyjmę żadnej papraniny. Jasne? - Spojrzał mu twardo w oczy. - Jasne? - powtórzył.

- Tak jest- odparł Nate.

Zrozumiał, ale powiedział sobie, że znajdzie agentów, że nie jest skończony jako oficer operacyjny. Nie chciał wracać do domu. Przed oczami stanęły mu zwariowane obrazy z nim samym w klubie na wsi w towarzystwie Sue Ann i Mindy z buźkami w ciup i natapirowanymi włosami, z braćmi, grającymi w golfa na trawiastym dywanie, starając się trafić do dziewczęcych pantofelków w stylu Lilly Pulitzer. Tylko nie to, kurwa!

- Dobra - mruknął Forsyth. - Poszukaj swojego biura. To będzie pierwszy pokój na lewo, zaraz w korytarzu. A potem skontaktuj się z Gable'em - zakończył i sięgnął do pojemnika z dokumentami do przejrzania.

Marty Gable, zastępca rezydenta w Helsinkach, siedział przy komputerze w pokoju obok, zastanawiając się, jak napisać wia-

domość do centrali bez używania słowa „skurwysyn”. Był starszy od Forsytha, dobiegał już sześćdziesiątki, wysoki, z potężnymi barami, ściętymi na jeża siwymi włosami, niebieskimi oczami i ostrym, prostym nosem. Opalona, rumiana twarz znamionowała kogoś, kto lubi ruch i świeże powietrze. Klawiatura komputera wydawała się mała pod jego wężlastymi, opalonymi łapami. Nie nawidził wiadomości, pisania dwoma palcami i w ogóle wszelkiej biurokracji. Był człowiekiem ulicy. Nate stanął w drzwiach jego biura, które było niemal zupełnie puste, pomijając jakieś wydane przez rząd zdjęcie pomnika Waszyngtona. Na biurku też nic nie było. Zanim Nate zdążył zastukać grzecznościowo we framugę, Gable obrócił się w krzesle w jego stronę i popatrzył nań krzywo.

- Ty jesteś ten nowy? Cash czy Pash, tak? - burknął. Mówił z akcentem z północnego wschodu.

- Nash. Nate Nash - przedstawił się i podszedł do biurka.

Gable nie podniósł się, ale wyciągnął wielkie jak patelnia łapsko. Nate przygotował się na potworny uścisk.

- Nie spieszyles się tutaj, co? Może udało ci się kogoś zwerbować po drodze z lotniska? - zaśmiał się Gable. - Nie? Dobra, będzie na to czas po lunchu. No, chodźmy. - Po drodze zaglądał jeszcze do pokoiów kolejnych agentów. Wszystkie były puste. - Dobrze - mruknął. - Wszyscy na ulicy. Jak Pan Bóg przykazał.

Gable zabrał go na lunch do małego, niezbyt czystego baru, położonego w zaśnieżonej uliczce niedaleko dworca kolejowego. W jego zaparowanym wnętrzu stało parę stolików, przez otwór widać było kuchnię, a na ścianie wisiał oprawiony portret Atatürka. Kucharze wrzeszczeli coś w środku, ale umilkli, kiedy Gable podszedł do okienka i zaklaskał. Z kuchni przez zasłonę z koraliaków wyszedł chudy ciemny mężczyzna w fartuchu. Objął na chwilę Gable'a i przedstawił się jako Tarik, właściciel baru. Turek potrząsnął dłonią Nate'a, nie patrząc mu w oczy. Usiedli w kącie; Gable dał znak, żeby zajął miejsce przy jednej ścianie, a sam usiadł

przy drugiej.

Zaraz też zamówił po turecku dwa kebaby Adana, piwo, chleb i sałatki.

- Mam nadzieję, że lubisz ostre rzeczy - rzucił Gable. - W tej dziurze można dostać najlepsze tureckie żarcie. - Gable spojrział w stronę kuchni i pochylił się do Nate'a. - Zwerbowałem Tarika jakiś rok temu, jako wsparcie. Wiesz, odbiera pocztę, płaci za lokal konspiracyjny, trzyma rękę na pulsie. Wystarcza mu parę stów miesięcznie. Jeśli zechcemy, będzie mógł służyć wiadomościami na temat swoich pobratymców w tym mieście.

Gable wyprostował się, kiedy pojawiło się ich zamówienie.

Były to dwa długie i płaskie kebaby posypane sproszkowaną papryką i grillo wane na brązowo. Pod spodem leżała przypieczona i nasączona roztopionym masłem pita, a z boku sałatka z surowej cebuli posypana sumakiem garbarskim i polana sokiem z cytryny.

Tarik postawił jeszcze obok dwie spocone butelki piwa i ze słowami: *Afiyet olsun* - smacznego - wrócił do kuchni.

Gable zaczął jeść, zanim jeszcze Nate wziął widelec. Pochłaniał kebab, jednocześnie mówiąc i gestykulując wielkimi łapskami.

- Niezłe, co? - rzucił z pełnymi ustami.

Odwrócił pionowo butelkę i wypił połowę jej zawartości. Kłapał przy tym paszczą jak krokodyl, który pochłania gazelę. Bez żadnych wstępów, nie siląc się na grzeczności, zapytał też Nate'a, co zaszło w Moskwie między nim i tym dupkiem Gondorfem. Nate wyjaśnił pokrótce, przerażony i znowu zmartwiony tym, co się stało. Gable skierował weń swój widelec.

- Słuchaj no, zapamiętaj dwie rzeczy. Po pierwsze, nigdy nie stajesz się prawdziwym oficerem operacyjnym, jeśli przynajmniej raz porządnie nie nawalisz. I po drugie, mają cię oceniać na podstawie tego, co osiągniesz, informacji, ochrony agentów. Nic innego nie ma znaczenia. - Dopił piwo i zażądał następnego. - I jeszcze jedno, Gondorf to palant. W ogóle się nim nie przejmuj.

Skończył jeść, zanim Nate doszedł do połowy.

- A ty kiedyś nawaliłeś? - spytał Gable'a, który nalegał, żeby nie mówił mu na pan.

- Chyba żartujesz! - Gable odchylił się w krześle. - Parę razy nieźle wykapałem się w szambie. Tak też się tutaj znalazłem. To Forsyth uratował mnie po ostatniej wpadce.

Gable obijał się przez całe życie po najgorszych dziurach, głównie w krajach Trzeciego Świata, w Afryce i Azji. Niektórzy oficerowie operacyjni zdobywają szlify w restauracjach, pokojach hotelowych i kawiarniach Paryża, ale on spotykał się ze swoimi agentami na pustych gruntowych drogach w pokrytych czerwonym pyłem land-roverach. Inni oficerowie nagrywali swoje spotkania z ministrami. Gable spisywał tajemnice do zapoconego notesu, siedząc z ludźmi, którzy srali ze strachu, a on zmuszał ich, by się skoncentrowali, by nie tracili wątku. Siedzieli w skwarze z włączonym silnikiem i zasuniętymi szybami, patrząc, jak mamby przesuwają się w wysokich trawach po obu stronach wozu. Nate słyszał, że Gable jest legendą. Zawsze był lojalny wobec swoich ludzi, potem przyjaciół i CIA - właśnie w tym porządku. Widział już wszystko i wiedział, co może być ważne.

Gable rozsiadł się, wypił trochę piwa i zaczął opowiadać.

Ostatnie zadanie miał w Stambule, kurewsko wielkim mieście z ważnymi operacjami, takie Dodge City. Mówił nieźle po turecku, wiedział, gdzie chodzić i z kim się spotykać. Dostyc szybko udało mu się zwerbować człowieka z PPK, lewicowej kurdyjskiej partii separatystycznej ze wschodniej Turcji. Jej członkowie podrzucali bomby w walizkach do budynków rządowych, w torbach z przyborami do czyszczenia butów na bazarach lub w papierowych torebkach do koszy na śmieci na placu Taksim.

Pewnego dnia Gable jechał taksówką z dwudziesto-, dwudziesto- jednoletnim Kurdem. Miał on ostry język, dobrze prowadził.

Trzeba cały czas uważać! Gable polegał na swoim instynkcie i miał

przecucie, dlatego zatrzymał taksówkę i zaprosił chłopaka do restauracji. Musiał zgromić wzrokiem tłustego Turka za kontuarem, te skurwysyny nie znoszą Kurdów, mówią o nich: „Turcy z gór”.

Chłopak jadł, jakby był głodny. Opowiadał o rodzinie. Gable wyczuł członka PPK, dlatego wynajął taksówkę na cały tydzień. Przecucie nie zawiodło. Chłopak był członkiem miejscowej komórki, ale nie dał sobie wmówić tych terrorystycznych bzdur. Trochę szacunku, pięćset euro miesięcznie; fajny mały werbunek. A wszystko dlatego, że Gable uważał w taksówce. Trzeba pamiętać o takich rzeczach.

Chłopak zaczął od jakichś głupot, ale Gable szybko sprowadził go na ziemię - w końcu miał właśnie p r o w a d z i ć tego agenta - i skupili się na przywódcach komórki i ich kanałach kontaktowych. Nieźle, ale Gable jeszcze naciskał i udało im się namierzyć magazyny PPK, gdzie przechowywano semtex i inne materiały. Choćby nitrolit z Polski. Następnie chłopak zaczął przekazywać nazwiska konstruktorów bomb.

Wszystko szło świetnie, trzeba było tylko studzić zapalony tureckiej policji, która chciała zgarnąć całą siatkę, „ujebać drani” - jak mawiali jej szefowie. Rezydent z Ankary był zadowolony, a szychy z centrali kiwały z aprobatą głowami. Gable'owi sodówka uderzyła do głowy i stracił czujność.

- Więc, Nate, niech to będzie dla ciebie nauka, żeby nigdy nie tracić czujności.

Ten Kurd mieszkał w Tepabasi, fundamentalistycznej dzielnicy poniżej Pery, gdzie dawniej mieszkali Europejczycy. Gable zwykle spotykał się z nim w taksówce, a potem jeździli po mieście, przede wszystkim w nocy, nigdy się nie zatrzymywali. Ale złamał zasady i spotkał się z nim w domu, poznał rodzinę. W jego domu. Chłopak go zaprosił; obraziłby go, gdyby odmówił, cholera. Takie kulturowe sprawy. Poza tym Gable chciał zobaczyć dom swojego

agenta.

- Słuchaj no, zawsze wiesz, gdzie mieszkają twoi agenci. Nigdy nie wiadomo, kiedy trzeba ich wyciągnąć z chaty.

Ulica była stroma, stały przy niej obłazące z farby szeregowce, przygasty blask, wąskie schody, podwójne drzwi z szybkami z trawionym szkłem, boczne światła, wszystko połamane, pozabijane deskami. Dawna dzielnica Europejczyków teraz zaśmiecona i cuchnąca rynsztokiem. W Stambule można się przyzwyczaić do zapachu ścieków, który w zasadzie jest słodki. W każdym razie robiło się już ciemno i w domach zaczęły się zapalać światła. Zakończyło się właśnie wieczorne wezwanie do modlitwy.

Gable schodził w dół, obawiając się tego spotkania. Nic, tylko ukradkowe spojrzenia i niekończące się filiżanki herbaty. No ale to przecież, kurwa, jego praca. Kiedy był już blisko, usłyszał krzyki. Drzwi do domu agenta stały otworem. Ktoś stłukł coś w środku. Co gorsza, zaraz zbiórą się tu sąsiedzi. Gable pomyślał, że w ciągu dwóch minut zrobi się tam cyrk. Zaczął się powoli oddalać. Było już ciemno, nikt nie zwracał na niego uwagi.

Problem polegał na tym, że nagle dwóch facetów wyprowadziło chłopaka z domu, trzymając go pod rękę. Jego żona była drobna, z ciemną karnacją oraz oczami w kształcie migdałów. Pochodziła z południowych stoków gór Taurus. Miała na sobie podarty T-shirt i szła bosą, wrzeszcząc i waląc na oślep obu napastników. W drzwiach stanęło dwuletnie na oko, zapłakane, zupełnie gołe dziecko. Tamci dwaj byli tak samo chudzi jak jego agent, ale chłopak się nie opierał, być może dlatego, że jeden z tych skurwysynów miał pistolet. Boże, to musieli być bojownicy PPK. Może wydał jakieś ich pieniądze, może pochwalił się przyjacielem ze Stanów.

- Słuchaj no, tak szybko mogą wpaść w kłopoty. Trzeba ich chronić, czasami trzeba to dla nich zrobić.

PPK była bezlitosna dla tych, których uważała za zdrajców.

Gable mógł odejść. Zobaczył w drzwiach dziewczynkę - śliczną, z gołą pupą i gilem u nosa - i pomyślał: Nie, kurwa! Podszedł do schodów i uśmiechnął się do obu sukinsynów. Ci zatrzymali się i puścili chłopaka, który wylądował na tyłku na górnym stopniu. Kobieta przestała wrzeszczeć i spojrzała na Gable'a, wielkiego *yabanci*, cudzoziemca z łapskami jak bochny. Dookoła zebrało się kilkunastu sąsiadów, wszyscy byli Kurdami. Wokół panowała całkowita cisza, żadnego hałasu, woda spływała środkiem ulicy. Sukinsyn z pistoletem krzyknął coś po kurdyjsku, coś, co zabrzmiało jak dźwięk metalu w wannie.

Krzykacz zaczął wymachiwać pistoletem, kierował go na dziecko, żonę chłopaka, groził nim jak palcem. Chłopak na pewno zginie, jeśli Gable czegoś zaraz nie zrobi. Zresztą, pierdolić wszystko!, bo chłopak był już spalony; musi wyjechać z Turcji, jeśli chce przeżyć. Facet z PPK zszedł ze schodów, wciąż wrzeszcząc na Gable'a. On nie zwracał uwagi na jego oczka i skupił się na pistolecie. Knykcie sukinsyna zbieleły od ściskania go, wiadomo było, że zostały ze trzy sekundy. Lufa zaczęła unosić się w górę. Gable miał ze sobą browninga HP przy pasie firmy Bianchi. Wyjął go i zastrzelił Kurda - bach-bach-bach. Procedura z Mozambiku: dwa strzały w tułów, w środek ciężkości przeciwnika, i jeden w czoło. Nie wiadomo, skąd nazwa, może tam to wymyślili albo coś takiego. Sukinsyn otworzył oczy; poleciał prosto przed siebie, głową w dół schodów. Pistolet spadł za nim, Gable podniósł go i wyrzucił do rynsztoku, metal zastukał o metal. W rynsztokach Stambułu musi być z milion takich pistoletów. Łuski nie zdążyły jeszcze upaść na ziemię, kiedy sąsiedzi zaczęli zmykać niczym oszalałe wiewiórki. Rozbiegli się we wszystkich kierunkach, wokół słychać było tylko trzaski okiennic.

Chłopak objął żonę. Gable zastanawiał się, czy wie, że zaczęło się jego nowe życie. Żona pewnie się domyślała, wyglądała na sprytną, jej sutki odciskały się na T-shircie. Gable spojrzał na

drugiego faceta z PPK, który zobaczył Jezusa czy Mahometa, wszystko jedno, więc wyciągnął w jego stronę puste dłonie, zszedł po schodach i pobiegł w ciemność.

Gable dał chłopakowi pięć tysięcy, żeby ten się zmył. Nie mógł wydusić więcej z centrali. Nie wie, gdzie pojechali - może są w Niemczech albo we Francji. Pięcioro kurdyjskich dzieciaków, które uczą się teraz niemieckiego. Kiedy dojdą do dwudziestki, syn Nate'a będzie mógł je odnaleźć i zwerbować. Prawdziwy czad. A teraz jeszcze morał tej pierdolonej historii.

- Po tym wszystkim rozpętała się prawdziwa burza, nie kłamię
- powiedział Gable. - Najpierw odezwał się konsul, który jęczał coś cienkim głosem, jakby z pozytywki, potem ambasada z Ankary, na koniec przyjemniaczki z Departamentu Stanu. Dyplomata zamieszany w takie zdarzenie, ile łez, ile płaczu, wszyscy byli bardzo zmartwieni. Poważne reperkusje. Musiałem wyjechać ze Stambułu. Tureccy policjanci wydali na moją cześć kolację, byli uszczęśliwieni. Tureckie gliny lubią strzelaninę, ale wszyscy pozostali byli mocno wkurwieni, a nawet się jeszcze nie zaczęło oficjalne śledztwo CIA.

Gable walczył przez miesiąc z Departamentem Bezpieczeństwa Krajowego i centralą. Po czterdziestu godzinach rozmów ustalili wersję typu „błądy w sztuce”. Rezydent z Ankary nie wsparł Gable'a, bo bał się politycznych konsekwencji. Czy nie przypomina to Gondorfa? W tej robocie spotyka się wielu dupków. Wyglądało na to, że Gable nie ma co liczyć na pracę za granicą i że utknie gdzieś w jakiejś klitce w centrali i będzie słuchał przez przepierzenie, jak jakiś nowo zatrudniony dwudziestotrzylatek gada z dziewczyną o tym, czy odważy się ona w sobotę zrobić loda swojemu chłopakowi. Żaden z młodych oficerów, do cholery!, nawet nie nosił zegarka - sprawdzali czas na tych swoich pierdolonych komórkach, tabletach czy czymś tam jeszcze.

Gable nie miał do nikogo żalu, tak się pracowało przy opera-

cyjach. Zachował się tak, jak powinien.

- Słuchaj no, twój agent, jego bezpieczeństwo i życie to najważniejsze sprawy. Jedyne, o które warto się troszczyć.

Mniej więcej w tym samym czasie zakończyła się burza, która rozpętała się nad głową Forsytha. On jednak przeżył ją i wylądował w Helsinkach. Dowiedział się o kłopotach Gable'a - nic nowego - i zaproponował jego kandydaturę na swego zastępcę, jak za starych dobrych czasów. Tyle że nie ma nic takiego jak stare dobre czasy, to tylko legenda. Gogusie w centrali byli zachwyceni, bo żaden z rezydentów go nie chciał, a oni woleli, żeby zniknął im z oczu, bo miał zły wpływ na innych.

- Tak więc siedzimy tu, trzej popaprańcy, tuż pod kołem podbiegunowym, a my dwaj pijemy sobie piwo w tureckim barze. - Gable dopił piwo i wrzasnął: - *Hesap!* - Kiedy Tarik wyszedł z kuchni, Gable wskazał Nate'a. - On płaci.

Nate zaśmiał się.

- Chwileczkę - powiedział. - O co chodzi z tą burzą Forsytha? Co się stało? - Wyjął parę euro i podał Tarikowi. - Reszty nie trzeba. - Tamten uśmiechnął się blado, skinął głową w stronę Gable'a i się wycofał.

- Dałeś mu za duży napiwek - zauważył Gable. - Nie przyzwyczajaj ich do tego. Trzeba ich trzymać na głodzie. - Wstał i włożył kurtkę.

- Bzdura. Dałeś temu Kurdowi pięć kawałków, żeby wyjechał z tego, jak powiedziałeś, Dodge City, ale sam przyznałeś, że był już bezużyteczny. Wcale nie musiałeś mu płacić. - Nate spojrzał na Gable'a.

Wyszli właśnie z uliczki i skręcili w stronę dworca. Gable unikał jego spojrzenia i Nate zrozumiał, że wcale nie jest takim twardelem, jakim chce się wydawać. Nie zamierzał jednak sprawdzać tego, na ile jest twardy. Było zimno i Nate postawił kołnierz palta.

- Nie powiedziałeś mi o Forsycie - rzucił.

Gable szedł przed siebie, jakby nie usłyszał pytania.

- Wiesz, gdzie jest rosyjska ambasada? - spytał. - A chińska?

Irańska? Syryjska? Powinieneś móc wsiąść do auta i pojechać prosto do każdej z nich. Być może będziesz musiał kiedyś kogoś wycofać. Dam ci tydzień na odszukanie ich wszystkich.

- Tak, jasne. Ale co z Forsythem? Co się stało?

Nate musiał wymijać przechodniów na zaśnieżonym chodniku, bo Gable pruł jak gdyby nigdy nic przez popołudniowy tłum. Dotarli do skrzyżowania i czekali na zielone światło. Nate zauważył kawiarnię po drugiej stronie ulicy.

- Może napijemy się szybko kawy, co? Ja stawiam.

Gable popatrzył na niego z ukosa i skinął głową. Opowiedział mu historię Forsytha przy kawie i małej brandy. Szefostwo uważało Forsytha za jednego z najlepszych czynnych rezydentów. W czasie swojej dwudziestopięcioletniej kariery awansował bez większej wpadki. Zaraz na początku udało mu się zwerbować pierwszego w historii Koreańczyka z Północy. Przed upadkiem muru berlińskiego prowadził polskiego pułkownika, który dostarczył mu pełne plany wojenne dowództwa Południowej Grupy Wojsk Układu Warszawskiego. Parę lat później zwerbował ministra obrony Gruzji, który w zamian za konto w Szwajcarii wysłał czołg T-80 z nowym pancernem reaktywnym o trzeciej w nocy na łupkową plażę w Batumi, wprost na pokład amfibii desantowej, którą CIA wypożyczyło na tę okazję od Rumunów.

Forsyth awansował, a jednocześnie był jednym z niewielu kierowników, którzy wiedzieli, na czym polega gra. Oficerowie operacyjni po prostu go uwielbiali. Ambasadorowie przychodzili po radę. Ważniacy z siódmego piętra z centrali ufali mu i, kiedy Forsyth miał czterdzieści siedem lat, nagrodzili go fajną rezydenturą w Rzymie. Jak należało się spodziewać, pierwszy rok jego pracy w tym mieście obfitował w sukcesy.

Nikt jednak nie spodziewał się, że politycznie obyty Tom For-

syth powie butnej doradczynie senatora, która odwiedziła Rzym wraz z delegacją senatu, żeby się zamknęła i posłuchała, co inni mają do powiedzenia w czasie odprawy w rezydenturze. Zakwestionowała ona „słuszność racji” kontrowersyjnej i poufnej akcji rzymskiej rezydentury. Dwudziestotrzyletnia magister nauk politycznych, która przepracowała niewiele ponad półtora roku w senacie, skrytykowała w dodatku samego Forsytha i powiedziała, że „metody i środki operacyjne nie spełniają oczekiwanych standardów”, na co flegmatyczny zazwyczaj Forsyth zareagował słowami: „Odpierdol się, dziwko!”. To z kolei zaowocowało notą z centrali na temat zażalenia senatora i zwolnieniem Forsytha z rezydentury w Rzymie.

Po załączeniu zwykłej nagany do akt Forsytha siódme piętro cichutko zaproponowało mu rezydenturę w Helsinkach. Chodziło o to, by pokazać Kongresowi, że centrala stoi po stronie ciężko pracujących oficerów wywiadu, a nie pracowników Kongresu na zakupach, którzy tylko udają zainteresowanych pracą ambasad. Ta oferta nie była też do końca szczerą, bo nikt nie sądził, że Forsyth ją przyjmie. Rezydentura była sześć razy mniejsza od rzymskiej, znajdowała się w najbardziej sennym ze skandynawskich krajów i nadawała się dla kogoś, kto dopiero zaczynał karierę. Spodziewano się więc, że Forsyth odmówi, coś sobie znajdzie i za dwa lata, kiedy osiągnie odpowiedni wiek, odejdzie na emeryturę.

- Przyjęcie tej propozycji było jak powiedzenie tym facetom z siódmego piętra, żeby się walili - zakonkludował Gable. - Pół roku później zostałem jego zastępcą, a teraz ty przyjechałeś. Nie twierdzą, że jesteś popaprańcem, tyle że za takiego cię mają.

Gable dostrzegł minę Nate'a. Dobra, pomyślał, to jasne, że coś zżera tego chłopaka. Widział już wcześniej utalentowanych oficerów operacyjnych, którzy tak się przejmowali swoją reputacją i przyszłością, że nie potrafili sobie odpuścić. Ten bladolicy Gondorf powinien się wstydzić, że tak go załatwił, i teraz oni z Forsythem

muszą to naprawić. Pomyślał, że będzie musiał pogadać o tym z szefem. Wcale nie potrzebowali tu kogoś, kto nie umie czekać z werbunkiem na odpowiedni moment.

KEBAB ADANA TARIKA

Czerwoną paprykę i papryczki chili przecieramy i mieszamy z solą oraz oliwą. Dodajemy przecier do mielonej jagnięciny, pokrojonej cebuli, czosnku, pokrojonego w drobną kostkę masła, kolen-dry, kminku, sproszkowanej papryki, oliwy, soli i pieprzu. Całość ugniatamy i formujemy w płaskie kebaby, grillujemy niemal do zwęglenia. Podajemy z grillowaną pitą i cienko pokrojoną czerwoną cebulką, posypujemy sumakiem garbarskim i polewamy sokiem z cytryny.

Niebiesko-biały wodolot Woschod opadł na taflę i podpłynął do doku, ciągnąc za sobą błękitną chmurkę dymu z dieslowskiego silnika. Dominika zeszła z małą walizeczką po stromym trapie i ruszyła brzegiem smolistego przybrzeżnego błota w stronę autobusu, który czekał na żwirowej drodze przy rzece. Za nią ciągnęło się jeszcze jedenaście młodych osób: siedem kobiet i czterech mężczyzn. Wszyscy byli zmęczeni i milczeli; zaraz też postawili torby przy otwartym bagażniku autobusu. Nikt nie powiedział nawet słówka, nie zerkali też na siebie. Dominika odwróciła się i spojrzała na szeroką Wołgę, na której obu brzegach aż do ujścia ciągnęły się sosny. W powietrzu wyczuwało się wilgoć, a od wody dobiegał zapach ropy. W porannej mgiełce, trzy kilometry dalej za zakrętem rzeki, dostrzegła czubki wież i minaretów kazańskiego kremla.

Dominika wiedziała, że to Kazań, ponieważ z lotniska jechali przez miasto i widziała tablice na drodze. Znaczyło to, że znajdują się w Tatarstanie, wciąż w europejskiej części Federacji Rosyjskiej. O północy odbyli siedemsetkilometrowy lot z Moskwy i wylądowali na lotnisku wojskowym. Na niepodświetlonych tablicach można było przeczytać: LOTNISKO BORISOGLEBSKOJE. I dalej: KAZAŃSKIE ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU LOTNICZEGO. Weszli w milczeniu do autobusu z pęknięciami na szybach i poplamionymi szarymi zasłonkami. Przejechali przez ciche przed świtem ulice aż do przystani, gdzie w świetle wschodzącego słońca weszli na pokład rozchybotanego wodolotu.

W milczeniu czekali przez godzinę, siedząc w lotniczych fotelach w dusznym wnętrzu. Arytmiczne kołysanie kadłuba, chlupotanie wody o nadbrzeże i skrzypienie wystrzępionych nylonowych lin przyprawiały ją najpierw o mdłości, a potem wywoływały senność. Nie widzieli nikogo poza kierowcą autobusu i mężczyzną na mostku wodolotu. Dominika patrzyła na słoneczne światło,

które coraz szerzej rozciągało się nad wodą, i liczyła ptaki.

W końcu przy pomocy zatrzymała się szara łada, z której wysiedli mężczyzna i kobieta z płaskimi kartonowymi pudłami. Wyszli na pokład, postawili pudełka na kontuarze z przodu kabiny i zaraz je otworzyli.

- Chodźcie się poczęstować - powiedziała kobieta i usiadła w pierwszym rzędzie, tyłem do pozostałych pasażerów.

Wstali wolno i podeszli do kontuaru. Nie jedli nic od śniadania poprzedniego dnia. W jednym pudle leżały słodkie bułeczki z rodzynkami, w drugim zalakowane pojemniki z ciepłą oranżadą.

Mężczyzna patrzył, jak pasażerowie wracają na swoje miejsca, a potem poszedł na mostek. Silnik wodolotu ożył, fotele zadrżały.

Aluminiowy trap zadzwięczał o nadbrzeże, rzucono liny.

Wodolot wypłynął na rzekę, jego płyty nośne zaczęły się wynurzać w miarę, jak cały drżący nabierał prędkości. Fotel przed Dominiką wpadł w wibracje, metalowe wzmocnienia paneli brzęczały, popielniczki przy siedzeniach klekotały. Dominika starała się powstrzymać mdłości, wpatrując się w materiał zagłówka, który miała przed sobą. Kolegium dla kurtyzan. Płynęła Wołgą do miejsca swego poniżenia.

Znowu znaleźli się w autobusie, bezimienna kobieta usiadła na przodzie. Jechali chwiejnie przez rozświetlony sosnowy las, aż w końcu zatrzymali się przed betonowym murem. Promienie słoneczne zaśniły w kawałkach szkła, którymi uzbrojono jego szczyt. Kierowca zatrąbił, a następnie przecisnął się przez uchyloną bramę i zatrzymał na podjeździe przed dwupiętrowym neoklasycystycznym domem z mansardą, pokrytą popękaną dachówką. W lesie panowała absolutna cisza, w ogóle nie czuło się wiatru, wewnątrz domu również wyglądało na wymarłe.

Głęboki oddech. „No, przestań się przejmować”. Ta obrzydliwa szkoła to kolejna przeszkoda, jeszcze większe poświęcenie i nowy sprawdzian lojalności. Stała w sosnowym zagajniku przed musz-

tardowym budynkiem i czekała. Dotarła do szkoły jaskółek.

Po rozmowie z wujem zastanawiała się, czy nie powiedzieć im wszystkim, żeby szli do diabła. Mogłaby zabrać matkę do Strelnej, położonej koło Petersburga nad Zatoką Newską. Znalazłaby tam pracę jako nauczycielka albo trenerka. Po jakimś czasie przy odrobinie szczęścia mogliby ją przyjąć do Akademii im. Waganowej, a wtedy wróciłyby do baletu. Ale nie, stwierdziła, że się nie cofnie. Zrobi wszystko, co będą chcieli. Nie da się zniszczyć. Musi pamiętać, że chodzi tu tylko o seks, i bez względu na to, do czego ją będą zmuszać, nie pokonają jej ducha.

I chociaż buntowała się przeciwko temu, co miało nastąpić, jej tajemne ja, rozgrzany mechanizm jej ciała sprawiał, że zastanawiała się, czy ktoś w tym budynku zdoła ją przynajmniej trochę zaspokoić. Myśl o szkole jaskółek wydawała jej się odpychająca, zżymała się, że ją tu przysłano, ale też w głębi serca czegoś oczekiwała, na coś czekała.

- Zostawcie bagaże w holu i chodźcie za mną - powiedziała kobieta, która przeszła jako pierwsza po schodach i otworzyła wielkie drzwi z postarzanego drewna.

Zgromadzili się w audytorium. Stało tam sporo półek, więc pewnie wcześniej była to biblioteka, którą przerobiono na salę wykładową z podium i kilkunastoma rzędami skrzypiących krzeseł. Kobieta w bezkształtnym kostiumie chodziła między rzędami i rozdawała koperty.

- W środku macie numery swoich pokoi oraz imiona, z których będziecie korzystać w czasie szkolenia - powiedziała. - Macie korzystać tylko z nich. Nie wolno wam też przekazywać osobistych danych innym uczestnikom kursu. Nawet najmniejsze naruszenie tych reguł spowoduje wyrzucenie was ze szkoły.

Administratorka mogła mieć pięćdziesiąt parę lat, włosy czesała do tyłu i miała kwadratową szczękę i prosty nos. Wyglądała jak kobieta ze znaczków pocztowych - Walentyna Tierieszkowa,

pierwsza kobieta w kosmosie. Sączyła słowa żółtymi kroplami.

- Wybrano was na kurs specjalizacyjny - dodała. - To wielki zaszczyt. Jego temat może się wydać niektórym z was obcy i dziwny, ale skupcie się przede wszystkim na zajęciach i ćwiczeniach. Nic innego nie ma znaczenia. - Jej głos rozbrzmiewał echem w wysokim pomieszczeniu. - Teraz idźcie na górę, do swoich pokoi. Kolacja jest o szóstej w jadalni, do której wchodzi się z holu. Zajęcia zaczynają się dziś o siódmej. Teraz jesteście wolni.

Dominika naliczyła dwanaście pokoi w korytarzu na górze, po sześć z każdej strony. Pomalowane emalią, popękane numery przykręcono do drzwi. Między drzwiami do pokoi znajdowały się inne, pozbawione klamek. Można je było otworzyć tylko kluczem. Jej pokój był jasnozielony, niewielki, ale wygodny, z jednym łóżkiem, szafą, stołem i krzesłem. W powietrzu unosił się delikatny, ale wyraźnie wyczuwalny zapach środków dezynfekujących, czuła go od łóżka, zagnieździł się w szafie, był w pościeli na półce.

Znajdowała się tam też przedzielona zasłoną toaleta z prysznicem i zardzewiałą umywalką. Nad stołem wisiało wielkie lustro, zdecydowanie za duże do tego pokoju, który bardziej kojarzył się z koszarami. Dominika przywarła do niego policzkiem i popatrzyła w światło na jego powierzchni, tak jak w czasie szkolenia. Zauważyła srebrną mgiełkę lustra fenickiego. Witamy w szkole jaskółek. Wierzchołki sosen zasłaniały jej zachód i nocne niebo. Dom był skąpo oświetlony i nie było w nim żadnych zegarów. Nie słyszało się też telefonów. W korytarzach, na klatkach schodowych i na parterze panowała cisza; noc niczym jastrząb spadła na budynek. Ściany były gołe, brakowało na nich reprodukcji z portretami Lenina czy Marksa, chociaż wciąż było widać ich dawne, zapleśniałe kontury. Jaka szlachecka tatarska rodzina mieszkała tu przed rewolucją? Czy pojawiały się tu grupy eleganckich myśliwych? Czy słychać było parowce z Moskwy? Jaki sowiecki instynkt kazał ulokować tę szkołę tak daleko od stolicy?

Dominika rozejrzała się po jadalni, jedenaścioro innych „studentów” jadło w ciszy tokmacz, gęstą zupę z makaronem, którą nalał im z wielkiej niebiesko-białej wazy milczący kelner. Po zupie dostali gotowane mięso. Kobiety i trzech mężczyźni byli po dwudziestce, a czwarty, chudy i blady, wydawał się nawet młodszy. Czy oni też przeszli szkolenie w SWR? Dominika z uśmiechem obróciła się w stronę dziewczyny, którą miała po lewej stronie.

- Jestem Katia - przedstawiła się, używając nowego imienia.

Dziewczyna odwzajemniła jej uśmiech.

- A ja Ania.

Była drobna i miała jasne włosy, szerokie usta i wysokie kości policzkowe naznaczone piegami oraz błękitne oczy. Wyglądała jak elegancka dojarka. Jej niepewne słowa miały barwę bławatków - niewinność i naiwność. Inni też podali nieśmiało swoje przybrane imiona. Po kolacji przeszli potulnie do biblioteki.

W sali panowała całkowita cisza, przygasły światła. Witamy na zajęciach w szkole jaskółek. Rozpoczął się film, czarno-biały, brutalny, piekielny, ostry; wprost wybuchł na ekranie na końcu sali, napięte twarze, objęte ciała, organy, które poruszały się bez ustanku, pokazane w takim zbliżeniu, że wydawały się czysto ginekologiczne, nierozpoznawalne, niezemskie. Nagle włączył się głośny dźwięk i Dominika zauważyła, jak głowy współuczestników kursu odskoczyły pod naporem obrazów i hałasów. Powietrze wypełniło się wirującymi kolorami; rozpoznała oznaki przeciążenia, kiedy zaczęła się sekwencja: czerwony-fiołkowy-niebieski-zielony-żółty. Nie mogła nad tym zapanować i zamknęła oczy, by uniknąć rzezi. Coś trzasnęło w głośniku i dźwięk obniżył się do ledwo słyszalnego, tak że kobieta na ekranie wydawała się niemal szeptać, nawet kiedy włosy przywarły jej do policzka, a ciałem wstrząsały kolejne sztychy niewidocznego partnera.

Dominika widziała światło, które migotało na belkach stropowych, sześć metrów nad jej głową. Czy wytrzyma tu tak długo? Co

będzie musiała robić? Co by zrobili, gdyby wstała i po prostu stąd wyszła? Czy zwolniono by ją ze służby? A do cholery z nimi! Chcą jaskółki, będą mieli jaskółkę. Nikt nie wiedział o jej kolorach. Misza powiedział, że nigdy nie szkolił nikogo tak dobrego w obserwacji. Zostanie. Nauczy się.

Powiedziała sobie, że to nie miłość. Ta szkoła, dom otoczony murem z potłuczonym szkłem był motorem państwa, które zinstytucjonalizowało i odhumanizowało miłość. Taka miłość się nie liczyła. Był to tylko seks, ćwiczenia, takie jak w szkole baletowej. Przy migającym w zatęchłej bibliotece świetle Dominika powiedziała sobie, że skończy kurs na przekór tym wszystkim swołoczom.

Zapaliły się światła, studenci siedzieli czerwoni i zażenowani. Ania pociągnęła nosem i wytarła oczy tyłem zaciśniętej dłoni. Starsza kobieta zwróciła się do nich wypranym z emocji, twardym tonem:

- Macie za sobą długą podróż. Idźcie teraz do swoich pokoi, żeby odpocząć. Zajęcia zaczynają się jutro o siódmej zero zero. Jesteście wolni. - Nic w jej głosie nie zdradzało tego, że przez półtorej godziny oglądali film z parami, które uprawiały seks. Wyszli i skierowali się na główne schody z drewnianymi poręczami. Ania skinęła jej głową, a potem zamknęła drzwi do swojego pokoju. Dominika zastanawiała się, czy ona i inni wiedzą, że nieznani im jeszcze, ukryci w malutkich *cabinets de voyeur* instruktorzy Instytutu Kona będą ich dzisiaj oglądać, jak się rozbieirają, kąpią i śpią.

Dominika stanęła przed lustrem i przeciągnęła szczotką z długą rączką - jedyną rzeczą, którą wzięła z domu - po włosach. Patrzyła na szczotkę, jakby ta z niej kpiła. Zaczęła rozpinać bluzkę. Powiesiła ją na drucianym wieszaku, który z kolei umieściła w rogu lustra. Postawiła walizeczkę na stole i otworzyła tak, że wieko zakryło dolną część lustra. Miała teraz przed sobą tylko jedną

trzecią jego powierzchnię. Zdjęła spódnicę i wykonała piruet, od-
ruchowo patrząc na krzywiznę pleców i wypięte pośladki w poń-
czochach, aż w końcu rzuciła spódnicę na lustro, zakrywając je
ostatecznie. Jutro każą je odsłonić, być może usłyszy przy okazji
kilka ostrych słów, ale poczuła, że warto. Następnie umyła zęby,
wskoczyła pod kołdrę, czując aseptyczny zapach kamfory i róża-
nego olejku, i zgasiła światło. Szczotkę zostawiła na toalecie.
Mężczyzn oddzielono od kobiet, dni przechodziły jeden w drugi
i powoli zaczęli tracić poczucie czasu. Senne ranki były prze-
znaczone na niekończące się wykłady na temat anatomii, fizjologii
i psychologii ludzkiej seksualności. Pojawiali się na nich nowi
instruktorzy. Jakaś lekarka brzęczącym głosem opowiadała o sek-
sualnych praktykach w innych kulturach. Po nich przyszły wykłady
na temat męskiej anatomii, funkcjonowania męskich organów
płciowych i tego, jak podniecić mężczyznę. Techniki, pozycje,
ruchy, których były całe setki; uczyły się ich, powtarzały, zapa-
miętywały tę Kamasutrę z górnej Wołgi. Dominika podziwiała tę
monstrualną seksopedię, te lepkie epifanie, które niszczyły nor-
malność i miały ją na zawsze ograbić z jej niewinności. Czy jeszcze
kiedyś będzie się mogła kochać?

Po południu odbywały się zajęcia „praktyczne”, jakby treno-
wano je na łyżwiarki. Ćwiczyły chód, konwersację, ćwiczyły
otwieranie butelki szampana. Chodziły do pokoi pełnych używa-
nych ubrań, zdartych butów, przesyconej zapachem potu bielizny.
Przebierały się i ćwiczyły sztukę rozmowy, uczyły się słuchać,
wykazywać zainteresowanie, komplementować i - co najważniej-
sze - wyciągać od rozmówców informacje.

Rzadko zdarzały się wieczory, kiedy mogły się bliżej poznać,
tylko pięć razy, kiedy siedziały na podłodze w bibliotece, ich ko-
lana niemal się stykały, a one śmiały się, żartowały i ćwiczyły tak
zwane „seksrozmowy” z jakichś nocnych filmów.

- To ma być tak - powiedziała ciemnowłosa dziewczyna z

silnym akcentem znad Morza Czarnego, a następnie zamknęła oczy i rzekła spiszową angielszczyzną: - „Tak, kochanie, tylko z tobą jest tak cudownie”.

Huragany śmiechu, a Dominika popatrzyła po zaczerwienionych twarzach, zastanawiając się, jak szybko niektóre z nich znajdują się w jakimś hotelu choćby w Wołgogradzie i będą patrzyły, jak chudzi wietnamscy przedstawiciele handlowi starają się jak najszybciej zdjąć buty.

- Teraz ty, Katia - zwróciła się dziewczyna do Dominiki.

Od pierwszego wieczoru wszystkie wyczuwały, że ona jest inna, wyjątkowa.

Siedząca obok Ania popatrzyła na nią wyczekująco.

Dominika sama nie wiedziała, dlaczego to robi - może, żeby pokazać im, że potrafi, a może, by pokazać sobie - ale przymknęła oczy i wyszeptała:

- Tak, kochanie... właśnie tak... O Boże. - A potem z przepony:

- OOOGGGHHH.

Wszystkie milczały zaszokowane, a potem wybuchnęły pełnymi uznania okrzykami i zaczęły klaskać. Ania gapiła się na nią szeroko otwartymi oczami, nie mogła wydusić z siebie słowa, nie dostrzegła panującej wokół wesołości.

Ania z aureolą w kolorze bławatków. Dziewczyna walczyła przerażona najbardziej sprośnymi aspektami szkolenia i garnęła się do Dominiki, oczekując wsparcia. „Musisz do tego przywyknąć” - powtarzała Dominika, ale Ania kulila się w czasie nocnych pokazów i ścisnęła jej rękę, kiedy przed nimi rozgrywało się akrobacyjne jebanie. Ta mała ze wsi tego nie wytrzyma, myślała Dominika. Jej kolor wciąż słabnie.

Pewnego razu, po niespotykanej obrzydliwym filmie, w czasie którego cichutko płakała, Ania przysłała do pokoju Dominiki. Miała czerwone oczy, drżące usta, a błękitne sylaby z trudem wydobywały się z jej ust. Przysłała po pociechę, bała się pomieszania zmy-

słów. Powiedziała im, że wyjeżdża, ale oni powiedzieli jej coś - Bóg jeden wiedział, co takiego - że nie mogła zrezygnować ze szkolenia. Dominika zaciągnęła ją za łazienkową kotarę.

- Musisz to znieść - powiedziała, potrząsając ją delikatnie za ramiona.

Ania szlochała i zarzuciła jej ręce na szyję. Przywarła ustami do jej warg. Mała idiotka cała się trzęsła i Dominika jej nie odepchnęła. Osunęły się na podłogę, a ona trzymała Anię w ramionach, czując jej drżenie. Dziewczyna uniosła głowę, by pocałować ją raz jeszcze, Dominika niemal się odsunęła, ale w końcu raz jeszcze ją pocałowała.

Ten pocałunek podziałał na Anię, która sięgnęła po jej dłoń i skierowała pod szlafrok, wprost na swoją pierś. Na miłość boską, pomyślała Dominika. Nie czuła podniecenia, a tylko smutek z powodu tej dziewczyny. Czy to był ten biseksualizm, o którym miały wykład? Czy mogą je podglądać również tutaj, za zasłoną? Czy mają w pokoju podsłuch? Czy to, co robią, jest poważnym przestępstwem?

Ania trzymała jej dłoń w nadgarstku i wodziła nią po swoim sutku, który nabrzmiął pod tym dotykiem. Poły szlafroka rozsunęły się i Ania pociągnęła jej dłoń niżej, między swoje uda. Perwersja? Dobry uczynek? A może coś innego? Nieznana wyzwolona przodkini, kimkolwiek była, sprawiła, że Dominika się nie cofnęła, choć znalazła się w takim pozacielesnym stanie, że zatrzymanie się było jedynie odrobinę mniej możliwe niż ciągnięcie tego, co się zaczęło. Delikatne palce Dominiki krążyły po małych, doskonałych okręgach, a Ania rozplynęła się i wparła głowę w Dominikę, odsłaniając delikatną, bezbronną szyję.

Dominika siedziała na płytkach, czując jej oddech między swoimi nogami, i uznała, że nie ma już sensu się cofać. Jej tajemne ja mówiło, by poczuła swoje ciało, a zdyszane okrzyki Ani zaczęły wibrować aż w jej żołądku. Oparła głowę o kafelki i złapała brzeg

umywalki, żeby nie stracić równowagi. Wyczuła szylkretową szczotkę prababuszki i wzięła ją do ręki. Tę szczotkę, którą matka czesała ją w dzieciństwie i która była świadkiem i uczestnikiem jej dziewczęcych burz.

Dominika przeciągnęła nią po brzuchu Ani, naciskając delikatnie, lecz uparcie bursztynową krzywizną. Ania wstrzymała oddech, jej rzęsy zatrzepotały, oczy zacisnęły się mocno. Dominika wygięła nadgarstek i ustawiła szczotkę pod odpowiednim kątem, obserwując twarz dziewczyny. Ta otworzyła usta, a pod powiekami ukazały się cienkie białe półksiężycy, jak u trupa w kostnicy.

Ania zeszywniała i zaczęła się trząść, czując w sobie wolne ruchy szczotki. Obróciła mokrą brodę w stronę Dominiki i szepnęła: „Tak, kochanie, jeszcze, tak cię czuję”, a Dominika uśmiechnęła się i patrzyła na małą dojarkę, która znowu zadrżała, gdy włożyła w nią głęboko swoje tajemne ja.

Ania westchnęła po paru minutach i uniosła twarz do pocałunku.

Dosyć, pomyślała Dominika.

- Musisz już iść, szybko! - powiedziała.

Zaczerwieniona Ania owinęła się szlafrokiem, spojrzała na Dominikę i cichutko wyszła. Czy jutro oskarżą ją o coś? Czy ktoś jest w tej chwili za lustrem? Dominika była zbyt zmęczona, by się tym przejmować, i szybko poszła do łóżka. Zapomniana szczotka leżała na podłodze pod umywalką.

Następnego ranka kazano im usiąść w kole na krzesłach na środku dużego, znajdującego się na parterze salonu z kazachskim dywanem. Pierwsza studentka, szczupła brunetka z akcentem z zachodu kraju, gdzieś z okolic Nowogrodu, miała wstać, rozebrać się i przejść dookoła, tak by pozostałe mogły ją ocenić. Wszystkie milczały wstrząśnięte. Dziewczyna zawahała się, ale potem zaczęła się rozbierać. Lekarka i jej asystentka, obie w fartuchach, przyjęły rolę moderatorek, wskazując jej mocne i słabe strony. Kiedy skończyły, poleciły jej usiąść, ale się nie ubierać. Wezwano na-

stępną dziewczynę i cała historia się powtórzyła. Czerwone policzki, gęsia skórka, zagryzione wargi, w pokoju było coraz więcej niepasujących tu nagich ciał, a obok krzeseł leżały żalosne kupki ubrań.

Na szczęście nie było tam mężczyzn. Ania zaczęła wyginać nerwowo ręce, kiedy nieubłagane nadeszła jej kolej, i popatrzyła przerażona na Dominikę. Dominika odwróciła wzrok. Lekarka warknęła, żeby się pospieszyła, kiedy Ania zawahała się przy majtkach. W końcu przyszła jej kolej i Dominika wstała, nie zwracając uwagi na swoje zdenerwowanie. Rozkaz, by się rozbierać przy obcych, wydał jej się obrzydliwy, ale potrafiła się zmusić do posłuszeństwa. Ania wbiła w nią wzrok. Dominika czuła się bardziej zażenowana nie swoją nagością, ale pełną podziwu ciszą, jaka zapanowała w salonie, kiedy zaczęła się przechadzać wzdłuż krzeseł.

- Najlepsza rasa - szepnęła asystentka.

- Najlepsza na wybiegu - poprawiła ją lekarka.

Następnego dnia w kręgu stanął mężczyzna i zdjął krótki szlafrok. Był nagi i powinien był się wykapać i obciąć paznokcie. Lekarka oceniła jego blade ciało, a następnie przyszedł czas na szczegóły. Kolejnego dnia mężczyzna wrócił w towarzystwie niskiej przysadzistej kobiety z farbowanymi na czerwono włosami i spierzchniętymi policzkami oraz łokciami. Rozebrali się i bez większych ceregieli zaczęli uprawiać seks na materacu w środku kręgu studentek. Lekarka pokazywała im różne pozycje, kazała też parze zatrzymywać się w różnych momentach, by coś podkreślić lub zwrócić uwagę zebranych na jakiś szczegół. Para nie wykazywała żadnych uczuć, ani w stosunku do siebie samych, ani partnerów. Kolory wokół nich były tak wyblakłe, że prawie niewidoczne. Było to całkowicie bezduszne.

- Nie mogę na nich patrzeć - zwierzyła się Dominice Ania.

Nabrały zwyczaju chodzenia po śniadaniu na krótki wspólny

spacer po zniszczonym ogrodzie przy domu. - Nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

- Posłuchaj, do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Skąd wzięła się tu ta dziewczyna? W jakim prowincjonalnym mieście ją znaleźli? A potem pomyślała o sobie: A co ze mną? Czy ja też mogę się do wszystkiego przyzwyczaić?

Następny tydzień, tak jak się spodziewała, przyniósł zwielokrotnienie upokorzeń. Znowu salon i krąg krzesel, ale tym razem siedzieli na nich mężczyźni, toporni, w za ciasnych garniturach, źle ostrzyżeni. Studentki miały się przed nimi rozebrać, by mogli je ocenić, pokazując wady figury czy cery. Nie wiadomo było, kim są, ich pieniste żółte obłoczki łączyły się, brukając całą salę.

Ania zakryła poznaczoną łzami twarz, aż lekarka powiedziała jej, żeby nie była głupią krową i natychmiast zabrała łapy. Dominika miała wrażenie, że to sen; opuściła swoje ciało, zamknęła umysł i zniosła uwagi potwornie dziobatego faceta. Kolor, który się z niego wydobywał, zażółcił mu oczy jak u cywety. Patrzyła na niego bez zmużenia oczu, kiedy ją oglądał.

- Za mało ciała - rzucił głośno w przestrzeń. - I ma za małe sutki.

Dwaj inni mężczyźni skinęli głowami na zgodę. Dominika patrzyła na nich tak długo, aż pospuszczali oczy albo zabrali się do zapalania papierosów.

Stwierdziła ze zdziwieniem, że ogarniają obojętność. Obojętność na goliznę, na sprośne komentarze, na obce oczy, wpatrujące się w jej piersi, srom czy pośladki. Mogą robić, co chcą, powtarzała w duchu, ale nie pozwolę im zajrzeć w głąb moich oczu. Inne studentki reagowały bardzo indywidualnie. Idiotka ze Smoleńska z akcentem z południa zalecała się do facetów i kręciła przed nimi biodrami. Ania nigdy nie potrafiła pokonać wstydu. Do zapachu środków dezynfekcyjnych w domu dołączył teraz ostry zapach ich ciał: słodki zapach piżma mieszał się z wonią wody różanej i sza-

rego mydła. A po wyłączeniu światel spoceni wykładowcy siedzieli w swoich klitkach, robili notatki i pilnowali, by nikt nie zasłaniał kamer.

Późno w nocy Ania zapukała do drzwi Dominiki, która uchyliła je i powiedziała, żeby sobie poszła.

- Nie mogę ci już pomagać - dodała.

Ania odwróciła się i zniknęła w zaciemnionej części korytarza.

To nie mój problem, pomyślała Dominika. Wystarczy, że sama muszę walczyć, żeby nie zwariować.

A potem przyjechał autobus pełen młodych kadetów, tych, którzy skończyli szkolenie z najlepszymi wynikami. Kobiety czekały na nich w swoich pokojach; siedziały i patrzyły na chude, posiniaczone ciała, a chłopcy zrzucali buty, zrywali z siebie koszule i spodnie i pieprzyli je jak króliki, aż skończył im się czas. Odjechali, nie oglądając się za siebie, autobus zakołysał się na wybojach, gdy przejechał przez bramę.

Następnego ranka zasiadły w zaciemnionej bibliotece, ale zamiast zwykłego filmu zobaczyły koleżankę z piątki na pojedynczym łóżku z ogolonym kadetem. Kobiety z trudem wytrzymywały ten widok. Czuły wstyd i upokorzenie, widząc siebie z nogami w górze pod poznaczonym krostami ciałem, z obcymi rękami zaciśniętymi niczym szpony na ich chudych barkach. Lekarka zatrzymywała obraz i komentowała poszczególne fragmenty, proponując ulepszenia. Co gorsza, wszystkie zrozumiały, że filmy będą pokazywane w kolejności - najpierw pokój piąty, potem szósty, siódmy i tak dalej. Ania spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach. Zajmowała jedenastkę i musiała wytrzymać nie tylko filmy, ale i czekanie. Dziewczyna wybiegła z płaczem z sali, kiedy skończył się jej fragment. Lekarka nie protestowała. Gadała tylko o tym, co poszło nie tak i co należy poprawić.

Dominika zajmowała dwunastkę, na samym końcu korytarza, dlatego jej fragment był ostatni. Patrzyła na siebie, bezcielesna,

zdziwiona tym, jak ma rozluźnioną twarz, jak mechanicznie obejmuje i prowadzi młodzieńca, jak ciągnie go za ucho, żeby z niej zlaźł, gdy już skończył. W głowie jej się kręciło, ale nie czuła wstydu czy choćby zażenowania. Patrzyła na kolejne obrazy i mówiła sobie, że jest oficerem Służby Wnieszniej Razwiedki Rosyjskiej Fiedieracji.

Następnego dnia Ania nie zeszła na śniadanie. Dwie dziewczyny znalazły ją w pokoju, musiały jednak wyważyć drzwi. Ania zawiązała sobie pończochę na szyi, a drugi jej koniec przymocowała do haczyka na ubrania na drzwiach, a potem po prostu uniosła nogi i się powiesiła. Miała w sobie tyle siły, by nie opuszczać nóg, aż zemdląca. Ciężar ciała sprawił, że pętla zacisnęła się mocno.

Dominika usłyszała krzyki, gdy była w ogrodzie. Pobieгла na górę, odsunęła inne, zdjęła Anię z haczyka i położyła na podłodze.

Opanowało ją poczucie winy i gniew. Czego ta głupia od niej chciała? Dlaczego miała dość siły, by się powiesić, ale nie mogła wytrzymać przez pół godziny z facetem?

Ta śmierć prawie nie wzbudziła reakcji. Niedźwiedź obwąchał ciało, a potem odwrócił się tyłem. Przykrytą Anię wyniesiono z domu na noszach, a jej jasne włosy wystawały spod koca. Nikt nic nie mówił. Zajęcia zaczęły się jak gdyby nigdy nic.

Szkolenie zbliżało się do końca. Sześć jaskółek patrzyło, jak czterech mężczyzn znowu wchodzi do jadalni. Teraz byli już oni świeżo opierzonymi „krukami”, szkolonymi w mniejszym, położonym nieco dalej domu. Trzech wyćwiczyło się w sztuce uwodzenia wybranych przez SWR bezbronnych, samotnych kobiet: niezamężnych sekretarek ministrów, sfrustrowanych żon ambasadatorów, niedocenianych doradczyń generałów. Czwarty uczył się czegoś innego - miał się przyjaźnić z nieśmiałymi mężczyznami, takimi jak programiści, attachés wojskowi, czasami starsi dyplomaci, spragnionymi w głębi serca męskiej przyjaźni i miłości, ale jednocześnie bojącymi się ujawnienia swoich preferencji. Męż-

czyżni mówili z dumą, że wiele musieli wycierpieć w czasie szkolenia. Trudno im było o partnerki, szeptał Dimitrij, musieli się więc zadowolić brudnymi dziewczętami z pobliskich wiosek, kochali się z kocmołuchami o ziemistej cerze, dowożonymi z kazańskich fabryk. Dominika nie pytała o czwartego kruka - jak i na kim ćwiczył.

- Ale teraz jesteśmy biegli w sztuce miłości - zakończył Dimitrij. - Staliśmy się prawdziwymi ekspertami. - Rozłożył ramiona i spojrzał na nie spod rzęs.

Dziewczyny popatrzyły na niego bez słowa. Ich twarze były zamknięte, naznaczone sceptycyzmem, fatalizmem i brakiem wiary. Przypominały twarze prostytutek z Twerskiej w Moskwie. Owoce szkoły jaskółek, pomyślała Dominika. Ania nie była jedyną ofiarą tego, co się tutaj działo.

O północy wyjechali na lotnisko, opuszczając bez żalu ciemną posiadłość. Szkoła kurew miała być zamknięta aż do przyjazdu następnych kursantów. Ciemny sosnowy las żegnał ich milczeniem. Samolot zatoczył koło nad kominami zakładów przemysłowych Kazania, a potem poleciał na zachód nad niewidocznym krajobrazem. Po godzinie zobaczyli światła Niżnego Nowogrodu, przeciętego czarną wstęgą Wołgi. Następnie zaczęli powoli schodzić nad bezsenną Moskwę. Dominika już nigdy nie zobaczy nikogo z kursu.

Następnego dnia miała się zameldować w wydziale V w centrali i rozpocząć pracę jako podoficer wywiadu. Myślała o Siemionowie, szefie Piątki, i innych pracujących tam wywiadowcach. Jak będą na nią patrzeć? Co powiedzą? Cóż, pomyślała, wyszkolona kurtyzana wróciła ze stepów i teraz zamierzała żyć tu, w ich świecie.

Salon był ciemny, kiedy weszła do niego jeszcze przed świtem, ale po chwili w korytarzu pojawiła się matka w szlafroku.

- Usłyszałam twoje kroki - powiedziała, a Dominika wie-

działa, że chodzi jej o utykanie na schodach. Objęła ją najpierw, a potem w geście pokuty pocałowała jej dłoń ustami ćwiczonymi w sztuce niszczenia mężczyzn.

TOKMACZ ZE SZKOŁY JASKÓŁEK

W wołowym wywarze gotujemy grubo pokrojone ziemniaki, cienko pokrojoną cebulę i marchewkę, aż warzywa staną się miękkie. Dodajemy cienkiego makaronu i gotujemy jeszcze przez jakiś czas. Kładziemy na talerze po kawałku gotowanej wołowiny, a następnie zalewamy zupą.

9

Następnego ranka, wciąż zmęczona po locie, Dominika zameldowała się w Piątce. Przeszła jasnozielonym korytarzem do gabinetu Siemionowa, gdzie powiedziano jej, że pułkownik wyjechał i żeby przyszła później. Wysłano ją więc najpierw do kadr, potem do działu ewidencji operacyjnych i na koniec do archiwum.

Kiedy wychodziła zza rogu korytarza, natknęła się na samego pułkownika, który rozmawiał z siwym mężczyzną w ciemnoszarym garniturze. Zauważyła, że ma on krzaczaste brwi i miły uśmiech. Mężczyzna zmrużył swoje czyste brązowe oczy. Siemionow krótko ich sobie przedstawił: generał Korcznoj, szef wydziału Ameryki, kapral Jegorowa. Dominika słyszała już to nazwisko, zdawała sobie sprawę z pozycji generała. W przeciwieństwie do wyblakłego Siemionowa Korcznoj był skąpany w kolorze, tak wyrazistym jak u nikogo innego. Aksamitny fiolet, głęboki i żywy.

- Kapral Jegorowa wróciła właśnie ze szkolenia w Kazaniu - poinformował z lekkim uśmieszkiem Siemionow. Wszyscy tu wiedzieli, co to znaczy. Dominika poczuła, że krew napływa jej do policzków. - Ma też pomóc w dotarciu do tego dyplomaty, o którym panu mówiłem, generale.

- Więcej niż pomóc - wtrąciła Dominika, patrząc na Siemionowa, a potem na Korcznoja. - Skończyłam z wyróżnieniem AWZ.

- Nie wspomniała o szkole jaskółek, przeklinając w duchu Siemionowa. Wiedziała, o co mu chodzi, ale nie potrafiła rozgryźć Korcznoja. Trudno było odgadnąć, co myśli.

- Słyszałem o pani osiągnięciach w akademii - rzekł enigmatycznie generał. - I cieszę się, że mogę panią poznać. - Generał uścisnął jej dłoń mocno, rzeczowo. Siemionow patrzył z uśmiechem, myśląc, że Korcznoj jako jeden z pierwszych oficerów zapuści żurawia za jej dekolt. Za pół roku będzie pracować w biurze

jakiegoś generała, no i na jego kanapie... Zaskoczona i mile po-
łechtana Dominika podziękowała generałowi i ruszyła dalej kory-
tarzem. Obaj mężczyźni patrzyli za nią.

- Bardziej gorąca niż bania w Jakucku - szepnął Siemionow,
kiedy Dominika zniknęła za rogiem. - Wie pan, że jest bratanicą
zastępcy szefa?

Korcznoj skinął głową.

- Tak czy tak będą z nią kłopoty - mruknął Siemionow, a
Korcznoj wciąż milczał. - Chce być oficerem operacyjnym. Ale
niech pan popatrzy, wygląda jak jaskółka. To dlatego Jegorow
wysłał ją do Kazania.

- A Francuz? - zapytał Korcznoj.

Kolejny pomruk.

- *Polowaja zapadnia*. Zwykła sekspułapka. Kwestia paru ty-
godni. Facet zajmuje się handlem, wyciśniemy z niego, co się da, i
załatwione. - Skinął głową w stronę korytarza. - Chce zapoznać się
z jego teczką, zaangażować się w tę sprawę... Ale tak naprawdę,
zaangażuje tylko to, co ma między nogami.

- Powodzenia, panie pułkowniku - powiedział z uśmiechem
Korcznoj i uściśnął jego dłoń.

- Dziękuję, panie generale.

Dominika dostała pokój na rogu sekcji francuskiej wydziału V.
Patrzyła przez moment na dwie pozbawione okien ściany, które
zbiegały się przy końcu odrapanego biurka. Jego blat był pusty z
wyjątkiem starej drewnianej tacy, do której ktoś niedbale wrzucił
dwie grube teczki. Siemionow miał jej w końcu na tyle dość, że je
przysłał. Szaroniebieskie okładki z czarnymi ukośnymi paskami
były wytarte w rogach i nosiły ślady zapoconych rąk. *Osobaja
papka*. Jej pierwsze teczki operacyjne. Otworzyła jedną i zaczęła
wchłaniać słowa i kolory.

Celem był Simon Delon, czterdziestoosmioletni pierwszy se-
kretarz działu handlowego Ambasady Francuskiej w Moskwie. Był

żonaty, ale żona została w Paryżu. Delon jeździł tam z rzadka na rodzinne wizyty, więc FSB natychmiast namierzyła go jako „geograficznego kawalera”. Najpierw obserwował go jeden wywiadowca, ale z upływem czasu dyplomata budził coraz większe zainteresowanie, więc zaczęło go śledzić więcej wywiadowców z FSB. Spędzali oni masę czasu ze swoim królikiem. Dwunastoo-sobowa grupa odprowadzała go do pracy i układała do snu. Z kopert powkładanych między kolejne strony akt wysypały się zdjęcia: samotny Delon nad rzeką, samotny Delon na lodowisku Dynama, Delon sam w restauracji.

Dominika wygładziła pognieciony raport z obserwacji. Skorzystali z lusterka, by śledzić, jak długonoga prostytutka przesuwa dłonią po udzie Delona w małym szemranym barze przy Krymskim Wale. „Obserwowany poczuł się nieswojo, był zdenerwowany, nie chciał (nie mógł?) kontynuować” - przeczytała Dominika. Biedny, to nie jego świat, pomyślała.

Dodatek techniczny. Podszuch w salonie zanotował na taśmie: 2036:29 wkładanie naczyń do zlewu. 2212:34 cicha muzyka. 2301:47 udał się na spoczynek.

Zamontowali podsłuch w telefonie w centrali telefonicznej, by sprawdzić jego cotygodniowe telefony do żony. Dominika przeczytała ich zapisy po francusku. Pani Delon była niecierpliwa i pełna lekceważenia. Pan Delon malutki i cichy. „Pozbawione seksu i radości małżeństwo z niecierpliwą kobietą” - zapisał ktoś na marginesie.

W którymś momencie obserwacji Francuza do gry włączyła się SWR i odsunęła od niej FSB - sprawa była zagraniczna, a nie krajowa. Druga teczka zaczynała się od oceny osobowej, napisanej w stylu sowieckiego półanalfabety, który tak wyśmiewali w akademii. „Cel nadaje się do operacyjnej inwigilacji w najwyższym stopniu. Brak zauważalnych wad. Seksualnie niezaspokojony. Dobry dostęp do zastrzeżonych informacji. Uznany za nieśmiałego

i nieagresywnego. Podatny na szantaż, biorąc pod uwagę jego małżeństwo, na którym skorzystał materialnie” - i tak dalej w tym stylu.

Dominika wyprostowała się na krześle, popatrzyła na teczki i pomyślała o swoim szkoleniu w AWZ. Było jasne, że to mała sprawa i w grę wchodziły последние informacje. Delon może być samotny i bezbronny, ale w ambasadzie nie dopuszczą go do najważniejszych dokumentów. Czy Piątka nie ma nic lepszego poza tym głównym? Stało się dla niej jasne, że Siemionow nakręca całą sprawę. Czy przeszła przez akademię i szkołę kurew tylko po to, by się tak prostytuować? Czy całe służby działają w ten sposób?

Pojechała windą do bufetu, kupiła jabłko i wyszła na rozświetlony taras. Usiadła nieco dalej od ławek, na niskim murku, ciągnącym się wzdłuż żywopłotu, zdjęła buty, zamknęła oczy i cieszyła się ciepłem cegieł pod stopami.

- Mogę się przysiąc?

Przestraszyła się na dźwięk tego głosu. Otworzyła oczy i zobaczyła nienagannie ubranego generała Korcznoja z wydziału Ameryki. Miał zapięty garnitur i stał ze złączonymi stopami niczym szef kelnerów w eleganckiej restauracji. Słońce sprawiało, że jego fioletowa aureola nabrała jeszcze żywszej barwy, tak że prawie można jej było dotknąć. Dominika poderwała się z miejsca, starając się włożyć buty.

- Proszę nie zakładać butów, pani kapral - rzekł ze śmiechem Korcznoj. - Sam chętnie zdjąłbym swoje i zanurzył stopy w chłodnej wodzie.

Dominika zaśmiała się.

- Więc może pan tak robi. Jest naprawdę przyjemnie.

Korcznoj spojrzał na jej błękitne oczy, kasztanowe włosy i szczerą twarz. Jaki podoficer ośmieliłby się powiedzieć coś takiego do generała? Jaki kadet po szkole z niepewną przyszłością miałby tyle odwagi? Szef wydziału w SWR, odpowiedzialny za wszystkie

operacje wywiadu na północnej półkuli, zdjął buty, a potem skarpetki i oboje usiedli na słońcu.

- Jak tam praca, pani kapral? - spytał Korcznoj, rozglądając się po okalających taras drzewach.

- To mój pierwszy tydzień. Mam już biurko, tacę i czytam swoją pierwszą teczkę.

- Pierwszą teczkę operacyjną? I jak się pani podoba?

- Dosyć ciekawa - odparła, myśląc o jej ubóstwie, wątpliwych konkluzjach i fałszywych rekomendacjach.

- Nie wyczuwam w pani entuzjazmu - zauważył Korcznoj.

- Jestem bardzo zainteresowana tą sprawą - zapewniła Dominika.

- Ale? - spytał generał, obracając się trochę w jej stronę.

Słońce oplotło jego krzaczaste brwi pajęczą siecią.

- Potrzebuję chyba więcej czasu, by się oswoić z teczkami - rzuciła Dominika.

- To znaczy? - spytał łagodnie, ze szczerym zainteresowaniem Korcznoj.

Dominika poczuła, że dobrze się z nim rozmawia.

- Po przeczytaniu tej teczki nie zgodziłam się z wnioskami.

Nie wiem, jak można było do nich dojść.

- A z czym konkretnie?

- Chodzi o cel o niewielkim znaczeniu - odparła, świadomie ukrywając szczegóły operacji. - Jest on samotny i łatwy, ale nie wiem, czy wart zachodu. W akademii mówili nam o marnotrawieniu środków operacyjnych, o śledzeniu nieodpowiednich celów.

- Kiedyś kobiety nie miały wstępu do akademii - zauważył generał, poddając ją próbie. - Kiedyś podoficerowie nie mogli poznawać informacji z operacji w toku, a tym bardziej ich krytykować. - Spojrzał w południowe słońce i zmrużył oczy. Królewska purpura.

- Bardzo przepraszam, panie generale. - Wiedziała, była

pewna, że nie jest zły. - Nie chciałam nikogo krytykować i w ogóle
powinam trzymać język na wodzy. - Popatrzyła, jak mruży oczy,
spokojny, wyczekujący. Instynkt podpowiadał jej, że powinna mu
powiedzieć, co myśli. - Przepraszam raz jeszcze, ale moim zdaniem
ta sprawa jest wątpliwa. Nie wiem, skąd te konkluzje, bo choć sama
mam małe doświadczenie, to chyba wszyscy widzą, że gra niewarta
jest świeczki.

Korcznoj spojrział na spokojną i pewną siebie Dominikę i zachichotał.

- Powinna pani umieć ocenić to, co czyta. A ci idioci z akademii mają rację, powinniśmy być bardziej wydajni. To, co było kiedyś, już się nie liczy, tylko trudno nam o tym pamiętać.

- Nie chciałam nikogo urazić - wtrąciła Dominika. - Przede wszystkim zależy mi na pracy.

- Ma pani rację. - Generał uśmiechnął się do niej. - Proszę uporządkować fakty i argumenty i mówić prosto z mostu. Niektórzy źle to przyjmą, ale proszę się nie zrażać. Życzę powodzenia. - Podniósł się z murku i wziął swoje skarpety i buty. - A tak swoją drogą, jak się nazywa ten cel? - Zauważył, że się waha. - Pytam z czystej ciekawości.

Dominika w mgnieniu oka zrozumiała, że nie ma co być naiwną. Jeśli nawet nie znał tego nazwiska, mógł się go dowiedzieć w ciągu paru sekund.

- Delon - odparła. - Z francuskiej ambasady.

- Dziękuję. - Obrócił się, trzymając skarpety i buty i ruszył w dół ścieżką.

Nie spodziewała się niczego więcej, ale problemy zaczęły się podczas codziennej sesji planistycznej. Dominika weszła, trzymając w rękach obie teczki, i usiadła przy końcu wyblakłego stołu wraz z trzema innymi oficerami z wydziału V, którzy zajmowali się Francją, krajami Beneluksu, południem Europy i Rumunią.

Wszyscy oni byli ubrani na brązowo i szaro. Uderzył ją brak energii

wyczuwalny w pokoju. Ci ludzie nie wkładali uczucia w to, co robili, nie było w tym wyobraźni ani pasji.

Całą ścianę zakrywała olbrzymia mapa Eurazji, na zakurzonych szafkach stało kilka telefonów. Gdy weszła do środka, mężczyźni przerwali rozmowę. Wszędzie rozeszły się już plotki o pięknej absolwentce szkoły jaskółek. Dominika odwzajemniała ich spojżenia, ledwo zauważając stężałe twarze, pytające uśmieški.

Brązy, szarości - brudne kolory z brudnych umysłów. Tanie aluminiowe popielniczki, stojące na środku stołu, pełne były niedopałków.

- Czy są jakieś wstępne komentarze? - spytał Siemionow.

Był tak samo pozbawiony wyrazu i niezainteresowany jak w czasie ich pierwszego spotkania. Spojrzał na trzy siedzące przy stole osoby. Obrócił się w stronę Dominiki, zachęcając ją do zabrania głosu, a ona nabrała powietrza w płuca.

- Za pozwoleniem pana pułkownika chciałabym omówić dostęp celu do informacji - zaczęła. Słyszała bicie swego serca.

- Oceniliśmy już ten dostęp - odparł Siemionow. Jego ton wskazywał, że Dominika nie powinna się przejmować szczegółami operacji. - I uznaliśmy, że warto zwerbować cel. Pozostaje tylko kwestia jak - dodał, patrząc na siedzących obok oficerów.

- Obawiam się, że nie jest ona do końca właściwa - rzekła Dominika.

Mężczyźni unieśli głowy, by na nią popatrzeć. Co to takiego?

Zarozumiałstwo? U absolwentki akademii? Jaskółki? Natychmiast przenieśli wzrok na Siemionowa, czekając na jego reakcję. Szykowała się dobra zabawa.

Pułkownik opadł na krzesło i położył ręce na stole. Dzisiaj unosiła się nad nim żółtawa poświata. Ktoś taki nie przyjmie żadnych sprzeciwów. Oczy miał czerwone i wodniste, siwe włosy były zmierzwiłone.

- Jesteście tu, towarzysko, by pomóc w dostępie do samego

celu - powiedział. Kwestie związane z ocenianiem, prowadzeniem i opracowaniem informacji będą należały do innych pracowników. Pochylił się i wbił wzrok w Dominikę. Wszystkie głowy obróciły się w jej stronę. To już na pewno koniec dyskusji. Przycisnęła dłonie mocno do teczek, by się uspokoić.

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę się z t o w a r z y s z e m zgodzić - powiedziała, świadomie kładąc nacisk na anachronizm. - Zostałam jednak przydzielona do tej sprawy jako oficer operacyjny. Chciałabym więc uczestniczyć we wszystkich jej fazach.

- Oficer operacyjny? - powtórzył Siemionow. - Absolwentka akademii?

- Tak - odparła.

- Kiedy ją pani skończyła, pani kapral?

- Niedawno.

- A potem? - Siemionow potoczył dookoła wzrokiem.

- Miałam specjalistyczne szkolenie.

- Jakiego rodzaju? - naciskał pułkownik.

Była na to przygotowana. Siemionow doskonale wiedział, gdzie ją posłali, i teraz próbował ją upokorzyć.

- Byłam na kursie podstawowym w Instytucie Kona - odparła przez mocno zaciśnięte wargi. Nie cofnie się przed tymi swołoczami, nie da się pognać. Jednocześnie w myśli przeklęła wujka Wanię.

- A tak, w szkole jaskółek - rzucił Siemionow. - Właśnie dlatego tu panią zaprosiliśmy. Chodzi o c z y n n y udział w zwerbowaniu Delona.

Jeden z mężczyzn przy stole niemal zaśmiał się szyderczo.

- Bardzo mi przykro, panie pułkowniku, ale jestem pełnoprawnym członkiem tego zespołu - powiedziała Dominika.

- Rozumiem - mruknął. - Czytała pani papiery Delona?

- Obie teczki - odparła.

- To godne pochwały - rzekł. - I jakie wstępne wnioski ma pani

na temat tej sprawy?

Dym unosił się do sufitu, wszyscy w pokoju umilkli. Dominika rozejrzała się po twarzach mężczyzn, którzy próbowali ją ocenić. Przełknęła ślinę.

- Najważniejsza jest kwestia jego dostępu do informacji. Nasz cel, Delon, jest urzędnikiem do spraw handlu średniego szczebla i nie ma dostępu do poufnych danych, co pozwalałoby na wykorzystanie czernoty.

- Tak, a co pani wie o szantażu? - spytał nieco rozbawiony Siemionow. - Tak od razu po akademii.

- Sam Delon nie jest wart takiego wysiłku - powtórzyła.

- W wywiadzie mamy wielu oficerów, którzy by się z panią nie zgodzili - powiedział już twardszym tonem. - Delon ma dostęp do danych handlowych Francji i Unii Europejskiej. Wie dużo o budżecie, programach, inwestycjach, polityce energetycznej.

Chciałaby pani zrezygnować z tych informacji?

Dominika potrząsnęła głową.

- Wie tyle, co inni nasi informatorzy z francuskich ministerstw w Paryżu. Poza tym mielibyśmy te dane z pierwszej ręki i bez opóźnień.

Chmurny Siemionow rozparł się na swoim krześle.

- Dużo się pani nauczyła w akademii. Więc pani zdaniem nie powinniśmy rozpocząć tej operacji? Że mamy dać spokój naszemu celowi?

- Chcę tylko powiedzieć, że ryzyko związane ze skompromitowaniem zachodniego dyplomaty w Moskwie nie jest usprawiedliwione jego dostępem do informacji.

- Niech pani idzie i jeszcze raz przeczyta te papiery, pani kapral - warknął Siemionow. - I wróci, kiedy będzie pani miała coś konstruktywnego do dodania.

Wszyscy patrzyli na Dominikę, która wstała, wzięła teczkę i przeszła przez cały pokój do drzwi. Wyprostowała się i skoncen-

trowała na klamce. Gdy zamykała drzwi, dotarły do niej jeszcze zduszone pomruki i chichoty.

Kiedy następnego ranka weszła do swego pokoju, na podnieszczonej tacy leżała zwykła biała koperta. Rozcięła ją ostrożnie paznokciem i otworzyła pojedynczą kartkę, na której znalazła pojedynczą linijkę tekstu, zapisaną klasycznym pismem, fioletowym atramentem:

„Delon ma córkę. Proszę słuchać swojego instynktu. K”.

Następnego dnia zasiedli do stołu, na którym znajdowały się zdjęcia i raporty z obserwacji. W popielniczkach leżały stosy pe-tów. Dominika podeszła do swego miejsca przy końcu stołu.

Mężczyźni nie zwrócili na nią uwagi. Przeglądali analizę i ocenę Delona, kopiąc przy tym jak kominy. Robili to bez przekonania, zerkając co jakiś czas na zegar. Nad żadnym nie unosił się podstawowy kolor. Omówili jego nawyki i stałe czynności, opierając się na informacjach od wywiadowców, sprzecząc się odnośnie do miejsc, gdzie można by nawiązać kontakt. Jak zwykle znudzony Siemionow spojrzał na Dominikę.

- I jak, pani kapral, czy ma pani jakieś pomysły w tej kwestii?

Oczywiście zakładając, że zmieniła pani pogląd na całą operację.

- Przeczytałam ponownie papiery Delona - odparła bez zająknięcia. - I wciąż wydaje mi się, że ten cel nie jest wart zachodu. - Tym razem przy stole wciąż panował spokój, mężczyźni wpatrywali się w raporty, które mieli przed sobą. Ta *łastoczka* nie zagrzeje długo miejsca w Piątce, pewnie w ogóle szybko wyleci z wywiadu.

- Tak? Ciekawe... - mruknął Siemionow. - Chce więc pani, żebyśmy mu odpuścili?

- Nic takiego nie powiedziałam - odparła Dominika. - Moim zdaniem powinniśmy go zwerbować, wykorzystując to, że jest samotny. - Otworzyła jedną z teczek. - Ale to nie Delon powinien być naszym ostatecznym celem.

- Co to za bzdury? - warknął Siemionow.

- Ta informacja jest już w papierach. Musiałam tylko trochę pogrzebać - powiedziała Dominika.

Siemionow rozejrzał się po sali, a potem wbił wzrok w Dominikę.

- Ta sprawa była już dokładnie zbadana...

- I odkryłam, że Delon ma córkę - przerwała mu Dominika.

- Tak, i żonę. W Paryżu. Nic nowego!

- Jego córka pracuje w Ministerstwie Obrony.

- Mało prawdopodobne - fuknął Siemionow. - Sprawdzono całą rodzinę. Nasza paryska rezydentura nic o tym nie wspominała.

- Więc najprawdopodobniej im to umknęło. Ma dwadzieścia pięć lat, jest samotna i mieszka z matką. Ma na imię Cécile.

- To niedorzeczne - mruknął Siemionow.

- Jego córka pojawia się tylko raz w zapisach rozmów, ale sprawdziłam ją w katalogu wywiadu zagranicznego - powiedziała Dominika, przerzucając kolejne kartki. - Nazwisko Cécile Denise Delon pojawia się w katalogu Rue Saint-Dominique, co wskazuje na centralny katalog Ministerstwa Obrony. - Dominika powiodła wzrokiem po wpatrzonych w nią mężczyznach. - O ile wiem, oznacza to, że ma dostęp do tajnych biuletynów, opracowywanych na potrzeby rządu. Jest jednym ze strażników francuskich planów wojskowych. Najprawdopodobniej zajmuje się rozpowszechnianiem i przechowywaniem raportów na temat budżetu wojskowego oraz gotowości i liczebności armii.

- To tylko spekulacje - rzucił Siemionow.

- Nie wiem, gdzie Francuzi przechowują tajne dokumenty na temat broni nuklearnej, ale wcale bym się nie zdziwiła...

- Nie ma co gdybać - przerwał jej Siemionow.

Żółta mgła nad jego głową narastała i robiła się coraz ciemniejsza. Dominika wiedziała, że jest sfrustrowany, zły i myśli o tym, co dalej. Jej dotychczasowy opór i niesubordynacja wystarczyły, by usunąć ją z wywiadu.

W pokoju zapanowała grobowa cisza. W Siemionowie obudziły się przedpotopowe sowieckie instynkty i zaczął biurokratyczne kalkulacje. Natychmiast też przestawił się na tok myślenia typowego kagiebisty: Ta carówna z ważnym nazwiskiem spowodowała, że wyszedłem na idiotę. Jak mogę przynajmniej trochę skorzystać z tego, co odkryła? Jeśli ma rację, nagroda może być naprawdę wielka, ale wiąże się to ze sporym ryzykiem. Operacja dotycząca Ministerstwa Obrony Francji będzie musiała uzyskać aprobatę wszystkich ważnych instytucji.

- Jeżeli to prawda, może się to wiązać z dodatkowymi korzyściami - rzekł powściągliwie. Mówił takim tonem, jakby od początku o wszystkim wiedział. Strząsnął popiół do popielniczki.

Dominika widziała jego oleiste, wilgotne myśli.

- Zgadza się, panie pułkowniku. Na tym polega prawdziwy potencjał Delona. Dlatego właśnie warto zaryzykować werbunek. Siemionow potrząsnął głową.

- Ta córka jest w Paryżu, dwa i pół tysiąca kilometrów od Moskwy.

- Myślę, że nie aż tak daleko - powiedziała z uśmiechem Dominika. - Zobaczymy. - Siemionow poczuł niepokój na widok jej uśmiechu. - Oczywiście będziemy musieli zebrać więcej danych na temat relacji ojca z córką.

- Oczywiście. Dziękuję, pani kapral - mruknął.

Jeszcze parę minut, a przejmie cały wydział V! Dobrze, pomyślał. Niech się zajmuje przygotowaniem operacji. Ale jak tylko ta się zacznie, już zadba on o to, by znalazła się na kanapie z nogami w górze i wywiadowcą, który to wszystko dokładnie sfilmuje.

- A skoro udało się pani ustalić ten ciekawy szczegół, proponuję jeszcze, żeby zastanowiła się pani, jak nawiązać kontakt z Delonem - zwrócił się ponownie do Dominiki.

- Za pozwoleniem, panie pułkowniku, opracowałam już z grubsza plan pierwszego kontaktu.

- Tak...

Oficerowie odsunęli się od stołu i zgasili niedopałki. *Boże moj*, plotki mówiły tylko o tym, że ta jaskółka ma błękitne oczy, o rozmiarze jej spódnicy, o biuście. Nikt nie wspomniał, że ma takie jaja. Wyszli z pokoju, a Dominika zaczęła zbierać rozrzucone papiery; była nowa i musiała tu sprzątać. Nie miała nic przeciwko temu. Złożyła kartki i ułożyła je w wytartych teczkach Delona, a potem wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Przy Bulwarze Nikickim pod numerem dwunastym na Arbacie znajduje się restauracja o nazwie Jean Jacques. Przypomina ona francuską *brasserie* i jest pełna dymu i hałasów, przesycona zapachem *cassoulet* i potrawek. Stoliki z białymi obrusami stoją niemal jeden na drugim na podłodze z czarno-białych płytek, a między nimi krzesła z giętego drewna. Półki przy ścianie są od góry do dołu zastawione butelkami, a przy półokrągłym barze znajdują się stołki. W restauracji zawsze pełno jest moskwian i jeśli przyjdzie się tu samemu, trzeba dzielić stolik z kimś obcym.

W południe w dżdżysty wtorek restauracja była jeszcze bardziej zatłoczona niż zwykle. Klienci stali w jej wnętrzu albo przed drzwiami pod markizą i czekali, aż zwolnią się miejsca. Hałas obezwładniał, dym papierosowy unosił się nad wszystkimi ciężką chmurą. Kelnerzy zwijali się między stolikami, niosąc tace z jedzeniem i otwierając butelki. Po kwadransie czekania Simon Delon z Ambasady Francuskiej w Moskwie mógł wreszcie zająć miejsce przy dwuosobowym stoliku w kącie lokalu. Przy drugim nakryciu siedział młody człowiek, który kończył gęstą, pełną warzyw i mięsa potrawkę z Dijon. Maczał właśnie kawałek ciemnego chleba w sosie i tylko skinął głową, kiedy Delon usiadł przed nim.

Simon Delon lubił tę restaurację, mimo hałasu i ciasnoty, gdyż przypominała mu Paryż. Co więcej, to, że dosadzano tutaj klientów, pozwalało czasem na spotkanie z ładną studentką lub atrakcyjną sprzedawczynią. Kobiety czasami uśmiechały się do niego, jakby

byli razem. Tak to przynajmniej musiało wyglądać.

Zamówił lampkę wina i zaczął przeglądać menu. Młody człowiek zapłacił rachunek, wytarł usta i sięgnął po wiszącą na krześle marynarkę. Delon uniósł wzrok i ujrzał piękną, ciemnowłosą kobietę z lodowato błękitnymi oczami, która zbliżała się do jego stolika. Wstrzymał oddech, a kobieta usiadła na miejscu zwolnionym przez młodzieńca. Miała włosy zaczesane do góry, a pod jej kołnierzykiem widać było pojedynczy sznur pereł. Pod lekkim płaszczem dostrzegł beżową bluzkę z satyny i czekoladową spódnicę z paskiem ze skóry aligatora. Wypił spory łyk wina, obserwując, jak materiał bluzki przesuwają się po jej ciele.

Kobieta wyjęła z torebki ze skóry aligatora prostokątne okulary do czytania i założyła je na koniec nosa, aby przejrzeć menu. Wyczuła jego spojrzenie i podniosła wzrok. Przerażony pochylił się nad swoim jadłospisem. Jeszcze jedno spojrzenie i dostrzegł jej eleganckie palce, krzywiznę szyi, rzęsy nad tymi oczami, które prześwieślały go niczym promienie rentgena. Znowu na niego spojrziała.

- *Izwienitie, szto nibud' słuczyles'?* - spytała Dominika.

Delon zadrżał i nieśmiało przełknął wino. Wyglądał na faceta po pięćdziesiątce; miał proste jak słoma, brązowe włosy, zaczesane w poprzek wielkiej głowy wspartej na cienkiej szyi i wąskich, zaokrąglonych ramionach. Tego mysiego wizerunku dopełniały małe czarne oczka, szpiczasty nos i wydęte usta z niewielkim wąsikiem nad nimi. Jeden z końców kołnierzyka koszuli wystawał spod czarno-niebieskiej marynarki, a węzeł krawata był za mały i nierówny. Dominika musiała się powstrzymać, by nie wygłodzić mu kołnierzyka i nie poprawić krawata. Wiedziała, kiedy się urodził, jaką aspirynę ma w szafce w łazience i pościel w swoim samotnym łóżku. Cóż, rzeczywiście wygląda jak attaché handlowy, pomyślała.

Delon nie mógł jej spojrzeć w oczy. Czują, jak wiele kosztuje

go, żeby się odezwać. Kiedy w końcu to zrobił, jego słowa były bladobłękitne, podobne do koloru aury Ani ze szkoły jaskółek. Wziął głęboki oddech, a Dominika czekała. Wiedziała już, że dobrze go oceniła, że cała sprawa właśnie się zaczyna.

- Przepraszam, ale nie znam rosyjskiego - powiedział po angielsku. - *Do you speak English?*

- *Yes, of course* - odpowiedziała.

- *Et français?*

- *Oui.*

- To wspaniale. Przepraszam, że tak się gapiłem - zaciął się. -

Pomyślałem, jak to dobrze, że znalazła pani miejsce. Długo pani czekała?

- Niezadługo - odparła, rozglądając się po restauracji. - Zresztą niech pan spojrzy, teraz jest mniej ludzi.

- No cóż, cieszę się, że ma pani miejsce - powtórzył Delon, któremu brakowało tematu do rozmowy.

Dominika skinęła głową i zagłębiła się w menu. To, że zajęła miejsce naprzeciwko Delona, nie miało nic wspólnego ze szczęściem. Tego dnia wszyscy klienci w Jean Jacques byli agentami SWR.

Przy drugim spotkaniu w Jean Jacques mogła już mu się przedstawić - Nadia. A kiedy następnym razem wpadli na siebie przed wejściem do *brasserie*, myszowaty dyplomata nabrał odwagi i zaprosił ją na lunch. Następnie wybrali się do innej restauracji, gdzie Delon miał atak potwornej nieśmiałości i zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Pił umiarkowanie, mało mówił o sobie i ukradkiem pocierał lśniące czoło, patrząc, jak Dominika w roz-targnieniu zatyka sobie za ucho pasemko włosów. W czasie kolejnych spotkań stawał się coraz bardziej rozmowny, a otaczająca go aura robiła się bardziej niebieska. Właśnie na to czekała.

Delon bez zastrzeżeń kupił legendę operacyjną o tym, że jest nauczycielką języków w firmie Liden & Denz przy ulicy Gruzin-

skiej. Milczał grzecznie, kiedy mówiła o mężu, z którym ma niewielki kontakt, pracującym jako geolog na wschodzie w innej strefie czasowej, udał również uprzejmie brak zainteresowania, kiedy wspomniała o swoim malutkim mieszkanku, którego jedyną dobrą cechą było to, iż miała je tylko dla siebie. Jednak w jego głowie panował prawdziwy zamęt.

Siemionow pragnął działać szybko; chciał, żeby Dominika przeciągnęła Francuza do łóżka, a potem go przyskrzynić. Dominika opierała się, spowalniała wszystko, balansowała na granicy nie-subordynacji. Wiedziała, że pułkownik chce ją wykorzystać jako jaskółkę, że na tym ma się skończyć jej rola, bo Siemionow nie docenia tego, co mogłaby uzyskać w inny sposób. Ona natomiast akcentowała potrzebę rozpracowania Delona, co było podwójnie ważne ze względu na jego córkę, która mogła się stać źródłem informacji. Siemionow starał się nad sobą panować, kiedy ta kształtna absolwentka akademii udzielała mu porad, informowała o postępach operacji i proponowała następne kroki.

Była to klasyczna *razrabotka*, która powinna zająć kilka tygodni. Dominika przechodziła z Francuzem poprzez stadia pobieżnej znajomości aż po przyjaźń i zaufanie, obserwując, jak zaczyna się przy niej odprężyć, przyzwyczajając się do niej, ukrywać, że za nią tęskni. Przewidywała jego potrzeby, popychała w odpowiednim kierunku, napomykała, że coraz bardziej go lubi. Delon nie mógł w to uwierzyć. Był w niej coraz bardziej zadurzony, ale wiedziała, że jest zbyt nieśmiały, zbyt przestraszony, by choćby spróbować jej się narzucić. Pomyślała, że jeśli poczuje się oszukany lub skompromitowany, nie będzie dobrym współpracownikiem. Werbunek powinien się opierać tylko na przyjaźni, na jego rosnącym zaangażowaniu, na tym, że w końcu niczego nie będzie jej mógł odmówić.

Spotykali się raz na tydzień, potem dwa razy, a następnie zaczęli w czasie weekendów chodzić na spacerów lub do muzeów. Sytuacja

skłaniała ich do dyskrecji, w końcu oboje mieli małżonków. Rozmawiali o jego rodzinie, beztroskim dzieciństwie w Bretanii, rodzicach. Dominika musiała być ostrożna. Delon był zółwiem, który natychmiast schowałby się w swojej skorupie, gdyby go przestraszyła.

Po jakimś czasie zaczął jej niepewnie opowiadać o swoim pozabawionym miłości małżeństwie. Jego żona była parę lat od niego starsza, pochodziła z arystokratycznej rodziny i zawsze robiła wszystko tak, jak chciała. Jej rodzina miała pieniądze, dużo pieniędzy, a oni pobrali się po krótkim narzeczeństwie. Żona chciała zrobić z niego kogoś, zapewnić mu pozycję i tytuły, korzystając z rodzinnych wpływów. Kiedy okazało się, że jest milkliwy i łagodny, odwróciła się do niego plecami. Zachowywała oczywiście pozory, ale zupełnie nie przeszkadzała jej wynikająca z jego pracy rozłąka. To dzięki żonie zresztą dostał się do służby dyplomatycznej.

Delon uwielbiał swoje jedyne dziecko, Cécile. Ze zdjęcia spoglądała na nią drobna ciemnowłosa kobieta z delikatnym uśmiechem. Bardzo przypominała ojca, też była nieśmiała, niepewna i podchodziła do wszystkiego z rezerwą. Kiedy poznali się lepiej i Delon zaczął ufać Dominice, zdradził, że córka pracuje w Ministerstwie Obrony. Był z tego oczywiście bardzo dumny, chociaż, naturalnie, Cécile zawdzięczała tę pracę matce i wpływowemu dziadkowi. Francuz z radością mówił o swoich związanych z córką nadziejach. Wyjdzie dobrze za mąż, będzie miała świetną pracę, a przed sobą wygodne życie. To, że był gotów mówić o Cécile, stanowiło ważną zmianę w ich stosunkach.

Dominika spytała go kiedyś przy filiżance espresso, czy martwi się o swoją przyszłość, czy nie boi się, że żona go porzuci, że córka pozna niewłaściwego mężczyznę i będzie wiodła takie melancholijne życie jak on sam. Delon spojrzał na Dominikę - przedmiot swojego rosnącego uczucia - i po raz pierwszy poczuł, jak je-

dwabna rękawica SWR ociera się o jego policzek. Sygnał, że zbliża się niebezpieczeństwo. Zignorował jednak ten dreszcz, zdekoncentrowany jej błękitnymi oczami, rozsypanymi włosami i - sam przed sobą wstydził się do tego przyznać - poziomymi paskami sweterka wokół jej piersi. Wciąż jednak trwali w czystej przyjaźni. Wspólne wyjścia kończyły się niepewnym pożegnaniem, ściśnięciem dłoni, spuszczeniem oczu i raz przesyconym zapachem perfum pocałunkiem, od którego zakręciło mu się w głowie.

- Na co czekasz? - wściekał się Siemionow. - Mamy przy-skrzynić tego żabojada, a nie pisać jego biografię.

- Nie mamy czasu na głupoty - odparła, wiedząc, że stanowi to poważne naruszenie dyscypliny. - Niech mi pan pozwoli poprowadzić to do końca, a będziemy mieli nie tylko Francuza, ale i jego córkę.

Siemionow kipiał, pulsująca żółta mgła wokół jego głowy zbladła, nabrała koloru, a potem znowu zbladła. Była pewna, że się maskuje i planuje jakieś świństwo. Zasypywała go argumentami, ale też starała się osaczyć go fizycznie, stając tuż przy nim. Prawie już zakończyła rozpracowywanie Delona. Była pewna, że teraz połknie haczyk. Już chciał zacząć dla niej szpiegować, tyle że jeszcze nie zdawał sobie z tego sprawy. Przypomniała sobie, co mówił jej jeden z emerytów w czasie szkolenia.

- Nie przejmujcie się, towarzyszu - powiedziała. - *Ta swiokła uże warionaja*. Ten burak jest już ugotowany. - Mówiąc to, poczuła się prawie jak weteran.

- Daruj sobie te stare żarty i po prostu go zwerbuj - rzucił Siemionow, wyciągając palec w jej stronę. - I przestań marnować czas.

Ale nawet kiedy ją rugał, wyczuwał niuanse, które Dominika wprowadzała do operacji; rzeczy, których on nie potrafił, i w związku z tym patrzył na nie sceptycznie.

Dominika zaprosiła w końcu Delona do mieszkania, które rze-

komo do niej należało. Znajdowało się ono niedaleko Dworca Białoruskiego i „jej” szkoły językowej. Było malutkie, dwupokojowe, przy czym większy pokój łączył się z kuchnią, malutki służył jako sypialnia, łazienka zaś przegrodzona była zasłoną. Wytarty dywan, spłowiałe, odstające od ściany tapety, poobijany czajnik na pojedynczym palniku kuchenki na butlę gazową, który nie mógł nawet gwizdać. To stare i obskurne, ale samodzielne mieszkanie wciąż uważano w Moskwie za niewyobrażalny luksus.

Innym plusem było to, że ściany, sufit i całe wyposażenie naszpikowane były mikrofonami i kamerami, czego Delon nie mógł wiedzieć. Mieszkania po obu jego stronach, a także na dole i górze należały do SWR. Pobór energii był tu taki, że wystarczyłby do startu Tu-95. Czasami wieczorem słychać było dobiegające z sufereny buczenie transformatorów.

- Potrzebuję twojej pomocy, Simon - powiedziała Dominika, otwierając drzwi.

Delon, który miał niebieskie kwiaty w dłoni i butelkę wina pod pachą, natychmiast zrobił zafrasowaną minę. Była to jego trzecia wizyta w mieszkaniu Nadii, ale poprzednio słuchali tylko niewinnie muzyki, pili wino i gawędzili. Dominika potrząsnęła głową.

- Zgodziłam się przyjąć pracę ustnej tłumaczki na targach ITFM w przyszłym miesiącu - powiedziała, udając przestrasz. - Chciałam trochę zarobić, ale przecież nie znam zupełnie słownictwa związanego z przemysłem, źródłami energii czy handlem. I to ani po francusku, ani po rosyjsku.

Delon uśmiechnął się. Dominika zauważyła, że otaczający go błękit zajaśniał pewnością siebie i zainteresowaniem. Usiedli na niewielkim tapczanie. Delon wiedział wszystko o targach, na tym między innymi polegała jego praca. Co najmniej sześciu techników z SWR oglądało i nagrywało tę scenę.

- Tylko tyle? - spytał. - W ciągu miesiąca mogę cię nauczyć wszystkich potrzebnych ci słów. - Pogładził ją po dłoni. - Nie masz

się czym przejmować.

Dominika pochyliła się w jego stronę, wzięła jego twarz w dłoń i pocałowała go z przesadnym impetem. Szczegółowo wykalkulowała, jak ma wyglądać ten pocałunek. Trochę pretensjonalny i dziewczęcy, a jednak był to ich pierwszy pocałunek.

- Nie masz się czym przejmować - powtórzył drżącym głosem. Czuł smak jej szminki. Jego niebieskie słowa nabrały teraz jednakowej, ciemniejszej barwy. Już podjął decyzję.

Dominika zawsze interesowała się jego pracą i obowiązkami i Delon przyzwyczał się, że opowiada jej o tym, zadowolony, że budzi zainteresowanie. Teraz mógł coś dla niej zrobić, więc następnego wieczoru pojechał z ambasady wprost do jej mieszkania. Miał ze sobą teczkę, z której wyjął dwudziestostronicowy raport działu handlowego ambasady na temat możliwości oraz strategii inwestycyjnych w Rosji. Przeczytali go razem. Na dole i górze każdej strony widniał napis: „Poufne”.

Kolejne spotkania i kolejne dokumenty. Kiedy nie mógł przynieść oryginałów albo ich skopiować, robił zdjęcia swoją komórką. Pracowali z jego francuskim słownikiem technicznym i jej rosyjskim. Jak przystało nauczycielce języka, Nadia szybko uczyła się nie tylko nowych słówek i Delon patrzył na nią z rosnącą dumą. W dodatku opanowała zagadnienia związane z międzynarodowym handlem i zasobami energii. Delon z przekonaniem zaciskał szczęki; chciał ją nauczyć tak, by stała się w tych sprawach ekspertem. Mówił sobie, że ją kocha.

Żeby mogła się uczyć wieczorami, Delon sam zaczął kopiować dla niej dokumenty, co nie stanowiło jakiejś szczególnej rewelacji dla SWR (kamery w suficie utrwały każdy przecinek z oryginałów), ale było ostatecznym aktem oddania i złamaniem przepisów bezpieczeństwa obowiązujących pracowników ambasady. Dominika wiedziała, że ma go teraz w ręku. A Delon zastąpił fikcję „nauki specjalistycznego języka” fikcją „uczenia Nadii”, co prze-

kształcało się w całkowite oddanie i robienie wszystkiego, co mu kazała. Takiej motywacji nie osiągnęłaby za pomocą żadnych pieniędzy ani też łózkowego szantażu. Jeśli Delon zorientował się, że ma do czynienia z rosyjskim wywiadem, to nigdy się do tego nie przyznał.

Siemionow, który obserwował te spotkania, zwołał kolejne zebranie, na którym grzmiał na temat „niedostatecznych postępów” i kazał jej zwabić żabojada do łóżka.

- A może wy, panowie, to zrobicie - zaproponowała Siemionowowi i innym oficerom. - No, który z was chciałby się z nim pieprzyć?

W pokoju zapanowała cisza.

- Nasz następny krok musi być naprawdę delikatny - ciągnęła nieco łagodniej. Musiała sprawić, by Delon skontaktował się z córką, a następnie skłonić ją jakoś do współpracy. Przypominało to pociąganie sznurków jednej marionetki, połączonej z inną. I jak tylko jego córka złamie przepisy, Delon będzie musiał zapewnić jej udział w całym przedsięwzięciu.

- Kiedy zaczną od niej napływać informacje, sprawa będzie zakończona.

Siemionow słuchał z kwaśną miną i nie wyglądał na przekonanego. Ten plan był zbyt skomplikowany, a dyletantka, która go opracowała, nie знаła swojego miejsca. Zdecydował jednak jeszcze trochę poczekać, choć rozmowa z Korcznojem utwierdziła go we własnych planach. Generał w pełni się z nim zgadzał i bolał nad uporem Dominiki.

- Och, ci młodzi podoficerowie - mruzczał. - Sam mam ich dość.

Jak na ironię to bojaźliwy Delon wymusił bliższy kontakt.

Kiedy pewnego razu siedzieli na tapczanie i przeglądali dokumenty handlowe średniej wagi, w nagłym odruchu złapał dłonie Dominiki. Pochylił się w jej stronę i pocałował ją czule. Być może poddał

się poczuciu bliskości, jakie stwarzała wspólna praca, a może dotarło do niego, że Dominika powoli wciąga go w świat szpiegostwa i zdrady, więc uznał, że to wszystko jedno. Niezależnie od powodów jego zachowania Dominika oddała delikatnie pocałunek, gorączkowo myśląc, co z tym począć. Znajdowali się w krytycznym punkcie operacji. Jeśli pójdzie z nim do łóżka teraz, przed jego rozmową z córką, może całej sprawie zaszkodzić. Chociaż, z drugiej strony, może też dać jej większą władzę nad Delonem. Pomyślała o lśniących policzkach i wystających brzuchach mężczyzn z dusznego pokoiku obok.

Delon zamarł i otworzył oczy, jakby wyczuł, że jest niezdecydowana. Chciał przerwać w najmniej spodziewanym momencie. Aureola wokół jego głowy promieniała. Dominika pojęła, że nie ma już odwrotu - muszą zostać kochankami. Pokaże mu, co robić, pomoże uwieść samą siebie.

Poczuła lekki żal, że dotarli już do tej fazy. Delon - w przeciwieństwie do Ustinowa - był tak miły, tak ufny. No a teraz miała za sobą szkolenie, podpowiedzi, które same zaczęły pojawiać się w jej mózgu.

Objęła jego głowę i przycisnęła mocniej usta do jego warg (nr 13. „Jasny sygnał gotowości seksualnej”) i z drzeniem zaczerpnęła powietrza (nr 4. „Wzmaganie namiętności poprzez okazywanie pożądania”). Cofnął się i spojrzał na nią wielkimi oczami. Pogładziła go po policzku, a potem, patrząc mu w oczy, położyła dłoń Delona na swojej piersi. Poczuł bicie jej serca, a ona przycisnęła jego rękę mocniej do ciała (nr 55. „Okazywanie cielesnego oddania w celu uwiarygodnienia podniecenia”).

Zadrżała. Delon wciąż na nią patrzył, nie ruszył ręką.

- Nadia - szepnął.

Dominika z zamkniętymi oczami otarła się policzkiem o jego policzek i przesunęła usta w stronę jego ucha (nr 23. „Zachęta słowna w celu wzmocnienia pożądania”).

- Simon, *baise-moi* - szepnęła.

Wstali nagle i ruszyli niezgrabnie w stronę ciemnej sypialni (która tak naprawdę była oświetlona jaśniej niż stadion Dynama Moskwa, tyle że niewidoczną podczerwienią). Dominika zdjęła spódnicę, zrzuciła bluzkę, ale została w mocno wyciętym staniku (nr 27. „Wykorzystywanie niecałkowitej nagości do pobudzenia zmysłów”), i obserwowała żalosne wysiłki Delona, który zdejmował spodnie. Przesunęła dłońmi po udach (nr 51. „Autostymulacja w celu pobudzenia wydzielania feromonów”).

W łóżku zachowywał się jak samiec turkawki: wciąż się ruszał, stroszył piórka, niemal pozbawiony ciężaru, gdy na niej leżał. Przesunął delikatnie nosem między jej piersiami, prawie go nie poczuła, ale wygięła ciało w łuk i rozsunęła nogi (nr 49. „Wytwarzanie dynamicznego napięcia w celu przyspieszenia reakcji nerwowej”) i na moment skupiła się na otworze w suficie. On jednak uniósł głowę, by znów na nią spojrzeć. Zajrzała mu w oczy, a on westchnął i poruszył się na niej z większą energią. Dominika zamknęła oczy (nr 46. „Unikanie dekoncentracji czynnikami zewnętrznymi”) i powtórzyła dwukrotnie jego imię, czując narastające drżenie jego ciała. Pomogła mu (nr 9. „Pobudzanie mięśnia łonowo-guzicznego”), a on jęknął:

- *Nadia, je t'aime.*

Przesunęła palcami po jego szyi i szepnęła:

- *Lubow' moja.*

Doskonale wiedziała, co się dzieje, kiedy drzwi do sypialni eksplodowały, pomarańczowe światło (lepszy kontrast w przypadku cyfrowych kamer) z żyrandola zalało pokój, a do środka wbiegli trzej mężczyźni w garniturach. Mieli przepocone kołnierzyki, a ich oczy lśniły jak oczy świni, która wyczuła trufle. Obserwowali ich z pokoju obok i teraz sypialnię wypełnił odór ich niezmiennych od rana koszul i od tygodnia skarpetek.

Jak tylko drzwi się otworzyły, Dominika usiadła, przycisnęła do

siebie przerażonego Delona niczym ulubioną lalkę i zaczęła krzy-
czeć do nich po rosyjsku, żeby sobie poszli. Wiedziała, że Sie-
mionow właśnie burzy jej przemyślany plan werbunku. Nie mógł
poczekać, musiał działać według własnego prostackiego scenariu-
sza. Był to jednocześnie cios wymierzony w nią samą. Płaciła teraz
za swoje zachowanie w sali konferencyjnej, swoje pozbawione
szacunku komentarze. Pamiętała, jak próbowała mówić niczym
dawni szpiedzy: *Ta swiokła uże warionaja*. Cóż, dawni szpiedzy
pokazali właśnie, gdzie jest jej miejsce.

Oderwali od niej Delona, wywlekli z łóżka i poprowadzili na-
giego do pokoju. Pchnęli na kanapę i rzucili mu wymięte spodnie.
Delon patrzył na tych niezdarnych drabów, nie rozumiejąc, co się
dzieje. Dominika wciąż rzucała w ich stronę przekleństwa. Wstała z
łóżka i owinęła się prześcieradłem. Wściekłość niemal ją oślepiła,
miała ściśnięte gardło, głowę, całe ciało, w uszach szumiała jej
krew.

Chciała wypędzić ich z pokoju i powrócić do sytuacji wyj-
ściowej. Zanim zrobiła krok, trzeci mężczyzna chwycił ją za nad-
garstek i zawlókł do pokoju. Kiedy Delon to zobaczył, chciał wstać,
ale pozostali dwaj go przytrzymali. Trzeci przyciągnął ją do siebie i
uderzył w policzek.

- *Szaława, suka!* - Splunął i rzucił ją na podłogę. Dominika nie
zastanawiała się, czy mężczyzna, który nazwał ją kurwą, postę-
pował według z góry wyznaczonego scenariusza, ale oceniła odle-
głość do jego oczu.

Po chwili wstała, nie przytrzymując prześcieradła, które opadło
na podłogę. Nagle wszyscy wbili w nią wzrok, jej piersi unosiły się
ciężko, uda były napięte. Noga Dominiki mignęła w udawanym
ataku, a facet z SWR schylił się w obronie. Szybko wyciągnęła rękę
i wbiła palce z paznokciami w jego nozdrza, ścisnęła mocno prze-
grode i pociągnęła go do siebie.

Taką torturę wymyśliło NKWD w latach trzydziestych minio-

nego wieku. Dominika uderzyła głową wrzeszczącego agenta o stół z korespondencją handlową z ambasady. Ten zawadził policzkiem o jego róg i przewrócił go, zanim sam padł na podłogę, a na niego posypały się dokumenty. Nie ruszał się. Delon patrzył na nią z niedowierzaniem ze swego miejsca.

Całe zdarzenie trwało krócej niż dziesięć sekund. Drugi z agentów SWR złapał Dominikę, wywłókł z pokoju, przeprowadził oporną przez korytarz i wepchnął do kolejnego pomieszczenia.

- Łapy przy sobie - warknęła, a on zamknął jej drzwi przed nosem. I już go nie było.

Z pokoju dobiegł do niej znajomy głos.

- Bardzo efektowne zakończenie, pani kapral. Mocny akord na koniec dyskretnej akcji.

Dominika obróciła się w stronę Siemionowa, który siedział na kanapie, a przed sobą miał dwa monitory. Na jednym widać było agenta stojącego nad bezwładnym ciałem na podłodze oraz drugiego, pochylonego nad Delonem, który, wciąż bez spodni, wpatrywał się w niego tak, jakby się modlił. Na drugim widać było ją w łóżku z Delonem. Z przytłumionym dźwiękiem ten akt wydawał się ginekologiczny i udawany. Dominika nie zwracała uwagi na ekran. Jedną dłonią ścisnęła prześcieradło, a drugą podniosła do policzka.

- Żopa! Mielibyśmy znacznie więcej! - Siemionow nie odpowiedział. Wodził oczami od jednego monitora do drugiego. - Zwerbowałby dla mnie własną córkę - wściekała się.

Siemionow nawet na nią nie spojrział, tylko wymamrotał:

- I tak to robi.

Wyciągnął pilota w stronę monitora, który przekazywał obraz na żywo. Faceci z SWR wrzeszczeli teraz na Delona, który siedział bez słowa na tapczanie. Dominika zrobiła kolejny krok w stronę pułkownika, poważnie zastanawiając się, czy nie wydłubać mu oka.

- Nie wie pan, że nie podda się szantażowi? Nie ma w sobie

dość odwagi. Naprawdę myśli pan...?

Siemionow obrócił się w jej stronę i zapalił papierosa. Jego oczy zalśniły żółtą poświatą.

- Jeśli tak, to zapiszemy to w twoich papierach jako porażkę - warknął. - Nie ty podejmujesz tu decyzje - dodał z uśmiechem. - A wywiad to nie twoje konfitury. - Obrócił się do niemego monitora. Dominika z niechęcią przyglądała się sobie obejmującej Delona nogami.

- Po co odtwarzacie tę scenę, towarzyszu? - spytała.

Siemionow nie odpowiedział i tylko wydmuchał dym aż pod sufit.

- Ponieważ Serow cię uderzył, nie zacznę przeciwko tobie postępowania dyscyplinarnego. - Wskazał wciąż nieprzytomnego mężczyznę na ekranie. - Masz niezły temperament, co? Powinien ci pomóc na początku kariery. - Znowu się uśmiechnął i wskazał drzwi do sąsiedniego pokoju. - Znajdziesz tam ubranie, chyba że wolisz zostać naga...

Dominika weszła do pokoiku i szybko narzuciła na siebie bezkształtną sukienkę, którą zapięła plastikowym paskiem, i włożyła sznurowane buty. Tak właśnie przez ostatnich pięćdziesiąt lat powinna była wyglądać nowoczesna Sowiecka Kobieta.

Dominika nigdy już nie spotkała Delona. Informacje na jego temat docierały do niej stopniowo. Informator z Ambasady Francuskiej zameldował, że następnego ranka Delon poprosił ambasadora o spotkanie. Przyznał się na nim do „intymnych relacji z Rosjanką, o których nie zawiadomił przełożonych”, i wykazał przy tym sporo odwagi, gdyż podał liczbę i charakter dokumentów handlowych, które w ten lub inny sposób przekazał Dominice. Szef moskiewskiej delegatury DGSE natychmiast powiadomił o tym centralę w Paryżu, a także służby kontrwywiadu DST. Mężczyźni kiwali ze zrozumieniem głowami. Piękna kobieta, *quoi faire, co* robić?

Niemcy uznaliby go za *schuldhaft*, winnego, i wsadzili na trzy lata do więzienia. Amerykanie stwierdziliby, że jest ofiarą seksszpiegostwa, i daliby mu osiem. W Rosji takiego priedatiela, zdrajcę, kazano by zlikwidować. Francuscy śledczy z całą surowością uznali Delona za winnego „zaniedbań”. Szybko przeniesiono go do kraju, poza zasięg SWR, i zakazano kontaktów z poufnymi i tajnymi dokumentami na okres półtora roku. Wrócił więc do córki i do Paryża. Największą karą było dlań to, że musiał żyć w eleganckim domu żony w XVI dzielnicy, skazany - zwłaszcza wcześniej rano, gdy nie mógł spać - na wspomnienia obscurnego mieszkanka w Moskwie i pary błękitnych oczu.

POTRAWKA Z DIJON Z RESTAURACJI JEAN JACQUES

Małe kawałki wołowiny przyprawiamy i obtaczamy w mące. Podsmażamy na ostrym ogniu. Odstawiamy. Na małej ilości tłuszczu smażymy bekon, pokrojoną w kostkę cebulę, pomidory, marchewkę, ziemniaki i tymianek, aż wszystko zmięknie. Dodajemy mięso i dolewamy rosołu wołowego, a następnie trzymamy na wolnym ogniu, aż mięso stanie się miękkie. Dodajemy musztardy Dijon, odrobinę śmietany kremowej. Po ponownym podgrzaniu danie gotowe jest do jedzenia.

10

Wania Jegorow palił jednego gitanesa za drugim.

Te papierosy dostarczali mu kurierzy SWR od rezydenta z Paryża.

Tarł oczy i miał wrażenie, że ktoś mu zaciska stalową obręcz wokół piersi. Na jego czerwonym bibularzu ze skóry leżał kolejny raport z obserwacji, już trzeci w tym kwartale. Dwa dni wcześniej FSB śledziła amerykańskiego dyplomatę, zapewne pracownika CIA, w czasie jego trasy sprawdzającej. Zaangażowano w to wiele drużyn, a ich liczba rosła wraz z upływem dnia, kiedy to uznano, że młody Amerykanin jest oficerem operacyjnym i idzie na spotkanie ze swoim agentem. Ludzie z FSB wpadli w podniecenie, kiedy okazało się, że ten głupek nie zauważył obstawy, co zdarzało się nadzwyczaj rzadko.

W raporcie FSB podkreślała z dumą, że ostatecznie w akcję zaangażowano aż stu dwudziestu agentów. Zamieć uniemożliwiła wykorzystanie samolotu rozpoznawczego, ale ekipy naziemne działały bez zarzutu, wciąż się wymieniając. Wzdłuż prawdopodobnych tras Amerykanina rozmieszczono pieszych obserwatorów, zespoły działały równolegle na skrzydłach. Na co najmniej sześćdziesięciu ze stu osiemdziesięciu moskiewskich stacji metra znajdowali się stali obserwatorzy FSB na wypadek, gdyby Amerykanin nagle zmienił trasę. Jegorow zajrzał niecierpliwie na ostatnią stronę raportu. Te *dołbojby* z FSB!

O zmierzchu Amerykanin wszedł do parku Sokolniki w północno-wschodniej części Moskwy, przeszedł przez zniszczone wesołe miasteczko, minął diabelski młyn i wszedł w labirynt alejek i uliczek, okolonych czarnymi szkieletami drzew. Zatrzymał się przy nieczynnej ozdobnej fontannie i przysiadł w chłodzie na jej betonowym brzegu, gapiąc się głupio na puste rabatki. Wykryto zaszyfrowany sygnał radiowy. To było to. Spotkanie. Nie wolno spuszczać Amerykanina z pola widzenia noktowizora, ale też uważać na wszystkich, którzy mogą znajdować się w pobliżu,

dosłownie na wszystkich. Samotny, zdenerwowany przechodzień zmierza ukradkiem w stronę fontanny.

Jegorow czytał raport i wyobrażał sobie ludzi z FSB, skaczących od drzewa do drzewa z noktowizorami na głowach - las pełen zielonych kosmitów z wyłupiastymi oczami. Sprowadzono psa, który miał szukać ukrytych skrzynek kontaktowych. Był to pełen energii owczarek alzacki, specjalnie tresowany w wykrywaniu mydła Dial i dezodorantu Sure - zapachów Ameryki.

I tak czekali. Amerykanin też czekał. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści minut. Nic. Nikt nie przychodził. Psa przeprowadzono po trasie Amerykanina, ale niczego nie wykrył.

Żadnych skrzynek kontaktowych, pozostawionych informacji, urzędzeń, nic. Wozy z kamerami i mikrofonami, które jeździły wolno wokół parku, zarejestrowały około stu tablic rejestracyjnych do sprawdzenia. Nic. Amerykanin wyszedł następnie z parku i znowu, mało tradycyjnie, ruszył do domu, nie próbując nawet sprawdzić, czy jest śledzony. Namiar radiowy FSB milczał.

Jegorow z obrzydzeniem rzucił raport na tacę z dokumentami do zabrania. FSB cieszyła się z „doskonałej akcji obserwacyjnej”, z tego, że królik nie zorientował się, iż jest w butelce. I co z tego? - pomyślał. Co udało się im osiągnąć?

Wania Jegorow nie wiedział tego, że cały ten zgiełk, który FSB robiła wokół amerykańskiego oficera, był na tyle wielki, że Marmur, który szedł właśnie na spotkanie do parku Sokolniki, zdecydował się jednak zaczekać na osłoniętym przystanku przy Malenkowskiej, parę przecznic dalej, i sprawdzić, co się będzie działo. Jego instynkt dotyczący zachowania na ulicy zaraz znalazł potwierdzenie, gdy zobaczył jakieś sto metrów dalej, jak trzy wlekące się wozy FSB zatrzymują się jeden za drugim. Ludzie z ekipy operacyjnej opierali się o zderzaki, palili i całkiem otwarcie popijali z butelki. Był to klasyczny błąd - takie robienie czegoś gromadą, niczym *tarakany*.

Dobrze, znowu mi się upieczce, pomyślał Marmur, oddalając się od parku. Jak długo jeszcze? Zaczął się zastanawiać, co napisać w szybkim telegramie, który wyśle dziś w nocy, i jak prędko znaleźć powód, żeby wyjechać za granicę. Wiedział, że musi raz jeszcze spotkać się z Nathanielem.

Następnego ranka szef kontrwywiadu, Ziuganow, wysłał do generała Jegorowa tajną informację, która miała pokazać, że on, Ziuganow, całkowicie panuje nad sytuacją.

Działania amerykańskiego oficera operacyjnego można wyjaśnić na kilka sposobów. 1. Być może było to ćwiczenie, by przyciągnąć i ocenić możliwości obserwacyjne FSB, włączając w to służby łączności na zaszyfrowanych częstotliwościach FSB. 2. Amerykanin mógł zauważyć, że jest obserwowany, i zrezygnował ze spotkania, odciągając ekipy obserwacyjne do parku. 3. Amerykanin nic nie zauważył, ale jego agent zrezygnował ze spotkania z niewiadomych powodów. Ta operacja Amerykanów wydaje się źle zaplanowana i przeprowadzona, co potwierdza nasze obserwacje dotyczące szefa rezydentury CIA, Gondorfa, jako oficera nienadającego się na tak wymagające stanowisko, które zdobył dzięki długoletniej pro-

tekcji.

A kogo obchodzi ten pasożyt? - pomyślał Jegorow. Sami mamy dosyć próżnych idiotów, partaczy, którym wszystko uchodzi na sucho.

Wania wiedział, był p e w n y , że znowu im się nie udało, że kret wciąż działa, pocąc się w nocy w łóżku, zdradzając Rosję, narażając na szwank przyszłość samego Wani Jegorowa.

Jeszcze bardziej zepsuł mu nastrój popołudniowy telefon z Kremla. Głos prezydenta brzmiał pusto, przebiegając po zaszyfrowanej linii. Władimir Władimirowicz wiedział o nieudanej akcji w parku Sokolniki i przytoczył mu możliwe wyjaśnienia tego, co się stało. Wania dobrze sobie zapamiętał to, że *zapiska* Ziuganowa dotarła aż do Putina.

- Przydałby nam się sukces kontrwywiadowczy w starciu z Amerykanami - mruzczał prezydent do telefonu. - Zwłaszcza w czasach kryzysu ludzie potrzebują czegoś, by skupić na tym uwagę, zamiast protestować. - Głos umilkł, ale Wania się nie wtrącał. Doskonale znał rytm prezydenckich mów. - *Niestety, u nas niet wriemieni* - zakończył Putin i się rozłączył.

Wania patrzył przez jakiś czas na słuchawkę, ale w końcu odłożył ją na bazę. Sukinsyn! - pomyślał. Nacisnął guzik interkomu.

- Dawać mi tu Ziuganowa! - zadysponował.

Kret wciąż działa, ale skoro nie może przekazywać informacji tu, w Rosji, być może zechce to zrobić poza nią. A przecież Nash jest tuż obok, w Finlandii. Nash. Wania znowu połączył się z sekretarką.

- I moją bratanicę. Biegiem!

Dwadzieścia minut później Dominika już siedziała przed jego biurkiem. Obok siedział szef kontrwywiadu Ziuganow, którego stopy nie dotykały podłogi. Wszystkie trzy guziki workowatego czarnego garnituru tego karła były zapięte, a on sam zaciskał dłonie na poręczach krzesła. Jego wieczny, mdły uśmieszek irytował

Wanię. Ten cholerny, jadowity karzeł!

Dominika jak zwykle wyglądała zjawiskowo, miała na sobie granatowy wełniany kostium, a włosy spięła w wojskowy kok.

Zerknęła na Aleksieja Ziuganowa, na czarne trójkąty za jego głową. Nie była już tu na tyle nowa, by nie słyszeć o tym, co robił w celach tortur pod koniec Związku Sowieckiego.

Były to tak nieprawdopodobne rzeczy, że tylko się o tym szep- tało, i to w zamkniętych kręgach najbliższych przyjaciół. Za daw- nych czasów Ziuganow był jednym z głównych katów Łubianki. Choć młody, doskonale się do tego nadawał, bo zupełnie nie ru- szały go potworności tego, co robił. Mówiło się, że karła wręcz fascynowało wieszanie skazańców na belkach, rozciąganie ich na stołach lub pochyłej podłodze, głową w stronę ścieku. Sam się nimi zajmował, traktował jak swoje lalki, a jednocześnie mówił do nich, kiedy tak ich układał i przekładał. Dominika wyobraziła sobie ich brudne koszule, ich czerwone szyje, ich...

- Mam takie wrażenie, jakbyśmy się w ogóle nie rozstawali - zaczął Wania. Dominika usunęła z głowy obrazy więźniów i spoj- rzała na jasną i szeroką żółtą aureolę Wani. Czekala ją interesująca rozmowa. - Miło cię znowu widzieć.

- Mnie również - powiedziała, szykując się na dalszy ciąg.

- Cieszę się, że generał Korcznoj zaproponował ci miejsce w wydziale Ameryki.

No dalej, gadaj, o co ci chodzi, pomyślała.

- Kiedy pułkownik Siemionow zwolnił mnie z Piątki, nie miałam stałego przydziału. Jestem mu wdzięczna za tę szansę - odparła.

- Korcznoj mówił, że świetnie się spisałaś w sprawie tego Francuza.

- Mimo że cała operacja skończyła się niepowodzeniem - zauważyła Dominika.

- Coś takiego zawsze może się zdarzyć - mruknął otoczony

żółtą poświatą Wania, który starał się być miły.

- Ta operacja wciąż by trwała. - Dominika podniosła nieco głos. - Gdyby nie pospieszne decyzje wydziału piątego. Mogliśmy mieć wgląd w działania francuskiego Ministerstwa Obrony.

- Widziałem tę teczkę. Sprawa wyglądała obiecująco. Co zawiodło? - wtrącił delikatnie Ziuganow.

Dominika zmusiła się, by nie zrobić wielkich oczu, kiedy zauważyła rozwijające się za nim dwie czarne parabole, przypominające skrzydła nietoperza. Szatan, pomyślała. Wcielenie zła.

- Trzeba o to zapytać szefa Piątki - odparła, nie patrząc mu w oczy, nie chcąc zobaczyć tego, co w nich się kryło.

- Być może tak zrobię - rzucił Ziuganow.

- Dosyć tego. Roztrząsanie tej sprawy nic nam nie da. Nie masz prawa kwestionować decyzji przełożonych - powiedział łagodnie Wania, zwracając się do Dominiki.

- Właśnie dlatego służby mają problemy, a Rosja nie może rywalizować z innymi krajami - mówiła spokojnie, nie spuszczając z niego wzroku. - Z powodu takich postaw i takich ludzi jak Siemionow. Są jak pijawki, których nie można usunąć.

W pokoju zapadła cisza, a oni wciąż patrzyli sobie w oczy.

Ziuganow obserwował jej twarz, jego dłonie pozostały nieruchome.

- No i co mam z tobą zrobić? - Wania w końcu wstał i podszedł do okna. - Masz dobre wyniki, nie powinnaś narażać w ten sposób swojej przyszłej kariery. Samo to, w jaki sposób to powiedziałaś, wystarczy, żeby zwolnić cię ze służby. Czy chcesz coś jeszcze powiedzieć?

I pomyśl o swojej matce, dodała w duchu Dominika.

- I pomyśl o swojej matce - powiedział Wania. - Ona potrzebuje twojej pomocy i wsparcia.

- Wiem, że wykorzystuję nasze pokrewieństwo, ale nie możemy sobie pozwolić na *starinnyje* metody.

Spojrzała na stojącego przy oknie wuja i zrozumiała dwie rze-

czy. Po pierwsze, było mu wszystko jedno, miał już dla niej jakieś nowe zadanie i mogła sobie pozwolić na więcej. Po drugie, Ziu-ganow chłonał wszystkie jej słowa i czuła, że buzuje w nim jak w dobrze napalonym piecu. Ta bestia nie mogła się obyć bez ofiary. Dominika nawet nie spojrzała w jego stronę.

Wania potrząsnął głową, wciąż wyglądając na dwór. No proszę, oto nowa SWR, pomyślał. Jakieś ulepszenia, reformy, PR i kobiety na stanowiskach oficerów operacyjnych.

- Nie podobają ci się więc stare metody?

- Nie podoba mi się porażka, kiedy można osiągnąć sukces - odparła.

- I uważasz, że poradziłabyś sobie z samodzielną operacją? - spytał łagodnie Wania.

- Z pomocą i radą doświadczonych oficerów, takich jak ty, generał Korcznoj... No i oczywiście pułkownik Ziuganow - dodała. Zmusiła się, by wspomnieć tę kreaturę, a ten obrócił się do niej ze swoimi wielkimi uszami i skinął głową.

- Większość powiedziałaaby, że jesteś na to zbyt młoda i za mało doświadczona, ale zobaczymy. - Dominika zauważyła zmianę tonu; głos Wani stał się łagodny, jakby za chwilę miał nastąpić cios.

- Niestety, będziesz musiała zakończyć pracę w wydziale Ameryki.

- A na czym ma polegać ta operacja? - spytała.

Zacznie krzyczeć, jeśli znowu będzie musiała kogoś uwieść.

- Przede wszystkim musisz wyjechać za granicę, do naszej rezydentury. Będziesz odpowiedzialna za prawdziwą operację, werbunek.

Wania miał mgliste wspomnienie zagranicznych operacji, ale mówił z taką miną, jakby sam w nich gustował.

- Za granicę? - powtórzyła Dominika, która nie bardzo wiedziała, co o tym myśleć. Nigdy wcześniej nie wyjeżdżała z Rosji.

- Tak, do Skandynawii. Potrzebuję tam kogoś nowego, świeżego, z instynktem, który wykazałaś - powiedział. Chodzi ci o

mężczyzn, pomyślała z goryczą Dominika. Spojrzał jej w oczy i uniósł do góry rękę. - To nie to, co myślisz. Chcę, żebyś była tu prawdziwym *operupolnomocziennym*.

- Tak, ja też chcę być oficerem operacyjnym - potwierdziła. -
Pragnę pracować w wywiadzie, dla Rosji.

Przemówił Ziuganow, głos miał łagodny i śliski, a słowa były czarne jak węgiel.

- I tak będzie. To bardzo delikatne zadanie, które wymaga nie lada umiejętności. W dodatku bardzo trudne. Będziesz musiała zniszczyć agenta CIA.

*

Maksim Wołontow, rezydent SWR w Helsinkach, obserwował zza swego biura Dominikę, która przeszła przez hol, by zwrócić brązową teczkę do archiwum. Od kiedy przyjechała tu z Moskwy, brała ją na dzień, potem czytała i robiła notatki, a następnie zwracała wieczorem, przekazując odpowiedniemu urzędnikowi, co było zgodne z przyjętą tu procedurą. Poza Wołontowem była jedynym oficerem, który miał dostęp do tych dokumentów. Była to *papka* amerykańskiego agenta CIA, Nathaniela Nasha, którą dostarczono z Jasieniewa.

Wołontow zwrócił uwagę na nogi tancerki i widoczne pod dopasowaną bluzką ciało. Miał on pięćdziesiąt pięć lat, brodawki i był przysadzisty. Jego siwe włosy tworzyły wielką szopę w dawnym sowieckim stylu. Miał jeden stalowy ząb z tyłu, widoczny tylko wtedy, kiedy się uśmiechał, czyli nigdy. Nosił ciemny, workowaty i gdzieś wyświechtany garnitur. Jeśli nowoczesnych szpiegów robi się teraz z tytanowych kompozytów, to można powiedzieć, że Wołontow był cały z metalowych, zardzewiałych płytek, które poskręcano śrubkami.

Dominika patrzyła z zainteresowaniem na pomarańczowy obłok, który otaczał jego toporną głowę, znamionujący fałsz i karierowiczostwo. Pomarańczowy, inny od tych żółtawych morsów,

których zostawiła za sobą. Wołontow pracował w KGB w najgorszych latach i umiał zmieniać się i przystosowywać. Instynkt podpowiadał mu, żeby traktować bratanicę pierwszego zastępcy szefa SWR ostrożnie, chociaż go to bolało. W dodatku ta seks-bomba otrzymała ważne zadanie. I to bardzo delikatne. Po tygodniu przygotowań Dominika miała właśnie dziś wieczorem wziąć udział w swoim pierwszym dyplomatycznym przyjęciu z okazji święta narodowego Hiszpanii w eleganckiej ambasadzie tego kraju i sprawdzić, czy uda jej się odnaleźć Nasha. Wołontow miał też tam być, by obserwować wszystko z bezpiecznej odległości. Ciekawiło go to, jak dziewczyna zachowa się na przyjęciu. Przyjęcie! Jego rozpedzone myśli zwróciły się zaraz ku doskonałym przystawkom, podawanym w hiszpańskiej ambasadzie.

Dominikę zakwaterowano w tymczasowym mieszkaniu w starej części Helsinek, na rozkaz Moskwy pospiesznie wynajętym przez rezydenturę, specjalnie oddalonym od pozostałych mieszkań rosyjskiej ambasady, słoczonych na jej terenie. Helsinki były cudowne. Dominika patrzyła ze zdziwieniem na czyściutkie uliczki, pomalowane na żółto, czerwono, pomarańczowo budynki z rzeźbionymi gzymsami i koronkowe zasłonki, które wisały nawet w sklepach.

Kiedy znalazła się w swoim wygodnym mieszkaniu, zaczęła szykować się do bankietu. Zrobiła sobie makijaż i się przebrała. Wyszczotkowała włosy, rączka szczotki wydawała się parzyć jej rękę, sama poczuła się rozgrzana, gotowa do walki. Mieszkanko skąpane było w falujących pasach kolorów: czerwonych, purpurowych, lawendowych - żarliwość, podniecenie, wyzwanie. Zastanowiła się nad tym, co ustaliła z Wołontowem odnośnie do tego wieczoru. Miała teraz tylko nawiązać kontakt z Amerykaninem, a dopiero w następnych tygodniach zacząć regularne spotkania, by zdobyć jego zaufanie oraz przyjaźń i ustalić, co i kiedy robi. A na koniec skłonić do mówienia.

Dostała też instrukcje w centrali. Przed wylotem odbyła krótkie spotkanie z Ziuganowem.

- Czy ma pani jakieś pytania, pani kapral? - spytał i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: - Rozumie pani, że to nie jest operacja werbunkowa, a w każdym razie nie w zwykłym sensie. Naszym podstawowym celem nie są informacje zagraniczne. - Obliznął wargi. Dominika siedziała nieruchoma i milcząca. - Nie - dodał - to ma być raczej pułapka, potrzask. Chodzi nam jedynie o wskazówkę, aktywną lub pasywną, wszystko jedno, jak ten Amerykanin spotyka się ze swoim agentem. Ja zajmę się resztą. - Popatrzył na nią, odchyliwszy lekko głowę. - Rozumie pani? - Jego głos stał się miękki jak jedwab. - Ma pani obdrzeć go ze skóry. Do pani należy wybór metody.

Spojrzał jej prosto w oczy. Była pewna, że wie o jej umiejętności dostrzegania kolorów. Jego oczy mówiły: czytaj, jeśli potrafisz! Dominika podziękowała mu za instrukcje i szybko wyszła z pokoju.

Nash był wyszkolonym oficerem operacyjnym CIA. Nawet zwykły kontakt z nim musiał być bardzo rozważnie przygotowany. Wszystko teraz zależało od niej. Od niej samej! Odłożyła szczotkę i chwyciła się brzegu toaletki, patrząc w lustro.

Spojrzała na siebie. Jaki będzie? Czy utrzyma z nim kontakt? A jeśli mu się nie spodoba? Czy znajdzie dla niej czas? Będzie musiała szybko ustalić, jak przeniknąć do jego świata. „Pamiętaj o swojej technice: wzbudzić zainteresowanie, uzyskać dostęp, bezwzględnie wykorzystywać wszystkie słabości”.

Pochyliła się w stronę lustra. Rezydent Wołontow będzie ją obserwował, a te bawoły z centrali czekają na rezultat, kierując na nią swoje wole oczy. Dobrze, pokaże im, co potrafi.

Amerykanie są próżni, *biezkulturny*je i materialistycznie nastawieni do świata. Wykładowcy z akademii zawsze podkreślali, że wszystko udaje im się dzięki pieniądзом i technologii, że brakuje

im duszy. Ona już im pokaże, co znaczy dusza. Amerykanie byli też słabi, unikali konfliktów i ryzyka. Będzie musiała go uspokoić.

KGB zdominowało ich za czasów Chruszczowa, w czasie zimnej wojny. Teraz przyszła jej kolej. Od ściskania toaletki Dominikę rozboląła ręka. Włożyła palto i podeszła do drzwi. Ten facet z CIA nie miał pojęcia, co go czeka.

Okazała sala na parterze hiszpańskiej ambasady była rzeświście oświetlona przez trzy lśniące kryształowe żyrandole. Po jej jednej stronie znajdował się rząd przeszklonych drzwi, prowadzących do pięknego ogrodu, zamkniętych jednak ze względu na niskie październikowe temperatury. Było tu pełno ludzi i przed oczami Dominiki, która stała na niskim podeście i patrzyła w dół na gości, przewijały się setki obrazów. Garnitury, smokingi, wieczorowe suknie, odsłonięte szyje, zaczesane do góry włosy, szepty gdzieś na boku, śmiechy z odchyłoną do tyłu głową. Popiół z papierosów na klapach garniturów, rozmowy w kilkunastu językach naraz, kieliszki owinięte wilgotnymi papierowymi serwetkami. Uczestnicy przyjęcia wciąż się mieszały, odgłosy rozmów tworzyły stały rozgwar. Z tyłu ustawiono stoły z przekąskami i pićciem. Ludzie stali do nich w potrójnych kolejkach. Dominika musiała ograniczyć napływ kolorów, by jakoś radzić sobie z nadmiarem wrażeń.

Zastanawiała się, jak odnaleźć Nathaniela Nasha w tym tłumie.

Możliwe, że nawet tu dzisiaj nie przyszedł. Parę minut po tym, jak pojawiła się na sali, już została otoczona przez starszych mężczyzn, którzy pochylali się zbyt blisko, mówili za głośno i patrzyli zbyt otwarcie na jej biust. Dominika miała na sobie kostium w przytłumionym szarym kolorze i pojedynczy sznur pereł. Żakiet był zapięty i tylko u góry widać było czarną koronkę - nic wyzywającego, całość elegancka i jednocześnie seksowna. Te Skandynawki potrafiły się jednak ubrać jak prostytutki! Choćby ta, stojąca przy podwójnych przeszklonych drzwiach, posągowa blondyna w kaszmirowym topie, który wezbrał pod naporem jej *grudi* i ujaw-

niał wszystkie nierówności terenu. Jej włosy były niemal białe i bawiła się nimi, śmiejąc się z tego, co powiedział stojący obok młody człowiek. Młody człowiek. To był Nash! Widziała już tę twarz na niemal setce zdjęć z obserwacji.

Dominika wolno podeszła do przeszklonych drzwi, ale przypominało to przepychanie się przez popołudniowy tłum w moskiewskim metrze. Kiedy dotarła na miejsce, Miss Scandinavia i Nash gdzieś zniknęli. Starła się wypatrzeć jej jasny skalp - kobieta była o pół głowy wyższa od wszystkich tutaj - ale się nie udało. Tak jak uczono ją w akademii, przeszła w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, trzymając się blisko ściany; wciąż wypatrywała Nasha. Przy jednym ze stołów zastała Wołontowa z ustami i talerzem pełnymi *tapas*. Rezydent nawet nie próbował z nikim rozmawiać. Wkładał właśnie do ust kolejny kawałek *tortilli española*, nie zwracając na nic uwagi.

Dominika wciąż krążyła po obrzeżach pokoju. Zauważyła szerokie ramiona blondynki, którą otaczało co najmniej czterech uszczęśliwionych mężczyzn z kroplami potu na czołach. Wśród nich nie było Nasha. W końcu dostrzegła go w rogu pokoju. Szczupły, ciemnowłosy, miał na sobie granatowy garnitur, jasnoniebieską koszulę i prosty czarny krawat. Jego twarz była otwarta, spojrzenie czujne. Ma olśniewający uśmiech, pomyślała Dominika. Taki, który promienieje szczerością. Stała nieopodal kolumn, dosyć niezobowiązująco, dbając jednak o to, by jej nie zauważył. Ale najbardziej zaskoczyło ją to, że Amerykanina otaczała intensywna fioletowa poświata, dobry kolor, znamionujący ciepło, uczciwość i bezpieczeństwo. Wcześniej widziała go tylko u dwóch osób: ojca i generała Korcznoja.

Nash rozmawiał z pięćdziesięcioparoletnim, niskim, łysiejącym mężczyzną, w którym rozpoznała tłumacza z rosyjskiej ambasady. Jak się nazywa? Trentow? Titow? Nie, Tiszkow. Tłumacz ambasadora, znający angielski, francuski, niemiecki i fiński. Przysunęła

się bliżej, wykorzystując tłum przy barze jako osłonę. Sięgnęła po kieliszek szampana. Usłyszała, jak Nash mówi świetnie po rosyjsku ze spoconym Tiszkowem, który trzymał w dłoni zwykłą szklanę do połowy wypełnioną whisky i słuchał Nasha, co jakiś czas zerkając w górę i potakując nerwowo. Amerykanin nawet gestykulował jak Rosjanin: otwierał i zamykał dłonie, wypychając słowa w powietrze. Niezwykłe.

Dominika wypila odrobinę szampana i przysunęła się bliżej.

Obserwowała Nasha znad brzegu swego kieliszka. Stał swobodnie, nie napierał na Tiszkowa, ale pochylał się w jego stronę, by tłumacz mógł go słyszeć. Opowiadał mu właśnie historię obywatela ZSRR, który zaparkował przed Kremlem.

- Zaraz przyskoczył do niego milicjant i ryknął: „Zwariowałaś? Tutaj zatrzymują się wszyscy z rządu”. „Nie szkodzi - odpowiada tamten. - Mam dobre zamki”.

Tiszkow próbował się nie roześmiać. Dominika obserwowała z drugiego końca stołu, jak Nash podaje Tiszkowowi kolejną whisky. Tłumacz sam teraz coś opowiadał, trzymając Amerykanina za ramię. Ten zaśmiał się i Dominika zrozumiała, że potrafi łatwo oczarować rozmówcę. Uważny, miły, dyskretny, sprawiał, że Tiszkow czuł się coraz lepiej w jego towarzystwie. Jest szpiegiem, pomyślała.

Spojrzała dalej na Wołontowa, który był zupełnie nieświadomy klasycznego spotkania oficera obcego wywiadu z ewentualnym celem. Nash uniósł na sekundę wzrok i szybko rozejrzał się po sali. Ich oczy spotkały się na moment; Dominika spojrzała w bok, a Nash ponownie skoncentrował się na Tiszkowie. Nie zauważył jej, ale ona poczuła elektryczny wstrząs przeszywający jej ciało. Po raz pierwszy widziała z bliska swój cel. Źródło informacji. Kiedyś określano też Amerykanów jako „największych wrogów”.

Cofnęła się za kolumnę i dalej obserwowała Nasha. Fascynował ją jego luz i to, że potrafił zainteresować Tiszkowa. Był pewny

siebie, ale nie *niewospitannyj*, chamski, tak jak jej dawni współpracownicy z Piątki. Sympatyczny. Natychmiast wyparowało z niej dotychczasowe zdenerwowanie, związane z pierwszym kontaktem. Chciała podejść do niego już teraz, pojawić się w jego przestrzeni, w jego głowie, tak jak to ćwiczyła w Moskwie z Michailem, wykorzystać swój wygląd, by zwrócić na siebie uwagę. Wystarczyło tylko podejść, przedstawić się...

„Nie, uspokój się!”. Nie mogła podejść do Nasha, gdy stał przy nim Tiszkow. Wskazówki centrali były wyraźne. Chodziło o nieoficjalny kontakt w cztery oczy, o którym nie wiedziałyby nikt z ambasady poza Wołontowem. Musi postępować jak profesjonalistka i wciąż myśleć, kalkulować. Dominika nie miała zamiaru zmieniać tych reguł, bo wiedziała, że są potrzebne. Żeby się z nim spotkać, potrzebowała czegoś lepszego niż któreś z kolejnych dyplomatycznych przyjęć w Helsinkach.

*

Parę dni później los dał jej taką okazję. Czyż mogła przypuścić, że spotkają się właśnie w tym miejscu? Mimo skromnego wejścia z niezbyt widocznym neonem, położona w centrum Helsinek pływalnia Yrjönkatu stanowiła prawdziwą perłę neoklasycystycznej architektury. Zbudowano ją w latach dwudziestych ubiegłego stulecia w pobliżu dworca kolejowego. Mosiężne lampy art déco wzdłuż balustrady na antresoli rzucały łagodne filmowe półcienie na filary z szarego marmuru i lśniąca terakotę.

Dzięki terapii pływackiej w szkole baletowej Dominika lubiła i potrafiła pływać. Zaczęła chodzić na położony niedaleko jej mieszkania basen, żeby się odprężyć. Wolała to robić w okolicach południa. Wieczorem było zbyt zimno i ponuro, a spacer w pojeździe do domu był zbyt przygnębiający. Poza tym czuła się coraz bardziej samotna i niespokojna. Wołontow, idąc za głosem Moskwy, naciskał na szybki kontakt z Nashem; nie obchodziło go to, że zaaranżowanie „przypadkowego” spotkania nawet w tak małym

mieście jak Helsinki wymagało czasu.

Przełom nastąpił, kiedy Wołontow poprosił ją o uzupełnienie pilnego raportu dla Jasieniewa. Nie mogła wybrać się na basen w południe, więc mimo mroku i zimna poszła tam po pracy. W środku zobaczyła Nasha, który, z ręcznikiem wokół szyi, wyszedł właśnie z męskiej przebieralni. Ona sama siedziała na przeciwległym końcu basenu i poruszała lekko nogami w wodzie. Na jego widok podniosła się i schowała za filarem, by móc go obserwować. Pływał dobrze i energicznie. Dominika obserwowała ramiona, które unosiły się i przecinały wodę.

Stłumiła zdenerwowanie. Czy ma, dosłownie i w przenośni, skoczyć na głęboką wodę? Mogłaby poczekać i zameldować Wołontowowi, że odkryła jedno z przyzwyczajień Nasha i ma zamiar dzięki niemu nawiązać kontakt. Ale pewnie uznano by to za opóźnienie. Powinna zacząć już teraz, w tej chwili.

Priewodit' w diejstwie - jak mówili w akademii, czyli zacząć realizować plan. Miała wspaniałą okazję nawiązać pierwszy kontakt w sposób całkowicie przypadkowy. Powinna ruszać do boju! Dominika miała na sobie skromny jednoczęściowy kostium zawodniczy oraz zwykły biały czepek. Weszła do wody i przepłynęła na tor obok toru Nasha. Zaczęła pływać wolno, pozwalając, by Amerykanin ją wyprzedził, a potem jeszcze minął, płynąc już z naprzeciwka. Tak zaplanowała swoje ruchy, by po raz trzeci dopędził ją na końcu basenu, gdzie obracał się w wodzie i zaczynał nową rundę.

Teraz płynęła równo z Amerykaninem, co przychodziło jej z łatwością. Nie płynęli zbyt szybko. Przez gogle widziała pod wodą jego ciało, poruszające się rytmicznie w płynnym kraulu. Razem dotknęli końca basenu i ruszyli w stronę jego głębszej części. Nate zauważył już pływaczkę, która za nim nadążała. Widział, że jest szczupła, że ma na sobie zawodniczy kostium i że dobrze pływa. Trochę przyspieszył, by zobaczyć, czy uda mu się wysforować

do przodu. Tajemnicza pływaczka nadążała za nim, w dodatku miał wrażenie, że przychodzi jej to bez większego wysiłku. Przyspieszył jeszcze bardziej, prężąc mięśnie. Była obok. Zaczął nieco mocniej uderzać nogami i dyskretnie zerknął na dziewczynę. Nadążała. Zbliżali się do końca basenu i Nate postanowił pójść na całość, wykonać koziołek nawracający i pomknąć jak najszybciej aż do końca toru. Zobaczmy, czy nawróci jak trzeba i zakończy wyścig, pomyślał. Wziął głęboki oddech, zrobił przewrót w wodzie i odpchnął się z całą mocą nogami od ściany basenu. Był teraz gotów do prawdziwego wyścigu. Jego ręce unosiły się i opadały niczym w takt metronomu: tak-tak-tak - słyszał ich kolejne uderzenia o wodę. Zaczął jeszcze mocniej pracować nogami i poczuł narastające fale wokół głowy i ramion. Płynął spokojnie i szybko, oddech brał tylko z jednej strony i nie patrzył na dziewczynę. Będzie miał sporo czasu, by jej się przyjrzeć, czekając, aż do niego dopłynie. Na ostatnich pięciu metrach wyciągnął się i wpadł w ślizg, patrząc jednocześnie na tor dziewczyny. A ona już była przy ścianie, już jej dotykała. Wygrała. Popatrzyła na niego, kiedy stanął w płytkim końcu basenu, zdjęła czepek i potrząsnęła wilgotnymi włosami.

- Świetnie pani pływa - powiedział po angielsku. - Jest pani zawodniczką?

- Nie, nie, tylko dla przyjemności - odparła.

Nate przyglądał się jej silnym ramionom, wąskim dłoniom, którymi trzymała się końca basenu, krótko ściętym paznokciom i tym błękitnym, rozszerzonym oczom. Uznał, że mówi po angielsku z akcentem rosyjskim albo jednego z krajów nadbałtyckich. Wielu Finów miało taki akcent.

- Mieszka pani w Helsinkach? - zapytał.

- Nie, jestem Rosjanką - odparła, patrząc, jak na to zareaguje. Niechęcią? Lekceważeniem? On jednak uśmiechnął się do niej promiennie. No, proszę, agencie Nash, rzekła sobie w duchu. I co pan teraz powie?

- Widziałem kiedyś zawodników Dynama Moskwa w Filadelfii - powiedział. - Byli naprawdę dobrzy, zwłaszcza w stylu motylkowym.

Niewielkie fale opływały mu ramiona, odbijając jego fioletową mgiełkę.

- Jasne. Rosyjscy pływacy są najlepsi na świecie - odparła.

Zamierzała dodać: „I to we wszystkich sportach”, ale uznała, że to za wiele. Trzeba działać spokojnie, skoro udało się nawiązać kontakt i ustalić narodowość. Teraz czas na przynętę. Sposoby z akademii. Dominika przesunęła się w stronę drabinki.

- Przychodzi tu pani wieczorami? - spytał Nate, kiedy powiedziała, że musi już iść.

Mięśnie na jej plecach poruszały się w rytm jej kroków.

- Nie, dosyć nieregularnie - odparła, starając się uniknąć analogii z Greta Garbo. - O bardzo różnych porach. - Spojrzała na niego. Miał rozczarowaną minę. Dobrze. - Ale może jeszcze kiedyś uda nam się spotkać.

Czuła na sobie jego wzrok, kiedy szła wzdłuż basenu i skręciła w stronę damskiej przebieralni.

*

Jak się okazało, spotkali się dwa dni później. Skinęła niezobowiązująco głową, kiedy jej pomachał. Przepłynęli razem kilka rund. Dominika z niczym się nie spieszyła, udawała obojętność. Zachowywała formy, trzymała go na dystans, co miało stanowić świadomą przeciwwagę dla jego okropnego amerykańskiego luzu. Musiała wciąż sobie powtarzać, że nie może się denerwować. Kiedy spojrzał na nią, zauważyła, że Nash nie wie, co się dzieje. Niczego nie podejrzewa, pomyślała podniecona. Ten oficer CIA nie wie, z kim będzie musiał się zmierzyć. Kiedy skończył się jej czas, znowu bez ociągania wyszła z basenu. Tym razem odwróciła się do niego i pomachała bez uśmiechu ręką. Tyle na razie mu wystarczy.

W ciągu następnych paru tygodni spotkali się pięć czy sześć razy - ani razu przypadkowo. Dominika zbadła, stojący po drugiej stronie ulicy po przekątnej, hotel Torni. Większość wieczorów spędzała w jego holu, obserwując przez okno przyjazdy Nasha. O ile mogła zauważyć, nikt mu nie towarzyszył. Nash nie był obserwowany.

Dominika starała się budować napięcie poprzez niewielkie, trudne do wykrycia fazy. Ponieważ spotykali się na basenie, w końcu się sobie przedstawili. Nate powiedział, że jest amerykańskim dyplomatą i że pracuje w sekcji ekonomicznej. Dominika, że jest asystentką w dziale administracyjnym Ambasady Rosyjskiej. Wysłuchiwała jego legendy operacyjnej i podała mu swoją. Jest bardzo naturalny, pomyślała. Jakie szkolenia przechodzą ci agenci? Miała przed sobą typowego, ufego Amerykanina, niezdolnego do prawdziwej konspiracji. Nate nic przeciwko niej nie knuł, jego fioletowa aureola nigdy się nie zmieniała.

Boże, jaka ona poważna, myślał Nate. Typowa Rosjanka, która boi się wykonać choć jeden fałszywy krok. Ale podobała mu się jej rezerwa i kryjąca się za nią zmysłowość, a także to, jak na niego patrzyła swoimi niebieskimi oczami. Bardzo lubił sposób, w jaki wymawiała jego imię: „Niejt”, ale pomyślał ponuro, że zapewne nie ma dostępu do tajnych informacji. Daj spokój, to po prostu piękna urzędniczka z rosyjskiej ambasady, myślał. Dwudziestocztero-, dwudziestopięcioletnia moskwianka, niewiele znacząca pracownica administracji, warto jednak sprawdzić jej nazwisko i *otczestwo* na karcie rejestracyjnej z basenu. Jeśli wyjechała z Moskwy w tak młodym wieku, to ma pewnie jakiegoś starszego sponsora. Nietrudno było w to uwierzyć, patrząc na jej twarz i ciało pod napiętą warstwą lycry. Nieosiągalna. Nate zdecydował, że ją sprawdzi, by formalnościom stało się zadość, ale że będzie musiał o niej zapomnieć.

Dominika mówiła sobie, że nie chodzi o zwykłą sekspułapkę w

jej własnym kraju, ale poważną operację zagraniczną. W dodatku przeciwko oficerowi obcego wywiadu. Miała za sobą szkolenie w centrali i wiedziała, że musi działać ostrożnie. Wysłała już do Jasieniewa wstępny raport na temat nawiązania kontaktu. Wołontow naciskał na dalsze działania.

Przez parę tygodni nie było odzewu z Langley. Typowe, pomyślał Nate. Po prostu wszyscy mają to gdzieś. Miło jednak było spotkać się z nią od czasu do czasu i wypić drinka. Dwa razy udało mu się sprawić, że się uśmiechnęła - jej angielski był na tyle dobry, że złapała dowcip. Nie zamierzał straszyć jej i mówić po rosyjsku. Któregoś wieczoru, kiedy skończyli pływać i szli w stronę drabinki, żeby wydostać się z wody, nagle na siebie wpadli. Kostium dziewczyny przylegał do jej krągłości. Nate widział pod lycrą, jak bije jej serce. Podał jej rękę, żeby mogła się wspiąć. Miał mocny uchwyt i ciepłą dłoń. Przytrzymał ją na moment, a potem puścił. Twarz obojętna, żadnej reakcji. Spojrzał jej jeszcze w oczy. Dominika zdjęła czepek i potrząsnęła głową.

Wiedziała, że na nią patrzy, i starała się zachować spokój i dystans. Ciekawe, jak by zareagował, gdyby się dowiedział, że ćwiczono ją na jaskółkę. I o tym, co zrobiła z Delonem i Ustinowem. Nie chciała go uwieść. Przez całą drogę z Moskwy miała w uszach tamten rechot. Teraz pragnęła wypełnić zadanie dzięki dyscyplinie i swemu umysłowi. Trzeba iść dalej, myślała, otworzyć tę „koperkę”, poruszyć tę frustrująco stałą fioletową poświatę.

Tego wieczoru nie odmówiła, kiedy Nate zaproponował, żeby wstąpili gdzieś na wino. Rozradował się najpierw zaskoczony, potem wyraźnie zadowolony. To, że widzą się w ubraniach na ulicy, wydało im się dziwne. Dominika siedziała sztywno przy stoliku w pobliskim barze, trzymając w dłoni lampkę wina.

Teraz uzyskiwanie informacji. Skąd pochodzisz? Masz rodzeństwo? Co robią twoi rodzice? Przebiegała przez całą listę, wypełniając luki w jego teczce.

Wyglądało to jak przesłuchanie, choć Nate wiedział, że tak nie jest. Może jest po prostu zdenerwowana, myślał, i dlatego unika pytań na swój temat. Już tacy są Rosjanie, nigdy nie wykazują za dużej delikatności. Dobrze, niech się odpręży. Nie chciał jej wystraszyć zbyt bezpośrednimi pytaniami. Ale dlaczego wystraszyć? - zapytał sam siebie. Nie była ani jego celem, ani też nie zamierzał zwabić jej do łóżka.

Zamówił ciemne pieczywo i ser. Bardzo sprytnie, pomyślała. Pewnie wydaje mu się, że my, Rosjanie, tylko to jemy. Jeszcze jedna lampka? Nie, dziękuję. To ona w końcu powiedziała, że musi wracać do domu. Nate zapytał, czy może ją odprowadzić. Kiedy dotarli do drzwi jej bloku, zauważyła, że walczy z przemożną chęcią pocałowania jej w policzek. Patrzyła, jak się waha - mężczyźni już tacy są - a potem uściśnęła mocno jego dłoń i weszła na klatkę. Przez przeszkłone drzwi zobaczyła, jak się odwraca i wsadza rękę do kieszeni.

Wyszkolona oficer wywiadu SWR, absolwentka Akademii Wywiadu Zagranicznego i szkoły jaskółek pogratulowała sobie pełnego sukcesów wieczoru, a zwłaszcza tego, jak zapobiegła pocałunkowi. A potem się zaśmiała. Ale ze mnie kurtyzana! Pogromczyni gangsterów, uwodzicielka dyplomatów, a teraz niedostępna kobieta, która nie pozwala się pocałować na dobranoc.

*

- Cześć, Romeo - rzucił Forsyth, zaglądając do niewielkiego pokoju Nate'a. - Widziałeś dzisiejsze informacje z centrali na temat Esther Williams?

Chodziło mu o depezę, którą Nate wysłał do Langley w sprawie Dominiki Jegorowej. Data i miejsce urodzenia: 1989, Moskwa; stanowisko: asystentka w administracji Ambasady Rosyjskiej w Helsinkach. Nate spodziewał się, że telegram będzie zawierał trzy słowa: „Żadnych śladów działalności”, nazwiska Dominiki nie było nawet na miejscowych listach dyplomatów. Mówiła mu

przecież, że pracuje w administracji, na najniższym możliwym stanowisku. Nate opisał jeszcze ich pierwszy kontakt i spotkania na basenie. Zupełnie bezużyteczne, ta dziewczyna nie miała dostępu do ważnych dokumentów, brakowało jej potencjału.

- Nie - odparł Nate. - Znajdę je na tablicy?

- Masz tu mój egzemplarz. Czytaj uważnie. - Forsyth zachichotał i podał mu telegram.

Nate pochylił się nad kartką. Tuż obok pojawił się Gable.

- Czy nasz napalony byczek widział już wyniki sprawdzenia? - spytał.

On też się śmiał, ale Nate nie zwracał na niego uwagi.

1. Wyniki sprawdzania podanej osoby wskazują, że jest ona kapralem SWR, zapewne w departamencie I (rozpowszechnianie informacji, komputery) . Najprawdopodobniej rozpoczęła służbę w 2008 lub 2009 roku. Absolwentka Akademii Wywiadu Zagranicznego z 2010 roku. Wygląda na to, że jest spokrewniona z pierwszym zastępcą dyrektora SWR Iwanem Dimitriewiczem Jegorowem. Wysłanie jej do Finlandii nie zostało odnotowane w listach MSZ Federacji Rosyjskiej, co wskazuje na delegację służbową i/lub

ograniczone w czasie zadanie operacyjne.

2. Komentarz centrali: Centralę interesuje wymieniona podoficer. Powiązania rodzinne z szefostwem SWR dają jej dostęp do ważnych informacji, dlatego warto wykorzystać szansę na werbunek.

3. Wyrażamy uznanie dla rezydentury za dokładność, uwagę i energiczne działania, które dają duże nadzieje na przyszłość. Należy zachęcić odpowiedzialnego oficera do dalszych badań, by móc ocenić rozwojowość kontaktu. Na życzenie rezydentury centrala będzie służyć pomocą w tej operacji.

Pozdrowienia.

Nate uniósł głowę i popatrzył najpierw na Forsytha, a potem na Gable'a.

- Trudno o lepsze wyniki sprawdzania - rzekł Forsyth. - Może będzie z tego nawet jakiś ważny werbunek.

Nate poczuł, jak nogi robią mu się ciężkie i nieruchome.

- Coś mi tu nie pasuje, Tom. Ona nie jest wprowadzona w tę grę. Jest za młoda. Poza tym nie wiem, czy da się zwerbować. Jest jakaś zamknięta, oddalona. - Znowu spojrzał na depeszę. - Przez pięćdziesiąt lat w akademii nie było żadnej kobiety. Mogę stracić pół roku, starając się bez większego sensu przygotować ją do werbunku. Wydaje mi się, że powinienem skoncentrować się na czymś innym.

Gable pochylił się nad barkiem Forsytha.

- Skoncentrować się na czymś innym? - powtórzył ze śmiechem. - Chyba, kurwa, żartujesz! Taka laska, a w dodatku powiązana z szefostwem SWR. No tak, musisz się zastanowić, sprawdzić... Może jednak zdecydujesz się na kogoś innego... Mówię ci, ta cizia tylko czeka, żebyś się nią zajął.

- No dobra, dobra - mruknął Nate. - Po prostu nie wygląda na oficera operacyjnego SWR. Jest jakaś ponura i przestraszona. Tak mi się przynajmniej wydaje. - Wzruszył ramionami i spojrzał na kolegów.

- Wydaje czy nie wydaje, stary, masz solidne podstawy do tego, żeby zająć się jej rozpracowywaniem - powiedział Gable, wycofując się z pokoju. - Porozmawiamy o planach operacyjnych, jak będziesz gotowy - rzucił jeszcze przez ramię.

Forsyth mrugnął do Nate'a i też zaczął zbierać się do wyjścia.

Nate zdążył jeszcze skinąć mu głową. Dobrze, zobaczymy, co z tego wyjdzie, pomyślał. Strata czasu? No, gdzie twoja motywacja? Od tego momentu Dominika Jegorowa miała stać się dla niego kimś więcej niż piękną kobietą, a mianowicie kandydatką na oso-

bowe źródło informacji.

W położonej nieco dalej Ambasadzie Rosyjskiej rezydent Wołontow czynił Dominice wyrzuty z powodu za małych postępów jej operacji.

- Dobrze pani zaczęła, pani kapral, ale teraz idzie to zdecydowanie zbyt wolno. Generał Jegorow wciąż pyta o rozwój sytuacji. Musi się pani postarać, żeby bardziej zaprzyjaźnić się z Nashem. Częstsze spotkania. Wspólne wypadki na narty, na weekendy... Niech pani coś wymyśli. Generał Jegorow doradzał, żeby uzależniła pani od siebie emocjonalnie tego Amerykanina. - Wołontow rozparł się w fotelu i przeciągnął tłustymi palcami po wypomadowanych włosach.

- Dziękuję, panie pułkowniku. - Najpierw jej wuj, potem Siemionow, a teraz ten śmierdzący głupek. - Ale czy może mi pan wyjaśnić, co dyrektor Jegorow ma na myśli, mówiąc o „emocjonalnym uzależnieniu”? - Popatrzyła na niego, spodziewając się, że zasugeruje, iż ma go uwieść.

- Oczywiście nie mogę wypowiadać się za pana generała - mruknął Wołontow, robiąc unik. - Chodzi o to, żeby skoncentrowała się pani na dalszym rozwoju tej znajomości. Na wytworzeniu więzi... - Wołontow wykonał gest, chcąc pokazać, na czym ma polegać „wytworzenie więzi”. - A przede wszystkim musi pani go zmusić do mówienia o sobie.

- Tak jest, panie pułkowniku - powiedziała, wstając z krzesła. - Przyspieszę operację i będę pana o wszystkim informować. Dziękuję za cenne rady.

Po rozmowie poczuła, jak opuszczają ją siły. Musiała funkcjonować w infantylnym świecie pełnym oślizgłych komentarzy i insynuacji. „Emocjonalne uzależnienie”, „więzi”. Szkoła jaskółek.

Czy będzie się z tym borykać już do końca pracy w SWR?

Otrząśnij się z tego! - myślała wściekła, wracając do domu.

Miała przecież zadanie w bajkowym miasteczku za granicą i wła-

sne mieszkanie. I to było cudowne. No i musiała poradzić sobie z wyszkolonym oficerem. Cóż, Nate Nash nie wydawał się jej zbyt groźny, ale pracował przecież w CIA i to już wystarczało. Dzisiaj wyciągnie z niego więcej informacji. Zapyta go, co sądzi o Rosjanach - Nate nie przyznał się jeszcze do tego, że zna rosyjski. Zapyta go o Moskwę, a wtedy będzie musiał się przyznać, że w niej był. Kiedy tak szła oświetloną ulicą w stronę Yrjönkatu, nieświadoma tego, że bardziej utyka, myślała z przyjemnością o czekającym ją spotkaniu.

Nate też zmierzał w kierunku pływalni. Był tak zajęty swoimi myślami, że zupełnie zapomniał o ulicy i nie zwracał uwagi na szczegóły. Obudź się, stary, pomyślał. Przecież masz nową sprawę. Przeszedł na czerwonym świetle i zmienił kierunek marszu, starając się coś dostrzec, gdy się rozglądał, niby zwracając uwagę na samochody. Nic ważnego, nic szczególnego. Trzy przecznice i ta sama procedura. Ogonów nie ma. To już nie zwykła chlapanina z niebieskooką Rosjanką w kostiumie z lycry. Jeśli Dominika rzeczywiście pracuje w SWR - a Nate wciąż miał co do tego wątpliwości - to trzeba uważać i ponownie ocenić sytuację. Cholera, wolałby już raczej zająć się tym pijakiem Tiszkowem. Miałby przynajmniej dostęp do dokumentów i protokołów z rozmów w cztery oczy. To byłoby prawdziwe osiągnięcie, coś, co wywołałoby szum w centrali.

Pogrążona w myślach Dominika również zapomniała sprawdzić, czy ktoś jej nie obserwuje, aż znalazła się trzy przecznice od basenu. By to nadrobić, dokonała absurdalnego zwrotu w alejce - jej instruktorzy nie byłiby z tego zadowoleni - i poczuła się... śmieszna i żałosna. I gdy tak oboje szli w roztargnieniu w różne strony, nagle wyłonili się zza różnych zakrętów i znaleźli się w tym samym czasie przed wejściem do pływalni. Dominika zaczęła szybciej oddychać, Nate poczuł, że mocniej bije mu serce, ale oboje pamiętali o swoich zadaniach i od razu przystąpili do pracy.

*

Oparła się o drewniane przepierzenie ich łoży. W długich palcach ścisnęła delikatnie kieliszek. Nate siedział po drugiej stronie z wyciągniętymi i skrzyżowanymi na końcu nogami. Miał na sobie wycięty w serek sweter i dżinsy, a ona robioną na drutach bluzkę i plisowaną spódnicę. Poza tym włożyła czarne rajstopy i buty na płaskim obcasie w tym samym kolorze. Nate zauważył, jak kiwa jedną nogą pod stołem.

- Amerykanie nigdy nie są dostatecznie poważni - zauważyła.

- Zawsze się ze wszystkiego śmieją.

- Tak? A ilu ich znasz? Byłaś w Stanach? - zaciekawił się

Nate.

- W szkole baletowej mieliśmy jednego takiego studenta - odparła. - Naprawdę ciągle żartował. - Mogła mówić o szkole, bo było to częścią jej operacyjnej legendy.

- Dobrze tańczył? - spytał Nate.

- Niespecjalnie - rzekła. - Program był bardzo trudny, a on wcale nie chciał się tam znaleźć.

- Pewnie czuł się samotny - zauważył Nate. - Pokazałaś mu Moskwę? Chodziliście razem na imprezy?

- Jasne, że nie. To było zabronione.

- Zabronione? Ale co konkretnie, imprezy czy to, żeby się lepiej poczuł?

- No widzisz, ciągle żarty.

- To wcale nie żart - powiedział Nate. - Zastanawiam się, jakie wrażenia wywiózł z Rosji i z Moskwy. Czy było mu tam miło, czy ciągle tęsknił, czuł się nielubiany?

Co za dziwne pytanie, pomyślała Dominika.

- Wiesz coś o Moskwie? - rzuciła, znając już odpowiedź.

- Nie mówiłem, że mieszkałem tam przez rok? Pracowałem w ambasadzie. I mieszkałem koło kancelarii...

Żadnego zainteresowania. Nawet najmniejszej zmiany.

- I jak ci się podobało?

- Miałem masę pracy i za mało czasu, by poznać samo miasto.

- Wypił trochę wina i się uśmiechnął. - Szkoda, że cię wtedy nie znałem. Mogłabyś mi je pokazać. Chyba że to też jest zabronione.

Niewinny chłopiec, pomyślała Dominika. Ale udaje. Zignorowała tę ostatnią uwagę i przeszła do kolejnego pytania.

- Dlaczego wyjechałeś? Wydawało mi się, że dyplomatów zatrudnia się na dłużej. - Jego odpowiedź miała stanowić najważniejszą część jej raportu.

- Dostałem propozycję pracy w Helsinkach i musiałem wybierać - odparł.

Bardzo przekonujące, pomyślała Dominika. Zauważyła, że barwa wokół jego ramion się nie zmieniła, kiedy skłamał. I profesjonalne, dodała w duchu.

- Było ci przykro, że musiałeś wyjechać?

- Do pewnego stopnia - odparł. - Było mi też przykro z powodu Rosji.

- Rosji? Dlaczego?

- Udało nam się zakończyć zimną wojnę i nie powysadzać się w powietrze, choć czasami byliśmy blisko. Dawny system się skończył, niezależnie od tego, czy to się komuś podobało, czy nie. Chyba wszyscy w Rosji liczyli na wolność i lepsze życie.

- I myślisz, że w Rosji nie żyje się teraz lepiej? - spytała Dominika, starając się ukryć oburzenie.

- Pod pewnymi względami z pewnością tak. - Wzruszył ramionami. - Ale ludzie wciąż mają ciężko. Najgorsze jest to, że zaczęła się nowa epoka, z której nic nie wynikło.

- Nie rozumiem - powiedziała Dominika.

Zobaczmy, czy połknie przynętę, pomyślał Nate.

- Nie zrozum mnie źle, ale mam wrażenie, że obecny system wcale nie jest lepszy od poprzedniego. Tyle że nie tak jasno to widać, bo zaangażowali nowoczesną technikę, są bardziej medial-

ni. Nowa broń to ropa naftowa i gaz, ale sam system pozostaje równie okrutny, represyjny i skorumpowany jak wcześniej. - Nate spojrział na nią nieśmiało i podniósł ręce. - Przepraszam. Nie chciałem krytykować Rosji.

Mimo szkoleń i ćwiczeń Dominika nie była przygotowana na taką rozmowę. Musiała pamiętać, że ma przed sobą oficera wywiadu, wyćwiczonego w prowokacjach, by wydobyć od rozmówców jak najwięcej wiadomości. Pomyślała, że musi się odprężyć. Nie może stracić panowania nad sobą. Musiała jednak jakoś mu odpowiedzieć.

- To nieprawda - rzekła twardo. - Tak mówią wrogowie Rosji.

A oni kłamią.

Nate pomyślał o byłym oficerze KGB otrutym polonem i zastrzelonej w windzie dziennikarce, a następnie dopił wino.

- Powiedz to Litwinience albo Annie Politkowskiej.

Albo Ustinowowi, dodała w myśli, wciąż czując się winna tego, co się stało. Jednak w dalszym ciągu była wściekła na Nate'a.

TORTILLA ESPAÑOLA Z AMBASADY HISZPAŃSKIEJ

Pokrojone na średniej grubości plasterki ziemniaki i krojoną cebulę przyprawiamy i smażymy w dużej ilości oliwy, aż staną się miękkie, a następnie osuszamy w oddzielnym naczyniu. Dodajemy ubite jajka i na posmarowanej oliwą patelni ponownie smażymy na średnim ogniu, aż zbrązowieją brzegi i spód tortilli. Następnie kładziemy na patelni talerz, przewracamy tortillę na drugą stronę i smażymy również do zbrązowienia.

11

Nate siedział w swoim pokoju w rezydenturze i wyglądał na dwór przez paski żaluzji w oknie. Z roztargnieniem uderzał po nich sznurkiem, tak że plastikowa końcówka odbijała się od ściany: pac, pac, pac. Wczoraj wieczorem był w kolejnej ambasadzie na kolejnym przyjęciu z okazji święta narodowego. Na biurku miał stosik wizytówek, czuł ból mięśni między łopatkami. Pomyślał o pływaniu i przypomniał sobie Dominikę. Dobrze jej się przyjrzał, byli razem w paru miejscach, ale wciąż miał wrażenie, że nic z tego nie wyjdzie. Ta dziewczyna wierzyła w Rosję, była jej naprawdę oddana, nie miała wątpliwości czy słabych punktów. Tracił tylko czas. Plastikowa końcówka znowu uderzyła o ścianę. Wydawało mu się, że wizytówki na biurku szydzą z niego. Na metalowej tacy leżała pojedyncza kartka papieru - jego raport na temat ostatniego spotkania z Dominiką.

Do pokoju zajrzał Gable.

- Boże, wyglądasz tu jak więzień na zamku Zenda w swojej wieży - mruknął. - Dlaczego stąd nie wyjdiesz? Nie zaprosisz kogoś na lunch?

- Nie mam siły, nic mi nie wychodzi - odparł Nate, patrząc przez okno. - Miałem w tym tygodniu aż cztery święta narodowe. Gable potrząsnął głową, podszedł do okna i jednym ruchem zamknął żaluzje. Przysiadł na biurku Nate'a i pochylił się w jego stronę.

- Posłuchaj, Hamlecie, bo będę rzucał perły mądrości przed wieprze, a w zasadzie przed jednego wieprza. Z tym kurewskim wywiadem agenturalnym wiąże się jedna mała perwersja. Czasami im bardziej próbujesz znaleźć cel, zacząć operację, tym bardziej się od tego oddalasz. Niecierpliwość, agresja, a w twoim przypadku desperacja rozchodzi się w powietrzu niczym zaraza. Nikt nie chce z tobą rozmawiać, zjeść posiłku. Wszyscy wyczuwają zarazę...

- Nie rozumiem.

Gable pochylił się mocniej.

- Masz gorączkową potrzebę działania - ciągnął. - Im dłużej patrzysz na fiuta, tym słabiej ci stoi. Próbuje, ale daj se też luz.

- Dziękuję za obrazowe wyjaśnienia - mruknął Nate - ale jestem tu już od jakiegoś czasu i... nic.

- Przestań, bo się rozplaczę. Pamiętaj, że musisz zadowolić tylko mnie i szefa, a my nie narzekamy. Przynajmniej na razie - dodał znacząco. - Masz czas, więc działaj spokojnie, bez nerwów. - Gable wziął raport z jego tacy. - Poza tym ta twoja laska to prawdziwa kopalnia złota, z całym szacunkiem dla tego, co sam sądzisz. Zajmij się nią, na miłość boską. Mam pomysł, jak ją trochę rozruszać, żeby lepiej się nam zaprezentowała.

Gable zaproponował, by zajęła się nią niewielka grupa obserwacyjna, którą mieli w rezydenturze. Mogli w ten sposób sprawdzić, czym zajmuje się Jegorowa. Nate uważał to za przesadę i przekonywał obu szefów, że Dominika jest pracownikiem niskiego szczebla bez dostępu do poufnych danych. Obserwowanie jej będzie stratą czasu.

- Dobrze, więc ustalmy, że nie zgadzamy się w tej sprawie - rzucił Gable. - Innymi słowy, zamknij gębę!

Forsyth uniósł rękę do góry.

- Nate, ponieważ to ty pracujesz z Jegorową, może przejmiesz dowództwo grupy obserwacyjnej, co? Masz z nią trochę doświadczeń, możesz pomóc. Nasi obserwatorzy to starsze małżeństwo, bardzo ciekawi ludzie. No i niezwykle dokładni i profesjonalni w swojej robocie.

Fajnie, pomyślał Nate. Gable zaproponował, żeby zaangażować w to ekipę obserwacyjną, a Forsythe zlecił mu nad nią zwierzchnictwo, żeby zmusić go do zajęcia się sprawą. Forsyth i Gable świetnie ze sobą współpracowali, jak prawdziwi zawodowcy, doskonale wiedzieli, jak zmotywować podwładnych.

Gable podsunął mu teczkę i zgromił wzrokiem, widząc, że Nate

chce się odezwać.

- Toteczka Archiego i Veroniki. - Urwał na chwilę. - Ci ludzie to prawdziwa legenda. Pracują dla nas od lat sześćdziesiątych. Brali udział w naprawdę ważnych akcjach, choćby sprawie Golicyna. Pozdrów ich ode mnie.

Dwadzieścia cztery godziny później, po dwugodzinnej trasie sprawdzającej, kiedy to najpierw pojechał na północ drogą E75, potem drugorzędnymi drogami na zachód w kierunku Tuusula, a następnie stowudziestką znowu do Helsinek, Nate zostawił w końcu samochód na parkingu przy dworcu Pasila i ruszył w stronę Länsi-Pasila, dzielnicy wieżowców i centrów handlowych. Odnalazł wyznaczony budynek, skromny czteropiętrowy blok z cegły i szkła z prostokątnymi loggiami. Nacisnął guzik domofonu przy nazwisku Rääkkönen i wpuszczono go do środka. W końcu zadzwonił do drzwi na czwartym piętrze.

- Proszę - powiedziała starsza kobieta, która otworzyła drzwi. Żwawa. Po siedemdziesiątce. Veronica. Miała wąską, arystokratyczną twarz z prostym nosem i mocnymi ustami, które wskazywały, że kiedyś musiała być bardzo piękna. Jej chłodne niebieskie oczy wciąż były godne uwagi, a różowa skóra aż lśniła zdrowiem. Z gęstych siwych, uczesanych w kok włosów wystawał ołówek. Miała na sobie jasne spodnie i lekki sweter. Na jej szyi wisiały okulary do czytania, a na podłodze obok fotela piętrzyły się gazety i magazyny.

- Czekaliśmy na ciebie - powiedziała. - Jestem Jaana. - Uścisnęła mocno jego dłoń.

Aż promieniowała energią i witalnością, wskazywał na to jej uścisk, oczy, cała postawa.

- Napijesz się herbaty? Która godzina? - Spojrzała na swój zegarek, który nosiła z cyferblatem zwróconym do nadgarstka, co było charakterystyczne dla ulicznych obserwatorów. - Już na tyle późno, że można pomyśleć o czymś mocniejszym - zauważyła. -

Może schnappsa? - Wszystko to mówiła, wyraziście gestykułując, mrugając oczami i uśmiechając się.

- Marty Gable przesyła pozdrowienia - powiedział Nate.

- To bardzo miło z jego strony - rzuciła, starając się zrobić

trochę miejsca na zastawionym rozmaitymi rzeczami stoliku. -

Świetny facet. To dobrze, że jest twoim szefem. - Biegała do kuchni

i z powrotem; najpierw przyniosła szklanki, a potem owalną bu-

telkę ze schnappsem. - Widzieliśmy różnych dziwnych szefów, i to

po obu stronach. Oczywiście Rosjanie byli gorsi, wstrętnei, brutalni,

starający się przeżyć w swoim okrutnym świecie. Z pewnością nie

można się było z nimi nudzić.

Jaana Räikkönen nalała schnappsa do dwóch szklanek i uniosła

swoją w skandynawskim toaście, patrząc Nashowi w oczy przy

pierwszym łyku. Salon był mały i urządony wygodnie, na meblach

pełno było rzeczy, a na biegnących po drewnianych ścianach pół-

kach stały rzędy książek. Całe mieszkanie wypełniał zapach zupy

warzywnej.

- Czy twój mąż jest w domu, Jaano? - spytał. - Miałem na-

dzieję, że też się z nim spotkam.

- Zaraz przyjdzie. Jest na ulicy, sprawdzał, czy nikt cię nie

śledził. - Wzruszyła ramionami. - Taki już mamy nawyk.

Nate zaśmiał się sam do siebie. Jeździł przez dwie godziny,

starając się zgubić wszelkie możliwe ogony, a nie zauważył star-

szego faceta koło bloku. Oboje tak właśnie musieli działać od wielu

lat, pomyślał.

W tym momencie dobiegł do nich zgrzyt klucza w zamku i

Marcus Räikkönen wszedł do środka. Archie. Spuścił ze smyczy

brązowego jamnika, który powąchał Nate'a, a potem pobiegł na

swoje legowisko. Wabił się Rudy. Marcus był wysoki, miał ponad

metr osiemdziesiąt, i szeroki w barach. Spod jego krzaczastych

brwi patrzyły jasne, niebieskie oczy. Pojednej stronie szczęki, pod

ostrym podbródkiem widać było napięte mięśnie. Poruszał się

sprawnie, jak sportowiec. Łysiał już, a włosy, które mu zostały, miał krótko przycięte maszynką. Ubrany był w ciemnoniebieski dres i czarne adidas. Na lewej piersi widać było wpiętą małą fińską flagę. Silnie uścisnął dłoń Nasha.

- Na podwórku po drugiej stronie ulicy? - rzucił Nate. - Ławka koło schodów?

- Świetnie - powiedział Marcus. - Nie sądziłem, że mnie zauważysz. - Uśmiechnął się i wziął do ręki trzecią szklankę ze schnappsem. - Twoje zdrowie! - Wypił, patrząc Nate'owi w oczy. Nate przypomniał sobie to, co znalazł w papierach na ich temat. Archie i Veronica przez czterdzieści lat stanowili trzon wspólnej ekipy obserwacyjnej w Helsinkach. Oboje byli teraz na emeryturze. Wcześniej Archie pracował jako śledczy w fińskiej policji podatkowej, a Veronica jako bibliotekarka. Byli efektywni, bo potrafili zmieniać się i znikać na ulicy, a poza tym instynkt podpowiadał im, jaki będzie następny ruch królika. Oczywiście świetnie znali miasto i jego metro, gdyż wraz z nimi dorastali. Zawzięci, dyskretni, cierpliwi i niespieszni, potrafili rozpracowywać kogoś miesiącami i nikt ich nie zauważał. Gable powiedział, że ich styl pracy „bardziej przypomina pieszczotę żony niż ingerencję lekarza”.

Nate opracował wraz z Rääkkönenami plan obserwacji Dominiki. Chodziło o to, żeby nie śledzić jej cały czas, a tylko w starannie wybranych okresach: wieczorem po pracy i w czasie weekendów, kiedy to mogło wydarzyć się coś interesującego. Nate obserwował ich z daleka przy pracy. Raz zakładali parki oraz włóczkowe rękawice i czapki, to znowu eleganckie garnitury i płaszcze, przyjeżdżali rowerami z dzwonekami, ciągnąc Rudy'ego na smyczy, to znowu dyskretnym volvo lub skuterem z koszem na zakupy. Czasami chodzili razem, trzymając się za ręce, czasami oddzielnie. Któregoś razu Jaana weszła za Dominiką do sklepu, korzystając z chodzika. Archie i Veronica umieli wszystko: obserwacja ruchoma, obserwacja zewnętrzna stacjonarna, prowadze-

nie, przecinanie drogi, obserwacja paralelna, wymiana obserwatorów.

Nate spotkał się z nimi ponownie po dwóch tygodniach w ich mieszkaniu. Zrobili kilka zdjęć. Marcus podsumował wyniki dotychczasowej obserwacji. Jego raport był krótki, precyzyjny. Jaana co jakiś czas wtrącała własne uwagi.

- Po pierwsze - zaczął Marcus - jesteśmy niemal pewni, że do tej pory ani nie spodziewała się, ani nie wykryła obserwacji. - Wzruszył ramionami. - Jest młoda, ale doskonale radzi sobie na ulicy. Nie korzysta z wyświechtanych sztuczek, dobrze się porusza, potrafi wykorzystać otoczenie. Bardzo wysoko oceniam jej umiejętności.

- Zna już topografię miasta i tylko raz widziałem, żeby powtórzyła jakąś technikę - dodał, patrząc na żonę. - Czeka na półpiętrze hotelu Torn i naprzeciwko pływalni, aż się pojawisz. Potem siedzi tam jeszcze chwilę i idzie do Yrjönkatu.

- Marcus się ze mną nie zgadza - wtrąciła Jaana - ale moim zdaniem ta dziewczyna nie jest oficerem operacyjnym. Nie ma swoich agentów i nie wspiera działaniami rezydentury. Po prostu nie ma nic do zrobienia.

Popatrzyła na męża, czekając na odpowiedź.

- Jasne, że ma - rzekł Marcus. - Tyle że na razie nie wiemy, jakie to zadanie. Potrzeba nam więcej czasu.

- Jedno wiemy na pewno - powiedziała Jaana, ignorując tę uwagę. - Jest samotna. Z ambasady idzie prosto do swego mieszkania. Kupuje rzeczy dla jednej osoby. W czasie weekendów chodzi sama.

- Czy pilnuje jej ktoś z rezydentury? - spytał Nate. - Widzieliście, żeby jeszcze ktoś ją obserwował.

- Raczej nie. - Marcus potrząsnął głową. - Jest czysta. Będziemy sprawdzać, czy jej nie obserwują.

- Spotkam się z nią poza basenem - dodał Nate. - Chciałbym,

żebyście obserwowali, co się wtedy dzieje.

Marcus skinął głową.

- Będzie ciekawiej. Zobaczymy, co zrobi bezpośrednio po tych spotkaniach. Oficerowie zwykle biegną wtedy do telefonu albo na randkę z szefem rezydentury. Postaraj się dać nam wcześniej znać, co planujesz. Jeśli chcesz, możemy zaproponować parę fajnych miejsc.

- I jeszcze jedno - rzuciła Jaana, dolewając mu schnappsa. -

Wiesz, mam wrażenie, że jest to miła, sympatyczna dziewczyna. I potrzebuje przyjaciela.

Marcus uniósł lekko brwi i spojrzał najpierw na żonę, a potem na Nate'a.

Nate omówił raport Archiego i Veroniki z Gable'em.

- Dobrze, uważaj na nią, zwłaszcza że nie wspiera jej nikt z rosyjskiej ambasady - mruknął Gable. - Jeśli dostanie wsparcie, to możliwe, że jest oficerem operacyjnym. I że to ty jesteś jej celem.

- Wykluczone - rzucił Nate. - To przecież niemożliwe.

- Ciesz się twoją pewnością. W każdym razie zajmij się nią, i to porządnie. Spokojnie, wolno, tylko się pośpiesz.

Nate wyznaczył sobie cel, by spotykać się z Dominiką poza basenem co najmniej raz w tygodniu. Sprawdził, gdzie mogliby pójść, by ich nie widziano. Spotykali się po pracy w barach w podziemiach, chodzili na kawę w sobotę rano i w niedzielę na lunche do odległych restauracji. Sadzał ją plecami do ulicy. W całych Helsinkach pełno było Rosjan z ambasady, a on nie chciał, żeby ją zauważyli. Wzmacniał ich przyjaźń, ale starał się, by pozostali w ukryciu: przychodzili oddzielnie, wychodzili osobno. Nie dzwonili, zmieniali zachowania, budowali wzajemne zaufanie.

Strata czasu.

Dominika wykorzystywała własne umiejętności. Idąc na spotkania, sprawdzała, czy nie jest śledzona. Finowie gapili się na piękną ciemnowłosą kobietę na schodach, na zaśnieżonej uliczce

czy w tylnych drzwiach sklepu, nie zdając sobie sprawy, że szuka obserwatorów, liczy wszystkie futra i kapelusze, sprawdza kawiarnię, do której właśnie dotarł Nate.

Coraz lepiej się poznawali. W ciągu ostatnich paru spotkań naprawdę rozmawiali, co wydawało się zupełnie normalne w ich sytuacji. Dominika uznała, że Nate jest szczery, naturalny, inteligentny. I chociaż Amerykanin, wcale nie był chamski. Jego komentarze na temat pobytu w Moskwie były powierzchowne; oczywiście musiał ukrywać to, że prowadził rosyjskiego kreta. Dominika nie interesowała się tak bardzo jego komentarzami na temat Rosji, choć sama czuła podobnie. No już, powiedz coś ciekawego, poganiała go w duchu. Musiała spędzać z nim więcej czasu, koncentrować się na jego rutynowych zajęciach. Musiała zdecydować, czy nadaje się na informatora.

Czuła presję. Czy jeśli nie dojdzie szybko do przełomu, zdecyduje się - pod naciskiem centrali i Wołontowa - na fizyczny kontakt. *Nielzia*, myślała. Nate był przystojny, bardzo podobały jej się jego otwartość i humor... ale nie. Nigdy.

Ile już odbyli spotkań? Nate znowu poczuł podniecenie na myśl o tym, że zobaczy Dominikę, chociaż nie wiedział, czy zdoła ją do czegokolwiek skłonić. Dziewczyna była niezłomna. Nate nie bał się setek samochodów obserwacyjnych w Moskwie, ale naprawdę nie potrafił określić, jakie są jej motywacje. Jeśli nawet prowadziła jakąś operację, nie był w stanie stwierdzić, na czym ona polega. Wyglądało to niemal tak, jakby przybyła do Helsinek tylko po to, by nabyć doświadczenia, co wydawało się zupełnie bez sensu. Jej związki z SWR wydawały się bardzo ważne, właśnie dlatego należało ją zwerbować. Już wkrótce będzie musiał jakoś zapanować nad sytuacją, bo cierpliwość Forsytha ma swoje granice, a Gable dodatkowo mu dołoży.

Jeszcze jedno. Mógł godzinami patrzeć na jej twarz. Boże, co mi chodzi po głowie? Muszę się skoncentrować na sprawie, ocenić ją,

sprawdzić, co ją rusza. Teraz znacznie łatwiej im się rozmawiało, chociaż się nie zgadzali. Czerwieniła się i była zła, kiedy krytykował Rosję, ale Nate miał też wrażenie, że czasami niechętnie się z nim zgadza. Nie wierzyła też w całą propagandę. Może był to jakiś punkt zaczepienia, a może nie.

Nate spojrział w lustro i przyczesał włosy. zaproponował, żeby w tę niedzielę zjedli lunch w małej ludowej restauracji w Philajisto, nieopodal północno-wschodniej linii metra. Dominika przystała na tę propozycję. Parę tygodni wcześniej Archie stwierdził, że to miejsce położone jest na uboczu.

- Na pewno nie będzie tam naszych rosyjskich przyjaciół - stwierdził. - Jedno z nas będzie ją obserwować w metrze, a drugie osłaniać ciebie.

Nate narzucił nieprzemakalną sportową kurtkę. Miał na sobie sweter, sztruksowe spodnie i buty z głębokim poprzecznym bieżnikiem. Wyszedł z mieszkania, przemierzył pobliskie nierówności Kruununhaki, zajrzał nad zamarznięte nadbrzeże i dopiero wtedy zaczął swoją zwykłą trasę sprawdzeniową.

W mieszkaniu po drugiej stronie miasta wielkooka Dominika również patrzyła w lustro. Nie użyła perfum, ale uczesała się starannie swoim szylkretowym talizmanem. Przygotowywała się do wyjścia do metra, ale wcześniej wyjrzała jeszcze ukośnie przez okno na ulicę. Czekwała na to spotkanie, mogła z nim rozmawiać, spierać się, za każdym razem dowiadywać się czegoś nowego.

Włożyła golf i tweedową kurtkę oraz wełniane spodnie, gdyż zrobiło się zimno, a także buty na płaskim obcasie. Zawiązała sobie chustę wokół głowy jak *babuszka* i wyszła z mieszkania. Zeszła do suterenu, przeszła przez składzik i weszła do kotłowni. Wąski korytarzyk prowadził wprost do położonego wyżej zakratowanego okienka, które odkryła przed paroma tygodniami. Wyglądało na to, że dawniej wrzucano przez nie węgiel. Dwa dni wcześniej Dominika potrzebowała prawie godziny, żeby otworzyć kłódkę; nie było

to łatwe, zwłaszcza że w charakterze wytrycha miała jedynie szpilkę od włosów. Ustawiła pod spodem pudełka, podciągnęła się i precyzyjnie przecisnęła przez okienko. Niezły początek randki, pomyślała. Zamknęła za sobą okienko i rozejrzała się po zasłoniętych oknach. Nic. Przeszła cicho alejką, wcisnęła się między ciężarówkę a pojemnik na śmieci, przeskoczyła przez niski murek i znalazła się na ulicy. Oddaliła się już o jedną przecznicę od swego bloku. Miała podniesiony kołnierz kurtki, a chusta zakrywała jej rysy. Przeszła niespiesznie do kolejnej przecznicy w kierunku zachodnim, na każdym skrzyżowaniu rozglądając się i sprawdzając, czy nie ma ogonów. Weszła na teren Kamppi i ruszyła przez centrum handlowe. Zatrzymała się w księgarni, żeby przyjrzeć się twarzom wokół, a potem przeszła do metra. Stała w bezruchu, przyglądając się obrazom odbitym w mijanych reklamach. Żadnych sylwetek. Była w połowie drogi na peron, kiedy na schody weszła starsza kobieta w płaszczu przeciwdeszczowym i bezkształtnym kapeluszu. W ręku trzymała bukiet w zielonym papierze i siatkę z dwoma jabłkami. Veronica miała nadzieję, że kiedyś będzie mogła powiedzieć tej miłej dziewczuszce, jak bardzo jest przewidywalna, kiedy wybiera stację metra najbliższą swojego domu.

Instruktor od obserwacji Nate'a był wcześniej fizykiem i miał na imię Jay, nosił brodę jak van Dyck oraz długie jasne włosy i wyglądał właśnie jak van Dyck. „Przestańcie myśleć o tym, żeby zostać bohaterami - powiedział im kiedyś. - Jeśli zauważycie obserwatorów, macie imprezę z głowy, koniec roboty”. Narysował na tablicy poziomą linię. „Wasza trasa sprawdzeniowa ma zmusić niewidocznych obserwatorów, by się ujawnili. Nie chodzi o to, by kogoś zgubić. Każdego obserwatora można złamać”. Przeciął linię poziomą jedną pionową. „To punkt, kiedy te zbiry mają do wyboru: albo się pokazać, albo zgubić królika”. Otrzepał ręce z pyłu. „Jeśli uda wam się ich zmusić, by się pokazali, nie łamiąc im serca, wygraliście. Ale tylko tego wieczoru. Potem trzeba zaczynać od no-

wa”.

A niech tam, kurwa, złamię im serce, pomyślał Nate. Jeśli miał jakiś ogon, ten będzie musiał się ujawnić. Ześliznął się w dół nasypu bocznicy kolejowej przy dworcu głównym, wspinał na siatkę, przeszedł alejką i unikając samochodów, przebiegł przez trasę E12. Zastanawiał się, co Dominika będzie miała na sobie. Idąc dalej, rozglądał się za Archiem, ale była to strata czasu. Stary na ulicy był jak duch, ektoplazma, dym z suchego lodu. Archie zajmował się kontrobservacją, wypatrywał tych samych elementów w wydłużonym czasie i przestrzeni. Nie przejmował się kurtkami czy kapeluszami, zwracał uwagę na sposób chodzenia, krok, posturę, kształt uszu czy nosa. Na to, czego obserwatorzy nie mogli zmienić. I na buty. Nigdy nie zmieniali butów.

Trzy godziny po wspinaczce ulicami Helsinek, kiedy w końcu zobaczył Archiego z torbą w prawej ręce (jesteś czysty), uwierzył, że istotnie nikt za nim nie idzie. Skromna ludowa restauracja należała do afgańskiej rodziny. Nate wszedł do niewielkiej pobielanej sali z gobelinami na ścianach i kolorowymi poduszkami na krzesłach. Na stolikach stały świece. Z radia na półce płynęła łagodna melodia. Prawie nikogo tu nie było, tylko w rogu siedziało dwoje Finów. Z kuchni dobiegał cudowny zapach przypraw i duszonej jagnięciny. Nate też usiadł w kącie, twarzą do okna. Po dwóch minutach przeszli przed nim, trzymając się za ręce, Archie i Veronica. Veronica dotknęła nosa, co znaczyło, że wszystko jest w porządku. Archie uważał ten znak za idiotyczny, ale ona nie dała się przekonać. Popatrzył na nią i przewrócił oczami, a potem oboje zniknęli z jego pola widzenia.

Po minucie w drzwiach stanęła Dominika. Rozejrzała się, dostrzegła Nate'a i podeszła do stolika. Spokojna, pewna siebie, pozbierana. Odstawił jej krzesło, ale pokręciła głową, kiedy chciał jej pomóc zdjąć kurtkę. Na stoliku pojawiły się dwa kieliszki wina. Nate poczuł pulsowanie kolana, które znowu musiał nadwerężyć,

kiedy godzinę wcześniej uderzył w słupek ogrodzenia. Ześlizgując się z kolejowego nasypu, zadrapał rękę. Dominika miała lekkie rozdarcie na rękawie zakietu, ponieważ zaczepiła nim o róg pojemnika na śmieci. Przemoczyła też sobie wełnianą skarpetkę i buto, wychodząc z metra w Philajisto, wdepnęła w kałużę.

- Cieszę się, że udało ci się tu dotrzeć - powiedział. - Ta knajpka leży trochę na uboczu, ale polecał mi ją pewien znajomy. - Spojrzał na świetlne refleksy na jej włosach. - Mam nadzieję, że to nie za daleko.

- Metrem? - zaśmiała się. - Poza tym prawie nie było tam ludzi.

Gdybyś ty wiedziała, kto tam był, pomyślał.

- Mam nadzieję, że ci się tutaj spodoba. Lubisz afgańską kuchnię?

- Niczego jeszcze nie próbowałam, ale w Moskwie jest kilka afgańskich restauracji. Podobno całkiem niezłych. - Aureola, która otaczała Nate'a, była wyrazista i nasycona barwą, a Dominika pomyślała o ojcu.

- Wiesz, trochę martwiłem się, zapraszając cię tutaj. Bałem się, że uznasz to za prowokację - powiedział z uśmiechem Nate. Chciał uprzedzić wątpliwości, sprawić, by się odprężyła.

- Nie uważam, żebyś zachowywał się prowokacyjnie, tylko, jak to Amerykanie, nie możesz się powstrzymać. Chyba zaczynam cię trochę rozumieć.

Zamoczyła kawałek ciepłego chleba *naan* w miseczce z przecierem z ciecierzycy, skropionym obficie oliwą.

- Mam nadzieję, że wybaczysz mi, że jestem Amerykaninem...

- Wybaczam - powiedziała z uśmiechem Mona Lizy.

I jeszcze jeden kęs chleba.

- Jestem naprawdę szczęśliwy. - Nate oparł się łokciami o stół i pochylił w jej stronę. - A ty? Jesteś szczęśliwa?

- Co za dziwne pytanie.

- Nie, nie chodzi mi o teraz. Czy jesteś ogólnie zadowolona ze swego życia? - sprecyzował.

- Tak - odparła.

- Tyle że czasami wydajesz mi się taka poważna... nawet smutna. Wiem, że twój ojciec zmarł parę lat temu i że był ci bardzo bliski.

Dominika wspomniała o tym wcześniej. Teraz z trudem przełknęła ślinę, nie chciała o tym mówić, nie chciała mówić o sobie.

- Ojciec był cudowny, miły, pełen zrozumienia. Pracował na uczelni.

- Co myślał o zmianach w Rosji? Cieszył się z demontażu ZSRR?

- Jasne, tak jak my wszyscy. Był prawdziwym patriotą. - Napła się jeszcze wina i poruszyła mokrymi palcami w bucie. - A ty, Niejt? - Nie chciała, by przejął kontrolę nad rozmową. - Co z twoim ojcem? Mówiłeś, że masz dużą rodzinę, ale jaki jest twój ojciec? Jesteście blisko?

Nate wziął głęboki oddech. Przerzucali do siebie piłkę, wymieniając się pytaniami.

Tydzień wcześniej zwierzył się Gable'owi, że jego zdaniem znajomość z Rosjanką zmierza donikąd. Dominika jest zbyt spięta, zbyt bojowo nastawiona i nie miał pojęcia, jak się przebić przez tę zbroję. „A czego byś chciał? - szydził Gable. - Żeby od razu rzuciła ci się w ramiona? Jest młoda, przestraszona i nie ma takich fajowych szefów jak ty”. Nate po raz pierwszy zauważył na ścianie w jego biurze laotański kalendarz z 1971 roku. „Rzuć jej coś na żer, powiedz coś o sobie, tylko nie ściemniaj, i zobacz, czy poczuje się lepiej”.

- Ojciec jest prawnikiem - zaczął Nate. - Prawdziwy człowiek sukcesu z własną kancelarią. Ma też wpływy w kręgach prawników i polityków. Lepiej rozumie się z moimi starszymi braćmi, razem pracują. Nasza rodzina prowadzi tę kancelarię od wielu pokoleń.

Lepiej rozumie się ze starszymi braćmi, pomyślała Dominika i zaraz przeszła do następnego pytania.

- A dlaczego nie zacząłeś tam pracy? Byłbyś bogaty. Chyba wszyscy Amerykanie chcą być bogaci.

- Skąd ten pomysł? Sam nie wiem, chyba zawsze wolałem pracować sam, być niezależny. Dyplomacja bardzo mi odpowiada, mogę dużo podróżować, więc pomyślałem, że spróbuję najpierw czegoś innego.

- Ale czy ojciec nie był rozczarowany tym, że nie poszedłeś w jego ślady?

- No tak, jasne - odparł z westchnieniem. - Ale chciałem być daleko od ludzi, którzy zawsze mówili mi, co mam robić. Wiesz, o co mi chodzi...

Pod powiekami przemknęły jej kolejne obrazy. Balet, Ustinow, szkoła jaskółek, wujek Wania.

- Ale czy wystarczy uciec od rodziny? Czy nie musisz jeszcze czegoś osiągnąć? - Zdecydowała, że będzie naciskać.

- Nie powiedziałbym, że to ucieczka - odparł nieco poirytowany. - Mam przecież pracę, robię coś dla mojego kraju. - Zobaczył unoszącą się nad stolikiem twarz Gondorfa.

- Jasne - przytaknęła Dominika. - Ale co konkretnie robisz? - Wypiła nieco wina.

- Wiele rzeczy - odparł.

- Na przykład?

„Cóż, na przykład zajmuję się najlepszym źródłem informacji, jakim dysponuje CIA, rozpracowuję twój pieprzony wywiad, żeby położyć kres zakusom Federacji Rosyjskiej wraz z jej podstępnyim prezydentem”.

- Ostatnio zajmowałem się niezwykle ciekawym zagadnieniem gospodarczym - odrzekł. - Fińskim eksportem drewna.

- Bardzo interesujące. - Zamrugła oczami. - Myślałam, że powiesz raczej o pokoju na świecie.

Nate uniósł głowę. Fioletowa peleryna wokół jego głowy i barków zaświeciła mocniej.

- Pewnie bym tak zrobił, ale nie jestem pewny, czy Rosjanie wiedzą, co to jest światowy pokój. - Rozejrzył się dookoła. - W końcu jesteśmy w a f g a n s k i e j restauracji.

Dominika znów upiła łyk wina.

- Więc następnym razem muszę cię zabrać do wietnamskiej - mruknęła.

Siedzieli, patrząc na siebie i żadne nie chciało się ugiąć. Co się, kurwa, dzieje? - myślał Nate. Ta dziewczyna coraz bardziej go denerwowała. Zdaniem Veroniki nie ma żadnego zadania. A może jednak to on jest jej celem? Dziewczyna wbiła w niego swoje błękitne oczy.

- No dobrze - dodała Dominika, czytając w jego myślach. - Tylko nie lekceważ Rosji, bo przecież zasługujemy na trochę szacunku.

Bardzo ciekawe, pomyślał.

- Pewnie będziemy to wspominać jako naszą pierwszą kłótnię - zauważył.

Odgryzła niewielki kęs chlebka *naan*.

- Jak mówicie: będę pielęgnować to wspomnienie?

Na stole pojawiły się ich dania. Dominika zamówiła potrawkę jagnięcą z soczewicą, którą podano parującą w dużej wazie. Na wierzchu widać było odrobinę gęstego jogurtu. Nate miał ochotę na *bowrani*: ciemne skarmelizowane kawałki dyni cukrowej w sosie mięsny z jogurtem. Potrawa była pyszna i Nate skłonił Dominikę, by trochę od niego spróbowała. Dopili wino i poprosili o kawę.

- Następnym razem to ja płacę - powiedziała Dominika. -

Powinniśmy się wybrać na Suomenlinnę, zanim zrobi się ciepło i zwałą się tam tłumy.

- Dobrze, możesz się tym zająć - rzucił, a ona skinęła głową, patrząc na niego spod rzęs.

- Wiesz, Nate, uważam, że jesteś uczciwy, zabawny i miły.

Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem. - Nate przygotował się na ciąg dalszy. - Mam nadzieję, że jesteś...

Teraz chce się przyjaźnić, pomyślał.

- Oczywiście - powiedział.

- Mimo że jestem z Rosji?

- Właśnie dlatego, że jesteś z Rosji.

Siedzieli w gasnącym powoli świetle dnia i patrzyli na siebie, zastanawiając się, co z tego będzie, dokąd to prowadzi. Czterdzieści pięć minut później stali na peronie naziemnej stacji metra, położonej na obrzeżach miasta; było ciemno i zimno, ale temperatura nie spadła poniżej zera. Nate nie zaproponował, że ją odwiedzie, zresztą i tak by się nie zgodziła. Nie chciał, by ktoś z Ambasady Rosyjskiej zobaczył Dominikę w wozie z numerami z amerykańskiej ambasady.

Szeroki, przeszklony pociąg wjechał szybko na stację i zwolnił.

Stali sami na peronie, oświetlone wnętrze pociągu też było puste.

- Dziękuję za wspaniałe popołudnie. - Dominika obróciła się w jego stronę. Ich oczy spotkały się, a ona potrząsnęła jego dłonią niczym prawdziwy gladiator z SWR. Nate postanowił ją trochę sprawdzić, więc przytrzymał jej dłoń, przysunął się i pocałował ją w policzek. Czarujące, pomyślała, ale widziała już więcej w swojej krótkiej karierze. Rozległ się sygnał dźwiękowy i Dominika bez uśmiechu weszła do wagonu. Potknęła się lekko, drzwi zasyczały i się zamknęły, a ona pomachała jeszcze na pożegnanie.

Kiedy skład nabrał prędkości, Nate zauważył w następnym wagonie staruszkę w ciepłej kurtce, z robótką na kolanach. Pociąg jechał już tak szybko, że Nate omal nie dostrzegł tego, jak Veronica dotknęła nosa. Na peronie nie było żywej duszy, jak więc udało jej się dostać do środka?

W czasie następnych wycieczek do miasta Dominika i Nate powinni byli zapamiętywać wrażenia i szczegóły oraz myśleć o

raportach, które mieli do napisania. Nie robili tego jednak. Nate pamiętał raczej miękkość jej policzka i to, jak potknęła się niemal niezauważalnie, wsiadając do pociągu, a Dominika myślała o jego dłoniach: jednej czerwonej i otartej, i o tym, jak zamrugął zdziwiony, ale w końcu zadowolony, gdy przypomniała mu Wietnam.

KADDO BOWRANI - DYNIA PO AFGAŃSKU

Kawałki obranej dyni cukrowej posypujemy cukrem. Smażymy do zarumienienia, a następnie zapiekamy pod przykryciem w średniej temperaturze, aż zmięknie i się skarmelizuje. Podajemy z gęstym sosem mięsnym ze smażonej mielonej wołowiny, do której dodajemy krojonej cebuli, czosnku, sosu pomidorowego i wody. Zdobimy sosem z odsączonego jogurtu, kopru i przetartego czosnku.

12

Forsyth obserwował przez otwarte drzwi Nate'a, który zajmował się opracowaniem depeszy na temat spotkania z Jegorową. Nash dbał o rozwój tej znajomości, ale robił to z dużym sceptycyzmem. Szło mu wolno, a poza tym wciąż brakowało mu pewności siebie. Koniecznie chciał odnieść sukces, ale powoli zaczynał mieć dość walenia głową w mur. Stawka rosła, co wydawało się nieuniknione. Forsyth wiedział, że po kolejnych kontaktach centrala zacznie naciskać, proponować zewnętrzną ocenę, pytać o testy operacyjne. Jeśli Nate ją zwerbuje, zażądają rozmów i badania wariografem. Niedawna odpowiedź centrali na jeden z jego kontaktów była, jak to ujął Gable: „zapowiedzią tego, co przyniesie kurewska przyszłość”.

- 1. Po przyjęciu tej depeszy wszelkie informacje należy kierować na zastrzeżone kanały. Temat nosi kryptonim GTDIVA. Szyfrogramy z rezydentury do centrali mają nosić klauzulę „ściśle tajne”.**
- 2. Centrala w dalszym ciągu wyraża uznanie dla rezydentury i oficera operacyjnego za wkład w rozwój tej sprawy. Uważamy za szczególnie ważne to, że Diva wciąż chce się spotykać z oficerem (z pewnością bez zgody przełożonych) i rozmawiać o swoich przemyśleniach. Nalegamy, by oficer spróbował dowiedzieć się czegoś na temat pracy Divy i ocenił zakres jej chęci do współpracy. Do tej pory wysiłki oficera się opłaciły, czekamy na rozwój wydarzeń. Gratulacje.**
- 3. W świetle dotychczasowego rozwoju tej sprawy nakłaniamy do zaktualizowania planów i testów operacyjnych, związanych z przyszłymi kontaktami z Divą. Prosimy o informacje na temat planowanych spotkań i zabezpieczeń. Centrala wyraża też gotowość do konsultacji na temat dalszych kroków.**

Forsyth wiedział, co to znaczy. Ostatnie zdanie zapowiadało ingerencję centrali, jeśli sprawa rzeczywiście wypali. Jastrzębie zaczną krążyć, ale nie należy się spodziewać najazdu gości aż do wiosennego ocieplenia, pomyślał. Pod koniec dnia poprosił Nate'a do swego pokoju.

- Siadaj - powiedział. - Twoje ostatnie depesze na temat Divy są naprawdę świetne, obiektywne i z dobrą oceną sytuacji.

- Dziękuję, szefie. - Nate nie był tego taki pewny. Zdawał sobie sprawę, że coraz większa liczba odbiorców jego raportów będzie je czytać z coraz bardziej rosnącym krytycyzmem.

- Twoja praca operacyjna jest bez zarzutu i chciałbym, żeby tak zostało. Oczywiście Marmur jest najważniejszy, ale dbaj też o to, żeby Ambasada Rosyjska nie zorientowała się, że zajmujesz się Divą. - Forsyth zastanawiał się przez chwilę. - Ten twój tłumacz, jak mu tam... Tiszkow był całkiem obiecujący. Ale nie możesz zajmować się dwójką Rosjan z tej samej ambasady, zwłaszcza że Diva zaczyna zdradzać zainteresowanie współpracą. Może zachowasz sobie Tiszkowa na później.

Nate pomyślał, że jeśli nie zwerbuje Dominiki, to niewiele mu pomogą wszyscy Tiszkowowie ze wszystkich możliwych ambasad. Za dużo wymagań, a Forsyth wskazał jeszcze jedno zagrożenie.

- Ta sprawa zrobiła się ważna i zainteresowała centralę.

Wszyscy będą wtykać w nią nos. Jeśli ją zwerbujesz, zewsząd wypełzną poszukiwacze sukcesów. W tej chwili musisz ustalić, czy Diva może zwątpić w swój system. Czy chce cię słuchać i czy pozwoli pomóc sobie w podjęciu ostatecznej decyzji. - Forsyth oparł się o tył krzesła. - W końcu to niezłe zajęcie: posiedzieć sobie z piękną Rosjanką, próbując ją przekonać, żeby dla ciebie szpiegowała. No dobra, idź już, baw się dobrze. Pamiętaj, że jestem tutaj, jakbyś miał jakieś pytania.

Gable zabrał go do prowadzonego przez Greków bistra na puszystą i pełną cebuli oraz pomidorów jajecznicę. Kiedy ją jedli,

popijając obficie piwem, starał się pocieszać Nate'a w kwestii Divy.

- Nie próbuj zaciągnąć jej do łóżka, zanim ją zwerbujesz, bo uzna, jakże słusznie, że ją pieprzyłeś tylko po to, żeby dla ciebie pracowała. Najpierw ją zwerbuj, a potem będziesz mógł doświadczać dwóch wyjątkowych rozkoszy: prowadzenia szpiega z SWR i śniadania w łóżku jedzonego jeszcze lepkimi paluszkami.

Gable dopił szybko piwo i zamówił dwa następne.

- Dzięki, Marty, nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczą twoje rady - rzekł Nate, przewracając oczami. - Wiem tylko, że musi się przy mnie odprężyć i bardziej mnie polubić. A co będzie, jeśli w grę zaczną wchodzić uczucia?

Gable się skrzywił.

- Stary, daruj. Oficer prowadzący nie może zakochać się w swojej agentce. To zabronione. Tak nie może być. Wybij to sobie z głowy. Dobra, jak musisz, to ją wybzykaj. Ale miłość?

W największym pokoju w rezydenturze SWR Ambasady Rosyjskiej stały w niezbyt równych rzędach zwykłe drewniane stoliki. Żaden nie miał połączenia z Internetem, ale na większości stały na małych metalowych podstawkach elektryczne maszyny do pisania Jajubava z dziwnymi, polakierowanymi na turkusowo pokrywami. Były to specjalne, produkowane w Moskwie na licencji urządzenia, przeznaczone wyłącznie dla SWR i FSB, które dostarczano bezpośrednio do zagranicznych rezydentur, by mieć pewność, że nikt przy nich nie majstrował.

Niskie pomieszczenie było oświetlone ostrym blaskiem jarzeńówek, które również dostarczano z Moskwy z podobnych powodów. Brzęczały one i mrugały, odbijając się mlecznie w podrapanych, szklanych blatach stolików. Na zewnętrznej ścianie znajdowały się lukarny - rezydentura zajmowała ostatnie piętro budynku - z kratami i ryglowanymi stalowymi okiennicami, dalej podwójne szyby i w końcu długie, szare zasłony, których końce opadały aż na podłogę. Między stolikami biegły wydeptane na

dywanie ścieżki. W obskurnym pomieszczeniu czuć było papierosami i zimną herbatą w papierowych kubkach.

Na końcu pomieszczenia znajdowały się dwa biura. Archiwum tajnych materiałów było przeszklone, a w kręgu światła stojącej lampy siedział w nim jeden z urzędników. Przy ścianach stały wysokie sejfy, niektóre otwarte, inne zamknięte, z żółtymi woskowymi pieczęciami przypominającymi kawałki jajecznicy. Drugie zaś, pozbawione okien, zajmował Wołontow.

Kilku zatrudnionych w rezydenturze oficerów pochylało się nad swoją pracą, słysząc dobiegający stamtąd głos rezydenta. Wołontow rugał właśnie nowo tu przybyłą Dominikę Jegorową.

- Moskwa domaga się ode mnie raportów o postępach sprawy!

- wrzeszczał, opierając się o biurko. - Chcą mieć więcej na tego Amerykanina. - Pomarańczowa chmura nad jego głową przypominała niespokojny, kłębiący się dym.

Jest pod presją, pomyślała Dominika.

- Ależ ja robię postępy, panie pułkowniku - powiedziała. -

Odbyliśmy kilkanaście spotkań, wszystkie bardzo dyskretnie. Nash nie wspominał o tym, że zameldował przełożonym o naszych kontaktach, co uważam za spore osiągnięcie.

- Niech pani mi nie mówi, co jest osiągnięciem! Kazałem pani, tak jak centrala, dokumentować pani każde spotkanie z Amerykaninem. Dlaczego nie dostaję raportów po każdym spotkaniu, tak żeby można je było wysłać do Jasieniewa?

- Ależ ja piszę te raporty. Pan sam powiedział, że bym je podsumowywała po kilku spotkaniach. Nie mogę jednak pisać o kontakcie, dopóki ten się nie zdarzy.

Wołontow zamknął z trzaskiem szufladę, a pomarańczowy dym wokół niego aż zawirował.

- Proszę zachować dla siebie swoje ironiczne uwagi. Chcę, żeby operacja nabrała przyspieszenia. Pamiętaj pani, że chodzi o informacje, które pozwolą na zidentyfikowanie zdrajcy. To

jest naprawdę pilne.

- Tak jest - odparła Dominika. - Doskonale wiem, jaki jest ostateczny cel, sama przecież napisałam plan tej operacji. I wszystko jest na dobrej drodze.

- Co znaczy, że musi pani sprawdzać, czy szykuje się do ważnej operacji, czy planuje jakiś wyjazd, a może jest zdenerwowany albo rozkojarzony. Może się czegoś obawia...

- Tak jest, panie pułkowniku. Wiem o tym. Jestem pewna, że zauważę zmiany w zwykłym planie dnia. - Nie była pewna, czy jej się to uda. Wyglądało na to, że znajomość z Nashem utknęła w martwym punkcie.

Wołontow udał, że patrzy na nią z namysłem. Jego wzrok przebiegł od brody w stronę talii i niżej.

- Chodzi o to, że łatwiej to zauważyć, jeśli lepiej zna się cel operacji. - Odchylił się na krześle. - Z moich doświadczeń wynika, że wzajemna bliskość bardziej skłania do osobistych wynurzeń. Z twoich doświadczeń z marokańskimi chłopcami, pomyślała Dominika. Starła się zapanować nad zimną wściekłością, jaka ją ogarniała, kiedy patrzyła na poznaczoną brodawkami szyję rezydenta.

- Dobrze, panie pułkowniku. Mam spotkać się z Amerykaninem w przyszłym tygodniu i będę pamiętać o pańskich uwagach dotyczących wzajemnej bliskości. Będę też meldowała o postępach. Zaproponuję mu dodatkowe spotkania, żebyśmy mogli ustalić, jak pracuje. Czy wyraża pan zgodę?

- Tak, tak, w porządku. Proszę tylko, żeby doceniła pani znaczenie zależności emocjonalnej. Rozumie pani? - Pomarańczowa mgiełka zawirowała wokół jego głowy; nerwy, strach. Dominika nie zdołała powstrzymać kolejnych słów.

- Dlaczego pan nie powie tego wprost? - rzuciła, wstając. - Dlaczego nie każe mi się pan pod nim położyć? Jestem oficerem i służę mojemu krajowi. Nie pozwolę, by tak się pan do mnie

zwracał.

Cała się trzęsa z wściekłości i zdenerwowania. I zanim namurzony Wołontow zdążył zareagować, obróciła się na pięcie i trzaskając drzwiami, wyszła z jego biura.

Gdyby to był ktoś inny, pomyślał z goryczą Wołontow, obiłbym go tak w głównym pokoju, że skóra odeszłaby mu od ciała, a potem odesłałbym pod strażą na Łubiankę. No dobra, niech sobie idzie. Z jej powiązaniem tak jest lepiej.

Wszyscy patrzyli, jak Dominika wypadła z pokoju rezydenta i cała czerwona podeszła do swego stolika w kącie, wspartego o brzeg lukarny. Siedziała ze spuszczoną głową, trzymając się za blat. Ale narwana, myśleli koledzy. Słyszeli podniesiony głos Dominiki. Czy ona jest głupia? To prawie samobójstwo, myśleli. Wszyscy poza jedną osobą.

Dominika rozpamiętywała tę rozmowę przez pięć dni dzielących ją od kolejnego spotkania z Nate'em. Tym razem umówili się na kolację w położonej niedaleko restauracji. Wieczorami patrzyła na swoje odbicie w oknie, przez które mogła też dostrzec widoczne nad drzewami światła dzielnicy Punavuori. Kim jesteś? - pytała siebie niepewnie. Ile jeszcze zniesiesz? Tak bardzo chciała utrzcę nosa bestii, strzaskać zwapniałe poczucie wyższości tych, którzy ją wykorzystywali i oszukiwali. Tego rodzaju publiczne wyczyny rzeczywiście były samobójstwem. Nie, musi wymyślić jakąś potajemną zemstę, coś niezauważalnego, a jednocześnie takiego, by mogła się tym delectować. Coś, o czym ona by wiedziała, a o n i nie.

Wołontow był jednym z wielu nadziratieli, z którymi się zetknęła. Przypominali oni wieprze i włązili z ryjem do jej życia, ale teraz miała do czynienia właśnie z nim, i to jego chciała zniszczyć, wygasić pomarańczową aureolę wokół jego poznaczonej brodawkami twarzy. Musiała jednak zapomnieć na jakiś czas o narastającej w niej wściekłości i zastanowić się nad całą sytuacją. Jej operacja

była niezwykle ważna dla Wołontowa, który obawiał się zawieść centralę. Mogłaby się zemścić na nim - na nich - gdyby doprowadziła do jej fiaska. Jak to zrobić, nie niszcząc jednocześnie siebie? - myślała. Nieco później tego samego wieczoru zamarła ze szczoteczką do zębów w ustach i spojrzała na swoje odbicie. Mogłaby zgotować Amerykanom niespodziankę, zdjąć przyłbicę, ujawnić, że pracuje dla SWR.

Izmienna. To właśnie byłaby zdrada. *Gosudarstwiennaja izmienna.* Jednak dzięki temu Wołontow by przegrał, a Amerykanie stali się bardziej ostrożni. Ależ Nate by się zdziwił! Byłoby ciekawie zobaczyć jego minę, kiedy dowiedziałby się, że pracuje w SWR. Z pewnością zdobyłaby w ten sposób jego szacunek i podziw. Nate by ją szanował.

Daj spokój, chyba zwariowałaś, przekonywała siebie. Zapomniałaś o dyscyplinie? Odpowiedzialności za kraj? Ale przecież nie mściłaby się w ten sposób na Rosji, tylko na nich; zniszczyłaby ich grę, ale nie sprzedawała tajemnic swojej Rodiny. Panowałyby nad sytuacją, sama ustalałaby, kiedy się wycofać. Nie, to szaleństwo, olbrzymi problem, niedorzeczność. Będzie musiała odegrać się w jakiś inny sposób. Rozczesała włosy i spojrzała na zwięzającą się rączkę szczotki, wyobrażając sobie, jak wpycha ją Wołontowowi w *żopu*. A potem wyłączyła światło i przeszła do sypialni. Pod koniec tygodnia Nate i Dominika siedzieli przy stoliku w rogu sali w Ristorante Villetta w Töölö. Był to klasyczny włoski lokal w Helsinkach. Nad wejściem do bloku mieszkalnego, w którym się znajdował, wisiała plastikowa markiza w narodowych kolorach Włoch. Całość uzupełniały leżące na stolikach wymagane w takich miejscach czerwono-białe obrusy i ociekające woskiem świece. Wciąż było zimno, ale zima miała się niedługo skończyć - jeszcze trochę śniegu, a potem krótka wiosna i cudowne lato. W zatoce zaroi się od żaglówek i promów. Dominika i Nate przybyli jak zwykle oddzielnie na to spotkanie. Ona miała na sobie palto, a

pod spodem czarną dzianą sukienkę z paskiem i czarne wełniane rajstopy. Sukienka przywarła do jej ciała, kiedy powiesiła palto na oparciu krzesła.

Nate był ubrany w garnitur, ale zdjął krawat i rozpiął pod szyją koszulę w niebieskie prążki. Wyszedł z ambasady dwie godziny wcześniej, a następnie jechał E12 aż do Ruskeasuo, skręcił na zachód i wrócił do południowej części miasta, unikając podziemnych przejazdów. Wjechał do Töölö dopiero, kiedy zobaczył zaparkowany w bocznej uliczce wóz Archiego z opuszczoną po lewej stronie zasłoną przeciwsłoneczną - tak. Droga wolna.

Poprzedniego dnia naradzał się z Gable'em.

- Skieruj rozmowę na temat jej pracy - mówił szef. - Pracuje w SWR, ale to jej tajemnica. Może czuć się głupio z tego powodu. Nate wiał się, czując, że potrzebuje przełomu. Forsyth go chwalił. Gable dodawał otuchy. Ale Nate robił się coraz bardziej niecierpliwy. Musiał pchnąć sprawę do przodu. I to teraz.

Rozmawiali niezobowiązująco przez chwilę, przeglądając olbrzymie karty dań.

- Jesteś taki cichy - zauważyła Dominika, patrząc nań znad swego menu.

Ten majestatyczny fiolet, pomyślała. On nigdy się nie zmienia.

- Miałem ciężki dzień w pracy - odparł. Muszę tylko pamiętać, by utrzymać nonszalancki ton, pomyślał Nate. - Spóźniłem się na spotkanie i zapomniałem danych, a szef powiedział mi, co o tym myśli.

- Trudno mi uwierzyć, że możesz coś zrobić źle.

- No, już mi lepiej - rzekł z westchnieniem Nate i zamówił dwie lampki wina u kelnera, który czaił się przy ich stoliku. - Ładnie dziś wyglądasz.

- Naprawdę tak myślisz? - Prawił jej komplementy. Jaki musi być pewny siebie.

- Oczywiście. Przy tobie zapominam o pracy, szefie i całym

tym dniu.

O szefie. Zastanawiała się, o co tak naprawdę mu chodzi. Dominika znowu zajrzała do karty, ale nie mogła skupić się na nazwach potraw.

- Nie jesteś sam, Nate. Mój szef też robi mi wymówki.

Poczuła w uszach bicie swego serca. Wypiła trochę wina i poczuła, że robi jej się lżej w okolicach żołądka.

- Więc oboje mieliśmy kłopoty. Co przeskrobałaś?

- Nieważne - mruknęła. - Mój szef jest *biezkulturnyj*. I brzydki. Ma brodawki.

Ciekawe, ilu rezydentów w Helsinkach ma brodawki, pomyślała.

- Co to znaczy *biezkulturnyj*? - spytał.

Sam doskonale wiesz, pomyślała Dominika.

- To człowiek bez ogłady, wieśniak.

- Jak się nazywa? - zaśmiał się Nate. - Może spotkałem go na jakimś przyjęciu dyplomatycznym?

Dominika w ciągu ostatnich dwóch dni pięciokrotnie zmieniała zdanie, aż w końcu uznała, że musi wystrzegać się głupot. Spojrzała na Nate'a, który przeżuwał *grissini* i się do niej uśmiechał. Nie! To będzie *izmiena!*

- Nazywa się Wołontow, Maksim - powiedziała, mając wrażenie, że to mówi ktoś inny.

Gospodi, pomiluj, pomyślała. Właśnie to zrobiłam. Przyjrzała się uważnie Nate'owi, który przeglądał menu i nie podnosił głowy. Kolor wokół jego głowy wcale się nie zmienił.

- Nie, chyba nigdy go nie widziałem.

Nate poczuł, jak jeżą mu się włoski na ramionach. Cholera, co ona robi? Przecież właśnie się zdekonspirowała.

- Więc masz szczęście - powiedziała, wciąż uważnie mu się przypatrując.

Nate uniósł wzrok znad menu. Czy to był błąd i nazwisko wy-

rwało jej się niechcący? Dominika odwzajemniła jego spojrzenie.

Nie, zrobiła to specjalnie.

- Naprawdę jest taki zły? - dążył.

- Obrzydliwy. Stary sowiecki cham. Codziennie patrzy na mnie, jakby... jak wy to mówicie po angielsku?

Wciąż patrzyła mu prosto w oczu.

- Jakby rozbierał cię wzrokiem - podpowiedział.

- Właśnie - potwierdziła.

Żadnej reakcji. Czyżby nie zrozumiał tego, co przed chwilą powiedziała? A może posunęła się za daleko? A potem nagle zrozumiała, że jest jej wszystko jedno. Ześlizgnęła się po równi pochyłej i nagle stała się strażniczką potwornie niebezpiecznej tajemnicy. Jesteś teraz zadowolony, ty głupcze? - pomyślała.

- To straszne, ale... mogę go zrozumieć.

Na jego ustach pojawił się chłopięcy uśmiech. Boże, to takie nagle, pomyślał. Czy to jakiś sygnał? Czy gra nieśmiałą? Spojrzał w niczym niezmacony błękit jej oczu. Jej pierś uniosła się i opadła pod wełnianą dzianiną. W dłoniach wciąż trzymała to wielkie menu.

- Teraz ty jesteś *biezkulturny* - rzuciła.

Czy już wie? Czy jest na tyle dobry, by móc ukryć swoją reakcję?

- Cóż, wygląda na to, że oboje mamy problemy w pracy.

Możemy się połączyć we wspólnym nieszczęściu.

- Co to znaczy? - spytała, wciąż wbijając w niego niebieskie oczy.

- No, że możemy sobie nawzajem współczuć. Razem się wypłakać... - tłumaczył.

Wciąż ten stały, ciepły fiolet.

Dominika sama nie wiedziała, czy śmiać się, czy krzyczeć.

Postanowiła zachowywać się profesjonalnie.

- Zostawmy sobie płacz na później. Teraz jestem głodna -

powiedziała.

*

W poniedziałek rano Nate dostał zastrzeżoną depezę z centrali z notatką, że Marmur poinformował przez covcom, że za dwa tygodnie przyjedzie do Helsinek z rosyjską delegacją handlową, która ma wziąć udział w dwudniowym szczycie państw nadbałtyckich. Marmur przekazał, że delegacja ma być przykrywką. W ten sposób będzie pozostawał w zasięgu urządzeń radiolokacyjnych kontrwywiadu. Dodatkowe przykrycie stanowiła operacja, jaką miał przeprowadzić. Miasto było na tyle małe, że musiał natknąć się na członka kanadyjskiej delegacji na szczyt, wiceministra handlu, Anthony'ego Trunka, który zdaniem SWR budził nadzieję na werbunek ze względu na swoje upodobanie do dwudziestoparoletnich mężczyzn.

Ważny kanadyjski urzędnik państwowy i w dodatku *pidor*.

Wydział Ameryki miał tutaj pierwszeństwo i dlatego Marmur był naturalnym kandydatem do wyjazdu, by móc obejrzeć sobie wypielegnowanego Trunka. Centrala zatwierdziła te plany. Tak jak się spodziewał, wydała też instrukcje, by wyłączyć helsińską rezydenturę zarówno z samej konferencji, jak i operacji przeciwko wiceministrowi. Marmur przekazał za pomocą szybkiej telegrafii, że będzie mógł się spotkać z oficerem prowadzącym z CIA późnym wieczorem po zakończeniu sesji i uroczystej kolacji. Ryzykowne, ale możliwe.

Zajmujący się Rosją analityk z centrali miał przyjechać dwa dni przed rozpoczęciem konferencji, by pomóc w przygotowaniu tego spotkania. Do rezydentury przekazano długą listę pytań, dotyczących informacji przekazanych poprzednio przez Marmura. Na dole znajdowały się jak zwykle te związane z kontrwywiadem: Czy wiesz o jakichś kretach w rządzie USA? Czy słyszałeś o przejęciu jakichś tajnych amerykańskich dokumentów? Czy wiesz o prowadzonych przez wywiad działaniach przeciwko amerykańskim

obywatelom lub systemom? Takie łagodne, pozwalające na swobodną odpowiedź pytania, które dawały szansę, by otworzyć drzwiczki pieca i zajrzeć do środka.

Przejrzeli całą listę. Nie mogli mu podrzucić sprzętu łącznościowego, gdyż Marmur w drodze powrotnej musiał przejść przez kontrolę celną. Ogólny plan kontaktowy miał być uzupełniany na bieżąco. Forsyth zaprotestował, kiedy centrala chciała przysłać jeszcze dwóch oficerów na spotkanie z Marmurem. Nate był jego oficerem prowadzącym i było to jego zadanie.

Czekały go teraz przygotowania, których nikt nie mógł poczynić za niego. Nate wtopił się w tłum, wyszedł na ulice, zniknął z pola widzenia. W nocy sprawdzał ciemne uliczki, mury z wyłomami, schody do załadunku towarów w porcie - miejsca na błyskawiczne spotkania - w pobliżu wspaniałego neoklasycystycznego hotelu Kamp, gdzie mieli obradować i spać uczestnicy szczytu. Mijał kawiarnie, restauracje, centrum finansowe, Muzeum Sztuki, liczył kroki, sprawdzał kąty, starał się oszacować przepływ ludzi i osłony - to miały być miejsca na błyskawiczne przekazanie materiałów - wszystkie w pobliżu hotelu Kamp.

W końcu pewnego wieczoru, kiedy lało jak z cebra, a woda spływała strumieniami z olbrzymich rzeźb na fasadzie dworca, Nate wszedł bocznymi drzwiami do hotelu i nagle poczuł w swojej kieszeni dłoń, a potem ciężki klucz hotelowy. Mężczyzna o wąskiej twarzy, agent bez immunitetu z Europy, wynajął na tydzień pokój w hotelu GLO, pod fałszywym nazwiskiem, maskującym inne fałszywe nazwisko. W czasie trwania konferencji Nate miał tu czekać wieczorami na Marmura, nasłuchiwać, czy nie zaskrobie delikatnie do drzwi, by móc potem przy zasłoniętych oknach i włączonym telewizorze odbyć długą rozmowę aż do wczesnych godzin rannych, kiedy miasto śpi, a mokre ulice odbijają zmieniające się bez końca uliczne światła. Zanim Marmur zszedł z pokładu samolotu, helsińska rezydentura przygotowała wszystko, by Nate

mógł spędzić z nim tyle czasu, ile było możliwe bez budzenia podejrzeń.

Wczesnym wieczorem Dominika stała przy oknie na półpiętrze hotelu Torn i obserwowała wejście na basen, czekając na Nate'a. Pływali teraz wspólnie co najmniej trzy razy w tygodniu, ale Nate nie pokazał się na pływalni już od sześciu dni. Dziwne, pomyślała, czując się nieco porzucona. Tydzień wcześniej, w wietrzny wiosenny niedzielny poranek, spotkali się w kawiarni na wodzie Carousel w Ullanlinna. Z wody zatoki wyrastał rozchybotany las żagli, liny obijały się z hałasem o aluminiowe maszty, a wiatr pędził chmury po błękitnym niebie.

Dominika jechała do mariny najpierw autobusem, potem metrem i w końcu dwiema taksówkami. Idąc po Havsstranden, wahała się i spierała sama ze sobą, ale w końcu roztarła za uszami odrobinę perfum. Był pieszo, przeszedł przez ulicę sprężystym krokiem. Jak zwykle czarujący, zachowywał się jednak nieco inaczej. Jego fioletowa aureola stała się mglista, wyblakła. Był rozkojarzony i o czymś intensywnie myślał. Wcześniej spędzali razem nawet do sześciu godzin, ale teraz po czterech powiedział, że musi już iść. To dodatkowa praca, nic osobistego, zapewniał, ale nie miał wyjścia. Trochę razem chodzili, a kiedy Dominika zaproponowała, żeby w następnym tygodniu wybrali się promem na Suomenlinnę i spędzili cały dzień na zwiedzaniu dawnej fortecy, Nate odpowiedział, że bardzo chętnie, ale lepiej za dwa tygodnie.

Na drzewach pojawiły się pączki, czuli słońce na twarzy; przystanęli na rogu ulicy i spojrzeli na siebie. Dominika miała iść do domu, a on w innym kierunku. Czuła od niego jakąś nerwową energię. Pomyślała, że na coś czeka.

- Przepraszam, że taki dziś ze mnie nudziarz - usprawiedliwił się. - To przez tę pracę. I jak, forteca za dwa tygodnie?

- Jasne - odparła. - Poszukam cię na basenie. Jak się spotkamy, obgadamy szczegóły.

Obróciła się i przeszła na drugą stronę ulicy. Co ją opętało, żeby użyć perfum? Nate patrzył, jak idzie chodnikiem tej zielonej dzielnicy, i zauważył, że lekko utyka. Szczupłe nogi tancerki z umięśnionymi łydkami, ręce poruszające się płynnie w powietrzu. A potem pomyślał o bliskim już przyjeździe Marmura. Nate wciąż szukał miejsca dla sygnału „droga wolna” w pobliżu hotelu GLO, żeby Marmur wiedział, że może wejść do środka. I teraz ruszył w swoją drogę.

GRECKA STRAPATSATA

Obrane ze skórki i pokrojone pomidory, cebulę z odrobiną cukru i pieprzu podsmażamy na oliwie, aż powstanie gęsty sos. Dodajemy roztrzepane jajka i mieszamy wszystko energicznie, aż jajka się zetną. Podajemy z grillowanym wiejskim chlebem skropionym oliwą.

13

To trwało już zbyt długo. Gdzie on jest? Co robi?

Czy ma może inny cel, inną kobietę? Czy zerwał kontakt, bo się ujawniła? Poszła w tym dalej, wyczekując go co wieczór przy oknie hotelu Tornii. Wiedziała, że znowu nie przyjdzie. To koniec, przecież po to mnie tu przysłano, pomyślała. Starła się wyrzucić z głowy obraz wujka Wani w jego gabinecie czy błyszczącą od łożu twarz Wołontowa. Rano będzie musiała napisać raport.

Szła do swojego mieszkania, prawie nie zwracając uwagi na ulicę czy światła w oknach. Myślała o tym, co się będzie jutro działo w rezydenturze. Jej raport o tym, że od tygodnia nie widziała Nate'a, od razu trafi do rąk własnych zastępcy dyrektora generalnego. Kontrwywiad natychmiast zażąda od biura wizowego listy wszystkich Rosjan, którzy w ostatnim półroczu odwiedzili Skandynawię albo mają zamiar to zrobić w ciągu kolejnych sześciu miesięcy. Dyplomatów, biznesmenów, naukowców, studentów, przedstawicieli rządu, a nawet członków załóg samolotów. Gdy lista będzie zamknięta, cierpliwe wilki z kontrwywiadu zaczną ją analizować, biorąc pod uwagę wiek, zawód, życiorys danej osoby i przede wszystkim dostęp do państwowych tajemnic. Na krótkiej liście może się znaleźć kilku albo i stu podejrzanych. Nie będzie to miało znaczenia. SWR rozpocznie obserwację tych osób w Moskwie: będzie monitorować ich korespondencję i telefony, przeszukiwać mieszkania i dachy, wysyłać informatorów, by się z nimi zaprzyjaźnili.

Pomyślała, że poszukiwania z całą pewnością obejmą Helsinki. Ekipa obserwacyjna wywiadu będzie śledzić Nate'a przez tydzień, dwa, nawet miesiąc. Niespodziewana i niewidzialna - oficerowie wywiadu zawsze budzili podziw - udokumentuje wszystkie swoje spostrzeżenia, następnie niekończąca się obserwacja zacznie się również w Moskwie. To nieuniknione. Na koniec, jeśli agent rzeczywiście jest Rosjaninem, aresztują go, osądzą i stracą. Szare

eminencji znowu postawią na swoim.

Jej kroki rozbrzmiewały głośno w wieczornej ciszy, miasto szykowało się do snu. Kto może być tym agentem? - zastanawiała się. I dlaczego zdecydował się zdradzić Rosję? Czy jest to przyzwyczajony człowiek? A może ktoś przekupny? Podły zdrajca? Ktoś szlachetny? Może szalony? Chciała usłyszeć jego głos, zobaczyć twarz. Czy zrozumiałaby jego motywy? Czy mogłaby usprawiedliwić zdradę? Pomyślała o swoim drobnym wykroczeniu. Szybko to sobie wytłumaczyłaś, *zagoworszczica*, ty wielka konspiratorko, pomyślała.

Dominika zamknęła oczy i oparła się o ścianę ciemnego budynku. W tej chwili była jedyną osobą, która podejrzewała - nie, wiedziała! - że Nate ma się spotkać z kretem, i poczuła, że kręci się jej w głowie. A jeśli się nie zdradzi? A jeśli nie przekaze im tej wiadomości i przegrają rozgrywkę? Czy może być aż tak nielojalna?

Pomyślała o tym, jak ta głupia cipa Sonia zniszczyła jej karierę.

Pamiętała zielony krzyk agonii pod prysznicem w akademii.

Przypomniała sobie pomarańczowe światła nad głową, kiedy bezbronny Delon poddał się agentom, i smak krwi Ustinowa. Zobaczyła też posiniąłą twarz dojarki Ani.

Niech czekają, zdecydowała z rosnącą determinacją. Będzie to bardzo niebezpieczne, może nawet zabójcze. Postanowienie wydawało się kruche, wyrafinowane, zabronione - nareszcie zyska prawdziwą władzę nad Wołontowem i wujkiem Wanią. Mama zawsze mówiła jej, żeby nad sobą panowała, i teraz podniecały ją lodowe kły, które poczuła na gardle.

Ruszyła przed siebie, stukając obcasami o chodnik. Było coś jeszcze, coś, co ją zaskoczyło. Wiedziała dostatecznie dużo o regułach gry, by rozumieć, że Nate nie wywinie się z tego, a jego reputacja legnie w gruzach. Przypomniała sobie wspólnie spędzone chwile. Pomyślała, jak bardzo go lubi i w jak wielkim stopniu

przypomina jej ojca, i zdecydowała, że mu tego nie zrobi.

Następnego dnia z bólem brzucha pokazała przepustkę przy głównym wejściu do ambasady, przeszła przez podwórko i wspięła się po marmurowych schodach. Ich stopnie były wyszlifowane na glanc przez niezliczonych oficerów, którzy służyli tu wcześniej.

Służba Wnieszniej Rozwiedki, Służba Wywiadu Zagranicznego. Na szczycie schodów znajdowały się wielkie drzwi na solidnych zawiasach, a potem drzwi dzienne z zamkiem cyfrowym i jeszcze zamykana elektrycznie furtka. Dominika postawiła torebkę na swoim stoliku i pozdrowiła skinieniem głowy kolegę. Wołontow stał koło swego biura i kiwnął w jej stronę.

Stanęła przed jego biurkiem, nie mogąc oderwać oczu od jego łapsk.

- Czy coś nowego, pani kapral? - spytał Wołontow, który czyścił sobie właśnie paznokcie nożem do papieru.

Serce biło jej mocno, czuła dudnienie w uszach. Czy to widać?

Czy coś podejrzewa? Usłyszała swój głos we wnętrzu czaszki, jakby to ktoś inny mówił.

- Zauważyłam, że Amerykanin preferuje muzea, panie pułkowniku - odparła drewnianym głosem. - Wkrótce wybierzemy się do galerii Kiasma, a potem planuję kolację... w swoim mieszkaniu.

Co też mówi? Dokładnie to, co chce usłyszeć Wołontow. Rezydent podniósł wzrok znad paznokci, chrząknął, a potem zaczął się gapić na jej piersi.

- Najwyższy czas. Proszę zrobić wszystko, by ponownie chciał panią odwiedzić - mruknął. - Może widziała pani coś nietypowego?

Dwa słowa: „Tak, widziałam” i ruszy machina, a jej zadanie będzie skończone. Wystarczyło proste zdanie: „Powiedział, że będzie zajęty przez dwa tygodnie” i będzie miała wszystko z głowy. Dudnienie w uszach narastało, a brzegi obrazu, który miała przed sobą, zaczęły się rozmazywać. Prawie nie widziała tego wieprza za

biurkiem, otoczonego spłowiła pomarańczową poświatą. Gardło miała ściśnięte i ze zdziwieniem stwierdziła, że trzęsą jej się nogi, aż kolana obijają się o siebie - nie było to normalne. Z trudem zdusiła w sobie chęć oparcia się o biurko. Wołontow wciąż patrzył na jej biust, a pasmo wypomadowanej zaczeski sterczało mu z boku. Dominika zdecydowała w ostatnim ułamku sekundy.

- Nie, nie mam nic nowego do przekazania - odparła z bijącym sercem. Przekroczyła linię dzielącą zwykłe wykroczenie od zdrady stanu. Na pewno się o tym dowiedzą i wyślą ludzi z czekanami, by zabić ją jak Trockiego. Jej matkę spalą w piecu. Wołontow patrzył na nią przez chwilę, znowu chrząknął, a potem machnął ręką na znak, że może sobie iść. Natychmiast zrozumiała, że niczego nie podejrzewa. Była pewna, że może zaufać instynktowi, i poczuła ukłucia lodowych igieł w żyłach.

Wróciła do swojego stolika i usiadła ciężko na krześle. Jej wilgotne dłonie drżały jeszcze. Rozejrzała się dookoła po oficerach i sekretarkach. Wszyscy pochyleni czytali, pisali coś na maszynach lub w notatnikach. Poza Martą Jelenową, która siedziała dwa stoliki dalej. Ona jedna wpatrywała się w nią, trzymając w dłoni papierosa. Dominika uśmiechnęła się blado i spojrzała w bok.

Marta, jak jej się zdawało, była tu kimś w rodzaju przyjaciółki. Pracowała w rezydenturze jako starsza asystentka. Czasami zdarzało im się zamienić parę słów, siedziały też obok siebie w czasie kolacji wydanej na cześć jakiegoś bliżej im nieznanego współpracownika. Spotkały się w którąś dżdżystą niedzielę, by przejść się po porcie, a potem między stoiskami ze świeżą żywnością na targu. Mniej więcej pięćdziesięcioletnia Marta była elegancka, arystokratyczna i miała opadające na ramiona, gęste kasztanowe włosy. Jej wyraziste ciemne brwi układały się w łuki nad cudownymi orzechowymi oczami. Usta były wygięte w cierpkim uśmiechu, który wskazywał na nieodmiennie cyniczne podejście do życia. Należała do tych osób, które otaczała wyrazista poświata, w jej

przypadku w kolorze rubinu, wskazującym na namiętność i gorący temperament. Taka sama barwa otaczała Dominikę w czasie słuchania muzyki.

Pomyślała, że w młodości Marta musiała być piękna. Atakowała wszystkich mężczyzn w biurze, którzy ośmielili się powiedzieć choćby słowo na temat jej nieco zaokrąglonej, posągowej figury, a oni zmykali przed nią, podkuliwszy ogon. Nie peszyła się też w rozmowach z Wołontowem, zwykle mówiąc mu, że dostanie kwit, rachunek czy raport księgowy w odpowiednim czasie. Rezydent nie był w stanie skruszyć jej olimpijskiego spokoju.

Dominika nie wiedziała nic o życiu Marty i z pewnością zdziwiłaby ją informacja, że w 1983 roku z polecenia KGB rozpoczęła ona kurs w Szkole Państwowej IV, szkole jaskółek, nieopodal Kazania. Miała wtedy dwadzieścia lat. Jej ojciec walczył w wielkiej wojnie ojczyźnianej, następnie był strażnikiem centrali NKWD w Leningradzie, należał do partii i zawsze był lojalny wobec Związku Sowieckiego. Na cudowną urodę Marty zwrócił uwagę major z moskiewskiego KGB, który był tam na inspekcji. On sam, w nadziei, że zostanie jego osobistą asystentką, załatwił jej przyjęcie do KGB. Ojciec, który doskonale wiedział, na czym polega ta gra, ale miał nadzieję na lepsze życie dla córki, bez protestów zgodził się na jej wyjazd do Moskwy. Marta miała tam mieszkać u siostry i pracować w II Zarządzie Głównym KGB (bezpieczeństwo wewnętrzne), w jego oddziale VII (operacje przeciw turystom) i wydziale 3 (hotele i restauracje). Sam oddział VII zatrudniał dwustu oficerów i tysiąc sześciuset informatorów i agentów.

Kiedy Marta znalazła się w Moskwie, musiała natknąć się na pułkownika II ZG, który miał wyższy stopień niż major i dlatego mógł ją wziąć do siebie, a następnie na generała II ZG, który miał wyższy stopień niż pułkownik, w związku z czym mógł ją uczynić swoim adiutantem, choć Marta nie miała pojęcia, na czym ta praca polega. Przekonała się jednak o jej charakterze, kiedy generał rzucił

ją na kanapę i włożył rękę pod spódnicę jej munduru. Marta walnęła go w głowę charakterystyczną sowiecką karafką na wodę. Skandal, który rozpętał się w dziwnie purytańskim KGB, podsycił jeszcze fakt, że żona generała była siostrą zastępcy członka Politbiura. Dziewczynę pospiesznie przeniesiono do Szkoły Państwowej IV. Nie miała żadnego wyboru. Postanowiono, że zostanie jaskółką.

Marta dysponowała rzadką kombinacją urody, seksapilu i prawdziwego intelektu. Te pierwsze sprawiały, że lgnęli do niej nieszczęśni dyplomaci, dziennikarze i biznesmeni, natomiast inteligencja dawała jej dystans i pozwalała na przyjaźnienie się z najbardziej wpływowymi osobami. Pod koniec swojej niemal dwudziestoletniej kariery Marta zyskała sobie przydomek Królowej Jaskółek. Brała udział w wielu seksakcjach, włączając zwerbowanie zwariowanego na punkcie seksu japońskiego miliardera, ambasadora brytyjskiego, który uwielbiał flirty, i przypominającego gada ministra obrony Indii. U szczytu swej kariery była przynętą w legendarnym już uwiedzeniu, skompromitowaniu i werbunku szpyfrantki z niemieckiej ambasady, co pozwoliło KGB na odczytywanie przez siedem kolejnych lat niemieckich i natowskich zaszyfrowanych wiadomości radiowych. Był to jedyny przypadek, kiedy Marta wystąpiła przeciwko innej kobiecie, ale i tak w Wyższej Szkole KGB uznawano ten werbunek za wzorcowy.

W ciągu kolejnych lat Marta romansowała dyskretnie, już poza służbą, z dwoma członkami Politbiura, generałem z I Zarządu Głównego KGB, a także synami wpływowych członków kolegium KGB. Wielu szefów z krzaczastymi brwiami wspominało ją z rozrzewnieniem. Dzięki takim „mentorom” Marta była niezatapialna, a po odejściu z czynnej jaskółczej służby jej wdzięczni, choć może nieco wyczerpani dobroczyńcy zafundowali jej emeryturę majora. Ona jednak zdecydowała dalej cieszyć się życiem i zobaczyć trochę świata, dlatego poprosiła o posadę w Helsinkach,

którą jej też zaraz przyznano.

Na początku Marta nie wiedziała, czy Dominika jest tylko urzędniczką, czy też oficerem operacyjnym SWR. Była ewidentnie zbyt młoda na zagraniczną placówkę. Oczywiście jej nazwisko wiele wyjaśniało, ale to, że nie miała stałych obowiązków, mogła wychodzić, kiedy chciała, i rozmawiała bezpośrednio z szefem, wskazywało, że jest tu w jakimś szczególnym celu. Wszystkie ubrania miała nowe, więc zapewne je dostała. A plotki zaczęły się jeszcze bardziej mnożyć, kiedy okazało się, że nowo przybyła dostała oddzielne mieszkanie poza blokiem, w którym mieszkali pracownicy rezydentury. Marcie wydało się to czymś znajomym. W rezydenturze Dominika zachowywała się poprawnie, z rezerwą, a pracowała porządnie i niezwykle intensywnie. Kiedy znajdowała się na ulicy, Marta zauważyła jej pospieszne spojrzenia na ludzi i budynki, a także rutynowe ruchy, którymi je maskowała. Gdy siedziały w kawiarni, zdarzało się, że Dominika intuicyjnie wyczuwała potrzeby rozmówcy, uśmiechała się promiennie i czarowała swoim sposobem bycia. Marta od razu rozpoznała to na wpół świadome wykorzystanie urody - oczu, uśmiechu, ciała. A gdy gawędziły, rzucały jej się w oczy znajome techniki prowadzenia rozmowy i wydobywania informacji.

Niezwykłe stworzenie, myślała Marta. W dodatku prowadzi jakąś operację. Uroda, inteligencja, warsztat i te płonące zimnym błękitem oczy. Było dla niej jasne, że Dominika zna swoje obowiązki, kocha kraj, ale pod tym wszystkim kryło się i pączkowało coś jeszcze. Duma, gniew, nieposłuszeństwo. I coś, co trudno było jednoznacznie określić, jej sekretna cecha, potrzeba buntu, jakby ta dziewczyna nie bała się ryzyka i wyzwania. Marta zastanawiała się, ile jeszcze czasu minie, zanim inteligentna, czujna Dominika zorientuje się, że wszystko, co robi centrala, to pokazówka, która służy tylko utrzymaniu stołków. Wołontow był wręcz modelowym wzorcem tych urzędników, którzy przez ostatnich siedemdziesiąt

lat trzymali w garści tajne służby i Kreml.

Obie kobiety zaczęły po pracy razem wychodzić z ambasady, a potem zatrzymywały się w pobliskim barze na kieliszek wina i nieprzyzwoicie tuczając porcję sałatki z kawiozem, śmietaną i serem. Rozmawiały o rodzinie w Moskwie, o swoich doświadczeniach, choć Dominika nie wspomniała o szkole jaskółek. Marta śmiała się i skłaniała ją samą do śmiechu, a potem, na koniec wieczoru, szły sobie ramię w ramię chodnikiem.

Pewnego wieczoru, po tym, jak odprawiła jakiegoś obrzydliwego Niemca, Marta opowiedziała jej historię swego życia i pracy w charakterze jaskółki. Była dumna z tego, że służyła ojczyźnie, nie myślała o okropnych latach spędzonych w KGB. Nie wstydziła się też tego, kim była i co robiła. Dominika poczuła, że drżą jej wargi; popatrzyła w milczeniu na przyjaciółkę i zaczęła płakać. Spędziły wtedy ze sobą masę czasu, ale pod koniec wieczoru Marta wiedziała o niej wszystko. O jej obecnym zadaniu, wujku Wani, szkole jaskółek, Delonie, a nawet Ustinowie. Słowa wypłynęły z Dominiki niczym powódź. Nie było mowy o wydobywaniu informacji czy manipulacjach. Po prostu zostały przyjaciółkami.

Po kolejnych spotkaniach spokojna i pozbierana Marta słuchała i myślała: Mój Boże, jak nasi *własiteli* zdołali aż tyle wycisnąć z tej dziewczyny w tak krótkim czasie? Widziała w niej siłę i coś jeszcze. Marta podejrzewała, że częste spotkania z wyluzowanym oficerem CIA mają na nią głębszy wpływ. Gdyby to jednak powiedziała, oznaczałoby, że Dominika nie może już prowadzić operacji, więc trzymała buzię na kłódkę.

- Sama nie wiem - powiedziała kiedyś Dominika. - Jest arogancki. Lubi się wygłupiać i nie przepada za Rosją, a w każdym razie nas nie ceni. Wujek uważa, że jest fatalnym agentem.

- Wydaje się mało przyjemny - zauważyła Marta. - Ale wobec tego tym łatwiej przeciwko niemu pracować, a nawet... się z nim przespać. - Zapaliła papierosa i spojrzała na siedzącą wygodnie w

łoży Dominikę. Piły już po trzecim kieliszku wina.

- Nie, nie, dość przyjemny, tylko wkurzający. I miły. - Westchnęła. - Mam powiedzieć Wołontowowi, kiedy moim zdaniem zacznie operację i będzie rozkojarzony. Chcą go złapać z jego agentem. - Dominika czuła już wpływ wina.

- Znasz go na tyle, żeby to powiedzieć? - zaciekała się Marta. - Umiałabyś to zrobić?

Dominika odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

- Chyba już wiem... to znaczy umiem - odparła.

- I już to zgłosiłaś Wołontowowi - rzekła Marta, która zrozumiała, co się dzieje.

- Niezupełnie - odparła Dominika. - Powiedziałam, że będę go obserwować.

- I nie zgłosiłaś tego, że twoim zdaniem ten twój Amerykanin jest teraz bardziej zajęty?

- To nie jest „mój Amerykanin” - mruknęła Dominika z zamkniętymi oczami.

- Ale podejrzewasz, że jest zajęty, Wołontow cię o to pytał, a ty nic mu nie powiedziałaś, tak? - Marta pochyliła się w jej stronę. - Otwórz oczy, popatrz na mnie.

Dominika otworzyła oczy.

- Tak. Nic nie powiedziałam. - Znowu je zaniknęła.

Marta wypięła trochę wina, myśląc obojętnie o tym, że Dominika nie tylko zdradziła ojczyznę - stwierdzenie, że zdradziła Dumę, brzmiało idiotycznie - ale też, mówiąc o tym, sprawiła, że ona sama stała się współwinna tej zbrodni. Ścisnęła dłoń przyjaciółki.

- Lepiej uważaj - powiedziała.

Marta poświęciła całe życie dla ojczyzny, latami ignorowała jej ekscesy i osobiście przyczyniła się do upadku ludzi, których jedyną wadą było to, że za bardzo cenili sobie cielesne rozkosze. Sama jednak dawno zerwała z tymi sukinsynami, którzy nią rządzą. Doskonale wiedziała, w jakiej sytuacji znalazła się Dominika.

Bestie wykorzystały do cna tę piękną, inteligentną dziewczynę, a potem ją odrzuciły, myślała. A jeśli teraz zacznie choć w niewielkim stopniu zagrażać Władimirowi Putinowi, znajdzie się w potwornym niebezpieczeństwie. Informacje Dominiki przypominały zawiązany worek pełen żmij, który na razie był bezpieczny, ale należało się z nim bardzo ostrożnie obchodzić.

Krótką wizyta Marmura w Helsinkach była ze wszech miar udana, i to pod wieloma względami. Po pierwsze, spotkał się z wiceministrem handlu Trunkiem i udało mu się przy tej okazji sporo osiągnąć, co potwierdzało potrzebę dalszych kontaktów z ekstrawaganckim Kanadyjczykiem. Po drugie, trzy, trwające od północy do świtu, spotkania z Nate'em w hotelu GLO zaowocowały ośmioma wysoko ocenionymi raportami (z notatkami, które wystarczą zapewne na prawie czterdzieści kolejnych) na temat działalności SWR w Europie i Ameryce Północnej. Po trzecie, Marmur podał nazwisko zastępcy komisarza Wydziału Strategicznego Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, który spotykał się z rosyjskim nielegalnym, pracującym na co dzień jako tancerz w Bare Fax w Ottawie. I w końcu stary agent powtórzył z pamięci - normalnie nie miał dostępu do raportów z Chin - główne myśli trzech doskonałych raportów SWR z Pekinu, dotyczących walki o władzę w Komitecie Stałym Politbiura dwa lata po usunięciu Bo Xilaia, które nastąpiło na samym początku 2012 roku. Analitycy bardzo wysoko ocenili komentarze autorskie Marmura, dotyczące - „wyraźnie obsesyjnego” - zainteresowania prezydenta Putina destabilizacją w Chińskiej Partii Komunistycznej.

To były konkretne informacje, ale największe wrażenie zrobiła wiadomość o sprawie tak poufnej, że miało do niej dostęp tylko ścisłe kierownictwo SWR. Dla kontrwywiadu CIA mogło to oznaczać jedynie istnienie jakiegoś megakreta. Jakiś rząd jakiegoś kraju miał poważny problem, gdyż wywiad rosyjski przeniknął bardzo głęboko w jego struktury. Oficerowie patrzyli teraz jeden na

drugiego, zastanawiając się po cichu, czy przypadkiem nie chodzi o Amerykę. Ta informacja została oddzielona od innych i zajmowano się nią osobno.

Nikt nie musiał mówić staremu agentowi, co z tym robić. To on poinformował ich, co zamierza. Wiedział, jak delikatnie poruszać za sznurki, jak siedzieć niczym pajak w sieci, czekając na jej nawet najlżejsze drżenie. Chciał zebrać - ale delikatnie, jak najdelikatniej - więcej informacji na ten temat, gdy tylko będzie to możliwe. Do tego czasu słowa takie jak: „kret SWR”, „szpieg szefów”, „ściśle kierownictwo SWR” albo „Jasieniewo” miały się bez przerwy pojawiać na tablicach analityków w centrali kontrwywiadu CIA. Ci ludzie potrafili czekać, mogli mozolić się miesiącami, by dopasować do układanki jeszcze więcej fragmentów.

Ostatniego wieczoru Marmur przekazał Nate'owi, że Anthony Trunk w ciągu najbliższego pół roku weźmie udział w konferencji ekonomicznej w Rzymie i Zgromadzeniu Ogólnym Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, co da Marmurowi kolejne preteksty do wyjazdów z Moskwy. SWR była bowiem przekonana, że to on powinien się kontaktować z kanadyjskim wiceministrem. Centrala była zadowolona z rozmów z Marmurem i roli, jaką Nate w nich odegrał. Na tajne konto agenta wpłynęła dodatkowa kwota, a Nate otrzymał podwyżkę uznaniową w wysokości aż stu pięćdziesięciu trzech dolarów netto.

- Cholernie dużo - zauważył Gable, kiedy się o tym dowiedział. - Sto pięćdziesiąt trzy dolary. Żeby tylko nie pomniejszali twojego wkładu w tę robotę. A wiesz, że dostałeś też bon, dzięki któremu możesz sześć razy za darmo umyć samochód?

Pod koniec serii spotkań, przed powrotem Marmura do Moskwy, Nate zaczął też częściej mówić o kwestiach bezpieczeństwa. Rosyjski generał z pewną nonszalancją stwierdził, że od czasu, kiedy ich niemal nie zgarnęli w zaśnieżonej uliczce - które to zdarzenie wydawało się już tak dawne - w Jasieniewie rozpoczęto

poważne polowanie na kreta. Jego stary druh, pierwszy zastępca szefa Wania Jegorow, był przekonany, że ktoś ze szczytów SWR szpieguje na rzecz Amerykanów.

- Innymi słowy, chodzi o mnie - zakończył ze śmiechem.

Nate zmarszczył z troską brwi.

- Posłuchaj - podjął Marmur - jestem przyzwyczajony do ryzyka. - Wiem, jak działa nasz wywiad. Wiem, jak myśli i co może zrobić ten stary łobuz Jegorow. Nie ma się czym przejmować.

Pomyślał o czternastu latach na służbie CIA, bezsennych nocach, nasłuchiowaniu kroków na schodach czy o dławieniu w gardle, kiedy wzywano go z powrotem do Moskwy „na konsultacje”.

Pamiętał też niewysłowioną ulgę, kiedy okazywało się, że na spotkaniu, na które go wezwano, było pełno ludzi. Przed nim zdarzali się tacy, którzy wchodzili do pustej sali - a w niej, schowany za drzwiami, znajdował się jedynie *ubijca*.

Stary wyjadacz pocieszał swego młodego oficera prowadzącego. Opracowywali też razem plany awaryjne dla najbardziej ryzykownej operacji, którą mieli przeprowadzić w rejonie ścisłej inwigilacji w Moskwie. Chodziło o wycofanie w sposób tajny osoby zagrożonej. Pomoc w ucieczce na wolność. Ktoś miał wyjechać z Rosji z rodziną czy kochanką w bagażniku samochodu albo też przejść bezczelnie przez kontrolę paszportową na lotnisku.

Po czterdziestu minutach Marmur uniósł do góry dłoń.

- Chyba już dość na dzisiaj, Nathanielu. Jesteś bardzo dokładny.

Nieco zażenowany Nate zarumienił się, kiedy się żegnali.

Teraz Marmur dotarł już szczęśliwie do Moskwy, a Nate z przyjemnością czytał wylewne podziękowania z centrali za niezwykle interesujące spotkania z agentem. W depeszy znalazły się też słowa, że jego raport spotkał się z uznaniem „na najwyższych szczeblach”, co oznaczało Biały Dom i Radę Bezpieczeństwa Narodowego.

Forsyth poklepał go po ramieniu, a Gable postawił piwo.

- Popatrz, wszyscy cię chwalą, a nikt nie pamięta o twoim agencie - zauważył. - Ale ty nie możesz o nim zapomnieć. Jasne?

Sława zbladła i pozostał stary problem. Dominika. Nate nie wiedział, dokąd zmierza cała sprawa. Co miało oznaczać przyznanie się do tego, że pracuje w rezydenturze? Jeśli to nie ruszy z miejsca, wkrótce pojawią się ponaglenia z centrali.

- Pieprzyć centralę! - mruknął Gable i zaczął kolejne piwo. -

Nie spiesz się, masz trochę luzu w nagrodę za tę ostatnią sprawę, a potem zobaczymy.

Nate znał już dobrze swojego bezpośredniego zwierzchnika.

- Chcesz powiedzieć, żebym wziął dupę w troki, zanim sam mnie wykopiesz z tego miejsca, co?

- Tak, coś takiego właśnie chciałem powiedzieć - przyznał

Gable. - Idź na basen. Znajdź swoją panią kapral. Kup jej kwiaty.

Powiedz, że za nią tęskniłeś, że nie możesz bez niej żyć. Zaproś na kolację...

- Prawdę mówiąc, naprawdę za nią tęsknię, Marty - rzekł z westchnieniem Nate, patrząc na dywan. A potem uniósł nieco wzrok.

- Dobry Boże! - jęknął Gable i wyszedł.

CAVIAR TORTE

Mieszamy podsmażone szalotki ze śmietaną i startym serem Neufchâtel. Przekładamy do tortownicy. Posypujemy posiekanym gotowanym jajkiem i smarujemy cienką warstwą drobnoziarnistego kawioru z jesiotra lub białugi. Schładzamy. Wyjmujemy z tortownicy i podajemy na blinach lub tostach.

14

Marta zaczęła trochę spiskować z Dominiką. Pomagała jej wpisywać obecność i wypełniać książki tak, by wykazywać aktywność; rozmawiały też o tym, jak pisać raporty z kontaktów, aby z jednej strony wskazywały na postępy, a z drugiej nie budziły podejrzeń niedźwiedzi z centrali. Dominika pisała o przyjemnych, ale bezowocnych spotkaniach w muzeum, na lunchu czy kawie z zawołanymi aluzjami do jego braku zainteresowania seksem.

- Wydaje się okropny - zauważyła. - I ja też jestem przez to okropna. Zobaczysz, obie zostaniemy starymi pannami.

- Tak myślisz? - Marta zapaliła papierosa. - Może będziemy jak te dwie dziewczyny, które kupowały kiełbasy. Rzeźnik nie miał reszty, więc zaproponował im dodatkową. „Co my zrobimy z dodatkową kiełbasą?” - pyta pierwsza. „Cii, głupia - odpowiada przyjaciółka - po prostu ją zjemy”.

Dominika zaczęła się śmiać.

Wołontow wciąż się przy niej kręcił. Czuł naciski z Moskwy, więc naciskał na nią. Zauważył też, że obie kobiety się przyjaźnią. Starsza jaskółka miała w oczywisty sposób zły wpływ na młodszą. Chroniczny brak szacunku ze strony Jelenowej stał się jeszcze bardziej widoczny i dojmujący.

Dzień był burzowy, a kolejne fale ulewy docierały z południa, znad Estonii. Dominiki nie było w ambasadzie, kiedy rezydent wezwał do siebie Jelenową. Marta usiadła, choć jej o to nie poprosił, i uniosła ramiona.

- Wzywał mnie pan, panie pułkowniku.

Wołontow popatrzył na nią w milczeniu. Obejrzał ją sobie dokładnie od stóp do głów.

- Czym mogę służyć? - powtórzyła.

- Zauważyłem, że przyjaźnicie się z kapral Jegorową - zaczął.

- Spędzacie razem sporo czasu.

- Czy ma pan do tego jakieś zastrzeżenia? - spytała Marta.

Zapaliła papierosa, uniosła głowę i wydmuchała dym do sufitu.

Wołontow patrzył na nią tępo.

- Co mówicie Jegorowej?

- Nie wiem, jak rozumieć to pytanie, panie pułkowniku - odparła. - Chodzimy na wino, rozmawiamy o rodzinie, podróżach, jedzeniu.

- I o czym jeszcze? - dopytywał się Wołontow. - Rozmawiacie o mężczyznach, swoich chłopakach? - Blask świetlówek odbijał się w klapach jego bułgarskiego garnituru.

- Przepraszam, ale dlaczego zadaje pan tak osobiste pytania?

- *Job twoju mat'!* - Wołontow walnął ręką w biurko. - Nikomu nie muszę mówić dlaczego! - wrzeszczał. - Masz przestać judzić Jegorową. Wszyscy wiedzą, że jesteś cyniczna i zblazowana. Jej wydajność spadła. Jegorowa nie nadąża z pracą. Jej raporty nie satysfakcjonują władz. Albo dasz jej spokój, albo podejmę odpowiednie kroki.

Przyzwyczajona do flegmatycznych ryków sowieckich dygnitarzy, Marta zgasiła z całym spokojem papierosa w popielniczce na jego biurku. Wzrok Wołontowa natychmiast powędrował do wyjęcia jej bluzki. Marta położyła dłonie na krawędzi mebla i pochyliła się bardziej, żeby miał lepszy widok.

- Muszę coś panu powiedzieć, panie pułkowniku - zaczęła. -

Jest pan obrzydliwy. To pan powinien dać spokój Jegorowej.

Traktuje ją pan haniebnie, a ona nie zrobiła nic złego.

- Do kogo ty mówisz, podstarzała kurwo?! - wrzasnął głośniej Wołontow. *Ot blad'!* Mogę cię związać jak świnie i dziś jeszcze odesłać do domu. Trafisz do lokalnego biura podróży w Magnitogorsku, gdzie będziesz mogła prowadzić jakiś punkt sprzedaży, a wieczorami ssać fiuty tamtejszych bezzębnych hokeistów z Metallurga.

- A tak, znam te groźby - syknęła Marta. Znała ten rodzaj

gadów, tych tchórzy! - A co pan powie na to, że zrobię w Moskwie taką rozróbę, że to pan wyląduje w Magnitogorsku? Wania Jegorow dowie się, że ta rezydentura to *swałka*, że nic się tu nie dzieje. Z przyjemnością wysłucha, jak pan patrzy na jego bratanicę i że najchętniej by ją pan widział na swojej kanapie. *Mudak!* Sukinsyn! Była to olbrzymia niesubordynacja. Wręcz zdrada. Wołontow zerwał się z za biurka i zaczął wrzeszczeć:

- Pakuj się. I to zaraz! Ma cię tu nie być do jutrzejszego wieczora! Wszystko mi jedno, jak wyjedziesz, ale jeśli nie znikniesz...

- *Żopa!* - wypaliła Marta, a potem odwróciła się i podeszła do drzwi.

Wołontow, trzęsąc się z wściekłości, otworzył szufladę biurka, zaczął w niej grzebać i po chwili wyciągnął automatyczny pistolet Makarowa, którego używał od początku swojej kariery. Nigdy nie strzelił z niego poza ćwiczeniami, nigdy nie użył go w złości. Teraz drżącymi dłońmi przeładował pistolet, a Marta odwróciła się na ten dźwięk. Wołontow wstał, mierząc prosto w jej pierś.

- Nie jestem Ustinowem, panie pułkowniku. Nie możecie zniszczyć wszystkiego, nad czym nie możecie zapanować.

Dimitrijem Ustinowem? Zamordowanym oligarchą? Zabili go w jego apartamencie, prawdziwa krwawa jatka, podobno jakieś mafijne porachunki... Wołontow nie miał pojęcia, o czym mówi ta suka, ale pamiętające czasy sowieckie rury zasysające w jego mózgu rozgrzały się do białości. Jego gadzi instynkt podpowiadał mu, że coś tu czai się pod powierzchnią, być może coś bardzo ważnego. Opuścił broń, a Marta otworzyła drzwi i wyszła. Jej współpracownicy już zebrali się w holu; słyszeli krzyki.

Wołontow palił papierosa, próbując się uspokoić. W końcu sięgnął po bezpieczny, kremowy telefon WCz - wysokoczystoty.

- Moskwa, natychmiast - powiedział do telefonistki z centrali.

Czekał pół minuty na połączenie z pierwszym zastępcą szefa Jegorowem. Po dwóch kolejnych otrzymał instrukcje: Ignorować

to, co powiedziała Jelenowa, nikomu tego nie powtarzać i nic nie robić! Wołontow chciał zaprotestować przeciw tak łagodnemu potraktowaniu tej niesubordynacji, która godziła w jego autorytet, ale Jegorow zalecił mu cierpliwość.

- *Jest' człowiek, jest' problema. Niet człowieka, niet problemy* - powiedział, a Wołontowowi ciarki przeszły po plecach.

Znał na pamięć ten aforyzm towarzysza Stalina.

Nate i Dominika siedzieli na kanapie w jego mieszkaniu. Przez okno sączyły się światła od portu, a z ciemności za wyspami dotarł do nich potężny bas promu. Ekipa techniczna sprawdziła wcześniej mieszkanie, więc Nate mógł ją tu bezpiecznie zaprosić. Nie mieli pojęcia, które z nich ma operacyjną przewagę i do czego mogą doprowadzić ich wysiłki. Żadne też nie rozumiało do końca, o co toczy się gra. Wiedzieli tylko, że czekają na kolejne spotkania. Salonik Nate'a był nastrojowo oświetlony, z głośników dobiegały ballady Benny'ego More.

Nate ugotował dla niej *vitello picatta*, cieleńce eskalopki w sosie cytrynowym z kaparami. Dominika stała oparta o stół i patrzyła, jak Nate smaży cieniutkie płaty mięsa na oleju i maśle na wolnym ogniu. Przysunęła się bliżej, kiedy Nate podlał patelnię winem i sosem cytrynowym, odparował je i dodał najpierw kilka plasterków cytryny i kapary, a potem parę kawałków masła. Następnie ponownie ułożył na patelni plastry cielęciny, by je podgrzać. Zjedli kolację na kanapie, trzymając talerze na kolanach. Dominika dopiła wino i naląła sobie jeszcze jeden kieliszek.

Po przerwie sprzed kilku tygodni znowu zaczęli się intensywnie spotykać. W zimną niedzielę, kiedy spacerowali wokół starej fortecy, podjęli też dawny spór.

- Na miłość boską, przecież mieszkałeś w Moskwie przez rok, a zupełnie nie znasz Rosjan - mówiła Dominika. - Wszystko jest dla ciebie czarno-białe. Niczego się nie nauczyłeś.

Nate uśmiechnął się i podał jej rękę, kiedy przechodziła przez

porośnięty trawą gzyms. Dominika nie przyjęła jej jednak i sama przelazła na drugą stronę muru.

- Cóż, nacjonalizm nie musi być zły. Macie wiele rzeczy, z których możecie być dumni - odparł. - Ale Rosji nie otaczają sami wrogowie i dlatego wasz rząd powinien się skupić na tym, jak poprawić byt zwykłych ludzi.

- Jasne, że się tym zajmuje. To chyba oczywiste.

Temat powrócił po kolacji.

- Chcę tylko powiedzieć - zaczął Nate - że Rosja tak naprawdę nie zmieniła się od starych czasów i że nie wykorzystuje tych możliwości, które się przed nią otwały. I że powracają jej dawne złe przyzwyczajenia.

- Co masz na myśli? - spytała Dominika, która wycierała talerz przy zlewie.

- Korupcję, represje, więzienie za przekonania. Dawne sowieckie myślenie, które niszczy demokrację.

- Mam wrażenie, że mówisz to wszystko z wyraźną przyjemnością - zauważyła. - Jakby w Ameryce nie było niczego takiego.

- Jasne, że mamy problemy, ale nasi opozycjoniści nie umierają w więzieniach i nie zabijamy przeciwników politycznych. -

Zauważył, że Dominika nagle się zachmurzyła. - Oczywiście wszędzie są tacy, którzy cenią wartości i wierzą, że wszyscy ludzie mają prawa. Wszędzie też są cynicy, którym nie zależy na współobywatelach, ludzie bez sumienia, jak ci z dawnego Związku Sowieckiego, z KGB... Przecież wielu z nich zostało.

Dominika nie mogła uwierzyć, że rozmawiają na ten temat. Z jednej strony, czuła się urażona wykładem młodego Amerykanina na temat jej własnego kraju. Z drugiej, wiedziała, że Nate ma sporo racji, ale nie mogła przecież tego przyznać.

- A teraz zrobiłeś się ekspertem od KGB - zauważyła z przekąsem, odstawiając suchy talerz.

- Cóż, znałem paru kagiebiów.

Wzięła kolejny talerz i zaczęła go wycierać.

- Znałeś kogoś z KGB? Niemożliwe. Kogo takiego? - spytała, zastanawiając się, co zrobi, jak jej powie.

- Na pewno nie znasz. Ale, prawdę mówiąc, wolę oficerów z SWR. Są znacznie przyjemniejsi. - Znowu uśmiech i ten głęboki fiolet.

Dominika nie zareagowała na zaczepkę, spojrzała na zegarek i stwierdziła, że robi się późno. Była rozdrażniona. Nate pomógł jej włożyć palto i wyswobodził jej włosy spod kołnierza. Poczula, jak palcami musnął jej szyję.

- Dziękuję za kolację - rzuciła. Panowała nad sobą, ale ledwo.

- Może cię odprowadzę - zaproponował.

- Nie, dziękuję.

Podeszła do drzwi i obróciła się w jego stronę, wyciągając przed siebie rękę. Ale on był tuż za nią, położył dłoń na jej ramieniu i pocałował ją lekko w usta.

- Dobranoc - powiedziała i wyszła na korytarz, czując mrowienie na wargach.

CIEŁĘCE ESKALOPKI NATE'A

Kawałki cielęciny rozbijamy na bardzo cienkie płaty. Przyprawiamy i smażymy szybko na złoty kolor na maśle i oliwie. Zdejmujemy i przykrywamy, a patelnię podlewamy winem i sokiem cytrynowym i odparowujemy. Zmniejszamy ogień, dodajemy plasterki cytryny, kapary i kawałki masła. Smażymy na wolnym ogniu do zgęstnienia, pilnując, by sos się nie zagotował. Dokładamy eskalopki, by je podgrzać.

Już po północy, w Helsinkach śnieg ustąpił przed pierwszymi wiosennymi deszczami, które rozpryskiwały się na chodnikach, spływały po nagich gałęziach i bębniły w okna. Nate przewracał się niespokojnie w łóżku. Dwanaście przecznic dalej Dominika leżała w pościeli i wsłuchiwała się w odgłosy deszczu, czując jeszcze na ustach pocałunek Nate'a na dobranoc. Cieszyła się, że ocaliła Amerykanina i zdecydowała, że zrobi to jeszcze raz, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Jak to dobrze, że ma Martę. Jej wsparcie pomogło jej w podjęciu decyzji, a cierpkie komentarze pozwoliły sprecyzować własne poglądy, zwłaszcza na temat tego, co należy ukrywać przed szefami. Marta nie wierzyła w ślepe oddanie. Powiedziała Dominice, żeby nie była jak *tricoteuse*, żeby pozostała wierna sobie i myślała najpierw o własnych interesach, a dopiero potem - jeśli to możliwe - o Rosji. Dominika przewróciła się niespokojnie w łóżku.

Pięć przecznic na wschód Marta Jelenowa otworzyła drzwi swego mieszkania w bloku zajmowanym przez pracowników ambasady. W korytarzu unosił się silny zapach gotowanej wołowiny i kapusty, który przypominał jej blok w Moskwie. Strząsnęła krople z płaszcza i powiesiła go na haczyku przy drzwiach.

Jej mieszkanie było małe - składało się z jednego pokoju z połączoną wnęką kuchenną, za którą znajdowała się niewielka łazienka. Od wielu lat przechodziło ono z rąk do rąk pracowników ambasady, dlatego sprawiało wrażenie obskurnego, a meble były podrapane i zdezelowane. Marta zachwiała się, zdejmując mokre buty. Zachichotała. Była nieco wstawiona po samotnej nocy spędzonej w niewielkim barze. Zamówiła tam pyttipannę, popularne skandynawskie danie z pokrojonych w kostkę wołowiny, ziemniaków i cebuli. Wróciła pieszo w deszczu. Minęło sporo czasu od pamiętnej kłótni z Wołontowem i spodziewanego wezwania z Moskwy, ale nie dostała zwolnienia czy choćby reprimendy z

centrali. Rezydent starał się jej unikać, a poza tym nic się nie działo. Widziała, że Dominika coraz częściej spotyka się z Nathanielem, częściowo dlatego, że Wołontow był z tego zadowolony, ale Marta zauważyła też, że dziewczyna niecierpliwie wyczekiwała tych wieczorów. Rezydent wezwał też Dominikę, a kiedy ta od niego wychodziła, mrugnęła porozumiewawczo do Marty.

- Był bardzo spokojny, niemal mnie przeproszał - powiedziała przy winie po pracy. - Zachęcał do działania, do częstszych spotkań, jeśli to możliwe.

- Nie ufam tej galarecie - mruknęła Marta. - Moim zdaniem, Domi, powinnaś im mówić, że pracujesz pilnie i wolno idziesz do przodu. Wszyscy chcą pisać do centrali o sukcesach, więc Wołontow jakoś to przełknie.

Później, kiedy nieco pijane wracały do domu, powiedziała Dominice, że gdyby miały trochę oleju w głowie, to już dawno przeszłyby na stronę Amerykanów. Prawdziwy skandal.

Marta weszła w głąb pokoju. Usiadła ciężko na łóżku i zaczęła ściągać z siebie mokre ubrania, które rzucała na podłogę. Włożyła krótką jedwabną koszulę od hinduskiej piżamy; była ona beżowa, wyszywana zielonymi i złotymi nićmi, od góry do dołu zapinana na ozdobne zielone guziki z węzłków. Stała przed dużym, pękniętym w rogu lustrem i popatrzyła na swoje odbicie. Koszulę dostała w prezencie od generała GRU, którego wysłano na placówkę do ambasady w New Delhi. Spotkali się, gdy oboje zastawiali sekspułapkę na ministra obrony Indii. Ich gorący romans trwał osiem tygodni, ale w końcu generał go przerwał. Królowa Jaskółek była dobra jako zabawka z Moskwy, ale nie mógł się przecież związać na dłużej „z kimś takim” - jak się wyraził.

Kimś takim, pomyślała Marta, patrząc w lustro. Rozpięła koszulę i zerknęła na swoje odsłonięte ciało w lustrze. Parę lat po pięćdziesiątce, ale wciąż się trzymam, powiedziała sobie w duchu. Trochę przybyło jej w talii, koło oczu pojawiło się parę nowych

zmarszczek, ale piersi wciąż miała jędrne, a kiedy obróciła się lekko i odgarnęła materiał, zauważyła, że z tyłu wciąż ma tę krzywiznę, linię, która sprawiła, że w 1984 roku pewien francuski oficer wywiadu zapomniał zupełnie o swoich obowiązkach i zaszył się z nią na długo w leningradzkim hotelu. Czasami o nim myślała, tak bez większego powodu.

Przeszła bosą do kuchni, żeby napić się wody. Chciała w ten sposób oczyścić głowę, by móc zasnąć. Kiedy znowu znalazła się w pokoju, poczuła, jak ktoś obejmuje ją od tyłu. Nic nie słyszała. Mężczyzna trzymał ją mocno za gardło. Chwyciła oburącz jego ramię, próbując złapać oddech. Intruz nie wydawał się duży; odniosła wręcz wrażenie, że jest szczupły. Oddech, który czuła na szyi, był spokojny. Nie bał się. Nie zaciskał też mocniej dłoni na jej gardle, po prostu ją tak trzymał. Marta pomyślała, że to jakiś zbrojeniec, ktoś, kto lubi napadać na kobiety. Myślała, żeby chwycić go mocno za jaja i ścisnąć.

Dopiero kiedy przeprowadził ją przed sobą do lustra, zrozumiała, że to nie fiński chłopak z dostawą, który miał mokrą plamę na fartuchu. Poczuła amoniak i pot. A potem coś usłyszała - głos w uchu, chrząszcza, który szedł po papierze ryżowym. Tylko jedno słowo po rosyjsku: *Mołczat*'. W mgnieniu oka zrozumiała przerażona, że to oni.

Znad jej ramienia patrzył na nią w lustrze jakiś stwór. Ich oczy się spotkały, a raczej jej oczy spotkały jego cyklopie oko. To drugie, z kredowego marmuru, patrzyło ukośnie przed siebie. W mdłym świetle Marta nie widziała ciała napastnika, a jedynie jego bezcielesne ramię i unoszącą się nad jej ramieniem poznaczoną ospą i bliznami twarz. Znowu dotarł do niej szelest jego głosu.

- Dobry wieczór, towarzyszko Jelenowa. Czy mogę mówić: Marto? A może moja mała jaskółko? - Koszula była trochę rozchylona, złote nitki tkaniny zaczęły wibrować, oddając drżenie uwięzionego w uścisku ciała. W prześwicie między połami koszuli

widać było trójkąt łonowy. Potwór pociągnął ją mocniej i Marta stanęła na palcach. - Moja mała jaskółko - szepnął. - Co robiłaś? - Pchnął ją jeszcze o krok w stronę lustra, w którym Marta dostrzegła swoje przerażone oczy.

- Czy weźmiesz mnie do łóżka? - ciągnął mężczyzna. - Długo tu jechałem.

W drugiej ręce w czarnej rękawiczce miał długi na ponad pół metra nóż z rzeźbioną rękojeścią. Odsunął jego końcem połą koszuli. Piersi Marty uniosły się z przerażenia. Na majaczącej za nią twarzy pojawił się uśmiech. Mężczyzna ścisnął mocniej i wtulił się policzkiem w zagłębienie jej szyi. Obraz przed jej oczami wyszarzał na brzegach. Czuła narastający szum w głowie. Potwór powiedział, że pokaże jej, gdzie raki zimują. Wiedziała, co to znaczy, że chce się zemścić. A potem szum w jej głowie się nasilił i zemdlała.

Szybko odzyskała przytomność, jak topielec, który nagle wynurza się na powierzchnię. Leżała naga na plecach na swoim żalnym łóżku. Czuła, że usta ma zaklejone taśmą. Ręce miała związane z tyłu, a węzły wbijały jej się w plecy. Na pościeli dostrzegła znajome światło stojącej lampy z abażurem z wyblakłej różowej gazy. Nogi związała jej w kostkach. Próbowwała ciągnąć za węzły, ale żaden się nie poddawał.

Usłyszała jakiś hałas, obróciła głowę w tamtym kierunku i serce w niej zamarło. Nigdy w życiu nie widziała niczego straszniejszego. Mężczyzna miał na sobie hinduską koszulę. Tańczył w jej małym mieszkaniu, kołysząc się do przodu i do tyłu. Trzymał w dłoni nóż i czasami wywijiał nim nad głową w czasie piruetów.

Marta zaczęła w milczeniu płakać.

Siergiej Matorin przeniósł się cztery i pół tysiąca kilometrów dalej, do doliny Pandzszeru. Patrzył na cienie, które rzucała różowa lampa Marty. Był w bunkrze swojej jednostki Alfa, zbudowanym z worków z piaskiem na zboczu i oświetlonym zielonymi płomie-

niami syczącej latarni gazowej. Związana Marta stała się żoną naczelnika wioski, którą wzięli do niewoli w czasie wypadu, odwetu za pomoc dla rebeliantów. Bijący o szyby deszcz stał się wiatrem stu nocy, który niósł nad Hindukuszem piaski z północnej pustyni i miotał nimi w prowadzące do bunkra drzwi z blachy falistej. Chajber znowu znalazł się w swoim żywiole.

Afganka umarła, jak tylko zapadł wieczór, może ze strachu, może z powodu kolegów z oddziału albo też pasa na amunicję przybitego do ściany ze sklejki, który zacisnął się za mocno na jej szyi. Stała wyprostowana z podniesioną dumnie brodą, a w jej martwych oczach odbijało się zielone światło latarni. Dotrzymywała Chajberowi towarzystwa. On natomiast siedział, kiwając się w takt metalicznej afgańskiej muzyki z magnetofonu, w którym powoli kończyły się baterie, więc melodia to zwalniała, to znowu przyspieszała.

Marta rzucała się na łóżku w nadziei, że uda jej się rozluźnić więzy i uwolnić ręce i nogi, by móc z nim walczyć. Ruch przyciągnął jego uwagę, Matorin wspiał się na koniec łóżka i zaczął się wolno do niej zbliżać na czworakach. Koszula zwinęła się wokół jego ciała. Był nad nią, patrzył w dół, naciskał ciałem. Marta napinała ramiona, coraz mocniej czując sznur na gardle. On natomiast pochylił się i spojrzał jej w oczy, wsłuchując się w głośny oddech. Zerwał taśmę z jej ust, delektując się jej przerażeniem.

- *Boże moj* - szepnęła.

Patrzył na jej twarz, kiedy nóż w jego niewidocznej dłoni drgnął nieznacznie i wsunął się pod płytkim kątem nad jej przepoń na ponad dwadzieścia centymetrów, przebijając serce i dalej gardło. Marta szarpnęła się w agonii. Otwarte usta nie wydały żadnego dźwięku, a skrępowany korpus w końcu opadł na łóżko. Matorin dosiadał jej drżącego ciała, czuł jej przyspieszony, zduszony oddech i patrzył, patrzył, jak światło gaśnie w jej oczach, które uciekały w głąb głowy. Z kącika ust i nozdrzy pociekła krew. Jej agonია

trwała trzy minuty. Marta nie słyszała szeptu Matorina: „Boże? Nie, Boga dziś tu nie było”.

Kiedy następnego dnia Dominika weszła do rezydentury, popatrzyła na puste biurko przyjaciółki. Pewnie nieźle się wczoraj zabawiła, pomyślała.

Kiedy jednak nie przysłała po paru godzinach, Wołontow wystawił głowę ze swego biura i ryknął:

- Gdzie Jelenowa?! Czy dzwoniła, że jest chora? - Nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. - No dalej, kapral Jegorowa! Niech pani do niej zadzwoni.

Dominika próbowała parę razy, ale bez rezultatu. Wołontow wezwał więc strażnika i kazał mu pójść do mieszkania Jelenowej, stuknąć do skutku i w razie czego użyć zapasowego klucza. Strażnik wrócił po godzinie i powiedział, że mieszkanie jest puste, ale wszystko w nim wygląda normalnie. Ubrania leżą w komodzie, naczynia w zlewie, a łóżko jest posłane.

- Napisz krótką depezę do centrali - warknął Wołontow do mężczyzny, który patrzył na niego jak gotowy do ataku rottweiler. - Asystentka administracyjna nie stawiała się do pracy, miejsce pobytu nieznane. Nie zgłosiła choroby. Pisz, że jej szukamy i zgłosiliśmy zaginięcie fińskiej policji. I zaraz dzwoń na policję, zażądaj jak najszybszego podjęcia poszukiwań i absolutnej dyskrecji. No już!

Wołontow zawołał też zaraz oficera kontrwywiadu i zamknął drzwi do biura.

- Mamy problem - mruknął. - Marta Jelenowa nie stawiała się do pracy. - Popatrzył na zegar SWR wiszący na ścianie. - To już prawie pięć godzin - dodał.

Oficer kontrwywiadu, pozbawiony wyobraźni wół, który pracował w Zarządzie Straży Granicznej KGB, popatrzył na swój zegarek, jakby chciał sprawdzić to, co powiedział Wołontow.

- Skontaktuj się z Supo - polecił rezydent. - Masz się spotkać z

Sundqvistem i powiedzieć mu, że naszym zdaniem ktoś porwał Jelenową. Niech sprawdzą porty, dworce, lotniska...

- Porwał? - powtórzył tamten. - A kto by porywał Jelenową?

- Przecież nie powiemy fińskiej policji, że nas zdradziła, ty idioto! Niech po prostu złączą jej szukać. Mają jej zdjęcia wizowe.

Nalegaj na całkowitą dyskrecję i trzymaj gębę na kłódkę.

W ciągu następnych sześciu godzin nic się nie działo, ale Supo w końcu odnalazła zdjęcie przypominającej nieco Jelenową kobiety na przejściu granicznym ze Szwecją w Haaparantie w Zatoce Botnickiej. Miała ona ciemne okulary i szal, które zasłaniały połowę jej twarzy, ale nos i broda były takie jak trzeba. Funkcjonariusze Supo powiedzieli, że przekroczyła granicę pod nazwiskiem Rita Viren, które jest obecnie sprawdzane. Towarzyszył jej nieznanemu mężczyźnie w okularach i bejsbolówce.

- Wszystko jasne - mruknął oficer kontrwywiadu. - Poszła na współpracę z Amerykanami.

- Skąd to przekonanie? - zapytał z przekąsem Wołontow.

- Niech pan popatrzy na tę bejsbolówkę, panie pułkowniku. -

Wskazał przysłane faksem zdjęcia z kontroli celnej. - Na tej czapce jest napis: „New York”.

Wołontow kazał mu się wynosić.

W biurze aż wrzało od plotek. Zabójstwo? Porwanie? I to słowo, którego nikt nie śmiał wymówić. Zdrada. Wszyscy wiedzieli, że ponad miesiąc temu Marta okropnie pokłóciła się z Wołontowem. Ale żeby z tego powodu uciekać?! Dominika szalała z niepokoju. Marta z pewnością by nie zdradziła, a jeśli nawet, to wcześniej by się z nią pożegnała. Tylko żartowała, kiedy mówiła o przejściu na stronę Amerykanów. Tak, coś się musiało stać. I to coś poważnego. A potem zamarła. Czy to możliwe, żeby tamci dowiedzieli się o fałszowaniu raportów na temat Nasha? Czy zatem zniknięcie przyjaciółki jest ostrzeżeniem? Nie, to śmieszne. Marta musiała wyjechać do Laponii ze swoim jasno-

włosym instruktorem jogi. Czy coś takiego... Trudno jej jednak było uwierzyć w tę wersję.

Poszukiwania Jelenowej ciągnęły się przez kolejne dni i nie przyniosły żadnych rezultatów. Wołontow szalał, bo się bał, że wpłynie to na jego opinię w centrali, co wydawało się dziwaczne, gdyż w jego teczce pełno było informacji o zaniedbaniach i przejawach karierowiczostwa. Ambasada wystosowała protest do fińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w kwestii zaginionej pracownicy korpusu dyplomatycznego, za której bezpieczeństwo odpowiadał rząd Finlandii, na co Finowie zareagowali niepokojem. Z Moskwy przybył specjalny pracownik kontrwywiadu, który miał przesłuchać pracowników ambasady i rezydenta, a także naradzić się z fińskimi śledczymi. Po czterech dniach stwierdził z całą powagą, że Marta Jelenowa zniknęła, i... wyjechał.

Dominika leżała w swoim mieszkaniu i płakała w poduszkę. Domyślała się prawdy. Marta była jej prawdziwą przyjaciółką, starszą siostrą, której jej zawsze brakowało, dlatego nie mogła zrozumieć, dlaczego o n i zdecydowali się na takie barbarzyństwo. I po co usunęli Martę? Przebiegała w myślach wszystkie rozmowy z przyjaciółką i nagle zimne ciarki przeszły jej po plecach. Przypomniała sobie Ustinowa. Czyżby ludzie z SWR dowiedzieli się o tej rozmowie? Czy Marta wspomniała o tym komuś? A jeśli nawet, to czy coś takiego mogło spowodować zniknięcie człowieka w małych, sennych Helsinkach w cywilizowanej części świata, i to w dwudziestym pierwszym wieku? Zamknęła oczy, poczuła, że kręci jej się w głowie, i już po chwili znajdowała na obracającym się łóżku w gniazdku miłosnym Ustinowa. Wspomniała też Wołontowa, który najwyraźniej się bał - jego pomarańczowa aureola była poznaczona strachem.

Dominika wstała z łóżka, podeszła do okna i spojrzała na wieczorne niebo. Zaczęła łąać siebie w duchu. Przecież jest wyszko-

lonym wywiadowcą. Prawdziwym oficerem operacyjnym. Bez-
względna uwodzicielką. A jednak wykorzystali ją - wciąż ją wy-
korzystywali - była jedynie pionkiem w ich grze. Niezależnie od
tego, kim był agent, którego Nate prowadził, mogła teraz lepiej
zrozumieć tego Rosjanina, pojąć nienawiść, która musiała nim
powodować.

Po raz kolejny stwierdziła, że podjęła trafną decyzję, nie ra-
portując do centrali całej prawdy o Nashu. Poczwała zimny dreszcz,
który przebiegł po jej ciele. Ale przecież te jej gierki są całkiem
niewinne, prawda? Nagle zobaczyła na szybie twarz przyjaciółki.
Jak sprawić, by zapłacili za to, co zrobili? Jak zniszczyć i c h
wszystkich: Wołontowa, wujka Wanię i pozostałych?

Łzy leciały po jej policzkach. Opłakiwała Martę, ojca, być może
siebie. Opłakiwała też Rosję, choć wiedziała, że już w nią nie
wierzy. Odwróciła się od okna i zamknęła oczy. Coś w niej pękło,
zrzuciła ze stolika flakonik kupiony przez Martę w niedzielę na
rynku i stanęła z zaciśniętymi pięściami i zębami.

Tymczasem przerażony Wołontow czekał w rezydenturze na
oficjalną naganę od władz. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Za-
dzwonił do niego tylko wiceszef, sam Wania Jegorow, i wyraził
ubolewanie z powodu tego, co się stało. Cóż, zawsze zdarzali się
jacyś zdrajcy i nie można było tego, niestety, uniknąć. Jegorow
upomniął też Wołontowa, by nie zaniedbywał bieżących spraw, a
zwłaszcza „tej specjalnej”, związanej z jego bratanicą i młodym
Amerykaninem.

- Oczywiście, panie generale - zapewnił z ulgą rezydent. -

Moim zdaniem mamy tu bardzo poważne postępy.

Czusz sobacza, pomyślał Jegorow i odłożył słuchawkę. Wa-
nia wiedział, że bratanica musiała przekazać Jelenowej przy-
najmniej część informacji na temat sprawy Ustinowa. Był to
poważny błąd, ale na razie musiał jej to puścić płazem. Mieli
trochę szczęścia, że Jelenowa powiedziała o tym temu idiotcie

Wołontowowi, który na szczęście miał przynajmniej tyle rozumu, żeby do niego zadzwonić. Potem wystarczyło tylko wysłać Matorina i zorganizować w stosunkowo prosty sposób zniknięcie Jelenowej, by załatwić całą sprawę. Jegorow bał się jednak myśleć o tym, co by się stało, gdyby informacje na jej temat dotarły do prezydenta.

Na granicy rosyjsko-fińskiej, trzy kilometry na zachód od Wiartsili, Rosjanie utworzyli po drugiej wojnie szlak infiltracyjny, który wiódł koło wież, przez zasieki i zaorane tereny. Po fińskiej stronie było zwykle mało patroli, dlatego od dziesięcioleci przechodzili tędy agenci KGB. Technologia się zmieniała, ale tu wszystko pozostawało takie samo. W 1953 roku drogę przez pole minowe wyznaczały słupki z przywiązanymi do nich kawałkami materiału. Od 2010 roku można się było tędy poruszać dzięki plastikowym pylonom z promiennikami podczerwieni, widocznymi jedynie przez noktowizor.

Matorin odbył tę trasę tydzień wcześniej, następnie z drogi numer 70 odebrał go nielegal z Zarządu S SWR, przewiózł czterysta kilometrów dalej drogą numer 6 i dalej do stolicy autostradą E75. Zabójca ze Specnazu trafił od razu do mieszkania Jelenowej, zabił ją po północy i umieścił ciało w gumowym worku, jakiego używano w wojsku. Odkaził jeszcze całe mieszkanie, a następnie wezwał nielegal, który wcześniej rano dowiózł go wraz z ciałem Marty ponownie na granicę. Nielegal wrócił do Helsinek, a następnego ranka, korzystając ze swoich fińskich dokumentów, przekroczył wraz z żoną granicę w Haarparancie i udał się na wakacje do Szwecji. Para nigdy nie wróciła do Finlandii, co jeszcze bardziej skomplikowało śledztwo. Cała operacja zajęła mniej niż czterdzieści godzin.

Nad lasem sosnowym w okolicach Wiartsili powoli wschodziło słońce, rzucając długie cienie na ośnieżone zbocza wzgórz. Strażnicy z Federalnej Służby Bezpieczeństwa stali na wieży B30, ob-

serwując przez lornetkę szczyty drzew. Słońce wschodziło za wieżą, ozłacając całą okolicę. *Wot* - powiedział jeden z nich.

Między drzewami pojawiła się szczupła sylwetka.

Mężczyzna miał na sobie biały skafander, a na nogach rakiety śnieżne. Strażnicy widzieli jego miarowe ruchy i sunący za nim długi cień. Mężczyzna ciągnął niewielkie sanki, na których pod białą pokrywą znajdował się jakiś podłużny kształt. Marta Jelenowa wróciła do ojczyzny.

PYTIPANNA - OSTATNI POSIŁEK MARTY JELENOWEJ

Pokrojone w kostkę kawałki wołowiny, ziemniaków i cebuli oddzielnie smażymy na złoto na mocno rozgrzanym maśle. Dodajemy inne składniki według uznania, trochę masła, przyprawy i znowu podgrzewamy. Następnie tworzymy na patelni wolne okrągłe miejsce, w które wbijamy jajko i smażymy je, mieszając z innymi składnikami.

16

Nate siedział z Gable'em na tyłach sali restauracji

India Prankkari w Kallio i patrzył przez okno. Lokal był prawie pusty. Gable chciał koniecznie zamówić *rogan dżosz*, aromatyczną, pikantną potrawkę z jagnięciny w cynobrowym kolorze. Jedli ją z miękkim chlebem, ognistym sosem z pomidorami oraz imbirem i popijali obficie piwem. Gable porównywał tę potrawę ze swoim pierwszym nepalskim *rogan dżosz*, który jadł sto lat temu przy ognisku w Az-Zahranie tuż przy pasie startowym z oczekującym pilatusem, którym mieli przemycić do Chin czterech Tybetańczyków.

- Pieprzeni Skandynawowie nie znają się na hinduskim jedzeniu - skarżył się, przeżuując kolejne kęsy. - Jedzą tylko renifery, jagody ze śmietaną i gotowane kartofle. A kiedy kucharz sięga po pietruszkę, to dostają zawału. - Jedzenie, jak zwykle, w zastraszającym tempie znikало w jego ustach. - Czterech kurdupli, Szerpów, twardych jak stal, których ćwiczyliśmy, żeby byli kurierami na arterii Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, która biegła wzdłuż granicy, dosłownie w cieniu Everestu i Kanczen-dzongi. Mówię ci, kurwa, na końcu świata! Polecieli nad górami i mieli wrócić... ale nie wrócili. Pewnie wpadli w ręce Chińczyków.

Milczał przez minutę, a potem dał znać kelnerowi, żeby przyniósł więcej sosu, i zaczęli mówić o tym, jak ugryźć sprawę Divy. Nate nie potrafił jej ruszyć, nie radził sobie z Dominiką. Rosjanka wcale nie miękła, a on tracił cenny czas. Gable przestał żuć i spojrzał na podwładnego, kiedy ten przyznał, że ją polubił.

- Naprawdę chce mi coś powiedzieć, zaangażować się, omawiamy różne rzeczy, ale nic z tego nie wychodzi - przyznał.

- A nie przyszło ci do głowy, że to ona może cię rozpracowywać? - rzucił Gable i wrócił do jedzenia.

- Niemożliwe - mruknął Nate. - Nic na nią nie działa. Nie można powiedzieć, że chodzi jej o karierę albo pieniądze czy coś w

tym rodzaju.

- No dobra, a co byś zrobił, gdyby się dla ciebie rozebrała?

Uznałbyś to za dobrą okazję, żeby ją zwerbować?

Nate spojrział koso na szefa.

- Nie sądzę, żeby coś takiego zrobiła. Ona nie jest taka.

- Chciałbyś. No dobra, ale z tego wynika, że utknęliście w miejscu. Poszukaj więc czegoś nowego. Czegoś, co by ją wybiło z rytmu, nawet nią wstrząsnęło. - Dopił piwo i zawołał o dwa następne.

- Ona nie da się nabrać na ograne numery - mruknął Nate. -

Próbowałem rozmawiać z nią o Rosji, o problemach kraju, ale delikatnie, z wyczuciem. Widzę nawet coś w jej oczach, ale koniec końców nic z tego nie wychodzi.

- Więc spróbuj czegoś innego. Życie w luksusie na Zachodzie. Błyskotki. Gruby portfel.

- Popełniłbym błąd - stwierdził Nate. - To prawdziwa idealistka, nawet nacjonalistka, ale nie w taki głupi sowiecki sposób.

Chodziła do szkoły baletowej, dużo czytała, zna języki.

- Rozmawiacie o Kremlu? O tym, co się tam dzieje?

- Próbowałem - odparł Nate. - Ale ona widzi to inaczej, z perspektywy Rodiny, której jest bardzo oddana.

- A co to takiego?

- Ojczyzna, a w zasadzie cały mit, to wszystko, co jest z nią związane: ziemia, pieśni, walka z Niemcami.

- O tak, te krasnoarmiejki były niezłe - rzucił Gable, patrząc na sufit. - Te ich mundury, buty, wyglądały jak...

- Dobra, czy tak twoim zdaniem ma wyglądać szkolenie operacyjne? A może porozmawiamy o Divie?

- No, musisz znaleźć coś, co by ją zmusiło do działania. -

Rozparł się na krześle i zaczął się na nim huśtać. - I nie lekceważ tego, co do ciebie czuje. Może będzie ci chciała pomóc w karierze, wiesz, taki prezent. Wtedy nie będzie miała poczucia zdrady. A

może potrzebuje dreszczyku emocji. Wiesz, niektórzy w naszej robocie są uzależnieni od adrenaliny.

Tego wieczoru ktoś zadzwonił do jego drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył bladą Dominikę z zapuchniętymi, czerwonymi oczami. Nie płakała, ale wargi jej drżały i położyła dłoń na ustach, jakby chciała stłumić szlochanie. Nate rozejrzał się uważnie po korytarzu i wciągnął ją do mieszkania. Była bezwolna, zupełnie się nie opierała. Wziął jej kurtkę. Miała na sobie top z białego streczu i dzinsy. Posadził ją delikatnie na kanapie, a ona przysiadła na jej brzegu i spojrzała na dłonie. Nate nie wiedział, co się stało i co w ogóle ma robić. Czyżby chcieli ją odesłać do domu? A może ma jakieś inne kłopoty? Pewnie to pierwsze. Wycofanie podoficera SWR przed werbunkiem.

No, uspokój ją, mówił sobie w duchu. Niezależnie od tego, co się stało, jest teraz słaba i cię potrzebuje. Może trochę wina? Whisky? Wódki? Zęby Dominiki zadzwoniły o szkło, kiedy wzięła pierwszy łyk.

- Wiem, że mówisz po rosyjsku - odezwała się nagle w swoim ojczystym języku, sprawiała przy tym wrażenie zupełnie wycieńczonej. Wciąż siedziała z pochyloną głową, a włosy zasłaniały jej twarz. - Jesteś jedyną osobą, z którą mogę szczerze porozmawiać. Z chłopakiem z CIA! Wariactwo, prawda?

Chłopakiem z CIA? - powtórzył w myślach. Co się tu, kurwa, dzieje? Siedział nieruchomo i tylko mrugał oczami. Dominika wypila drugi łyk.

Zacząła mówić wolno i cicho. Opowiedziała o Marcie i jej zniknięciu. Kiedy spytał, dlaczego tak się stało, musiała mu też powiedzieć o Ustinowie. Nate w dalszym ciągu nie rozumiał, więc ciągnęła swoją historię. Te pogłoski o Szkole Państwowej IV, pomyślał. Dobry Boże!

Uniosła głowę, jakby chciała ocenić jego reakcję na wieść, że była w szkole jaskółek. W jego oczach nie dostrzegła litości czy

potępienia. Nate patrzył jej prosto w źrenice tak jak zawsze. Fioletowa aureola wokół jego głowy pulsowała.

Dominika bardzo chciała mu zaufać. Nalał jej kolejny kieliszek.

- Czego potrzebujesz? - spytał po angielsku. - Chcę ci pomóc.

Zignorowała pytanie i przeszła na angielski.

- Wiem, że nie jesteś dyplomatą i nie zajmujesz się gospodarką. Pracujesz w CIA i ty z kolei wiesz, że ja też pracuję w rezydenturze mojego kraju w Helsinkach. A przynajmniej powinien się tego domyślić, kiedy powiedziałam ci, że moim szefem jest Wołontow. Zapewne wiesz również, że Iwan Jegorow, pierwszy zastępca szefa SWR, to mój stryj.

Nate próbował zachować spokój.

- Po akademii pracowałam w Moskwie w wydziale Piątym i brałam udział w operacji przeciwko francuskiemu dyplomacie. Całe przedsięwzięcie zakończyło się niepowodzeniem. Potem wysłano mnie do Helsinek.

Znowu na niego popatrzyła. Miała napuchniętą twarz. Wyraz jej oczu sprawił, że Nate sięgnął po jej rękę, która wydała mu się chłodna.

- Marta była moją przyjaciółką. Przez całe życie służyła ojczyźnie. Dawali jej nagrody, medale, wysłali za granicę... Była silna, niezależna. Niczego nie żałowała i cieszyła się życiem. To ona pokazała mi, kim naprawdę jestem. - Ścisnęła lekko jego dłoń. - Nie wiem, co się z nią stało, ale zniknęła bez śladu. Wiem, że nie żyje. Nigdy nic im nie zrobiła. Wuj boi się ujawnienia informacji o Ustinowie. Wiem, że potrafi się bronić. Ma od tego specjalistę, naprawdę strasznego człowieka...

- Czy coś ci grozi? - spytał Nate.

Jego myśli nie nadążały za tym, co mówiła o dawnych operacjach, zabójstwach na zlecenie, likwidacji przyjaciółki z ambasady, skandalu na samym szczycie SWR. To było tak, jakby dyktowała mu jednocześnie kilkanaście raportów, a on nie wiedział, który jest

ważniejszy. Nie odważył się sięgnąć po notatnik. Musiał po prostu pozwolić jej mówić.

- Byłaś zamieszana w sprawę Ustinowa, więc twój wuj mógł się przestraszyć - dodał.

Dominika pokręciła głową.

- On wie, że nic mu nie mogę zrobić. Moja mama jest jego założnicą, tak jak to było kiedyś. Poza tym to on wysłał mnie na kursy, a potem za granicę. Jestem jego tworem, podobnie jak to monstrum.

- Wysłał mnie tutaj, żebym się z tobą zaprzyjaźniła - ciągnęła Dominika. - Wujek mówi, że jestem jego oficerem operacyjnym, ale uważa mnie za swoją jaskółkę, jakby to były lata sześćdziesiąte. I nie jest zadowolony z postępów. Chcą razem z Wołontowem, żebym zaciągnęła cię do łóżka.

- Chętnie ci w tym pomogę - zaoferował Nate. Dominika spojrzała na niego i pociągnęła nosem.

- Proszę, proszę, możesz sobie żartować. Ale nie będzie ci chyba do śmiechu, jak się dowiesz, że mam się dowiedzieć czegoś o twojej działalności w Moskwie, o krecie, z którym się spotykałeś. Wujek kazał mi cię obserwować i meldować o okresach wzmożonej aktywności operacyjnej, tak jak w ciągu tych dwóch tygodni w zeszłym miesiącu.

Kret, z którym się spotyka! Nate poczuł się jak dziecko, które niemal cudem nie wpadło pod ciężarówkę. Próbował tego nie pokazywać, ale Dominika wyczytała to z jego twarzy.

- Nic nie powiedziałam temu oślizgłemu Wołontowowi - powiedziała. - Marta jeszcze żyła. Znała moją decyzję.

Nate próbował skoncentrować się na jej słowach, wciąż myśląc o niebezpieczeństwie, w jakim znalazł się Marmur. Nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia, a decyzja Dominiki zapewne uratowała mu życie.

- Od momentu spotkania na basenie starałam się rozwinąć tę

znajomość. W pewnym sensie próbowaliśmy robić to samo... Wiem, że szukałeś moich słabości, mojego *ujazwimogo miasta*, prawda? To było na tyle czarujące, że chciałam spędzać z tobą coraz więcej czasu. Pewnie o to chodziło wujkowi. Zaskoczyło mnie jednak, że pozwalałam ci nad sobą pracować, bo tego chciałam... Dopiero niedawno to sobie uświadomiłam. Po prostu lubię z tobą być. Nate siedział bez ruchu, wciąż trzymając ją za rękę. Boże, pracowała nad nim, dokładnie tak, jak przypuszczał Gable. SWR zaczęła nagonkę na Marmura. Na szczęście Dominika trzymała buzię na kłódkę. Wyrazy podziękowania należały się też Marcie, chociaż w tej chwili były już wyraźnie spóźnione. Wiedział, że Dominika jest gotowa do współpracy, co zawsze stanowiło punkt krytyczny każdego werbunku. W jej głosie nie było emocji: wściekłości, strachu czy potrzeby odwetu. Powiedziała mu już tyle, że w zasadzie nie miała do czego wracać. Ale przed nią był jeszcze ten delikatny moment, kiedy mogła zamknąć się w sobie albo też zdecydować na współpracę z CIA.

- Posłuchaj - zaczął - już powiedziałem ci, że chcę pomóc, i pytałem, co mogę zrobić. Teraz musisz mi powiedzieć, co sama chcesz zrobić.

Dominika cofnęła rękę, jej policzki płonęły.

- Niczego nie żałuję.

- Tak, wiem - rzekł uspokajająco Nate. W pokoju panowała całkowita cisza. - Co chcesz zrobić? - powtórzył delikatnie.

Dominika niemal czytała w jego myślach.

- Bardzo sprytnie, panie Nash - mruknęła. - Przyszłam tutaj, żeby się wypłakać i opowiedzieć o swoim zadaniu i o tym, że ci pomogłam.

- Jestem za to bardzo wdzięczny - zapewnił, nie chcąc jednak pokazywać, jak to dla niego ważne.

Dominika i tak widziała wyraz ulgi na jego twarzy.

- Ale nie mówisz, że powinnam się zemścić za Martę, odegrać

na Wołontowie i wszystkich innych, że powinnam spróbować zmienić moją ojczyznę?

- Nie muszę - odparł.

- Tak, oczywiście. Jesteś na to zbyt ostrożny. - Nate popatrzył na nią w milczeniu. - Pytasz mnie tylko, co sama chciałabym zrobić.

- Właśnie.

- Więc może powiedz, co ty chciałbyś, żebym zrobiła.

- Moim zdaniem powinniśmy zacząć współpracę - odparł z bijącym sercem.

- Żeby się zemścić? Za Martę, za ojczyznę...

- Nie, nic z tych rzeczy - przerwał, przypomniawszy sobie słowa Gable'a. Dominika spojrzała na Nate'a; jego fioletowa aureola promieniała niczym słońce. - Bo tego potrzebujesz, Dominiko. Bo masz taki temperament. A poza tym będzie to coś twojego, coś, o czym przynajmniej raz sama zadecydujesz.

Patrzyła na niego, wprost w jego szeroko otwarte oczy.

- To bardzo interesujące - powiedziała.

„Najlepszy werbunek to taki, który następuje samoczynnie - przekonywali Nate'a instruktorzy z Farmy. - Pamiętajcie, żadnych niespodzianek, wszystko powinno się dziać samo”. Cóż, miał do czynienia z czymś zupełnie innym, trudno tu było mówić o normalnym rozwoju sytuacji. Czuł się tak, jakby pokonał właśnie w wannie niezwykle niebezpieczne wodospady.

Minęła godzina, a Dominika nie powiedziała: „Tak, zrobię to”.

Żaden agent nie kończy decyzji podpisem i uściskiem dłoni. Jednak Nate sprawił, że zaczęła o tym rozmawiać. Zapewnił też, że niezależnie od decyzji zadba o jej bezpieczeństwo, co stanowiło standardową procedurę przy werbunku. Wszyscy tego chcą, ale wiadomo, że na dłuższą metę w kraju takim jak Rosja nie można zagwarantować agentowi bezpieczeństwa. Dominika zareagowała jednak na to jałowe zapewnienie..

- Oboje wiemy, jakie jest ryzyko - zauważyła łobuzersko.

Mówi „my”, pomyślał Nate.

- I zaczniemy wolno, ostrożnie... Jeśli w ogóle.

- Właśnie - rzuciła. - Jeśli tak zdecydujemy.

- Utrzymamy takie tempo, jakiego będziesz sobie życzyć -
zapewnił.

- Twoja strona może spokojnie przemyśleć to, co mnie motywuje. A jeśli współpraca nie będzie nam się układać, wtedy to powiem i ją zakończymy. - Wyglądało na to, że język SWR był w tych kwestiach bardzo podobny.

Pierwszy etap werbunku był zakończony. Robiło się późno.

Dominika wstała i sięgnęła po kurtkę. Nate pomógł jej się ubrać, obserwując jej oczy, kąciki ust, ramiona. Co będzie dalej? Stali, patrząc na siebie, aż w końcu podała mu rękę.

- *Spokojnej nocy* - powiedział na pożegnanie i ścisnął mocno jej dłoń.

Dominika obróciła się szybko i bezgłośnie zeszła na dół.

Po jej wyjściu natychmiast siadł do robienia notatek, starając się przypomnieć sobie wszystko, co mu powiedziała. Walczył z idiotyczną pokusą, żeby iść do ambasady, obudzić wszystkich i zacząć pisać depeche do centrali: Werbunek. Podoficer SWR, jaskółka, jej wuj jest szefem tego burdelu, to on odpowiada za te wszystkie akcje, zabójstwa. Na miłość boską, zupełnie jak w filmie szpiegowskim! Nie mógł się doczekać, aż w końcu znajdzie się w rezydenturze.

Radosne podniecenie szybko minęło. Przewracał się w łóżku w skotłowanej pościeli. Miraże, które sobie tworzył, powoli zaczęły się rozwiewać. Musiał zabezpieczyć ten werbunek, upewnić się, że Dominika się nie wycofa, tak jak wielu agentów przed nią. Kiedy weźmie ją w jarzmo, wtedy będzie miał na karku centralę. Jakie są jej motywacje? Ile chce? Jakie ma dojścia? Co to znaczy, że nie podpisała umowy o zachowaniu tajemnicy? Dlaczego jej decyzja

była tak nagła? Może to prowokacja?

No i służby odpowiedzialne za przygotowanie informacji. Na pewno będą się domagały jak najszybszych wyników. Zażądają najciekawszych rzeczy, do jakich uda jej się dotrzeć, co z pewnością będzie niebezpieczne. Mali biurokraci z małymi oczkami w tych swoich małych biurach zechcą sprawdzić, czy działa w dobrej wierze. Zaczną ją testować, sprawdzać jej informacje, badać wariografem. Jeśli będą za bardzo naciskać albo zrobią to nie tak jak trzeba, stracą ważne źródło informacji. Nate doskonale to wiedział. A jeśli straci ją po tym, jak zgłosi werbunek, może się spodziewać wiadomej reakcji z centrali. Wszystko od początku było tu nieprawdziwe.

Ale na tym nie koniec. Jeśli SWR przyłapie Dominikę na zdradzie, z pewnością ją zlikwiduje. Nieważne, jak to się stanie. Wystarczy kret w centrali, źle przygotowane spotkanie, dobra obserwacja wroga albo po prostu pech, kiedy ktoś zapali światło, gdy będzie stała z kamerą przy dokumentach z otwartego sejfu. Nate znowu przewrócił się w łóżku.

Oczywiście potem nastąpi przesłuchanie i proces, ale kto będzie się przejmował faktami. Nawet wujek Wania jej nie uratuje. Poprowadzą ją bosą w więziennym ubraniu do piwnicy na Łubiance, w Lefortowie albo Butyrkach. Przeprowadzą korytarzem z poobijanymi stalowymi drzwiami i wepchną do celi z pochyłą podłogą, odpływem ściekowym, hakami w suficie i trumną z woskowanego kartonu w kącie. Zabiją ją bez ostrzeżenia, strzałem za prawe ucho, zanim jeszcze na dobre wejdzie do tej celi, a potem będą patrzeć, jak leży twarzą w dół. W końcu wezmą za ręce i nogi i umieszczą w trumnie.

To takie proste. I tak ostateczne.

ROGAN DŹOSZ

Grubo pokrojoną cebulę, imbir, chili, kardamon, goździki, koblendrę, paprykę, kmin rzymski i sól ucieramy w moździerzu, tak by

powstała gładka pasta. Dodajemy liści bobkowych i cynamonu, a potem stopionego klarowanego masła. Podgrzewamy, aż całość stanie się wonna. Dodajemy kawałki jagnięciny wymieszane z jogurtem, ciepłą wodą i pieprzem. Pieczemy dwie godziny w średnio nagrzanym piekarniku. Posypujemy kolendrą.

Werbunku Dominiki w żadnym wypadku nie można było uznać za normalny. Ukończyła Akademię Wywiadu Zagranicznego, ale teraz musiała nauczyć się być szpiegiem. Trudno to uznać za naturalną transformację. „Staraj się zacieśnić z nią więzi” - doradzał Nate’owi Forsyth.

Aby pokazać zaangażowanie w sprawę, rezydentura zaczęła dyskretnie wypytywać o Martę. Gable zaaranżował nawet spotkanie z oficerem łącznikowym z Supo, ale Finowie nie znaleźli nawet śladu Rosjanki. Film z przejścia granicznego w Haaparancie nie potwierdzał żadnej teorii. Dominika, już bez śladu łez w oczach, podziękowała Nate’owi za wysiłek.

Cały czas utrzymywali ściśle tajny charakter tej operacji. Dopuszczeni do niej oficerowie musieli się rejestrować, choć nie mogli nic zrobić z centralą. Sprawa już była zastrzeżona, co, jak mówił Gable, było zupełną bzdurą, bo jedynie około setki ludzi czytało depesze. Rezydentura wciąż walczyła o ograniczenie do nich dostępu. Forsyth i Gable wiedzieli z doświadczenia, że im delikatniej zabiorą się do całej sprawy, tym dłużej będą mogli liczyć na informacje z danego źródła. Nate czuł, że narasta w nim determinacja, by za wszelką cenę chronić Dominikę. Nie mógł, naprawdę nie mógł jej zawieść.

Udało mu się znaleźć mieszkanie z dwiema sypialniami w Munkkiniemi przy Ramsay Strand, niedaleko wlotu do mariny. I znowu pojawił się agent bez immunitetu o szczurzej twarzy, legitymujący się duńskimi papierami. Wynajął mieszkanie na rok „w celach biznesowych”, co znaczyło, że mógł się w nim pojawiać w dowolnych terminach. Ale zadowolonemu właścicielowi i tak było wszystko jedno.

Padał wiosenny deszcz, światła samochodów odbijały się od mokrego chodnika. Dominika wysiadła z zielono-żółtego tramwaju numer 4 w Tiilimaki. Nate ujrzał jej plecy w świetle reflektorów.

Zrównał się z nią po przejściu dwóch przecznic i wziął ją pod ramię. Nawet się nie przywitała, postępowała według instrukcji operacyjnych SWR, wyprostowana, nerwowa. Było to jej pierwsze spotkanie w mieszkaniu konspiracyjnym w roli agentki i Dominika zmagiała się nie tyle ze strachem, co ze wstydem. Szli w milczeniu wąską alejką za blokiem, we wszystkich oknach widać było srebrną poświatę z telewizorów. Przeszli szybko przez główne drzwi - zapach gotowanego renifera i sosu śmietanowego - ruszyli cicho po schodach na drugie piętro.

Pierwszy wieczór reszty ich życia. W środku paliło się kilka świec, Gable, który na nich czekał, napał na Dominikę i wziął od niej płaszcz. Dominika nie mogła się powstrzymać, by uważnie nie przyjrzeć się jego skręconym włosom. Spodobał jej się jego wygląd, oczy i fiolet, który go otaczał. Jeszcze jeden godny zaufania, pomyślała. Z kuchni wyszedł Forsyth z okularami zsuniętymi na czoło. Siłował się właśnie z korkociągiem. Elegancki, mądry, spokojny, powietrze wokół niego barwiło się lazuru. Jest wrażliwy, pomyślała Dominika. Usiadła na kanapie i spojrzała na mężczyzn. Poruszali się naturalnie, byli bezpretensjonalni, a jednak wiedziała, że ją obserwują i starają się ocenić.

Dominika pojęła, że traktują wszystko niezwykle poważnie.

Wcześniej знаła tylko Nate'a, młodego oficera CIA; teraz zauważyła, że jego szefowie są spokojni i skupieni. Wprost czuło się w nich powagę lat, tak jak u generała Korcznoja. Następnie Gable podniósł kieliszek i rzucił: *Na zdrowje* ze straszonym akcentem, a Dominika stłumiła uśmiech. Chciała pozostać poważna, dopasować się do ogólnego nastroju.

Byli na tyle profesjonalni, że nie zaczęli rozmowy o interesach i pozwolili, by to Nate się przede wszystkim udzielał, co stanowiło kolejny przejaw ich zawodowstwa. Słuchali jednak uważnie i wszystko rozumieli. Ze spotkania Dominika wyszła pierwsza, co, jak zauważyła, było dla nich procedurą standardową. Szła wy-

brzeżem. Mimo wiosny nie wszystkie jachty stały już na wodzie. Nie czuła wstydu - to też świadczyło o ich profesjonalizmie. Przy drugim spotkaniu miała czas, żeby się rozejrzeć. W niewielkiej kuchni znajdowała się kuchenka z dwoma palnikami, co wystarczało, by zagotować wodę, a w lodówce plastikowe tacki do lodu. Jak we wszystkich lokalach konspiracyjnych krzesła, stoły i kanapy były kiepskiej jakości i utrzymane w krzykliwych kolorach spatynowanego złota i awokado, które, jak zapewniał Gable, wciąż cieszyły się olbrzymią popularnością w Skandynawii. Tanie reprodukcje przedstawiały wzburzone morze i łosia w świetle księżycy, na podłodze leżały lapońskie dywaniki. W pierwszej sypialni stało dwuosobowe łóżko wciśnięte między dwie ściany tak, że ich dotykało i trzeba było się na nie wdrapywać przez deskę na końcu. Druga sypialnia była pusta, jeśli nie liczyć żyrandola z jaskrawoczerwonego szkła. W łazience wanna i bidet, który Gable pomylił raz z sedesem. Dominika miała łzy w oczach, kiedy się o tym dowiedziała, i od tej pory zaczęła mówić do niego *bratok*.

Prowadzenie wyszkolonego oficera jest trudniejsze niż opieka nad nadmiernie potliwym bankierem, który ma King Konga za żonę, dwuletnie bmw i Godzillę w charakterze kochanki, więc wciąż potrzebuje pieniędzy. Dominika była wyszkolonym podoficerem wywiadu i miała własne zdanie na kwestie procedur („Naprawdę uważasz, że to dobre miejsce?”) czy zabezpieczeń („Nie, Domi, dywan na poręczu, kiedy wszystko jest w porządku. Nie uczyli cię o pozytywnych sygnałach?”). Nate sam nie wiedział, ile razy musiał powtarzać: „Zróbmy to po mojemu”, a potem zżymać się, kiedy złośliwie odpowiadała: „Chciałam ci przypomnieć, że chodzi o m o j ą głowę”.

Ludzie z CIA natychmiast zauważyli, że Dominika ma niezwykłą intuicję. Kończyła za nich zdania, kiwała szybko głową, gdy coś dyskretnie proponowali, i doskonale wiedziała, kiedy powinna skupić się na ich słowach. Inteligentna kobieta, doskonale

wyćwiczona, myślał Forsyth, ale czegoś mu brakowało w tym opisie. Nie było to może j a s n o w i d z e n i e , ale niewątpliwie coś zbliżonego.

Dominika po części mogła obserwować to wszystko z pewnego dystansu. Widziała, że ją szanują, doceniają jej wykształcenie, ale też nie biorą niczego za pewnik. Odczytywała zabiegi mające sprawdzić, na ile jest zdecydowana na współpracę. Czasami zgadzali się na jej rozwiązania, czasami nalegali, by zrobić coś inaczej. Miała wrażenie, że starają się przewidzieć wszystkie możliwości. Te cotygodniowe spotkania i wspólna praca w coraz większym stopniu zaczynały określać jej tożsamość. Zapomniała już o mękach związanych z koniecznością podjęcia decyzji, współpraca z CIA stała się źródłem prawdziwej radości. Nosła to w sobie, upajając się wszystkim, co się dzieje. Szczególnych przyjemności dostarczały jej rozmowy z Wołontowem. Czy zgadnie, co robię? - myślała, kiedy spocony rezydent prawił jej kolejne kazania. Nate miał rację. Powinna była to zrobić przede wszystkim dla siebie. Żeby móc się lepiej poczuć.

Forsyth zaczął przychodzić na spotkania, kiedy mieli omawiać, co Dominika może wykraść z rezydentury. Zaczęli budować piramidę, poczynając od tych papierów, do których miała bezpośredni dostęp, poprzez te, które mogłaby wykraść, narażając się na pewne ryzyko, a kończąc na mało dostępnych skarbach. Mówili jej, żeby się nie spieszyła. Wyszkoleni szpiegzy zwykle chcieli za dużo i zaczynali od zbyt trudnych zadań. Dominika spytała, czy dadzą jej aparat i sprzęt łącznościowy. Chciała im pokazać, ile wie na temat CIA, ale im od razu zapaliły się w głowach czerwone lampki. Natychmiast zauważyła zmianę barw ich aury i zrozumiała, że popełniła błąd. Porozmawiamy o tym nieco później, zaproponował Forsyth i napisał depeszę do centrali z prośbą o badanie wariografem. Uznał, że najwyższy czas mieć już to za sobą. Wariograf. Odgłosy rozmowy. Nate siedział w mniejszej sy-

pialni, wsłuchując się w przytłumione głosy w salonie, jeden był niski, a drugi melodyjny. Dziewczyna siedziała na szarym tapicerskim krześle i odpowiadała tak lub nie na pytania człowieka, który obsługiwał urządzenie. Gable znał z innych sesji tego analityka z grubymi palcami i wąsem i nie darzył go sympatią. „Facet sięgnął dna dwadzieścia lat temu, a potem zaczął szukać haków na innych”, wyjaśnił. Dominika wiedziała, że to badanie jest ważne, dlatego starała się nie zgadywać, z kim ma do czynienia, i nie wdawać się z nim w żadne gierki. Skupiała się na pytaniach, które przepływały, zabarwione, tuż koło jej uszu.

Nate męczył się przez godzinę, a potem, usłyszawszy, że kończą, przeszedł do salonu. Dominika skinęła lekko głową, ale Wielkopalcy nawet nie mrugnął okiem. Ci faceci nigdy nic nie mówią, trzymają wszystko dla siebie, bo muszą „sprawdzić wykresy”. Kiedy Forsyth zawiózł go do rezydentury, powiedział, że jest mu, kurwa, wszystko jedno i musi mieć wstępną ocenę, bo zbyt wiele od niej zależy. Analityk pocudował trochę, ale zgodził się, że wygląda na to, iż Dominika mówi prawdę i rzeczywiście jest kapralem SWR, który zdecydował się na współpracę, a nie podwójnym szpiegiem, który miałby infiltrować CIA i przekazywać ważne informacje swoim szefom.

Analityk zdradził też Forsythowi w zaufaniu, że na wykresach widać niewielką zmianę za każdym razem, kiedy w rozmowie pojawia się jej oficer prowadzący, Nathaniel Nash. Jego zdaniem należałoby przeprowadzić kolejną serię badań, by ustalić, czy nie są to klasyczne działania na zmylenie wariografu, jakie opracowano w Czechach lub na Kubie - brakowało tu opanowanego oddechu, zaciśniętych pięści czy odbytu. Kiedy Forsyth powiedział o tym Gable'owi, ten rzucił tylko: „skurcze orgazmiczne” i wyszedł z pokoju.

Mieli więc decyzję o „braku dezinformacji” i mogli kontynuować operację. Musieli zatem omówić kwestie jej bezpieczeń-

stwa, przykrywki, zachowania i ruchów.

- Musisz zachowywać się zupełnie normalnie - mówił lazury Forsyth. - Przekazywać informacje o kontaktach z Nathaniem do rezydentury, tak by pokazywały stopniowy postęp. Raz na miesiąc to za rzadko. Lepiej będzie co dwa tygodnie lub co tydzień. Dzięki temu zyskasz swobodę ruchów.

- Sama o tym wiem - odparła Dominika. - Opracowałam już treść kolejnych raportów aż do zimy.

- Tak, musisz je pisać sama - ciągnął Forsyth. - Możemy ci pomóc, ale powinny w nich być twoje własne słowa.

Dominika skinęła głową. No tak, przecież wie, na czym polega gra, pomyślał Forsyth. Nie trzeba jej niczego uczyć.

- Przedstawię Niejta jako kogoś próżnego, ale ostrożnego. Człowieka, którym łatwo manipulować, ale też trzeba przy tym uważać. - Obróciła się w stronę Nate'a i uniosła brew.

- Trudno uwierzyć, że będziesz potrzebowała aż tyle czasu, żeby to wszystko ustalić - rzucił Gable, siadając obok podwładnego, który pokazał mu środkowy palec.

- Nie wiem, jak długo będziemy mogli to ciągnąć. Ludzie z centrali prędzej czy później stracą cierpliwość - zauważył Forsyth. Już myślał o dniu, kiedy Dominika będzie musiała wyjechać do Moskwy. Czy będzie gotowa do działań wewnętrznych? Czy zdołają ją przygotować? Może zabraknąć im czasu.

- Jest coś, co może tutaj pomóc. A jednocześnie da mi więcej swobody - rzuciła Dominika. - Właśnie tego oczekuje wujek Wania.

- Co takiego? - zaciekał się Forsyth.

- Muszę napisać, że zostaliśmy kochankami. Właśnie o to chodzi ludziom z Jasieniewa. To ich zadowoli. Pamiętajcie o Szkole Państwowej IV.

Gable dźwignął się z kanapy, a na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia.

- Kochankami? Z Nashem? Nie, to zbyt wielkie poświęcenie. Wietrzna niedziela. Skify i inne małe łodzie obijały się o pływające doki w zatoce. Po dotarciu do mieszkania konspiracyjnego Dominika mówiła trochę o Marcie, ale potem urwała i przekazała Nate'owi najważniejszą wiadomość. Do tego pierwotniaka Wołontowa dotarło w końcu, że nie ma asystentki, i dlatego zaproponował Dominice, by zajęła się niektórymi sprawami administracyjnymi. Najpierw chciała odmówić, żeby zdyskredytować go w oczach centrali, ale pomyślała o swoich nowych współpracownikach, Nacie, Forsycie i bratoku, i w końcu zgodziła się pomóc. Teraz skrywała już bardzo głęboko swój sekret, a jednocześnie uczyła się szukać okazji do zaspokojenia swojego rosnącego apetytu.

Na początek powierzyli jej obsługę kart pracy personelu rezydentury i wpisywanie kolejnych operacji. To drugie wiązało się z dodatkową korzyścią - ciekawe, czy Niejt zgadnie z jaką? Każdy wydatek musiał być przypisany do odpowiedniego raportu albo depeszy, w której znajdował się opis operacji.

- Powinien to zrobić sam Wołontow albo też któryś z jego oficerów, ale rzucili to tylko na moje biurko - dodała Dominika. - Jedynie rezydent może czytać depesze operacyjne, bardzo ściśle regulują to przepisy na temat rozdzielania, podziału kompetencji. - Jej błękitne oczy zaśniły wewnętrznym płomieniem. - Tyle że ktoś musi jeszcze zająć się rozliczeniem wszystkich wydatków, więc Wołontow dał mi dostęp do informacji operacyjnych. I to wszystkich.

Wiadomości zaczęły napływać powoli i ludzie z CIA uważnie je analizowali. Najpierw Forsyth, a potem stawonogi z Langley. Szukali czegoś, co zabrzmiałoby fałszywie lub zbyt cwaniacko. Dominika doskonale pamiętała wszystkie historie, dzięki jednej przypominała sobie kolejną i tak dalej. Zaczęła też robić tajne zapiski, które sprawdzili, i okazało się, że są w porządku.

Zapamiętała niemal cały miesięczny raport z wydziału wsparcia nielegalów, ujawniając przy okazji trzech nielegalów z rezerwy specjalnej, którzy od wielu lat tkwili tu przyczajeni jako Finowie. Po zniknięciu Marty to właśnie jeden z nich wystąpił w Haaparancie jako zasłona dymna. Pozostałych dwóch mieszkało w pobliskim Espoo, ale CIA zdecydowała się dać im spokój, żeby chronić Dominikę.

W czasie następnego spotkania wystraszyła ich, gdy pokazała o r y g i n a l n y dokument, który wzięła z biurka Wołontowa. Wsadziła go ukradkiem do kieszeni, zamiast zniszczyć z innymi papierami. Miał on klauzulę *sowierszenno siekrietno* z zarządu politycznego i dotyczył parlamentów Estonii i Łotwy. Oba te kraje były obecnie sojusznikami NATO, więc Nate przedstawił ten dokument Radzie Bezpieczeństwa Narodowego i prezydentowi, a Gable zrugął Dominikę i przestrzegł, żeby nigdy więcej czegoś takiego nie robiła.

Centrala zgodziła się z Gable'em. Zdecydowano, że Dominika musi skończyć z wykradaniem dokumentów, i dlatego dostała szpiegowski miniaparat. Nate uważał to za zbyt ryzykowne, ale Forsyth stwierdził, że dziewczyna sobie poradzi i powinna zacząć się przyzwyczajać do tego rodzaju działań.

- Wydaje mi się, że nie jest jeszcze na to gotowa - oponował Nate.

Sprzęt szpiegowski trzykrotnie zwiększał ryzyko operacyjne, a on nie chciał jej jeszcze bardziej narażać.

- Więc ją przygotuj - warknął Gable. - Jeśli jutro odwołają ją do Moskwy, to będzie koniec.

- A skoro o tym mowa, czas na ćwiczenia operacyjne na terenie Moskwy - zwrócił się Forsyth do Nate'a. - Twoja specjalność.

Rozpoczęły się ćwiczenia w rejonie pod ścisłą inwigilacją.

Spadziste dachy i mosiężne kopuły Helsinek lśniły w letnim słońcu, a cienie poranka zastąpił wieczny półmrok, wielu bezbarwnych

Finów jeździło w dół i w górę schodami metra. Dominika w szalik, Dominika w berecie, Dominika w płaszczu, licząca kroki, idąca wraz z tłumem do wyjścia. Przeszła przez bramkę i skręcając w korytarz, wyczuła Nate'a, czuła jego zapach w zabarwionym purpurowo powietrzu. Otarł się o nią rękawem swetra, gdy trzymała dwoma palcami tuż przy talii paczkę papierosów. Paczka znalazła się nagle w jego dłoni i już go nie było - doskonale błyskawiczne przekazanie materiałów.

Padał świeży i lekki letni deszcz, samochody jechały wolno, światła odbijały się od mokrych powierzchni chodnika. Spojrzała na zegarek w świetle witryny. Nic jej nie niepokoiło, czuła się świetnie i wiedziała, że dotrze w umówione miejsce na czas. Kiedy Nate powiedział jej, co mają zrobić, wybuchnęła śmiechem.

- My nie robimy podobnych komedii.

- To dlatego, że SWR działa w krajach demokratycznych - odpowiedział.

Dominika przyjęła to z rozdrażnieniem, ale słuchała uważnie.

Szła tuż przy granitowej ścianie, a samochody mijały ją z szumem. Na rogu skręciła i stanęła przy rusztowaniu przed zadaszonym przejściem dla pieszych. Samochód Nate'a wyjechał zza rogu dokładnie trzydzieści osiem minut po pełnej godzinie - zdarzenie przypadkowe i szybkie. Okno po stronie pasażera było otwarte, Dominika zrobiła krok w stronę jezdnii, wyciągnęła rękę z plastikową torbą, wrzuciła materiały do środka i wzięła z dłoni Nate'a kasety na wymianę, a następnie cofnęła się pod rusztowanie. Nie spojrzał na nią, ale widziała, jak zaciąga hamulec ręczny, żeby nie widać było świateł stopu. Wymiana materiałów w ruchu. Taka komedia, pomyślała.

Powoli wszystko im się dobrze układało i, co było do przewidzenia, wokół zaczęły krążyć sępy z centrali. Dominika stanowiła doskonałe źródło informacji na temat SWR, z ustaloną pozycją w rezydenturze, i dlatego zależało im na „zbadaniu innych możli-

wości”. Forsyth przez jakiś czas mógł się im przeciwstawiać, ale potem dostał rozkaz i nie miał już wyboru. Gable chciał wsiąść do samolotu i zająć się sprawą, ale szef powiedział mu, żeby się nie wygłupiał.

Zacząło się prawdziwe szaleństwo. Inżynierowie z dyrektoriatu nauki i techniki chcieli, żeby Diva skopiowała wszystkie dane z dysku w rezydenturze, zaatakowała ich systemy szyfrujące, zainstalowała w budynku pluskwy i aparaturę wideo. Niektórzy z humorem przyznawali, że ich urządzenia „mogą, powtarzamy, mogą spowodować przerwy w dostawie prądu w południowych Helsinkach”. Jeszcze inni chcieli, żeby Diva zainstalowała „radioaktywny materiał” na dachu rosyjskiej ambasady. Następnie centrala uznała, że „reguła sześciu”, która rządzi rozwojem nowych technologii, spowoduje jednak opóźnienia w dostawach sprzętu - badania i rozwój zajmą sześć dodatkowych lat, będą kosztowały sześć dodatkowych milionów dolarów i w oparciu o testy ustalono też, że będą ważyły aż sześćset funtów. Prawdziwe szaleństwo.

Tym tajnym przygotowaniom towarzyszyły też niespieszne „oficjalne” kontakty Dominiki z Nate’em, tak by zadowolić centralę w Moskwie i Wołontowa. Kolacje, wycieczki za miasto, koncerty. Aby uwierzytelnić działania Dominiki, Nate podał jej trochę informacji na swój temat, coś, co i tak można było łatwo uzyskać. Ale zgodnie z przewidywaniami Forsytha Wołontow chciał mieć więcej i szybciej, więc przy pełnej entuzjazmu pomocy Gable’a Dominika napisała tę długo wyczekiwaną depeszę na temat pierwszego kontaktu fizycznego z Nathanielem Nashem. Gable sugerował wzmiankę na temat „dysfunkcji erekcji” u wyżej wspomnianego, co dałoby im jeszcze więcej czasu, ale czerwony na twarzy Forsyth stanowczo tego zakazał. A Nate znowu pokazał Gable’owi sztywno wyprostowany palec.

Dominika zaczęła robić zdjęcia tajnych dokumentów rezydentury, wykorzystując różnego rodzaju aparaty, które ukrywano w jej

torebce, breloczku do kluczy, szmince. Zaczęła też wybierać tylko te najważniejsze i doskonale wiedziała, kiedy powinna zaczekać. Gable bardzo ją chwalił, ale Nate chodził ponury i bał się, że dziewczyna podejmuje zbyt wysokie ryzyko.

Kiedy spotkali się którejś niedzieli w mieszkaniu konspiracyjnym, Dominika poczuła, że już się dosyć nasłuchiwała.

- Przejmujesz się mną czy też całą tą sprawą i swoją reputacją?
- spytała.

Wszyscy zamilkli. Gable lekko chrząknął. Zawstydzony i zły Nate obrócił się w jej stronę.

- Chcę dalszego napływu informacji. - Twarz Dominiki stę-
żała. - Moim zdaniem powinnaś być bardziej ostrożna.

- Jeśli tak, to z pewnością spodoba ci się następna runda -
mruknął Gable.

Depesza z centrali zajmowała pięć stron. Chcieli, żeby Dominika podłączyła specjalnie przygotowanego pendrive'a do komputera w rezydenturze, najlepiej do tego w ewidencji, ale mógł to też być komputer Wołontowa. Wystarczy czternaście sekund ściągania, a ludzie z Langley zyskają dostęp do wszystkich szyfrowanych „punkt- punkt” depesz SWR z Jasieniewa do Helsinek, nadawanych zwykłymi sieciami telekomunikacyjnymi. Takie czytanie informacji *en claire* było znacznie prostsze niż łamanie szyfrowych algorytmów. Jednak samo zadanie było bardzo ryzykowne. Forsyth zobaczył minę Nate'a i powiedział, żeby nie szedł na spotkanie z Dominiką. Gable powie jej, co ma robić.

Dwa dni później Dominika wepchnęła do pokoju z ewidencją rozklekotany wózek z aktami i dokumentami do zniszczenia. Na szczęście mogła się o niego oprzeć, gdyż ugiwały się pod nią nogi. Strażnik spojrział na nią wyczekująco. Był to mężczyzna w średnim wieku, noszący olbrzymie okulary i wełniany krawat, który sięgał mu tylko do połowy brzucha. Zawsze z przyjemnością czekał na moment, kiedy Jegorowa wieczorem przywoziła dokumenty, a

zwłaszcza na chwilę, gdy musiała sięgnąć wyżej do sejfu. Wbił w nią swoje oczy chrząszcza, kiedy z wysiłkiem przepychała wózek przez próg.

Przećwiczyła już tę pantomimę z Gable'em, który powtarzał: „Nie zatrzymuj się, rób to płynnie”. Uderzyła wózką o róg biurka, papiery posypały się na podłogę, strażnik wstał, a ona padła na kolana tuż obok portu komputera z mrugającym zielono światłem, sprawdziła jeszcze, czy właściwie wkłada pendrive'a, a potem zaczęła liczyć raz, dwa, trzy... i jednocześnie zbierać papiery, podnosząc teczkę jedna po drugiej, dziewięć, dziesięć... i układając je na wózku; strażnik stał już obok, a ona pokazała mu dokumenty, które leżały dalej w kącie, dwanaście, trzynaście, czternaście, szybko wyjęła miniaturowe urządzenie i zaczęła się podnosić, przyglądając włosy, czując, że kawałek plastiku w kieszeni spódnicy ciąży jej niczym młyński kamień. Następnie ułożyła akta na swoim miejscu i pozwoliła mężczyźnie patrzeć, jak staje na palcach, podnosząc dla większego efektu jedną nogę. Zostały jeszcze dwie godziny do końca pracy, a ona miała wrażenie, że wszyscy ją obserwują, że wszyscy wiedzą. Potem musiała zejść na dół, gdzie w kolejce ustawili się zniecierpliwieni, gderający pracownicy ambasady. Przed nimi znajdowały się drzwi i wcześniej stół, za którym siedziało dwóch marynarzy z Wołgi, z brązowymi chmurami wokół głów, pracujących tu jako ochroniarze. Mieli sprawdzać torby i kieszenie. Mój Boże, pomyślała Dominika, wystarczy, że wybiorą mnie do sprawdzenia. Poczowała strumyk potu na plecach. Utknęła w kolejce. Nie mogła się wycofać, gdyż ochroniarze zwracali na to uwagę, a ona miała ze sobą płaszcz. Wystawiła go teraz do przodu i wsunęła pendrive'a pod pasek spódnicy i dalej aż w majtki. Ochroniarz cuchnął wódką i wiedział - musiał wiedzieć - że coś ukrywa w bieliźnie, ale sprawdził tylko jej torebkę i machnął ręką, żeby szła dalej. Opowiedziała im o tym tego samego wieczoru, wciąż czując w

żołądka ciepło od przyływu adrenaliny. Nate stał z boku w drzwiach do niewielkiej kuchni, a Forsyth zsunął okulary na czoło i słuchał jej uważnie. Gable otworzył butelkę piwa i wypił ją niemal jednym haustem.

- Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego mówią na pendrive'a „palec” - mruknął, przeszedł obok Nate'a i zabrał się do przygotowania fondue.

Dominika nie wiedziała, co to takiego, jak to się je, a potem, kiedy garnek stanął na stole, pociągnęła nosem i wyczuła ostro pachnący ser i wino. Maczała w tym chleb, jadła, mówiła i trochę się śmiała.

Forsyth i Gable wyszli po kolacji. Nate nalał dwa kieliszki wina i zaniósł je do salonu.

- To było zbyt ryzykowne - powiedział. - Nie powinienem był na to pozwolić.

- Wszystko poszło dobrze. - Spojrzała na niego. - Wiemy przecież, że ryzykujemy...

- Tak, niektórych rzeczy nie można uniknąć. Ale to po prostu było głupie.

- Głupie? Nie przejmuj się, Niejt. Nie stracisz swojej najlepszej agentki.

Te słowa wprawiły ją w drżenie. Nate już cały się gotował.

- Powinnaś nauczyć się zadowalać czymś innym niż adrenalina - warknął.

- Na przykład winem? - spytała i rzuciła kieliszkiem o ścianę. - Nie, dziękuję. Wolę adrenalinę.

Nate natarł na nią i chwycił za nadgarstki.

- Co się z tobą dzieje? - syknął.

Stali twarzą w twarz, zaledwie parę centymetrów od siebie.

- Raczej, co dzieje się z tobą - szepnęła.

Kontury mebli zaczęły jej się rozmazywać przed oczami, widziała tylko fioletowy obłok, który otaczał Nate'a. Spojrzała pro-

wokacyjnie na jego usta, świadoma, że chce tego, by znalazł się jeszcze bliżej. Jeszcze chwila i nastrój prysł.

- Puść mnie, proszę - rzuciła, a on natychmiast posłuchał.

Wzięła płaszcz i nie oglądając się, ruszyła do drzwi. Otworzyła je i odruchowo sprawdziła schody i klatkę. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Nate patrzył na ich gładką powierzchnię, czując, że ma sucho w ustach, a serce bije mu bardzo mocno. Przecież chodziło mu tylko o to, żeby wszystko szło gładko... Pragnął, by Dominika była bezpieczna. Pragnął...

FONDUE CABLE'A

Białe wino z dodatkiem wyciśniętego czosnku podgrzewamy, aby odparowało. Dodajemy starte sery, gruyère oraz emmentaler, i nadal podgrzewamy na średnim ogniu, żeby się stopiły, często mieszamy. Do płynnej masy dodajemy wina do smaku i ponownie podgrzewamy, ale bez gotowania, aż fondue stanie się gęste i kremowe. Podajemy z lekko opieczonym, pokrojonym w kostkę wiejskim chlebem.

18

Zrobiła się pogoda na krótkie rękawki i Finowie, oczekujący na chodniku na zmianę świateł, niczym słoneczniki obracali twarze w kierunku słońca i zamykali oczy. Na trawnikach i ławkach Kaivopuisto w czasie przerwy na lunch aż roiło się od sekretarek, które opalały się w stanikach, unosząc brody i chłonąc promienie.

Nate zastał informację przyklejoną taśmą do drzwi swojego pokoju. Poszedł więc do biura Forsytha i usiadł. Gable już tam był i podał mu krótką depezę z centrali na temat nowego dyrektora CIA, który miał przyjechać incognito na sześć godzin z Kopenhagi do Helsinek, by spotkać się z Divą i podziękować jej za dotychczasowe usługi. Nate spojrział na Forsytha, a potem na Gable'a.

- Jak on w ogóle może podróżować incognito? - mruknął Nate.

- Przecież ciągle o nim trąbią w wiadomościach.

- Przyjechał do Kopenhagi na konferencję NATO - dodał

Forsyth. - Sam nie wiem, jak się chce stamtąd wymknąć. Tak robił to Allen Dulles, no i Angleton, który potrafił nagle pojawić się gdzieś niezapowiedziany.

- Tak, ale to było, kurwa, w pięćdziesiątym pierwszym roku - rzucił Gable. - Wystarczyło wtedy wyjść z teatru Constellation, wziąć taksówkę, a potem zameldować się, wpisując byle jakie nazwisko do książki hotelowej. Te staromodne toczki, które nosiły wtedy stewardesy...

- Wysłałem informację z odmową - przerwał mu Forsyth - ale po godzinie miałem już telefon z zielonej linii. Zadzwoił szef europejskiego oddziału i dał mi porządny opierdol. To nie była prośba. Dyrektor chce się osobiście zaangażować w tę sprawę.

- Tak, kolejny bufon - mruknął Gable. - Szefowi na Europę wydaje się, że jest kapitanem statku pod Trafalgarem. Czytaliście kiedyś jego świąteczną odezwę do poddanych?

Forsyth wciąż nie zwracał na niego uwagi.

- Będziemy mieli go pod kontrolą dopiero, jak wyjdzie z samolotu. Potem bramka dla VIP-ów, przejazdka po mieście, dokładne sprawdzenie, czy nikt go nie obserwuje, odesłanie jego obstawy, krótkie spotkanie, uściski dłoni i won. Musimy mieć nadzieję, że FAPSI, ich wywiad elektroniczny, nie namierzy jego lotu. - Forsyth ponownie spojrzął na depezę. - Pewnie poinformowali go ostatnio o osiągnięciach Divy. Przynajmniej mamy dobrą reklamę.

- Reklamę? Jak ją dorwą, to przez niego - zauważył Nate. - Byłoby bezpieczniej wywieźć ją na weekend w bagażniku do Szwecji. Powiedzmy mu, że nie może się z nim spotkać.

- Wykluczone - mruknął Forsyth.

- Powiedz, że nie chce się z nim spotkać.

- Nie. Przygotuj ją do tego spotkania, powiedz, żeby się uśmiechała. Te niebieskie oczy wystarczą za całą resztę. Przygotujemy jakieś jedzenie, coś do picia.

- Samochód, który może posłużyć do ucieczki - dorzucił Gable.

- A co z Dominiką? - spytał Nate. - Kto będzie odpowiadał, jeśli coś nie wyjdzie?

- Ty - odpowiedzieli chórem Gable i Forsyth.

Najpierw kroki na schodach, potem lekkie skrzypnięcie drzwi i w pokoju pojawił się dyrektor CIA, który najpierw uścisnął serdecznie jej dłoń, a potem powiedział, jak bardzo się cieszy, mogąc ją poznać. Następnie uścisnął też rękę Nate'a i stwierdził, że bardzo docenia jego pracę z tą młodą damą, tu posłał Dominice promienny uśmiech. Na koniec podkreślił, że oboje mogą czuć się dumni z tego, co robią dla Stanów Zjednoczonych. Dominika przekrzywiła nieco głowę, słysząc te słowa. Wszyscy usiedli, Dominika wraz z dyrektorem zajęła miejsce na kanapie, a on starał się być czarujący, jak w czasach, kiedy zajmował się prawodawstwem, i czasami dla podkreślenia swoich słów dotykał jej kolana, zdarzało się też, że

jego ręka zostawała tam nieco dłużej, taki stary nawyk z senackiej szatni obsługiwanej przez młode pracownice.

Był wysoki i chudy, miał oczy wiewiórki, zapadnięte policzki i farbowane na czarno włosy. Dominika uznała, że wygląda jak Kościej, mitologiczny zły czarownik, o którym, gdy była mała, czytał jej ojciec. Dominika przyglądała mu się uważnie, ale jego aureola była słabiutka i zaznaczała się tylko na zielono wokół twarzy i uszu. *Zielonyj*, pomyślała. Więc to aktor, ktoś, kto chce się wydawać inny niż w rzeczywistości. Jest inny niż wujek Wania, a w gruncie rzeczy taki sam - dwa różne wywiady, ale jaszczury takie same.

Spytał właśnie Forsytha o „atmosferę operacyjną” w Skandynawii, a przecież wszyscy wiedzieli, że takich rzeczy nie powinno się dyskutować przy agentce, więc Dominika wstała i przyniosła talerz świeżych pielmieni z mielonym mięsem i aromatycznymi przyprawami, polanych kwaśną śmietaną. To ona nalegała, by zrobić coś rosyjskiego i w ten sposób uhonorować gościa. Nate uważał, że powinni podać po prostu krakersy *näkkileipä* i ciepłą oranżadę.

- Doskonale - powiedział dyrektor, a śmietana pociekła mu z kącika ust.

Po chwili wytarł usta i poklepał miejsce obok, by usiadła. Nate, Gable i Forsyth siedzieli na krzesłach tuż obok, tak by móc obserwować, co się dzieje z Dominiką, i ją wspierać. Dyrektor spytał, skąd jest, jakby chciał sprawdzić, czy to jego okręg wyborczy. Gable pomyślał o dawnych czasach, późnych wieczorach w śmierdzących hotelowych pokojach, w których spoceni agenci, mali ludzie, którzy narażali swoje życie, walczyli ze strachem, by podjąć kolejne zadanie. Słuchali go uważnie, mówił wolno i bez przerwy, a oni obserwowali go, dolewając wódki, *maotai* czy *araku*. To było dawno temu. Tu, w rozświetlonym mieszkaniu, gawędzili sobie po prostu przyjaźnie z niedawno zwerbowaną

agentką.

Dla Rosjanina mówienie o przyszłych sukcesach oznacza kuszenie losu. Lepiej już milczeć na ten temat. Dyrektor przysunął się do Dominiki, a ona się nie odsunęła. Niezły pokaz, pomyślał Nate. Już ona będzie wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Dyrektor mówił właśnie, że wszyscy „oklaskują” jej wysiłki, że zaczął „osobiście interesować się” jej działalnością i że bez wahania może „kontaktować się z nim osobiście o każdej porze dnia i nocy”. Nate’a kusiło, żeby zapytać o jego telefon domowy w Bethesdzie. Forsyth zaraz się domyślił i dał mu znak, żeby trzymał gębę na kłódkę.

Zielonyj i w dodatku lubi gadać bez sensu. Dyrektor Kościej mówił właśnie o jakimś tajnym koncju, na które przekazano określoną kwotę jako „bonus werbunkowy”, ale że co miesiąc będą się tam pojawiały kolejne pieniądze. Dominika mogła sama „zarządzać” tym kontem, chociaż on osobiście odradzał wypłaty i większe wydatki. Dodał, że dodatkowe fundusze wpłyną tam, kiedy zacznie pracę w Moskwie. Dominika zerknęła na Nate’a, a potem na Forsytha. Nic nie wyczytała z ich twarzy. Kościej ciągnął bez zmruczenia oka.

Pod koniec dwuletniego pobytu w Moskwie Dominika dostanie „bonus” w postaci dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów. W końcu, kiedy „wspólnie ustalą koniec jej służby”, CIA znajdzie dla niej dom w dowolnym, byle bezpiecznym, miejscu, i to nie mniejszy niż trzysta metrów.

W pokoju zapanowała cisza. Coś w twarzy Dominiki się zmieniło; spojrzała na nich, a potem znowu na dyrektora.

Uśmiechnęła się do niego blado. O cholera, pomyślał Nate.

- Bardzo panu dziękuję, że zadał sobie pan tyle trudu, żeby się ze mną spotkać - zaczęła. - Mówiłam już panu Forsythowi, Gable’owi i Nashowi - pokazywała ich po kolei - że pragnę pomóc, jeśli tylko jest to w mojej mocy. Wierzę, że w ten sposób pomagam też Rosji. Doceniam pańskie propozycje, ale, z całym szacunkiem,

nie robię tego dla pieniędzy. - Zmierzyła wzrokiem impertynenta.

- Tak, oczywiście - mruknął Kościej, klepiąc ją po kolanie. -

Ale przecież wszyscy wiemy, że pieniądze mogą się przydać.

- Tak, niewątpliwie ma pan rację - odparła.

Nate dostrzegł, że jest zmartwiona. Skórę przy obojczyku miała lekko zaczerwienioną. Forsyth też to zauważył. Gable zaczął zbierać płaszcze, krzątać się po pokoju.

- Niestety, panie dyrektorze, musimy jeździć przez pół godziny po tym, jak wyjdziemy z tego mieszkania - rzucił Forsyth i zerwał się na równe nogi.

- Dobrze, dobrze - rzekł z westchnieniem dyrektor. - Miło mi było panią poznać, Dominique. Jest pani bardzo odważna i podjęła pani olbrzymie ryzyko.

Może jeszcze jej powie, ile jej zostało życia?! - zżymał się Nate.

- Proszę pamiętać, że może pani w każdej chwili do mnie zadzwonić - dodał, pociągając ją zbyt mocno do siebie.

Tak, by mógł ją wziąć za rękę i przeprowadzić przez zaorany i zaminowany pas graniczny z drutem kolczastym, żeby zdążyła przed psami, pomyślał Gable.

Forsyth podał Kościejowi jego płaszcz i kapelusz, a Gable ruszył na dół, by uprzedzić ochronę. Dyrektor wyszedł za nim.

Forsyth zerknął jeszcze na Dominikę i mrugnął.

- Niedługo pogadamy - rzucił i pospieszył za dyrektorem.

Dominika i Nate stali w drzwiach jak nowożeńcy żegnający się z niezbyt mile widzianą rodziną.

Nate zamknął cicho drzwi. W mieszkaniu konspiracyjnym zapanała cisza i bezruch: słyszeli trzask zamykanych drzwi, a potem odgłosy odjeżdżających samochodów.

- No i jak? Podoba ci się dyrektor? - spytał Nate.

*

Zapadał zmierzch, światła ślizgały się po wodach zatoki, przez otwarte okno docierały do nich radosne okrzyki. Siedzieli w

ciemności, Dominika na kanapie, Nate na krześle, a przed nimi stały dwa nietknięte kieliszki wina. Rozproszone światło z zewnątrz słało się na jej włosach, musnęło też jej rzęsy nad prawym okiem. Dominika ubrała się w obcisłą letnią sukienkę i włożyła buty na wysokich obcasach, jak na spotkanie w sprawie pracy. Nie miała ochoty na rozmowę, a Nate nie wiedział, co powiedzieć. Bał się, że to spotkanie ją załamało, że teraz powie mu, że się wycofuje. Był jej oficerem prowadzącym. To on odpowiadał za tę sprawę. Cholera, pomyślał, ciągle dzieje się coś złego, kontrwywiad wyłapuje ludzi, bo mieli pecha albo znaleźli się nagle w złym miejscu. Wystarczy spóźnić się na pociąg i wszystko może się zmienić. Ale kto traci agenta tylko dlatego, że sam jest skończonym dupkiem? Już wyobrażał sobie pochylone nad stolikiem głowy w barze w centrali. Tak, to ten Nash, z Helsinek. Tak, więc jego papiery nie kłamały, zwykle piszą w nich prawdę. Potem depesza z Langley: „Pora odwiedzić kraj, trochę się tu rozejrzeć, porozmawiać o przyszłości”. Ojciec napisze do niego: „Witaj w domu, synu. Wszystko ci wybaczymy”. A potem duszny szyb i jazda w dół, w dół. Nate zauważył, że Dominika wstała i zrobiła parę kroków w jego stronę.

Miała na nią wpływ ciemność panująca w mieszkaniu, stała przed nim, owinięta nią niczym kokonem. Patrzyła na niego. W cieniu widziała jego zwykłą fioletową poświatę, która w tej chwili stanowiła jeszcze stałe, jednorodne źródło ciepła. Wiedziała, że jest mu przykro i że martwi się z powodu kariery, ale pod tym wszystkim wyczuwała bezbronność. Nie wiedziała, co myśli o niej samej, ale uznała, że to bardzo miłe, iż się przejmuje tym, co się stało. Zrozumiała też, że sama jest bardzo spięta, z powodu tajemnicy, którą wciąż musiała ukrywać. Na początku pomagał jej gniew, ale to była nowa, zupełnie dla niej obca rola. Zaoferowała swoje usługi Amerykanom, bo im ufała, sprawiali wrażenie, że im na niej zależy, i byli bardzo profesjonalni.

Ale przede wszystkim ze względu na Nate'a. Wiedziała, że w dużej mierze wpłynął na jej decyzję. Gdyby ją zapytał, powiedziałaby mu, że nie ma zamiaru rezygnować. Była zdecydowana i gotowa na wszystko.

Teraz jednak potrzebowała czegoś więcej niż zwodzenia i sztuczek, czegoś więcej niż wiedzy, że jest silniejsza niż inni, że potrafi ograć szare eminencje. Chciała, by ktoś jej pragnął. I to nie byle kto, ale właśnie Nate. Poczwała, że obudziło jej się tajemne ja i że jego zachłanność narasta w niej z siłą huraganu. Położyła dłonie na oparciu krzesła i pocałowała go w usta.

Nie przewidziała tego. (I rozumiała, że o n też o tym nie myślał). Doskonale wiedziała, że nie tylko w jej pracy, ale także jego takie rzeczy były *zapieszczonyje*, ściśle zabronione. Komplikacje uczuciowe stanowią poważną przeszkodę w pracy szpiega. Nie bez powodu jaskółki przegania się z pokoju zaraz po usidleniu celu, którym zajmuje się już potem tylko „wujek Sasza”. Bo kiedy w grę wchodzi namiętność, a agentka myśli tylko o tym, jak sobie zrobić dobrze, trudno mówić o obiektywizmie - jak powtarzali jej starzy instruktorzy, chcąc, by się zarumieniła.

Nate wziął ją w ramiona i zaczął całować, nie pospiesznie, ale wolno i delikatnie. Miał ciepłe wargi, a ona chciała się nimi upoić, całować go jak najdłużej. Wyczuwała napięcie narastające w jej ciele, głowie, piersiach, między nogami. Czuła, jak ją ściska, i czuła jednocześnie rozkosz i zdenerwowanie, jakby znali się w dzieciństwie i teraz odnaleźli po latach. Odetchnął głęboko, zauważyła koło ucha fioletową poświatę i dreszcz przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

- Dominiko - szepnął, chcąc zwolnić.

Jeszcze parę dni temu sprzeczała się na ten temat, ale oboje uważali, że takie zachowanie graniczy z szaleństwem, że dobro sprawy wymaga...

- *Mołczy*, głupcze - szepnęła i przesunęła wargami po jego

policzku, mocniej go obejmując.

W głowie mu się kręciło. Nie wiedział, co robić; bał się tego, co miało nastąpić, a jednocześnie czuł narastające pożądanie. Wiedział, że jej pragnie, choć było to głupie, nieostrożne i zakazane. Nie pamiętał, co zdarzyło się później.

Oboje byli nadzy, rozpaleni i znajdowali się w niewielkiej sypialni. Dominika przeciągnęła paznokciami między jego nogami, by poszedł za nią, jednocześnie przyszło jej do głowy, że właśnie wymyśliła jakąś nową technikę gry wstępnej, a potem wspięli się śmiesznie na łóżko przez jego koniec, mając po obu stronach ściany. Wciąż wbijała paznokcie w jego udo, teraz nieco mocniej, i jednocześnie śmiała się, czując w ustach suchość z pożądania.

Pochyliła się i zaczęła całować jego brzuch z poczuciem, że jest to sen, który przyprawia ją o zawrót głowy. Nate popatrzył na nią ze zdziwieniem, kiedy pchnęła go zdecydowanym ruchem na pościel, gdy próbował się podnieść na łokciach. Smakowała go jednocześnie rozpusztana i czuła, lubieżna i nieśmiała. Oboje mieli wrażenie, że od zawsze są kochankami. Dominika nie myślała o szkole jaśkówek czy technikach uwodzenia - po prostu pragnęła Nate'a.

To pragnienie wciąż się nasilało, jej tajemne ja zaczęło dominować, wypełniać ją całą i dusić za gardło, ale Nate na czas przewrócił ją na plecy i skierował jej drżące stopy ku płynącej z okna księżycowej poświacie znad wysp, która oświetlała całą sylwetkę dziewczyny. Dominika nie widziała światła, a Nate był dla niej tylko cieniem, który najpierw majaczył nad nią, a potem przygniótł ją swoim zadziwiająco rzeczywistym ciężarem. Poczwała nagle rozzwierającą rozkosz, światło księżycy zawirowało jej pod powiekami i miała nadzieję, że Nate trzyma mocno jej ciało, bo odniosła wrażenie, że za chwilę eksploduje. Poczwała pustkę, która nagle zaczęła się zakradać do jej serca, i w końcu nagłą wezbraną falą, która z hukiem i dudnieniem wypełniła jej ciało. *Boże moj* - wydobyło się z jej gardła, a potem przez całe jej ciało przebiegł

dreszcz spełnienia, jak wiatr przelatujący przez pole pszenicy. Leżeli obok siebie pod ciężarem księżycowej poświaty. Dominika odczekała, aż przestaną jej drżeć uda, a potem zerknęła na lśniące w świetle księżycy ciało Nate'a.

- *Słońce*, naprawdę potrafisz się zająć swoim agentem - szepnęła.

Nocne powietrze nie osuszyło jeszcze ich ciał, kiedy usłyszeli, jak ktoś przekręca klucz w drzwiach konspiracyjnego mieszkania. Wyskoczyli z łóżka jak z procy; Nate szybko włożył spodnie i zaczął zapinać koszulę, a ona tylko chwyciła swoje ubrania i pogalopowała do łazienki. Nate wszedł do salonu i zobaczył stojącego przed otwartą lodówką Gable'a.

- Pomyślałem, że sprawdzę, ile szkód narobił nasz kochany dyrektor - rzucił przez ramię, a potem znowu wbił wzrok w oświetlone wnętrze lodówki. - Zostały jeszcze te pierogi?

- Na samym dole - odparł Nate. - Rozmawiałem z Dominiką o tej sprawie. Wydaje mi się, że rozumie różnicę między tymi urzędami a nami.

- Śmiać mi się chciało, jak się wkurwiła na tego starego lowelasa. No, ma dziewczyna jaja. - Gable położył pojemnik z pierogami na blacie. - Więc ją uspokoileś, tak?

- Tak, *bratok* - odpowiedziała sama zainteresowana. - Jestem już spokojna. - Była ubrana, pozbierana i rzeczywiście spokojna. Nate bacznie obserwował Gable'a. - Odgrzeję ci pielmieni. - Zapaliła ogień na kuchence i sięgnęła po patelnię. - Są smaczniejsze po odgrzaniu, zwłaszcza na patelni. - Roztopiła masło i podsmażyła pierogi na złoty kolor. - Ale teraz najlepiej delikatnie skropić je octem - dodała na koniec.

Przy jedzeniu panowała zabójcza cisza. Nikt nic nie mówił, a Gable zerkał ciekawie to na Nate'a, to znów na Dominikę. Nate wbił wzrok w talerz i uważnie przyglądał się pierogom, ale Dominika niczym niezrażona patrzyła mu prosto w oczy, zauważając, że

zarumieniła się aureola wokół jego głowy. Po jedzeniu Gable zabrał się do zmywania, a Dominika włożyła płaszcz i się pożegnała. Nie popatrzyła na Nate'a, gdy wychodziła. On sam zamknął drzwi i przestraszony skierował wzrok na Gable'a, który stawał właśnie na stoliku dwie szklaneczki.

Butelkę whisky trzymał pod pachą.

- No, Priapie, możesz przeciągnąć palcami po brzegach pucharu, by wydobyć z niego miłosną melodię, a ja przyniosę lodu.

PIELMIENI

Z mąki, jajek, mleka z dodatkiem soli wyrabiamy ciasto. Rozwałkowujemy i wykrawamy koła o średnicy pięciu centymetrów. Mieszamy mieloną wołowinę, wieprzowinę, mięso z kurczaka i pokrojoną w kostkę cebulę; dodajemy wyciśnięty czosnek i wodę. Kładziemy trochę nadzienia na środku koła, zwilżamy jego brzegi, zawijamy je i sklejemy. Gotujemy w osolonym wrzątku, aż pierogi wypłyną na powierzchnię. Podajemy z kwaśną śmietaną.

19

- Po prostu tak wyszło? - zapytał Forsyth, pochylając się nad jego biurkiem. - Według centrali prowadzisz jedną z najbardziej obiecujących agentek ostatniego dziesięciolecia, a brakuje ci dyscypliny, żeby nie zaciągnąć jej do łóżka?
- Wiem, że to błąd, szefie. Nie planowałem tego. Była zniszczona spotkaniem z dyrektorem. Nazywał ją Dominique. To w niej narastało i szukała kogoś, kto by ją zrozumiał. Miała ostatnio sporo stresów.
- Kto by ją z r o z u m i a ł ? - powtórzył Gable, który jak zwykle zajął swoje ulubione miejsce na kanapie za Nate'em. - To się tak teraz nazywa w twoim pokoleniu? Zwykle pełna wyrozumiałości ascetyczna twarz Forsytha pozostała chmurna. Patrzył Nate'owi w oczy tak długo, aż ten spuścił wzrok.
- Więc trzeba było się nią zająć, porozmawiać z nią, zaofiarować wsparcie, ale nie...
- Pieprzyć się jak króliki - wtrącił Gable.
- Właśnie, jak króliki - przytaknął Forsyth. - A co będzie, jak pojawi się między wami jakiś problem? A jeśli za parę miesięcy się pokłócicie i ona stwierdzi, że cię nie znosi?
- Łatwo to sobie wyobrazić - rzucił Gable.
- Czy zdecyduje się na dalszą współpracę z CIA? Czy też robi to tylko dlatego, że spodobała jej się twoja...
- Długa maczuga - dokończył Gable.
- O czym, do cholery, mówisz? - Forsyth zerknął na rozwalonego na kanapie kolegę, a następnie obrócił się w stronę Nate'a, który zaśmiał się, słysząc słowa Gable'a.
- Zastanów się, Nate. Mimo informacji, które przekazała, i całej jej wiedzy, Diva jest naszym nowym źródłem informacji. Musimy się przekonać, że potrafi skutecznie działać, zanim uznamy ten werbunek za wartościowy. Czy to znaczy, że jej nie ufamy? I tak, i

nie. Nigdy nie można do końca ufać żadnemu agentowi.

- Rosjanie robią się markotni, zaczynają dramatyzować, tęsknią za domem. Pamiętasz, jak Jurczenko machał nam na pożegnanie? Diva jest silna, ale wiemy też, że łatwo podlega nastrojom, jest impulsywna. - Uniósł dłoń, by powstrzymać kolejny sztubacki komentarz Gable'a.

- Jako oficer prowadzący masz zbierać informacje i dbać o jej bezpieczeństwo, sublimować swoje uczucia i zrobić z niej najlepszą agentkę, jak to tylko możliwe.

- Sublimować, znaczy nie bzykać - wyjaśnił Gable.

- Od kiedy tu przyjechałeś, wciąż chciałeś zrobić coś ważnego, znaleźć kogoś do zwerbowania... Martwiłeś się swoją teczką w centrali. Więc, do cholery, zacznij się teraz zachowywać profesjonalnie i zapanuj nad emocjami...

- I częściami ciała - dorzucił Gable.

- I pomyśl o tym, jak taki romans wpłynie na nią samą i na operację. Musimy zacząć myśleć o jej powrocie do Moskwy. Nie wiemy, kiedy on nastąpi. Może przecież odmówić pracy na terenie swojego kraju, więc musisz ją przygotować na tę nerwówkę.

- Tak jest - powiedział Nate, unosząc głowę.

- Wszystko jasne? - Forsyth raz jeszcze posłał mu ciężkie spojrzenie.

- Wiem, wiem, w i e m w s z y s t k o - rzucił Nate. - Dziękuję za pouczenia, zrobię, co do mnie należy.

- Cieszę się. - Gable dźwignął się z kanapy. - No, teraz nareszcie możemy usunąć z mieszkania cztery kamery, które miały was nadzorować.

Nate zrobił wielkie oczy. Forsyth starał się nie roześmiać.

- Żartuję, Romeo - powiedział Gable. Te powtórki to byłoby dla mnie za dużo.

Forsyth i Gable przestali jednak znęcać się nad Nate'em, gdyż następnego dnia otrzymał on od Dominiki sygnał. Nate omal nie

cofnął dłoni, kiedy rano poczuł tłustą wazelinę pod klamką drzwiczek swojego wozu. Sygnał ostrzegawczy, pomyślał, jeszcze dwanaście godzin. Noc była zimna, zaczęła się skandynawska jesień, szyby samochodów pokryły się szadzią, a z otworów wentylacyjnych buchała para. Czekali w mieszkaniu konspiracyjnym, zastanawiając się nad powodami tego alarmu. Czyżby musiała uciekać? Czy ktoś ją ścigał? Nate sprawdził rozkłady na lotnisku i w porcie. Facet z Supo był w pogotowiu. Archie i Veronica czekali na telefon. Wszyscy trzej musieli sobie radzić z czekaniem i swoimi przeczuciami. Żaden nie patrzył na zegarek - byli na to za dobrzy. Nate wstał, kiedy usłyszał klucz w zamku. Zaraz też dotarło do nich, że wszystko jest w porządku, bo jej błękitne oczy lśniły, a policzki pałały, i to nie tylko z powodu trasy sprawdzeniowej, jaką odbyła, ale też czegoś innego.

Gable zrobił jej filizankę parującej herbaty, a ona dmuchała na nią, ciągnąc opowieść, szybko, sprawnie, zwracając uwagę na szczegóły - dokładnie tak, jak ich uczono. Chciała nimi nieco wstrząsnąć i zrobić na nich wrażenie. Poprzedniego dnia w rosyjskiej ambasadzie pojawił się nieznany mężczyzna, który poprosił do wejścia strażnika i wręczył mu kopertę z napisem drukowanymi literami: NIE OTWIERAĆ. DOSTARCZYĆ BEZPOŚREDNIO M. WOŁONTOWOWI. Mężczyzna zdążył się wymknąć, zanim wołowaty strażnik spytał go o nazwisko, ale list niezwłocznie trafił do rąk rezydenta. Okazało się, że w środku była druga koperta. Otoczony pomarańczową chmurą niespokojny Wołontow zaraz zawołał Dominikę, która przetłumaczyła list z angielskiego. Jego nadawca proponował SWR, za pół miliona dolarów, tajny amerykański podręcznik techniczny, chciał spotkać się w tej sprawie za pięć dni w hotelu Kamp.

Dominika spojrzała na Nate'a, a potem na Forsytha i Gable'a i wypila trochę herbaty. W kopercie znajdowały się też trzy strony wyrwane z kołonotatnika. Na górze i na dole widniał napis; ŚCI-

ŚLE TAJNE/UMBRA, a dalej u góry tłustym drukiem nagłówek: „System Łączności Krajowej USA”. Zdenerwowany Wołontow pytał ją też o ukośne napisy w prawym górnym rogu, które głosiły: „Zakaz nielegalnego rozpowszechniania”, „Znalezione dokumenty przekazać do biura koordynacyjnego” i „Niewłaściwe wykorzystanie będzie karane sądownie”.

Wołontow poszarzał na twarzy i burknął, żeby zrobiła kopie tych stron. Odezwał się w nim pochlebny sowiecki instynkt i powiedział jej, że prześle ten dokument bezpośrednio do pierwszego zastępcy Jegorowa jako przesyłkę z najwyższym priorytetem, co miało jej zagwarantować bezpieczeństwo.

Forsyth spojrzął na Gable'a, który zaraz wstał i zaczął wkładać kurtkę, a Dominika uniosła sweter i wyjęła spod niego złożone strony, które następnie podała Forsythowi. Zrobiła dodatkową kopię. Amerykanie pochyłili się nad dokumentem.

Gable postukał palcem w urwany róg.

- Skurwiel usunął numer seryjny - mruknął, a potem spojrzął na Dominikę i dodał: - Mówiłem ci chyba, żebyś nigdy więcej czegoś takiego nie robiła. - A potem pocałował ją w czoło i wyszedł.

Depesza NIACT, wzywająca do podjęcia natychmiastowej, tajnej interwencji, powinna dotrzeć do Waszyngtonu w ciągu pół godziny. Gable lubił wysyłać te nocne nagłe informacje i budzić gnuśnych agentów z Langley.

Według słów Dominiki Wołontow przez resztę dnia bił się z myślami. Co rusz wzywał ją do swojego biura, a wokół jego głowy pojawiła się pomarańczowa karuzela oczekiwania. Nawet on zorientował się, jak wielka jest to gratka. Pod koniec dnia zdecydował, że sam zadzwoni do Wani Jegorowa, by poinformować go o niezwykle ważnej przesyłce i możliwej bardzo interesującej sprawie.

Wołontow zamknął drzwi do biura, żeby zadzwonić z bez-

piecznego telefonu WCz, ale Dominika słyszała jego przesadny śmiech, a potem lizusowskie: *Da, da, da*, które dobiegało z wnętrza.

- Jak mówicie po angielsku *lizat' żopu*? Lizać pośladki?

- Mniej więcej - mruknął Forsyth.

Rezydent wezwał ją w końcu po raz dziesiąty i poinformował, że pierwszy zastępca dyrektora generalnego zaakceptował jego decyzję i że Dominika, i tylko ona, będzie od tej pory brała udział w tej operacji. Najpierw miała przygotować fundusze, ale tylko pięć tysięcy dolarów, a następnie wynająć pokój w hotelu Kamp. Jej zadanie będzie polegało również na tłumaczeniu w czasie spotkania. „No już, ruszaj”, zakończył Wołontow i machnął ręką.

Nic jej nie mówiąc, skontaktował się również z szefem kontrwywiadu, wybijającym się członkiem straży granicznej.

- Chcę, żebyś obserwował spotkanie, które będę miał w barze hotelu Kamp. Po prostu siedź i patrz.

- Spotkanie? - spytał tamten. - Ilu będziemy potrzebować ludzi? Jakiej broni?

- Potrzebuję tylko ciebie, idioto. Żadnej broni. Masz siedzieć w barze i patrzeć, jak spotykam się z informatorem. A potem zostać tam, aż wyjdę. Jasne? - warknął Wołontow.

Oficer kontrwywiadu skinął głową, ale wyglądał na rozczarowanego.

Po godzinie Nate przepędził Dominikę z mieszkania. Od tej chwili miały obowiązywać reguły z Moskwy - zero niepotrzebnych spotkań. Żadnych w dzień. Sprawdzanie obserwacji, z a k ł a d a - n i e , że ktoś ich obserwuje. Należy ograniczyć spotkania towarzyskie i trzymać się blisko ambasady aż do spotkania w hotelu Kamp. Wołontow będzie zdenerwowany, może stać się podejrzliwy i zacząć sprawdzać swoich ludzi, zwłaszcza tych, którzy biorą udział w operacji. Nie mogą ryzykować.

- Mamy kobrę w kiblu - powiedział Gable, gdy znowu znaleźli

się w ambasadzie. - Musimy bardzo uważać. Pamiętajmy, że jeśli coś się stanie, ktoś aresztuje tego zachłannego głupka albo SWR z jakichś innych powodów nie dostanie tej książki, Dominika jest jedyną osobą poza Wołontowem, która zna całą sprawę.

Forsyth wysłał zastrzeżoną depeszę, przypominając centrali o ryzyku związanym z sytuacją Divy. Szef CIA na Europę był zaszokowany, po prostu z a s z o k o w a n y , kiedy przeczytał, że Forsyth proponuje, by rezydentura tylko zidentyfikowała zdrajcę i pozwoliła mu wrócić do kraju, gdzie miało się nim zająć FBI. Szef na Europę nie wyobrażał sobie, że mógłby zrobić coś, co zmniejszyłoby bezpieczeństwo jego kraju. W każdym razie nie zamierzał do tego dopuścić, póki był u steru europejskiego oddziału CIA.

Kiedy do biura Forsytha wpakował się attaché prawny ambasady, pięćdziesięciodwuletni agent specjalny FBI Elwood Maratos, by koordynować „zdemaskowanie” zdrajcy, wiedzieli już, że Waszyngton poinformował, kogo mógł, o tym, co się stało. W czasie dwudziestopięcioletniej kariery Maratos wyróżnił się tym, że prowadził śledztwo w sprawie napadu na bank na środkowym zachodzie Stanów. Usadowił się więc wygodnie, pokazując Gable’owi i Forsythowi podeszwy, i stwierdził, że zdradził niewątpliwie obywatel USA i dlatego sprawa jest pod nadzorem FBI.

- Co za głupek - westchnął Gable, kiedy Maratos wyszedł. -

On uważa, że *espresso* to po hiszpańsku pociąg.

Stało się oczywiste, że jeśli na to pozwolą, do Helsinek zjadą dziesiątki agentów specjalnych w bojówkach, butach wojskowych i bejsbolówkach New York Yankees. Rezydentura mogła tylko próbować zapanować nad całą sytuacją. Forsyth polecił Nate’owi opracowanie planów wycofania Divy. Istniała możliwość, że będzie musiała uciekać, jeśli Rosjanie zorientują się, co się dzieje. A potem nagle coś wydarzyło się w centrali. Musieli odbyć jakieś duże spotkanie i ktoś zwrócił uwagę na niepewną sytuację Divy. Ktoś później wymienił w tym kontekście nazwisko Simona

Benforda, szefa kontrwywiadu, który po raz kolejny wykorzystał swój talent dramatyczny i ostrzegł, że taka nieostrożność związana z agentką może doprowadzić do „niezłej rozpierduchy”. Rezultatem były dwie depesze, które dotarły do nich trzeciego dnia, na dwa dni przed spotkaniem w hotelu. Pierwszą opatrzone notą: „Od szefa CIA na Europę do dyrektora rezydentury”. Druga pochodziła od Benforda i napisano ją, co charakterystyczne, tak oszczędnie, że była niemal niegrzeczna. W tej depeszy zaproponowano zagranie, które wprowadziło w osłupienie nawet Marty’ego Gable’a, starego skurwiela, który miał w biurze popielniczkę z ludzkiej czaszki, z Kambodży lub Miami, jak sam twierdził, nie pamiętał skąd dokładnie.

W pierwszej depeszy można było przeczytać:

1. Prosimy o kierowanie dalszych informacji tym kanałem. Centrala przywiązuje dużą wagę do tego, by zapobiec przekazaniu tajnych amerykańskich dokumentów SWR. W związku z tym wydelegowała przeszkolonego w Waszyngtonie agenta FBI, który ma nawiązać współpracę z fińską rezydenturą. Centrala potwierdza wiodącą rolę FBI w prowadzeniu śledztwa i egzekwowaniu prawa w kwestiach związanych z bezpieczeństwem narodowym i obywatelami USA podejrzanyymi o przestępstwa federalne, na podstawie artykułu II Reformy Służb Wywiadowczych z 2004 roku i rozkazu wykonawczego 12333 oraz artykułu 50

paragrafu 401 konstytucji.

2. Żądamy pełnej współpracy rezydentury z FBI przy prowadzeniu śledztwa. Centrala oczywiście bierze pod uwagę, że jakiegokolwiek aresztowanie może narazić na niebezpieczeństwo agentkę rezydentury, Divę. Dlatego rezydentura powinna skupić się na zapewnieniu jej operacyjnego bezpieczeństwa .

3. Prosimy meldować o wszystkich zmianach sytuacji poprzez depesze, również te nocne. Centrala deklaruje gotowość pomocy. Życzymy pomyślnych wiatrów.

Druga brzmiała następująco:

1. Raport na temat GT Divy przyjęty. Diva staje się powoli niezwykle cennym źródłem informacji .

2. Wyrazamy uznanie.

3. Zgadzaemy się, że każdy błąd w prowadzeniu Divy może okazać się fatalny. W przypadku najgorszego zalecamy wycofanie Divy. Centrala jest przygotowana

na jej przeniesienie.

4. Mimo celów FBI centrala zaleca zidentyfikowanie informatora i aresztowanie go tak, by nie wzbudzić podejrzeń SWR. SWR musi, powtarzamy, musi, przyjąć podręcznik bez budzenia podejrzeń swojego kontrwywiadu. FBI otrzyma odpowiednie instrukcje i podda się wskazówkom rezydentury, by osiągnąć te cele.

5. Do wiadomości rezydentury: oddzielna komórka Departamentu Obrony opracowała w zeszłym roku zmodyfikowany podręcznik (GTSOLAR), taki jak ten zaoferowany w Helsinkach. Same modyfikacje są objęte klauzulą tajności i wywołają techniczną dezinformację.

6. Podręcznik SOLAR przywiezie badacz Biura Badań Naukowych i nad Bronią (OSWR). Wyjeżdża z Waszyngtonu wieczorem siedemnastego, spodziewany w Helsinkach rano osiemnastego. Prosimy się zająć.

7. Proszę jak najszybciej opracować plan operacyjny zamiany rzeczywistego podręcznika podręcznikiem SOLAR. Wszelkie ustalenia z poprzednich depesz nieważne.

Pracowali nad tym dzień i noc, wezwali ekipę techniczną, wieczorem przed dniem transakcji spotkali się raz jeszcze z Divą. Pokazali jej rysunki, zrobili zapasowy klucz do pokoju w hotelu, omówili szczegółowo kolejne fazy operacji. A potem jeszcze raz kazali jej spojrzeć na rysunki. W porządku, Niejt, powiedziała. W jej głosie wyczuł zdenerwowanie. Pragnął porozmawiać o ryzyku, o tym, jak się naraża, ale nie chciała o tym słyszeć. Patrzyła na niego swoimi błękitnymi oczami, kiedy rozwinął mapę, by pokazać, skąd ją odbiorą, jeśli będzie musiała uciekać. Wyczuła troskę w jego głosie.

Czy chodzi o mnie, czy o operację? - zastanawiała się. Nate stał się znowu jej oficerem prowadzącym, kolor, który go otaczał, wciąż był taki sam.

Sprawa wyglądała poważnie, dla relaksu wyrwali się więc na późną kolację. Tym razem miał gotować Forsyth, który robił to rzadko. Dominika patrzyła z otwartymi ustami, jak wkłada fartuch, a potem w rękawicach wyjmując żaroodporne naczynie z piekarnika. Forsyth potrafił zrobić jedno danie: *soubise*, duszony na maśle ryż ze skarmelizowaną cebulą. Na wypadek katastrofy, by nie musieli głodować, Gable kupił też jagnięce kebaby. Jedli w milczeniu. A potem rzut oka na zegar - Dominika musiała już iść. Nie otworzyła jednak drzwi, uniosła tylko kołnierz płaszcza.

- Powodzenia jutro - rzuciła.

To przede wszystkim tobie będzie ono potrzebne, pomyślał Nate.

- Trzymaj się - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

- Do zobaczenia za parę dni.

Włożyła rękawiczki i oparła dłoń na kłamce. Wciąż czekała. Od zlewu dobiegało stukanie naczyń. Patrzyła na niego z uśmiechem Mona Lizy.

- Chcę, żebyś była ostrożna - powiedział.

Spojrzała przez jego ramię w stronę skąpanej w księżycowej poświacie sypialni, ale Nate nawet nie mrugnął, a ona poczuła ukłucie w sercu.

- *Spokojnej nocy*, Niejt. - Zeszła bezgłośnie po schodach.

Mężczyźni rozeszli się po mieszkaniu, gasząc światła; szykowali się do wyjścia. Było już po północy. Forsyth pouczał ich, kiedy zaczęli wychodzić.

- Żadnego szemrania, wyczekiwania czy bohaterских aktów, jasne?

Gable zasłonił właśnie okna i miał jeszcze zgasić światło w łazience.

- Tak - odparł Nate.

- To znaczy, jeśli jutro coś pójdzie nie tak, to nie szykujemy się do wojny.

- Jasne. - Nate wiedział, co ich czeka, i nie zamierzał pouczać szefa.

- Jeżeli pojawią się problemy, spróbujemy je oszacować. A potem podejmiemy decyzję. Jednak najważniejsze, żeby Dominika dokonała wymiany. Jeśli coś jej nie wyjdzie, to niezależnie od przyczyny będzie po operacji.

Gable wrócił do pokoju.

- Jutro o tej porze SWR musi aż trząść jajami z radochy, że ma skarb. No i ta euforia w Moskwie.

Jeśli mieli coś do powiedzenia, musieli mówić teraz. Jak znajdują się na ulicy, rozejdą się w różne strony, nawet nie podając sobie dłoni na pożegnanie.

- Więc mamy pozwolić, żeby weszła w tę kurewską sytuację i sprzedała im te świcidelka. - Nate starał się zachować spokój.

- Świcidelka? To nie Las Vegas, stary - rzucił Gable. - Będziemy ją ochraniać, jak tylko umiemy. Ale zrozum, stary. To jedyna taka okazja.

Na dworze od razu się rozeszli. Nate odbył długą drogę do swojego samochodu. Zrobiło się późno i trolejbusy przestały już jeździć. Kiedy dotknął klamki, poczuł jeszcze odrobinę wazeliny, a potem patrzył długo w martwą deskę rozdzielczą.

Miał przed oczami drogę do jej mieszkania, jej pokój, już walił do jej drzwi, a potem brał w ramiona, półprzezroczysta koszula nocna przylegała do ciała Dominiki, a ona całowała go raz za razem. A potem nagle obraz się zamglił, Nate potrząsnął głową i włączył silnik. Pojechał do domu obrzeżami miasta, wciąż spoglądając w lusterko wsteczne.

SOUBISE FORSYTHA

Ryż gotujemy przez pięć minut w osobnej wodzie. W oddziel-

nym naczyniu zapiekamy na maśle lekko skarmelizowane cebulki. Dodajemy ryż, przykrywamy i wkładamy do średnio rozgrzanego piekarnika. Mieszamy co jakiś czas, aż całość się zezłoci. Przed podaniem dodajemy śmietany kremowej i sera gruyère.

Forsyth, Nate i technik, który nazywał się Ginsburg, siedzieli ostrożnie na brzeżkach krzesel empire w eleganckim pokoju hotelu Kamp. Patrzyli sceptycznie na jedwabne tapety i satynowy baldachim nad łóżkiem. Przez szpary w drzwiach balkonowych docierały do nich przytłumione odgłosy ruchu ulicznego na Norra Esplanaden. Trzej oficerowie zajęli miejsca wokół połączonego stolika, na którym znajdowały się dwa laptopy, komórka, miniaturowy odbiornik sygnałów i zaszyfrowana motorola SB5100 - te wielkie nadajniki były bezpieczniejsze od komórek, zwłaszcza jeśli Rosjanie zdecydowali się na monitorowanie wszystkich kanałów w czasie spotkania ze swoim informatorem. Na laptopach widać było dwa miejsca: pokój Dominiki, bardzo przypominający ich własny, który zresztą z nim sąsiedował, a także dużą łazienkę w jej pokoju. Oba miejsca filmowano z góry, z lotu ptaka, kamerą o kącie widzenia 270 stopni.

Zgodnie z instrukcjami Wołontowa Dominika wynajęła ten pokój parę dni wcześniej, co pozwoliło ekipie technicznej na dokonanie w nim pewnych przeróbek. Technicy musieli pracować w nocy, by zainstalować dwie bezprzewodowe kamery: jedną w sztukaterii na suficie w pokoju i drugą w otworze wentylacyjnym w łazience. Kamery przekazywały zaszyfrowany sygnał do odbiornika, który z kolei przekazywał go na laptopy, gdzie można było wszystko nagrać. Obie kamery wielkości zapalniczki Zippo były też wyposażone w mikrofony.

Gable siedział w furgonetce przed budynkiem hotelu wraz z attaché prawnym i trzema innymi agentami z biura anty szpiegowskiego FBI. Ku prawie nieskrywanej wściekłości Maratosa Forsyth zabronił agentom FBI dostępu do hotelowych pokoi, częściowo po to, by móc nad nimi panować, ale głównie ze względu na to, by zachować incognito Divy. CIA nie miało zamiaru podać jej FBI na tacy.

Agenci federalni grali twardo w Waszyngtonie. Chcieli koniecznie aresztować informatora, niezależnie od tego, kim był, jeszcze w Helsinkach, przed jego wyjazdem do USA. Ich zdaniem w innym wypadku mogli mieć problemy z zapanowaniem nad całą sytuacją. Chodziło im o to, by uniknąć politycznych reperkusji, w razie gdyby ten nieznany cel zdołał się wyrwać z ich sieci. Bawidamki z centrali uradziły więc, że agenci federalni aresztują informatora dopiero po tym, jak wszyscy Rosjanie opuszczą hotel. Powiedzieli nawet: „No dobra, dobra”, kiedy CIA nalegało, by Forsyth, i tylko Forsyth, mógł dać sygnał do aresztowania.

- Wszyscy wiedzą, jak ma wyglądać ta akcja, tak? - zapytał poprzedniego dnia w swoim biurze Forsyth i spojrzał znacząco na Maratosa.

- Ta, jasne - rzucił tamten. - To nie jest nasza pierwsza akcja. - Tylko pamiętaj, żeby nas wezwać, jak się zorientujesz, kim jest ten skurwiel.

- Masz czekać na mój sygnał, Elwood. Narazicie życie mojego agenta, jeśli zaczniecie wszystko za szybko i za mało dyskretnie.

- Jeśli to spieprzycie, lepiej, żebyście nie wracali do domu - dodał Nate. Było to poważne naruszenie zasad.

- Co ty, kurwa? Grozisz oficerowi federalnemu? - warknął Maratos.

- Zamknąć się! I to już! - uciął Forsyth.

Maratos chciał coś odpowiedzieć, ale się powstrzymał.

Odbiornik na stoliku mrugnął dwukrotnie, Gable dał im znać, że Wołontow i Dominika weszli do hotelowego baru. Parę minut później zobaczyli ich na pierwszym laptopie w towarzystwie niskiego mężczyzny. Dominika niosła neseser. Informator miał ciemną cerę, szopę czarnych, poskręcanych włosów i krzaczaste brwi. Nosił niebieską wiatrówkę z postawionym kołnierzem, a na ramię zarzucił dużą torbę podróżną. Dominika widziała jednak więcej. Powietrze wokół niego wypełniała brudnożółta ektopla-

zma, przypominająca gwałtowny wiatr tuż przed uderzeniem tornado. Wiedziała, co Wołontow chce z nim zrobić i że ten młody człowiek jest zgubiony. Usiedli na krzesłach wokół niskiego stolika. Usłyszeli, jak Wołontow powiedział coś po rosyjsku, a Dominika przetłumaczyła to na angielski. Czuli się dziwnie, słysząc jej głos z laptopa.

Ponieważ Wołontow nalegał, młody człowiek przedstawił się - John Paul Bullard, analityk średniego stopnia z Systemu Łączności Krajowej. Następnie opisał on swoją pracę i wyjaśnił, że potrzebuje pieniędzy. Poklepał torbę i powtórzył, że Wołontow ma mu zapłacić pół miliona dolarów za podręcznik, którego okładki już dostał. Wołontow znowu coś powiedział i Dominika spytała Amerykanina, skąd pewność, że podręcznik jest autentyczny.

Bullard otworzył torbę i podał jej obłożoną książkę wielkości cienkiej książki telefonicznej. Dominika przekazała ją Wołontowowi, który przez jakieś trzy sekundy przerzucał jej strony, a następnie zwrócił ją Dominice. Powiedział coś do Bullarda, a Dominika przetłumaczyła. Rezydentura będzie musiała zbadać ten dokument, zanim określi jego wartość.

- Ależ to autentyk, naprawdę - rzucił Bullard. - Ręczę za to.

Wołontow skinął głową, a Dominika przeszła z podręcznikiem oraz neseserem do łazienki. Dzień wcześniej *riezident* udzielił jej dokładnych instrukcji i kazał włożyć książkę do schowka w neseserze na wypadek, gdyby cała akcja okazała się prowokacją zachodnich służb wywiadowczych. Najlepszym do tego miejscem była pozbawiona okien łazienka.

- Wszystko w porządku, uwaga - szepnął Forsyth do mikrofonu.

Na drugim laptopie otworzyły się drzwi do łazienki, a potem w kamerze pokazała się głowa Dominiki. Dominika położyła neseser na toalecie, a następnie szybko pochyliła się i pchnęła umieszczoną na trzech zawiasach deseczkę maskującą na samym jej dole. Wy-

jęła ze schowka identyczny podręcznik, który bardzo dokładnie spreparował zespół jajogłowych z Waszyngtonu - brakowało w nim nawet tych samych stron co w oryginalnym - i błyskawicznie dokonała wymiany. Deseczka znowu znalazła się na swoim miejscu. Następnie Dominika wcisnęła dwa ćwieki w neseserze, w którym otworzyło się fałszywe dno. Włożyła tam zmodyfikowaną książkę i z kliknięciem zamknęła neseser.

Odczekała jeszcze chwilę i zerknęła do lustra. Przyglądała włosy, a potem uniosła głowę, zerkając w stronę otworu wentylacyjnego i kamery. Poprzedniego wieczoru Nate powiedział jej, że będą monitorować wymianę. Dominika pokazała język do kamery, raz jeszcze zerknęła na swoje odbicie i wróciła do pokoju.

- Jezu Chryste, to niewiarygodne - jęknął Forsyth. - Co za operację prowadzisz? - spytał, patrząc na Nate'a.

- Mogę dostać jej numer? - rzucił Ginsburg z ekipy technicznej.

- Dobra, koniec gadki - warknął Forsyth.

Dominika usiadła koło Wołontowa, który wyjął z kieszeni grubą kopertę. Położył ją na stoliku i pchnął w stronę Bullarda. Dominika wyjaśniła, że przed zweryfikowaniem autentyczności podręcznika mogą mu zapłacić tylko pięć tysięcy dolarów. Bullard popatrzył na niego zaszokowany, ale Wołontow zachował kamienną twarz.

- No i co zrobi? Pójdzie na policję? - mruknął Ginsburg, ale Forsyth natychmiast uciszył go wzrokiem.

Dominika powiedziała Bullardowi, że wyjdą pierwsi, a on niech odczeka pięć minut przed wyjściem. Zdruzgotany Amerykanin siedział bez ruchu na swoim miejscu. Wołontow wstał, zapiął płaszcz i wyszedł. Dominika za nim. Mężczyzna został sam, pochylił się do przodu i ukrył twarz w dłoniach.

Forsyth zaczął coś szeptać do mikrofonu i dwukrotnie powtórzył nazwisko informatora.

- Przyjęcie skończone. Goście wciąż na górze. Nie ruszać się.

Żadnych ruchów. - Dwa kliknięcia stanowiły odpowiedź, że przyjęto informacje i rozkaz. Nagle Bullard wstał. - Siadaj, kurwa! - powiedział Forsyth do pierwszego laptopa. - Nie ruszaj się, ty głupku. - Po chwili Bullard opuścił pokój. Forsyth złapał radio. - Gość wychodzi. Jest w niebieskiej wiatrówce, ma torbę podróżną. Spokój. Nie ruszać się!

Wołontow i Dominika wyszli z hotelu i wsiedli do samochodu z ambasady. Agenci FBI patrzyli, jak odjeżdżają, i zaczęli się zbierać do wyjścia.

- Jeszcze nie - mruknął Gable. - Musi zejść z góry.

- Bzdury - rzucił jeden z nich. - Ruskich już tu nie ma. Musimy dorwać chuja.

Gable złapał jednego z agentów za ramię.

- Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki nie dostaniemy sygnału, jasne?

- Odpierdol się! - warknął Maratos, który właśnie otworzył drzwiczki z tyłu furgonetki.

Agenci FBI wyskoczyli z wozu i wbiegli do hotelu. Drzwi windy właśnie się otworzyły i Bullard wszedł do holu, wprost w ich objęcia. Agenci rzucili go na ziemię, wykręcili ręce i założyli kajdanki. Wokół zaczęli się zbierać goście i turyści, a niczym niezrażeni agenci postawili Bullarda na nogi i wyprowadzili z hotelu. W tym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na pracownika kontrwywiadu z Ambasady Rosyjskiej, który stał gdzieś z tyłu, a teraz opuścił hotel bocznym wyjściem.

Forsyth spakował sprzęt, a Nate zabrał podręcznik Bullarda ze skrytki, członkowie ekipy technicznej zaś pośpiesznie zdemontowali cały sprzęt z pokoju. Wszyscy spotkali się w rezydenturze.

- Cholera! - wściekał się Forsyth. - Rozerwę tego Maratosa na strzępy. To było za wcześnie. Zdecydowanie za wcześnie.

- Będziesz musiał poczekać, aż dotrze do domu - wtrącił Gable. - Pojechali od razu na lotnisko. Czekał tam na nich specjalny samolot, który miał ich zabrać prosto do Waszyngtonu. Wszystkie

te dupki miały erekcję i myślały już tylko o awansie.

- Myślicie, że Rosjanie nie zostawili swojego człowieka w hotelu? - rzucił Nate, czując, jak mu się ściska żołądek.

- Trudno powiedzieć - mruknął Gable. - Wiele osób widziało tę scenę. Na ich miejscu zostawiłbym kogoś w odwodzie.

- Fajnie - westchnął Nate. - Jadę do mieszkania konspiracyjnego, żeby poczekać na Dominikę. Dajcie znać, jakby coś wyskoczyło. - Wstał, zbierając się do wyjścia.

- Zaczekaj chwilę - rzucił Forsyth.

Nate usiadł na swoim miejscu.

- Masz zachować spokój. Nie wolno ci do niej jechać. Ani dzwonić, jasne? Żadnych sygnałów czy sprawdzania, co się z nią dzieje. Jeśli złapię cię w pobliżu rosyjskiej ambasady, rozerwę cię na strzępy zaraz po Maratosie. - Przyglądał się mu przez dłuższą chwilę. - Zrozumiano?

- Tak, jadę tylko do mieszkania konspiracyjnego. Żeby poczekać. To wszystko.

- Rozmawialiśmy już o takiej sytuacji. Nie wiemy, co widzieli Rosjanie i czy w ogóle coś zauważyli. Zaraz napiszę do Waszyngtonu depezę, w której przedstawię całą sytuację. Mam nadzieję, że wyślą tego skurwiela Maratosa do Topeki i już nigdy stamtąd nie wróci.

Nate wstał, ale na twarzy miał wypisany gniew i strach.

- Siadaj, jeszcze nie skończyłem. Teraz to, co najtrudniejsze, musisz czekać, by sprawdzić, czy twój agent jest bezpieczny. Jeśli wykonasz teraz jakiś ruch, możesz ją narazić, nawet jeśli Ruscy niczego nie podejrzewają. Musimy poczekać na wynik tej rozgrywki.

- A może skierujemy Archiego i Veronice do jej mieszkania? - zaproponował Gable, ale ta propozycja miała przede wszystkim uspokoić Nate'a.

- Nie chcę podejmować nawet takiego ryzyka - odparł For-

syth. - Ale, Marty, możesz poprosić znajomego z Supo, żeby miał oko na ulicę Tehtaankatu. Powiedz, że dostanie nagrodę, jeśli zauważy, że coś dziwnego dzieje się w ambasadzie.

Nate ponownie wstał.

- Nie przejmuj się - powiedział Forsyth.

Jak tylko wszedł do mieszkania konspiracyjnego, wyczuł Dominikę: zapach mydła i pudru, i coś jeszcze bardziej podstawowego, coś, co przywodziło na myśl ostrą woń drewna. Przez chwilę myślał, że może tu jest, ale mieszkanie było puste. Miała instrukcje, by nie przychodzić tu przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Wołontow będzie szalał, wysyłał depesze, dzwonił, więc z pewnością będzie jej potrzebował. Nate przeszedł do sypialni i położył się na łóżku. Zasnął w ubraniu i ocknął się na chwilę w nocy, żeby się przykryć narzutą. Czuł zapach Dominiki w pościeli. Obudziło go słońce.

Gable krzątał się po kuchni i robił kawę.

- Wszystko w porządku - powiedział. - Nie zdarzyło się nic dziwnego. Jedna rzecz, tylko nie mów o tym Forsythowi. Posłałem Veronicę, żeby zadzwoniła późnym wieczorem do jej drzwi. Nikogo nie było w mieszkaniu. Wygląda na to, że nie nocowała w domu. Ruscy pewnie zajmowali się cały czas tą sprawą.

Nate poszedł do łazienki i przemył twarz wodą. Wciąż czuł ucisk w klatce piersiowej. W lodówce w dalszym ciągu znajdował się pojemnik z jednym pierogiem. Przez chwilę patrzył na wyrobione jej palcami ciasto. Gable smażył właśnie omlet, ale Nate był zbyt zdenerwowany, żeby jeść.

- Nikt nie wie, jak naprawdę powinno się robić omlet - zaczął

Gable. - Nie chodzi przecież tylko o to, żeby usmażyć jajka. To bzdura. Trzeba potrząsać patelnią i mieszać, żeby się za bardzo nie wysmażył i... hej, słuchasz mnie?... był gładki. O tak. - Zebrał smażone jajka delikatnie widelcem, złapał rączkę patelni od drugiej strony, postukał naczyniem o palnik, a następnie odwrócił gwał-

townie patelnię nad talerzem. Omlet był bladożółty i bardzo delikatny. - A, kurwa, środek powinien pozostać płynny - dodał, przecinając omlet widelcem. - Chcesz trochę?

- Na miłość boską, Marty - jęknął Nate.

- Posłuchaj, możemy tylko czekać. Nie wolno nam nawet piśnąć czy spojrzeć w stronę ambasady. - Spróbował trochę jedzenia.

- Pozwól, że cię spytam, co twoim zdaniem jest najważniejsze w tej całej imprezie.

- Chodzi ci o podręcznik? O zamianę? - spytał Nate. - Pieprzę podręcznik! A co z naszą agentką? Może już zamknęli ją w piwnicy, a ty sobie w najlepsze jesz omlet!

- Tak samo jak ty chcę, żeby była bezpieczna - rzucił Gable. - Ale musimy się przekonać, czy Ruscy uznali, że mają prawdziwy podręcznik. Usłyszeć, jak klepią jeden drugiego po plecach. Centrala może sprawdzać teraz wszystkie informacje z rezydentury. Dzięki Dominice mamy wgląd w to, co się w tej chwili u nich dzieje. Na razie panuje cisza, ale może dlatego, że powzięli nadzwyczajne środki ostrożności.

- A jeśli stracimy agenta? Myślisz, że było warto?

- Sam musisz sobie odpowiedzieć na to pytanie. Ruscy będą się wysilać przez siedem lat, planując atak na coś, co nie istnieje. I co ty na to?

Nate spojrzał na Gable'a, który nie spuszczał z niego wzroku.

- Życzę ci, kurwa, smacznego! - warknął.

W południe Forsyth oderwał się w końcu od papierów, które miał na biurku. Gable dostał właśnie wiadomość od swojego człowieka z punktu obserwacyjnego. Nate'owi wcale nie spodobała się jego mina.

- Dziś rano z ambasady wyjechała furgonetka z Divą i dwiema innymi osobami. Mieli ze sobą pocztę dyplomatyczną i kierowali się w stronę lotniska.

- Codziennie w południe są loty Aerofłotu do Moskwy - za-

uważył Gable, patrząc na zegarek. - To za półtorej godziny.

- I tyle? - spytał Nate. - Co z tym robimy?

- Nic, zupełnie nic - odparł z naciskiem Forsyth. - To dlatego byli całą noc zajęci. Robili kopię podręcznika i przygotowywali przesyłkę. Teraz wiozą oryginał na lotnisko. Dominika i dwóch facetów z obstawy. Wołontow sam ją wysłał, a teraz cieszy się z sukcesu.

- Tego nie wiemy - zauważył Nate. - Może chce ją odesłać do domu pod strażą? A jeśli Dominika jest w niebezpieczeństwie?

- Nawet jeżeli to prawda, to co proponujesz? - spytał Forsyth. - Ten podręcznik musi dotrzeć do Moskwy.

- Może pojedę na lotnisko? - rzucił Nate. - Nie zrobię nic głupiego, zajmę się tylko obserwacją. Może uda nam się ustalić, co się dzieje. Przecież chcemy wiedzieć, jaka jest sytuacja, prawda? Powinniśmy o tym zameldować do centrali.

- Wykluczone, kurwa - mruknął Forsyth. - Nie chcę tam Ro-

mea, który będzie wrzeszczał do Julii, żeby wyszła na balkon.

Nate spojrzał na Gable'a.

- No nie mogę - westchnął Gable. - Ten głupek zaraz się tu rozpłacze. Tom, pojedę z nim. Nie pozwolę, żeby się potknął o własnego chuja. Może uda się ustalić, z kim pojechała, co się w ogóle dzieje. - Gable spojrzał na szefa i skinął głową.

Kiedy ten się nie odezwał, Nate i Gable narzucili płaszcze i zbiegli na dół po schodach. Nate prowadził tak, że w mgnieniu oka dotarli na miejsce. Przeszli na znajdującą się nad halą odlotów antresolę dla obserwujących. Gable pierwszy zauważył Dominikę, która siedziała nieopodal odprawy Aerofłotu. Miała na sobie ten sam granatowy kostium i białą bluzkę co w hotelu. Włosy związała wstążką. Po obu jej stronach siedzieli przedstawiciele rezydentury. Żółta płócienna torba z przesyłką spoczywała na podłodze między nogami jednego z nich. Dominika wydawała się malutka i cicha, jak grzeczna urzędniczka, która posłusznie wraca do centrali w

Moskwie.

Gable złapał Nate'a za kołnierz i zaciągnął go za grubą kolumnę.

- Stój tutaj i niczym nie machaj. Najlepiej w ogóle się nie ruszaj. Nie wiemy, jak zareaguje, kiedy cię zobaczy. Może zginąć, jeśli coś spieprzysz.

Dominika siedziała między strażnikiem z rezydentury a pracownikiem administracyjnym, który, gdy tylko się dowiedział, że odbędzie lot tam i z powrotem do Moskwy, natychmiast nakupił łośosia w puszkach i kompaktów, by to odsprzedać rodzinie i znajomym. Nie miał nawet pojęcia, kim jest seksbomba obok, i niewiele go to obchodziło. Strażnik natomiast otrzymał poufne informacje, dotyczące tej podróży. Dowiedział się, że kapral Jegorowa spotka się na lotnisku z oficerami SWR i że to im właśnie ma przekazać torbę. Miał też odebrać od nich pokwitowanie, a następnie czekał go dwudniowy urlop w Moskwie. Kropka.

Dominikę wzięły w kleszcze dwa zapachy: wody po goleniu strażnika i gotowanej kapusty, którą przesiąkło ubranie pracownika administracyjnego. Coś zwróciło jej uwagę, uniosła więc wzrok i spojrzała na antresolę. Dostrzegła Nate'a, który stał tuż obok kolumny w szklanej ścianie. Stał z opuszczonymi rękami i patrzył na nią. Szkło wokół zabarwiło się fioletowo. Poczowała, że zaparło jej dech w piersi, ale opanowała się i nawet nie drgnęła. Ich oczy spotkały się, a ona niezauważalnie potrząsnęła głową. Nie, *sołnce*, pozwól mi wyjechać, wysłała myśl przez szklaną przegrodę. Nate spojrzał na nią i skinął głową.

FRANCUSKI OMLET CABLE'A

Ubijamy jajka z solą i pieprzem. Klarujemy masło i wlewamy jajka na patelnię. Mieszamy mocno, potrząsając patelnią, aż jajka zaczną się ścinać. Przechylamy patelnię do przodu, żeby tam właśnie zebrało się więcej jajek. Przesuwamy widelcem po obrzeżach, by móc złożyć omlet do wciąż płynnego środka. Chwytny patelnię od dołu, stukamy nią parę razy, by omlet

przesunął się na brzeg, a następnie odwracamy ją i wykładamy omlet na talerz. Powinien być jasnożółty i nie do końca ścięty w środku.

21

Wołontow nie patrzył na nią, kiedy powiedział, że chce mieć streszczenie po rosyjsku podręcznika Bullarda, ale wokół jego głowy unosiła się ciemnopomarańczowa chmura. Podstęp, brak zaufania, groźba. Wyczuwała to. Musiała zostać na noc w ambasadzie. Miała się trochę przespać na kanapie w pokoju konferencyjnym tuż obok archiwum. Zbir z kontrwywiadu nie spuszczał z niej oczu. Dominika nie wiedziała, że był świadkiem spektakularnego aresztowania Bullarda w wypełnionym turystami holu hotelu Kamp, ale intuicja podpowiadała jej, że stało się coś naprawdę poważnego.

Wołontow też spoglądał na nią co jakiś czas i wyczuwała w jego wzroku groźbę dawnych czasów, z epoki stalinowskich katów: Dzierżyńskiego, Jeżowa i Berii. Bezbarwne, beznamietne spojrzenie, które sprawiało, że setki ludzi wysyłano do cel śmierci. Dominika wiedziała, że coś nie wyszło, i próbowała walczyć z narastającą paniką. Trzymali się od niej z daleka, co zawsze było złym znakiem i wskazywało, że w ruch poszła machina nieufności. Postanowiła jednak zachowywać się jak gdyby nigdy nic i udawać niewinną. Pomyślała o mieszkaniu konspiracyjnym, o Nacie i Gable'u, a potem powiedziała sobie, że nie może tego robić i musi się przygotować na to, co ją czeka. Zaczęła zamuroвывать swój umysł, chować tajemnice najgłębiej, jak umiała. Nie mogła pozwolić, by dobrali się do nich ludzie z SWR.

Na lotnisku Szeremietiewo powitało ich dwóch ubranych na szaro mężczyzn, którzy stali ramię w ramię na środku terminalu. Wzięli zapakowaną w żółty materiał przesyłkę od strażnika, który następnie odjechał oddzielnym samochodem. Oni zaś powiedzieli, że ma z nimi jechać na spotkanie, wzięli ją między siebie i odprowadzili do samochodu. W milczeniu jechała późnym popołudniem przez ulice Moskwy aż do nijakiego budynku, położonego na jej wschodnich krańcach. Wiedziała tylko, że znajdują się nie-

opodal Rizańskiego Prospektu. Wjechała na górę skrzypiącą windą, przeszła zielonym korytarzem i weszła do pokoju. Od dawna nic nie jadła i od dwóch dni nie zmieniała ubrań. Mężczyzna w okularach, który ją tu wpuścił, otworzył kolejne drzwi i zaprosił do pomieszczenia, które wyglądało jak czyjeś biuro, choć Dominika wiedziała, że wszystko tutaj jest zaaranżowane, łącznie z wazonem z różami na szafce.

Mężczyzna miał szczupłe ręce pianisty. Był łysy, a na jego czaszce widać było wgniecenie, jakby po trepanacji. Żółta bańka, jaka go otaczała, też, o dziwo, była zgięta i zniekształcona. Ten kolor oznaczał podstęp i zdradę. Mężczyzna powiedział, że wita ją w Moskwie i że Dominika zapewne cieszy się z powrotu. Szefostwo jest zadowolone z jej działalności w Helsinkach, a zwłaszcza z tego, jak poradziła sobie z informatorem. Nie, żółty kolor nie tylko go otaczał. Ten człowiek cały się z niego składał, jakby był wcieleniem podstępu i zdrady. Dominika natychmiast wyczuła śmiertelne niebezpieczeństwo.

Musiała dobrać odpowiednią postawę - ma być ciekawa, trochę zdziwiona, zmęczona po podróży. I przede wszystkim, na miłość boską, ani śladu przerażenia czy chęci ucieczki. Czy wystąpiły jakieś problemy? - spytała. Czy może poznać jego stopień i nazwisko? I to, w którym pracuje zarządzie. Założyła oczywiście, że ma do czynienia z kolegą z SWR. Pułkownik Digtar, Zarząd K, tak, jak najbardziej z centrali. Digtar, pomyślała. Ukrainiec. Światło nad głową rzucało cień na wgłębienie w jego czaszce. Zrelacjonowała po kolei wszystkie związane z operacją zdarzenia, poczynając od dostarczenia wiadomości aż po spotkanie w hotelu. Nie, nie wiedziała nic o żadnym incydencie, nie miała pojęcia o tym, że informator został aresztowany zaraz po tym, jak wraz z rezydentem opuściła Kamp. Pułkownik Wołontow nie wspominał o problemach. Digtar nie robił notatek, nie korzystał też z żadnej teczki. Wszystko więc nagrywali, obserwowali jej

twarz, jej ręce... Powstrzymała się, by nie poszukać wzrokiem ukrytych kamer. Nie patrz, nie myśl, nikt ci nie pomoże, tę podróż musisz odbyć sama.

Tej nocy zabrali jej paszport i pozwolili pojechać do domu.

Matka powitała ją na progu, początkowo zaskoczona nagłym przyjazdem, ale po sekundzie jej twarz nabrała obojętnego wyrazu, a w oczach pojawiła się pustka.

- Dominuszka, co za niespodzianka. No chodź, chodź, niech na ciebie popatrzę - powiedziała wypranym z emocji głosem.

Ostrożność.

- To taki niespodziewany przyjazd - wyjaśniła Dominika na tyle normalnym tonem, na ile było to możliwe. - Cieszę się, że jestem w domu, mamę, że mogę cię zobaczyć.

Niebezpieczeństwo. Matka i córka uściskały się, ucałowały trzy razy i znowu uściskały.

Dominika nie trzymała jej dłużej w objęciach w obawie, że się rozklei. Być może ktoś je w tej chwili obserwował, słuchał ich.

Siedziały jeszcze przez jakiś czas i Dominika opowiadała o Finach i życiu za granicą. Potem powiedziała, że musi się wyspać, bo będzie rano zajęta. Kolejne pocałunki, matka pogładziła ją po policzku, a potem poszła do sypialni. Wiedziała.

Przyjechali po nią rano i znowu zawieźli w pobliżu Riazańskiego, a ona powtórzyła swoją historię. Tym razem słuchało jej trzech mężczyzn, a na biurku stał wazon z różami, wśród których zapewne ukryto mikrofon. Żaden nic nie mówił, ale przewracali strony nieoznakowanej teczki. Czy to możliwe, żeby ten wieprz Wołontow przysłał tak szybko raport na jej temat? Wyszli i zostawili ją samą, a potem wrócili, a ona raz jeszcze powtórzyła swoją historię. Szukali jakichś zmian, sprzeczności. Nikt do tej pory nie wpatrywał się w nią tak intensywnie. To było gorsze niż w szkole baletowej, gorsze niż w Kazaniu, w szkole jaskółek. Czuła, jak ściska jej się gardło, jak narasta w niej wściekłość, ale opanowała się i bez mrugnięcia pa-

trzyła im w oczy. Nie pozwoliła im przeniknąć lodowatej tajemnicy, którą kryła w piersi.

Trwało to cały dzień, a potem pozwolili jej pojechać do domu.

Matka zrobiła *szczy*, gęstą zupę z mięsem, i mieszkanie wypełniły wspomnienia daczy, warzyw i śnieżnych ranków. Ręka Dominiki drżała; matka nie jadła, tylko siedziała po drugiej stronie stołu i na nią patrzyła. Wiedziała.

Nie grała zawodowo od piętnastu lat, ale teraz wstała i po chwili przyniosła do kuchni skrzypce. Były zwykłe, nawet w najmniejszym stopniu nie przypominały skrzypiec Guarneriego. Usiadła blisko córki, ułożyła instrument na ramieniu i zagrała wolną melodię Schumanna albo Schuberta, Dominika nie wiedziała, którego z nich. Instrument wibrował, bogate fioletowe dźwięki wzbijały się pod sufit jak kiedyś, jak z papą.

- Ojciec zawsze był z ciebie bardzo dumny - powiedziała matka, nie przerywając gry. Czy robiła to świadomie, by oszukać podsłuch? *Mamula*? Niemożliwe. - Zawsze miał nadzieję, że twój entuzjazm i patriotyzm będą ci pomagać. - Oczy miała zamknięte. - Bardzo pragnął powiedzieć ci, co myśli o systemie, w którym sam odniósł sukces. Nie odważył się jednak. Nie mówił o tym, bo chciał cię chronić. - Otworzyła oczy, ale wciąż grała jakby pogrążona w transie, pewnie i mocno dociskając palcami struny do gryfu. - Nienawidził ludzi, którzy go tworzyli, i teraz, kiedy sama masz kłopoty, z pewnością by ci to powiedział. - Skąd wiedziała? Jak się domyśliła? - Chciał ci powiedzieć. Przez całe życie. Teraz ja to zrobię - szeptała matka. - Staw im czoło. Walcz. Przetrwaj.

Wypowiedziała ostatnie słowo i skończyła grać, położyła *skripki* na stole, wstała i pocałowała córkę w czoło. Wyszła z kuchni, ale muzyka trwała jeszcze w powietrzu, a instrument był wciąż ciepły w miejscu, gdzie przytrzymała go brodą.

Następnego dnia przesłuchania przechodziła z pokoju do drugiego z jednym, dwoma, czasami trzema funkcjonariuszami, raz

usiadła tuż obok niej kobieta w kostiumie z włosami uczesanyymi w kok i otoczona czarną chmurą zła, był też pułkownik Digtiar z żółtą aureolą i wgłębieniem w czaszce, który kazał jej opisać wzór na dywanie w pokoju w hotelu Kamp. Drzwi czasami zamykały się za nią cicho, a czasami ktoś walił nimi z całej siły. „Nie wierzymy wam, towarzyszeko...”. A potem to okropne, nieprawdopodobne, niemożliwe i nieuniknione.

Jazda na wypełnionej spalinami pace furgonetki, echo podziemnego parkingu i znalazła się w więzieniu. To musiało być Lefortowo, a nie Butyrki, bo to pierwsze było przeznaczone dla więźniów politycznych. Przeprowadzono ją siłą przez słabo oświetlony korytarz i znalazła się w cuchnącej poczekalni. Kobieta i mężczyzna obserwowali ją, kiedy zdejmowała spódnicę i buty, a następnie sięgnęła do tyłu, by rozpiąć stanik. Spodziewali się, że odwróci głowę, że będzie unikała ich spojrzeń, że zasłoni piersi, ale ona była absolwentką akademii wywiadu i szkoły jaskółek. Mogli się wypchać. Stanęła zupełnie naga i patrzyła na nich, aż rzucili jej poplamione bawełniane ubranie więzienne, które potarło szorstko o materac, kiedy usiadła na jednej z dwóch pryczy w pozbawionej okien celi. Pomyślała najpierw o matce, potem ojcu, a na koniec, ku swemu zaskoczeniu, o Nacie.

Prowadzali ją korytarzami, ale, by osłabić jej psychikę, nigdy nie pokazywali innych więźniów. Strażnicy uderzali kluczami w rury, a kiedy srebrny dźwięk się powtarzał: klik-klak, klik-klak, wpychali ją do drewnianego schowka na końcu korytarza, w którym czuć było dawnymi więźniami, gdzie czekała, aż drugi patrol przejdzie dalej. Światlik barwił się na atramentowo albo żółto, pokazując, że pory dnia wciąż następują po sobie, ale światła w jej celi nigdy nie gasły, a sygnał dźwiękowy wciąż się odzywał.

Ojciec prowadził ją z jednego miejsca na drugie, a w kolejnych pokojach - ogrzanych, zimnych, ciemnych, jasnych - czekał na nią uśmiechnięty Nate. Strząsała włosy z oczu za każdym razem, kiedy

polewali ją wodą i włączali dmuchawę. Nate siedział obok i trzymał ją za przywiązaną do poręczy rękę, gdy drżała z zimna. Ani ojciec, ani on nic nie mówili, ale wystarczało jej to, że nad nią czuwają, że mogą jej dotykać. Przesłuchujący wrzeszczeli na nią lub wybuchali śmiechem tuż przy jej twarzy i pytali o zagraniczne kontakty, o Delona i Nasha. Czy pracuje dla Amerykanów? Tak swoją drogą, w obecnych czasach to nie jest problem, przecież mamy odprężenie i tak dalej. Mówili, że chcą usłyszeć jej wersję wydarzeń, a potem bili po twarzy, żeby uciszyć, i powtarzali, że Marta Jelenowa nie żyje i że praktycznie to ona ją zabiła i że zabiją też jej matkę. Bili ją tak, że miała zniekształconą, poznaczoną plamami twarz, bo przecież wszystkie jaskółki to lubią.

Zamienili noc na dzień i przesłuchiwali, wrzeszcząc, czasami przywiązywali ją płasko do metalowych stołów, nieważne, czy leżała prosto, czy głowa jej zwisała z brzegu. Dominika opierała się im z całej siły, angażując w to całą swoją wolę. Bez nienawiści, gdyż ta wydawała jej się zbyt krucha. Pielęgnowała w sobie w z g a r d ę dla tego wszystkiego, co się wokół niej działo. Poddawała się biciu, ale w żadnym wypadku nie miała zamiaru poddać się ich woli.

Nie wydawali się na tyle sprytni, by znaleźć wszystkie pęczki nerwowe, u podstawy kości ogonowej, powyżej łokci czy na podszwach, ale ich lekkie palce zawsze do nich docierały, a potworny ból rozchodził się po całym ciele, odbijał się urywanym oddechem w gardle i wydobywał na zewnątrz w postaci potwornego krzyku.

Ból nerwów był inny niż ból ścięgien, a ten różnił się od bólu zadawanego opaską zaciskową, którą zakładano jej na głowę, wprost na otarte usta. Dominika odkryła, że najgorsza jest a n - t y c y p a c j a bólu, czekanie na to, co mogą z nią zrobić. Odrobina przewodzącej prąd lanoliny między pośladkami przerażała ją bardziej niż aluminiowa końcówka, którą tam wepchnęli, bardziej niż

sam szok elektryczny, kłający ból, który wyginał jej ciało i sprawiał, że leżała bez siły, kiedy wyłączyli prąd.

Jedna z przesłuchujących zabawiała się w czasie tortur. Jej silne ręce i grube nadgarstki były poznaczone bielactwem. Przywiązana do metalowego krzesła z płóciennym oparciem Dominika patrzyła na różowawe ręce, które bez końca przesuwwały się po jej ciele, ściskając je i szczypiąc. Owalne jak u kota oczy kobiety wpiły się w twarz Dominiki. Tarantowata dłoń przesunęła się w stronę podbrzusza Dominiki i kobieta rozchyliła nieświadomie wargi z podniecenia.

Przesłuchująca pochyliła się w jej stronę, jej twarz znalazła się zaledwie parę centymetrów od twarzy Dominiki, oczy szukały oznak obrzydzenia, przerażenia czy paniki. Dominika niczego po sobie nie pokazywała i tylko wpatrywała się w jej oczy, a potem rozchyliła uda.

- No dalej, ty harpio - szepnęła wprost w jej twarz. - Dalej, zmocz swoje rękawy.

Kobieta wyprostowała się i uderzyła ją w policzek. Przykro mi, że popsułam ci zabawę, pomyślała Dominika.

I znowu walenie w rury, i znowu wpychano ją do schowka na końcu korytarza, prowadzono do celi, gdzie światło sprawiało, że czuła piasek pod powiekami, a wszechobecny sygnał ostrzegawczy brzmiał jak Schumann albo Schubert, sama nie wiedziała, który z nich. Do jej celi wrzucono twarzą do podłogi wyblakłą dziewczynę z siniakami na nogach i zakrzepłą krwią w kącikach ust, a ta chciała całą noc rozmawiać, szlochała, mówiąc, że nic nie zrobiła i jak bardzo ich nienawidzi. Ta mała żółtoskrzydła *kanariejka* potrzebowała przyjaciółki. Dziewczyna oblizwała kąciki ust, popatrzyła na leżącą na prycy Dominikę, wyciągnęła rękę i powiedziała, że jest samotna. Dominika obróciła się twarzą do ściany i zignorowała jej szorstko brzmiący głos.

Nic nie wiedzieli. Szukali czegoś, co pomogłoby im w konty-

nuowaniu śledztwa, ale ona dobrze strzegła swoich tajemnic. Wrócili do Amerykanów, chcieli, by opowiedziała im o swoim zadaniu. Pieprzyłaś się z nim? Brałaś jego chuja w ten swój ja-skółczy dziób? Codziennie miała dwie godziny bez wiązania, krzyków czy bicia po twarzy tak, że głowa odskakiwała jej na boki, a obraz przed nią się zamazywał. Po drugiej stronie stołu siadał nieznany pułkownik w mundurze z szaroniebieskimi epoletami, pasującymi do jego aureoli, wrażliwy jak Forsyth, prawdziwy artysta, a przez to jeszcze bardziej niebezpieczny. Musiała na niego uważać.

Na początku mówił cicho, spokojnie; pytał, dlaczego zdradziła swój kraj. Odpowiadała, że tego nie zrobiła, a on ciągnął, jakby jej nie usłyszał. Pytał, jakie były powody jej zdrady i w którym momencie zdecydowała się na ten krok.

Pułkownik był tak łagodny i tak pewny siebie. Jego pytania brały się z założenia - jej winy - które powoli stawało się coraz bardziej rzeczywiste. Porozmawiajmy o życiowych rozczarowaniach, powtarzał, tych rozczarowaniach, które cię do tego pchnęły. Ta logika, fantazja i fałszywe stwierdzenia zaczęły coraz częściej wdzierać się do jej zmęczonego umysłu. Może zechce pani przeczytać stenogramy z procesu Siniawskiego? Nie wiedziała, kto to taki. Dysydent, skazany w 1966 roku. Uczył, że odrzucenie przechodzi w akceptację, że może wyzwolić, wyjaśnił pułkownik. Mówił cichym, modulowanym głosem, jego niebieska bańka niemal ją pochłaniała. Musisz zachować przytomność, powtarzała sobie.

Te stare, toksyczne, beznamiętne stenogramy miały działanie niemal hipnotyzujące, odnosiła wrażenie, że bierze udział w tej pokazówce. Czuła, że stacza się w przepaść. Mozolne, ciągłe zaprzeczanie poszczególnym oskarżeniom sprawiło, że była coraz bliższa narzuconej jej przez pułkownika ogólnej koncepcji własnej winy. To przecież bardzo proste, powiedział, muszą tylko ustalić,

jak, kiedy i jak bardzo zblądziła.

Ten miły pułkownik w wyprasowanym mundurze niemal ją złamał, ale w końcu nie zdecydowała się skoczyć w czarną dziurę. Nazywa się Dominika Jegorowa. Była baleriną. Jest wyszkolonym podoficerem SWR, jaskółką, która miała manipulować innymi. Kochała i była kochana. Zamknęła oczy i wzbiła się wysoko nad Moskwę, ogarniając wzrokiem rzekę i okoliczne pola i lasy, a potem ślizgiem spłynęła nad Butowo, nad niewielki zmrożony kopczyk, który skrywał ciało Marty Jelenowej.

To Marta dała jej siłę i Dominika zdołała się wyrwać z otchłani, wycofać w głąb siebie, wykorzystując to wszystko, czego sami ją nauczyli, z halucynacjami włącznie. Przyjęła je. Leżała w celi i czuła, że jest w Helsinkach, a gorące światło na jej powiekach było skandynawską księżycową poświatą. A potem poczuła go na sobie. Gorączka i dreszcze były jego pieszczotami. W jej zainfekowanym oku pojawiły się łzy miłości, które on szałowywał. Obróciła się na materacu i wepchnęła dłonie pod brzuch, żeby powstrzymać ból nadgarstków.

Mimo że ręce miała odrętwiałe od pasów, czuła, że jest coraz silniejsza. Dotknęła ukrytej w swoim wnętrzu tajemnicy - leżała głęboko, ale jednak mogła ją wyczuć. Tajemnica, która przetrwała w jej duszy, do której nie pozwoliła im się dostać, znowu rozgorzała dawnym ogniem. Mogła o niej myśleć, wiedząc, że nie pozwoli im jej dotknąć. Matka powiedziała jej, by stawiała im czoło, walczyła i przetrwała. Kiedy ona stawała się coraz silniejsza, jej przeciwnicy słabli. Zdarzało się, że blakły ich kolory, jakby oblużowały im się bezpieczniki.

Mówiła im, wciąż im powtarzała, że nie zrobiła nic złego, że nie mogą nic z niej wydobyć, bo niczego nie ukrywa. Im głośniej wrzeszczeli, tym bardziej była szczęśliwa. Tak, szczęśliwa - uwielbiała swoich katów, uwielbiała turkusowego pułkownika. Wszyscy oni wiedzieli, że to nie może trwać wiecznie, zaczynało

im brakować czasu. Jeśli nie uda im się wymusić przyznania się do winy, zostaną z pustymi rękami.

Wysoko nad blankami dachów Lefortowa, Łubianki i Jasieniewa powietrze aż drżało od podstępnych informacji, pytań i odpowiedzi, planów i ostatecznych terminów. Z Waszyngtonu napływały informacje na temat sprawy Bullarda. Waszyngtońska rezydentura rozpuściła wici. Zapraszano informatorów na lunche albo spotykano się z nimi w podziemnych garażach, na ścieżce rowerowej nad kanałem Chesapeake i Ohio czy też ciemnych brukowanych uliczkach Georgetown i Alexandra. Z amerykańskiego Departamentu Sprawiedliwości wyciekła wiadomość, że Bullarda obserwowano prawie rok, zanim skontaktował się on z rosyjską rezydenturą w Helsinkach. Już wcześniej planowano jego aresztowanie w Waszyngtonie, ale jego wyjazd zmusił władze do działania.

Oficjalne źródła amerykańskie starały się bagatelizować utratę podręcznika - niewiele z tego podano do publicznej wiadomości, ale jeden z „wysoko postawionych urzędników” określił incydent jako „wielki uszczerbek dla systemu bezpieczeństwa USA”. Zaraz też pojawiły się głosy w Kongresie i śledztwo w sprawie ustalenia odpowiedzialności za to, co się stało. Wahania i wzajemne oskarżenia stanowiły część ogólnego planu stworzenia zasłony dymnej dla Rosjan, którym to przedsięwzięciem zarządzał szef kontrwywiadu, Simon Benford. Miał on tylko jeden cel - utwierdzić Rosjan w przekonaniu, że dostali autentyczny podręcznik. A gdyby przy okazji można było oczyścić Divę z zarzutów - jeśli w ogóle żyła - tym lepiej.

Zarządy R (analiza) i X (nauka) SWR przedstawiły swoje raporty. Wstępne badania dokumentu na temat Systemu Łączności Krajowej USA wskazywały, że jest autentyczny i bardzo wartościowy. Oficerowie z Zarządu T, eksperci od komunikacji z FAPSI i naukowcy z Petersburskiego Państwowego Uniwersytetu Tech-

nicznego wraz z Ministerstwem Obrony zajęli się badaniem tej książki, by móc określić słabe strony amerykańskiej sieci komunikacyjnej. Zażądano funduszy na rozwój tego projektu, tak by rozwinąć programy i aplikacje oraz inne narzędzia, z których będzie można skorzystać w przyszłości.

Ponieważ wszyscy chcieli wierzyć, że mają do czynienia z autentykiem, szybko osiągnięto porozumienie z książętami z Kremla. Materiał był autentyczny, co było prawdziwą gratką, nawet jeśli Amerykanie wiedzieli o stracie podręcznika. A samo wyrwanie książki wprost z zębów amerykańskich wywiadowców stanowiło triumf taktyczny i pokaz rosyjskich możliwości wywiadowczych. Aresztowanie Bullarda było zaś nieszczęśliwym wypadkiem, wynikającym zapewne z jego głupoty, niezdatności i chciwości. Kreml nie przejmował się jego losem. Amerykanie mieli go teraz na trzy kolejne dożywotnie wyroki.

Duma wyraziła swoje uznanie dla Wołontowa i działalności helsińskiej rezydentury. Późnym popołudniem w kapiącej od złota Komnacie Graniastej Wielkiego Pałacu Kremlowskiego, z dwugłowym orłem nad drzwiami, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś wisiały czerwone gwiazdy, odbyła się ważna uroczystość. Pierwszy zastępca dyrektora SWR Jegorow dostał drugą gwiazdkę generalską. Sam prezydent Putin wręczył mu podłużny filcowy futerał z gwiazdkami, pocałował trzykrotnie w policzki, a następnie uśmiechnął się doń krokodyło, co było wyrazem największej aprobaty. Ta ceremonia zbiegła się z weekendem, więc wypuszczenie Dominiki opóźniło się o dwa dni.

W poniedziałek po śniadaniu Wania Jegorow wykonał w końcu parę telefonów. Zadzwoił do kontrwywiadu, do Zarządu Docho-
dzeń Wewnętrznych i w końcu do Federalnej Służby Więziennej, spadkobierczyni gułagów, odpowiedzialnej za egzekwowanie wyroków. Wszędzie przedstawiał się jako generał broni, pamiętając o swojej drugiej gwiazdce. Chciał zakończyć całą sprawę.

Wyglądało to kiepsko, Dominika była córką jego brata. Nie, nie chce, żeby przeszli na drugi poziom. Nie, nie pozwala na wykorzystanie narkotyków i deprywację sensoryczną. Koniec z elektrowstrząsami. „Co się z wami, do cholery, dzieje?!”. Takie środki są dla zdrajców, jak ten kret, którego wciąż nie możemy złapać, pomyślał. „Jeśli do tej pory nie przyznała się do winy, to znaczy, że nie ma się do czego przyznawać. Sam diabeł wie, co wydarzyło się w Helsinkach, kiedy ten *slizniak* Wołontow zarządzał całą operacją. Trzeba ją umyć i odesłać do domu. Jej matka się martwi, a ja chcę, żeby jak najszybciej wróciła do pracy”, zakończył z ojcowską troską.

Sam pułkownik Digtiar przyniósł pudło z jej rzeczami do celi i stał, czekając, aż się rozbierze i zwróci więzienne ubranie, które stanowiło własność państwa. Ubierała się przed nim, ukazując sińce na rękach i nogach, sterczące żebra, poznaczone krwawo paznokcie. Skończyli wszystko bardzo szybko. Zaprowadzili ją na górę do zakratowanych drzwi i wyszła na zaśnieżoną ulicę, pełną samochodów i autobusów. Dominika przeszła ostrożnie po śniegu wśród spalin, by poczuć pod stopami ziemię, a jej oddech unosił się białymi obłoczkami nad jej głową. Bardziej teraz utykała i czuła pulsujący ból stopy, ale starała się koncentrować na ruchu ramion i na tym, by wyprostowana oddalić się od więziennych murów. Spod mankietów płaszcza wystawały jej posiniaczone nadgarstki.

Więzienie majaczyło się Dominice, gdy spała czy siedziała na fotelu w salonie, kiedy matka prała pościel kwaśną od trucizny, która zaczęła opuszczać jej ciało. Wchodziła do szafy i zamykała się, by raz jeszcze przywołać doświadczenia z więziennych korytarzy - te zapachy i kolejne metaliczne postukiwania: klik-klak, klik-klak. Towarzyszyła jej miła świadomość, że będzie mogła wyjść na światło dzienne, kiedy tylko zechce. Wiązała nadgarstki pończochami i zębami zaciągała węzeł, by poczuć pulsujący ból. Kiedy te straszne pragnienia ją opuściły, płakała cicho, a łzy pły-

nęły po jej policzkach. Matka grała teraz codziennie po pół godziny na skrzypcach, a Dominika siadała na podłodze i rozciągała oraz podnosiła nogi, aż zaczynał ją boleć brzuch i drżały jej ramiona. Pierwszego wieczoru umyła ją *mamula*, a ona tylko siedziała w wannie. Teraz jednak myła się sama i patrzyła na znikające powoli sińce i gojące się ciało. Dochodziła do siebie, a świadomości, że ocalała, zaczęła towarzyszyć szkarłatna *coda* wściekłości, która co jakiś czas ją otaczała. Było to głębokie uczucie, nad którym potrafiła panować i którym mogła karmić swoją nienawiść.

Dominika Jegorowa siedziała na krześle przed pustym biurkiem wuja w centrali SWR w Jasieniewie. Na dworze widać było ośnieżony sosnowy las, który prawie nikł w bieli, a dalej puste pola i płaski horyzont. Przez wielkie okna wpadało światło słoneczne, oświetlając połowę twarzy wuja, ale też sprawiając, że druga połowa nikła w mroku. Połowa jego zwierzęcej żółtej aury była zacieniona, a druga lśniła w słońcu. Wania Jegorow rozsiadł się na krześle, zapalił papierosa i spojrzął na bratanicę. Miała na sobie prostą, zapiętą aż pod szyję białą bluzkę i granatową spódnicę. Bardzo starannie uczesała swoje ciemne włosy. Wydawała się chudsza i bardziej blada.

- Witaj, Dominiko - powiedział takim tonem, jakby właśnie wróciła z rejsu po Wołdze. - Pragnę ci przekazać, że wszelkie nieprzyjemności już się skończyły. Dochodzenie w sprawie Hel-sinek jest zamknięte.

- Tak - powiedziała, patrząc na jakiś punkt za jego plecami.

Wania przyjrzał jej się uważnie.

- Nie powinnaś się tym przejmować. Każdy aktywny oficer operacyjny jest narażony na takie przesłuchanie. Na tym polega nasza praca.

- Czy naprawdę nasza praca polega na tym, żeby nas polewali wodą i sadzali związanych przed wentylatorem? - spytała wypranym z emocji głosem.

Wania zrobił kwaśną minę.

- Zwierzęta - mruknął. - Każę zbadać tę sprawę.

Już raczej zajmiesz się własnym awansem, pomyślała. Zaraz też wykonała gest w stronę nowej, wiszącej na ścianie tabliczki.

- Gratuluję - bąknęła.

Wania spojrział na list pochwalny i wstążkę i sięgnął do rozetki w kłapie garnituru.

- Tak, bardzo dziękuję. Ale co mam z tobą zrobić?

Jakbym miała jakiś wybór, pomyślała. Coś jednak krążyło jej po głowie.

- Skoro wróciłam, zrobię, co będziesz chciał, ale z całym szacunkiem, nie chciałabym wracać do Piątki. Czy nie mogłabym przyjąć propozycji generała Korcznoja i rozpocząć pracy w wydziale Ameryki?

- Spytam. Jestem pewny, że się zgodzi.

- I coś jeszcze - dodała. Pomyślała o nich wszystkich, o więzieniu i poczuła, że ścisnęło jej się gardło. Wiedziała, że się zaczerwieni („Nr 47. Należy udawać prawdziwe emocje za pomocą odpowiednich wyobrażeń”). Wania czekał. - Chciałabym jeszcze pracować nad Nashem - zakończyła gwałtownie.

Wania wbił w nią wzrok i oparł się o tył krzesła. Patrzył na nią z namysłem.

- Dziwna prośba - rzucił. - Wiesz, że pułkownik Wołontow uznał twoje postępy w tej sprawie za niedostateczne?

- Z całym szacunkiem, pułkownik Wołontow to wół, który nie ma pojęcia o działaniach operacyjnych. Nie robi nic, żeby uzyskać informacje. Teraz, kiedy uwolniłam się od jego lubieżnych spojrzeń, wszystko mi jedno, co o mnie myśli.

Wania spojrział w okno.

- A co z Nashem? - spytał.

- Bardzo się z nim zaprzyjaźniłam - odparła. - Spotykałam się z nim co tydzień, tak jak chciałeś. Zanim opuściłam Helsinki,

doszło między nami do zbliżenia...

- I wydaje ci się, że mogłabyś określić jego ruchy? - Wciąż patrzył w okno, a obłok wokół niego stał się jeszcze bardziej żółty. Zgodzi się, pomyślała Dominika. Ta sprawa jest dla niego bardzo ważna.

- Bez wątpienia - odparła. - Mimo opinii pułkownika Wołontowa Nash był mną coraz bardziej zainteresowany. - Dominika nie odrywała oczu od wuja. - Niestety, więzienie i przesłuchania zakończyły ten romans...

Wania ważył jej słowa. Koniecznie musiał zrobić coś w sprawie kreta. Jego bratanica znała Amerykanina lepiej niż ktokolwiek i z całą pewnością była zmotywowana do działania. Ale teraz wydawała się inna - Lefortowo bardzo ją odmieniło - jakby miała obsesję na punkcie Nasha. Czy to możliwe, że się w nim zakochała? A może wolą wyjechać z Rosji na Zachód? Czy...?

- Oczyszczono mnie ze wszystkich zarzutów - powiedziała, czytając mu w myślach. - Mam wrócić do pracy z czystym kontem. Nikt inny nie potrafi wykryć rosyjskiego zdrajcy. Ta operacja to dla mnie prawdziwe wyzwanie. Znowu chcę zagrać przeciwko nim wszystkim.

- Jesteś bardzo pewna siebie.

- Tak. Ty też powinieneś na mnie polegać. Jestem twoim dziełem.

Widziała, że aż się unióśł na krześle przy tych słowach. Jego próżność przypominała wielki żółty balon.

- A jak chcesz teraz zacząć? - spytał.

Wiedziała, że musi uważać.

- Sama nie wiem. Zdam się na rady twoje i generała Korcznoja.

- Generał nie bierze udziału w tej operacji - odparł Wania.

- Wydawało mi się, że to jego wydział powinien zajmować się tą sprawą, ale jeśli...

- Zastanowię się, czy wtajemniczyć Korcznoja w sprawę - przerwał Wania.

Wujaszek mówi, że będzie o tym myślał, chociaż już podjął decyzję, zaśmiała się w duchu.

- Dostosuję się do twojej decyzji. Ta sprawa musi być potraktowana oddzielnie, więc będę się kontaktować bezpośrednio z tobą albo z kimś, kogo wyznaczysz.

- Wiesz, że Nash kończy służbę w Helsinkach? - Spojrzał na nią, spodziewając się jakiejś reakcji, ale nic nie zobaczył.

- Nie wiedziałam - odparła. - Ale to przecież nie ma znaczenia. Przed nami się nie ukryje.

W Jasieniewie znowu pojawiły się plotki. Mówiło się o powrocie bratanicy Jegorowa z Finlandii i że to właśnie tam służby odnotowały prawdziwy sukces, o którym jednak nie wolno mówić. Czy Jegorowa miała z tym coś wspólnego? Plotki na temat dochodzenia? Zwykle wykroczenie czy coś innego? Wyglądała tak samo, ale była jakaś inna, szczuplejsza. W jej spojrzeniu pojawiły się iskry szaleństwa. W tej chwili miała własny gabinet w wydziale Ameryki Korcznoja. Specjalne zadanie dla bratanicy pierwszego zastępcy dyrektora? Tego się można spodziewać... Ale to nie tylko *siemiejstwiennost'*, przejaw zwykłego nepotyzmu. Wystarczy spojrzeć na te oczy, które nikomu nie wybaczą. To nie są oczy małej baleriny.

Dominika napisała podanie do generała Korcznoja i została przyjęta. W czasie spotkania generał zamilkł na chwilę i spojrzał na nią spod krzaczastych brwi, otoczony majestatyczną fioletową peleryną.

- Gratuluję męstwa w Lefortowie - rzekł cicho, a Dominika się zarumieniła. - I nie będziemy już o tym więcej mówić.

Tego popołudnia Korcznoj zasiadł z kieliszkiem brandy w gabinecie pierwszego zastępcy, a Wania wtajemniczył go w szczególności sprawy oraz relacji między Dominiką i Nashem, a także

omówił kwestię jej pracy w wydziale Ameryki.

- Tak, to najlepsze miejsce, by nad tym pracować - zgodził się Korcznoj.

- Wiesz, Wołodia - Wania zwrócił się do niego jak do starego druha. - Potrzebuję twojej wyobraźni, by jakoś ruszyć tę sprawę.

- Jestem pewny, że coś razem wymyślimy - odparł Korcznoj.

Wania ponownie napełnił kieliszki. - Musimy tylko utrzymać to w sekrecie. - Wypił odrobinę alkoholu. - Nie chcemy przecież, żeby kret zorientował się, że wokół jego szyi zaciska się pętla.

SZCZI - ROSYJSKA ZUPA Z KAPUSTY

Przez dwie godziny gotujemy w wodzie pokrojoną w kostkę wołowinę, cebulę, seler, startą marchew i czosnek w ząbkach. W oddzielnym garnku zalewamy kwaśną kapustę i kwaśną śmietaną wrzątkiem i wstawiamy na pół godziny do średnio nagrzanego piekarnika. Gotujemy do miękkości pokrojone ziemniaki, seler i grzyby. Łączymy wszystkie składniki, dodajemy do smaku soli, ziaren czarnego pieprzu, liści laurowych i majeranku i gotujemy jeszcze przez dwadzieścia minut. Następnie owijamy materiałem i wstawiamy do słabo nagrzanego piekarnika na następnych trzydzieści minut. Podajemy z kwaśną śmietaną i koperkiem.

Nathaniel Nash szedł bez celu jasnozielonym korytarzem w kwaterze głównej CIA. Hol był pusty, wypastowana podłoga przechodziła najpierw w korytarz D, a potem korytarz E, w którym znajdowały się pomieszczenia dyrektoriatu wywiadowczego. Dla oficera operacyjnego wejście na teren tego dyrektoriatu było jak wtargnięcie w obręb tajemniczej dżungli. Na rogach pojawiały się głowy, które natychmiast znikały, ktoś delikatnie otwierał drzwi i zaraz je zamykał. Przechodzący w ryk śmiech, wyjec pod baldachimem gałęzi, dźwięki z drugiej strony strumienia, uderzenia pałeczek o pień drzewa tekowego.

Helsinki były tylko wspomnieniem, koszmarem. Dominika zniknęła, rozplynęła się, sytuacja nieznana, stan nieznany, „kontakt z agentką zerwany”, trzeba zaczekać, aż się znowu pojawi, może ktoś z jakiejś rezydentury spotka ją na przyjęciu w którejś części globu, może za dziesięć lat, może nigdy. Lub też inny oficer dowie się, że jest w łagrze albo ktoś z białego wywiadu znajdzie w moskiewskiej „Prawdzie” notatkę, że nie żyje. Ciągły podsłuch rezydentury w Helsinkach nie przyniósł żadnych informacji na temat jej losu.

Miesiąc po jej odlocie Nate poprosił Forsytha o bezpłatny urlop. Dodał też prostodusznie, że ma zamiar pojechać prywatnie do Moskwy i samemu dowiedzieć się, co się z nią stało. Forsyth, którego zwykle trudno było wyprowadzić z równowagi, aż zagołował się ze złości.

- Chcesz jechać do Moskwy? - spytał wściekły. - Oficer CIA, który zna tamtejsze operacje, chce bez immunitetu dyplomatycznego znaleźć się w Rosji? W dodatku taki, co do którego SWR ma pewność, że brał aktywny udział w operacjach. To właśnie chcesz mi zakomunikować?

Nate nie odpowiedział. W biurze natomiast pojawił się Gable, który usłyszał krzyki.

- Jakie masz plany, Nate? - spytał Forsyth. - Chcesz wziąć szturmem Łubiankę i wysadzić drzwi do jej celi? A potem może uciec z nią na lotni na Zachód?

- Trochę za daleko - zauważył Gable. - Inaczej byłby to świetny plan.

- Powiem to tylko raz - ciągnął Forsyth. - Nie masz ani mojej zgody, ani zgody agencji na bezpłatny urlop, podróż do Moskwy czy nawet myślenie o tym, jak dostać się do Rosji. Nie wiemy, czy Diva ma kłopoty ani gdzie i w jakim charakterze przebywa. Musimy czekać na wiadomości, zbierać informacje.

Nate oklapł zupełnie na swoim miejscu.

- W końcu się dowiemy, co się z nią dzieje - dodał Forsyth. - Nie jesteś odpowiedzialny za to, co się stało. Nie ty popełniłeś błąd. Diva jest naszym agentem. Staramy się chronić naszych agentów, robimy wszystko, co w naszej mocy, ale czasami nie można zapobiec najgorszemu. Czasami ich tracimy, mimo zabezpieczeń i starań. Rozumiesz?

Nate skinął głową.

- Czyli, mówiąc prosto - podsumował Gable, gdy znaleźli się sami - masz się zamknąć i siedzieć cicho. Czeka na nas robota. Przestań, kurwa, krążyć tu z nieszczęśliwą miną, bo czuję się, jakbym trafił do powieści Jane Austen!

Centrala uznała, że lepiej będzie go przenieść do CE/ROD, Biura Środkowej Eurazji, Rosyjskiej Sekcji Operacyjnej. Było to „cmentarzysko słoni” dla powracających z Moskwy agentów ze starganymi od ciągłej obserwacji nerwami. Trafiali tam też oficerowie, którzy przypadkiem wpadli na Rosjan w Malezji, Pretorii czy Caracas, oraz kilku prawiczków, szykowanych na Moskwę nadętych i poważnych, bez tej ściskającej dupę wiedzy, jak czuje się oficer, od którego zależy życie jego agenta.

Szef ROD zajmował biuro w Langley. Było to małe pomieszczenie na rogu budynku z zaplombowanym oknem z podwójną

szybą, wychodzącym na potrójny dach kantyny między dawnymi a nowymi budynkami kwatery głównej. Szef ROD był mały i chudy, miał pięćdziesiąt parę lat, plamy wątrobowe na policzkach i skąpe siwe włosy, zaczesane na czubek łysiny. Szorstkie siwe wąsy i druciane okulary sprawiały, że wyglądał na profesora, a rząd fajek na jego biurku jeszcze pogłębiał to fałszywe wrażenie, bo w tym człowieku nie było nic z naukowca.

Był starą kurwą z kilkoma zagranicznymi zadaniami w dorobku. Na początku pracował nad Kubańczykami, a potem przeniesiono go do Rosjan, kiedy ujawniono, że cała stajnia kubańskich agentów - pół setki ludzi, którzy przez trzydzieści lat dostarczali różnych informacji - pracowała, z dwoma wyjątkami, na dwie strony i wypełniała rozkazy Generalnej Dyrekcji Wywiadu w Hawanie. Ta informacja do tego stopnia zniechęciła paru starszych oficerów, którzy angażowali się przez wiele lat w operacje na Kubie, że efekt byłby chyba mniejszy, gdyby DGI wysadziła kubańską sekcję CIA. Obecnie szef ROD zajmował się sprawami Rosjan na całym świecie, prowadzeniem wielu agentów, a wśród nich tymi, którzy dostarczali ważnych informacji. Marmur wciąż znajdował się poza jego zasięgiem, ale byli inni, także nowi i obiecujący.

Zawsze rano czytał „codzienne wiadomości” - niegdyś gruby plik telegramów, a teraz zwoje depeesz, przesuwających się po ekranie jego komputera. Młodzi oficerowie z rezydentur z całego świata meldowali w nich o swoich „osiągnięciach”. Tworzyły one globalną paletę zdarzeń od Rio do Singapuru czy Stambułu, opisy kontaktów, pączkujących przyjaźni, zakrapianych alkoholem spotkań, kiedy to chodzili na czworakach z sekretarzami czy attachés z ambasad lub, co było najbardziej wyczerpujące, ludźmi podejrzanymi o to, że pracują dla SWR lub GRU.

Najnowsza depesza sprawiła, że się zamyślił. Młoda, towarzyska żona jednego z oficerów, wysłanego do pylistej stolicy państwa w Afryce, meldowała, że podała przepis babci na placki nowej

żonie majora GRU. Kobiety zbliżyły się, kiedy Rosjanka rozpłakała się nad tacą złocistych ciasteczek. Tęskniła za domem i myślała o swojej babci. Trzeba jej dać te placki, a może major się złamie, pomyślał szef sekcji rosyjskiej.

W tym całym zamieszaniu co jakiś czas udawało się kogoś naprawdę zwerbować. Jakaś potrzebująca dusza odpowiadała *da* na łagodną, zawoalowaną, przyjazną czy po prostu biznesową propozycję. A wtedy wymiana informacji się nasilała, centrala zaś i rezydentura angażowały się w proces obróbki, oceny, uzyskiwania, a w paru cudownych przypadkach również szkolenia wewnętrznego i powrotu informatora do Moskwy.

Jak zwykle było z tym sporo problemów. Cele werbunku traciły chęć do współpracy wraz z nastaniem ranka i nasilającym się kacem. Inni nie mogli - nigdy nie śmieli - narazić się na gniew systemu. Jeszcze inni wymykali im się, po prostu meldując przełożonym o propozycji Amerykanów. Tych najczęściej odsyłano jak najszybciej do Moskwy, żeby znaleźli się poza „wrogim” zasięgiem.

Ta gra miała też swoją ciemną stronę. Należało pamiętać, że tamci też nie zasypiają gruszek w popiele. Co jakiś czas wybuchała bomba, a czasami cała ich seria, i okazywało się, że gdzieś tam na świecie Rosjanie próbowali zwerbować młodego oficera CIA, zwykle za pomocą jakichś argumentów albo starając się wykorzystywać słabe punkty amerykańskich służb wywiadowczych. Ostatnio taka sytuacja miała miejsce po tym, jak Kongres zamroził płace CIA. Rosjanie pytali wtedy dokoła: „Kto potrzebuje pieniędzy?” albo „Kto jest rozczarowany?”.

W tym zmiennym świecie szef ROD miał jeszcze jeden palący problem. Zastanawiał się, jak mógłby otworzyć drzwi klatki i wypieprzyć Nasha ze swojego biura gdzieś w teren. Na szczęście informacja, która dotarła covcomem, pozwoliła mu znaleźć wyjście.

Szef sekcji rosyjskiej znał Nate'a i jego osiągnięcia. Dostrzegając w nim wewnętrzny ogień, domyślał się osobistych motywacji, rozpoznawał wątpliwości myślącego oficera prowadzącego, które znał z autopsji, i wiedział, że mogą one popsuć smak sukcesu i wpędzić w ponure myśli. Znał sprawę Divy i wiedział, ile dla niego znaczyła. Teraz podszedł do drzwi i oparł się o framugę. Marty Gable wydarłby się na cały głos, żeby zawołać podwładnego, ale on był cichszy i kiedy Nate go zauważył, szef kiwnął na niego głową, zapraszając do biura.

- Dostaliśmy sygnał od Marmura - zaczął. - Przyjeżdża na parę dni do Nowego Jorku na Zgromadzenie Ogólne ONZ. - Nate wyprostował się na krześle niczym pies myśliwski. - Nie widzieliśmy go od dłuższego czasu, będzie sporo spraw. Możesz zacząć przygotowania? - Szefa ROD rozbawił wyraz twarzy Nate'a. - Przedstaw się Benfordowi z kontrwywiadu. Chce, żebyś zajął się najpierw ustaleniami kontrwywiadu, a potem oczywiście obecną sytuacją dotyczącą bezpieczeństwa Marmura.

Nate skinął głową i wstał.

- Jeszcze chwila. Tylko nie... palnij ani nie zrób niczego głupiego przy Benfordzie. Naprawdę się postaraj. Rozmawiałem z nim o spotkaniu z Marmurem i pozwól, że go zacytuję: „Powiedz jego oficerowi prowadzącemu, że ma mnie przerazić swoją inteligencją i umiejętnościami organizacyjnymi”.

Nate obrócił się w jego stronę.

- Zrozumiałeś?

Skinął głową i wyszedł. Szef sekcji rosyjskiej zauważył, że po raz pierwszy od paru miesięcy nie jest ponury.

PLACKI Z SEREM I ZIEMNIAKAMI

Ścieramy grubo cebulę i ziemniaki, a następnie odsączamy i odciskamy. Do ubitych jajek dodajemy pokrojonego sera gruyère, mąki i przetartego czosnku, a następnie mieszamy z ziemniakami i cebulą na gęstą masę. Placki o średnicy około siedmiu centyme-

trów smażymy po oby stronach na złotobrazowy kolor. Podajemy z sosem z przyprawionego szpinaku uduszonego w śmietanie.

23

Marmur był zbyt ważnym agentem, by mógł się nim zająć nowojorski oddział CIA. Dlatego ROD pominął jego szefa, kłótliwego, krotkonogiego pochlebcę, znanego z tego, że lubi poklepywać po plecach i potrafi wyzebrać bilety na wszystkie imprezy sportowe w mieście. Wyłączono go ze sprawy i w ogóle nie wiedział, co się dzieje. Marmur miał spotkać się z Nate'em w nocy, po zakończeniu spotkań w ONZ.

Moskwa, Helsinki, Nowy Jork. Zaczęli od tego, na czym skończyli; zawsze brakowało czasu na to, by dowiedzieć się, co nowego u agentów wewnętrznych, przede wszystkim trzeba było uzyskać od nich jak najwięcej informacji. Nate siedział z Marmurem w pokoju niewielkiego hotelu, położonego we wschodniej części miasta już poza centrum. Stolik, dwa krzesła, dalej łóżko, na które rzucili wierzchnie ubrania. Było już późno i docierał do nich szum samochodów z FDR Drive. Palily się dwie lampy, a mężczyźni przesunęli swoje krzesła do stolika. Marmur chwycił Nate'a czule za rękę.

Nate wolną ręką nalał wody z karafki i podał szklankę Rosjaninowi.

- Dobrze wyglądasz - zaczął.

Na szafce obok stała taca z kanapkami, sałatką i buteleczką sosu winegret, ale oni nie tknęli jedzenia.

Marmur uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Praca wre - mruknął. - W centrali chwalimy się sukcesami, żeby się sobie nawzajem przypodobać. Bawimy się w *myszynyje woznia*, mysie harce, niewiele z nich ma jakieś znaczenie. - Puścił jego dłoń, oparł się o tył krzesła, wypił trochę wody i spojrzał na zegarek. - Zostało mi tylko pół godziny. Za dwa dni powinienem być wolniejszy. Mam jednak ciekawe informacje. Wydaje mi się, że Zarząd S ma w Stanach nielegała. Prowadzą go z Nowego Jorku, ale wydaje mi się, że operuje na terenie Nowej Anglii, bo spotkania

z nim odbywają się w Bostonie. Nie powinienem o tym wiedzieć, ale pytali mnie o dogodne miejsca do spotkań. Sprawa jest zaawansowana, ten nielegal przebywa w Ameryce już od dłuższego czasu, moim zdaniem około pięciu lat.

- Czy można go jakoś zidentyfikować?

- Nie mam na jego temat żadnych informacji. Ale jest coś jeszcze, co może być z tym związane, chociaż to tylko domysły. Pojawiły się nowe raporty. GRU bardzo się nimi interesuje. Ktoś dotarł do waszego morskiego programu balistycznego.

- Nowe raporty? Co to za informacje? Wiesz coś na temat ich źródła?

- Wygląda na to, że to ktoś z obsługi technicznej. Pojawiły się informacje o przebudowie starych okrętów. Typu Poseidon, nie, raczej Trident. Niektóre są bardzo skondensowane.

- Skondensowane? To znaczy szczegółowe? - spytał Nate.

- Tak. Czytałem podsumowanie. Informator bierze udział w tym programie. Tak to przynajmniej wygląda. - Marmur napił się jeszcze wody. - Ale jest w tym coś dziwnego. Jestem szefem wydziału Ameryki, a nie słyszałem o żadnym aktywnym informatorze na tych terenach. Ponieważ GRU tak bardzo zainteresowało się tą sprawą, zakładam, że wcześniej nie prowadzili tego agenta. To są dla nich nowe informacje.

- Więc co to znaczy?

Marmur zaczął wyliczać na palcach.

- Nowe raporty. Nie znam informatora, który mógłby przekazywać te informacje. Nielegal w Stanach. Więc może to Zarząd Sgo prowadzi, i on pracuje w marynarce wojennej - zakończył Rosjanin.

- Ale te raporty dopiero się pojawiły, a mówisz, że przebywa tu od pięciu lat? - dopytywał się Nate.

- Właśnie! Przez pięć lat uważał i tworzył legendę operacyjną, a teraz znalazł dostęp do informacji i zaczął działać. Doskonała

kombinacja: niewidoczny kret, który dochrapał się jakiegoś ważnego stanowiska.

Nate kiwnął głową i zapisał coś w notatniku.

- A co z tym informatorem dyrektora, o którym mówiłeś w Helsinkach? - spytał jeszcze. - Masz coś więcej na ten temat?

- Nic. Wiem, że to bardzo ważne, więc wciąż słucham i patrzę.

Jedna rzecz może być z tym związana... Siedziałem któregoś dnia w gabinecie dyrektora, kiedy wszedł Jegorow i powiedział, że jest coś nowego od Lebedia. Nie wiedział, że słyszę.

- Łabędzia? - powtórzył Nate.

- Tak.

- Myślisz, że to kryptonim tego kreta?

- Właśnie - padła odpowiedź.

- Coś jeszcze? Jakies inne wskazówki?

- Tylko to, co powiedziałem. Ale Łabędź musi być bardzo wysoko postawioną osobą, inaczej nie zajmowałby się nim sam dyrektor. W moim wydziale nie ma o nim nawet słowa. Żadnych protokołów na temat jego prowadzenia czy depeesz operacyjnych.

- A co ty o tym myślisz? Jakies konkluzje?

Marmur napił się jeszcze wody.

- A takie, *dorogoj drug*, że ten kret działa w Waszyngtonie, w waszym rządzie.

- Ale jak go znaleźć?

Marmur wzruszył ramionami.

- Zająłbym się uważną obserwacją. Poza tym możecie lepiej przyjrzeć się szefowi rezydentury Gołowowi. Tylko on ma taką rangę, by spotykać się z kimś takim. I jest doskonały na ulicy.

Marmur wstał i podszedł do okna, by wyjrzeć na zewnątrz.

- Tyle gier, tyle niebezpieczeństw - powiedział do miasta, które miał przed sobą. - Będę szczęśliwy, jak to się skończy.

- A skoro już o tym mówimy, jaka jest twoja sytuacja? Jesteś bezpieczny? Co SWR robi, by znaleźć przeciek? - Nate unikał

słowa: „kret” ze względu na związane z nim konotacje.

- Musimy odłożyć ten temat do następnego spotkania. -

Marmur spojrział na zegarek. - To zresztą nic pilnego.

Obrócił się, podszedł do łóżka i sięgnął po płaszcz. Nate poprawił mu kołnierz i pogładził po ramieniu. Nie musieli już przejmować się złowieszczym proszkiem. Marmur popatrzył na niego tkliwie.

- Tym najbardziej fascynującym tematem, czyli mną, zajmujemy się za dwa dni - dodał. - Konferencja kończy się w południe.

Będziemy mogli zjeść razem kolację, a potem gadać całą noc. -

Znów spojrział w stronę okna. - Uwielbiam to miasto. Chciałbym tu kiedyś mieszkać.

- Na pewno tak będzie - rzucił Nate, myśląc, że to raczej mało prawdopodobne. Zależało to zapewne od tego, co miał zamiar robić na emeryturze, no i czy w ogóle uda mu się do niej dożyć.

Marmur podszedł do drzwi, trzymając go za ramię. Nate bardzo chciał zapytać go, czy wie coś - cokolwiek - na temat Dominiki, ale nie mógł. Ze względu na ścisłe reguły podziału dostępu do informacji nigdy nie mówił Rosjaninowi, że udało mu się ją zwerbować, ani też o jej misji, która miała polegać na zdemaskowaniu kreta poprzez obserwację jego oficera prowadzącego. Agenci nie mogli po prostu znać innych agentów.

- Słyszeliśmy, że Wania Jegorow dostał ostatnio awans - rzucił tylko.

- Wania jest lekkomyślny - rzekł Marmur. - Znamy się od dwudziestu lat. Chce prowadzić służby, ale nie ma dostatecznego poparcia, sam wiesz kogo. Potrzebuje sukcesu, żeby zadowolić swojego pana z kamiennym obliczem. Łabędź to jego szansa, ale przydałoby mu się coś poważniejszego, spektakularnego.

- Na przykład? - spytał Nate.

- Schwytnie mnie - zaśmiał się Rosjanin. - Ale nie będę mu życzył szczęścia.

Chwycił dłoń Nate'a. Coś go dręczyło, Nate wyraźnie to widział.

- Coś jeszcze?

- Mam prośbę, informację, którą pragnę przekazać.

- Jasne. - Nate nadstawił uszu.

- Ale chciałbym porozmawiać z Benfordem, jeśli będzie mógł przyjechać do Nowego Jorku. Muszę z nim o czymś pogadać. -

Spojrzał Nate'owi prosto w oczy.

- Mam mu coś jeszcze powiedzieć?

- Nie chcę, żebyś się poczuł urażony, Nate, ale muszę skontaktować się w tej sprawie bezpośrednio z Benfordem. Tak? -

Rosjanin przyjrzał mu się uważnie, ale twarz Nate'a wyrażała tylko oddanie i szacunek.

- Oczywiście, *diadia* - odparł. - Będzie tu następnym razem.

Benford nalegał na zmianę hotelu, Nate czekał więc w Bryant Park, żeby podać Marmurowi numer pokoju w tym wielkim, podświetlonym od dołu mlecznymi światłami bazaltowym budynku z połączanymi blankami, dawnej siedzibie American Radiator Company. Benford i Marmur przywitali się serdecznie za progiem, nie widzieli się ze cztery, może nawet pięć lat, a następnie usiedli przy stoliku z do połowy pustą butelką brandy i dwoma kieliszkami, przy wtórze stukotu grzejnika i klaksonów taksówek z Czterdziestej Zachodniej Ulicy Manhattanu. Nie byli w pełnym znaczeniu tego słowa starymi przyjaciółmi, ale Benford od czternastu lat śledził poczynania Marmura, raz w roku czytał też dokładnie jego teczkę, która rosła w miarowym tempie, wypełniając się, bogacąc w raporty na temat kontaktów i opisy spotkań w Paryżu, Dżakarcie czy New Delhi.

Jego zaczytanateczka była prawdziwą kroniką w dwudziestu tomach, opisującą śmierć jego żony, życie wdowca i samotność agenta, niespodziewane wyjazdy na Zachód i pospieszne spotkania. Informacje o trzech medalach, które dostał od CIA, i o tym, że będzie musiał poczekać, by móc się z nich cieszyć. Podziękowania

od oficerów prowadzących, przeróżnych szefów i dyrektorów.

Mało przekonujące dyplomy w uznaniu „za szerzenie demokracji na świecie”. Opisy problemów, które dzięki niemu udało się rozwiązać, i informacje o stanie jego konta, żółte świstki, znaczące co sześć miesięcy jego odyseję.

W teczce znajdowali się też kolejni szefowie rosyjskiego oddziału CIA, jedni doskonali, inni mniej, którzy przypisywali sobie sukcesy Marmura. Byli tam też kolejni dyrektorzy, wcześniej generałowie lub admirałowie, którzy niczym się nie przejmując, chodzili pośród duchów w tej założonej przez Allena Dullesa instytucji i którzy co jakiś czas wieźli ważne informacje od Marmura do Białego Domu, prezentując je jako owoc własnych wysiłków. Znajdowały się tam też nazwiska młodych mężczyzn i kobiet prowadzących Marmura, którzy spotykali się z nim na zaśnieżonych ulicach, w przybrudzonych holach czy klatkach schodowych, z których niektórzy awansowali, a inni nie.

Benford nabrał zwyczaju czytania tej teczki raz do roku w poszukiwaniu jakichś rys i pęknięć w gmachu, który wciąż wznosili. Nasłuchiwał, czy w ścianach nie zagnieździły się przypadkiem śmiercionośne korniki. Poszukiwał też cynicznie wad w raportach, jakichś zamazanych zdjęć, czasowego braku dostępu do danych. Nic nie wskazywało na kłopoty. Marmur był najlepszym agentem, jakiego miało CIA, nie tylko dlatego, że zdołał tak długo przetrwać, ale również ze względu na coraz lepsze efekty swojej pracy.

- Czy Nathaniel przekazał ci, co powiedziałem? - spytał

Marmur.

- Tak, będziemy mieli sporo roboty. - Benford skinął głową.

- Ten nielegał, sprawa okrętów podwodnych, no i oczko w głowie dyrektora, Łabędź?

- Czytałem dziś rano podsumowanie - odparł Benford.

- Przykro mi, ale koniec zimnej wojny nie zmienił sposobu postępowania naszych przywódców. Pod wieloma względami

łatwiej zrozumieć dawny Związek Sowiecki.

Marmur nalał ponownie brandy do kieliszków, podniósł swój i wypił trochę.

Benford wzruszył ramionami.

- Nie jesteśmy lepsi. A poza tym, gdyby nie to wszystko, stracilibyśmy pracę.

- I właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać - podjął Marmur.

- Wołodia, naprawdę chcesz zrezygnować? - spytał Benford. - I dlaczego właśnie teraz?

- Nie zrozum mnie źle, nie chcę rezygnować. Jak przyjdzie czas, chętnie przejdę na emeryturę i pozwolę, żebyście kupili mi gdzieś tu mieszkanie.

- Na pewno to zrobimy. I znacznie więcej. Teraz powiedz, co myślisz.

- Po pierwsze, jeszcze zobaczymy, jak długo będę dla was pracował i gdzie zamieszkać, z własnej woli lub nie, na emeryturze. - Benford pomyślał, że nigdy jeszcze nie słyszał, by agent mówił w ten sposób o swoim możliwym aresztowaniu. - Jedno jest pewne, przy normalnym przebiegu mojej pracy zostało mi jeszcze tylko parę lat czynnej służby. Zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę ambicje Wani Jegorowa.

- Zawsze możesz zostać pierwszym zastępcą dyrektora - rzekł z przekonaniem Benford. - W Jasieniewie cię szanują, masz też przyjaciół w Dumie.

Marmur łyknął brandy.

- Chodziłbym wtedy w twoim kieracie przez następnych dziesięć lat. I to obracałbym się wśród polityków. Myślałem, że jesteśmy *druzja*. Nie, mój czas się kończy. Czy mogę nieskromnie powiedzieć, że będzie to odczuwalna strata?

- Jak najbardziej - potwierdził Benford. - Fałszywa skromność nie ma tutaj sensu. Jesteś niezastąpiony.

- I będziesz miał wtedy kłopot, telefony od szefów, żeby znaleźć kogoś na moje miejsce, co? Kolejni nieodpowiedni kandydaci, gwałtowne poszukiwania agenta i tak dalej...

- Uświęcona tradycją procedura, dzięki temu tacy jak ja ludzie mogą wciąż jeszcze czuć się młodo - rzekł Benford. - Wołodia, do czego zmierzasz? Nie mogę się już doczekać najlepszego.

- Chcę sam znaleźć osobę, która mnie zastąpi. I będzie kontynuować moje dzieło.

Benford za dużo widział w życiu, by można go było zaskoczyć, mimo to pochylił się w stronę agenta.

- Chcesz powiedzieć, że masz zaufaną osobę? Kogoś, kto wie, że z nami współpracujesz?

- Nie, ona nic o tym nie wie. Będę musiał w odpowiednim czasie ją do tego przygotować.

- Ją? - powtórzył Benford. - Chcesz, żeby ciebie, generała z trzydziestoletnim stażem, zastąpiła kobieta? Nie chodzi mi o płeć, tylko o to, że kobiety nie pełnią funkcji kierowniczych w SWR. O ile wiem, w ciągu ostatnich trzydziestu lat w kolegium zasiadała tylko jedna kobieta! Kobiety to najwyżej podoficerowie, urzędniczki, pracownice wsparcia. Jaki dostęp do poufnych danych może mieć taka osoba?

- Spokojnie, jest ktoś taki.

- Więc jak się nazywa? - spytał Benford.

- Dominika Jegorowa, bratanica Wani - odparł Marmur.

- Chyba żartujesz - mruknął Benford z poszarzałą twarzą i oczami wbitymi w agenta.

Już po chwili dolewał brandy do kieliszków, a w jego głowie po synapsach przebiegały kolejne myśli: Boże, więc ona żyje! Spotkali się, pracują razem. Boże, spraw, żeby nie zdradzili sobie swoich sekretów przy barszczu w kantynie. Nash będzie miał chyba sporo roboty... I na koniec: Kurwa, to się może udać!

- Powiedz: dlaczego? I to szybko, dopóki jeszcze działa

brandy, zanim zacznę trzeźwieć.

- Posłuchaj uważnie. - Marmur postukał palcem w stolik. - To będzie idealna konspiracja, szansa jedna na milion. - I znowu stuknięcie palcem, a potem kolejne. - Dominika to idealne rozwiązanie. Bardzo długo się nad tym zastanawiałem. Nazwisko daje jej mocną pozycję, przynajmniej do chwili, kiedy Wania nie pójdzie na emeryturę albo się go nie pozbędą. Ukończyła akademię, i to z wyróżnieniem. Jest inteligentna i nie można jej złamać.

Benford spojrział w dół i odwrócił trzymany w dłoni kieliszek.

Marmur wiedział, co robi.

- Obaj rozumiemy, że nie wystarczą tylko dobre wyniki - ciągnął. - Ona ma też motywację, mnóstwo pretensji... Jej ojciec zmarł, wyrzucono ją ze szkoły baletowej, a ten wieprz, jej wuj, wykorzystał ją do usunięcia rywala Putina. Kupił jej milczenie za przyjęcie do akademii, a potem złamał słowo i wysłał do szkoły jaskółek. Zakładam, że wiesz, o czym mówię.

Benford skinął głową.

- A potem wysłali ją do Helsinek, słyszałeś, że tam była? Pojawiły się jakieś komplikacje, no i trafiła na dwa miesiące do więzienia. Wyobrażasz sobie, do Lefortowa, jak za czasów stalinowskich. Nie sądzę, żeby im to szybko wybaczyła. Ale najlepsze mam na koniec - dodał Marmur i oparł się o tył krzesła. - Wiem, co sobie myślisz, że skoro jest kobietą, to ma niewielkie szanse na awans i że w tej chwili znajduje się na samym dole służbowej piramidy. Proponuję więc przyspieszyć jej awans, zapewnić jej sukces, tak żeby nie musiała siadać generałom na kolanach, włączając w to mnie samego.

- Rozumiem - mruknął Benford. - Ale jak chcesz z niej zrobić gwiazdę?

- Wania Jegorow ma obsesję na punkcie szpiega w SWR. -

Marmur wbił teraz palec we własną pierś i się zaśmiał. - Tak naprawdę wysłał Dominikę do Helsinek, żeby zbliżyła się do Natha-

niela i dowiedziała się w ten lub inny sposób, kto to może być.

Wiedziałaś, że Nathaniel był celem w Helsinkach?

Twarz Benforda pozostała nieprzenikniona.

- Plany Wani opóźniły się z powodu Lefortowa - podjął Rosjanin. - Ale teraz Dominika jest już czysta, a ten więzienny epizod dodał jej jeszcze powabu.

Tylko Rosjanie mogą w ten sposób myśleć, stwierdził Benford.

- Wziąłem ją do swojego wydziału, żeby ją wesprzeć - ciągnął Marmur. - A Wania poprosił mnie nieformalnie, żebym powrócił do operacji przeciwko Nate'owi, dzięki czemu ona stanie się moją bezpośrednią podwładną. Wybierzemy najlepszy moment, i to wspólnie, by zrobić z niej bohaterkę, gwiazdę SWR. W ten sposób będzie miała otwartą drogę szybkiego awansu.

- Ale to najważniejsze, Wołodia? Jak masz zamiar to zrobić?

- To proste - odparł Marmur. - Musi odkryć, że jestem szpiegiem, i mnie wydać.

W hałaśliwym miejscu, oddalonym od ONZ-u mieli większą szansę nie trafić na Rosjan niż w Greenwich Village czy na Zachodniej Czwartej Ulicy. Był to ostatni wieczór Marmura w Nowym Jorku. Restauracja miała czerwoną markizę i mieściła się w suterenie. Ściany zdobiły rysunki tancerzy, a loże były zabudowane i pozwalały na swobodną rozmowę. Benford namówił Rosjanina na *pasta con le sarde*, dość ostrą potrawę z Palermo z *finocchio*, szafranem, rodzynkami i *pinoli*. Siedzieli ramię w ramię, tak więc dobrze słyszeli się nawzajem.

Benford był spięty, mówił za szybko i za dużo, trochę się nawet bał. Myślał nad propozycją Marmura przez dwa dni, badał ją pod każdym możliwym kątem i wydawała mu się ona coraz bardziej monstrualna i niemożliwa. Nie byli przecież w tak złej sytuacji; jeżeli skończy im się dopływ informacji wewnętrznych, to trudno, taka to już kolej rzeczy. Ale wystawianie się na śmiertelny cios tylko po to, by wprowadzić na scenę następcę, w ogóle nie wchodzi

w grę. Oczywiście, że wchodzi, powiedział Marmur, musi wchodzić.

- Jeśli mnie złapią, bo kto wie, jak skończy się polowanie na kreta? - wszystko się załamie, niczego się nie uda uratować. Nie możemy sobie na coś takiego pozwolić, a jeśli masz wątpliwości, to pomyśl o nielegalach, którzy wpełzają do waszych okrętów podwodnych, o Łabędziu, który nadaje z Kapitolu albo Białego Domu. Nie możesz ot tak czekać.

Benford, który szybował myślami gdzieś daleko, powiedział, że nie ma przecież gwarancji, że Dominika skorzysta na tym goście i rzeczywiście dostanie awans.

- Zostaw *szutki*, przyjacielu - rzekł Marmur - będzie nowoczesną rosyjską kobietą dwudziestego pierwszego wieku w odnowionych służbach wywiadowczych. Po takiej sprawie z dnia na dzień zrobią ją pułkownikiem. - Benford spojrział na Rosjanina i zamówił jeszcze dwie grappy. - Posłuchaj - westchnął Marmur. - A gdybym ci powiedział, że mam raka i dają mi najwyżej półtora roku, to zmieniłbyś zdanie?

- Masz raka? - Marmur zaprzeczył. - No i kto tutaj żartuje? - Miał w zanadrzu jeszcze ostatnią kartę i dodał dość uroczyście: - A co z twoją emeryturą w Nowym Jorku?

Rosjanin uśmiechnął się, położył dłoń na ramieniu Benforda.

- Nigdy nie przypuszczałem, by kiedyś do niej doszło. Dobrze, zacznijmy metodą małych kroczków i zobaczymy, do czego nas to doprowadzi - dodał.

- Pod jednym warunkiem. - Benford podniósł do góry rękę. - Że nikomu o tym nie powiemy, nawet Nashowi, aż będziemy pewni.

- Pod dwoma warunkami - poprawił go Marmur. - Nie powiemy też Jegorowej.

Sięgnęli po grappę i pili, otoczeni bezpiecznym kokonem wieczornych odgłosów.

PASTA CON LE SARDE

Pokrojoną cebulę, roztarty koper włoski, szafran, rodzynki i orzeszki piniowe smażymy na małej ilości oliwy. Dodajemy usmażone wcześniej i utarte razem oczyszczone i wyfiletowane sardynki i anchois. Dolewamy odrobinę białego wina, doprawiamy do smaku i dusimy do wymieszania się smaków. Podajemy z makaronem bucatini lub perciatelli.

Raport Marmura na temat nielegała i kreta trafił do rąk jedynie kilku wyższych oficerów rosyjskiej sekcji operacyjnej. Tak naprawdę tymi informacjami zarządzali drobiazgowi introwertycy z kontrwywiadu CIA, jaskiniowcy, zamykający się w gąszczu biurowych luster na czternaście godzin, łagodni mężczyźni i kobiety, którzy mieli zestawy treningowe w piwnicach swoich domów i zajmowali się uprawą drzewek bonsai. Zaczęli oni czytać raporty Nate'a, nadziejąc informacje na szpilki i rozpoczynając własne badania.

Po powrocie z Nowego Jorku Nate ponownie otrzymał wezwanie do matecznika Benforda. Kontrwywiad zajmował całe piętro w centrali. Znajdowały się tam labirynty korytarzy z oddzielnymi pokojami. W przeciwieństwie do innych wydziałów pracownicy kontrwywiadu mieli do dyspozycji normalne biura, a nie boksy. Były one pozamykane, a dostępu do nich broniły drzwi wyposażone w zamki cyfrowe. Gdzieś tam zdarzały się też drzwi bez gałek z zaklejonymi dziurkami na klucz. Co to były za pokoje i co się w nich mogło znajdować? W pokoiku przed biurem Benforda siedziała uprzejma sekretarka, której co jakiś czas drgała lewa powieka. Kobieta przyjrzała się uważnie Nate'owi, zamrugła, wstała i zastukała do drzwi szefa, ale ich nie otworzyła. Nasłuchiwała przez chwilę, a potem raz jeszcze ostrożnie zapukała. Dopiero kiedy usłyszała głos ze środka, uchyliła drzwi i podała cicho nazwisko Nate'a, a potem cofnęła się i pokazała gestem, że może wejść.

Biuro Benforda wyglądało jak pracownia jakiegoś profesora z zapomnianego kolegium hen ze środkowego zachodu. Przy ścianie stała wytarta i wyblakła kanapa, na której znajdowały się stosy papierów i teczek; część ich pospadała na podłogę, gdzie rozłożyły się niczym karty do gry. W drugim końcu pokoju stało biurko, na którym stały wypełnione różnego rodzaju dokumentami tace, a na

jednym rogu piętrzył się niezbyt pewnie stos gazet. Na ścianach wisiały małe oprawione zdjęcia - ziarniste, czarno-białe - ale próżno by na nich szukać żony, dzieci czy dalszej rodziny. Przedstawiały one mosty, połamane drzewa, ocienione wiejskie drogi i zaśnieżone ścieżki między starymi magazynami. Nate domyślił się, że to niesławne miejsca, dawne sygnały, skrzynki kontaktowe i punkty, z których odbierano agentów. Dzieci Benforda. Bezpośrednio za jego biurkiem wisiała fotografia neobarokowej siedziby moskiewskiej firmy ubezpieczeniowej, obejmującej całą Rosję, powszechnie znanej jako Łubianka.

- Siadaj - zaczął cichym i poważnym głosem. Benford był mały i brzuchaty, z wysokim czołem i nieuczesanymi, przyprószonymi siwizną włosami, które sterczały mu trochę z boku. Popatrzył na Nate'a wielkimi jak u krowy oczami spod niemal kobiecych rzęs. Wydatne policzki stanowiły ramy dla małych ust, które krzywiły się, jakby wyrażały jego obrzydzenie czy przynajmniej niechęć do tego, co właśnie robił. - Przeczytałem twoje raporty z Nowego Jorku. Gramatyka nieszczególna, reszta w porządku.

- Chyba powinienem podziękować - rzucił Nate, który przysiadł ostrożnie na brzegu kanapy, przesunąwszy wcześniej kilka teczek.

- Lubisz Marmura? Ufasz mu?

- Mówię do niego *diadia*, jeśli o to panu chodzi - odparł Nate. - Jesteśmy sobie bardzo bliscy.

- Nie pytałem, czy uprawiasz z nim froteryzm, tylko czy mu ufasz.

- Tak, ufam. Pracuje dla nas od czternastu lat.

Benford ponownie się skrzywił, usłyszawszy coś, co już wiedział.

- I sądzisz, że wszystkie te informacje na temat nielegalów i kreta są prawdziwe?

- Tak mi się wydaje - odparł Nate i zaraz tego pożałował.

Zniecierpliwiony Benford wydał policzki.

- Tak ci się wydaje czy tak jest? - drążył.

- Jestem pewny, że przekazał nam prawdziwe informacje.

Papka barowa, spreparowane informacje byłyby bardziej określone i przydatne.

Nate czekał na kolejną serię marszczenia brwi i dąsów.

Benford uniósł wolno głowę.

- Papka barowa, no proszę? Skąd znasz to określenie? Czytałeś historyczne opracowania? - Spojrzał na przeciwległą ścianę. - Wiesz, kto to? - Wskazał małe czarno-białe zdjęcie mężczyzny z kwadratową szczęką, z gładko przyczesanymi włosami i w okularach z grubymi szklami.

- To Angleton, prawda?

- James Jesus we własnej osobie - potwierdził Benford. - Przez dziesięć lat wydawało mu się, że każdy sowiecki agent pracuje na dwie strony, że każdy ochotnik to zdrajca, a każda informacja to dezinformacja. Był czarujący, ale zatruwał wszystkich wokół i sam wpadał w paranoję, bo wydawało mu się, że jego nocne koszmary to rzeczywistość. Mógł mieć rację. Trzymam to zdjęcie, żeby nie podzielić jego losu. A teraz, wracając do Marmura, ja też mu wierzę. - Nate skinął głową.

Popatrzył jeszcze na półki, na których pełno było książek i papierów. Na górnej półce stało pięć oprawionych w skórę tomów. Wzrok szefa powędrował za jego. - To książki z serii „O czym szumią wierzby?”, pełno w nich szcurków i kretów.

Benford patrzył na niego przez chwilę, a jego usta poruszały się, nie wiadomo czy z powodu rosnącego niesmaku, czy głębokiego namysłu. Nate milczał, co wydawało się jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Miał przed sobą mizantropa, który od dwudziestu lat poszukiwał kretów, zastawiał podwójne pułapki, sprawdzał wszystko po trzy razy... Przerwane sieci, cichnące radia gdzieś na

strychach, aresztowania szpiegów. Czarno-białe kroniki filmowe ze skurczonymi ludźmi, wyprowadzanymi skądś z kurtkami na głowach i skutymi rękami. To było jego pole bitwy.

Powiadali, że jest jasnowidzem, sawantem, który rozkwitał w bizantyjskim świecie oszustw, podwójnej gry i fałszywych tropów. Nate wpatrywał się w jego drżące ręce, długie palce, którymi przeczesywał włosy. Jego mózg był zapewne przegrzany, pracował na najwyższych obrotach. Nate rozumiał, że potraktował najnowsze informacje Marmura na temat kretów, tak jak terier potraktowałby worek ze szczurami. „Zapewne wyznaczy cię, żebyś z nim pracował - powiedział mu szef ROD. - Powodzenia”.

- Chcę, żebyś ze mną pracował nad informacjami od Marmura - rzekł w końcu Benford. Zaczynasz od dzisiaj. Przenieś tutaj swoje rzeczy. Nie mów nikomu, co robisz. Znajdziemy razem nielegała.

- Czy mam o tym poinformować szefa? - spytał Nate. - I powiedzieć mu, jak może się ze mną skontaktować?

- Nic nikomu. Ja mu powiem, jak spyta. Ale wiem, że tego nie zrobi. Nie powiemy nikomu o tych tropach. Ani oddziałowi w Bostonie, ani w Nowym Jorku, ani temu cholernemu FBI, żadnym pacykarzom z Agencji Wywiadu Obronnego czy Rady Bezpieczeństwa Narodowego albo komitetów Kongresu. Ani tym popierdołcom z popierdolonego Waszyngtonu, którzy sami, kurwa, zaczęli ten rozpierdol! Tylko ty i ja. Mam nadzieję, że się na to godzisz.

Nate skinął głową.

Bycie pomocnikiem Benforda to albo zaszczyt, albo dożywocie, pomyślał Nate, ale było mu wszystko jedno. Jego kariera po Helsinkach utknęła w martwym punkcie. Ludzie, którzy chcieli mu pomóc, Gable i Forsyth, wciąż byli w grze, ale nie mogli go wesprzeć. Nate spojrzął na błyskotliwego, nerwowego Benforda i podjął decyzję. Był dobry w operacjach wewnętrznych, znał Rosję i mógł się przydać. Trudno było uznać kogoś tak niechętnego lu-

dziom i skwaszonego jak Benford za mentora, ale Nate stwierdził, że warto z nim pracować, zająć się kontrwywiadem i nauczyć się czegoś na temat pogrążonego w półmroku świata, w którym Benford był królem. W każdym razie po raz pierwszy od opuszczenia Farmy Nate przestał się przejmować swoją przyszłością.

Nathaniel zainstalował się po cichu w pustym pokoju na piętrze kontrwywiadu. Na korytarzach nie było nikogo. Czy ktoś pracuje w tych zamkniętych pokojach? A może, jeśli wejdzie do któregoś z nich, powita go rozparty na krześle szkielet matki Normana Batesa?

- O, jest pan - powiedziała sekretarka i mrugnęła do niego. A może to był tylko tik?

Niejednoznaczności, zagadki, trzeba się z tym oswoić, powiedział mu Benford.

Jego nowe biuro było pozbawione okien, puste i zatęchłe. W ścianie tkwiły pinezki - ciekawe, co na niej wcześniej wisiało? W skrzypiącej szufladzie biurka leżały spinacze i było ich tyle, że przykrywały całe dno.

W biurze obok urzędowała Alice NN (nazwisko nieznane).

Kobieta miała czterdzieści, pięćdziesiąt czy może sześćdziesiąt lat, zaokrąglone policzki i mięsisty nos, a także rude włosy, ścięte krótko, które, jak Napoleon, zaczesywała na czoło i boki. Nosiała buty strażniczki więziennej, a gdy szła, wyraźnie można było rozpoznać jej szybkie człapanie. Kiedy rozmawiała z Nate'em, podobnie jak w przypadku innych, przekrzywiała głowę i pochylała się, jakby miała powiedzieć coś poufnego, zdradzić jakiś sekret.

Ale oczywiście tego nie robiła, wszyscy w tym miejscu uważali na to, co mówią.

Na początku jego pracy w kontrwywiadzie koledzy informowali go z szelmowskim uśmiechem, że Alice pracowała tu od zawsze, że niemal pomagała założyć ten wydział. Ich zdaniem to ona zabiła Trockiego. I dodawali: „No i bzykała się z Allanem Pinkertonem”, a potem szybko zmykali do swoich pokojów. Wydział kontrwy-

wiadu, Wyspa Zepsutych Zabawek. Kiedy Nate wchodził do swego biura, sprawdzał, czy za drzwiami nie kryje się rozplaszczony na ścianie Boo Radley.

Benford polecił Alice, żeby pomogła nowemu pracownikowi.

Siedziała właśnie za swoim biurkiem - jej biuro było słoneczne, a na szafce stała paprotka i geranium - z uniesionymi wyżej skrzyżniętymi butami.

- Nie wiesz za wiele - zaczęła. - Zreasumujmy: jest ten nielegał, okręty podwodne, Nowa Anglia i spotkania w Bostonie i Nowym Jorku. Marmur mówił jeszcze o pracowniku obsługi technicznej i pięciu latach. Dobra, od czego byś zaczął?

- Listy pracowników marynarki wojennej? - zaproponował.

- Nie. - Alice bujała się na krześle. - Od lunchu.

W kantynie usiedli na antresoli. Nate bawił się sałatką, Alice jadła zupę. Po chwili dosiadła się do nich przyjaciółka Alice, Sophie, która sapiąc, pokonała na swoich grubych nogach schody na półpiętro. Sophie pracowała w OSR, Biurze do spraw Badań i Rozwoju, gdzie wciąż liczyli rdzewiejące w oceanach okręty atomowe typu Oscar, Typhoon czy Akula w bazach Olenja Guba i Polarnyj. To wszystko ma znaczenie - Sophie zaczęła poruszać swoimi cienkimi wargami. - Nieważne, co mówią na siódmym piętrze. Miała pięćdziesiąt lat, grube czarne włosy i czarne rzęsy, a także profil przywodzący na myśl fryz z Knossos. Nosila czarne rajstopy i czarną wydetą sukienkę oraz czarne buty ortopedyczne dla osób z rosnącymi pionowo paznokciami. Na ręce zawsze miała czarną gumkę do włosów, na wszelki wypadek.

Sophie postawiła na stoliku pudełko na lunch ozdobione postaciami z *Czarodziejki z Księżycy* i zaczęła rozpakowywać pałeczki i stojące samodzielnie łyżeczki, a także otwierać kolejne pojemniki i słoiczek z sosem do sałatki. Popatrzyła na sałatkę Nate'a i wylała na nią trochę sosu.

- Spróbuj, domowe - rzuciła.

Sos miał balsamicznie łagodny smak złamany odrobiną musztardy Dijon i czegoś ostrzejszego. Nie przypominał żadnego z winegretów, których próbował do tej pory. Powiedział to, a Sophie się rozpromieniła.

Alice powiedziała, żeby przestali się wygłupiać, i wyjaśniła przyjaciółce, czego potrzebują. Sophie zajęła się swoim curry, a jednocześnie zaczęła płynnie recytować, zamykała oczy, by przypomnieć sobie to wszystko albo też by delektować się jedzeniem, lub też jedno i drugie. New London w stanie Connecticut. Portsmouth w New Hampshire. Brunswick w Maine. Tylko trzy bazy. Duże okręty podwodne. Naprawiają je tylko w jednym miejscu i przerabiają, bo okręty się starzeją. Tak jak Akule w latach osiemdziesiątych, mówili na nie Szczuki, ale są znacznie cichsze... W końcu Alice przypomniała jej o głównym temacie. Electric Boat Works, duża stocznia w Groton, połączona Thames River z New London. Powinni od niej zacząć.

Kiedy znaleźli się w biurze Alice, wyszukali nazwiska na starym komputerze jeszcze z kineskopem. Dane osób z dostępem do poufnych danych, kwalifikacje pracowników, listy etatowych i kontraktowych pracowników marynarki wojennej. Męski palec Alice przesuwiał się po ekranie: nie, nie, dłużej niż siedem lat, mniej niż trzy, dyrektorzy Electric Boat i General Dynamics - oczywiście nie. Alice pracowała szybko, patrzyła na nazwisko, potem na informacje i przechodziła dalej. Pracowała z tymi listami od trzydziestu lat. Mieli też dwa stosy papierów i Nate przestał się spierać o różne możliwości, bo była dla niego za szybka. W końcu mieli pierwszy zestaw nazwisk, „jedenastu wspaniałych”, jak ich nazywała, i zaczęli sprawdzać dokładne dane: zatrudnienie, płaca, podatki, miejsca zamieszkania, telefony, samochody, konta, korespondencja, małżeństwa, wykształcenie, dzieci, aresztowania, rozwody, podróże, rodzice, internet czy kablówka, preferencje seksualne.

- Jak dobrze można przygotować nielegała? Jak bardzo cofnąć

się w czasie? - szeptała Alice do ekranu.

Trzy dni później Nate i Alice przynieśli Benfordowi listę, a on stukał ołówkiem w każde nazwisko, przeglądając informacje o kolejnych osobach: stuk, stuk, stuk. W końcu odłożył ołówek i zwrócił Nate'owi kartkę.

- Jennifer Santini - rzekł i ziewnął jak prawdziwy sawant z niesfornymi włosami.

Alice szturchnęła Nate'a w bok.

- Widzisz, mówiłam - zaśmiała się.

- Sprawdźmy to, ale jestem przekonany, że to ona - dodał

Benford. Spojrzał na Nate'a. - Czas wybrać się do New London i się rozejrzeć.

VINAIGRETTE SOPHIE

Mieszamy przetarty czosnek, łydgi kopru, suszone Oregano, płatki suszonej papryki, musztardę Dijon, cukier, sól, pieprz i przetarty parmezan z jedną miarą balsamicznego octu na trzy miary oliwy Kalamata i ucieramy.

Mimo pięknej letniej pogody New London był obskurny i ponury i zapomniał czasy kulturalnej i przemysłowej świetności (te skończyły się wraz z połowami wielorybów w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku). Niegdyś pełna życia Thames River, na której aż roilo się od pływających obok siebie szarych kadłubów, lasu masztów, anten i kominów, kołyszących się łagodnie na falach przyływu. Teraz pozostał po tym tylko księżycowy krajobraz z plamami oleju i zardzewiałymi magazynami, w których zapadły się dachy. Na wzgórzach nad rzeką widać było dwu- lub trzypiętrowe, przeważnie dwurodzinne drewniane domy. Ich czarne, pokryte papą dachy znajdowały się jakieś dwa metry jeden od drugiego, a na balkonach na piętrze wisały sznury na bieliznę. Wysoka do pasa siatka i poznaczone słonym powietrzem furtki prowadziły na małe trawniki i do zarośniętych ogródków na tyłach.

Po drugiej stronie rzeki ciągnęła się kilometrami stocznia Electric Boat w Groton, w której królowały dźwigi, pióropusze pary i łuki wielkich hal. Co jakiś czas, patrząc ku morzu, można było zobaczyć koniec unoszącego się na wodzie wielkiego suchego doku, który sam był wielkości krążownika, a w nim nieprawdopodobny kształt cygara - atomowy okręt podwodny, uniesiony wysoko z siedmiopłotową śrubą, okrytą grubym plastikiem, tak by nie wypatrzyły go rosyjskie satelity.

Nate nie wiedział, czego się spodziewać. Przyjechali pociągiem - Benford nie prowadził - i stali na peronie jak dwóch bułgarskich pastuchów na wycieczce w Sofii, a nie dwóch wyćwiczonych pogromców szpiegów w pogoni za rosyjskim nielegalem. Nie było jasne, czy Benford był oszczędny, szalony, czy też zademonstrował swoją niezdolność do prowadzenia operacji, kiedy z jakichś zadziwiających powodów zażądał, żeby wynajęli pokój na wieży Queen Elizabeth Inn, hoteliku w stylu wiktoriańskim, położonego w połowie zbocza jednego z zielonych wzgórz. I to ciągle chodze-

nie - które określał mianem „obserwacji zewnętrznej” - po pięć, sześć, dwanaście godzin dziennie, kiedy to inteligentny i błyskotliwy paw opowiadał Nate’owi o NKWD i OGPU, „piątce z Cambridge” i podstawowych wydarzeniach zimnej wojny.

Dzień 1 : Chodzili w dół i w górę zbocza, w górę rano, w dół późnym popołudniem, przyglądając się domom i zaparkowanym na ulicy samochodom, chwastom, zarastającym chodniki, i koronkowym firankom w oknach. Szukali prawdopodobnych miejsc sygnałowych, schowków, pobliskich parków i innych punktów w krajobrazie, które mogły służyć nielegalowi. Nic nie znaleźli.

Dzień 2: Przeszli parokrotnie o różnych porach przed domem Santini, by sprawdzić, czy okna są odsłaniane lub zasłaniane i czy ktoś ruszał geranium na schodach, co mogło być umówionym znakiem. W nocy uważali, przeszli koło ciemnego domu tylko raz, zobaczyli przyciemnione światło lampy na piętrze. Czy właścicielka domu siedziała tam i obserwowała ulicę? Czy miała inne, wynajęte pod fałszywym nazwiskiem mieszkanie, by spotykać się ze swoim oficerem prowadzącym? Nic nie stwierdzili.

Dzień 3: Zapytali o nią niby przypadkowo w niewielkim rodzinnym sklepiku na rogu. Nikt nic nie wiedział, nikogo nie obchodziła. Jak my, kurwa, wyglądamy? - myślał Nate. Mistyk z kontrwywiadu i jego pomocnik. Próbował nawet żartować na ten temat, ale Benford powiedział, że jeśli nie będzie uważał, to odeśle go do domu, a Nate wtedy spytał, na co ma uważać, kiedy tak opieprzają się w pieprzonym New London w stanie Connecticut. Nic nie zauważyli.

Działali nieoficjalnie, Benford nie miał zamiaru przekazywać tego drabom z FBI.

- Jeśli wyszkolili ją w centrali, wyczuje kłopoty, zanim tu się pojawią. Zwieje półtorej minuty po tym, jak zauważy coś, co jej się nie spodoba. Tego ją nauczyli.

Dzień 4: Powtórzyli poprzednie czynności. Tej nocy rozpętała

się letnia burza, która poruszała okiennicami w ich pokoju.

Zgasło światło, na dole grało radio na baterie. Nate'a zbudziła błyskawica, zobaczył zamyślonego Benforda, który siedział poważny przy oknie i patrzył w przestrzeń. Ten widok przyprawił go o gęsią skórę. Widział twarze dwunastu rosyjskich agentów, których CIA straciło w jednym, 1985 roku, „roku szpiega”. Były to ofiary Amesa i Hanssena, ofiary trudnej do wyjaśnienia zdrady, która zaprowadziła je wszystkie wprost do buchających żarem sowieckich pieców krematoryjnych.

Prawdziwym wyzwaniem i testem dla Nate'a były również posiłki z Benfordem. Nie chodziło tylko o karkołomne rozmowy, ale też serwetki pod szyję i ostry sos, krakersy z ostrygami i chowder, który był zbyt gęsty, miał za mało ziemniaków albo był zbyt wodnisty, miał za mało piasku (dodawano się go odrobinę), a także dyskusje na temat odmian dorsza i jaki powinien być prawdziwy posiłek z Nowej Anglii.

- Bez goździków. Nigdy się ich nie dodaje. Pewnych zasad po prostu nie wolno łamać - gardłował pogromca szpiegów Benford. Zebrali mało informacji, ale w czwartek Benford oznajmił, że czas zajrzeć do domu Jennifer Santini. Mieli to zrobić następnego dnia rano.

- Zajrzeć? - spytał Nate. Jedli właśnie kolację w Bulkeley House na Bank Street w pobliżu portu. - Co pan chce przez to powiedzieć?

Benford piłował właśnie wielki, krwisty antrykot; głowę przekrzywił na bok, by lepiej prowadzić nóż. Nate odłożył swoje sztucce.

- Uspokój się - odparł Benford, przeżuwając mięso. - Mam na myśli nielegalne dostanie się do wnętrza prywatnego budynku, należącego do być może zupełnie niewinnej amerykańskiej obywatelki z czystą kartoteką w policji, którego dokonają dwaj nieuprawnieni do tego agenci CIA, zaangażowani w niezgłoszone, a

zatem nielegalne dochodzenie na gruncie krajowym, który, jak na to wskazuje rozkaz numer 12333, leży w gestii Federalnego Biura Śledczego, w skrócie FBI. - Benford spojrział na talerz i nałożył więcej chrzanowego sosu na wołowinę. - To właśnie chcę powiedzieć. - Pokręcił głową. - Doskonały sos.

Dzień 5: Cichy piątkowy rano. Czekali do dziesiątej, a potem bez nakryć głowy z pustymi rękami przeszli na tyły piętrowego domu pani Santini. Okna budynku po drugiej stronie ulicy były puste. Ogródek na tyłach wyglądał na zapuszczony.

Obok chylącej się szopy leżała odwrócona dnem do góry zardzewiała wanna. Benford wszedł po schodach i sprawdził, czy drzwi na tyłach są zamknięte. Były. Zajrzał do środka przez perkalowe zasłony. Pusto.

- Potrafi pan otworzyć zamek? - spytał Nate, który też zaglądał do środka.

- Nie rozśmieszaj mnie - rzucił Benford, który wciąż miał w domu magnetofon szpulowy.

- Może podważymy okno?

- Nie, coś innego. - Benford wyjął sznurówkę z buta i podszedł do przytwierdzonego do boku domu kabla. Przywiązał do niego sznurówkę, pozostawiając wolną pętlę. - Węzeł Prusika - wyjaśnił, a następnie pokazał Nate'owi, jak z niego korzystać, przesuwając swobodnie w górę i blokując przy nacisku stopy, tak by dostać się do otwartego okna na piętrze.

Gdzie on się tego nauczył? - zastanawiał się Nate i machnął mu z góry ręką.

Znajdował się w pustym, nieużywanym pokoju. Podszedł do drzwi i spojrział na dół. Zagwizdał, ale nic się nie poruszyło. Pomyślał, że nielegal z Rosji może mieć dobermana albo rottweilera. Zszedł cichutko po mahoniowych schodach, które skrzypiały przy kolejnych krokach, przeszedł na palcach przez kuchnię z lat pięćdziesiątych, w której czuć było pszenicą, nasionami i olejem,

otworzył drzwi na tyły domu i wpuścił Benforda.

- Wydaje się, że nikogo tu nie ma - powiedział.

Przeszli w milczeniu przez pokoje na dole. Poczuli zagrożenie.

Dom pachniał jak klub fitness: jakiś żel i zakurzone grzejniki.

Powietrze było nieporuszone, zupełnie nie jak w ładny letni dzień.

Od frontu znajdowały się dwa pomieszczenia, których okna

wychodziły na ulicę: salon i jadalnia. Okna zasłonięto ażurowymi perkalowymi firankami. Słoneczne światło tworzyło jasne pajęczyny na pokrytych dywanami, poplamionych drewnianych podłogach.

Meble były ciężkie i ciemne, wyściełane fotele i sofa z serwetkami - prawdziwymi serwetkami - na poręczach i oparciach. Półka nad

czarnym otworem kominka zastawiona była bakelitowymi figurkami i naczyniami - był tam kapitański kubek i Hiszpanka z mantylką.

Jeden z abażurów wykończono frędzlami. Koło paleniska stał zestaw kominkowy z kutego żelaza. Benford poruszał ustami, oglądając te wszystkie ozdoby.

- Musiała obejść połowę portugalskich antykwariatów w Fall River, żeby to kupić.

Z salonu wchodziło się do niewielkiego gabinetu z biurkiem i niskim regałem, pełnym magazynów i gazet. Na blacie leżały rachunki i biało-niebieski porcelanowy szkuner z wypisanym na dziobie słowem: „Ahoj”.

- Sprawdź biurko - polecił Benford. - Ja rozejrzę się na górze.

Nate zauważył u siebie śmieszłą potrzebę nieodłączania się od szefa, ale skinął głową i zabrał się do otwierania kolejnych szuflad.

Puste. Kiedy jednak zamykał ostatnią, wyczuł opór i usłyszał dźwięk zgniatania papieru. Wyjął szufladę i sięgnął po leżący za nią zwitek. Wyjął go i rozwinął na biurku. Był to plan, pojedyncza kartka z przekrojami statku i elektrycznymi połączeniami. U góry znajdował się napis: „Sekcja 37, zamki i wsporniki”. Części okrętu podwodnego? Santini pracowała w zaopatrzeniu w Electric Boat. Czy ten dokument jest tajny? Dlaczego trzymała go w domu w

ostatniej szufladzie?

W tym czasie Benford przeglądał sypialnię na górze. Łóżko z baldachimem było przykryte narzutą w kwietne wzory, trzy duże poduszki z koronkowymi poszewkami oparte o wezglowie. W jedynej szafie wisiały bluzki i luźne spodnie. Na podłodze stało kilka par butów, ustawionych porządnie, wybranych rozsądnie, doskonale nadających się do chodzenia.

Żadnych zdjęć, notatek, rzeczy osobistych - dom, który można opuścić w ciągu półtorej minuty. Łazienka niczym się nie wyróżniała, szafka na leki prawie pusta. Szczoteczka do zębów, buteleczka z aspiryną, dwa opakowania roztworu do lewatywy firmy Fleet. Wszechobecny zapach maści.

Benford wrócił do sypialni i otworzył pojedynczą szufladę szafki nocnej. Żadnych książek, pornosów, wibratorów czy lubrykantów. Pod kawałkiem filcu znalazł karteczkę z zapisanymi ręcznie datami i godzinami. 5 lipca 2100, 10 czerwca 2200, 30 czerwca 2130. Plan nadawania. Jennifer Santini miała zapewne laptopa i kartę szyfrową przy sobie. Standardowe spotkania z oficerem prowadzącym z rosyjskiego konsulatu w Nowym Jorku. Infiltracja morskiego programu okrętów podwodnych. Benford zamknął szufladę i pospieszył na dół, żeby powiedzieć o tym Nate'owi.

Nate skończył właśnie sprawdzać tyły kolejnych szuflad, ale nic nie znalazł. Zwinął plan, żeby wziąć go na górę i pokazać Benfordowi. Kiedy wyszedł z pokoju, musiał się nagle zatrzymać. W salonie stała Jennifer Santini i na niego patrzyła. Tuż obok leżała jej torba podróżna. Dopiero teraz pomyślał, że nigdy wcześniej jej nie widzieli. Ha, ćwiczy. Z ciężarkami. Jest na sterydach. Wyglądało na to, że właśnie wróciła z siłowni. Dlaczego nie jest w pracy? Jennifer Santini była przed czterdziestką, średniego wzrostu. Miała na sobie szorty ze spandeksu, opinające potężne uda z wyraźnie widocznymi mięśniami czworogłowymi. Całe jej ciało: ramiona, barki, szyja, składało się z mięśni. Jej wielka szczeka była

wysunięta do przodu, a top krył nie kobiece piersi, ale zwoje mięśni zakończone sutkami. Miała lśniące zdrowiem i witalnością zielone oczy z niebieskawymi białkami. Zauważył też ostre rysy jej ust i nosa. Gdy tak na niego patrzyła, jej czoło znaczyły głębokie zmarszczki. Rude włosy zaczesana gładko do tyłu i związała w koński ogon. Wyglądała jak rakietka, jak pocisk, torpeda, robot z pospawanymi częściami.

W ostatniej chwili, którą mógł jeszcze poświęcić na obserwację, Nate zauważył, że ma piękne kobiece dłonie z pomalowanymi na jasnoróżowo paznokciami. Stała bosą, a jej stopy, podobnie jak dłonie, były ładne, delikatne, z paznokciami pomalowanymi na ten sam kolor. Odgłosy kroków Benforda na schodach sprawiły, że Jennifer zaczęła działać i skoczyła z nieprawdopodobną szybkością na Nate'a. Jednocześnie chwyciła lampę ze stolika i rzuciła w niego z potworną siłą.

Nate uchylił się, a lampa rozbiła się o ścianę. Kiedy się wyprostował, miał ją tuż przed sobą. Kobieta wyciągnęła twarde jak skała przedramię i przyparła go do ściany, a drugą ręką waliła bezlitośnie. Nate złapał ją oburącz za przedramię i pociągnął. Nic. Uderzał raz za razem w jej ramię, ale ona nie zwracała na to uwagi. Dusił go swoim ramieniem Schwarzeneggera i dłońmi Grace Kelly. Nate'owi udało się uderzyć ją wyżej, w twarz, ale bez żadnych widocznych efektów. Jego dłoń tylko ześlizgnęła się z jej policzka. Teraz jej twarz znajdowała się zaledwie parę centymetrów od jego; kobieta obnażyła z wysiłku zęby. Nate spodziewał się, że zaraz odgryzie mu kawałek twarzy. Kiedy waliła go tak bezlitośnie sierpowym, do głowy przychodziły mu różne, niepowiązane ze sobą myśli: (1) Ale ma szczęście, że znalazł sobie taką Rosjankę, która nie zajmuje się obserwacją ptaków i nie pracuje w księgowości; (2) Co, na miłość boską, myślą sobie o niej mężczyźni, kiedy rano przychodzi do pracy? i (3) Jak wygląda seks takiego cyborga? A potem nagle zupełnie bez sensu zaczął myśleć o tym, co może akurat robić

Dominika. Gdzie jest? Poczul niewypowiedziany smutek na myśl o tym, że być może ona nie żyje; głowa odbiła mu się od ściany, gardło ścisnęło, gdy zamajaczyło mu, że ten potwór może mieć w tym swój udział.

Benford zszedł i zamarł przerażony. Jennifer zerknęła na wy-miętoszonego grubasa - ten będzie na deser - a Nate w tym czasie zdołał ją kopnąć w goleń i nadepnąć na wypielegnowaną lolicia stopę. Kobieta poluzowała uścisk, a on zdołał się przesunąć na bok i kopnąć podbiciem nabrzmiały spandeks między jej nogami.

Jennifer stęknęła jak mężczyzna, zasłoniła się rękami i, zgięta wpół, padła ciężko na podłogę.

Benford spojrział na Nate'a, a potem na leżącą przed nimi bestię.

W czasie trzydziestu lat polowań na krety, szpiegów, nielegalów nie zetknął się z czymś takim. Zwłaszcza że Jennifer nagle wyprostowała się niczym niepokonany seryjny morderca na letnim obozie. Wzięła do jednej ręki stolik ze szklanym blatem i rzuciła w stojącego obok schodów Benforda.

Ten jednak wykrzesał z siebie ukryte pokłady energii - zachowane być może z czasów, gdy w latach sześćdziesiątych brał udział w zawodach międzyuczelnianych w Princeton - i wskoczył wyżej, dokładnie kiedy stolik rozbił się na pierwszych stopniach schodów i zmiotł solidną barierkę. Benford się jednak nie zatrzymał i po chwili zniknął na górze.

Jennifer obróciła się w stronę stojącego na środku salonu Nate'a.

W ciągu tych paru sekund zdołał przesunąć się bliżej paleniska i wziąć ciężki pogrzebacz, który teraz trzymał w pogotowiu. Jennifer ruszyła na niego; jej koński ogon zakołysał się w powietrzu, bosa nogi zaplaskały o deski. Nate, o dziwo, przypomniał sobie, że jego instruktor od walki wręcz miał na imię Carl, i teraz wysunął nogę o pół kroku, przekręcił nadgarstek i uderzył kobietę pogrzebaczem w bok szyi - w splot ramienny, tak jak w czasie walki w przestrzeniach zamkniętych. Aż poczuł uderzenie w rękę. Miał wrażenie, że

walnął w pień solidnego dębu.

Jennifer wydała niespodziewanie kobiecy okrzyk i upadła z impetem na sofę, która przewróciła się, a serwetki poszybowały we wszystkie strony. Przetoczyła się jeszcze z metr po podłodze, aż w końcu zatrzymała ją ściana. Leżała z twarzą odwróconą w stronę listwy przypodłogowej. Nate podszedł, oddychając ciężko i czując, że ma zupełnie zeszywniałe ramię. Wciąż dzierżąc pogrzebacz, okrążył przewróconą sofę i ukląkł obok kobiety. Jej noga drgała lekko. Jedno oko było otwarte, ale zupełnie puste, drugie obróciło się do wnętrza głowy. Wargi miała rozchylone, ale nie oddychała. Te kurewskie jasnoróżowe paznokcie na tle ciemnej podłogi! Jedna z jej stóp leżała na serwetce jak ekierka na talerzyku.

Schody zaskrzypiały i po chwili Benford stanął obok. W salonie panował chaos, potłuczone rzeczy walały się po podłodze. Benford popatrzył na przekrzywioną głowę Jennifer.

- Jezu! - jęknął.

- Jest jak jakiś zbir z „Bonda” - mruknął Nate. - Skąd oni takich biorą? Chyba wykrzywił mi się pogrzebacz. - Sięgnął, żeby sprawdzić jej puls na szyi, ale głowa kobiety opadła na bok jak u szmacianej lalki.

- To nie ma sensu - rzucił Benford. - Zginacz szyjny przestał działać. Ma przerwany rdzeń kręgowy. Oderwanie.

- O czym pan mówi? - spytał Nate, któremu zaczęły trząść się ręce.

- Ma głowę oddzieloną od reszty ciała.

- Wspaniale. - Nate wytarł twarz. - Niech mi ktoś teraz podskoczy!

- Nic ci nie jest? - zaniepokoił się Benford.

- Nic. Dziękuję za wsparcie. Odciągnął pan jej uwagę, wbiegając na schody. - Nate wstał i wypuścił pogrzebacz z dłoni. - Co teraz?

- Znalazłem plany transmisji - rzucił Benford. - Musimy zna-

leżć jej laptopa i zaszyfrowaną kartę. Sprawdź w torbie. Korzystała pewnie z zabezpieczonego połączenia internetowego. No i spotkania. A ty?

- Schemat czegoś schowany w szufladzie. Powinniśmy dokładnie sprawdzić ten dom.

- Pieprzyć to! - mruknął Benford. - Bierzemy, co mamy, i dzwoniemy do FBI. Niech tu przyjdą ze swoimi pęsetami i torbkami! Może też wyjaśnią, dlaczego nie złapali nielegala, który działał na ich podwórku. Niech sobie wsadzą w dupę swoje prawo pierwszeństwa!

SOS CHRZANOWY BENFORDA

Przygotowujemy średnio gęsty sos beszamelowy, do którego dodajemy masło, musztardę Dijon i starty świeży chrzan do smaku. Doprawiamy zmielonym pieprzem i octem z czerwonego wina. Schładzamy i podajemy.

W Moskwie wyczuwało się lato, słońce coraz mocniej ogrzewało twarz Dominiki, która zaczęła pracę nad „specjalnym projektem” w wydziale Ameryki generała Korcznoja. Zaraz po przeniesieniu generał wziął ją na stronę i powiedział, że muszą się razem wybrać w podróż operacyjną. I że w ciągu godziny mają się w tej sprawie zgłosić do gabinetu pierwszego zastępcy szefa.

Dominika wiedziała, że oszukuje Korcznoja, używając tej operacji jako pretekstu do wyjazdu za granicę, by móc na nowo skontaktować się z Amerykanami. Bardzo go lubiła i szanowała - Korcznoj zawsze był bardzo profesjonalny i pomocny - i przyszło jej do głowy, że wykorzystuje kogoś godnego szacunku i uczciwego, tak jak wcześniej inni wykorzystywali ją samą. Gównu z kloaki, w której się znalazła, zaczęło oblepiać ją samą. Mówiła sobie, że nic z tym nie może zrobić. Będzie musiała nadużywać zaufania generała.

Mają iść na górę do wuja? Z przyjemnością spojrzę mu w twarz. Śledczym z Lefortowa nie udało się wydobyć z niej jej sekretu. Dominika Jegorowa jest wtyczką CIA w SWR i nikt o tym nie wie. Udało jej się tak zmanipulować wuja, by znowu powierzył jej sprawę Nate'a. Teraz będzie musiała zameldować o początkowym sukcesie i zorganizować dalsze kontakty i podróże. Reaktywacja szpiega.

Skąd to rozgorączkowanie? Amerykanie ją rozumieli. Od razu zauważyli, że trawi ją *żażda*, pragnienie, by posiąść tę tajemnicę, zauważyli też moc, jaką jej to dawało. Fioletowa otoczka wokół Nate'a i bratoka, lazurowa u Forsytha dawały jej gwarancję, że znają ją lepiej niż jej rodacy.

Dominika nie wiedziała, co tak naprawdę czuje do Nate'a. Myśl o nim pomagała jej w trudnych momentach i pozwalała przeżyć schowki na końcu korytarzy. Starła się nie myśleć o ich wspólnej

nocy, ale zastanawiała się, czy on sam ją wspomina. Nate traktował ją jak źródło informacji, wygodną współpracowniczkę. Czy widział w niej kobietę? Czy zależało mu na niej samej?

Musiała zobaczyć się z nimi wszystkimi, ale przede wszystkim z Nate'em. Wysłanie informacji z Moskwy wiązało się z potwornym ryzykiem. Zarząd K z pewnością co jakiś czas ją sprawdzał.

Kontrwywiadowcy zawsze tak robili w przypadku byłych więźniów. W dodatku miała przed sobą zagraniczną podróż - musiała więc czekać.

Nadszedł czas spotkania z wujem. W milczeniu wjechali windą na górę. Podobało jej się to, że ma obok siwowłosego Korcznoja, niewielką przestrzeń windy wypełniał szczelnie jego intensywnie fioletowy obłok, który dawał jej poczucie pewności. Wiedziała, że pod ojcowskim uśmiechem generała kryją się niezwykle umiejętności operacyjne, inteligencja i patriotyzm. Jak to możliwe, że tak przyzwoity, myślący człowiek wytrzymał tak długo w służbach?

Skąd brał do tego siły?

Dominika doskonale wiedziała, że stary wywiadowca zauważy każdy jej błąd. Musiała więc bardzo przy nim uważać.

Szli tak dobrze jej znanym, wyściełanym korytarzem, mijając portrety kolejnych szefów tajnych służb. Szare eminencje obserwowały jej ruchy. Tym razem ci się udało, wydawali się mówić dawni dyrektorzy KGB i SWR. Ale będziemy cię obserwować. I jakby na potwierdzenie tych słów wodzili za nią oczami.

Korcznoji spojrzał na nią, kiedy stanęli przed gabinetem i otworzył drzwi. Czuł narastające w niej emocje; widział to, jak się zjeżyła. Jak nad tym zapanować? - myślał. Weszli do pomieszczenia, w którym już czekał rubaszny, łysy Wania z otaczającą go wyjątkowo nieprzyjemną, kanarkowożółtą poświatą, która wskazywała na wygórowane ambicje. Klepnął Korcznoja po ramieniu i przywitał się milutko z bratanicą. Dominika wiedziała, że im słodsze będą jego słowa, tym większą gorycz będzie czuła.

Teraz do rzeczy. Celem w dalszym ciągu jest Amerykanin, oficer CIA o nazwisku Nash, który zna nazwisko zdrajcy. Dominika musi odnieść szybko sukces, bo czas odgrywa tutaj dużą rolę. Generał i Dominika zdziwiliby się, że myślą w tej chwili niemal to samo: *chwastun*, samochwała, blagier.

Korcznoj powiedział cicho, spokojnie, z namysłem, że ten projekt będzie wymagał od kapral Jegorowej zagranicznych wyjazdów. Czy nie będzie z tym problemów, biorąc pod uwagę niefortunne postępowanie, w którym brała udział? Wujek Wania rozłożył ramiona jak do błogosławieństwa. Nie, oczywiście, że nie. Masz w tej sprawie pełną swobodę. Chodzi o to, żeby Amerykanin zdecydował się na ponowny kontakt. Oboje musicie o to zadbać, i to tak, żeby wszystko poszło jak po maśle. Przy ostatnich słowach mrugnął do Dominiki.

Wracali szerokim korytarzem na parterze, Korcznoj mówił niezobowiązującym tonem, żeby zaczęła zbierać informacje i zastanawiać się nad możliwymi ruchami i sztuczkami. Dominika zauważyła, że jest zadowolony i niczego nie podejrzewa ani niczym się nie przejmuje. Czemu miałby się przejmować? Dominika była doskonałą podwładną. Oszukiwanie go nie przychodziło jej łatwo, ale wiedziała, że nie może być inaczej.

W ich stronę szedł właśnie kat z Zarządu F, Siergiej Matorin.

Sprawa miała wrażenie, jakby nie rozpoznał Dominiki. Ona natomiast skupiła się na nim. Poczowała strach, a potem narastającą wściekłość, która kazała jej zacząć się zastanawiać nad odległością od jej palców do jego oka. Czy generał wyczuł jej nienawiść? Czy nie widział krwawych śladów, jakie zostawiał Matorin, i otaczającej go czarnej chmury? Czy nie słyszał brzęczenia kosy, którą włókł za sobą? Matorin spojrzął na nią tylko swoim niewidzącym mlecznym okiem i przeszedł dalej. Szedł tuż przy ścianie, a za nim ciągnęła się gruba smuga czerni, która przypominała rozchodzącą się w wodzie krew. Dominika obejrzała się za nim i zadrżała, widząc resztki

włosów na jego czaszce i puste palce, które rozprostowywały się i zaciskały w poszukiwaniu noża.

Godzina ósma, dżdżysty wieczór. Wania Jegorow przejechał przez Bramę Borowicką w zachodnim rogu Kremla. Koła wozu dudniły na mokrych kamieniach, kiedy przejeżdżali koło Wielkiego Pałacu Kremłowskiego i soboru Archangielskiego, a potem skręcili w lewo, koło budynku numer czternaście, na senny, opustoszały plac Iwana Wielkiego. Służbowy mercedes przejechał przez wąską bramę wewnętrznego dziedzińca koło musztardowego budynku senatu i zatrzymał się przy skąpo oświetlonym portyku. Poprzednio przybył tu po to, by odebrać drugą gwiazdkę. Dzisiaj miał pokazać, że na nią zasługuje.

Jego asystent zastukał do drzwi i się odsunął. Gabinet prezydenta był stosunkowo mały, cały wyłożony boazerią. Na biurku stał tylko zestaw do pisania z zielonego marmuru, światła kinkietów były przyciemnione. Prezydent miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę bez krawata. Jegorow próbował nie zwracać uwagi na to, że był w samych skarpetkach, a buty wepchnął pod krzesło. Prezydent siedział przy inkrustowanym stoliku przed biurkiem z rękami złożonymi na podołku. Żadnych papierów, depech czy telewizji. Jegorow usiadł przy stoliku.

- Dobry wieczór, panie prezydencie. - Twarz Putina była jak zwykle wyprana z emocji, ale dziś sprawiał on wrażenie zmęczonego.

- Panie generale - rzucił Putin, który najpierw spojrzał na zegarek, a potem utkwił przenikliwy wzrok w Wani. Znaczyło to, że może zaczynać i że ma mało czasu.

Jegorow zaczął przyciszonym głosem:

- Przechwycony od Amerykanów podręcznik komunikacyjny wciąż pozwala na uzyskanie wielu ważnych informacji i liczymy na to, że podobnie będzie w przyszłości.

Putin skinął głową i nawet nie mrugnął oczami.

- Nasz najważniejszy agent w Waszyngtonie, Łabędź, dostarcza nam informacji na temat pojazdów kosmicznych USA. Nasze *Kosmiczskije Wojska* bardzo wysoko oceniają te materiały. Mój rezydent w Waszyngtonie...

- Mówi pan o moim rezydencie - zauważył Putin.

- Tak jest, panie prezydencie. Pański rezydent, generał Gołow prowadzi Łabędzia z największą ostrożnością - ciągnął Jegorow, powtarzając sobie w duchu, że musi uważać, bo z Putinem nigdy nic nie wiadomo.

Do drzwi zapukał asystent, który przyniósł tacę z parującą herbatą w delikatnych filigranowych podstakannikach. Srebrne łyżeczki balansowały na wierzchu szklanek, w obu znajdowało się po kostce cukru. Asystent postawił tacę na stole konferencyjnym w rogu gabinetu, na której poza herbatą znajdowała się tacka z magdalenkami. Wszystko to jednak pozostawało poza ich zasięgiem.

- Proszę dalej - powiedział Putin po wyjściu asystenta.

- Nieustannie szukamy kreta CIA, działającego najprawdopodobniej w samych służbach. Zdemaskowanie go to już tylko kwestia czasu.

- Tak, to bardzo ważne - wtrącił Putin. - Musimy mieć więcej dowodów na to, że Amerykanie działają na naszą szkodę.

- Tak, oczywiście, panie prezydencie. Ten kret zagraża bezpieczeństwu naszych informa...

- Na przykład Łabędziowi - przerwał mu Putin. - Ale jej naprawdę nic nie może się stać. Żadnych wpadek, żadnych kompromitacji. - Jegorow z zaciekawieniem odnotował fakt, że prezydent zna płeć Łabędzia. Wania doskonale pamiętał, że sam mu o tym nie wspominał..

- Poznaliśmy tożsamość oficera, który prowadzi tego kreta.

Rozpocząłem operację, która ma doprowadzić do ujawnienia jego nazwiska.

- To ciekawe - powiedział Putin, który sam pracował kiedyś w

KGB. - Ale nie potrzebuje pan mojej zgody na tę operację.

- To bardzo skomplikowana sprawa. - Jegorow postanowił ominąć ten temat. - Chcę wysłać jednego z naszych oficerów, by zaangażował i skompromitował tego oficera. Musimy mieć nazwisko jego agenta.

Na kamiennej twarzy prezydenta pojawiły się jakieś uczucia, ale Wania nie był w stanie powiedzieć, czy jest to niepokój, czy też zadowolenie.

- Oczekuję tu dyskrecji i umiaru. Nie wyrażam zgody na porwanie tego oficera. Takich rzeczy nie robi się w wywiadzie. Może to wywołać niewyobrażalne konsekwencje... - mówił jedwabistym głosem prezydent, jak kobra, która zaczyna podnosić głowę.

Porcelanowy zegar Fabergé na stole wybił połowę godziny.

Herbata robiła się powoli zimna.

- Oczywiście podejmujemy wszelkie środki ostrożności, panie prezydencie - zapewnił Jegorow. - Tę akcję nadzoruje tylko jeden wyższy oficer z centrali.

- A młodszy oficer? Ta kobieta? Ostatnio oczyszczono ją z zarzutów w czasie przesłuchań w Lefortowie...

- Tak jest, panie prezydencie - odparł Jegorow, który dosłownie spiął każde słowo z wątrobianych ust Putina.

- Czy dobrze pamiętam, że to pańska bratanica? - Spojrzał mu prosto w oczy. - Córka niedawno zmarłego akademika Jegorowa?

- Z rodziną najbezpieczniej - rzucił niepewnie Wania. Był to pokaz wszechwiedzy i siły, który miał go najpierw zaszokować, a potem zadziwić. Tak, jak robił to Stalin. - Dominika będzie wypełniać wszystkie moje rozkazy.

- Dobrze, niech nawiąże kontakt z Amerykaninem, ale wykluczam użycie środków bezpośredniego przymusu. - Putin najwyraźniej wiedział o wszystkich jego rozmowach z podwładnymi.

- Tak jest, panie prezydencie.

Dziesięć minut później Jegorow schodził po wielkich schodach.

Samochód czekał przed drzwiami. Wania opadł na tylne siedzenie, myśląc o katastrofie, która może zniweczyć wszystkie jego ambicje. Nie zauważył innego, jadącego w stronę senatu skromniejszego wozu, który właśnie minął. Siedział w nim mały szef kontrwywiadu Aleksiej Ziuganow.

KREMLOWSKIE MAGDALENKI

Mieszamy jajka z solą, aż zgęstnieją, następnie dodajemy stopniowo cukru i olejku waniliowego, aż powstanie rzadkie ciasto, które zagęszczamy mąką i masłem orzechowym. Wlewamy do posmarowanej tłuszczem formy na magdalenki i wstawiamy do średnio nagrzanego piekarnika; pieczemy na złotobrązowy kolor. Wyjmujemy z formy i chłodzimy na drucianym stojaku.

Senator Stephanie Boucher z Kalifornii nie była przyzwyczajona do tego, że sama prowadzi lub parkuje swój samochód, nie mówiąc już o chodzeniu bez eskorty czy nawet samodzielnym otwarciu drzwi. Jako wiceprzewodnicząca senackiej Komisji do spraw Wywiadu dysponowała całym oddziałem stażystów i pracowników, którzy mogli ją obnosić w lektyce. Teraz przydałaby jej się jakaś pomoc, bo zderzak jej samochodu uderzył lekko w znajdujący się przed nią wóz.

Pierdolone parkowanie w kopercie! Pani Boucher przekręciła kierownicę i wcisnęła gaz. Tylne koła zatrzymały się na krawężniku, a przód auta wciąż wystawał na ulicę. Uderzyła dłonią w kierownicę. Kierowca z tyłu zatrąbił. Albo parkuje, albo jedzie dalej!

Pani senator otworzyła okno i krzyknęła głośno: „Pierdol się!” w stronę wozu, który zdołał przejechać obok. Wiedziała, że powinna bardziej uważać. W Waszyngtonie była osobą dosyć znaną, można powiedzieć: celebrytką, ale nie miała zamiaru puścić tego płazem skurwielowi, który na nią trąbił. Za czwartym razem udało jej się w końcu stanąć mniej więcej tak jak trzeba. Na ciemnej, zadrzewionej N Street w stolicy zapadł właśnie wieczór. Kiedy zamknęła wóz, zauważyła, że stoi jednym kołem na krawężniku, ale cholera z tym! Przeszła chodnikiem wzdłuż eleganckich kamienic z piaskowca z wejściami w stylu georgiańskim, oświetlonymi szklanymi latarniami.

Miała czterdzieści lat, chłopięcą figurę i zgrabne nogi, była niska i szczupła. Przenikliwe zielone oczy i zadarty nos uzupełniały długie do ramion blond włosy. Jedyne jej usta nie pasowały do tego portretu, znamionującego olbrzymią energię i władzę. Były małe, kapryśne, z cienkimi wargami, ściągnięte - usta, które równie dobrze mogły otworzyć się, by ukąsić, jak i do pocałunku.

Boucher zdobywała coraz większą władzę na Kapitolu; dość

młoda jak na senatora, ale wiedziała, że wywalczyła sobie pozycję w Komisji do spraw Wywiadu żmudnymi przygotowaniem i ciężką pracą. Była też członkiem innych komisji, żadna jednak nie była tak prestiżowa jak ta wywiadu. Do Kongresu wybrano ją dwanaście lat wcześniej po zacieklej kampanii w południowej Kalifornii, gdzie kwitł przemysł zbrojeniowy i kosmiczny. Nauczyła się, jak należy zawłaszczać mienie i potrząsać ludziami nad głową sakiewką z pieniędzmi, by dostać to, o co jej chodziło. Awans na senatora wydawał się logicznym przedłużeniem jej kariery i teraz, w czasie drugiej kadencji, jako nowo mianowana przewodnicząca komisji brała udział w procesie legislacyjnym, asygnowaniu środków i nadzorowaniu Departamentu Obrony, Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego oraz Wspólnoty Wywiadów. Szorstka, niecierpliwa i znieważająca innych w czasie przesłuchań, tolerowała Departament Obrony ze względu na pieniądze, jakie wydawał w jej okręgu wyborczym. Rozumiała, że nie można atakować Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, choć uważała, że zdominowali go kiepscy politycy, którzy nie rozumieli współczesnego świata i próbowali wykonywać precyzyjne operacje w rękawicach bokserskich. Najbardziej gorzkie i uszczypliwe uwagi Boucher rezerwowała dla Wspólnoty Wywiadów, ciała złożonego z szesnastu różnych agencji. Nie interesowały jej organy wywiadu wojskowego: DIA i DH. Byli to spragnieni awansu wojskowi, którzy deptali po głowach konkurencji z wywiadu zagranicznego, choć tak naprawdę chodziło im tylko o zdjęcie kolejnego mostu za kolejnym wzgórzem. Biuro Wywiadu i Badań Departamentu Stanu miało kilku świetnych analityków, ale rzadko zajmowało się zbieraniem tajnych informacji. Ci analitycy powinni częściej wychodzić na słońce, bo wyraźnie brakuje im witaminy D. Agenci FBI przypominali niechętne panny młode zmuszane do zajmowania się wywiadem krajowym, którego nigdy nie rozumieli i nie chcieli. To dlatego tak często wracali do swoich policyjnych korzeni i woleli

walczyć z arabskimi nastolatkami w Detroit niż tworzyć trwałe sieci wywiadowców.

Jednak był to jedynie motłoch. Pani senator szczególną estymą darzyła tylko jedną agencję, CIA. Nienawidziła przedstawicieli agencji, którzy odpowiadali przed komisją, na zmianę szczerze lub wymijająco. Boucher wiedziała, że ci pewni siebie, eleganccy, uśmiechnięci ludzie ciągle kłamią. Wiedziała, że dokumenty, które przynosili w zabezpieczonych teczkach, to zwykła makulatura. „Ciężko pracujący wywiadowcy” - powtarzali. „Narodowe siły wywiadowcze”. Rozdymali kwestię „zasad rządzących gromadzeniem poufnych danych”.

To były te słowa, które sprawiały, że pani senator dostawała piany na ustach.

Zdarzyło się to w czasie jej pierwszej kadencji. Stephanie Boucher poznała wówczas siedemdziesięcioletniego Malcolma Algernona Philipsa, pojawiającego się co jakiś czas na scenie politycznej lobbystę, człowieka, który wydawał wspaniałe przyjęcia i starał się z tylnego siedzenia pociągać za sznurki w Waszyngtonie. Philips znał wszystkich w tym mieście i, co ważniejsze, wiedział, kto za kim stoi i czyja ręka myje czyją. Jego wielbiciele byliby zbulwersowani, gdyby się dowiedzieli, że siwowłosy, nienagannie ubrany Philips był od połowy lat sześćdziesiątych wtyczką KGB. Zwerbowano go jako młodego bywalca waszyngtońskich salonów jeszcze za czasów Chruszczowa. Choć dostawał od Rosjan pieniądze, robił to też po to, by zaspokoić swoją plotkarską naturę - uwielbiał powtarzać sekrety, nadużywać zaufania i korzystać z władzy, którą dawała wiedza. Zupełnie nie obchodziło go, co Sowieci zrobią z tymi informacjami. Oni zaś potrafili, zupełnie wyjątkowo, wykazać w stosunku do niego olbrzymią cierpliwość. Nie nakłaniali go zbyt usilnie do zdobywania tajemnic czy dokumentów albo dawania łapówek. Zadowalało ich to, że potrafił wyłowić z waszyngtońskiego chaosu idealnych

kandydatów do zwerbowania. Philips robił to już od czterdziestu lat i nabrał dużej wprawy.

W czasie jednego z zimowych przyjęć w Georgetown jego doskonały aparat rozpoznawczy skierował się w stronę młodej pani senator. Philips od razu zauważył, że poza zwykłą mieszaniną ambicji, egotyzmu i chciwości jest w niej coś jeszcze. Wspólny lunch półtora miesiąca później utwierdził go w tych podejrzeniach. Zaraz też zameldował swojemu oficerowi prowadzącemu z KGB, że ma dla niego doskonałą osobę do zwerbowania. Zdaniem Philipsa Stephanie Boucher była zupełnie pozbawiona choćby odrobiny sumienia. Nigdy nie przejmowała się tym, co jest właściwe, a co nie. Coś takiego jak patriotyzm w ogóle dla niej nie istniało, nie mówiąc o obowiązkach wobec Boga, rodziny czy kraju. Przejmowała się tylko sobą. Jeśli więc dostanie odpowiednią propozycję, mówił Philips, Stephanie Boucher w ogóle nie będzie się zastanawiać, czy szpiegowanie na rzecz Rosji jest moralne.

Dorastała w Hermosa Beach na terenie South Bay, codziennie chodząc z krótkim rękawkiem, pływając na desce, paląc i odganiając opalonych na złoty kolor chłopaków. Ojciec był żaloszny i pozwalał matce puszczać się na prawo i lewo; Stephanie nie znosiła swoich rodziców. Ojciec potrafił ją jednak zaskoczyć. Gdy miała osiemnaście lat, zastrzelił matkę w ramionach pracownika FedExu. Załamała się na jakiś czas, ale potem pozbierała się i ze spuszczoną głową przeszła przez Uniwersytet Południowej Kalifornii, a po zrobieniu magisterium zajęła się miejscową polityką, z rosnącym przekonaniem, że przyjaźń jest przeceniana, a związki liczą się tylko wtedy, jeśli można je wykorzystać do własnych celów. Obok rosnącej mizantropii pozostało w niej jednak coś z genów matki: Stephanie coraz częściej odkrywała, że lubi seks, i to bardzo, najlepiej bez żadnych zobowiązań. Musiała wprawdzie uważać, bo jej kariera polityczna znajdowała się w rozkwicie, ale to pragnienie jej nie opuszczało, czało się tuż pod powierzchnią.

Waszyngtońska rezydentura bardzo starannie sprawdziła wszelkie informacje dotyczące nowego celu. Fragmenty układanki powoli zaczęły tworzyć całość i wkrótce SWR mogło potwierdzić opinię Malcolma Philipsa. Rozpoczęto więc proces rekrutacyjny i pani senator poddano weryfikacji przez kolejnych oficerów i funkcjonariuszy wywiadu. Ale dopiero kiedy nawiązał z nią kontakt sam rezydent Anatolij Gołow - wykształcony, elokwentny, ironiczny i czarujący - Boucher mogła zajrzeć za drzwi skarbcza. Zwykle filozoficzne wywody oficerów nie zrobiły na pani senator najmniejszego wrażenia. Nie interesował jej pokój między narodami ani też równowaga sił między współczesną Rosją a Stanami Zjednoczonymi. Gołow od razu to zauważył i nie tracił czasu. Wiedział, czego chce ta kobieta: awansu, wpływów, władzy. Gołow zamówił w departamencie I serię przemyślnych globalnych analiz, które następnie przedstawił pani senator „do dyskusji”. Stosunki międzynarodowe, polityka światowa dotycząca gazu i ropy naftowej, rozwój wydarzeń w Azji Południowej, Iranie i Chinach. Dzięki tym opracowaniom na temat wywiadu, gospodarki i wojskowości Boucher stała się szybko ekspertem w Komisji do spraw Wywiadu. Zrobiło to tak wielkie wrażenie na przewodniczącym, że zaproponował jej funkcję zastępcy. Pani senator od razu zrozumiała, że ma szansę na więcej. Znajomość z Gołowem rozwijała się w najlepsze, a Boucher nigdy nie myślała o niej w kategoriach „szpiegowania”. Podczas kolacji z Gołowem opowiadała mu o przesłuchaniach i wnioskach swojej komisji, a sama korzystała z jego analiz i zasobów, co wydawało się naturalne w świecie stołecznej polityki. Gołow wyciskał z niej informacje jak mięso z małży. A Stephanie uważała, że rosnące kwoty, które jej płacił „na wydatki”, słusznie się jej należą. Już dawno minęła punkt, za którym nie było odwrotu, ale nie należało jej o tym przypominać. Przecież ona budowała tylko swoją pozycję, szykowała się do

awansu, pracowała, by osiągnąć swój cel. SWR zyskało cennego współpracownika w postaci członka Kongresu. Łabędzia.

Anatolij Gołow czekał na panią senator w ogródku restauracji Tabard Inn przy N Street. Ogródek był odgradzony od reszty świata wysokim ceglany murem, a w konarach drzew w doniczkach paliły się malutkie lampki. Odgłosy uliczne z pobliskiego Scott Circle przypominały wieczorne pomruki morza. Gołow pełnił funkcję rezydenta w Waszyngtonie od roku i osobiście prowadził Łabędzia. Miał duże doświadczenie operacyjne, które podpowiadało mu, że Łabędź jest wręcz idealnym źródłem informacji. Mimo to nie lubił tej agentki i tej sprawy. Prawdę mówiąc, Boucher trochę go przerażała. Myślał o początkach swojej pracy, kiedy to rekrutowano agentów ze względu na wyznawaną przez nich ideologię, wiarę w zwycięstwo komunizmu i ziszczenie się ideału państwa doskonałego. Teraz to tylko farsa, w dodatku mało śmieszna, myślał Gołow. Łabędź to chciwa, pozbawiona skrupułów socjopatka. Obciągnął mankiety. Był mężczyzną słusznej postury, rzedniejące siwe włosy czesał do tyłu, a długi prosty nos i delikatna szczęka wskazywały na powiązania z dynastią Romanowów, ale to już nie miało znaczenia, nawet w SWR. Gołow miał na sobie doskonały ciemny garnitur od Brioniego, świeżo wykrochmaloną białą koszulę i jedwabny granatowy krawat w czerwone kropki, firmy Marinella. Na nogach miał ciemnoszare skarpetki i czarne pantofle od Toda Gommino. Mógł być hrabią emigrantem albo też eleganckim Europejczykiem na wakacjach. Jedynym rażącym elementem był złoty sygnet, który nosił na małym palcu. W wypadku Gołowa wiązał się on z tajemnicą i pewną ukrytą historią. Gołow kończył właśnie kolację, na którą składała się potrawka z jagnięciny w sosie *avgolemono*, smażony jarmuż czerwony w occie balsamicznym, a także *pommes de terre aligot*, tak dobre jak te, które jadł przed laty na południu Francji. Chociaż normalnie nie pił na służbie, musiał się wzmocnić - a może znieczulić? - przed spo-

tkaniem z panią senator. Skończył właśnie drugą lampkę char-donnay i zamówił espresso doppio.

Kiedy kelner zabrał się do sprzątanía stolika, Gołow musiał raz jeszcze przypomnieć sobie, że Łabędź jest zbyt cenną agentką, by tracić czas, próbując ją zmiękczyć, kontrolować czy przywoływać do porządku. SWR było gotowe dać jej wszystko, czego zażąda. Przekazywała im protokoły z zamkniętych posiedzeń Komisji do spraw Wywiadu, setki megabajtów informacji od przedstawicieli Departamentu Obrony i Agencji Wywiadu na temat systemów obronnych, operacji wywiadowczych i polityki Stanów Zjednoczonych. Czegoś takiego nigdy nie widziano w centrali, tamtejsi analitycy nawet nie przypuszczali, że takie dokumenty mogą istnieć. W zamian wypłacano jej kwoty, o których też nigdy nie słyszano w bardzo oszczędnych służbach wywiadowczych Rosji. Jej wartość sprawiła, że Stephanie Boucher nie była już zwykłym agentem. Stała się superkretem, potencjalnym agentem wpływu, kimś takim jak Shaw z filmu *Przeżyliśmy wojnę*. Gołow prowadził ją, wspierał, szkolił, wszystko po to, by mogła w przyszłości zająć ważne stanowisko. Nie było to nic nowego. Rosjanie robili to również w przypadku innych członków Kongresu. Niestety, większość tych rozpasanych prawodawców wjechała na latarnię, wpadła do sadzawki lustrzanej albo też zjechała z mostu wprost w objęcia przyływu. W przeciwieństwie do tych patałachów z marskością wątroby Łabędź nie miała takich słabości. Co więcej, dysponowała znacznie większym potencjałem. Centrala wyobrażała ją sobie jako członka rządu albo dyrektora CIA, a może nawet wiceprezydenta.

Jeśli dostarczane przez nią informacje zadziwiały, to i tak najlepsze miało dopiero nastąpić. Łabędź miała niedługo wziąć udział w organizowanym przez Pentagon programie specjalnego dostępu, poświęconym GLOV, statkowi, który Amerykanie chcieli wystrzelić na orbitę okołozemską.

Już pierwsze informacje wprawiły Rosjan w osłupienie. GLOV miał być hybrydową platformą, zdolną do przechwytywania sygnałów SIGINT, wywiadu z kanałów łączności, i ELINT, wywiadu elektronicznego, i stanowić wsparcie systemu GPS. Miał też zabezpieczenia przeciwko atakom z satelitów okołoziemskich. Możliwe, że jeszcze bardziej zaniepokoiło to, że GLOV będzie najprawdopodobniej wystrzeliwać rakiety do celów naziemnych. Bezpośrednio. Bez samolotów, tankowania w powietrzu, technologii stealth, pocisków przeciwlotniczych, straty pilotów i bez uprzedzenia. Potrafił namierzyć dokładnie cel na ziemi z odległości około sześciuset kilometrów. Amerykańscy inżynierowie, którzy prezentowali ten projekt, nazwali go: „Palec Boży”.

Ten wart miliard dolarów projekt był kontrolowany i zarządzany w ścisłym porozumieniu z Pathfinder Satellite Corporation z Los Angeles, położonym w korytarzu wzdłuż drogi z lotniska i bazy wojsk lotniczych w El Segundo, gdzie usadowiło się wiele firm zajmujących się najnowszą technologią. Tak się złożyło, że był to również dawny okręg wyborczy senator Boucher. Tak, pomyślał Gołow, najlepsze jest przed nami.

Pani senator przeszła żwawo do urządzanej w stylu rustykalnym sali Tabard Inn, przecisnęła się koło grupy osób w wąskim korytarzu z obrazami, łączącym część barową z salą główną, i weszła do ogródka. Zauważyła Gotowa przy stoliku w odległym kącie i pospieszyła w jego stronę. Gołow wstał, uścisnął jej rękę i nachylił się po europejsku nad jej dłonią, ale jej nie ucałował. Przypomniawszy sobie wczesne oceny jej osobistych zwyczajów i to, co lubiła robić z tymi rękami.

- Witaj, Stephanie - powiedział, starannie dobierając słowa.

Użył jej imienia, by stworzyć bardziej osobistą atmosferę i uniknąć używania tytułu, a jednocześnie nie drażnić jej zbytnią poufałością. Trudno było przewidzieć, w jakim akuracie jest nastroju. Gołow czekał na to, co powie, a ona zajęła swoje miejsce.

- Cześć, Anatolij - rzuciła i oparła się łokciami o blat stolika. -
Przepraszam, że przechodzę od razu do interesów, ale czy dostałeś
odpowiedź od swoich ludzi? - Senator wyłowiła z torebki papie-
rosy, a Gołow pochylił się, by podać jej ogień. Miał już przygo-
towaną cienką złotą zapalniczkę Bugatti.

- Przekazałem twoje życzenia, jak również moje sugestie, by
je natychmiast spełniono - odparł. - Spodziewam się odpowiedzi w
ciągu najbliższych paru dni.

Siedział swobodnie z rękami na obrusie. Kelner przyniósł wła-
śnie jego kawę, a Stephanie zamówiła whisky z wodą.

- Bardzo się cieszę, że mnie wsparłeś, Anatolij - powiedziała
głosem zebrań komisji. - Sama nie wiem, co bym bez ciebie
zrobiła.

Jaka straszna baba, pomyślał Gołow. Wiedział jednak, że cen-
trala zapłaci. Za te informacje zapłaciliby jej pięć razy więcej.

Pierwsza płytka, która pochodziła z rozmów w komisji na temat
Pathfindera wydawała się nieoceniona. Kolejne, a także instrukcje i
oprogramowanie dotyczące tego satelity oraz przesłuchania przed-
stawicieli Departamentu Obrony będą już bezcenne.

- Stephanie, wiesz, że zawsze możesz liczyć na moje wspar-
cie. I nie przejmuj się, centrala na pewno zaakceptuje twoje wa-
runki. - Gołow powstrzymał się, by nie pogłaskać jej po dłoni.

- To świetnie, bo dzisiaj poinformowano nas, że sprawa Path-
findera jest już na ukończeniu, a konkretnie: próby laboratoryjne
niektórych urządzeń nawigacyjnych i celowniczych. Nalegałam,
żeby dostarczali nam regularnie sprawozdania z postępu prac. Co
kwartał odwiedzam zakłady w Los Angeles, gdzie zajmują się tym
satelitą. Ten projekt może liczyć na finansowanie przez kolejnych
dziesięć lat. - Boucher wydmuchała w górę smugę dymu. - Więc
jeśli twoi towarzysze z Moskwy... - Mówi zbyt głośno, pomyślał
Gołow. Jakby to miała być groźba. - Jeśli więc nie zechcą zapłacić,
to możemy skończyć całą sprawę. I tyle.

Gołow raz jeszcze zauważył, że Boucher jest tak arogancka, że nie potrafi zrozumieć konsekwencji swoich zachowań, tego, że centrala nie pozwoli jej skończyć czegokolwiek. Już nie miała wyboru. Gołow próbował sobie wyobrazić spotkanie, w czasie którego Boucher dowie się, że ma dalej szpiegować albo zostanie wydana rodakom.

- Nie, na pewno nie przerwiemy współpracy - rzekł uspokajająco. - Nawet o tym nie myśl. Będziemy współpracować spokojnie i bezpiecznie, a ty będziesz dalej zadziwiać naszych ludzi. I na pewno zostaniesz za to sownie wynagrodzona, co więcej, będziesz robić coraz większą karierę.

Gołow już dawno zrezygnował z ideologicznych motywów.

Wystarczyły same fakty. Ty nam dostarczasz materiały, a my za nie płacimy.

- Chciałem jeszcze wrócić do naszej poprzedniej rozmowy na temat twego bezpieczeństwa - dodał Gołow. - Wiem, że nie uważasz, żeby to było konieczne, ale chcę, żebyś mnie posłuchała.

Sprawa jest dosyć poważna...

Upił trochę kawy i spojrzał na panią senator z nad filizanki.

Zniecierpliwiona Boucher raz jeszcze wydmuchała dym papierosowy.

- Jesteś bardzo znana w Waszyngtonie - ciągnął kojącym tonem. - Niektórzy mnie też rozpoznają jako rosyjskiego dyplomata.

Moim zdaniem nie powinniśmy się spotykać w miejscach publicznych. Centralę to niepokoi, zresztą mnie też. Musimy coś z tym zrobić - tłumaczył.

Spotykali się zbyt często. To było kuszenie losu. A Boucher, która ponownie wydmuchała dym, wydawała się zupełnie tym nie przejmować.

- Naprawdę musimy znowu to wałkować? - spytała, strzepując popiół z obrusa na podłogę. - Powiedziałam już, co na ten temat myślę.

- Tak, oczywiście. Ale nalegam, żebyś się jeszcze raz zastanowiła. Musimy przestać spotykać się w miejscach publicznych. Ponadto powinniśmy ograniczyć liczbę spotkań i zdecydować się na mniej osobistą wymianę informacji. - Gołów spojrzał w zmrużone oczy pani senator.

- Posłuchaj, Anatolij, już ci mówiłam, że nie mam zamiaru szukać o północy gdzieś w Great Falls Park informacji od ciebie. Nie chcę tego waszego nadajnika, który zapewne zacząłby mi dywić w torebce i wywołał alarm w siedzibie senatu. - Wyciągnęła dłoń do góry. - I tylko nie mów mi o waszej technologii, bo wiem o niej wszystko. Wasze gadżety nawet nie umywają się do amerykańskich. - Obnażyła zęby. - I z całą pewnością nie będę się spotykała ze świeżo upieczonymi oficerami z Abchazji, którym jeszcze słoma wystaje z butów. - Przed szkoleniem SWR pani senator w ogóle nie wiedziała o istnieniu Abchazji, nie mówiąc o jej położeniu. - Po co w ogóle wracamy do tego tematu?

Gołów wiedział, jak prowadzić agentów, ale ten przypadek różnił się od wszystkiego, z czym do tej pory miał do czynienia. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Jegorow przywiązuje wielką wagę do kwestii bezpieczeństwa. On zresztą też się tym przejmował, ale nie mógł zwolnić, kiedy miał tak dobre wyniki.

- Stephanie, doskonale rozumiem, że wszystkie te sprawy są bardzo męczące. Zróbmy więc tak, że będziemy się dalej spotykać, ale w pokojach hotelowych, które dla nas zarezerwuję poza Waszyngtonem, dobrze? A ponieważ będziemy mieli dużo czasu, proponuję, żeby te spotkania odbywały się rzadziej. Tak będzie bezpieczniej?

- Poza Waszyngtonem? - powtórzyła pani senator. - Chyba żartujesz. Trudno mi znaleźć trochę czasu, kiedy jestem w mieście. Mam zostawić moich pracowników i plany i jechać Bóg wie gdzie do jakiegoś Sheratona? Spotykać się przy paczce chipsów gdzieś w Baltimore, Filadelfii albo Richmond? Wykluczone!

Gołow spojrzał łagodnie na Stephanie. Nie miał zamiaru naciskać. Sprawa była zbyt poważna i teraz po prostu się do niej uśmiechnął.

- Jesteś zbyt logiczna, Stephanie. Spostrzegawcza. I praktyczna. Proszę cię tylko o jedną rzecz, żebyśmy się przestali spotykać w miejscach publicznych. Co miesiąc sama wybierzesz odpowiedni apartament w hotelu w Waszyngtonie. Nawet tutaj mamy do dyspozycji jakieś pokoje. Będziemy starali się wybrać to, co najlepsze, najwygodniejsze. Tak, żebyś była bezpieczna.

Pani senator skinęła głową, nieco rozkojarzona.

- Dobrze, ale zacznijmy od pokoju tutaj, w tej restauracji. To miejsce ma na mnie dobry wpływ, sama nie wiem. - Spojrzała na Gołowa, a potem pochyliła się, by mógł znowu podać jej ogień.

Gołow musiał przywołać trzydzieści lat doświadczenia, by powstrzymać niechęć. - A, jeszcze jedno, Anatolij. Chcę znać numer swojego konta w Lichtensteinie. Powiedz, żeby mi go przekazali.

- Rozmawialiśmy już na ten temat parę razy, Stephanie. Procedura centrali nie pozwala na dostęp do tego konta. Chodzi o twoje bezpieczeństwo. Uwierz, że dotarły tam wszystkie przekazy, o których ci mówiłem. Sama widziałaś wyciągi.

- Jesteś naprawdę miły, ale pozwól, że będę nalegać. Czekam na dobre wiadomości. - Pani senator wstała i wrzuciła papierosa do whisky z wodą. Gołow wstał i życzył jej dobrej nocy. Kiedy już zbierała się do wyjścia, sięgnęła do torebki i wyjęła płytkę w czarnej kopercie, którą rzuciła od niechcienia na stół. - Zeszłotygodniowy protokół z zebrania w sprawie Pathfindera - wyjaśniła.

- Chciałam go zatrzymać, aż dostanę zapłatę z Moskwy, ale za bardzo cię lubię, Anatolij. Dobranoc.

Patrzył, jak przechodzi do części hotelowej, jej blond włosy poruszały się w takt jej kroków. Gołow sięgnął od niechcienia po płytkę i umieścił ją w kieszeni marynarki, a potem jeszcze przez jakiś czas siedział przy stoliku. Ogródek był pusty i cichy. Zamówił

brandy i zaczął w myślach układać depeszę do Jegorowa.

POTRAWKA Z JAGNIĘCINY

W SOSIE *AVCOLEMONO* GOŁOWA

Kawałki jagnięciny, pokrojony boczek i cebulę mocno obsmażamy, podlewamy białym winem i bulionem. Dodajemy soli, pieprzu i gałki muszkatołowej do smaku i gotujemy przez godzinę na wolnym ogniu. Następnie wyjmujemy z wywaru kawałki jagnięciny, a dodajemy sok z cytryny, żółtka z jajek i wyciśnięty przez prasę czosnek; energicznie mieszamy - bez gotowania. Ponownie dodajemy do sosu soli, pieprzu i gałki muszkatołowej i polewamy nim, przybraną skórką z cytryny, jagnięcinę.

Wania Jegorow przeczytał depezę z Waszyngtonu, w której Gołow pisał, że Łabędź w dalszym ciągu odmawia podjęcia środków ostrożności. Zaklął pod nosem i zaczął się zastanawiać, czy nie kazać Gołowowi zwolnić, być może nawet zamrozić sprawę. Zaraz jednak zmienił zdanie, gdy zaczął czytać drugą stronę, na której rezydent opisywał zawartość przekazanej mu przez agentkę płytki. Znajdowały się na niej dokładne zapisy przebiegu zamkniętych spotkań w sprawie projektu GLOV, w których brali udział przedstawiciele Pathfinder Satellite Corporation i sił powietrznych USA, a także plany dotyczące satelity, diagramy Gantta, kryteria oceny, dane produkcyjne i wymagania podwykonawców. Było tam wszystko, czego można by sobie życzyć. Zarząd T już pracował nad streszczeniem dla Kremla, Komitetu Wykonawczego Dumy i Ministerstwa Obrony. Wania sam miał zamiar je przedstawić i wiedział, że wypadnie naprawdę bardzo dobrze.

Jednak ta gratka stanowiła też duże wyzwanie. Zabezpieczenia były niepewne, a dalsze prowadzenie agenta narażone na spore ryzyko. Spokojny i doświadczony Gołow bardzo tutaj pomagał i po mistrzowsku radził sobie z blond wiedźmą, ale nic z tego, co mogli zrobić, nie gwarantowało jej dalszego bezpieczeństwa. Jegorow lekko drżącymi rękami zapalił papierosa.

Widział tu dwa słabe punkty. Po pierwsze, Gołow jako rezydent podlegał różnego rodzaju inwigilacji - mogli go śledzić, monitorować, podsłuchiwać, nagrywać. Był jednak zbyt dobry i zbyt ostrożny, by ciągnąć za sobą ogony. Poza tym miał do dyspozycji oddany zespół kontrobservacyjny Zeta, który, korzystając z tej samej techniki, chodził za szefem tak jak obserwatorzy, sprawdzając, czy nikt go nie śledzi. Dzięki temu można było wykryć i unieszkodliwić obserwatorów rezydenta. Jednak Łabędź to był większy problem. Pani senator rozbijała się jak chciała po całym

Waszyngtonie i w ogóle nie przejmowała się tym, że ktoś mógłby ją zobaczyć z Gołowem czy też zwrócić na nią uwagę. Nie można było temu zapobiec poprzez prace operacyjne.

Gdy tylko ktoś zauważy przeciek albo pojawią się informacje na temat kreta, CIA wypełni ze swych dziur i zacznie go ścigać, aż w końcu go złapie. Gdzie mógłby pojawić się taki przeciek? Z pewnością mógłby pochodzić od tego skurwiela, który penetruje od wewnątrz SWR i którego prowadzi Nathaniel Nash. Jegorow walnął pięścią w biurko. Ktoś w tym budynku. Ktoś, kogo zapewne zna.

Było zaledwie kilku wyższych oficerów poza zastrzeżoną listą, którzy wiedzieli co nieco o Łabędziu i wspierali ten projekt. Wania zaczął sobie przypominać ich nazwiska: Poważny Jurij Nazarenko, dyrektor Zarządu T (nauka i technologia), szefowie Zarządu R (planowanie operacyjne i analizy), OT (wsparcie techniczne) oraz I (komputery). Wszyscy wiedzieli, że sprawa jest wyjątkowa, i mogli łatwo zgadnąć, jakiego kraju dotyczy. Nie wiedzieli dokładnie, kim jest Łabędź, ale mieli dostęp do raportów i wiele mogli się domyślić. Mimo rangi trzeba będzie ich wszystkich sprawdzić, od czego zresztą miał tego karła z Wydziału Specjalnego II, czyli kontrwywiadu, Aleksieja Ziuganowa.

Jegorow doskonale wiedział, że perspektywa śledztwa przeciwko własnemu, w dodatku wysoko postawionym kolegom doprowadzi Ziuganowa do ekstazy, być może nawet zbliżonej do tego, co przeżywał w piwnicach Łubianki. Wania dał mu pełnomocnictwa do przeprowadzenia wewnętrznego śledztwa i karzeł wyszedł z jego gabinetu z uszami nastawionymi jak radary i mdłym uśmiechem na ustach, maskującym burzę, która rozpętała się w jego głowie.

Jegorow wyjrzał przez okno swojego przestronnego pokoju. Kto jeszcze mógł zagrażać Łabędziowi? Oczywiście sam dyrektor. Być może jeszcze kilka osób z głównego sekretariatu i biura prezydenta,

i ministra obrony. Ale w przypadku tych osób niewiele mógł zrobić. Kto jeszcze? Pozostał jedynie Władimir Korcznoj, dyrektor wydziału I (Ameryka i Kanada), który, choć nie miał bezpośredniego dostępu do danych na temat Łabędzia, orientował się w wewnętrznej sytuacji SWR. Byli dobrymi przyjaciółmi i od lat mówili sobie po imieniu. Wołodia należał jeszcze do starej szkoły. Pracownicy służb lubili go i szanowali. Miał też tu swoich zaufanych ludzi, więc znał większość związanych z SWR plotek. No i w tej chwili prowadził operację przeciwko Nashowi.

Jegorow pomyślał, że ostatnio rzadko widywał się z Korcznojem. Przyjaciel się starzał. Pewnie tylko kilka lat dzieliło go od emerytury. Do tego czasu Jegorow zapanuje nad sytuacją i wybierze sobie zaufanego pomocnika, który będzie kierował wydziałem Ameryki. Mimo że Wania w głębi serca wiedział, iż jest to mało prawdopodobne - wykluczone - by to wydział I odpowiadał za zdradę, zdecydował się na wszelki wypadek dodać nazwisko Korcznojka do listy. Zajmie się więc najpierw SWR, a potem Nashem. *Za dwumia zajcami pogoniszsia, ni odnowo nie pojma-jesz*, pomyślał.

Szef Zarządu T, Jurij Nazarenko, czekał na progu gabinetu Jegorowa jak wieśniak pod stodołą. Był on wysoki i mimo swoich pięćdziesięciu lat chudy. Miał na nosie grube druczane okulary, pogięte i podniszczone, gdyż obchodził się z nimi z roztargnieniem. Miał też dużą głowę, wypukłe czoło, odstające uszy i nawet jak na Rosjanina zęby w wyjątkowo złym stanie. Był także bardzo nerwowy i bez przerwy poruszał głowę, strzelał palcami i niczym marionetka dotykał rękawów. Tuż pod lewym policzkiem wyrósł mu pieprzyk, który Jegorow obrał sobie za cel, by nie musieć skupiać się na jego zachowaniu. Nazarenko miał jednak doskonale wyszkolony ścisły umysł i nie tylko potrafił zrozumieć techniczną stronę jakiegoś problemu, ale też dostosować teorię do potrzeb operacyjnych i procesu uzyskiwania informacji.

- Wejdz, Jurij. Dziękuję, że przyszedłeś tak szybko - powiedział Jegorow tak, jakby zostawił podświadomemu wybór czasu spotkania. - Siadaj, proszę. Może zapalisz?

Nazarenko usiadł, wzruszył ramionami, zacisnął dłonie na podłokiu i parę razy poruszył kciukami.

- Nie, dziękuję, Iwanie Dimitriewiczu - rzucił, poruszając przy tym brwiami, a Jegorow wbił wzrok w punkt pod jego policzkiem.

- Chciałem ci powiedzieć, że świetnie sobie radzisz z informacjami na temat amerykańskiego pojazdu kosmicznego. Dostaliśmy już pochwałę najwyższych władz.

A konkretnie: on sam dostał pochwałę za prowadzenie Łabędzia.

- Bardzo się cieszę, Iwanie Dimitriewiczu - rzucił Nazarenko.

- Te informacje są naprawdę wyjątkowe. Jesteśmy z moimi analitykami pod wrażeniem. - Nazarenko spojrział na twarz boksera, którą miał przed sobą. - Oczywiście rosyjska myśl techniczna z łatwością może się temu równać - dodał zaraz, a grdyka poruszyła mu się przy tym dwukrotnie. - Ale muszę przyznać, że Amerykanie wykonali doskonałą robotę.

- Zgadza się. - Jegorow skinął głową i zapalił papierosa. - Chciałem powiedzieć, żebyś pracował nad tymi analizami, ale też uprzedzić, że nastąpi czasowa przerwa w dopływie informacji. Ich źródło, niezwykle ważna osoba, o której ze zrozumiałych względów nic nie mogę powiedzieć, ma problemy zdrowotne i musi na jakiś czas zawiesić swoją działalność. - Jegorow pozwolił, by to zdanie zawisło w powietrzu.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego i że wkrótce dostaniemy nowe informacje - powiedział Nazarenko i pochylił się trochę. Jego lewa noga i ręka drżały nieznacznie.

- Też na to liczę - odpowiedział Jegorow. - Półpasiec może być przykry, ale nasz agent powinien już wkrótce dojść do siebie.

- Tak, oczywiście - przytaknął Nazarenko. - Będziemy na ra-

nie zajmować się tym, co mamy. Jest tego tyle, że wystarczy nam na jakiś czas.

- Świetnie - ucieszył się Jegorow. - Wiem, że mogę na ciebie liczyć.

Wstał, by odprowadzić Nazarenkę do drzwi. Położył dłoń na jego drżącym ramieniu.

- Przejęcie tych informacji było ważne, ale zdajesz sobie sprawę z tego, że najważniejsze jest to, jak je wykorzystamy. To twoje zadanie.

Jegorow uściskał jego dłoń, a potem patrzył, jak Nazarenko, z przekrzywioną głową, trzymając się prawej strony, oddala się korytarzem w kierunku wind. Wyglądał w tej chwili jak Pietruszka z przedstawienia skomorochów.

- Jeśli ktoś taki jest szpiegiem, to nasz koniec bliski - szepnął do siebie Jegorow i wrócił do gabinetu.

Borys Aliuszewski z Zarządu R w najmniejszym stopniu nie przypominał Nazarenki. Zapukał dwukrotnie do drzwi gabinetu Jegorowa, a następnie wszedł spokojnie do środka bez cienia jakichkolwiek emocji. Aliuszewski miał czterdzieści lat, wyglądał na więcej i był naprawdę groźny. Szczupły, ciemny, z zapadniętymi policzkami i wystającymi kośćmi policzkowymi; gładko wygolony, ale śniady. Miał czarne oczy w kształcie migdałów, mocną szczękę i duży nos. Gęsta szopa kruczonych, lśniących włosów, które lekko falowały, sprawiała, że wyglądał na członka Centralnej Komisji Kirgistanu z Biszkeku. Pochodził jednak z Petersburga. Jako szef Zarządu R (planowanie operacyjne i analizy) był odpowiedzialny za ocenę wszystkich zagranicznych operacji SWR. Aliuszewski spędził wiele lat w Londynie i mówił świetnie po angielsku. Po powrocie z Anglii zajął się planowaniem i analizami, gdyż to najbardziej mu odpowiadało. Był inteligentny i miał dociekliwy umysł. Był też, zdaniem Wani, naiwny w kwestiach politycznych. To, że może być kretem, wydawało się wyjątkowo mało

prawdopodobne. Ale to właśnie on oceniał „ważne źródło informacji” z waszyngtońskiej rezydentury i sam zaproponował wykorzystanie zespołu Zeta do osłaniania Gołowa w czasie jego comiesięcznych spotkań z panią senator. Dlatego Wania zdecydował się poddać go próbie.

- Siadaj, Borys - powiedział. Lubił Aliuszewskiego za jego pracę, morale i inteligencję. - Przejrzałem twoje zalecenia dotyczące środków bezpieczeństwa w Waszyngtonie i całkowicie się z tobą zgadzam.

- Dziękuję, Iwanie Dimitriewiczu - powiedział Aliuszewski. - Oczywiście generał Gołow doskonale wie, jak sobie radzić na ulicy. Rzadko też stanowi cel obserwacji FBI. Jego zdaniem Amerykanie uważają, że ktoś z jego pozycją nie będzie zajmował się prowadzeniem agenta. No i zespół Zeta potrafi zachowywać się dyskretnie, a jednocześnie skutecznie chronić generała. - Aliuszewski przyjął papierosa z mahoniowej kasetki z szylkretową przykrywką.

- Doskonale.

- Poza tym technicy z rezydentury prowadzą nasłuch na częstotliwościach FBI. Zwracają szczególną uwagę na wszelkiego rodzaju anomalie w procedurze. Zmiana taktyki może oznaczać wzmożone zainteresowanie wroga - wyjaśnił jak najprościej Aliuszewski, nie bardzo wiedząc, czy Jegorow rozumie te zawiłości.

- Dobrze, Borys, chcę, żebyś w dalszym ciągu monitorował całą sytuację. Tak się składa, że mamy małą przerwę, możemy więc lepiej ocenić wszystkie zabezpieczenia.

- Dlaczego? - zdziwił się Aliuszewski.

- Rozumiesz, oczywiście, że nie mogę zdradzać szczegółów operacji generała Gołowa. Nie wynika to z braku zaufania...

- Rozumiem. Jak najbardziej, Iwanie Dimitriewiczu - zapewnił bez cienia pretensji w głosie Aliuszewski. - Zabezpieczenia to zabezpieczenia.

- Mogę tylko powiedzieć tyle, że informator Gołowa musi na jakiś czas przerwać kontakty. I to z powodu dosyć poważnej choroby... - Jegorow spojrzał łagodnie na podwładnego.

- Jak długa będzie ta przerwa? - spytał Aliuszewski. - To ważne, żeby generał Gołow nie zmieniał nagle tego, co robił do tej pory. Musi zachowywać się dokładnie tak jak poprzednio. Jakakolwiek zmiana w jego codziennej rutynie może wzbudzić podejrzenia, co będzie podwójnie niebezpieczne, gdy jego informator wznowi działalność.

- Trudno mi powiedzieć, ile to potrwa. Rekonwalescencja po bajpasach może być krótsza lub dłuższa. Po prostu trzeba poczekać.

- Za pozwoleniem, czy mogę spisać kilka dodatkowych pomysłów, tak żeby mógł je pan przejrzeć, Iwanie Dimitriewiczu, a następnie przesłać generałowi?

- Jak najbardziej. Chętnie się z nimi zapoznam. Przynieś, jak tylko skończysz - powiedział Jegorow, wstając ze swego miejsca. - I jeszcze raz podkreślam to, że bardzo cenię twoją pracę. Jesteś świetnym szefem Zarządu R.

Odprowadził Aliuszewskiego do drzwi i uściśnął na pożegnanie jego dłoń.

Szef wydziału Ameryki, generał Władimir Andriejewicz Korcznoj wszedł do sekretariatu Jegorowa dwadzieścia minut spóźniony. Osobisty asystent szefa, Dymitrij, wyszedł, żeby się z nim przywitać, ale dwie sekretarki popatrzyły na niego z wyraźną przyganą. Niezrażony Korcznoj podszedł do nich, przywitał je po imieniu, a jego brązowe oczy zaśniły pod krzaczastymi białymi brwiami.

- Pojawiły się informacje na temat tego, gdzie panuje największa rozwiązłość - zaczął historię, przysiadając na rogu biurka. - Pierwsze miejsce zajęły gwiazdy filmowe, drugie aktorzy teatralni, a trzecie KGB. A wtedy ktoś z tłumu zaczął protestować: „Pracowałem trzydzieści lat w KGB i nigdy nie zdradziłem żony!”. A wtedy inny mężczyzna odkrzyknął:

„To właśnie przez takich ludzi jesteśmy dopiero na trzecim miejscu!”.

Cała trójka roześmiała się. Dimitrij pospieszył, żeby nalać mu wody ze stojącej na szafce karafki. Jedna z sekretarek zaczęła właśnie inny dowcip, kiedy obite skórą drzwi gabinetu uchyliły się i pojawił się w nich sam zastępca dyrektora. Sekretarki natychmiast pochyliły się nad papierami i powróciły do pracy. Dimitrij skinął głową w stronę Korcznoja, a potem szefa i powrócił do swego małego boksu. Jegorow rozejrzył się po biurze.

- Coś tutaj za wesoło - zauważył. - Nic dziwnego, że praca nam nie idzie...

- To wszystko moja wina - rzekł pokornie Korcznoj, chociaż oczy mu lśniły. - Przerwałem pracę głupim kawałem. To była naprawdę strata czasu.

- Tak. I w dodatku się spóźniłeś - zauważył Jegorow - Może teraz znajdziesz dla mnie chwilę?

Dyrektor wrócił do gabinetu, a Korcznoj pomaszerował za nim. Skinął głową sekretarkom i po chwili zamknął drzwi do gabinetu. Sekretarki popatrzyły na siebie z uśmiechem, a potem wróciły do pracy.

Jegorow podszedł do obitej jasną skórą kanapy i usiadł. Poglądził miejsce obok, co znaczyło, że Korcznoj ma tam usiąść.

- Czyżbyś zalecał się do moich sekretarek, Wołodia? Założę się, że wiem, która wpadła ci w oko. I mogę cię zapewnić, że obie są dobre w łóżku.

- Jestem już za stary i zbyt zmęczony, by brać sobie kogoś do łóżka. Poza tym nie chciałbym w żaden sposób cię naśladować. Szkoda mi tych dziewczyn. - Korcznoj usiadł na kanapie i rozpiął marynarkę.

- Cieszę się, że zaczynacie akcję przeciwko Nashowi. Wiem, że dobrze nią pokierujesz. To najlepszy sposób na to, by odkryć zdrajcę.

Wania podszedł do szafki, z której wyjął gruziński koniak i dwa pękate kieliszki. Nalał i podał jeden z nich koledze.

- Trochę wcześniej - zauważył Korcznoj, ale stuknął się kieliszkiem z Jegorowem i wypił aż do dna. - Ja już dziękuję - dodał, kiedy zauważył, że zastępca dyrektora chce znowu napełnić kieliszki.

- Nalegam - powiedział Jegorow z udawaną powagą. - To jedyny sposób, żebyś ze mną został i porozmawiał. Potrzebuję kogoś zaufanego.

- Przyjaźnimy się od akademii - zauważył Korcznoj. - I co, chodzi ci o operację? Chyba nie żał ci bratanicy, bo mogę zapewnić, że...

- Nie, nie o operację. I wierzę w Dominikę - zapewnił Wania. - Chodzi o coś innego.

- Masz jakieś problemy? - Korcznoj nie chciał posuwać się tak daleko i pytać, czy chodzi o plany wysadzenia z siodła obecnego dyrektora. Nawet wieloletnia przyjaźń nie upoważniała do podobnej bezpośredniości.

- To, co zwykle. Za każdym zwycięstwem idzie jakaś porażka: utrata informatora, zdrada, werbunek.

- Doskonale wiesz, jak to działa, Wania. Zawsze będą porażki, ale raz na pięć, dziesięć lat zdarzy się prawdziwy sukces. A ten powinien już niedługo przyjść...

Korcznoj wypił jeszcze trochę koniaku.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Winien ci jestem przeprosiny. Ukrywałem coś przed tobą i jeszcze przez jakiś czas nie mogę ci o tym mówić. Chciałbym jednak uchylić rąbka tajemnicy.

- Zdaję się na twoją decyzję.

- Prawdziwy z ciebie kumpel, Wołodia - rzucił Jegorow, dolewając koniaku do obu kieliszków. - Prowadzę operację na twoim terenie, w Stanach, i to bez twojej wiedzy czy zgody. Według

regulaminu to twój wydział powinien się tym zajmować. Mogę ci tylko powiedzieć, że stało się inaczej, z polecenia Kremla.

Marmur nie dał nic po sobie poznać. Więc o to mu chodzi, pomyślał. O Łabędzia.

- Nie pierwszy raz tak się dzieje. Sam tak robiłem - zauważył.

- Jeśli wymaga tego dobro operacji, to nie mamy wyjścia - dodał, choć wiedział, że to kłamstwo.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na twój profesjonalizm. Nie chciałem okazać braku szacunku dla ciebie czy twoich ludzi.

- Wszystko w porządku - zapewnił Korcznoj. - Czy Gołow o tym wie? - Domyślał się, że może przynajmniej trochę wy badać sprawę. Ale delikatnie, delikatnie...

- Powinniśmy unikać szczegółów. - Jegorow nie odpowiedział na pytanie. - Ale mogę ci powiedzieć, że mamy dzięki temu informacje, które mogą się równać z tym, co w 1949 Feliksow wy ciągnął od Fuchsa na temat pewnej bomby, kupując mu lody.

Jakież to trafne, pomyślał Korcznoj. Największy sukces odnie śliśmy jako NKWD tuż po wojnie. Jegorow zaśmiał się i klepnął kolegę po plecach.

- Więc powinienem ci złożyć gratulacje. To właśnie ten sukces, którego nam od dawna brakowało. - Wypił jeszcze łyk koniaku. - Jak mogę pomóc?

- Nie, nie, nic dla ciebie nie mam - rzucił Jegorow. - Musisz rozpocząć akcję przeciwko Amerykaninowi, nawet jeśli my musimy na trochę przystopować. Kiedy konkretnie zaczynacie?

- Jak tylko będzie trzeba. Dominika jest już gotowa. Sam możesz wyznaczyć termin.

- Zostało nam mało czasu. Wydaje mi się, że będzie najlepiej, jeśli zaczniecie właśnie teraz, kiedy nasz informator dochodzi do siebie po operacji oka.

- Żaden problem. Zbierzemy się i wyjedziemy za parę dni.

- Świetnie. - Jegorow aż się rozpromienił.

- I zapewniam, że też odniesiemy sukces.

- Liczę na ciebie. Jesteś moim najbardziej zaufanym człowiekiem.

Ty stary krokodylu, pomyślał Korcznoj. Wstał i popatrzył na sosnowy las widoczny z wielkiego okna.

- Dobrze nam poszło, Wania. Zwłaszcza tobie. Kto by pomyślał, że tych dwóch młodych absolwentów akademii zrobi taką karierę?

- Jeszcze się nade mną tak nie rozczulaj - mruknął Jegorow. - Dzięki za lojalność i pamiętaj o mnie na przyszłość. - Podeszli razem do drzwi i uściskali się lekko.

- Teraz będzie mnie czuć koniakiem i twoją okropną wodą kolońską - rzucił Korcznoj. - Dzięki tobie uznają mnie za pijaka i pedika.

Zaśmiali się obaj, a potem Jegorow obserwował oddalającego się kolegę. Kiedyś był świetny, ale teraz bardzo się zestarzał. Cofnął się do gabinetu i zamknął drzwi.

Marmur myślał gorączkowo. Chciał jak najszybciej przekazać informację, dziś wieczorem za pomocą szybkiej komunikacji satelitarnej. Wyobrażał sobie, jak Benford czyta ten komunikat. Wyczuł jednak coś jeszcze. To zaproszenie na czwarte piętro wydało mu się dziwne, pozbawione sensu. Przeprosiny za prowadzenie operacji na jego terenie stanowiły jedynie wymówkę. Wania nie miał choćby cienia wyrzutów z powodu tego, co zrobił. Wania robił tylko to, co przynosiło mu korzyści i zaszczyty. Zawsze był taki i dlatego zrezygnował z działań operacyjnych i stał się biurokratą. Przez chwilę zastanawiał się nad czterema ważnymi szczegółami, których się dowiedział: że jego człowiek, Łabędź, to wyjątkowy informator, porównywalny ze sprawą szpiegów atomowych. Że prowadzi go waszyngtońska rezydentura, zapewne sam Gołow. I że Łabędź przeszedł ostatnio poważną operację oka. Więcej szczegółów dla Benforda, pomyślał Marmur.

Przeszedł szerokim korytarzem na piętrze i zajrzał do przestronnej kantyny. Dochodziło dopiero południe, ale pracownicy już nieśli tace z jedzeniem. Korcznoj czuł, że ma lekką głowę, ale żołądek protestuje z powodu cholernego koniaku, stanął więc w kolejce i wziął zupę grzybową ze śmietaną. Po chwili dostrzegł szefa Zarządu T, Nazarenkę, siedzącego samotnie przy stoliku. Próbował zejść mu z widoku, ale tamten już zaczął machać w jego stronę. Teraz musiał się do niego przysiąść, jak do oficera zbliżonego rangą, w innym wypadku naruszyłby protokół. Korcznoj musiał się więc przygotować na to, że następnych dwadzieścia minut spędzi w towarzystwie człowieka, którego podwładni z zarządu technicznego nazywali „Oscyloskop”.

- Jurij, jak leci? - spytał, siadając przy stoliku. Przełamał piątkę swojego chleba i zanurzył ją w zupie.

- Ciągle robota i robota - odparł Nazarenko. Starał się właśnie przepiłować gołąbka, ale rezultaty były opłakane. Korcznoj nie mógł oderwać od tego oczu, jakby obserwował jakiś wypadek uliczny. - Wciąż mamy nadgodziny, docierają nowe informacje, trzeba je przetłumaczyć, przeanalizować i napisać podsumowanie na czwarte piętro. Cała lawina płytek. Wszystko potem idzie bezpośrednio do Kremla.

Płytki, ciekawe. To zapewne ten sam informator, o którym wspominał Wania.

- Potrzebujesz pomocy? Prześłać ci może paru analityków?

Był to prawdziwie wspaniałomyślny gest. Żaden wydział tutaj nie wrywał się z pomocą. Zdziwiony Nazarenko aż uniósł głowę.

- To bardzo miło z twojej strony, Wołodia - powiedział, przeżuwając jednocześnie kawałek gołąbka. - Ale tą sprawą może zajmować się tylko paru wyznaczonych analityków. Takie są wymagania.

- Jasne, daj znać, gdybym jednak mógł ci jakoś pomóc. Wiem, co to znaczy być zawałonym robotą - rzucił Korcznoj.

- Już niedługo będziemy mogli odpocząć. Jegorow mówił, że przez pewien czas nie będzie nowych informacji. - Nazarenko pochylił się w stronę kolegi, a jego grdyka latała w dół i w górę. - Wiesz, półpasiec to całkiem poważna choroba.

Nazarenko złamał w ten sposób regulamin, ale przecież Korcznoj był szefem ważnego wydziału, człowiekiem o nienagannej reputacji.

Marmur poczuł, jakby lodowate palce przesunęły się wzdłuż jego kręgosłupa. Ściany kantyny zaczęły się zsuwać, gwar głosów przerodził się w huk. Zanurzył łyżkę w zupie.

- Cóż, tak jest lepiej dla ciebie. Trzeba korzystać ze wszystkich możliwych przerw. - Korcznoj zniżył głos. - Hm, Jurij, nie powinniśmy o tym w ogóle rozmawiać. Doskonale wiesz, jaka to poważna operacja. Lepiej w ogóle nie wspominać, że o tym mówiliśmy, prawda?

Oczy Nazarenki zalśniły, a on sam poczuł się winny, kiedy zrozumiał, o co chodzi koledze.

- Ależ oczywiście, całkowicie się zgadzam - zapewnił.

Wziął talerz i wstał, mamrocząc pod nosem jakieś przeprosiny.

Marmur siedział sam przy stoliku, starając się wmusić w siebie trochę zupy, i miał nadzieję, że wygląda zupełnie naturalnie.

Czy to ma być początek jego końca? Sidła zastawione specjalnie na niego? A może tylko ogólny test na lojalność? Potrząsnął głową i cierpko zacisnął usta, myśląc o tym, na ilu starszych oficerów Wania zastawił swoją pułapkę. I teraz czekał, który z nich wleci do tej klatki. „Chodźcie, koliberki, pokażcie, jak rozpylacie pyłek”. Informacja do Langley stała się nagle bardziej istotna niż kiedykolwiek.

ZUPA GRZYBOWA

Namaczamy, a potem odcedzamy suszone grzyby. (Wodę z nich możemy dolać do rosółu). Gotujemy grzyby w rosolu przez cztery godziny. Pokrojoną w kostkę cebulę podsmażamy na maśle

na złoty kolor i wrzucamy do zupy. Dodajemy mąki kukurydzianej, mieszamy i gotujemy na wolnym ogniu, aż zupa zgęstnieje. Przyprawiamy i podajemy z odrobiną kwaśnej śmietany i pietruszki.

Benford siedział w półmroku swojego biura, przed nim na oświetlonym skrawku blatu leżała przesłana covcomem depesza alarmowa. Wokół panował zwykły chaos. Przeczytał już dwukrotnie zaszyfrowaną wiadomość od Marmura, wsłuchując się w jego słowa, widząc, że agent starał się zawrzeć jak najwięcej w liczbie znaków dozwolonych przy szybkiej telegrafii. Zaraz też krzyknął do sekretarki, żeby jak najszybciej sprowadziła mu Nate'a i Alice. Czekając, czytał raz jeszcze:

1. Łabędź na pewno w USA. Wg W, materiały najlepsze od lat 50. Być może działa w stolicy. Prawdopodobny oficer prow.: Gołow. Nazarenko skarży się na nadmiar pracy. Płytki i dane techniczne .

2. W. zastawił pułapkę. Nazarenko mówił, że Łabędź ma półpasiec. Mnie, że przeszedł operację oka.

Możliwe inne warianty.

3. W. wznawia akcję przeciwko NN. Ja kieruję(!).

Bratanica W. ma nawiązać kontakt z NN.

4. Mój wyjazd do Rzymu ma zbiec się z konferencją EBES. Podam kiedy, niko.

Wzrok Benforda zatrzymał się na małym „n” w podpisie, które, najprościej rzecz ujmując, oznaczało brak środków przymusu.

Można więc było założyć, że Marmur napisał to sam, a nie w otoczeniu grona kontrwywiadowców, z których jeden odginalby mały palec jego lewej ręki niemal do złamania, tak by spełniał ich polecenia.

Łabędź działał w amerykańskim rządzie. Benford podjął wyzwanie. Jeśli Rosjanie uznali Łabędzia za najlepszego informatora od wielu lat, wskazywałoby to nie tylko na jakość, ale też liczbę informacji. A to też znaczyło, że jego kraj powoli się wykrwawia. Kiedy więc Alice zajrzała do pokoju, powiedział, że ma pracować tylko nad jednym projektem i że zaczyna od zaraz.

- Mam sprawę tego podwójnego agenta w Brazylii - wypaliła Alice. Wcale nie bała się sprzeciwić szefowi.

- Te bzdury mogą poczekać - mruknął Benford, nawet nie podnosząc głowy. - Masz rzucić wszystko i przygotować listę. Czymś takim jeszcze się nie zajmowałaś.

- Proszę, proszę. - Alice rozejrzała się dookoła, szukając miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Nie udało się go jednak znaleźć, więc musiała stać przed biurkiem.

- To trochę nietypowe, ale z twojej dziedziny. - Benford w końcu uniósł głowę. - Chcę, żebyś przygotowała dla mnie listę dziesięciu największych tajemnic naszego rządu. Mogą być wojskowe, polityczne, krajowe, informatyczne, bankowe, kosmiczne, związane z energią, islamem czy tatuażem na dupie Pat Benatar. Wszystko mi jedno...

- Czyjej dupie?

- Pat Benatar. To taka piosenkarka - wyjaśnił mętnie Benford. - Zaczynaj od Pentagonu i programów ze specjalnym dostępem, tajemnic wojskowych, bo Rosjanie tym się najbardziej ekscytują. Sprawdź, które z projektów Departament Obrony uważa za najważniejsze. Zwłaszcza z tych długoterminowych, kosztownych, strategicznych. Pogadaj z zastępcą dyrektora do spraw wojskowych, żeby skontaktował się z sekretarzem obrony. Poproś uprzejmie, żeby ruszyli tyłki. A kiedy już będziemy wiedzieli, co uważają za klejnot w koronie, zaczniemy przeglądać listy ściśle tajnych projektów. Alice podeszła do drzwi w chwili, gdy stanął w nich Nate. Kiedy przeciskali się w nich, popatrzyła na niego pytająco.

- Wiesz, kto to jest Pat Benatar?

- Nigdy o nim nie słyszałem - odparł Nate, a następnie zgarnął papiery z krzeselka, by na nim usiąść. - Czy to ten agent FBI z Bostonu, który zajmował się sprawą z Nowej Anglii?

- Daj spokój tej sprawie. A tobie, Alice, już dziękuję - rzucił Benford, a następnie podał Nate'owi kopię informacji od Marmura.

Widział, jak podwładny poczerwieniał w czasie czytania.

Nate przeczytał depezę raz jeszcze, jakby chciał wycisnąć z niej tyle treści, ile się da. W końcu popatrzył na Benforda.

- Ona żyje.

- Diva nie tylko żyje, ale wygląda na to, że wyszła cało z wyżymaczki. W dodatku jej wuj wykazał się niezwykłym wprost wyczuciem i przydzielił ją Marmurowi. - Benford raz jeszcze pomyślał o propozycji starego agenta.

- Myśli pan, że przyjedzie z Marmurem do Rzymu? - spytał Nate.

- Weź lepiej zimny prysznic - wycedził Benford. - Być może nie będziemy jej mogli w pełni zaufać albo też okaże się pełnowartościową agentką. W tej chwili powinniśmy wykorzystać fakt, że Diva, którą sam zwerbowałeś i którą oczyścił z zarzutów rosyjski kontrwywiad, dostała zadanie z nic niepodejrzewającej centrali, żeby cię uwieść i uzyskać nazwisko innego agenta, Marmura, którego prowadzisz, a który jednocześnie jest nowym szefem Divy. To właśnie on ma kierować operacją unieszkodliwienia swojego oficera prowadzącego.

Benford popatrzył na niego spomiędzy dwóch bliźniaczych stosów gazet. Przypominał średniowiecznego alchemika, któremu gdzieś się zapodział kamień filozoficzny.

- Uwielbia pan ten syf, prawda? - mruknął Nate.

- Masz radzić sobie z niejednoznacznościami. Jeśli nie potrafisz, powinieneś natychmiast zrezygnować. - Benford popatrzył z ukosa. - No, od czego zaczniesz? - Rzucił mu kość.

Nate wziął głęboki oddech, próbując nie myśleć o Dominice.

- Ta informacja świadczy o tym, że nie mają bladego pojęcia, kim jest Marmur.

- Skąd ten wniosek?

- Jegorow wymyśla różne historie i sprawdza szefów różnych wydziałów - odparł Nate. - To akt rozpacz.

- Co jeszcze? - spytał Benford.

- Jeśli prześwietla swoich najbardziej zaufanych ludzi, to znaczy, że spodziewa się wyników, że któryś wariant mu się sprawdzi.

- Czyli?

- To znaczy, że ma kogoś w rządzie, kto powinien powtórzyć jedną z tych informacji. Kogoś, kto ma kontakty z wywiadem. Może chodzi o Łabędzia?

- Możliwe. - Benford skinął głową. - Co jeszcze z tej depechy może nam pomóc w zidentyfikowaniu Łabędzia?

Nate spojrział na wiadomość, a potem znowu na szefa.

- Mogę prosić o podpowiedź?

- Nazarenko.

Nate ponownie zaczął czytać, a potem wbił wzrok w Benforda.

- Znamy wersję, którą Jegorow podał Nazarence - zaczął ostrożnie. - Możemy zacząć ją powoli rozpowszechniać i czekać na odzew. Jak aresztują Nazarenkę, będziemy mieli określoną liczbę osób zamieszanych w tę sprawę.

- A papka Jegorowa posłuży jako środek cieniujący - dodał Benford. - Bo trzeba pamiętać, że jest już zniecierpliwiony i chce jak najszybciej złapać kreta. Jesteś dla niego skrótem do rozwiązania problemu, kimś, kto pozwoli mu zachować głowę. Chce skoncentrować się na tobie.

Nate pomyślał o Dominice, co natychmiast wychwycił Benford i westchnął teatralnie.

- Dosyć o tobie, niezależnie od tego, jak bardzo jest to dla ciebie rozczarujące. Skoncentruj się na tym, co zrobić w sprawie Łabędzia. Jeśli Marmur ma rację, to prowadzi go sam rezydent, i to tutaj, w Waszyngtonie.

- Jeśli rzeczywiście prowadzi go Gołow, to jest to ich słaby punkt - zauważył Nate. - Może skupimy się więc na śledzeniu rezydenta.

- Świetnie. Ale jak się do tego zabrać? Co byś z tym zrobił? -

wypytywał Benford.

- Trzeba przez miesiąc trzymać go na głodzie. Obserwować z bliska, otoczyć. Z całym szacunkiem, ale włączyłbym w to FBI...

Jeśli mamy się bawić z Gołowem w centrum Waszyngtonu, FBI musi wiedzieć, co jest grane. Poza tym ma doskonały kontrwywiad, a agenci specjalni znajdują się na robocie na ulicy. Mają świetne zespoły obserwacyjne.

- Nieustająca obserwacja. Gołow odwoła wszystkie swoje spotkania. Materiały od Łabędzia przestaną napływać, a wtedy ich centrala zacznie wykazywać nerwowość. Gołow poczuje jej gorący oddech na karku. Będą się bali, że stracą kontakt z agentem, a możemy się tylko domyślać, jaki wpływ będzie to miało na Łabędzia.

- Dobrze, więc sytuacja stanie się nerwowa, ale Gołow i tak jest zbyt dobry, by popełnić błąd na ulicy - rzekł Benford. - Poza tym ma do dyspozycji zespół kontrolobserwacyjny.

- Oczywiście - potwierdził Nate. - Ale pewnej burzowej nocy puścimy go bez osłony. Gołow zobaczy, że jest czysty, a jego zespół to potwierdzi. Podejmie więc decyzję o spotkaniu. A nasz zespół Orion będzie musiał wyprzedzić jego ruchy i przygotować Zapadnię. Może wtedy uda nam się zobaczyć jakąś zdenerwowaną osobę lub źle zaparkowany samochód z obcymi tablicami. I tak musimy próbować, aż trafimy na Łabędzia.

Benford skinął głową z aprobatą. Ten chłopak był już po drugiej stronie, zmierzył się z FSB w trudnym terenie moskiewskim.

Benford znał słabości agentów i wiedział, co przeraża ich oficerów prowadzących. Teraz z satysfakcją zauważył, że Nate zaczyna dochodzić do siebie po tym, co się stało.

Benford był praktycznie jedynym dysponentem Orionów, starał się trzymać ich z daleka od mediów i nikomu ich nie wypożyczał.

Kto zresztą potrzebował geriatrycznego zespołu obserwacyjnego

złożonego z emerytowanych wywiadowców? Ludzi w kiepskich autach, czarnych skarpetkach i sandałach, z lornetkami do obserwacji ptaków... Liczebność grupy była płynna, w dużej mierze uzależniona od osobistych planów, spotkań z wnukami i wizyt u lekarzy specjalistów. Istota ich pracy polegała właśnie na tym, że byli wolni, przezorni, cierpliwi i dzięki temu bardzo efektywni. Ci wywiadowcy obserwowali, czekali, wtapiali się w krajobraz. Pieścili swoje cele, węszyli delikatnie, dotykali ich niczym bryza. I nigdy nie rezygnowali.

Poza tym stosowali Zapadnię. Nieliczne zespoły obserwacyjne mogły to z powodzeniem robić. Chodziło tu o inny rodzaj śledzenia - tak jak w przypadku psa, który rzuca się w pogoń za samochodem, i kota, który poluje na ptaka. Orionci pracowali nad tym już od jakiegoś czasu i udoskonalili tę technikę. Woskowy ołówek wyznaczający linię na laminowanej mapie, strzałka kompasu, która wychyla się w stronę „królika”, który jest przecież tylko człowiekiem. Nieważne, z jakich skorzysta zwodów, jak będzie zawracał, skakał w bok; trzeba się dowiedzieć, dokąd zmierza, jaki jest jego cel.

Próbowano poddać Orionów obserwacji ekspertów, nauczyć tego samego inne zespoły, zaszufłdkować ich czarną magię. Powstały raporty, w których eksperci pisali: „Prognozowanie wywiadowcze oparte na wieloaspektowej analizie i ocenie śledzonego” albo: „Projekcje sytuacyjne wynikające z dyskretnej obserwacji”, „Antycypacja trasy na podstawie jej analizy w zestawieniu ze spodziewanym ryzykiem”.

Sami członkowie zespołu Orion mówili, że to bzdury. Chodziło o to, by wyrobić w sobie przeczucia, umiejętność zgadywania i domyślania się, a jednocześnie nieunikania ryzyka. Eksperci federalni robili tylko wielkie oczy. Pomyślcie o tym, że jesteśmy jak ameby, powiedział sześćdziesięcioośmioletni członek zespołu, który brał udział w podsłuchiowaniu telefonów GRU przez berliński

tunel. Wiecie, taka plazma o zmiennym kształcie, której nie można wyczuć, a która rozlewa się wszędzie dokoła. Eksperci uśmiechali się uprzejmie. Jak, do cholery, zapisać to w podręczniku?

W czasie ulicznych demonstracji eksperci szukali Orionów na zwykłych pozycjach, ale ich tam nie było. Zniknęli. To żadna obserwacja, cel pozostał bez dozoru, gdzie jest zespół? Ale kiedy królik pojawiał się na miejscu, Orioni już tam byli, siedzieli gdzieś z boku w aucie, chodzili po parku, stali na skrzyżowaniu tak cichutko, że nikt na nich nie zwracał uwagi. Zwariowane pomysły, czarna magia, mówili eksperci, wielkie dzięki. I w końcu zostawili zespół Benfordowi.

Zacząto więc obserwację i ocenę Gołowa. Był on dystyngowanym dżentelmenem, eleganckim, z dobrymi manierami, ale zakorzenionym w dawnym sowieckim systemie. Poznajcie go lepiej, zachęcał Benford, i uważajcie na jego zespół kontrobservacyjny. Trzymajcie się od niego z daleka, patrzcie, bądźcie niewidzialni.

- Dobra, najwyższy czas wyłączyć pana Gołowa z działań operacyjnych - zdecydował w końcu Benford.

Następnego ranka przed ambasadą Federacji Rosyjskiej na Wisconsin Avenue pojawili się agenci FBI przyczajeni w swoich fordach crown victoria z silnikami o mocy dwustu pięćdziesięciu koni mechanicznych, w ciemnych okularach firmy Oakley i wypisanym na twarzach oczekiwaniem.

Zamknięta sesja Senackiej Specjalnej Komisji do spraw Wywiadu odbywała się w sali numer 216 w samym sercu siedziby senatu przy Constitution Avenue. Budynek znany jako HS, czyli Hart Senate, miał osiem pięter i wyglądał jak wielka, zrobiona z przyciemnionego szkła i marmuru wieża. W niczym nie przypominał bardziej eleganckich, neoklasycystycznych gmachów Dirksena i Russella. Benford pojawił się tu sam, przeciął strzeliste atrium i ruszył schodami na piętro. W biurze zewnętrznym pod

numerem 216 wpisał się do rejestru, który podsunął mu siedzący za biurkiem strażnik, a następnie oddał mu swoją komórkę. Otworzył pancerne drzwi z szarej stali i wszedł do dużego pomieszczenia. Przyszedł wcześniej, w sali posiedzeń znajdowało się tylko paru asystentów, którzy umieszczali dokumenty na położonych wyżej dębowych pulpitych. To jasne, że pulpity muszą być podniesione, pomyślał Benford. Senatorowie lubią patrzeć z góry na tych, którzy przed nimi zeznają.

Za panelami z drewna i marmuru na podłodze, ścianach i suficie znajdowała się niewidoczna dla oka miedziana siatka nieustannie pulsująca energią, tak by po ciasnym zamknięciu pancernych drzwi i zetknięciu się ich framugi z miedzianym obwodem ościeżnicy nie dostał się tu ani stąd nie wydostał nawet najmniejszy sygnał radiowy.

W latach osiemdziesiątych Rosjanie, którzy mieli chrapkę na ważne informacje z posiedzeń komisji, zaaranżowali operację, której celem było pozostawienie w sali konferencyjnej urządzenia nagrywającego, które chcieli później zabrać. Był to prosty trik, mający na celu uniknięcie bramki elektronicznej. Ten zuchwały plan udaremnił dozorca, który znalazł magnetofon przyklejony pod krzesłem na galerii dla publiczności, otwieranej w czasie rzadkich, ogólnodostępnych posiedzeń komisji. Mężczyzna przekazał urządzenie senackiej komisji, i ta z kolei poinformowała o wszystkim FBI. A trzeba było latami przekazywać Rosjanom fałszywe informacje, pomyślał Benford, rozglądając się po budzącym respekt wnętrzu. Jednak FBI zaraz pochwaliło się „obcym znaleziskiem” - podrzuconym przez Rosjan magnetofonem - zgmiotło go na miazgę i utraciło tak wspaniałą okazję.

Benford był jedyną osobą przy stoliku dla świadków. Jakaś asystentka umieściła przed nim niewielką kartkę z jego nazwiskiem. Z powodu nacisków ze strony członków komisji Benford odbywał takie spotkania informacyjne na temat działalności

kontrwywiadu co trzy miesiące. Mogło w nich uczestniczyć tylko piętnastu senatorów. Wszyscy oni, przyzwyczajeni do asystentów, niechętnie zgodzili się na to, że nikt więcej nie mógł tu przebywać, co znaczyło, że nie uda im się zbyt wiele zanotować.

Członkowie komisji zwykle stawiali się w komplecie na spotkania na temat kontrwywiadu, gdyż uważano je za najciekawsze i najbardziej treściwe prezentacje spośród wszystkich służb wywiadowczych. Wszyscy poza jedną osobą traktowali go tutaj z szacunkiem. Jedynie senator Stephanie Boucher z Kalifornii żywiła bardzo wyraźną niechęć do funkcjonariuszy kontrwywiadu, zwłaszcza tych z CIA. Członkowie komisji zaczęli się powoli schodzić. Pani Boucher stanęła nad Benfordem i popatrzyła na niego wilkiem. Benford zignorował ją i zapisał coś w notatniku, który miał przed sobą. Wszyscy usiedli, asystenci wyszli, a następnie zamknięto pancerne drzwi. Nad drzwiami zapaliła się zielona lampka. Przewodniczący powiedział po prostu: „Pan Benford”, co znaczyło, że ma zacząć.

Benford szybko naświetlił sytuację związaną z chińskim cyberszpiegostwem na Zachodnim Wybrzeżu, ale polecił konsultacje z członkami COD, wydziału komputerowego CIA, w celu dokładniejszego ustalenia zagrożeń. Następnie przeszedł do niezwykle delikatnej sprawy, związanej z tym, że CIA i FBI zauważyły, iż agenci francuskiej DGSE, Dyrekcji Generalnej Bezpieczeństwa Zewnętrznego, obsługują martwą skrzynkę kontaktową. Przygotowywano spotkanie z francuską grupą operacyjną FBI, o kryptonimie Żaba, na temat działań francuskiego wywiadu w Ameryce. Benford przewrócił stronę w swoim notatniku.

- Panie i panowie senatorowie, CIA, Marynarka USA i odpowiednie firmy rozpoczęły szacowanie strat związanych z działalnością rosyjskiego nielegala w New London w stanie Connecticut. - Spojrzał na notatki. - Pentagon wciąż opracowuje szczegółowy raport na ten temat, ale wstępne wnioski pozwalają uznać, że

Rosjanie nie zdobyli wystarczających informacji, by móc zniszczyć operacyjne zdolności platformy...

- Chwileczkę, panie Benford - odezwała się pani Boucher. Jej koledzy natychmiast zauważyli, że szykuje się do ataku. - Dlaczego używa pan słowa „platforma”, chociaż równie dobrze może pan po prostu powiedzieć: okręt podwodny?

- Niech więc będzie okręt podwodny. Dziękuję pani senator. - Benford czekał jeszcze na aneks.

Pani senator omówiła pokrótce przestarzałe wyposażenie amerykańskiej floty, a potem zaczęła się rozpląwać nad okrętami podwodnymi w typie Dołgorukiego, przeznaczonymi do przenoszenia pocisków balistycznych, których właśnie zaczęła używać rosyjska marynarka. Sporo wie, pomyślał Benford.

Ale senator Boucher wykonała nagle kolejny zwrot.

- Ale przecież powinien nam pan powiedzieć o tym, co naprawdę ważne w tej sprawie. Chodzi o to, że nasz kontrwywiad i wymiar sprawiedliwości nie były w stanie poradzić sobie z nielegalnym, który operował na terenie New London od prawie pięciu lat! Co więcej, ten nielegal z łatwością zdołał przeniknąć do tego programu mimo wszystkich możliwych zabezpieczeń. - Pani senator postukała ołówkiem w stojący przed nią bibularz.

- Od końca zimnej wojny Rosjanie bardzo rzadko wykorzystują typowych nielegalów. Nawet oni musieli przyznać, że jest to kosztowne i mało efektywne - odparł Benford. Nie miał zamiaru nawet wspomnieć o tym, jak udało im się trafić na ślad tej kobiety.

- Nie o to mi chodzi, panie Benford. Proszę mnie uważniej słuchać. Która z agencji wykazała większą niekompetencję w tej sprawie: CIA czy FBI?

- Trudno mi powiedzieć, pani senator - rzekł Benford. - W wyniku tej sprawy mamy coś znacznie poważniejszego do załatwienia.

- A konkretnie? - spytała Boucher.

- Otrzymaliśmy informacje, że Rosjanie mają oddzielne źródło informacji. Kogoś z dostępem do ważnych danych. Dopiero zaczynamy akcję, nic jeszcze nie jest pewne - wycedził Benford.

- Niech pan przestanie mówić zagadkami - burknęła pani senator. - O co panu chodzi?

Benford westchnął głęboko. Zamknął notatnik i położył dłonie na jego okładce. Popatrzył na godło senatu wiszące na ścianie nad głowami zebranych.

- Dysponujemy fragmentarycznymi danymi na temat informatora SWR. Kogoś wysoko postawionego, kto ma dostęp do poufnych i tajnych dokumentów.

- Jakie są szanse na zidentyfikowanie tej osoby? - spytał senator z Florydy.

- Nie wiemy, kto to, co dostarcza Rosjanom i kiedy - odparł Benford. - Sprawdzamy wszystkie ewentualności.

- Wygląda na to, że nie ma pan zielonego pojęcia, kto to może być - zauważyła pani Boucher.

- Takie dochodzenie wymaga czasu, szanowna koleżanko - wtrącił senator z Nowego Jorku.

Pani Boucher zaśmiała się.

- Tak, znam te dochodzenia. Setki ludzi biorą pieniądze, ale nikt nigdy nikogo nie złapie...

Benford pozwolił, by senatorowie rozmawiali przez minutę między sobą, a potem znowu podniósł głos.

- W tej chwili staramy się zebrać więcej danych, ale mamy niepotwierdzoną informację, że ta osoba chorowała lub wciąż choruje na półpasiec. To może nam się przydać, kiedy zaczniemy sprawdzać podejrzanych.

- To wszystko jest mało przekonujące - rzekła pani senator, zwracając się w stronę pulpitu. - Jeśli koledzy wybaczą, muszę niestety iść na ważne spotkanie innej komisji. - Popatrzyła na Benforda. - Na dzisiaj to koniec.

Zebrała tajne papiery i podeszła do wyjścia. Jej koledzy w milczeniu przeglądali teczki, kiedy otworzyła pancerne drzwi i wyszła.

Benford nie podniósł głowy. On też skończył. Piętnastu senatorów usłyszało słowo: „półpasiec”. Podobnie jak dwa dni wcześniej trzej podsekretarze stanu z Pentagonu, a za trzy dni usłyszą to jeszcze specjalny asystent prezydenta i główny dyrektor Departamentu Obrony, w czasie spotkania wybranych członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Benford zamknął teczkę i opuścił pusty pokój konferencyjny, wyobrażając sobie zaciśnięte szczęki i zmarszczone czoła pracowników Kremla. Chcieliście pułapki, towarzysze, no to ją macie, pomyślał.

Asystent Wani Jegorowa wezwał Korcznoja do sali konferencyjnej dyrektora na czwartym piętrze siedziby SWR w Jasieniewie. Dimitrij pojawił się w momencie, gdy generał wszedł do swego biura i nawet nie zdążył powiesić płaszcza i usiąść za biurkiem, by przejrzeć poranne depesze. Sprawa wydawała się pilna. Generał popatrzył z żalem na talerz sirników z kwaśną śmietaną, zostawionych mu przez sekretarkę. Zrobią się zimne i gumiaste, zanim zdoła tu wrócić. Przed wyjściem zwinął więc jeden z sirników i włożył go do ust.

Od kiedy odkrył, że Wania rozpoczął gry wywiadowcze i zastawianie pułapek, jego podwójne życie zaczęło mu coraz bardziej doskwierać, a domniemane zagrożenie nabrało żywego, dojmującego charakteru. Od czternastu lat żył pod presją, więc zdołał się jakoś do tego przyzwyczaić, ale teraz przestał być niewidzialny i stał się obiektem łowów.

Otwierając co rano drzwi do centrali, nie miał pewności, czy nie powitają go oficerowie kontrwywiadu o kamiennych twarzach i czy nie zawloką go do pokoiku obok. Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, spodziewał się wezwania na przesłuchanie. Każdy week-

endowy wypad za miasto wiązał się z ryzykiem zasadzki gdzieś na leśnej drodze albo w jego daczce.

Korcznoj wyszedł z windy i mijał teraz kolejne portrety. Cześć, stare morsy, pomyślał. Jeszcze nie udało wam się mnie rozszefrować? Wszedł do sali konferencyjnej, gdzie zastał już siedzącego na rogu stołu Wanię, który śmiał się z tego, co powiedział mu szef kontrwywiadu Ziuganow. To ten mały *domowoj*, który wsadza skazańcom szmaty w usta, żeby nie słyszeć ich błagań o litość, kiedy do nich strzela, pomyślał Korcznoj. Ziuganow obserwował zbliżającego się generała.

Wielka marmurowa głowa Jegorowa aż lśniła, a koszula była świeża i wykrochmalona. Zastępca dyrektora uściskał starego kumpla i wskazał wolne krzesło.

- Chciałem, żebyśmy spotkali się tutaj, Wołodia, bo możemy skorzystać z rzutnika - wyjaśnił. - A ponieważ w tej chwili prowadzisz operację, chciałem ci pokazać dodatkowe materiały. - Wziął pilota i wcisnął guzik. Na ekranie pojawiło się ziarniste zdjęcie skurczonego Nathaniela z rękami w kieszeniach kurtki, idącego zapewne jedną z moskiewskich ulic. - Nie znasz go, Wołodia, ale to oficer CIA Nash, który prowadzi zdrajcę. Był tu, w Moskwie, dwa lata i wyjechał mniej więcej półtora roku temu. Korcznoj zaczął się zastanawiać, czy tego zdjęcia nie zrobiono przypadkiem, gdy Nathaniel szedł na spotkanie z nim albo z niego wracał. A potem przyszło mu do głowy, że być może bierze udział w spektaklu zaaranżowanym specjalnie po to, by go złapać. Czy za chwilę nie pojawią się tutaj funkcjonariusze kontrwywiadu? Czy Jegorow może być aż tak przebiegły? Czy zdecydowałby się dręczyć go w ten sposób? Nie, to nic takiego, pomyślał Korcznoj. Zwykłe życie, codzienne problemy. Trzeba obejść tę otchłań i niczym się nie przejmować.

- Ten Nash wykazał duże umiejętności. Poza jednym razem nigdy nie udało nam się przyłapać go na ulicy.

Jegorow urwał, żeby wziąć papierosa, a następnie poczęstował kolegów. Korcznoj myślał o jego słowach, z których wynikało, że wciąż jest bezpieczny. Chyba że to kolejna zmyłka.

- Osobiście uważam, że zdrajca działa w samych służbach - ciągnął Wania, a Ziuganow wbił wzrok w Nathaniela.

Bawią się nim? Ziuganow niewątpliwie mógł się posunąć do tak diabolicznych pomysłów.

- Ale to tylko przypuszczenie - paplał Ziuganow. - Jedno jest pewne, Amerykanie nie ryzykowałiby spotkań w Moskwie, gdyby chodziło o kogoś mało ważnego.

„Powiedz coś, zachowuj się normalnie”.

- Jeżeli obaj macie rację - zaczął Korcznoj. - To znaczy, że jeśli jest to ktoś ważny i działa w służbach, mielibyśmy bardzo krótką listę podejrzanych. Znalazłby się na niej dyrektor, ty, Wania, i szefowie dwunastu wydziałów, włączając w to Lioszę i mnie. - Zauważył ich kwaśne miny. Co najlepszego robi? Przecież to czyste szaleństwo. - No i są jeszcze asystenci, sekretarki, szyfranci i inni pracownicy z dostępem do poufnych danych - ciągnął. - Tacy, którzy nie tylko mogą sprawdzać informacje, ale też potrafią słuchać, choćby w kantine. Urzędnicy z archiwum przeglądają więcej tajnych informacji niż my trzej razem wzięci.

Korcznoj widział po minie Ziuganowa, że już to sobie przemyślał. Będzie miał sporo osób do przesłuchania. Zdecydował się porzucić temat. Nie chciał roztrząsać tej sprawy, pokazywać, że jest dla niego ważna. Papieros poruszył się w kąciku ust Jegorowa.

- Tak, racja. Mamy za dużo możliwości. Złapiemy tę *swołocz* tylko wtedy, kiedy znajdziemy jakiś wewnętrzny trop albo przygwoździmy go na ulicy razem z jego oficerem prowadzącym. To może zająć parę miesięcy, nawet lat. Dlatego skupiamy się teraz na trzeciej opcji.

- *Ogoworieno* - zgodził się Korcznoj - twoja bratanica to nasza najlepsza szansa.

To, co się działo, było nieprawdopodobne, niesłychane, niemożliwe. Korcznoj zdusił dławiący go śmiech. Miał przecież omówić bardzo poważną kwestię znalezienia, wystawienia i złapania szpiega.

Ziuganow zachybotął się na krześle i dotknął stopami podłogi.

- A jeśli w rozsądnym czasie nie uda jej się znaleźć tego kreta, może zastanowimy się nad kolejnym wyjściem?

Jegorow szybko obrócił się w jego stronę.

- Wykluczone. Otrzymałem instrukcje z samej góry. Żadnych „środków bezpośredniego przymusu” w tej sprawie. Jasne?

Ziuganow jeszcze bardziej pochylił się wraz z krzesłem, a na jego twarzy pojawił się lekki uśmieszek.

- Racja - wtrącił Korcznoj. - W całej historii tajnych służb, zwłaszcza po wojnie, nie zdarzyło się, by któraś z nich specjalnie nastawała na życie lub zdrowie kogoś z konkurencji. Takich rzeczy się nie robi. To wywoła chaos...

Ziuganow znowu się zachybotął.

- Spokojnie, Wołodia. Gdybyśmy zdecydowali się na coś takiego, rozmawialibyśmy z Zarządem F, a nie z tobą - powiedział ze śmiechem Jegorow. Korcznoj zauważył, jak prawa powieka Ziuganowa lekko drgnęła. - Nie, chodzi mi o elegancką operację.

Finezyjną, z polotem. Tak, żeby przyniosła szybkie rezultaty, a nasi wrogowie zastanawiali się potem, co w nich walnęło. I żeby wreszcie docenili przebiegłość i sprawność SWR.

SIRNIKI MARMURA

Mieszamy dokładnie miękki kozi ser, jaja, cukier, sól i mąkę, aż do otrzymania lepiałego się ciasta, które wstawiamy na jakiś czas do lodówki. Następnie wyrabiamy z tego ciasta kulki, obtaczamy w mące i rozgniatamy na okrągłe placuszki. Smażymy na maśle na złoty kolor. Podajemy z kwaśną śmietaną, kawiozem, wędzoną rybą lub dżemem.

Korczoj i Dominika znajdowali się w niewielkim salonie mieszkania generała. Stary kontemplował jej niepokojącą urodę, zauważając przy okazji, jak płynnie się porusza, jak prosto trzyma i jak potrafi spojrzeć mu głęboko w oczy. Im więcej czasu z nią spędzał, tym bardziej był pewny, że dokonał słusznego wyboru. Teraz przyszedł czas, by ją pozyskać. Ten wieczór będzie szczególnie trudny.

Na zewnątrz Dominika była spokojna i skoncentrowana. Jednak jej zachowania i gesty, a nawet szacunek, jaki mu okazywała, zdradzały wewnętrzny gniew i determinację. Nigdy nie mówiła o szkole jaskółek, ale Korczoj po cichu sprawdził fakty, podobnie zresztą jak wszystko, co wiązało się z jej pobytem w Lefortowie. Wiedział, że coś ukrywa. Codziennie deklarowała, że chce rozpracować Amerykanina, ale tembr jej głosu, lekkie odchylenie głowy zdradzały, że ich helsińskie kontakty wiązały się z czymś więcej niż praca operacyjna. Z konfliktami, sympatiami, może uczuciem? Korczoj miał zamiar zaraz to sprawdzić.

Zaczęli już pracę nad „sprawą Nasha”, jak nazywał ten projekt. Generał wyświetlał jej w swoim zaciemnionym gabinecie zdjęcia Nathaniela. Kątem oka widział, jak Dominika wstrzymuje oddech. Dostrzegał też jej rozszerzone nozdrza. Pstrykał bezlitośnie pilotem, opisując szczegółowo wszystko, co SWR wiedziało na temat Nasha, omawiając jej raporty z Helsinek, starając się ocenić, na ile była w nich ostrożna.

W końcu wyłączył rzutnik i spojrzął na nią surowo. Powiedział, że sprawa jest teraz bardziej skomplikowana niż jej zadanie w Helsinkach. Dominika będzie musiała podróżować za granicę i żeby uwiarygodnić te wyprawy, zostanie wpisana do służby kurierskiej SWR w Zarządzie OT. Będzie musiała działać sama na Zachodzie. Jej zadanie polega na tym, by uwieść Amerykanina, a następnie wyciągnąć z niego informacje na temat kreta. Czy po-

dejmie się tego? Jej ciemne oczy zalśniły i przygasły. Emocje.

Wewnętrzny konflikt.

Patrzenie na zdjęcia Nate'a było dla Dominiki poważnym wyzwaniem. Czy generał wyczuł, jak jest podniecona? Jak długo uda się jej go oszukiwać? Czy nie zauważy, że to robi?

Tego wieczoru Korcznoj zaprosił Dominikę do swego mieszkania. zaproponował, że przygotuje prostą kolację, zdecydowanie mało rosyjskie danie z makaronem jako zapowiedź ich nadchodzącego wyjazdu do Rzymu. Przy okazji mieli omówić dalsze szczegóły operacji. W jego zachowaniu nie było nic niewłaściwego. Generał należał do najbardziej zasłużonych pracowników służb i prawdziwych dżentelmenów. Pojechali metrem i wysiedli na stacji Strogino w północno-zachodnim okręgu, a następnie przeszli pełnym drzew parkiem nad rzeką Moskwą. Blok, w którym mieszkał Korcznoj, był trzeci w rzędzie pięciu identycznych wysokich, obłych budynków, które z powodu rdzewiejących ram okiennych wyglądały jak pasiaste cukierki. Jego mieszkanie znajdowało się na dwunastym piętrze i trzeba było do niego dojechać zapuszczoną, postępującą głośno windą.

Mieszkanie było skromne, lecz czyste i wygodne i doskonale nadawało się dla samotnej, niedbającej o wygody osoby. Znajdowało się w nim kilka skarbów. Piękny włoski obraz olejny i jedwabny perski dywan - rzeczy, które wskazywały, że generał bywał za granicą. W kącie stał wysłużony fotel, lampa do czytania i niska biblioteczka ze sporą liczbą oprawionych książek. Rozciągał się stąd wspaniały widok na zakręt rzeki w kształcie litery U.

Dominika zauważyła oprawione zdjęcie kobiety i znacznie młodszego Korcznoja z jeziorem w tle. Było lato, a generał obejmował kobietę.

- Siedemdziesiąty trzeci rok, Włochy - wyjaśnił. - Zdaje się, że to Maggiore.

- Pańska żona? - spytała Dominika. - Bardzo ładna.

- Dwadzieścia sześć lat małżeństwa - powiedział, wyjmując zdjęcie z jej dłoni, by przesunąć je w stronę gasnącego światła. Podróżowaliśmy wtedy dookoła świata. Byliśmy w Malezji, Maroku, Nowym Jorku. - Odstawił zdjęcie na stolik. - A potem zachorowała. Lekarze miesiącami nie mogli ustalić, co jej jest. - Poprowadził ją do małej kuchni. - Nie radzę chorować w którejś z naszych ambasad. - Uśmiechnął się lekko, ale Dominika zwróciła uwagę na jego pochyloną głowę.

Korcznoj powiedział, że przeprowadził się do tego mieszkania po śmierci żony; nie mógł już dłużej znieść tego większego, gdzie razem żyli. Wolał to małe, dość nowoczesne i ciche, z dużą ilością zieleni wokół i dobrym dojazdem do centrum. Nie dodał, że amerykański satelita może szybciej wychwycić jego szyfrowane meldunki, jeśli nadaje je z dwunastego piętra.

Do dwóch zabarwionych bursztynowo kieliszków nalał słodkiego mołdawskiego wina. W kuchni znajdował się zlew, kuchenka z trzema palnikami i lodówka, która wpadała w wibracje, gdy otwierało się jej drzwiczki. Dominika oparła się o blat szafki i wzniosła toast za powodzenie operacji. Zauważyła, że generał jest odprężony. Emanował ciepłym fioletem, który pochodził wprost z jego wnętrza.

Zdażyła już naprawdę polubić Korcznoja w czasie ich krótkiej znajomości. Poza tym, że dysponował doskonałą techniką i był świetny w swoim zawodzie, traktował ją tak serdecznie, jakby było mu przykro z powodu tego wszystkiego, co ją do tej chwili spotkało. W dodatku był wobec niej lojalny. W czasie zebrań bronił jej opinii na temat operacji i je wspierał. Starał się ją chronić. Gdzie się podziewał do tej pory? - myślała, przypominając sobie ojca. Jeśli jej podwójna gra wyjdzie na jaw, z pewnością go to dotknie, być może nawet przyspieszy koniec jego kariery. Czy generał zrozumie jej motywy?

W czasie przygotowywania kolacji pytał ją o nią samą i rodzinę.

Nie zważając na obowiązującą w pracy dyscyplinę, Dominika swobodnie mówiła o rodzicach, szkole baletowej, przyjemności związanej z pierwszym zetknięciem się z Zachodem. Helsinki były naprawdę cudowne, ale ona chciała pojechać dalej, w podróż dookoła świata. Ta rozmowa sprawiła, że niemal zapomniała o swoich kłamstwach. Ukryła je gdzieś głęboko, gdzie sama rzadko zaglądała.

- A jednak coś ci się przytrafiło w Helsinkach - zauważył zajęty posiłkiem Korcznoj. - Możesz mi o tym powiedzieć?

Dominika zawahała się, zbierając myśli, a generał tymczasem kroił pomidory, czosnek i cebulę, a następnie podsmażał wszystko w oliwie. *Udiwitelno*, pomyślała. Zna włoską kuchnię. Całe pomieszczenie natychmiast wypełnił specyficzny aromat.

- FBI aresztowało tego amerykańskiego ochotnika zaraz po tym, jak przekazał nam dokumenty - powiedziała, dopijając wino. - Poza mną tylko rezydent dysponował informacjami o tym spotkaniu. Nikt nie wiedział, co się stało. Oczywiście podejrzewali mnie o najgorsze...

Generał nalał jej jeszcze wina.

- W końcu jednak uznali, że to nie z mojej winy - dokończyła, pragnąc jak najszybciej zmienić temat. Nie chciała kłamać generałowi.

- Nie, chodziło mi o coś innego. O coś, co przydarzyło ci się w Helsinkach - wycedził Korcznoj. - Czytałem twoje raporty. Mimo częstych kontaktów z Nashem robiłaś bardzo małe postępy.

Dominika wyczuła dziwny ton jego głosu. Muszę uważać, pomyślała. Stary wyga właśnie zaczął pracować.

- To prawda - przyznała możliwie najbardziej obojętnie. - Amerykanin nie był mną zainteresowany. Już samo utrzymanie kontaktów stanowiło problem.

Czy generał wyczuwał, że kłamie?

- Dziwne. Ktoś z twoją urodą i samotny, przystojny Amery-

kanin za granicą... - Korcznoj nie dokończył myśli.

Sos na patelni zaczął bulgotać. Dominika patrzyła, jak generał dolewa do niego odrobinę octu balsamicznego, miesza, a następnie wrzuca doń kawałki bazylii. Jego aureola stała się jaśniejsza. Patrzyła w milczeniu, jak odrywa listki od łądygi.

W końcu na nią spojrział. Nikt nie powiedział mu, że Amerykanie zwerbowali Dominikę w Helsinkach, ale domyślił się, że tak właśnie było. Uchyłmy nieco rąbka tajemnicy, pomyślał.

- Miałaś do tej pory dużo szczęścia, moja droga - powiedział. - Nawet teraz, kiedy już skończył się komunizm, *czudowiszczce*, bestia wciąż jest tuż pod powierzchnią.

Dominika zamarła przerażona, odniosła wrażenie, że generał wciąga ją w jakąś głębię. Więc wcale nie jest taka sprytna, jak jej się wydawało. Od dawna podejrzewał, nie, wiedział, co się stało. Jeśli skłamię, będzie to oznaczało brak szacunku, a wówczas wyrzuci ją ze swego wydziału, zrobi z nią, co będzie chciał. Ale jeśli się przyzna, złoży swoje życie w jego rękach, to czemu miałby ją dalej osłaniać? Lefortowo będzie jak przedszkole w porównaniu z tym, co ją spotka. Muszę się bronić, pomyślała. Nie mogę się tak łatwo poddać.

- Znam tę bestię - odparła dumnie. - Byłam w Lefortowie.

Przeszłam przez Szkołę Państwową IV, szkołę jaskółek, widziałam, jak prawie odcięli głowę komuś, kto im się nie spodobał, a moja przyjaciółka, Marta, zginęła nagle w Helsinkach. Mówili, że zdradziła, ale ja w to nie wierzę.

Nagle zauważyła, że jej głos rozbrzmiewa donośnie w maleńkiej kuchni.

Łatwo uderza w mocne akordy, pomyślał Korcznoj. Więc może jeszcze trochę.

- Podobał ci się ten Nash?

- Raczej tak - odparła. - Wydawał mi się zabawny, miły i uprzejmy. Nie wiedziałam, że Amerykanie potrafią tacy być.

Mój Boże, powiedziałam: „uprzejmy”? - pomyślała Dominika. To chyba idiotycznie zabrzmiało. Korcznoj wciąż się jej przyglądał, a jego fioletowa aureola pozostawała nieporuszona. Czuła się jak sparaliżowany ptak, który patrzy na węża pełznącego w stronę gniazda.

- Odniosłem wrażenie, że znasz tego młodego człowieka znacznie lepiej, niż to opisałaś w raportach. - Korcznoj urwał i zamieszał wolno sos. W kuchni panowała niemal całkowita cisza. - Jak cię zwerbowali? - zapytał.

Dominika się nie poruszyła. Spojrzała na zwierzchnika i nawet otworzyła usta, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. To był szczyt, kulminacja tego wszystkiego, co jej zagrażało, znacznie gorszy niż przesłuchania tych bandytów z Lefortowa. Drżącą ręką odstawiła kieliszek. Korcznoj mieszał sos, całą kuchnię zaczęła wypełniać jego fioletowa aura, czuła siłę jego woli. „Broń się, nikt tego za ciebie nie zrobi. Zaprzecz wszystkiemu, wyjdź stąd”. A potem ten szczwany lis powiedział coś zastanawiającego.

- Dominiko, masz szansę zaufać mi i wszystko powiedzieć. Nie zrobię ci nic złego.

Mój Boże, jaki byłby z niego przesłuchujący, pomyślała. Intuicja podpowiadała jej jednak, że Korcznoj nie kłamie. Będzie ją chronił, pomoże jej dźwigać ten ciężar - właśnie tego jej trzeba.

- Zaczęłam od wypełniania rozkazów. Rozpracowywałam go, a on rozpracowywał mnie... - powiedziała, drżąc jeszcze mocniej. - To był wyścig, kto pierwszy kogo zwerbuje.

Wciąż się opierała. Zawisała na krawędzi przepaści i zastanawiała się, co dalej.

Generał nie miał zamiaru poprzestać na niedomówieniach.

- Rozumiem - powiedział. - Ale pytałem o coś innego. Jak cię zwerbowali?

Jej głos był prawie niesłyszalny, miała wrażenie, że śni, ale zdecydowała się złożyć życie w jego dłonie. Puściła się krawędzi.

- Nie zwerbowali. Sama zaproponowałam im współpracę. To była moja decyzja i to ja dyktowałam warunki.

Korczoj napełnił garnek wodą, wsypał do niego soli i postawił na drugim palniku. Wskazał ręką miejsce przy kuchence i podał łyżkę. Dominika zaczęła mieszać.

- Nie chodziło o miłość - powiedziała cichutko. - To był mój wolny wybór.

Generał nic nie mówił, ale wiedziała, że jest bezpieczna. Pofrunęła nad przepaścią, wiatr huczał wokół jej głowy, fale pod spodem rozbijały się o nadbrzeżne skały. A ona leciała. Teraz wiedziała, że jest zupełnie bezpieczna.

Korczoj był zadowolony. Nie uznał jej wyznania za słabość, szaleństwo czy głupotę. Widział, że zastanawia się nad jego słowami, że wszystko sobie kalkuluje, ale przede wszystkim to, że opierając się na swojej niezwykłej intuicji, zdecydowała się na śmiertelne ryzyko. Osobliwa mieszanka. Jej słowa pokazały też, jak bardzo mu ufa. Było to bardzo ważne. Już niedługo będzie potrzebował jej zaufania.

Teraz on musiał zaryzykować. W ciągu czternastu lat nigdy nie popełnił błędu, ale teraz, jeśli miały się powieść jego plany, musieli zostać partnerami. Powiedzenie prawdy było dla niego równie trudne jak dla niej.

Stali ramię w ramię przy kuchence, gaz syczał, sos bulgotał cicho na patelni. Drewniana łyżka podzwaniała niemal muzycznie, kiedy Dominika dotykała nią brzegów aluminiowej patelni. Obróciła się do Korczoja. Z bliska przypominała boginię lub nimfę, ale nie zamierzała tego wykorzystywać.

- Co teraz? - spytała. - Wyda mnie pan? - Chciała to wiedzieć, mieć od niego jasną deklarację.

- Tak, jeśli przypalisz sos. - Wskazał gęstniejące pomidory, a sam wrzucił garść makaronu *bucatini* do wrzątku. - Przypilnuj też makaronu. Muszę zdjąć marynarkę i krawat.

Ruszył do pokoju, ale po chwili się odwrócił. T e r a z .

- Być może myślisz... - zaczął. - Żal nie zwróci mi żony, ale od jej śmierci przestałem wierzyć w Sprawę. Robiłem, co do mnie należy, ale nie byłem już jednym z nich. Nie zależało im na mojej lojalności, a teraz nie zasługują na twoją. Możemy tylko nimi gardzić.

Stało się. Korcznoj patrzył prosto w rozszerzone źrenice Dominiki. Pojęła wszystko w lot, zanim jeszcze zdążył poluzować krawat.

- Więc to pan? To pana szukają. To pan...

Korcznoj położył palec na jej ustach.

- Uważaj lepiej na sos - rzucił i wyszedł do przedpokoju.

Dominika patrzyła, jak ciągnie się za nim jeszcze fioletowa poświata.

- Uważamy, że szanse na sukces są spore, a ryzyko minimalne

- zaczął generał Korcznoj. - Chcemy zacząć w Rzymie, między innymi dlatego, że znam dość dobrze to miasto.

- Mów dalej - poprosił Wania.

Siedzieli obaj na kanapie w jego gabinecie, a Ziuganow obok na krześle.

- Kapral Jegorowa nawiąże kontakt z szefem CIA w Rzymie.

Znamy adres jego rezydencji w Centro Storico. Do tego celu wybierzemy leniwe niedzielne popołudnie, kiedy wszyscy siedzą przed telewizorami. Kapral Jegorowa powie, że jest kurierem SWR i że przyjechała tylko na kilka dni. Że bardzo ryzykuje, ale chciałaby nawiązać kontakt z panem Nathanielem Nashem, z którym spotkała się w Helsinkach. Ich rezydent będzie wiedział, co robić. Wystarczy jeden telefon i Nash przyleci najbliższym samolotem do Rzymu.

- A kiedy już przyjedzie? - spytał Jegorow.

- Możliwe, że spotkają się w jego pokoju - ciągnął Korcznoj. -

Standardowa procedura. Powie mu, że przeniesiono ją do służby

kurierskiej i że będzie wyjeżdżać do Europy, Azji i Ameryki Południowej. Amerykanie bez wątpienia się nią zainteresują. Podnieci ich możliwość przejęcia przesyłki SWR. Ta legenda operacyjna pozwoli dyktować w przyszłości częstotliwość i miejsca spotkań. Następnie kapral Jegorowa rozbudzi w nim dawne uczucia...

- Bardzo dobrze. - Jegorow skinął głową.

- Ja się nie ujawnię - dodał Korcznoj. - Będę tylko służył jej wsparciem.

- A ja będę czekał na wyniki - skwitował Wania.

- Czy mogę coś zaproponować? - wtrącił Ziuganow. - Może by tak Nash przyszedł do pokoju kapral Jegorowej? Byłoby to bezpieczniejsze i mielibyśmy większą kontrolę nad całą sytuacją.

Korcznoj zastanawiał się, skąd wzięła się ta propozycja.

- Na tym etapie to tylko drobiazg. - Wania machnął ręką. - Skoncentrujmy się raczej na wynikach.

- Jak najbardziej. - Ziuganow natychmiast zgodził się z szefem, a następnie zwrócił się do Korcznoj: - Oczywiście będziecie na bieżąco informować centralę o tym, co się dzieje, i o swoim miejscu pobytu?

Generał skinął głową.

- Będę przysyłał raporty, jeśli tylko pozwolą na to warunki i względy bezpieczeństwa.

- Dziękuję - powiedział Ziuganow.

Korcznoj i Dominika szli korytarzem w centrali. Znali już swoje sekrety. Nie mówili o tym, ale każde spojrzenie w tej chwili zacieśniało więź między nimi i było jak kajdany - trudne do zerwania i być może trochę niewygodne. Szła obok, lekko utykając, ale wydawało jej się, że fruwa. Już niedługo zobaczy po raz pierwszy Rzym i wreszcie spotka się z Nate'em.

Dominika wyczuwała, że generał jest podekscytowany i trochę zdenerwowany. Zerknęła na niego, gdy znaleźli się w windzie.

- O co chodzi? - spytała.

W tej chwili rozumieli wszystkie swoje gesty i zachowania, a każde pytanie zmierzało wprost do celu.

- Coś mi tu nie pasuje. Musimy uważać w czasie pobytu w Rzymie. *Licha bieda naczało*. Problemy zwiastują katastrofę. Drzwi windy otworzyły się i zamknęły, jakby chciały ich połknąć.

Ziuganow dzwonił właśnie ze swojego biura. Na ścianach wisiały tu zdjęcia z kolegami z SWR: na daczce, nad morzem, w czasie służbowego wyjazdu. Jak sam zauważył, większość już nie żyła. On sam ich usunął, własnymi rękami.

Ziuganow skinął głową, jakby słuchał jakichś instrukcji, a potem powiedział:

- *Da, da*. Wszystko jasne. - Odłożył słuchawkę i wcisnął guzik interkomu. - Dajcie mi tu Matorina. Jak najszybciej.

Pro wołka riecz', a on nawstrieč', pomyślał Ziuganow. O wilku mowa, a wilk tu.

WIEJSKI SOS POMIDOROWY MARMURA

W małej ilości oliwy smażyjemy pokrojoną cebulę, czosnek i anchois, aż poczujemy delikatny zapach, a ryby zmieszają się z innymi składnikami. Wykładamy przetarte pomidory na środek patelni i mieszamy, aż całość nabierze rdzawego koloru. Dodajemy pokrojonych dojrzałych pomidorów, Oregano, peperoncino i kawałki listków bazylii. Doprawiamy do smaku. Podgrzewamy sos do zgęstnienia i dodajemy odrobinę octu balsamicznego. Dekorujemy listkami bazylii i podajemy z makaronem lub pulpetami.

Pracownicy waszyngtońskiej rezydentury robili sobie herbatę, czytali gazety, oglądali CNN i RTR-Planeta i co jakiś czas wyglądali przez niepodnoszone od 1990 roku żaluzje. Depesze, te przychodzące i wychodzące, zdarzały się rzadko. Mijały kolejne lunche, spóźniano się na umówione terminy, zapominano o nowych kontaktach. Następujące po sobie tygodnie bezprecedensowej obserwacji ze strony FBI, zarówno tej kołowej, jak i pieszej, zdusiły wszelką aktywność. Po pierwszym miesiącu centrala zarządziła zamrożenie wszelkich działań aż do odwołania i zażądała od rezydentury oceny i wyjaśnienia zaistniałej sytuacji. Nie było jednak żadnego wyjaśnienia.

Obserwowano wszystkich, nawet szarmanckiego Gołowa.

Zauważył on, że śledzono go z samochodu w czasie dwudziestu z trzydziestu ostatnich wieczorów, i chciał koniecznie uwolnić się od ogonów. Zbliżał się termin spotkania z Łabędziem i nie mógł odwołać go po raz drugi. Trudno było bowiem przewidzieć reakcję pani senator.

Tych dziesięć nocy, kiedy to ani Gołow, ani nikt z jego zespołu kontrobservacyjnego nie mógł nic wykryć, należało wbrew pozorom do najgorszych. Nic wtedy nie wiedzieli, niczego nie mogli być pewni. Czyżby Amerykanie opracowali nową technikę śledzenia? A może korzystali z jakiejś zaawansowanej technologii? Tylko czort mógł to wiedzieć, ale on, Gołow, musiał być czysty. Trzeba było robić wszystko, by chronić panią Boucher, ale nie należała ona do łatwych współpracowników. Odmawiała, kiedy proponowano jej coś sensownego, co poprawiłoby jej bezpieczeństwo: komunikację elektroniczną, wysyłanie wiadomości, dyskretne spotkania w hotelach, alternatywne spotkania, kiedy trzeba było zrezygnować z tych ustalonych. Pani senator nie chciała nawet o tym słyszeć. „Jeśli ja mogę ruszyć tyłek - powtarzała Gołowowi - to ty też”. Straszna baba. Najchętniej przekazałby ją któremuś z dyskret-

nych nielegalów, ale Moskwa odmawiała. Zwłaszcza po tym, co się stało z nielegaliem w New London. Dlatego Gołow musiał zmierzyć się z klasycznym wywiadowczym zadaniem i spotkać się ze swoim informatorem w określonym miejscu i czasie, niezależnie od tego, jakie warunki będzie miał na ulicy. Rezygnacja nie wchodziła w grę. To wszystko miało się odbyć już dzisiaj. Musiał sobie jakoś poradzić.

Tego popołudnia ustalił swoją trasę sprawdzeniową z ludźmi z zespołu Zeta. Powiedział im, że spróbuje skierować wszelkie ogony w *dymochod*, komin, by ujawnić obserwację i, co ważniejsze, wyrwać się poza jej zasięg. Ustalili sygnał na zaszyfrowanych falach radiowych, który miał potwierdzić, że manewr się udał. Raz jeszcze sprawdzili całą trasę.

Gołow wiedział, że to szaleństwo. Tylko ktoś taki jak Łabędź mógł go zmusić do podjęcia podobnego ryzyka. Plus oczywiście naciski z centrali.

Zaczął trochę po południu, kiedy to ambasadę opuściła kolumna złożona z ośmiu samochodów. On sam był w jednym ze środkowych. Kiedy jednak samochody znalazły się na Wisconsin Avenue, ruszyły w różnych kierunkach. Obserwatorzy FBI na swoim posterunku zaczęli nadawać: „Starburst, starburst”, co oznaczało stadne opuszczenie obserwowanego punktu w celu wyczerpania możliwości obserwatorów. Sygnał „starburst” dotarł również do Orionów z CIA. Interesował ich tylko rezydent, dlatego cierpliwie czekali, aż w komunikatach pojawi się nazwisko Gołowa. Prowadził on własny wóz, czarne, lśniące bmw 5 sedan, i jechał w górę Wisconsin Avenue, a zespół Zeta zajął już pozycje po zachodniej stronie ulicy. Rezydent przeciął najpierw skrzyżowanie z Western Avenue, które stanowiło granicę z okręgiem Maryland, skręcił na południe i wjechał w sieć przecinających się pod kątem prostym dróg American University Park. Wykorzystywał je, wciąż zmieniając kierunek, uciekając, a potem zatrzymując się, by poczekać przy kra-

wężniku. Po kwadransie otrzymał sygnał od zespołu Zeta: „Nie stwierdzono zagrożenia”. Kontrolerzy nie zauważyli jednak dwóch samochodów Orionów, zaparkowanych na obrzeżach parku. Gołow ruszył więc willową dzielnicą na zachód, a jego zespół przemykał bocznymi uliczkami. Nie zauważyli oni znajomych obserwatorów FBI, bo żaden ich nie śledził. Kontrolerzy osłaniali rezydenta, który jechał wciąż na zachód, najpierw do Canal Road, a potem przez Chain Bridge wjechał na teren Wirginii. Tę informację podał zespół Orionów z wozu zaparkowanego przy skrzyżowaniu Arizona i Canal Road. Była to jedyna trasa przez Potomac, prowadząca między Georgetown i obwodnicą Waszyngtonu. Orioni chcieli teraz ruszyć na wiejskie tereny Wirginii, ale powstrzymał ich dowódca, sześćdziesięcioletni były instruktor od obserwacji, o nazwisku Kramer. Skierował on trzy auta wzdłuż trasy Gołowa na tereny Marylandu koło Potomacu. Wywiadowcy jechali wzdłuż rzeki, wyprzedzając trasę rezydenta. Zaczęła działać Zapadnia.

Członkini zespołu, która na co dzień zajmowała się wychowywaniem wnuków, zatrzymała się na parkingu koło śluzy numer dziesięć kanału Chesapeake i Ohio. Inna babcia przejechała sześć kilometrów dalej do Old Angler's Inn i o zmierzchu zasiadła w ogródku, zamówiła sherry i próbowała zgadywać, które z obecnych tam par mają romans. Trzecią starszą panią Kramer skierował jeszcze sześć kilometrów dalej do wioski nad Potomakiem, gdzie zamówiła na wczesną kolację sałatkę w Hunters Inn. Kobiety zapisały kilkanaście numerów rejestracyjnych i zwróciły uwagę na osoby, które wydawały się nie pasować do tego miejsca. Liczba możliwości rosła. Czy któraś z nich czekała na czarne bmw? Dwa pozostałe samochody niewielkiego tego dnia zespołu Orionów musiały się rozdzielić. Jeden przeczesywał górną część River Road na południowy wschód od Potomacu, drugi stał zaparkowany przy wejściu do parku narodowego kanału Chesapeake i Ohio, w którym

zdrajcy tacy jak Walker, Ames, Pollard i Pelton w kolejnych latach wyciągali ze spróchniałych pni torby z pieniędzmi od Rosjan.

Wszyscy Orioni przywarowali i czekali. Nie korzystali z radia i tylko rozglądali się uważnie dookoła, spodziewając się zobaczyć kształt czy choćby błysk czarnego bmw. Jeśli Gołow pojechał dalej w głąb Wirginii - przegrali. Jeśli zawrócił do Marylandu, ale trzymając się z daleka od rzeki - przegrali. Czekanie ich nie marwiło. Tak właśnie działała Zapadnia. Będą jeszcze inne dni i noce. Chodziło o to, żeby raz mieli rację.

Okazało się, że przegrali. Gołow wrócił do Marylandu drogą 1-495, stanowiącą część szybkiej pętli, która pozwoliła jego ludziom przygotować ostatni etap trasy i komin: długą, pełną zakrętów Beach Drive, meandrującą przez Rock Creek Park, prowadzącą czasami wśród drzew, to znowu obok łożyska samego potoku aż do Georgetown. Parokrotne wyciszenia sygnału radiowego wskazywały, że jest czysty. Gołow wyjechał więc z Beach Drive przy końcu Rock Creek i zaparkował przy Dwudziestej Drugiej Ulicy West Endu, a zespół Zeta pojechał dalej na południe. Gdyby FBI udało się umieścić sygnalizator w bmw Gołowa (co było bardzo mało prawdopodobne, gdyż wóz zawsze był pod nadzorem i sprawdzano go raz w tygodniu), agenci znajdą go w pobliżu hoteli Ritz-Carlton i Fairmont, a także co najmniej pięćdziesięciu restauracji usytuowanych przy K Street. Niech sprawdzają je wszystkie i jeszcze wiele innych. Generał zamknął wóz i przeszedł sześć przecznic w stronę Tabard Inn. Zrobiło się już ciemno, a wewnątrz restauracji kusiło ciepłym światłem.

Kolejne szaleństwo - korzystać dwa razy z rzędu z tego samego miejsca! Przynajmniej mieli dłuższą przerwę, żeby to miejsce trochę ostygło. Gołow wszedł do restauracji, minął kontuar i przeszedł korytarzem do ogródka na tyłach. Tym razem pani senator przyjechała pierwsza. Siedziała przy stoliku, oparta o murek, i paliła. Gołow pomyślał, że czekają go kłopoty. Pani senator po-

kazała właśnie kelnerowi, że chce drugiego drinka. Przed nią stała już jedna szklaneczka. Włożyła na to spotkanie niebieski kostium i czerwoną bluzkę. Całości dopełniał naszyjnik z niebieskimi kamieniami i pomalowane na czerwono paznokcie. Blond włosy zaczesła do tyłu, jej twarz w rozproszonym świetle lampek na drzewie wydawała się starsza, a skóra bardziej przypominała papier.

- Jak się masz, Stephanie? - powiedział na powitanie.

Wyciągnął dłoń w jej stronę, ale ona nawet nie drgnęła. Gołow uśmiechnął się i usiadł. Po chwili pojawił się kelner i postawił przed panią senator szklaneczkę z podwójną whisky. Zmęczony i zeszywniały po pięciogodzinnej jeździe Gołow zamówił drinka z campari.

- Anatolij - pani Boucher tylko udawała radość - czekam już godzinę w tym idiotycznym ogródku.

Pstryknęła parę razy złotą zapalniczką, zanim pojawił się płomień.

- Bardzo mi przykro, ale chodziło mi o to, żeby w naszym spotkaniu nie brało udziału całe FBI - odparł.

- To bardzo profesjonalnie z twojej strony.

- Moglibyśmy w większym stopniu zadbać o bezpieczeństwo, gdybyś zgodziła się na parę małych zmian.

- Tylko nie to. Miło mi, że troszczysz się o moje bezpieczeństwo, kiedy w Waszyngtonie szukają gorączkowo rosyjskiego agenta. - Pani senator wydmuchała dym w górę.

- Naprawdę? Co słyszałaś? Nie mamy podstaw, by sądzić, że jesteś w jakiś sposób zagrożona. Naszym zdaniem ani FBI, ani CIA nie wiedzą nic o twoich kontaktach. Tylko pięć osób na całej ziemi wie, kim jesteś, włączając oczywiście nas dwoje. O co chodzi z tym poszukiwaniem agenta? Znasz szczegóły?

To było bardzo ważne. Gołow poczuł, że zaswędziało go głowa, zły znak.

- Cieszę się, że jesteś tego taki pewny. Jak więc wytłumaczysz zamknięte spotkanie, w którym brałam udział? Jeden z tych idiotów z CIA mówił tak, jakby dysponował już szczegółami tej sprawy. Szukają kogoś, kto ma półpasiec, wiesz, taką chorobę.

Jednym haustem dopiła whisky, lód zastukał o jej zęby. Pokazała kelnerowi, że chce następnego drinka.

- Ależ, Stephanie, przecież nie masz półpaśca, prawda? - spytał Gołow. Będzie musiał przekazać tę informację, jak tylko dotrze do ambasady.

Popatrzyła na niego poirytowana.

- Nie o to chodzi. Doskonale wiesz, że nie mogę się narażać.

Zbyt długo i ciężko pracowałam, by zostać senatorem.

Gołowa dziwiło, że olbrzymi egoizm nie pozwala jej spojrzeć na wszystko z innego punktu widzenia. Pani senator myślała oczywiście tylko o swojej karierze. Czy nie rozumiała, co jej grozi, w co się wplątała?

- Dlatego właśnie nalegam, żebyśmy zaczęli spotykać się w hotelach.

- Pomyślę o tym - mruknęła. Zmierzyła taksującym wzrokiem kelnera, który postawił przed nią trzeciego drinka, a potem jeszcze patrzyła za nim, gdy się oddalał. - Ale teraz chodzi mi o coś innego - powiedziała wypranym z emocji tonem, jakiego używała w czasie zeznań w Kongresie. - Jeżeli popełnicie jakiś błąd i FBI przyjdzie po mnie, nie może być mowy o więzieniu. Nie pójdę tam. Więc chcę, żebyś dostarczył mi coś, co rozwiąże ten problem. Na dobre. Gołow oparł się o tył krzesła i zaczął myśleć. Informacje na temat poszukiwania kreta najwyraźniej ją rozstroiły. A teraz ona, senator Stanów Zjednoczonych, chce od niego pastylkę z trucizną. Skąd się o niej dowiedziała? Wziął ją delikatnie za rękę i powiedział uspokajającym tonem:

- Stephanie, to najdziwniejsza rzecz, jaką od ciebie usłyszałem. Chyba nie mówisz poważnie? To było dawno temu, w czasie

zimnej wojny. Nie ma już takich środków.

- Myślę, że nie jesteś ze mną do końca szczery - powiedziała, uśmiechając się blado, i cofnęła ręce. - Albo dostarczysz mi taką pastylkę, albo zrezygnuję z naszego „partnerstwa”, jak to nazywasz. I to już na spotkanie w przyszłym miesiącu. Będziesz tu na czas, prawda? A wtedy oczekuję pastylki w pudełku z kości słoniowej albo lepiej macicy perłowej.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - rzekł Gołow. - Porozmawiam z Moskwą, ale wątpię, żeby się zgodzili.

Senator Boucher jak zwykle czekała do końca spotkania i dopiero wtedy sięgnęła do torebki i pchnęła czarną płytkę w stronę Gołowa. Zanim włożył ją do kieszeni, zauważył na niej logo Pathfindera. Pani senator niewątpliwie ma spory talent dramatyczny, pomyślał, patrząc, jak się chwiejnie oddała. Tak, półpasiec. Anatolij Gołow siedział w Tabard Inn, w fotelu na biegunach w amerykańskim stylu kolonialnym. Pokoik był pomalowany w kwieciste wzory, na ścianach wisiały francuskie plakaty ze zwierzętami, na podłodze leżał puszysty perski dywan, a w rogu stało wielkie łóżko z baldachimem.

Od jego ostatniego spotkania z Łabędziem obserwacja rezydentury jeszcze się nasiliła. Nie chciał więc ryzykować kolejnej trasy sprawdzeniowej i uzyskał zgodę centrali na ucieczkę w bagażniku. Rano, w dniu, kiedy miało się odbyć spotkanie, zajął miejsce w tyle wozu doradcy gospodarczego, oddychając czystym tlenem ze specjalnego pojemnika. Trzy żony pracowników ambasady pojechały z nim do Friendship Heights, w ogóle nie zwracając uwagi na obserwację, a następnie, zgodnie z instrukcjami, zostały zamknięte wóz na podziemnym parkingu, a same ruszyły niczym trzy kolubryny na zakupy.

Inna żona pracownika ambasady obserwowała samochód przez piętnaście minut. Nikt go nie śledził. Udało im się zmylić FBI. Kobieta z torbami podeszła więc do samochodu. Zastukała dwu-

krotnie w bagażnik i wypuściła wkurzonego Gołowa w pogniecionym ubraniu.

Generał przeklinał Łabędzia i Moskwę, całą tę sprawę i służby, ale był czysty, nikt go nie śledził. Ucieczka w bagażniku zakończyła się sukcesem. Generał wyszedł z parkingu i zaczął iść przez miasto, podjeżdżając komunikacją miejską, to znów biorąc taksówkę. Unikał metra z powodu wszechobecnych kamer. Dotarł do Dupont Circle i spędził dwie godziny najpierw w księgarniach, a potem w niewielkim bistrze. O zachodzie, w czasie największego szczytu, obszedł Dupont Circle, skierował się na południe Dziewiętnastką i skręcił w N Street. Znajdował się cztery przecznice od Tabard Inn. Żadnego śladu obserwacji. By wtopić się w tłum, włożył codzienne ubranie: zamszową marynarkę na brązowy sweter, sztruksowe spodnie i zamszowe buty. Dzięki Bogu były bardzo wygodne. Kiedy wszedł do restauracji, założył jeszcze okulary w grubej oprawie z przezroczystymi szklami.

Gołow dotarł do apartamentu, gdzie zamówił małże z Morza Egejskiego pieczone z Oregano, kozim serem, cytrynami i oliwą oraz butelkę schłodzonego toskańskiego vernaccia. Cieszył się, że bez problemów udało mu się wynająć ten pokój, korzystając ze sfalszowanego amerykańskiego prawa jazdy i czeków podróżnych. Od wielu już lat nie wynajmował pokoju pod obcym nazwiskiem - tak bawili się zwykle młodzi oficerowie - ale z radością przypominał sobie tę sztywną, nerwową procedurę. Mimo obcego akcentu i tego, że nie miał ani rezerwacji, ani bagażu, nieświadoma niczego recepcjonistka wyglądała na usatysfakcjonowaną. Był przecież eleganckim dżentelmenem. Zaprowadzono go do niewielkiego, lecz gustownego pokoju na pierwszym piętrze, gdzie miał doskonałe warunki do rozmowy w cztery oczy. Odosobnienie było dziś szczególnie ważne ze względu na to, co chciał jej przekazać. Skończył kolację, przeszedł do łazienki, żeby zwilżyć twarz wodą, spojrzął w lustro i ponownie przeklął SWR. Potem zamknął

drzwi i zszedł na dół, gdzie usiadł na nieco zatęchłej kanapie pokrytej zielonym rypsem, z widokiem na drzwi wejściowe. Czekał zdenerwowany, trzymając gazetę na kolanach.

Pani senator weszła do środka, jakby była właścicielką tej restauracji. Nie zauważyła Gołowa - okulary w grubej oprawie zmieniły jego arystokratyczne rysy - i przeszła tuż obok. Stephanie Boucher wchodziła gdzieś po to, żeby to ją zauważono, a nie żeby kogoś zauważyć. Gołow cichutko podążył za nią, zatrzymał ją w korytarzu i skierował na klatkę schodową. Nikt ich nie widział. Otworzył drzwi i puścił ją przodem. Pani senator rozejrzała się dookoła, a na jej ustach pojawił się uśmiešek.

- Anatolij, jak miło. Zawsze podejrzewałam, że masz romantyczną naturę.

Gołow nie zareagował na te słowa i zaproponował jej lampkę wina, na którą przystała, gdy się okazało, że nie ma whisky.

- Spotkanie w pokoju znacznie poprawia nasze bezpieczeństwo - powiedział. - Ale następnym razem powinniśmy się spotkać w innym miejscu. Nalegam. Podobnie jak centrala w Moskwie.

- To miło ze strony twojej i centrali - powiedziała, podsuwając mu już pusty kieliszek. - Czy masz moje... witaminy? Będę bardzo zadowolona, jeśli je przyniosłeś.

Gołow pomyślał o agencie, którego kiedyś prowadził we wschodnim Bejrucie, maronicie, tak nawykłym do żądania pieniędzy i prezentów jeszcze przed podaniem informacji, że sytuacja stała się nie do zaakceptowania dla KGB. Gołow kierował zespołem Wypiełu, który miał zrzucić jego obciążone ciało z Gołębic Skał w Raouché aż za linię, gdzie głębokość morza przekraczała czterdzieści pięć sążni. Teraz Gołow spojrział rozmarzonym wzrokiem na panią senator.

- Mam dobre wieści.

Nalał jej jeszcze wina i usiadł obok na pokrytej aksamitem kanapie. Wyjął z kieszeni marynarki podłużne pudełko i postawił je

na stoliku. Kiedy je otworzył, ich oczom ukazało się leżące na błękitnym jedwabiu eleganckie pióro Étoile firmy Montblanc. Jego czarny korpus przypominał klepsydrę, a na czubku kremowej skuwki widniała charakterystyczna biała gwiazdka Montblanc. Koniec klipsa zakończony był stylową perłą hodowlaną. Pani senator sięgnęła po pióro.

- Jakie śliczne - powiedziała.

Gołow złapał ją za rękę i przytrzymał.

- To naprawdę piękne pióro - dodała. - Ale prosiłam o coś innego, o pastylkę...

- Nie ma już pastylek - powiedział dość szorstko. - Zgodziliśmy się spełnić twoją dziwną prośbę i to jest właśnie to, o co ci chodzi. - Wziął pióro i chwycił za perłę. - Musisz ją przytrzymać i pociągnąć mocno, ale bez przesady.

Perła nagle odłączyła się od klipsa, na którego końcu widać było teraz ponad dwucentymetrową igłę, połączoną ze znajdującym się pod spodem kanałem. Miała ona miedziany kolor, jakby trzymano ją w ogniu. Gołow schował igłę z powrotem do klipsa i wsunął perłę na miejsce.

- Co to takiego? - spytała pani Boucher. - Prosiłam o coś prostszego.

- Zaczekaj, zaraz wyjaśnię - mruknął Gołow, który miał w tej chwili ochotę wbić jej igłę prosto w szyję. Wkrótce jednak przywołał się do porządku. - Ta igła jest pokryta naturalnymi składnikami. Wystarczy tylko zadrapać skórę, a natychmiast zaczyna działać. Zajmuje to dziesięć sekund. - Wyciągnął dłoń, żeby ją uciszyć.

- Jest to zdecydowanie lepsze rozwiązanie niż pastylka. Zapomnij o filmach. Pastylka może po jakimś czasie przestać działać, a tutaj nie ma tego problemu. - Podał jej pióro. - Teraz ty wysuń igłę - powiedział, raz jeszcze kładąc dłoń na jej nadgarstku. - Ale wolno i ostrożnie.

Jej ręce trochę drżały. Zważyła pióro w dłoni, a następnie po-

ciągnęła za perłę, za którą wysunęła się igła. Odbijało się w niej przymglone światło. Niewielka długość dodawała jej tylko grozy. Pani Boucher ostrożnie schowała igłę, a następnie założyła perłę na koniec klipsa. Popatrzyła na niego nieco skruszona.

- Dziękuję, Anatolij.

Włożyła pióro do kieszeni bluzki na piersi i dopiła resztkę wina. Powaga chwili nagle uleciała, a ona zaczęła się rozglądać dokoła. Jej wzrok spoczął na łożu z baldachimem, a potem na Gołowie.

- Może jesteś zainteresowany? - spytała ku jego przerażeniu.

ŚRÓDZIEMNOMORSKIE MAŁŻE GOŁOWA

Mieszamy świeże Oregano, sok z cytryny, okruchy panko, oliwę i pokruszony ser feta z masłem o temperaturze domowej, tak by powstała gładka masa. Następnie toczymy z niej kulki i schładzamy. Kładziemy po jednej kulce na kolejnych otwartych maźkach, ułożonych na grubej soli. Pieczemy, aż masa się stopi - jedną, dwie minuty. Na całość wyciskamy sok z cytryny.

Rzym to były ochro we dachy i rozjaśnione wiecznym słońcem marmury. Powietrze wypełniało bzyczenie *motorini*, na których jeździły czarnowłose dziewczyny w butach z krokodylej skóry. Generał Korcznoj wdychał atmosferę Wiecznego Miasta. To był jego dawny teren operacyjny, który doskonale pamiętał. Zamówił lunch, korzystając ze swego nieco zardzewiałego, ale eleganckiego włoskiego. Dominika nigdy nie słyszała o *spaghetti alla bottarga*, ale miska z lśniącym od oleju i złotej posypki z *bottarga di muggine*, suszonej ikry, zaraz jej się z czymś skojarzyła. Spojrzała na Korcznoja, który z zadowoleniem skinął głową. Jest zupełnie inne niż rosyjski kawior, pomyślała.

Siedzieli w Taverna dei Fori Imperiale, na którą składały się dwa małe pomieszczenia z obrusami na stolikach, kolorowymi malowidłami na białych ścianach i wyszorowaną czarno-białą terakotą na podłodze. Restauracja znajdowała się w połowie Via Madonna dei Monti, wąskiej, starej uliczki, pogrążonej w wiecznym cieniu rzucanym przez stłoczone domy, na parterze których mieściły się piekarnie i pracownie stolarskie. Powietrze przesycali tu zapachy świeżego pieczywa i trocin.

Dominika dzień wcześniej spotkała się z amerykańskim rezydentem i dostarczyła mu wiadomości z numerem swojego telefonu na kartę. Korcznoj uważnie obserwował ją przed i po kontakcie i z satysfakcją stwierdził, że jest zupełnie spokojna. Ulica ją ekscytowała, na jej policzkach pojawiły się rumieńce, a w rozszerzonych oczach odbijały się rozpryski kilkunastu fontann z delfinami.

Kiedy wyjechali z Moskwy, Korcznoj zmienił plany. Nalegał, żeby najpierw spotkali się z Amerykanami dyskretnie na dworze i dopiero potem skorzystali z wynajętego przez CIA pokoju.

- Przykro mi, ale nie ufam twojemu wujowi czy temu Ziuganowowi - powiedział, kiedy wyszli po lunchu z restauracji.

Przeszli wolno przez Forum Romanum po bruku *sanpietrini*, a

potem wąską uliczką, rozglądając się, czy nie mają ogonów.

Wrzucili jedno euro do skarbonki i zeszli do więzienia Mamertine, wyobrażając sobie, jak przez dziurę w skale wzgórza kapitolijnskiego spuszczano do lochu świętego Piotra. Więzienie trochę ich rozstroiło i szybko wrócili na słońce.

Kiedy szli w dół, przez całą drogę sprawdzali, czy nikt ich nie śledzi. Korcznoj mówił do niej, czasami zatrzymywał ją, by położyć dłoń na jej ramieniu. Opisywał, jak wygląda życie szpiega, który pracuje dla CIA w samej Rosji, w sercu służb wywiadowczych. Usiedli na ławce koło obelisku i jedli *granita*, lodowy deser o kawowym smaku, zerkając na przechodniów, zaparkowane samochody i zegarki, a Korcznoj mówił o tym, że szpieg musi znać różnicę między nieostrożnością a ryzykiem, i o ocenie - co niekiedy oznaczało akceptację - wskazówek oficera prowadzącego z CIA.

- Chodzi przecież o twój interes i twoje życie, sama więc decydujesz, co i jak robić - zakończył.

Włoskie słońce ją wyzwoliło i opowiedziała Korcznojowi więcej o Helsinkach, o tym, co robiła i jak się czuła ze swoją tajemnicą, o jej słodkim, mrozącym smaku - dodała, patrząc na trzymany w dłoni rożek. Z rzadka wspominała Nate'a, bo nie była pewna, ani co on do niej czuje, ani własnych uczuć względem Amerykanina. Czy uważał ją przede wszystkim za agentkę, a dopiero później za przygodną kochankę? Było jej bardzo ciężko, a Korcznoj widział to i doskonale rozumiał.

Generał mówił teraz o ograniczeniach, kalkulacjach i cierpliwości, trzech rzeczach, które pozwoliły mu przetrwać czternaście lat szpiegowania na rzecz USA. Rozumieli bez słów, że będą razem pracować, ale nie starali się bliżej zdefiniować tego partnerstwa. Wiedzieli, że tego rodzaju szpiegowskie tandemy są bardzo rzadkie. Korcznoj nie wspomniał nawet słówkiem o swojej idei uczy-nienia z niej swojej następczyni.

Nie rozmawiali też, być może dlatego, że nie mogli, o Rosji i swoich uczuciach do ojczyzny. Był to grząski grunt, naznaczony takimi słowami jak: „niewdzięczność” czy „zdrada”, i zdecydowali się dać temu spokój. Na wszystko miał przyjść czas. Teraz chcieli przede wszystkim zakończyć trasę sprawdzeniową i dotrzeć do miejsca krótkiego spotkania z Głównym Wrogiem.

Marmur poinformował przez satelitę centralę w Langley, że spotkanie Dominiki z szefem rezydentury w Rzymie będzie oznaczało, że oboje są w mieście i że mają się spotkać za dwadzieścia cztery godziny - jak na ironię, w dawnym miejscu wykorzystywanym przez KGB w ogrodach Villa Borghese, które Marmur pamiętał sprzed piętnastu lat. Nadał też krótkie zdanie: „Zdała, jest teraz nasza”, co miało znaczyć, że udało mu się ją zwerbować.

Naprawdę niezwykła sytuacja: dwoje agentów, którzy niby o sobie nie wiedzieli, jeden oficer prowadzący, a wszystko pod dyktando nawiedzonego szefa kontrwywiadu z CIA. No i jeszcze dwie obławki na krety, prowadzone przez dwa różne wywiady, oraz palący problem ze znalezieniem odpowiedniego miejsca na kolację. Byli przecież w Rzymie i nie mogli zadowolić się byle czym.

Tani telefon Dominiki zadzwonił, kiedy szli po schodach północnego krańca muru Aureliańskiego, patrząc na niebieskozielone korony drzew, dachówki w kolorze herbatników i złote kopuły świątyń. Korcznoj odebrał, powiedział coś po włosku, a następnie szybko się rozłączył.

- Są na miejscu. Pójdziemy przez park?

Przeszli w żarze popołudnia przez Porta Pinciana do Villa Borghese. Korcznoj miał na sobie lekki szary garnitur i ciemną, rozpiętą pod szyją koszulę, a Dominika granatową spódniczkę i bluzkę w niebiesko-różowe prążki. Z powodu gorąca upięła włosy wysoko. Wyglądali razem jak ojciec i córka z jakiejś patrycjuszowskiej włoskiej rodziny, którzy wybrali się na przykład do muzeum w parku. Korcznoj widział, że jest zdenerwowana i podniecona. Jej

błękitne oczy lśniły, ale jednocześnie nie zapomniała sprawdzać, czy ktoś za nimi nie idzie.

Oczywiście znał ten park. Przysłano go do rzymskiej rezydentury jako młodego oficera. Spotykał się tutaj z agentami, zostawiał dla nich w schowkach materiały, podczas gdy żona pilnowała bacznie okolicy. To było bardzo dawno temu. Teraz szli z Dominiką żwirową aleją w słońcu, które prześwitywało przez liście platanów. Prowadził ją koło pobłyskujących sadzawek i zatrzymał się na chwilę obok wspaniałej Fontana dei Cavalli Marini z gotującymi się do skoku morskimi końmi. Obeszli hipodrom na Piazza di Sienna i ruszyli w dół Viale del Lago. Mimo skomplikowanej trasy Korcznoy nie zauważył osób czy zachowań, które wskazywałyby, że są śledzeni. Dwie minuty do miejsca spotkania. Poczł raczej, niż zauważył, że Dominika jest jeszcze bardziej zdenerwowana i spięta. Wziął ją więc pod rękę i opowiedział dowcip:

- W siedzibie KGB pojawił się przerażony człowiek i powiedział, że zginęła jego gadająca papuga. „To nie nasza sprawa - odpowiedzieli mu kagiebiści. - Niech pan idzie na policję”. „Tak, oczywiście - powiedział ten człowiek. - Oczywiście pójdę na policję. Ale przyszedłem tutaj, żeby oświadczyć, że wcale się z nią nie zgadzam”.

Dominika chrząknęła i zakryła usta. Korcznoy obserwował ją i z satysfakcją stwierdził, że się nie pomylił. Będzie jego godną następczynią. Poradzi sobie. Benford sam to przyzna, jak tylko trochę z nią porozmawia.

Zbliżali się do stawu, gdzie na wysepce na środku stała poświęcona Eskulapowi klasyczna jońska świątynia. Jej wzrok powędrował za wzrokiem Korcznoja i zobaczyła niewielkiego, wymiętego mężczyznę na ławeczce nad brzegiem.

- Benford - wyjaśnił. - Przywitam się z nim. - Wskazał głową na staw. - Idź dookoła, dalej znajdziesz mostek, który prowadzi na wyspę.

Korcznoj podszedł do ławki. Mały mężczyzna wstał i uściskał jego dłoń. Usiedli obaj.

Dominika szła dalej, ale nie czuła nóg. Serce jej biło i słyszała, jak przełyka ślinę. Co mu powie? Że tęskniła? Idiotka! Musi zachować spokój, nie są tu przecież sami, a to jest pierwszy dzień jej nowego życia w charakterze szpiega. Musi zachować spokój... Zauważyła ciemną sylwetkę mężczyzny, który stał na łagodnej krzywiźnie mostka tuż pod witkami wierzby. Dostrzegła ciemniejszą niż kiedyś aureolę wokół jego głowy, ale może to z powodu cienia? Mężczyzna ruszył w jej stronę, słyszała echo jego kroków na drewnianym mostku.

Kwiaty z wierzby spłynęły na powierzchnię wody. Podeszła i podała mu dłoń.

- *Priwiet* - powiedziała.

Stała nieruchomo, czekając, aż pęknie bańka. Aż Nate zignoruje wyciągniętą dłoń i weźmie ją w ramiona.

- Jak się miewasz? - Uściskał jej dłoń, a ona przypomniała sobie wszystko, co ich łączyło. - Martwiliśmy się o ciebie. Długo nie było od ciebie wieści. - Jego fiolet lśnił tak jak dawniej.

Puściła jego rękę.

- Wszystko w porządku - odparła. - Pracuję teraz z generałem.

- To przynajmniej mogła powiedzieć.

Nate nie chciał rozmawiać o Marmurze ze względu na obowiązujący podział dostępu do informacji. Przypominał sobie, co pragnął jej powiedzieć w czasie spotkania - że codziennie o niej myślał i jak wiele dla niego znaczy. Nic mu się jednak nie udawało.

- Cieszę się, że mogłaś przyjechać - rzekł. - Mamy dużo do obgadania.

Od razu dotarł do niego idiotyzm tych słów. Coś takiego mógł powiedzieć jakiś mało rozgarnięty oficer prowadzący. Zaraz jeszcze zaczną omawiać z nią daty kolejnych spotkań.

Dominika widziała, że zмага się ze sobą - aureola wokół jego

głowy pulsowała jakby pod dyktando serca. Popatrzyli na siebie bez słowa i Dominika zamarła, bo wiedziała, że za chwilą rzuci mu ręce na szyję. Ale on ruszył się pierwszy.

Usłyszeli ciche pstryknięcie i Nate spojrział w tamtą stronę.

Benford im pomachał, obaj z Korcznojem już wstali. Benford wskazał miejsce i sam ruszył. Nate skinął głową i po chwili poprowadził Dominikę za dwoma starszymi mężczyznami.

Siedzieli we czwórkę w eleganckim saloniku Benforda w apartamencie hotelu Aldrovandi po przeciwległej stronie parku.

Urządzono go w przytłumionych barwach ziemi, na stoliku stał flakon pełen kwiatów, a biała terakota aż lśniła czystością. W ogrodzie za ścianą cyprysów znajdował się basen z turkusową wodą. Nieco dalej na szafce stało mosiężne wiaderko z nieotwartą butelką wina.

Siedzieli na krzesłach wokół stolika, a zasłony unosiły się i opadały. Benford omawiał od dłuższego czasu zupełnie wyjątkową sytuację Marmura i Dominiki.

- To niepojęte - ciągnął. - I bardzo niebezpieczne. Będziemy musieli natychmiast zmienić parę rzeczy.

- Świetny pomysł - rzucił generał. - Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać na osobności. Moim zdaniem będzie lepiej, jeśli Dominiki tu z nami nie będzie. A chociaż Nathaniel jest moim oficerem prowadzącym, to może będzie wolał dotrzymać jej towarzystwa?

Oboje opuścili pokój, a wtedy Marmur obrócił się w stronę Benforda, który właśnie zapalał papierosa.

- Jest młoda i porywcza, ale bardzo sprytna - zaczął. - Od kiedy zaczęła u mnie pracować, starała się ocenić zarówno mnie, jak i nową sytuację. Wyczułem jej silną wolę, ale zmusiłem, żeby się przyznała do współpracy z CIA. Oczywiście podejrzewałem, że zwerbowaliście ją w Helsinkach. Powiedziałałbyś mi o tym?

Benford wzruszył ramionami.

- Powiedziałem jej też o sobie. Aluzyjnie, ale od razu pojęła, o co chodzi. Dużo z nią rozmawiałem. O ryzyku, zagrożeniach, pracy. Penetracji centrali... Potrafi słuchać spokojnie, bez emocji. Całkowicie mnie to satysfakcjonuje - zakończył Marmur.

- To bardzo krzepiące - mruknął Benford. - Znasz moje zdanie, jako podoficer i kobieta potrzebuje lat, by zyskać dostęp do ważnych informacji. Jeśli w ogóle to nastąpi.

- Znasz tę grę równie dobrze jak ja - rzekł generał. - Ci, którzy zaczynają od niższych stanowisk i awansują, są najlepsi, najbezpieczniejsi. Dominika to ideał.

- Ale czy potrafi cię wydać? Czy może to zrobić?

- Tak, jeśli nie będzie wiedziała, co się dzieje. Dzięki temu stanie się jeszcze bardziej przekonująca. Jej szok będzie bardziej prawdziwy. W każdym razie jestem pewny, że posłucha moich rozkazów.

- To absurdalne. - Benford zgasił papierosa w kryształowej popielniczce. - Potrzebujemy cię teraz bardziej niż kiedykolwiek. Jak pomyślę, że możemy cię stracić przed czasem...

Marmur potrząsnął głową.

- Nie możemy wybierać czasu. Nie mam pojęcia, czy Wania już nie wpadł na mój trop. Niewątpliwie ma dobre pomysły. Ta *kanariejka zapadnia*...

- To znaczy?

- Pułapka, którą przygotował. Bóg jeden raczy wiedzieć, co szykują z Ziuganowem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- A to, że tak naprawdę nie wiem, ile zostało mi czasu. Dlatego w tej chwili najważniejsze jest przygotowanie Dominiki do jej nowej roli. Jeśli złapią mnie, zanim mnie wyda, będzie to duża strata.

- O kurwa! - sapnął Benford. - Przepraszam za wyrażenie.

- Przestań marudzić! Robimy coś wyjątkowego w naszej

profesji. Zamieniamy - no ile? - rok albo dwa mojej dalszej działalności na nowego szpiega. Kogoś z potencjałem, kto będzie mógł działać jeszcze dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. To uskrzydla. Benford potrząsnął głową.

- Nie po to tyle lat pracowałeś, podejmując straszne ryzyko.

Zasługujesz na emeryturę i nagrody.

- Moją nagrodą będzie to, że zostawię wszystko w całkowitym porządku. Że moja praca nie pójdzie na marne. Musimy tylko wybrać odpowiedni moment, ty i ja - dodał Marmur.

- Ten wyjazd to nie jest chyba najlepszy moment - mruknął Benford, zapalając kolejnego papierosa. - Nie możemy czekać zbyt długo, chciałbym jednak zobaczyć, czy coś wyjdzie z mojego małego testu.

- Powiesz mi, o co chodzi?

- Przekazałem informację, że ten nasz kret cierpi na półpasiec.

Mówiłeś, że to właśnie Jegorow powiedział Nazarence, tak?

- Biedak - westchnął Marmur. - Mogę spytać, kto o tym wie?

- Piętnaścioro członków Senackiej Specjalnej Komisji do spraw Wywiadu i kilka osób z Białego Domu - wyliczył Benford. - Na tyle mała grupa, że będziemy mogli ją sprawdzić.

- *Wszystkiego dobrego*, przyjacielu. Będę uważał i dam znać, gdyby Nazarenko przypadkiem wyskoczył przez okno.

- Będę wdzięczny - powiedział Benford. - I w ogóle uważaj na wszelkiego rodzaju informacje.

- Tak, właśnie chciałbym o czymś porozmawiać. Ale później.

Nate i Dominika siedzieli w jego pokoju i cicho rozmawiali.

Nate udawał nonszalancję, ale ona doskonale wiedziała, co czuje, zdradzała go intensywnie fioletowa aura. Nate powtórzył, że się o nią martwił, że wszyscy czekali na jakieś wieści od niej i odetchnęli z ulgą, kiedy generał Korcznoj poinformował, że jest bezpieczna.

Czuł się winny tego, co się stało, jej odwołania do Moskwy. Teraz jednak mogli zacząć wszystko od początku i znów razem pracować.

Dominika pomyślała, że mówi dokładnie tak jak oficer prowadzący agenta, którym zresztą był. Najpierw się martwił, potem odetchnął z ulgą... *Szto za diwo? !*

Nate sam słyszał, że plecie bzdury. Dodatkowo myślał o mężczyznach w sąsiednim pokoju i o tym, że cała sytuacja wydaje się dziwna. Wiedział, że musi zapanować nad sobą i nad tym, co się wokół niego dzieje. Zająknął się i umilkł, kiedy zobaczył jej minę. Dominika była elegancka, śliczna, zrównoważona. Pamiętał ten wyraz twarzy i te zaciśnięte szczęki. Wiedział, że zaczyna się złościć. Spędził tyle miesięcy z dala od niej, nie wiedząc nawet, czy żyje, a jak tylko się spotkali, zaczął ją wkurzać.

I co teraz? - pomyślał. Rozdzielono ich, a ona miała względem niego jakieś oczekiwania, wyglądało jednak na to, że sprawy potoczą się inaczej. Nie wrócą już do upojnych spotkań z Helsinek, kiedy to wymykała się z rezydentury ze skradzionymi dokumentami pod ubraniem. Popołudniowych godzin, spędzonych w rozświetlonym mieszkaniu konspiracyjnym, kiedy rozmawiali albo coś sobie gotowali. Nie wrócą do maleńkiej sypialni...

Głupia *fantazjerka*, pomyślała sobie. No dobrze, niech Nate wie, że też potrafi się skupić na pracy i że nie pójdzie mu z nią tak łatwo. Bez ogródek opowiedziała więc o powrocie do Moskwy, uwięzieniu w Lefortowie, ciągłych przesłuchaniach, biciu, sinych ustach, o tym, jak trzeszczały schowki na końcu korytarzy, kiedy ją do nich wpychano.

Nate poszarzał, gdy powiedziała mu, że zachowała w pamięci jego obraz i że ten pomógł jej przetrwać kolejne przesłuchania. Nie reagował, ale widziała jego oczy i jeszcze ciemniejszą od emocji fioletową aureolę. Wstał wstrząśnięty i skierował się do szafki. Nalewał właśnie wina, kiedy Dominika stanęła obok. Ręce mu drżały. Wiedział, że gdyby dotknęła go w tej chwili, byłby zgubiony. Obrócił się, by na nią spojrzeć. Patrzył na jej włosy, usta, oczy w kolorze morskiej głębi. Dostrzegła w nich przeczenie: „Nie,

nie możemy”, ale gardło mu się ścisnęło, żołądek skurczył i Nate wziął w dłonie jej twarz i pocałował, przypominając sobie słodki smak jej ust.

Całowali się szaleńczo, jakby w obawie, że ktoś ich zaraz rozdzieli. Dominika chwyciła go za szyję i w półmroku poprowadziła tyłem na marmurowy balkon. Czarne na tle nieba gołębie przelatowały z jednego cyprysa na drugi. Na zewnątrz panowała absolutna cisza, wiatr zupełnie ustał. Pchnęła go na barierkę i bez słowa zaczęła rozpinać jego pasek, podciągnęła spódniczkę jak tania prostytutka z Kopiewskiego pierieutku. Chwyciła barierkę z kutego żelaza, aż pobiełały jej knykcie, uniosła nogę i zarzuciła ją na poręcz. Wpiła się w jego usta i jęknęła, a ten dźwięk dotarł do jego trzewi. Cała zadrżała i puściwszy barierkę, złapała go za szyję. To, co się działo na balkonie, przepłoszyło okoliczne gołębie, które rozpierzchły się między cyprysami.

Przywarli do siebie, czując, że tak właśnie powinno być; ma-lutki balkon stał się dla niej całym światem, a całujący ją Nate jedynym jego mieszkańcem. Jego ramiona zacisnęły się wokół jej wąskiej talii i nogi Dominiki poruszyły się konwulsyjnie parę razy. Szepnęła do niego: *Słońce*, a gołębie wzbiły się wprost do nieba. Nie ruszali się przez kilka minut. Potem Dominika oderwała się od niego i złapała oddech. Po chwili już stali obok siebie, poprawiając ubrania: ona spódniczkę, on koszulę i spodnie. Wrócili do środka. Nate włączył lampę i podał jej kieliszek wina. Siedzieli obok siebie i w milczeniu patrzyli w przestrzeń. Jej uda drżały, a serce wciąż dudniło w głowie. Wydawało się, że Nate chce właśnie coś powiedzieć, ale w tym momencie pojawił się Benford i zaproponował kolację.

Siergiej Matorin, oprawca SWR z Zarządu F, siedział na Via Veneto przy małym wystawionym na ulicę stoliku z baru Harry’ego. Miał stąd widok na wejście do hotelu Jegorowej przy Via di Porta Pinciana i czekał na nią, na Korcznoja, a przede wszystkim na

młodego Amerykanina. Jeszcze przed wyjazdem z Moskwy wbił sobie jego obraz w swój ruchliwy niczym wiewiórka umysł. Już coś się powinno dziać, pomyślał. Czuł jakiś ciężar na piersi i suchość w ustach.

Miał ochotę włamać się do pokoju Jegorowej i zaczekać na nią w mroku, otoczony swoim kwaśnym zapachem z posmakiem amoniaku, ale otrzymał ściśle, całkowicie tajne rozkazy od samego Ziuganowa. Żadnych niepotrzebnych działań, czekać na okazję, nie robić błędów. Matorin siedział więc i czekał.

Zerkał na kilku młodych ludzi, którzy wychodzili po schodach z podziemnej galerii Borghese, ale w końcu skoncentrował się na swoim wyobrażeniu grupy afgańskich kobiet i dzieci, kryjących się za murkiem z błota i kamieni na wzgórzu w czasie ofensywy w prowincji Parwan. Kiedy leniwym łukiem poleciały granaty z GP-25, ich okrzyki zaczęły mieszać się z cichymi eksplozjami, aż w końcu wszystko umilkło. Głośny dźwięk klaksonu przejeżdżającego po Via Veneto samochodu wyrwał go z tych marzeń i Matorinowi zrobiło się przykro.

SPAGHETTI ALLA BOTTARGA Z FORI IMPERIALE

Na niewielkiej ilości oliwy podsmażamy na złoto czosnek.

Usuwamy go, a na patelnię kładziemy trochę masła i łyżkę suszonej ikry (*bottarga di muggine roe*); smażymy ostrożnie, gdyż zbyt mocno podgrzana ikra robi się gorzka. Dodajemy makaron ugotowany al dente i potrząsamy tak, by wymieszał się z ikrą.

Zdejmujemy z ognia, dodajemy masła i drugą łyżkę *bottarga*. Ozdabiamy świeżą pokrojoną pietruszką.

Rezydent Anatolij Gołow byłby poruszony, gdyby się dowiedział, jak wiele Orioni potrafili o nim powiedzieć wyłącznie na podstawie obserwacji jego zachowania na ulicy. Uznali go za prawdziwego maestra, jednocześnie intelektualistę i artystę. Nie korzystał on z przyciężkich procedur SWR, obowiązujących na ulicy, aroganckich zachowań, prowokacji na końcu trasy. Styl Gołowa wskazywał na to, że spędził on wiele lat w Europie Zachodniej i Ameryce. Jego droga stanowiła niemal pieszczotę dla obserwujących, uspokajała ich, by po wielu godzinach trasy sprawdzeniowej zostali oni z pustymi rękami. Ale Orioni odnaleźli u niego pewne powtarzające się zachowania i manewry. Gołow nie zdawał sobie sprawy z tego, że może być przewidywalny i że sygnalizuje swoje ulubione zachowania. Jednym z nich był *rybowlonny kriuczok*, haczyk, który polegał na tym, że po przebyciu trzech czwartych zwykłej, nawet łatwej trasy Gołow nagle zmieniał kierunek. Manewr należał do najbardziej skutecznych, gdyż rezydent po prostu zniknął.

Ten haczyk dezorientował agentów FBI, którzy od miesiący starali się wszędzie jeździć za Gołowem. Sfrustrowani agenci byli gotowi dać mu porządnego łupnia, blokując jego samochód i każąc mu trzykrotnie pokonać całą obwodnicę, zanim pozwolą mu zjechać na jakąś boczną drogę. Obserwujący go z boku Orioni mieli więcej cierpliwości. W skupieniu studiowali manewry Gołowa, chcieli je zrozumieć, opracować ich algorytm, potwierdzić to, z czego wszyscy zaczęli sobie zdawać sprawę. Po jego zniknięciu to trzon haczyka wskazywał jego prawdziwy cel - oczekującego agenta, tak bezpośrednio jak Wielki Wóz wskazuje Gwiazdę Polarną.

To czysta matematyka. Gołow byłby całkowicie bezpieczny, gdyby odbywał w ciągu roku tylko zwyczajowych pięć tras sprawdzeniowych. Ale rosyjscy szpiedzy z waszyngtońskiej rezy-

dentury wciąż pragnęli świeżych informacji. Mieli przecież - a zwłaszcza Gołow - pracę, kontakty, agentów. Biedny rezydent prowadził Łabędzia i w związku z tym musiał często gubić ogony. Wymagało to aż trzech tras sprawdzeniowych tygodniowo. I tak jak w przypadku starzejącej się gwiazdy filmowej, która bierze wszystko, co jej dają, Gołow zaczął wyprzedawać swoje triki. Członkowie Oriona siedzieli dookoła stołu w podmiejskiej restauracji sieci Sizzler w Marylandzie i raczyli się wczesną kolacją. Było ich niewielu, zaledwie pięciu, ale nie miało to znaczenia. Wszyscy byli starymi gwiazdami rocka.

Orest Javorskiy umieścił naszpikowane elektroniką plastikowe pnie drzew na przełęczy Fuldy, by podsłuchiwać w nocy sowieckie wojska pancerne. Mei Filippo wyprowadziła z Braszowa za rękę swego oślepiętego agenta. Clio Bavisotto grała Chopina dla Tito, a tymczasem jej mąż włamywał się do sejfu na górze. Johnny Parment zwerbował w Hanoi generała Wietkongu, i to tuż pod nosem dwudziestoosobowej ekipy śledczej. A na końcu stołu siedział „Filozof, dobiegający do osiemdziesiątki Socrates Burbank, trzykrotnie żonaty i rozwiedziony mężczyzna z kozią bródką. Był on prawdziwym myślicielem, wynalazcą Zapadni. I to właśnie on dowodził całą ekipą, chociaż zawsze trzymał się z tyłu.

Burbank pracował w służbach od zawsze i był wszędzie. Kiedy miał dwadzieścia parę lat, wyprowadził potajemnie agenta z pełnego sowieckich tanków Budapesztu. To on wbijał oznaczenia świetlne dla samolotów na plażach w Zatoce Świń. On też siedział w nagrzanym mieszkaniu konspiracyjnym w Berlinie, próbując wydobyć coś z otumaniałego od wódki sowieckiego oficera, któremu podsuwał miskę na wymiociny. Nawet Benford się nie wtrącał, kiedy Burbank, niczym Toulouse-Lautrec z woskowym ołówkiem i laminowaną mapą w dłoni, mówił coś cicho do mikrofonu.

Od zachodu nadciągał front atmosferyczny, co wieczorem za-

owocowało kilkoma gwałtownymi burzami i wyładowaniami elektrycznymi, które sparaliżowały stolicę. Trzy wielkie konary zatarasowały zalaną drogę, ruch zamarł na obwodnicy Waszyngtonu, a oba lotniska zawiesiły działalność. Był to najgorszy i jednocześnie najlepszy wieczór na trasę sprawdzeniową.

Gołow wykorzystywał ruch uliczny jako osłonę przy wyjeździe z ambasady i dalej na trasie przez południe Georgetown i Key Bridge na drugą stronę rzeki, a potem na południe przy Potomacu. Zatrzymywał się przy Crystal City Underground albo w starej części Alexandra. Przystanki w lejącym deszczu były bardzo nieprzyjemne. Kilka minut w centrum handlowym w Alexandra i był cały mokry. Podobnie zresztą jak ekipa FBI, która ponuro ciągnęła jego tropem.

Mimo pogody Gołow próbował przekonać obserwatorów, że jedzie do Mount Vernon, na co mogła wskazywać jego stosunkowo prosta trasa. W tym rejonie odbywało się wiele koncertów, jak również można było liczyć na eleganckie kolacje, więc ekipa obserwacyjna, warta swego imienia, z pewnością najechałaby ten teren, gdyby królik wykazał choć niewielkie zainteresowanie tym kierunkiem. Tak właśnie zrobili agenci FBI, wysyłając dwa wozy do przodu, a czterema śledząc auto rezydenta. Jednak Gołow potrafił czynić cuda. Ruch uliczny maskował jego działania, a FBI znajdowało się za daleko. Tym razem haczyk polegał na tym, że skręcił na podjazd na Wilson Bridge, przejechał przez Potomac i skierował się do Oxon Hill w Marylandzie, jadąc przez Forest Heights i w stronę rzeki Anacostia.

Zostawił za sobą tylko obłoczek dymu. Pół godziny później agenci FBI przekazali ponuro wiadomość, że zgubili królika gdzieś w południowej części George Washington Memorial Parkway, że nie pojawił się on w Mount Vernon i że wracają po trasie przez Alexandrię i przedmieścia Wirginii. Haczyk Gołowa wbijał się coraz mocniej w ich usta, odciągając ich dalej i dalej.

Deszcz przestał padać, ruch zelżał i Gołow przejechał od północy przez południowo-zachodnią część Waszyngtonu, wciąż sprawdzając tyły, zatrzymując się, by zobaczyć, czy nikt za nim nie jedzie. Wycieraczki zgarniały co jakiś czas resztki wilgoci z szyby wozu. Teraz musiał tylko pokonać National Mall, by wjechać do centrum. Zostawił wóz w podziemnym garażu przy K Street i przeszedł tych kilkanaście przecznic, dzielących go od Tabard Inn. Nie dostrzegł najmniejszego śladu obserwatorów, lata doświadczenia mówiły mu, że jest bezpieczny, zupełnie wolny.

Ołówek Socratesa Burbanka zaskrzypiał na mapie. Zwrot nastąpił na Wilson Bridge, co stanowiło jedyne logiczne wyjaśnienie, a trzon haczyka wskazywał na centrum. Soc odłożył radiostację FBI, bo w tej chwili dobiegały z niej tylko przekleństwa. Ołówek zaskrzypiał jeszcze parę razy i utworzył linię w południowej części National Mall: trzy wozy na Siódmej, Czternastej i Siedemnastej, co zostawiało nieobsadzone przejazdy przy Dziewiątej i Dwunastej. O zmierzchu Clio zauważyła bmw Gołowa na Czternastej Ulicy. Przekazała Burbankowi tylko kierunek i prędkość. Włączyła się do ruchu i jechała za rezydentem tak, jak to babcie potrafią - ostrożnie i z wielką pieczołowitością.

Dwa inne auta Orionów kierowały się na Gołowa, używając równoległych Osiemnastki i Pennsylvania Street. Mei i Soc przekazali obserwację Johnny'emu, który zauważył, że Gołow wjeżdża do podziemnego parkingu przy McPherson Square. Członkowie zespołu przygotowywali się do pieszej obserwacji. W tym właśnie byli najlepsi. Od lat nie stosowali szyku ABC, ale otaczali szczerze, choć ostrożnie, królika. Byli z przodu i z tyłu. Mijali go z boku, przechodzili mu przed nosem, okrążali z daleka. Jeśli Gołow spojrzał na któregoś z Orionów, ów nawet nie drgnął, nie odwrócił się, nie zaczynał udawać, że ogląda wystawę. Kaprawe oczy spotykały się z jego, a potem przesuwały dalej w roztargnieniu; niebieskie włosy wystawały spod nieprawdopodobnych beretów, a

całość uzupełniały zawadiackie czapki rybackie, jakieś paczki, torebki, okulary do czytania czy fajka z wrzośca. Wysoki, arystokratyczny Gołow, przyzwyczajony do ulic Paryża czy Londynu, nie zwracał uwagi na takie osoby.

Orioni byli dla niego za dobrzy, zbyt naturalni, płynni, by mógł cokolwiek wychwycić. Byli niezauważalni, zwłaszcza dla doświadczonego oficera SWR, przyzwyczajonego do „poważnej” obserwacji i obarczonego perspektywą kolejnego spotkania w Tabard Inn. Rezydent był teraz pod bacznią obserwacją pięciorga emerytów z plamami wątrobianymi na dłoniach i mających problemy z chodzeniem. Gdyby coś zauważył, mógł się wycofać, kupić gazetę, zamówić kawę, wrócić do domu... On jednak nie widział niczego podejrzanego.

Przestało już zupełnie padać, a kiedy Gołow skręcił w N Street, Zapadnia się zamknęła. To musiała być Tabard Inn, a nie na przykład hotel Topaz. Mel i Clio były już w poczekalni, właśnie zdjęły buty i skarżyły się głośno: „O Boże, jak boli! Można się wykończyć”. Patrzyły, jak Gołow bierze klucz do pokoju i znika w wąskiej klatce schodowej.

Ich trening i wewnętrzne przepisy kazały im zostać tam jeszcze pół godziny, by sprawdzić, co się będzie działo, i zwrócić uwagę na podejrzane osoby. Orioni nie mieli prawa nikogo aresztować, a ich dalsze przebywanie w tym miejscu mogło zaniepokoić Gołowa. Soc zadzwonił więc do Benforda, przekazał krótki raport i zaraz się rozłączył. Następnie włączył radiostację i odwołał swoich ludzi. Nie byli oni świadkami spotkania, nikogo nie przyłapali. Wyśledzili rezydenta, ale nie mieli podejrzanego. Nie złapali agenta na gorącym uczynku. Cierpliwość i nadzieja na przyszłość pozwoliły im znieść smak kolejnej porażki. Podobnie jak wieczorne hot dogi z Shake Shack na Osiemnastej Ulicy.

Kiedy je zamawiali, oficer SWR spotykał się zapewne potajemnie ze swoim agentem ze sfer rządowych. Johnny, który długo

pracował w Chinach, zamówił do swojego hot doga sałatkę z sezamem i chili. Orest był purystą, więc wziął musztardę i kiszoną kapustę. Mei wolała cebulę i keczup. Clio jako pianistka wzięła sałatę, pomidora, bekon i dojrzewający ser.

Socrates już dawno temu zaszokował ich wszystkich, biorąc dodatki dostępne tylko w Shake Shack: obrzydliwe smażone na patelni ziemniaki, skarmelizowane krążki cebuli, anchois i ostry argentyński sos *chimichurri*. Wszyscy Orioni w całkowicie naturalny sposób zgodzili się, że nigdy już nie będą jedli w wozach z Socratesem. Benford dzwonił do FBI, wrzeszcząc, przeklinając i błagając, by wysłali jak najszybciej agentów do Tabard Inn. Przekazano kilka wiadomości, poinformowano o wszystkim dyspozytora, który postawił na nogi zespoły obserwacyjne. FBI potrzebowało jedynie dwóch godzin, by dopełnić do Tabard Inn, a w tym czasie Stephanie Boucher dotarła do hotelu, spotkała się z Gołowem i zdążyła bezpiecznie odjechać. Śledzenie jej z pewnością nie byłoby tak trudne jak śledzenie rezydenta. Prawdę mówiąc, przypominałoby obserwację grupy japońskich turystów z różowymi parasolkami nad Potomakiem. I z pewnością byłoby łatwiejsze niż śledzenie słonia, któremu przymocowano do ogona dzwoneczek. Arogancka i socjopatyczna senator Boucher nawet nie spodziewała się obserwatorów, chociaż dopuściła się zdrady stanu. Zaparkowała w strefie wyładunkowej przy N Street - bo tylko tam były wolne miejsca - licząc na to, że nikt nie ruszy jej wozu z czerwono-białymi numerami Kongresu. Kiedy opuściła Tabard Inn lżejsza o kolejną płytkę z danymi na temat Pathfinderera, pojechała prosto do domu. Ale FBI nie miało okazji tego zobaczyć. Następnego dnia Benford przeglądał notatki obserwacyjne Orionów i wściekał się na obecnych na spotkaniu agentów FBI. Nate siedział cicho na swoim miejscu pod ścianą.

- Przepraszam, ale czegoś tu nie rozumiem - zaczął Benford swoim profesorskim tonem, który, jak Nate doskonale wiedział,

zwiastował burzę. - W najważniejszej sprawie, jaką prowadzicie, najpierw zgubiliście nie kogo innego, jak rezydenta SWR, który bez wątpienia miał się spotkać z amerykańskim zdrajcą, a potem potrzebowaliście ponad dwóch godzin, żeby dotrzeć do Tabard Inn. Przecież ten hotel znajduje się niecałe trzy kilometry od gmachu J. Edgara Hoovera. W dodatku mieliście dowody na to, że to spotkanie się odbyło, ale nie sprawdziliście książki meldunkowej ani nie przeszukaliście pokoju. Gdybyście trafili tam trochę wcześniej, na pewno znaleźlibyście tajne informacje, które Gołow dostał od swojego informatora.

Agenci poruszyli się niespokojnie na swoich miejscach.

- Ale FBI nie zrobiło nic w tej największej od 2001 roku sprawie. I pozwoliło ujść wolno zdrajcy...

- Podejrzanemu - poprawił go Chaz Montgomery.

Miał na sobie krawat z nadrukowaną dziewczyną z Polinezji Gauquina i Benford doświadczał niemal fizycznego bólu, kiedy nań patrzył.

- Co? - spytał podniesionym głosem.

Nate zastanawiał się, czy któryś z agentów nie zastrzeli Benforda, byle tylko przestał mówić.

- Powiedziałem: „podejznanego” - powtórzył Montgomery. - Osoba, która spotyka się z Gołowem, jest tylko podejrzany. Benford rozejrzał się po pokoju.

- Chaz, czy możesz mi przysłać swoje notatki z podstawowego kursu w akademii? - spytał słodko. - Myślę, że będą na nich kolorowe rysunki z kwiatkami i kucykami.

- Odpierdol się! - mruknął Montgomery. - Doskonale znasz przepisy. Potrzebujemy dowodów, solidnych dowodów, zanim zdecydujemy się kogoś aresztować.

- Mogliście sprawdzić Gołowa...

- Słyszałeś o czymś takim jak immunitet dyplomatyczny? Nie wiemy nawet, czy się z kimś spotkał, coś wziął. Mógł tam poje-

chać, żeby wręczyć zaproszenie na dzień rosyjski w ambasadzie.

- Tak, na pewno tak było - rzekł z przekąsem Benford.

- Doskonale wiesz, że musimy mieć niezbite dowody, zanim zaczniemy działać. Takie dochodzenia wymagają czasu. Cała sprawa wyjaśni się albo jutro, albo za miesiąc czy rok...

- Jesteście barbarzyńcami, Tatarami, Kartagińczykami... -

Benford tylko potrząsał głową.

- A co karty mają z tym wspólnego? - spytał młody agent z wyraźnie rysującymi się pod rękawami białej koszuli bicepsami.

- Kartagina, mój młody, uczony przyjacielu, istotnie nie ma nic wspólnego z kartami. Wspomniałbym tu Hannibala, gdyby nie obawa...

- *Milczenie owiec* - przerwał mu agent. - Świetny film.

- Zamknij się, Proctor - warknął Montgomery, a następnie zwrócił się do Benforda: - Nie muszę ci chyba wszystkiego tłumaczyć. Jeśli się porządnie przygotujemy, podejrzany wyląduje w więzieniu bez prawa łaski. Jeśli popełnimy błąd, zostanie konsultantem z okazałą pensją. Nie możesz trochę poczekać?

- Pod jednym warunkiem - rzekł Benford, udając, że jest urażony jego tonem. - Chcę, żeby przy aresztowaniu był obecny oficer CIA. Ta sprawa jest nie tylko kryminalna, ale też wywiadowcza.

- Nie mogę się na to zgodzić. Dyrektor też na to nie pójdzie.

Poza tym osoby biorące udział w śledztwie lub aresztowaniu muszą brać udział w procesie. Jesteś gotowy ujawnić w ten sposób któregoś ze swoich oficerów?

- Złapanie tego agenta będzie nas najprawdopodobniej drogo kosztować. Dlatego chcę, by ktoś od nas był przy aresztowaniu - wyjaśnił Benford.

- I tak nie sądzę, żeby dyrektor się zgodził, ale zapytam. O kogo ci chodzi?

- O niego. - Benford wskazał Nate'a. - Jest osobiście zainte-

resowany tą sprawą.

Nate nie wiedział, czy ma się czuć z tego powodu zaszczycony, czy wręcz przeciwnie. I tak był już zbyt widoczny, ale z drugiej strony nie miał zamiaru kwestionować decyzji Benforda. A już na pewno nie przy agentach FBI.

Agent z bicepsami popatrzył na niego, starając się zrozumieć, co znaczy: „osobiście zainteresowany”.

- Proctor, masz się, kurwa, nie odzywać! - warknął Montgomery. - Chyba że ktoś zada ci pytanie.

SOS CHIMICHURRI

Kroimy lub rozdrabniamy liście pietruszki, całą obraną główkę czosnku i jedną marchewkę średniej wielkości. Dodajemy oliwy, octu z białego wina, suszonego Oregano i odrobinę suszonej papryczki chili oraz pieprzu. Całość mieszamy lub ubijamy na gęsty sos. Najlepiej podawać od razu po zrobieniu.

34

Wania Jegorow siedział w biurze i patrzył przez szybę, spodziewając się zderzenia różnego rodzaju faktów operacyjnych. Łabędź wciąż dostarczał niezwykle interesującego materiału, ale brak dyscypliny groził tym, że w końcu wpadnie. Jegorow bał się myśleć, co będzie, jeśli straci Łabędzia.

Informacje z Włoch od Korcznoja też nie były do końca satysfakcjonujące. Udało im się odnowić kontakt z Nashem, który przyjął legendę operacyjną i uwierzył, że Dominika pracuje teraz w służbie kurierskiej. Zdołali też ustalić plan ogólnych kontaktów. Za wolno, wszystko to szło zdecydowanie za wolno.

Kret wciąż pozostawał na wolności i stanowił zagrożenie dla Łabędzia i dla samego Jegorowa. Wania wysłał więc rozkaz do Korcznoja, by przygotował Dominikę do kolejnego wyjazdu, oczywiście jako kuriera. Potrzebował przecież wyników. A potem zadzwonił telefon. Ten specjalny.

- To wszystko jest niezadowolające - rzekł prezydent. - Mam nadzieję, że myśli pan już o kolejnych kontaktach. Bez zbędnej zwłoki. - Putin wiedział jeszcze z KGB, jak ważny jest początkowy impet operacji.

- Tak, panie prezydencie, już zaplanowałem następny wyjazd. Natychmiast poinformuję o jego wynikach. - Boże, jak on liże dupę temu Putinowi!

- Świetnie. Dokąd?

Jegorow przełknął ślinę.

- Zastanawiam się właśnie, jakie miejsce będzie najlepsze.

Zadzwonię, jak tylko podejmę decyzję...

- Ateny - uciął Putin.

- Tak, panie prezydencie?

- Niech pan ją wyśle do Aten, generale, tę swoją bratanicę.

Niewielkie zagrożenie, a poza tym mamy tam swoich ludzi w policji.

Ciekawe, dlaczego Putin naciska na Grecję.

- Oczywiście, panie prezydencie - powiedział Jegorow, ale Putin już się rozłączył.

Piętro niżej Ziuganow popatrzył w mleczone oko w trupiej głowie.

- Przygotuj się do wyjazdu do Aten - powiedział, spoglądając na mężczyznę, który wstał i wyszedł z jego gabinetu.

Karzeł pomyślał, że jeśli Dominika utknie między tym maniakiem ze Specnazu i jego celem, może znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie, ale nic na to nie mógł poradzić.

Cały kontrwywiad pod dyktando Benforda sprawdzał oddzielne projekty obronne i związane z nimi osoby. On sam czekał na odzew związany z pułapką Jegorowa. Zespół Orionów wciąż starał się wysledzić Gołowa na ulicach Waszyngtonu. Benford był jednak spragniony wyników.

Rozmawiali o tym w Rzymie i Marmur wiedział, co ma robić, choć wiązało się to z olbrzymim ryzykiem. Któregoś dnia odwiedził mieszczące się na pierwszym piętrze laboratorium Zarządu T. Nazarenko siedział za swoim komputerem, a wokół rozpościerał się księżycowy krajobraz, na który składały się pudła, papiery i różnego rodzaju teczki. Na długim stole przy ścianie panował chaos. Nazarenko spojrzał na Korcznoja i jego grdyka poruszyła się parokrotnie.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, Jurij - rzucił Korcznoj, a następnie podszedł do biurka i uściśnął dłoń kolegi. - Możemy chwilę porozmawiać?

Nazarenko wyglądał jak marynarz, który utknął na krze, a teraz obserwował oddalający się statek.

- O co chodzi? - Twarz miał poszarzałą, a zmierzwiłone jak zwykle włosy były w dodatku brudne i zmatowiałe. Podobnie zresztą jak okulary.

- Potrzebuję twojej rady w sprawach komunikacyjnych - za-

czął Marmur, a potem przez kolejny kwadrans wyjaśniał potrzeby związane z kanadyjskim celem.

Nazarenko odpowiadał niespokojnie, a jego kciuki drżały.

Korcznoj pochylił się w jego stronę, napierał na niego, tworząc ślepe punkty na biurku.

- Co cię tak męczy, stary? - spytał w końcu.

- Nic takiego - odparł Nazarenko. - Tylko mam coraz więcej pracy.

- Jeśli tylko mogę pomóc...

- Nic takiego - mruknął Nazarenko. - Ale tyle tego jest... Ciągle przerabiam dane, potrzebuję tłumaczy, analityków. - Gdy mówił, spazmatycznie zaginały mu się kciuki. - Wiesz, ile informacji mieści jedna mała płytka? - Obrócił się z krzesłem w stronę sejfu z czterema metalowymi szufladami i wyciągnął jedną z nich. Po chwili wytrząsnął na biurko jej zawartość: kilkanaście plastikowych torebek z płytkami w szarych kopertach. Nazarenko wziął kilka z nich w drżące dłonie. - Gigabajty danych. - Rzucił jedną płytkę na biurko, a ta utknęła gdzieś pod stosem papierów.

Korcznoj wziął ją i spojrzał uważnie, jakby nie mógł sobie wyobrazić, że takie ilości informacji mieszczą się na takim skrawku plastiku. Od razu dostrzegł logo Pathfinderera na jej brzegu.

- Czemu nie dadzą ci więcej ludzi?

Nazarenko złapał się za głowę. Marmurowi zrobiło się żal tego stracha na wróble z latającą grdyką.

- Nie przejmuj się, Jurij - rzekł uspokajająco. - Masz olbrzymie zasługi dla SWR i nie powinni cię tak traktować.

I kiedy klepał kolegę po ramieniu, włożył jednocześnie płytkę do kieszeni marynarki. Czy te płytki tworzyły jakąś całość? Czy wszystkie były zapisane? Czy Nazarenko zauważył zniknięcie tej jednej?

- Mógłbym przysłać ci kogoś do pomocy. Wiadomo, że wszyscy mamy masę roboty, ale twoja jest najważniejsza. Chcesz

moich analityków?

Nazarenko spojrział na niego ponuro.

- Twoi analitycy nie mają dostępu do tego projektu - mruknął.

- Jest ściśle tajny.

- Więc może pomogą ci w czymś innym? No, Jurij, nie od-

mawiaj - powiedział Korcznoj. - Przyślę ci po południu dwóch

moich ludzi. - Korcznoj pogroził mu palcem. - Tylko nie wyobrażaj
sobie, że możesz ich mieć na stałe.

Nazarenko uśmiechnął się blado.

Depesza od Gołowa potwierdzająca wersję z półpaszczem leżała
na biurku Jegorowa. Była to pojedyncza kartka z ukośnym nie-
bieskim paskiem, nieco wyzięta od częstego czytania. Po drugiej
stronie biurka siedział niezwykle szczęśliwy szef kontrwywiadu
Ziuganow. Jegorow potrząsnął głową.

- Nie wierzę w to, że Nazarenko jest kretem - powiedział

Wania. - Przecież z trudem radzi sobie z rozmową w kantine.

Wyobrażasz go sobie, jak spotyka się z Amerykanami w środku
nocy?

Ziuganow oblizwał wargi.

- Półpasiec. Gołow nie mógł się pomylić. To przecież do-
kładny cytat z tego, co powiedział Łabędź: „Agent cierpi na pół-
pasiec”. Tę wersję poznał Nazarenko.

- To roztargniony głupek - rzekł Jegorow, nie bardzo wiedząc,
dlaczego go broni. - Mógł to po prostu komuś wygadać.

Ziuganowowi było wszystko jedno. Wiedział tylko, że musi się
dostać do głowy Nazarenki. Nareszcie miał jakąś robotę.

- Ale, do cholery, nie mamy nic więcej - dodał Jegorow. -

Zaczynaj zaraz śledztwo. Sprawdź wszystko.

Ziuganow skinął głową, zeskoczył z krzesła i podszedł do
drzwi. Próbował sobie przypomnieć, gdzie powiesił swój mundur
czerwonoarmisty - ten z guzikami przesuniętymi dalej na jedną
stronę, w którym tak lubił przesłuchiwać. Zielonobrazowy, po-

znaczony plamami z krwi i przesiąknięty smrodem odchodów materiał wydawał się bardziej elegancki niż fartuch, chociaż końce rękawów nieco się już strzępiły.

- I jeszcze jedno - rzucił Jegorow. - Sprawdźcie, czy nie ma na sobie metki. Coś powinno się pokazać, jeśli dotykał jakiegoś Amerykanina w ciągu ostatnich dwóch lat.

Ziuganow ponownie skinął głową, choć miał własną opinię na temat tego proszku. Wolał wyznanie, cudowne, wyzwajające przyznanie się do winy. Ziuganow doskonale wiedział, jak to osiągnąć - wystarczyło trochę krzyku, parę zerwanych ścięgien i nieco rozlanego płynu ocznego na Butyrkach, a przesłuchiwanie przyznawali się do wszystkiego.

Wciąż nie pamiętał, gdzie powiesił ten swój mundur.

Nazarenkę wezwano do siedziby kontrwywiadu na „wrywkowe sprawdzenie stanu bezpieczeństwa”. Nie trzeba było zbyt długo pracować w SWR, by zdawać sobie sprawę, że oznacza to poważne kłopoty, a Nazarenko po prostu wpadł w panikę. Po pierwszym mało dającym przesłuchaniu płaczącego naukowca Ziuganow przeniósł go wprost do więzienia na Butyrkach w centrum Moskwy. Założył też mundur, spodziewając się dalszego ciągu.

Ludzie są zabawni, myślał, bawiąc się lekką pałką. Wszyscy mają inne czułe punkty. W wypadku Nazarenki były to stopy, których trzeba było dotykać wydrążoną aluminiową rurką. Podejrzany reagował na to mocniej niż inni. Ziuganow zakończył pierwszą turę przesłuchania, kiedy okazało się, że brakuje jednej z płytek od Łabędzia. Trzeba było więc powstrzymać tortury, bo sytuacja zrobiła się bardzo poważna. Ziuganow zgodził się na zastosowanie amobarbitalu, który skutecznie uwolnił pamięć Nazarenki. Opowiadał on o pracy, kolegach i krótkiej wizycie generała Korcznoja w laboratorium. Korcznoja? Niemożliwe. Jegorow jeszcze raz kazał przeszukać wszystkie pomieszczenia. Musi być jakieś inne wyjaśnienie. Gdzie jest ta płytka?

Do Marmura dotarły pogłoski o polowaniu na kreta, jak również o problemach z materiałami w Zarządzie T. Rozmawiał ze starymi kumplami i słuchał plotek w toaletach SWR. Nikt od wielu dni nie widział Nazarenki.

Wiedział, że przesłuchujący i pracownicy kontrwywiadu będą powoli zaciskać pętlę wokół jego szyi. Musiał jak najszybciej skontaktować się z Benfordem i jeszcze tego wieczoru zostawić płytkę w skrzynce kontaktowej, o ile oczywiście pozwolą mu wyjść z centrali. Zastanawiał się, czy nie za bardzo zaryzykował i czy uda mu się zorganizować podróż Dominiki do Aten, tak by mogła go zadenuncjować.

Marmur bez przeszkód opuścił Jasieniewo. Pomyślał, że to być może już ostatni raz, i po powrocie do domu przygotował depeszę. Wysłanie jej zajęło sekundę. Dwadzieścia minut później Benford przeczytał dwie linijki tekstu: „Nazarenko w potrzasku. Załadunek skrzynka DRAKON”.

Martwa skrzynka kontaktowa, pomyślał Benford. Stary lis musi mieć coś ważnego. A Nazarenko ma kłopoty, co znaczy, że Łabędź jest jedną z dwudziestu trzech osób z Waszyngtonu. Benford sięgnął po telefon, żeby zadzwonić do FBI.

Nocny deszcz zaciągnął kurtynę nad miastem, a podmuchy wiatru sprawiały, że wiał niemal poziomo. Peron i schody przystanku metra Mołodioznaja były puste, sklepy pozamykane, a na ulicy zaledwie parę aut. Marmur postawił kołnierz prochowca, wbił dłonie w kieszenie i ruszył wolno ulicą Lenińską. Przejechał już trzema różnymi składami, zrobił długi spacer wzdłuż rzeki, zanim stwierdził, że jest czysty. Nie dostrzegał wokół siebie ruchu, nie czuł też presji ze strony obserwatorów.

„Trzeba iść dalej, miarowo, spokojnie”. Ostatnia prosta z deszczem, który dotykał mokrymi palcami jego pleców. „Jestem nocnym stworzeniem, muszę przywrzeć do ściany i nasłuchiwać jeszcze, czy nikt za mną nie idzie”. I dalej Lenińską przez czarny

lasek, a potem skręt między drzewa, wśród których widać pojedyncze światło ze Szkoły Położnych numer 81. „A teraz szybko z chodnika i między ociekające wodą drzewa”. Marmur zadrżał. „Spokojnie, przestań się ruszać, patrz i słuchaj, zwłaszcza słuchaj, czy ktoś nie zmienia biegów, nie hamuje, nie otwiera drzwiczek...”. Tylko wiatr poruszał gałęziami drzew.

Czas działać. Słyszał bulgotanie wody w rurze biegnącej pod drogą. Marmur klęknął, wyjął z kieszeni szary pakunek. Następnie włożył go do rury i przycisnął do jej górnej części, żeby się przykleił. Liczył do dziesięciu, tak by żywica epoksydowa związała się z podłożem. Nic, żadnych odgłosów pościgu. Wszystko w porządku. Znowu się rozejrzał, starając się nie zdradzić schowka po drodze do ciepłego metra Kryłackoje.

Rzucił mokre ubrania na podłogę w kuchni, klawiatura drżała w jego dłoni, a rysik był za mały, nawet kiedy założył okulary do czytania. Do diabła, czy nie mogą zrobić tego urządzenia w wersji dla starszych osób? Nie, przecież żaden szpieg tak długo nie żyje - odpowiedział sobie i przycisnął guzik, który wydał mu się gorący, gdy wypuszczał gołębicę: ZAŁADOWAŁEM SKRZYNKĘ DRAKON.

Marmur usiadł w fotelu i zamknął oczy. Teraz niech przyjdą, wezmą małą czarną płytkę i niech Bóg ma w opiece młodego pracownika CIA, który będzie musiał sobie pobrudzić garnitur, albo żonę któregoś z pracowników ambasady, z aparatem firmy Phonak w uchu, nasłuchującą, czy w pobliżu nie zaskrzypią hamulce jakiegoś wozu.

W rezydenturze dwukrotnie owinięto płytkę folią termokurczliwą, a następnie zapakowano w jutę i wsadzono do pudełka, które zabezpieczono, opieczętowano i włożono do jaskrawopomarańczowej torby z zamkiem, który można było zablokować. Następnie - ponieważ przesyłka pochodziła od Marmura - wysłano z tym kuriera. I gołębica wróciła z gałązką w dziobie: DRAKON

PRZEJĘTY, a rura w lasku wciąż pluła czarną wodą i niemal na zawsze zachowała swój sekret.

*

Benford siedział przy stole konferencyjnym w suterenie w siedzibie FBI przy Pennsylvania Avenue w Waszyngtonie. Na blacie leżały resztki lunchu zamówionego w kilku pobliskich restauracjach. Był to posiłek w trakcie pracy, a nie jakieś wystawne przyjęcie. Benford zamówił kurczaka po tajsku, czyli sałatkę *larb gai* z soczystego mielonego kurczaka z cebulką, papryczkami chili, bazylią i limonkami, tak ostrego, że z ukontentowaniem niemal zionął ogniem, pozostali zaś zadowolili się bardziej tradycyjnymi lunchami, złożonymi z zupy lub kanapek.

Stół był podzielony równo między CIA i FBI, a siedzieli przy nim głównie starsi oficerowie z działu technicznego i kontrwywiadu. Kiedy przybył kurier z Moskwy z przesyłką od Marmura, Benford - nawet on - zgodził się na dopuszczenie FBI do śledztwa i kryminologiczną analizę płytki. „Te federalne roboty mówią o utrzymaniu «łańcucha ewidencyjnego» w przypadku przesyłki od Marmura - zwierzył się wcześniej Nate’owi. - Jeśli rzeczywiście udało mu się odzyskać ściśle tajne materiały, przekazane Rosjanom przez Łabędzia, to według naszych kolegów może to oznaczać, że mamy dopuszczalny dowód sądowy z możliwością skazania osoby podejrzanej”. Benford wyjątkowo ustąpił tutaj agentom federalnym.

Przez dłuższy czas wpatrywał się w stojącą na stole metalową tacę z dowodem. Płytką już bez plastikowej torebki z SWR i koperty z logo Pathfindera leżała na sterylnym ręczniku, a jej powierzchnię pokrywał szary proszek. Technicy z FBI po kolei wykonywali wszystkie testy: badanie ninhydraną, by ujawnić wszystkie ukryte ślady, a potem spryskali jej powierzchnię tlenkiem wapnia, by zwiększyć kontrast. Siedzący przy stole doskonale widzieli na matowej powierzchni trzy różne odciski palców. Tylko

czyje: czy tych szczurów z laboratorium SWR, czy amerykańskiego kreta? Benford wiedział, że Marmur nie otwierał plastikowej torebki. Był na to za dobry. Agenci wzięli zdjęcia i odbitki odcisków do laboratorium, żeby nad nimi jeszcze popracować. Jednocześnie szukano ich odpowiedników w archiwum.

Benford był właśnie w wozie i wracał do centrali, jadąc w stronę George Washington Memorial Parkway, kiedy zadzwonił jego telefon. Był to zastępca szefa laboratorium FBI.

- Powinien pan tu wrócić - powiedział. - Nie uwierzy pan, co znaleźliśmy.

- Mam nadzieję, że to dobra wiadomość - rzucił Benford, szukając miejsca, gdzie mógłby wykonać nawrót.

- O tak, bardzo dobra - odparł tamten.

KURCZAK PO TAJSKU BENFORDA (SAŁATKA *LARB CAI*)

Nożem lub tasakiem kroimy ręcznie ładne i chude piersi kurczaka. Doprawiamy je sokiem z limetek i winem ryżowym, a następnie smażymy na małej ilości tłuszczu, aż staną się kruche i zbieleją. Zostawiamy kurczaka do ostygnięcia, a następnie zawijamy w trawę cytrynową i dodajemy pokrojonego w kostkę czosnku, papryczek chili, skórkę cytrynową, sos rybny, sól i pieprz. Całość dokładnie mieszamy. Dodajemy pokrojonej kolendry, bazylii, mięty i dymki. Mieszamy lekko i podajemy z ryżem w zwiniętych liściach sałaty.

W 2005 roku napisano, przedstawiono i przedyskutowano w Senackiej Komisji Sądowniczej Kongresu ustawę na temat genetycznych odcisków palców, ale z wielu politycznych, niezwiązanych z bezpieczeństwem narodowym powodów dwukrotnie zdejmowano ją z porządku obrad. Jej celem było utworzenie ogólnopaństwowego archiwum DNA i odcisków palców, by móc sprawdzać nie tylko przestępców i imigrantów, ale też pracowników państwowych mających dostęp do tajnych materiałów. Wiodąca grupa w senacie delikatnie zasugerowała wtedy świeżo upieczonej pani senator Stephanie Boucher, by dołączyła do ponadpartyjnej grupy demokratów i republikanów, popierających tę ustawę. I chociaż osobiście uważała takie archiwum za potworne naruszenie prywatności, to jednak wykalkulowała sobie, że jeśli zagłosuje na tak, to zwiększy swoją wiarygodność i zrobi dobre wrażenie na szefach wielu firm zajmujących się techniką kosmiczną z Kalifornii. Wzięła nawet udział w jakimś głupim programie telewizyjnym, w którym prawodawcy godzili się na pobranie ich DNA w obecności reporterów. Pani senator uśmiechała się do kamery, kiedy laborant pobierał próbkę z jej ust, a jeden z kamerzystów zastanawiał się przy tym, ile oddzielnych cząstek DNA można na przykład w tej chwili znaleźć w jej ustach. Ten ponadpartyjny kabaret sprzed prawie dziesięciu lat - o którym sama pani senator zapomniała, a jej rosyjscy mocodawcy nic nie wiedzieli - spowodował, że jej materiał genetyczny i odciski palców znalazły się w systemie IAFIS FBI. Kiedy więc z przywiezionej z Moskwy płytki zawierającej tajne informacje zdjęto częściowy odcisk kciuka, odcisk palca serdecznego i niewyraźną smugę po palcu wskazującym, komputer już po dziesięciu minutach wyodrębnił dane pani Boucher spośród ponad dwudziestu pięciu tysięcy innych cywilów. Przez następnych kilka dni Benford zmagał się z szefami

kontrwywiadu FBI w pomieszczeniach po obu stronach Potomacu. Nie tyle chodziło o to, kto ma w tej sprawie pierwszeństwo, czy o ustalenie szczegółów przesłuchania pani senator, ile o to, jak zapobiec przeciekowi informacji na ten temat z Białego Domu, Rady Bezpieczeństwa Narodowego, policji Kongresu, senatu, kalifornijskiej legislatury stanowej, rady miejskiej Los Angeles czy Stowarzyszenia Kalifornijskich Hodowców Rodzynek.

- Nie możemy pozwolić, żeby Boucher wpadła w panikę i uciekła do Rosji - przekonywał Charles „Chaz” Montgomery, szef oddziału bezpieczeństwa narodowego FBI.

- Bzdura - mruknął Benford, który zbierał mapy po długiej rozmowie na temat obserwacji. - Wysłanie Boucher do Moskwy byłoby lepsze niż spuszczenie bomby neutronowej na plac Czerwony.

CIA i FBI ustaliły plany całkowitej obserwacji, co obejmowało śledzenie pani senator, podsłuch, sprawdzanie poczty i wyrzucanych przez nią śmieci. Boucher nie zdawała sobie z tego sprawy, ale stała się jasnowłosą dojarką idącą samotnie po szarym wrzosowisku przy wyciu psów, dochodzącym gdzieś z zamglonych wąwozów położonych nad skalnymi półkami. Nie miała już dokąd uciec.

Należący do senator Boucher niski dom z pięcioma sypialniami, położony w Brentwood w stanie Kalifornia przy Mandeville Canyon Road, przykucnął na zboczu, skąd widać było po jednej stronie Pacyfik, a po drugiej choinkowe światełka Los Angeles. Budynek w kształcie litery U okalał rozświetlony basen z czarnym dnem i taras. Rozsuwane szklane drzwi sypialni były otwarte, a z wnętrza dochodziła beztroska, leniwa, czarująca *Miss Chatelaine* w wykonaniu k, d, lang.

Stephanie Boucher leżała w pościeli na wielkim łożu z imponującym, choć po skandynawsku surowym wezgłowiem z jesionu czarnego. Ta czerń kontrastowała z beżowymi i kremowymi bar-

wami wystroju sypialni. Pani senator była naga, a włosy związała sobie ciasno z tyłu. Obok leżał dwa razy od niej młodszy mężczyzna. Miał dwadzieścia parę lat i grał na środkowej pozycji w drużynie Dodgers albo Angels, Stephanie nie pamiętała dokładnie w której. Spał teraz, jego hebanowe ciało lśniło od porannego potu, a zwarte mięśnie na barkach i plecach przypominały głazy na dnie potoku łożka. Chłopak leżał na brzuchu ze skrzyżowanymi w kostkach nogami.

Stephanie przesunęła się na brzeg pościeli, starając się nie zbudzić tego, jak mu tam... Nie była to delikatność z jej strony, ale nie miała ochoty na poranną gimnastykę. Dzisiejsza noc zupełnie jej wystarczyła - trwało to godzinami i było dość bolesne. Nogi nie powinny wyginać się aż tak mocno i nie we wszystkich możliwych kierunkach. Ale to jedyny sposób, by odlecieć, pomyślała, czując mrowienie ud, brzucha i pleców, kiedy oddalała się od łożka.

Spojrzała w lustro w łazience i zaczęła rozczesywać włosy.

Jednocześnie zobaczyła nabrzmiałą i obwisłą twarz matki w pokoiku małego domku w Hermosa. Siedziała ona na łożku i paliła papierosa na spółkę z różnymi facetami, czasami starymi i grubymi, to znów młodymi i chudymi, z tatuażami, wąsami, włosami ściętymi na jeża albo z kucykami, a Stephanie zamykała drzwi, patrzyła na zegar w kuchni i myślała o tym, że jej nieśmiały ojciec chociaż raz mógłby wrócić wcześniej z pracy. Po pogrzebie i procesie Stephanie spojrzeła w inne lustro i powiedziała sobie, że nikt jej nie pomoże, jeśli sama tego nie zrobi. To dlatego zadzwoniła do ojca tamtego wieczoru.

*

Pani senator usadowiła się wygodnie na wyściełanym leżaku przy basenie i wzięła do ręki sałatkę z krewetek z kminkiem i koperkiem. Włożyła biały bawełniany szlafroczek, żeby nie krępować asystentki. Ta ostatnia o imieniu Missy była dosyć pełna, nerwowa, a teraz obgryzała paznokcie, siedząc przy pokrytym

papierami stoliku. Była trzecią z kolei asystentką Stephanie w ciągu tego roku. Zbielałe kości innych jej pomocnic znaczyły szlak od Waszyngtonu aż po Los Angeles. Missy czytała na głos, starając się uzupełnić kalendarz swojej pracodawczyni, która miała w planach dwa wystąpienia w San Diego i Sacramento, spotkanie w sprawie tajnych dokumentów w Pathfinder Satellite w Los Angeles i dobroczynną kolację w San Francisco. Ale pani Boucher musiała wrócić do Waszyngtonu nie później niż we wtorek, by móc zagłosować w kwestii dodatkowych środków dla Pentagonu. Powiedziała też Missy, by przypomniała jej o tym, że chce zamówić dokładne sprawozdanie dotyczące budżetu CIA. W ciągu paru następnych miesięcy miała zamiar porządnie dokopać jej szefom. Myśl o kopaniu sprawiła, że spojrzała w stronę otwartych drzwi sypialni. Jej zawodnik jeszcze spał. Bogu dzięki. Powie zaraz kierowcy, żeby zawiózł go na boisko czy do Malibu, czy też... Nagły ruch. I to spory. Jej gospodyni prowadziła od głównego wejścia jakichś czterech mężczyzn. Trzech było w garniturach, białych koszulach i przeciwsłonecznych goglach, czwarty niósł aktówkę. Tym czwartym był ciemnowłosy, szczupły Nathaniel Nash. Miał na sobie lekką marynarkę narzuconą na koszulkę, dżinsy oraz półbuty. Pani senator popatrzyła, jak zbliżają się do tarasu, i wyczuła niebezpieczeństwo, choć jej mózg był przegrzany i zagubiony. Niezależnie od tego, kim byli ci urzędnicy, miała zamiar zagrać wkurzoną ich nagłym wtargnięciem. Nie dali jej jednak czasu na to, by mogła złapać wiatr w żagle.

- Pani senator, nazywam się Charles Montgomery i jestem agentem specjalnym FBI - powiedział najstarszy. - Otworzył portfel, by pokazać jej swój identyfikator. Dwaj pozostali ludzie w garniturach zrobili to samo i tylko młody Tab Hunter z tyłu nawet się nie ruszył. - Jest pani aresztowana za szpiegowanie na rzecz innego kraju, na podstawie Kodeksu Stanów Zjednoczonych z tytułu osiemnastego, sekcje siedemset dziewięćdziesiąta czwarta a i

b Ustawy o Szpiegostwie z 1917 roku.

Stephanie Boucher spojrzała na nich, mrużąc oczy. Specjalnie nie związała szlafroka, który wisiał luźno na jej ramionach, odsłaniając krzywiznę jej piersi.

- O czym pan mówi? - spytała. - Zwariował pan? Myśli pan, że można tak wtargnąć bez zapowiedzenia do mojego domu?

Missy siedziała w milczeniu przy stoliku, patrząc to na mężczyzn, to znów na szefową.

- Proszę wstać, pani senator - powiedział Montgomery. - Musi się pani ubrać. - Zaczął recytować listę jej praw i wziął ją delikatnie pod ramię, by pomóc wstać z leżaka.

- Zabieraj te łapska! - prychnęła. - Jestem senatorem i wara wam, kurwa, ode mnie! - Obróciła się do pulchnej, zastygłej przy stoliku Missy. Dziewczyna wciąż myślała o tym, jak zaczął się jej ranek (od półgodzinnych synkopowanych pochrząkiwań i jęków, dobiegających z sypialni) i jak się kończy (tym, że FBI aresztuje jej szefową). Zastanawiała się, co będzie dalej. - Missy, weź telefon. Chcę, żebyś zadzwoniła do trzech osób - rzuciła Boucher w jej kierunku.

Montgomery uprzejmie pomagał jej wstać.

- Najpierw do tego pieprzonego prokuratora generalnego.

Wszystko jedno, gdzie jest i co robi. Chcę z nim natychmiast rozmawiać. Potem do przewodniczącego Senackiej Komisji do spraw Wywiadu. To samo, powiedz, że będę z nim rozmawiać za pięć minut. Na koniec zadzwoń do mojego prawnika i natychmiast go tu ściągnij. - Pani senator obróciła się w stronę stojących półkolem wokół niej mężczyzn. - Wasz szef nadzieje was na długie drągi, a mój prawnik upiecze na wolnym ogniu.

Missy zaczęła pospiesznie zbierać papiery, ale jeden z agentów ją powstrzymał.

- Przykro mi, ale będziemy ich potrzebowali.

Dziewczyna spojrzała najpierw na mężczyzn, a potem na sze-

fową i pobiegła do domu. Agenci poprowadzili panią Boucher przez taras do głównego wejścia. Kiedy znaleźli się w salonie, pani senator wyrwała się z uścisku.

- Mówiłam, barany, żebyście zabrali łapy! - fuknęła znowu. -

To niesłychane! Nie macie prawa. Gdzie są dowody? - Podeszła sztywno do kanapy i usiadła.

Na jej twarzy utkanej z arogancji i pewności siebie pojawiła się niewielka rysa. Chciała zyskać trochę czasu, tak by mógł tu dotrzeć jej prawnik. Przypomniała sobie niekończące się uwagi Gołowa o bezpieczeństwie. Może powinna była jednak bardziej uważać? Ale FBI i tak nie mogło nic wiedzieć.

Gołow to profesjonalista, na pewno go nie przyłapali. Nie dopuszczała do siebie myśli, że to ona sama mogła popełnić błąd.

- Zaczekam tu na mojego prawnika - powiedziała, krzyżując ramiona na piersiach.

- Pani senator, pokazaliśmy pani nasze identyfikatory i przeczytaliśmy listę praw. Czy rozumie je pani? - Boucher patrzyła na niego i uporczywie milczała. - Jeśli nie, mogę je powtórzyć. A jeśli tak, to proszę to potwierdzić i o nich pamiętać. Czy ma nam pani coś do powiedzenia?

Pani senator uznała, że czas działa na jej korzyść. Telefony do Waszyngtonu i prawnika spowodują, że cała sprawa przeciągnie się o ładnych parę miesięcy, jeśli nie lat. Była przekonana, że jeżeli nie przyłapali jej na gorącym uczynku, nic jej nie mogą zrobić. To tylko bezpodstawne oskarżenia, podejrzenia bez pokrycia, jakieś mrzonki. Wiedziała wszystko o takiej wojnie podjazdowej. Mogła się ścierać z najlepszymi z nich. Teraz popatrzyła na zgromadzonych wokół niej agentów i powiedziała:

- Nie odpowiem na żadne pytania.

Agent specjalny Montgomery strzelił palcami i sięgnął po aktówkę. Wyjął z niej papiery, które położył na stoliku przed panią senator. Otworzyła teczkę i spojrzała na listę spotkań z przedsta-

wicielami Pathfinder Satellite Corporation, a także wyciągi z jej konta z wieloma wpłatami po dziewięć tysięcy pięćset dolarów z nieznanego źródła. Razem dawało to setki tysięcy dolarów. Przypomniała sobie, jak żądała tych wpłat i jak Gołow starał się ją od tego odwieść. Jednak jej senacki instynkt podpowiadał jej, że wszystko to ma charakter poszlakowy i dobry prawnik może wzbudzić tu sporo wątpliwości, stworzyć zasłonę dymną i ciągnąć sprawę w nieskończoność.

Boucher spojrzała hardo na Montgomery'ego.

- To tylko nic nieznaczące papierki.

- Proszę usiąść, pani senator, i spojrzeć na ostatni dokument w tej teczce. - Boucher przerzuciła kolejne strony i popatrzyła na czarno-białą fotografię w doskonałej rozdzielczości, na której znajdowała się pokryta jakimś proszkiem płytka z programu Pathfindera. - Otrzymaliśmy z Moskwy płytkę z pani odciskami palców - wyjaśnił Montgomery.

Milczała. W salonie panowała cisza. Tylko z sypialni dobiegała przytłumiona muzyka: *Out of Silence* Yanniego z Johnem Treshem na klawiszach. Ulubiony utwór Missy. Montgomery chrząknął i położył przed Boucher pojedynczą kartkę z logo FBI.

- Co to takiego?

- Mam nadzieję, że zrozumiała pani swoje prawa. A to jest przyznanie się do szpiegostwa. Czy podpisze pani ten dokument?

- Myśli pan, że podpiszę przyznanie się do winy?

Pani senator nie czuła, jak rozchyliły się poły jej szlafroka.

Agenci próbowali nie patrzeć na odsłonięte nagie ciało.

- W żaden sposób pani do tego nie zmuszam ani nie nakłaniam. Po prostu proponuję taką możliwość - wyjaśnił Montgomery.

Stephanie Boucher miała wiele wad, ale z pewnością nie należała do nich brak zdecydowania. Wierzyła w siebie i zawsze uważała, że zasługuje - nie, że należą jej się - wszelkie sukcesy, awanse, bogactwa i wygodny styl życia. Gwałtowny, żądny wszystkiego

płomień, który zapłonął w niej wiele lat wcześniej, wytworzył w niej przekonanie, że nigdy nikomu w niczym nie może ustąpić. Nie mogła więc pozwolić, by te patałachy ją aresztowały. Nie mogła stracić władzy i związanych ze stanowiskiem wpływów. Nie mogła trafić na resztę życia do więzienia. Nie pozwoli, by to się stało. I teraz rozejrzała się po otaczających ją twarzach.

- Dobrze, podpiszę - powiedziała gwałtownie.

Agenci popatrzyli na siebie. Jeden wyjął pióro z kieszonki, zwykłego skillcrafta z białego plastiku z nadrukiem: US GOVERNMENT. Boucher popatrzyła na nie i machnęła ręką.

- Missy, przynieś moje pióro z biurka - poleciła.

Asystentka, która wcześniej usiłowała dodzwonić się do wysoko postawionych osób, wyszła teraz i po chwili wróciła z czarno-beżowym piórem Montblanc Étoile.

Pani senator zdjęła z niego nasadkę, pochyliła się nad papierami i napisała coś nad linijką na spodzie dokumentu.

- Wystarczy? - spytała.

Montgomery wziął kartkę i spojrzał na jej wpis, a potem się uśmiechnął.

- Nie wiem, czy słowa: „Pocałujcie mnie w dupę” są dopuszczalne w sądzie. Jak pani uważa - dodał dobrotliwie.

- A ten to kto, do cholery? - spytała, wskazując Nate'a.

W salonie zapanowała kłopotliwa cisza. Wszyscy popatrzyli na Nate'a.

Wykorzystując konsternację agentów, Boucher zamknęła pióro i chwyciła perłę znajdującą się na końcu klipsa. Wyjęła ją wraz z wysuniętą miedzianą igłą, którą wbiła sobie w żyłę na lewym przedramieniu. Tylko Nate zauważył, co się stało, i skoczył, by wyrwać jej pióro z dłoni.

Nikt z obecnych nigdy nie słyszał o liściołazie żółtym; nikt też nie wiedział, że ten pięciocentymetrowy płaz występuje wyłącznie w nadoceanicznej dżungli Kolumbii. Toksykolog z FBI z dostępem

do badań mógłby od razu ich poinformować, że batrachotoksyna zawarta w wydzielinie skóry tych niewielkich żółtych żabek ma porażające działanie - wywołuje ona natychmiastowe porażenie mięśni, zaburzenie procesu oddychania i zatrzymanie akcji serca. To chemicy z laboratorium numer 12 w KGB na początku lat siedemdziesiątych jako pierwsi zebrali batrachotoksynę po tym, jak odkryli, że nie ma na nią antidotum, że wystarcza jej niewielka ilość umieszczona na końcu igły, a jej toksyczność nie spada nawet po wyschnięciu i upływie lat.

Efekty, jakie wywołało ukłucie w przypadku pani senator, były mniej naukowe, ale za to bardzo spektakularne. Jej ciałem targały konwulsje, nogi wyprężyły się wraz z palcami, a ręce wygięły się w niekontrolowany sposób. Z odchylną głową i napiętymi ścięgnami szyi Boucher padła na kanapę. Oczy obróciły się białkami do góry. Nate chwycił ją za drgające ramiona. Jej ręce zamieniły się w sztywne szpony, a na ustach pojawiła się ślina. Nate chwycił ją za brodę i chciał zrobić sztuczne oddychanie.

- Lepiej nie, stary - rzucił Proctor, patrząc na pianę, która pojawiła się na jej ustach. Wszyscy wokół stali i patrzyli na panią senator. Jej ciało poruszyło się jeszcze dwa razy, a potem zastygło. Szlafrok rozsunał się, ukazując piersi. Nate pochylił się, by ją przykryć.

- Boże - westchnął Proctor - myślicie, że to pióro rządowe? Gdzieś w kątku chlipała przerażona Missy. Już wiedziała, jak to wszystko się skończy.

SAŁATKA Z KREWETEK

Podgotowujemy obrane krewetki, aż zmienią konsystencję.

Kroimy drobno dymkę, seler i oliwki Kalamata, a następnie w kostkę ser feta i mieszamy wszystko z majonezem, oliwą, kminkiem i świeżym koperkiem oraz sokiem z cytryny. Dodajemy gotowane krewetki, całość raz jeszcze mieszamy i schładzamy.

Wania Jegorow siedział za biurkiem w zaciem-
nionym gabinecie. Na wielkie panoramiczne okna zaciągnięto
rolety, w popielniczce palił się zapomniany papieros. Patrzył na
obrazy z wyłączonym dźwiękiem, pojawiające się na ekranie pła-
skiego telewizora, stojącego na jednej z szafek obok. Nadawano
informacje ze Stanów Zjednoczonych. Blond reporter z Los An-
geles z pełnymi ustami stał przed pokrytą bluszczem bramą przy
ulicy z równymi szpalerami drzew. Za nim widać było zdjęcie
senator Stephanie Boucher sprzed paru lat. Na pasku pod obrazem
można było przeczytać: „Zmarła czterdziestopięcioletnia senator z
Kalifornii, najprawdopodobniej na skutek zawału”.

Łabędź. Najważniejszy informator rosyjskich służb specjalnych
od pięćdziesięciu lat. Nie żyje. Zawał. Bzdura. Wygląda na to, że
skorzystała z przekazanego jej przez Gołowa pióra, na dostarczenie
którego Wania sam musiał wyrazić zgodę. Prawdziwy koszmar.
Kto mógł przypuszczać, że Amerykanie tak szybko ją wykryją? I
kto by się domyślił, że w tych pozimnowojennych czasach agen-
tów-celebrytów i polityków, będących jednocześnie szefami wy-
wiadów, ta sprawa będzie miała tak drastyczne - i s o w i e c k i e -
zakończenie? Jegorow powiedział sobie, że ma jednak małą szansę
na odkupienie winy. Za tę stratę bez wątpienia odpowiadał kret
CIA. Musi go odnaleźć, by móc zachować swoje stanowisko.
W tej chwili dysponował tylko dwoma tropami: szefem zarządu
technicznego, Nazarenką, który wpadł w pułapkę, i oficerem pro-
wadzącym zdrajcę, Nathanielem Nashem. Jegorow przełączył
pilotem kanał. Na ekranie pojawił się kolorowy obraz Nazarenki.
Sfilmowano cały jego pobyt w więzieniu na Butyrkach i Jegorow
dochodził do tego samego wniosku co Ziuganow, że ten nerwowy
naukowiec nie był zdolny do szpiegowania. Na filmie uwieczniono
bicie, wywołaną narkotykami histerię, Ziuganowa, który pochylał
się nad podejrzanym w jakimś mundurze. Lepiej się nie zastana-

wiać, co to za mundur, pomyślał Wania.

Odpowiedni fragment taśmy był zaznaczony i Wania zaczął ją teraz przewijać. Nazarenko przyznał niechętnie, że skarżył się na nawał pracy szefowi wydziału Ameryki, generałowi Władimirowi Korcznojowi. Generał obiecał, że przyśle mu do pomocy dwóch analityków. W czasie rozmowy Nazarenko pokazał mu jedną z płytek. Nie, nie sprawdził liczby płytek po rozmowie, ale późniejsze śledztwo ujawniło brak jednej z nich. Nie, niemożliwe, by to właśnie Korcznoj ją wziął. Wykluczone.

Wykluczone? - zastanowił się Jegorow.

Znali się z Wołodią prawie ćwierć wieku, jeszcze z akademii.

Korcznoj sprawdził się jako oficer operacyjny - był sprytny, odważny, doświadczony, ktoś, kto w teorii świetnie nadawał się na szpiega CIA. Potrafił unikać niebezpieczeństw, a zagraniczne wyjazdy dawały mu większe możliwości kontaktów. Wykluczone, pomyślał Wania. Nazarenko będzie tak gadał i gadał, podawał wciąż więcej nazwisk, jęczał i się tłumaczył, byle tylko odwlec tortury. Jegorow miał zamiar porozmawiać o Korcznoju z Ziuganowem, ale jeszcze nie teraz. W tej chwili najważniejszy był Nash. Dominika już była w podróży do Grecji. Muszą poczekać i zobaczyć, co uda jej się zdziałać.

Dominika dziwiła się jasnemu ateńskiemu słońcu. Światło w Rzymie było bardziej złote i delikatne, a to znad Morza Egejskiego spadało na nią z całą siłą. Odbijały je jasne ściany budynków, a czarne drogi lśniły pod jego dotykiem. Taksówki, furgonetki, skutery - ruch kołowy wylewał się z alei Vasilissis Sofias, a następnie rozdzielał niczym fale i opływał plac Sindagma i budynek parlamentu, a potem rozrzedzał się w mniejszych uliczkach, biegnących w stronę dzielnicy Plaka. Dominika wyszła z hotelu i ruszyła w dół hałaśliwą ulicą Ermou, z oświetlonymi dwupiętrowymi wystawami z torbami sportowymi i futrami. Patrzyły za nią manekiny w etolach z białych lisów, pokazując poprzez odchylenie głów i nienaturalne

wygięcia nadgarstków, że musi uważać.

Dominika pracowała sumiennie: przechodziła parę razy przez ulicę, korzystała z bram, zerknęła do luster w mijanych sklepach, by zbadać sytuację. Widziała zwykle niskich, śniadych mężczyzn w gumowych sandałach, z wąsami i lśniąco-czarnymi oczami. Czuła zapach pieczonych kasztanów, słyszała dźwięk katarynki na rogu. Powinnam szukać słowiańskich rysów, mówiła sobie, wystających kości policzkowych. Uważać na brązy, żółcie i zielenie zwiastujące niebezpieczeństwo, podstęp lub stres.

Dominika miała na sobie bawełnianą niebieską sukienkę z kwadratowym dekoltem i czarne sandały. W ręku trzymała małą czarną torebkę bez paska, a całość uzupełniały okrągłe okulary słoneczne w czarnej oprawce. Na lewym nadgarstku nosiła jeszcze tani zegarek z czarnym cyferblatem. Włosy, jak zwykle w upale, uczesała do góry i wciąż wypatrywała obserwatorów przed spotkaniem z przedstawicielem wrogiego obozu.

Skręciła z Ermou w boczną uliczkę i przechodziła obok małych sklepików ze złotymi ornatami, stułami i mitrami. Przed sobą miała niewielki bizantyjski kościół Kapnikarea, przycupnięty pośrodku ulicy Ermou. Popatrzyła na kamienne bloki, wąskie okna i spadziste dachy. Przeszła przez jezdnię, zrobiła parę kroków w dół, do poziomu ulicy z 1050 roku, i po chwili znalazła się w kościele.

Jego atramentowe wnętrze było naprawdę małe. Freski i ikony w łukach przy suficie były popękane i poznaczone wodą, a pajączki greckie litery nabrały w jej oczach czerwonej barwy, przytłumionej być może przez kopcające tu świece i kadzidelka. Koło drzwi znajdował się stół z wypełnionym piaskiem zagłębieniem i pomarańczowymi świeczkami. Niektóre z nich opierały się jedna o drugą. Dominika wzięła jedną z leżących świec, zapaliła ją od już płonącej i wbiła w piasek.

Zanim to jednak zrobiła, tuż obok pojawiła się męska ręka. Nate zapalił swoją świecę od płomienia jej i postawił obok. Dominika

popatrzyła na niego. Miał poważną minę, a otaczająca go fioletowa aureola sprawiała, że wyglądał jak święty z któregoś z tych obłażących malowideł. Położył palec na ustach, skinął głową w kierunku drzwi, a po chwili za nimi zniknął. Dominika odczekała chwilę, wcisnęła świecę mocniej w piasek i wyszła. Natychmiast otoczyło ją białe słoneczne światło i odgłosy miasta.

Nate stał po drugiej stronie ulicy, więc ruszyła do niego. Był bardzo uprzejmy i starał się koncentrować wyłącznie na interesach, tak jak to oficer prowadzący w rozmowie ze swoim agentem. Dominika przypominała sobie ich zbliżenie w Rzymie i to, co zdarzyło się w Helsinkach. Nie mogli uciec od tego, że stali się kochankami - było to coś ważnego, trudnego i prawdziwego.

Te wspomnienia były jeszcze bardziej skomplikowane dla Nate'a. Przespał się ze swoją agentką, świadomy tego, że mogą go zwolnić i że narazi ją w ten sposób na niebezpieczeństwo.

Ostrzegali go przed tym Forsyth i Gable, ludzie, których szanował, a jednak w Rzymie powtórzył ten błąd, nawet z transcendentalnym Benfordem za ścianą. Coś w nim umarło, kiedy odwołano ją do Moskwy, i winił siebie za to wszystko, co przeszła. Teraz pracowali razem nad nową sprawą, a na jej górnej wardze pojawiły się kropelki, których chciał dotknąć.

Dominika odczytywała jego myśli z jasnością synestetki. Stała obok, nie wyciągając ręki, a tylko patrząc mu w oczy i obserwując otaczający go fioletowy obłok. Wiedziała, że chce, by została tylko jego agentką, informatorką, ale nie było to już możliwe. Nate nie miał zamiaru ustąpić, więc Dominika musiała zachować pełny profesjonalizm. Przez moment stali oboje w palącym słońcu, aż w końcu spytała: „Idziemy?”. Po chwili ruszyła za nim ulicą.

Kluczyli wąskimi alejkami aż do serca dzielnicy Plaka, szli to w prawo, to w lewo, pozornie bez celu, ale tak, by zmusić ewentualnych obserwatorów, by się pokazali. Przechodzili przez podwórka i bramy, małe placzki z niewielkimi sklepami. Z ich wnętrza

trza dobiegała muzyka, drzwi zdobiły żółte, nawleczone na sznurek gąbki, w powietrzu unosiły się zapachy kadzidełek i drewna sandałowego. Nate automatycznie spoglądał przez ramię Dominiki, a ona sprawdzała ulicę tuż za jego uchem. Spojrzał jej w oczy, a ona lekko pokręciła głową: Nie, nic nie widzę. Nate skinął głową, pokazując, że jego strona też jest czysta.

W zapadającym mroku przeszli przez Plateia Filomouson, pełen krzesel, parasoli i daszków oraz zawieszonych na sznurach świecących żarówek. Z restauracyjnych kuchni dobiegał szcęk talerzy. Nate poprowadził ją za róg do wysłużonych, zielonych drzwi. Na tabliczce obok widniał napis: Taverna Xinos. Usiedli przy stoliku w kątku pokrytego żwirem ogródka i zamówili *taramo*, pieczoną botwinę i *papoutsakia*, smażonego bakłazana nadziewanego mieloną jagnięciną z cynamonem, pomidorami i zapieczonym na złoto sosem beszamelowym.

Pochyleni ku sobie omawiali scenariusz, który Dominika miała przedstawić w Moskwie. Zgodzili się, że zamelduje w centrali, że go uwiodła, a Nate przez chwilę unikał jej wzroku. Miała też poinformować, że zaczyna mówić o swojej pracy, co by wskazywało, że sprytna mała jaskółka wzięła się w końcu do roboty. Mieli dwa dni na stworzenie legendy operacyjnej, trzymanie się z daleka od jej pokoju i sprawdzanie, czy nie jest obserwowana. W tym czasie mieli unikać jakichkolwiek kontaktów z rezydenturą.

- Nie zgadniesz, kto jest w Atenach - dodał Nate, nalewając jej retsiny z metalowego dzbana. - Dwa miesiące temu Forsyth został szefem tutejszej rezydentury.

Dominika uśmiechnęła się lekko.

- A *bratok*? Też z nim jest? - Zastanawiała się, czy obaj wiedzą o tym, co stało się w maleńkiej sypialni w Helsinkach.

- Gable? Tak, są nierozłączni - odparł.

Ucichli nagle i popatrzyli na siebie. Wyczuwali jakiś ciężar w powietrzu, coś, co wisiało nad ich głowami. Nate patrzył na Do-

minikę, czując, że obraz rozmazuje mu się na brzegach.

- Mamy dwa dni - powiedział. - Musimy je wypełnić, zrobić, co do nas należy.

- Rozmawiać o tym, o czym zamelduję w centrali. Używać tych samych słów. Wszystko musi być *podlinnoje*, jak to po waszemu?

- Autentyczne - rzucił. - Tak, mamy być autentyczni.

- Muszę to wszystko przeżyć, by móc o tym zameldować - dodała, wspominając przesłuchania w Lefortowie.

I już niewiele mieli do powiedzenia. Obojgu ciążyło kłamstwo, wyparcie się swojego pożądanego. Jego fioletowa chmura się nie zmieniała, jakby nie wyczuwał tu konfliktu. Dominika zamknęła się przed nim. Znowu szli, okrążając Plakę wąskimi ciemnymi uliczkami, biegnącymi tuż koło Akropolu. Weszli cicho po wąskich schodach z doniczkami na każdym stopniu. Gdy znaleźli się na górze, Dominika zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu. Stali w cieniu i patrzyli w dół, nasłuchując, czy nikt za nimi nie idzie. Wokół panowała cisza i Dominika cofnęła dłoń.

- Szybka decyzja - szepnął Nate. - Rozdzielamy się, wracamy do naszych hoteli i spotykamy jutro rano?

Dominika nie chciała mu niczego ułatwiać.

- A jeśli mój pokój jest na podsłuchu. Albo na podglądzie?

Powinieneś zaprosić mnie do swojego pokoju, a ja powinnam się zgodzić.

Nate walczył z uczuciem, że leci głową w dół wprost do lodowatej wody.

- Idziemy? - spytał.

- Jak chcesz - odparła.

Siergiej Matorin stał nagi przed wielkim lustrem hotelu King George przy placu Sindagma. Wiedział, że Dominika zatrzymała się w Grande Bretagne tuż obok. Oba hotele były szacowne i przypominały szkatułki w tym mieście dysonansów. Matorin nie

patrzył na swoje poznaczone bliznami z Afganistanu ciało czy na dołek w prawym barku, który został mu po akcji przeczesywania wraz z jednostką Alfa bazaru w Ghazni. Koncentrował się na kolejnych, wykonywanych w zwolnionym tempie ruchach: uderzeniach, blokach, obrotach i trikach. Apollin ćwiczący tai chi do wtóru ruchu ulicznego zza okna. Wykonał skłon, a potem się wyprostował, z mlecznym okiem zastygłym w oczodole, i odetchnął głęboko.

Obrócił się, sięgnął po walizkę na kółkach i rzucił wiekiem na łóżko. Odkręcił cztery śruby przy rączce i odsłonił przygotowaną przez zespół techniczny cylindryczną skrytkę, w której znajdował się jego ponad sześćdziesięciocentymetrowy nóż z pięknie rzeźbioną rękojeścią. Wrócił przed lustro i rozpoczął ćwiczenie cięć i sparowań. Nóż świstał, kiedy machał nim szeroko.

Jego ciało lśniło od potu. Matorin usiadł na krześle w stylu Ludwika XIV, plamiąc potem przytłumiony błękit obicia. Wziął dużą fajansową popielniczkę z herbem hotelu i odwrócił ją, a następnie zaczął ostrzyć nóż o podstawę bez szkliwa, raz, dwa, trzy, przez całą długość. Pokój wypełniły miarowe metaliczne dźwięki, wypierając z niego odgłosy ulicy. Po jakimś czasie Matorin odłożył nóż, sprawdzwszy wcześniej, czy jest on dostatecznie ostry, a następnie sięgnął po niewielką zapinaną na zamek saszetkę z napisem: insulina. Wytrząsnął ze środka dwie ampułkostrzykawkę - jedną żółtą, a drugą czerwoną - które zwykle stosowano na polu walki, wstrzykując leki w mięśnie uda lub pośladek. Żółta ampułkostrzykawkę zawierała SP-117, mieszaninę barbituranów, przygotowaną przez Zarząd S. Ta była potrzebna do pytań. Czerwona ampułkostrzykawkę z laboratorium nr 12 zawierała sto miligramów pankuronium, które w ciągu półtorej minuty doprowadzało do paraliżu przepony. To na później. Żółta i czerwona strzykawkę Specnazu.

Wzięli taksówkę i pojechali do hotelu St. George Lycabettus,

położonego między sosnami wzgórza Likavittos. Z wysokiego balkonu pokoju Nate'a mogli podziwiać podświetlony Partenon i ciągnące się aż po horyzont płaskie światła miasta, a także ciemny pasek morza i port, gdzie Egeusz wypatrywał statku z czerwonym żaglem. Dominika zajrzała do łazienki i najpierw włączyła, a potem wyłączyła światło. Nie zapalali świec, wystarczyło im to, które pochodziło z zewnątrz hotelu. Nate przechadzał się przez chwilę po ciemnym pokoju, a Dominika patrzyła na niego, skrzyżowawszy ręce na piersi.

- Jeśli chcesz zmienić zdanie, to mogę poinformować centralę, że moja wizyta trwała tylko parę minut, bo... twój zapal... Jak to powiedzieć: *bystro pierogoriel?*

- Szybko się wypalił - odparł Nate, a jego kolor nabrał mocy przy tym szyderstwie.

- Właśnie - potwierdziła Dominika, podchodząc do drzwi balkonowych, żeby wyrzucić na dwór. - Naszych analityków na pewno zainteresuje fakt tak małej... wytrzymałości oficerów CIA. Twoja jurność będzie doskonale znana w całej centrali.

- Zawsze lubiłem rosyjski humor - mruknął Nate. - Szkoda, że tak rzadko mam z nim do czynienia. Jednak moim zdaniem powinnaś zostać ze względu na naszą legendę operacyjną.

Ze względu na legendę operacyjną, powtórzyła w myśli Dominika.

- Dobrze, prześpię się na tej kanapie, a ty w sypialni. Tylko nie zapomnij zamknąć drzwi.

- Przyniosę ci koc i poduszkę - powiedział rzeczowym tonem Nate. - Jutro czeka nas długi dzień nicnierobienia.

Dominika zdjęła sukienkę dopiero, kiedy Nate poszedł do sypialni. Jeszcze jeden księżyc, pomyślała gorzko, patrząc na wpadającą przez otwarte drzwi balkonowe poświatę. Chciała wstać, żeby zaciągnąć tiulowe firany, ale po chwili zrezygnowała. Światło księżycy słało się na jej ciele i malowało je na srebrny kolor.

Miała dość tego, że wszyscy starają się nią manipulować, jakby była jakąś maszyną. Ci wszyscy spadkobiercy, *własti* Związku Sowieckiego, generał Korcznoj, Amerykanie, a nawet Nate, który mówił, co jest wskazane i czego od niej oczekują. Jak Korcznojowi udało się tak długo szpiegować na rzecz Amerykanów? Jak długo jej samej uda się to robić? Nasłuchiwała przez chwilę odgłosów z pokoju Nate'a. Chciała od nich wszystkich czegoś więcej. Nie miała zamiaru wyrzekać się swoich uczuć.

Dochodziła trzecia i Nate zauważył mało przytomnie, że drzwi do jego pokoju się otwierają. Do środka wpadało tylko rozproszone, pomarańczowe światło lamp ulicznych. Obrócił nieco głowę i zobaczył sylwetkę Dominiki. Szła lekko, jak tylko ona potrafiła, i po chwili już była przy oknie. Odsłoniła najpierw jedną jego półkę, a potem drugą, aż w końcu stanęła oświetlona od tyłu światłem księżyca na tle rozsuwanych drzwi na balkon. Po chwili je otworzyła. Nocny wiatr poruszał zasłonami, które muskały lekko jej ciało, oplatały ją - jej nogi, ręce, twarz - i znowu się cofały. Podeszła do niego, zostawiając rozsunięte zasłony, i stanęła przy łóżku. Nate uniósł się na łokciu.

- Nic ci nie jest? Stało się coś? - spytał.

Zamarła, patrząc na niego w milczeniu. Jako oficer CIA zaczął się zastanawiać, czy może coś usłyszała, jakieś szmery przy drzwiach. Czyżby musieli jak najszybciej opuścić hotel? Jeszcze przed spotkaniem z nią sprawdził wiodące na tyły wyjście przeciwpożarowe. Dominika wciąż jednak milczała, a on usiadł i sięgnął delikatnie po jej dłoń.

- O co chodzi, Domi? Co się dzieje?

- Czy zgłosiłaś do centrali, że się kochaliśmy? - jej głos przypominał szmer wiatru.

- O co ci chodzi?

- Zgłosiłaś przełożonym, co się stało w Helsinkach i w Rzymie?

- To było wbrew przepisom, zupełnie nieprofesjonalne. To moja wina. Naraziłem na niebezpieczeństwo nie tylko powodzenie operacji, ale też ciebie...

Znowu patrzyła na niego w milczeniu. Odezwała się dopiero po jakimś czasie.

- Operacja - mruknęła. - Chodzi ci o rozwiędkę, informacje...

- Posłuchaj, to było szaleństwo, zarówno w sensie zawodowym, jak i osobistym. Prawie cię straciliśmy. Wciąż o tobie myślałem. I myślę.

- No jasne, myślisz o operacji, o tym wszystkim, czego mogę się dla ciebie dowiedzieć...

- O czym ty mówisz? I co ja mam w tej sytuacji powiedzieć?

- Chcę wiedzieć, że czasami możemy przestać myśleć o operacji i pomyśleć tylko o sobie.

Jej pierś uniosła się wysoko. Nate wstał i objął Dominikę. Z trudem panował nad swoim pożądaniem. W nozdrzach miał zapach jej włosów, czuł opływowe linie jej ciała. Chyba nawalisz po raz trzeci, oficerze prowadzący, pomyślał.

- Dominiko - szepnął, czując, jak zaczyna narastać znajomy ostrzegawczy szum w uszach.

- Czy zdecydujesz się znowu złamać reguły?

Widziała, jak jego fioletowe pożądanie rozświetla półmrok.

- Dominiko - powtórzył, patrząc w jej oczy.

Księżycowe promienie zaplątały się w jej rzesach. W powietrzu obok zamajaczyła mu surowa i ponura głowa Forsytha. Nate nie mógł się opierać pożądaniu; pragnął Dominiki bardziej, niż to w ogóle możliwe.

- Chcę, żebyś złamał reguły ze mną, a nie ze swoją agentką - dodała. - Żebyś mnie wziął.

Jej biustonosz zaszeleścił, kiedy go zdejmował. Upadli na łóżko, ona na brzuch, i pociągnęła go na siebie. Czowała, że jest ciężki i rozpalony. Nate zaczął całować jej szyję, a ona trzymała mocno

jego ręce. Poruszył się, zaczęła się z nim drażnić, a wtedy przyparł ją jeszcze mocniej udami do łóżka. Dominika westchnęła głośno i jęknęła: *Trahni mienia!* Sięgnęła do tyłu, by go dotknąć.

- Ile reguł mam złamać? - szepnął jej do ucha.

Zerknęła do tyłu, chcąc sprawdzić, czy z niej nie kpi.

- Pięć? Dziesięć? - Zaczął wyliczać z ustami tuż przy jej uchu, do wtóru kolejnych ruchów bioder - *Odin, dwa, tri...*

Drżała, ale inaczej niż poprzednio.

- *Czetyrie, piat', szest'...*

Sięgnęła do tyłu i złapała prześcieradło w dłonie.

- *Siem', wosiem', diewiat'...*

Jej palce były niczym pazury. Po chwili zdołała zawiązać sobie prześcieradło wokół nadgarstków.

- *Diesiat ' -* zakończył Nate, unosząc się gdzieś wysoko.

Wciąż czuł ją pod sobą, widział też jej lśniący od potu kark. Nagle jej plecy i pośladki wygięły się w łuk, a ona ukryła twarz w pościeli, z trudem łapiąc powietrze.

Promień księżycy przesunął się przez pokój, a oni patrzyli nań, leżąc obok siebie. Nate pochylił się nad Dominiką, ujął dłonią jej twarz i pocałował mocno. A ona odsunęła delikatnie jego rękę.

- Jeśli teraz powiesz coś nieodpowiedniego, to wbiję ci palec w oko i zrzucę z balkonu.

- Nie wątpię, że jesteś w stanie to zrobić - westchnął Nate, opadając na poduszkę.

- Tak, Niejt. A jeśli będę potrzebować więcej, twoja mała jaskółka znów zwabi cię do łóżka.

- Dobrze, dobrze, nie to chciałem powiedzieć. Czy możemy się trochę przespać? Możesz się przez jakiś czas nie ruszać?

- *Konieczno.* Dobrzy agenci zawsze słuchają rozkazów - odparła Dominika.

PAPOUTSAKIA (FASZEROWANY BAKŁAŻAN)

Z TAWERNY XINOS

Mieloną jagnięcinę i pokrojoną w kostkę cebulę smażymy na oliwie aż do zbrązowienia. Dobrze przyprawiamy i schładzamy, dodajemy utartego sera, pietruszki, namoczonego czerstwego chleba i ubitych jajek. Przekrawamy bakłażany wzdłuż i smażymy na małej ilości tłuszczu, aż się staną miękkie. Wybieramy miąższ (ale go nie wyrzucamy) i wypełniamy wydrążone bakłażany farszem. Polewamy sosem mornay, skrapiamy olejem i zapiekamy w naczyniu (na którego dno kładziemy miąższ z bakłażana podlany niewielką ilością wody). Podajemy w temperaturze pokojowej.

Ziuganow chwycił mocno słuchawkę zaszyfrowanego telefonu. Całe urządzenie było wielkości jego głowy.

- To jasne, że będą sprawdzać, czy nikt ich nie śledzi - powiedział. - Nie uda ci się iść za nimi. Trzymaj się pierwotnego planu. Przygotowałeś już materiały? Będziesz potrzebował nie więcej niż piętnaście minut; nazwisko, potwierdzenie i drugi, zabójczy zastrzyk. - Ziuganow zakołysał się na krześle. - Nie, nie mówię ci, że ma zginąć, ale najważniejsze jest nazwisko. Rozumiesz, najważniejsze. *Ponimajesz?* Czekam na rezultaty i trzymaj gębę na kłódkę. To wszystko.

Ich ostatni dzień w Atenach, słońce świeciło mocno już od dziewiątej, oboje byli zmęczeni, wyłączeni z tego, co działo się wokół, rozmarzeni. Przeszli ulicą Pindarou od hotelu, zatrzymali się, żeby kupić świeżo wyciskany sok przy placu Kolonaki i usiedli obok siebie pod markizą, a kelner przyniósł pieczywo. Mieli cały dzień chodzić i omawiać to, co Dominika powinna zameldować w centrali. Teraz ugryzła słodką bułeczkę i oblizwała palce. Poczwała się lepiej i postanowiła wrócić do tematu.

- Czy mam im powiedzieć, że mnie do tego zmusiłeś, czy że to ja zamknęłam cię nagiego w szafie.

Oderwała kawałek brioszki i próbowała włożyć mu do ust, ale Nate odwrócił głowę.

- W centrali lepiej przyjmą wersję z szafą - odparł. Był trochę poirytowany, czuł się winny i nie miał ochoty na miłosną paplaninę.

Na te słowa mina jej zrzędała i Dominika odłożyła brioszkę na talerzyk.

- Jesteś bezduszny, bez serca - powiedziała, patrząc na niego.

Ale demony Nate'a już dały o sobie znać. Co prawda wiedział, co do niej czuje, ale znał też swoje obowiązki. Zdawał sobie sprawę z tego, czego pragnie, ale rozumiał, co może jej dać, na co pozwolą

mu szefowie z CIA. I że po raz kolejny - k o l e j n y - zawiódł na całej linii i poddał się uczuciu, w którego prawdziwość już w tej chwili nie wątpił. I to na dzień przed jej powrotem do Moskwy, gdzie mieli ją przesłuchiwać. A jeśli nie wypadnie perfekcyjnie, będzie to jego wina, bo w decydującym momencie nie potrafił się jej oprzeć. Romantyczni, beznadziejni Rosjanie. Dominika najwyraźniej liczyła na romans, uczucie, ale przecież oboje byli oficerami wywiadu i nie mogli pozwolić sobie na żadne słabości. Popatrzył na nią i pomyślał, że prawdopodobnie ją kocha, ale Dominika zauważyła jego demony, prawidłowo odczytała zmianę barwy wokół ramion i zrozumiała, że to, co łączyło ich w nocy, nagle zniknęło.

Dostrzegła jego pełen poczucia winy żal i pozbawiony intensywności kolor, który go otaczał. Jej własne demony wyfrunęły teraz niczym nietoperze z jaskini o zmroku i znowu poczuła narastający gniew, *goriaczność*, porywczy temperament, przed którym ostrzegał ją generał Korcznoj. Dominika wstała.

- Idę do swojego hotelu, żeby się przebrać i wziąć prysznic - oznajmiła.

- Nie wyrażam zgody - powiedział tonem oficera prowadzącego. - To jedyne miejsce, gdzie mogą cię... nas znaleźć. A Benford powiedział...

- *Gospodin* Benford może dobrze czuje się bez mycia i zmiany ubrania, ale ja nie - przerwała mu. - To zajmie najwyżej dziesięć minut.

Nate zaczął się zastanawiać. Iść z nią? Puścić i spotkać się później. Widział jej minę i doskonale wiedział, co zwiastuje. Była na niego wściekła. Lepiej nie zostawiać jej samej, bo coś jeszcze strzeli jej do głowy, gdzieś zniknie. A wtedy co on napisze do Langley?

- Dobra, ale nie więcej.

Próbował wziąć ją pod rękę, ale szybko się uwolniła.

Pozłacane balkony i portyk z kutego żelaza stojącego przy placu Sindagma hotelu Grande Bretagne lśniły w słońcu. Kiedy znaleźli się na górze, Nate stanął niepewnie w salonie wypełnionym drogimi meblami i lampami z grubym wiltońskim dywanem. Zajrzał do sypialni, kiedy Dominika zrzuciła sukienkę - doskonale pamiętał biustonosz i majtki z czarnej koronki - i pochyliła się, żeby zdjąć sandały. Na tle wielkiego, obitego jedwabiem wezłowania wyglądała jak modelka reklamująca bieliznę. Ten widok pobudził jego zmysły, a ona od razu to zauważyła. Zrobiła krok w stronę salonu, spoglądając prowokacyjnie na Nate'a.

- Przeszkadzam ci? - spytała, podnosząc ramiona. Aż kipiała ze złości.

- Przestań - rzucił.

- Proszę, powiedz. - Zapinała ciasniej biustonosz - Czy cię rozpraszam? Czy mój plan działa?

- Jeszcze jak. Nie wydaje mi się, żeby lepiej mogła pani spełniać swoje obowiązki, pani kapral - powiedział Siergiej Matorin, wychodząc z niewielkiej garderoby, położonej między sypialnią a łazienką.

Mówił po rosyjsku, a jego słowa zabrzmiały jak stukot jadącej wypełnionej żwirem ciężarówki. Miał na sobie czarną sportową marynarkę, czarną koszulę i luźne spodnie, a na nogach wsuwane mokasyny. Rzucił niedbale na łóżko czarną szaszetkę i pochwę i zaczął zdejmować czarną marynarkę, nie spuszczając z Nate'a swoich oczu. Czarnych.

Cisza, a potem coś jak szok elektryczny i kawałki czarnej koronki rzuciły się na tę czerń. Złapała Czarnego za szyję, a kolanem wycelowała wprost w krocze. Nate zauważył naprężone mięśnie jej nóg i pośladków, kiedy Czarny chrząknął, pchnął ją za brodę i wymierzył mocny cios w szyję. Dominika upadła na dywan w samej bieliźnie, z trudem łapiąc oddech.

Nate potrzebował więcej czasu, by zorientować się, co się

dzieje. Myślał gorączkowo. Ktoś musi umrzeć, musi go zabić, bo Czarny słyszał ich intymną rozmowę. Chwycił chude ramię, poczuł amoniak i rzucił się wraz z Czarnym na stojące w kącie krzesło Hepplewhite, które rozpadło się na drobny mak; obaj poderwali się z podłogi i nagle Nate poczuł trzy uderzenia w twarz po dwadzieścia kilo: raz, dwa, trzy, o cholera, technika otwartej dłoni Specnazu, ale zdołał zablokować węzłaste ramię i kopnąć z tyłu pod kolano, a Czarny upadł, przetoczył się i z uśmiechem wyskoczył w górę, ukazując rozszczepione kopyta. Nate wyczuł dłonią jakiś mebel i rzucił go Czarnemu pod nogi, a potem zbliżył się, znowu poczuł amoniak i wymierzył cios od dołu, celując w szczękę, starając się przypomnieć sobie inne zapomniane techniki walki wręcz, a Czarny znowu się przetoczył, sięgnął na łóżko i z cichym poszumem wysunął ostrze z czarnej pochwy. Uniósł je i zaczął wykonywać nim niewielkie kółka. Nadszedł czas, żeby się wycofać, sytuacja zrobiła się poważna, bo Nate nie miał pod ręką nic do obrony, nic na tyle długiego i wytrzymałego, żeby mógł powstrzymać to srebrne stalowe ostrze.

Cios w tchawicę jej nie zabił, bo nagle zobaczył, jak czarne majtki i biustonosz unoszą niebiesko-białą wazę Ming, Limoges, Wedgwood czy inną, która roztrzaskała się między łopatkami Czarnego i opadła w kawałkach na podłogę, a Czarny opadł na jedno kolano, ale machnął do tyłu i na jej udzie pojawiła się cienka linia krwi, a potem druga, ukośna na brzuchu. Dominika upadła głośno i spojrzała na swoje nogi - jedną suchą, a drugą moką. Mosiężna lampa wydała mu się dobra i wystarczająco ciężka, by ją rzucić, ale Czarny odparował cios tak, że Nate'owi aż wszystko zamazało się przed oczami. Tamten dał spokój Dominice, a on z zadziwiającą szybkością wszedł czy wbiegł w pole rażenia jego ostrza i poczuł zimno na ramieniu i brzuchu. Materiał rozchylił się, gorąca krew popłynęła w dół do paska i dalej, po nogach, jakby się zsikał. Ten kurewski miecz był najgorszy, więc Nate wyciągnął

przed siebie krzesło jak w cyrku, a teraz z kolei otworzył się rękaw jego koszuli i krew połała się na dłoń, koniec ostrza wbił się w wyściełane brokatem siedzenie krzesła. Choć zostało mu niewiele czasu, chciał z obrotu uderzyć Czarnego po kolanach, ale z coraz większym trudem utrzymywał się na nogach, co było złym, bardzo złym znakiem, podobnie jak krwawe odciski stóp na podłodze i zapach miedzi.

Dominika popatrzyła na drugi koniec pokoju. Matorin poruszał się lekko, wymachując nożem, a Nate, cały zakrwawiony, starał się robić uniki. To moja wina, że tu przyszliśmy. Ale ze mnie idiotka! Będzie walczył, aż do śmierci, myślała. Walczy za mnie! I nagle zrozumiała, że ją kocha, że chce zyskać na czasie. Wściekłość sprawiła, że wstała i zataczając się, podeszła do łóżka. Chwyliła saszetkę. Szukała broni, jakiegokolwiek broni.

Czarny oddychał bez trudu przez nos, a Nate poczuł, że coś się w nim obluzowało, kiedy ostrze przesunęło się przez jego biceps. Złapał je, a ono wysunęło się z jego dłoni tak łatwo jak mokry nóż z urodzinowego tortu. Czarny patrzył na niego, a Nate starał się złączyć kolana, żeby nie upaść. Ten facet ze Specnazu zapewne delectował się perspektywą kolejnego pchnięcia, a on zastanawiał się, czy rozetnie mu brzuch, by wnętrzności wylały się na ten piękny dywan, czy raczej zatnie w szyję.

Wolność natarła z furią jak na obrazie Delacroix, z jedną piersią odsłoniętą, i wbiła obie, czerwoną i żółtą, ampułkostrzykawkę w pośladek Czarnego, kiedy ten, wiedziony nieomylnym instynktem, uderzył ją pięścią w twarz. Jej głowa odskoczyła, ale Czarny zaczął ciężko oddychać, siły go opuszczały, opadł na czworaki niczym osioł z czerwonym i żółtym ogonem. Czołgał się w stronę noża, który wypuścił z ręki, lecz szło mu to coraz wolniej, kręcił głową, nie mogąc oddychać, nafaszerowany barbituranami, jego zdrowe oko obróciło się w tył głowy, a nogi zaczęły wybijać na różowo-niebieskim dywanie swoją śmiertelną melodię; myślał, że tak

na wszelki wypadek dobrze by było odciąć Amerykaninowi głowę, ale Nate już trzymał dłoń pod lewą piersią Dominiki i cieszył się, mogąc wyczuć łomotanie jej serca. Otworzyła oczy, on chciał złożyć głowę na jej miękkim ciele, ale przypomniał sobie coś ważnego - nie mógł jeszcze zasnąć, musiał zadzwonić.

Dominika wyjęła telefon z pozbawionej czucia dłoni Nate'a i poinformowała Gable'a, gdzie się znajdują. Wysłuchał jej uważnie i wziął ze sobą wtajemniczonego paramedyka z apteczką, który czekał w samochodzie. Chyba tylko cudem udało mu się oczyścić ich i wydostać z budynku. Prześcieradła posłużyły za bandażę, a zalatująca octem marynarka Matorina za gorset. Dominika miała odgarnięte do tyłu włosy. Gable pokazał jej, żeby wyjęła ampułkostrzykawkę z tyłka Matorina, sprawdziła mu kieszenie i schowała nóż chajberski do pochwy. Sam zaś zarzucił sobie na kark ramię Nate'a i wyprowadził go tylnym wyjściem. Powiedział jeszcze utykającej Dominice, żeby zamknęła drzwi na klucz, a następnie wrzuciła go do doniczki w korytarzu.

Opadli na tylne siedzenie wozu jak Bonnie i Clyde, a paramedyk zrobił wielkie oczy i założył im opatrunki uciskowe typu izraelskiego - Nate'owi na pierś, ramię i dłoń, a Dominice na udo i ukośnie na brzuch. Puls Nate'a był urywany z powodu utraty krwi, więc paramedyk zrobił mu infuzję dożylną, a Dominika głaskała go po głowie, trzymając w drugiej dłoni plastikową torbę z płynem, gdy tymczasem *bratok* przebijał się przez korki, klnąc i waląc ręką w kierownicę.

Dotarli do spadzistych uliczek Zografos, położonej w cieniu gór Hymet, i Gable pomógł im dostać się na ostatnie piętro cichego budynku, gdzie rezydentura miała awaryjne mieszkanie konspiracyjne. Położyli Nate'a w małej sypialni i paramedyk czuwał przy nim aż do przyjazdu lekarza. Obaj znali sprawę, ale Gable chciał, żeby wyszli, jak tylko skończą. Dominika miała dwadzieścia szwów na nodze, a Nate trzy razy tyle na całym ciele. Gable przy-

trzymał Dominikę za ramiona i spojrzał na nią znad okularów, ale ona wyszarpnęła mu się i poszła do drugiej sypialni, by wytrzeć gąbką krew. Przypomniała sobie Ustinowa. Ile to już czasu? Zaczęła łapać ustami powietrze.

Gable podziękował lekarzowi i paramedykowi - oczywiście zastanawiali się, co się stało tym szpiegom, ale wiedzieli, że muszą trzymać gębę na kłódkę - odprowadził ich do wyjścia i cicho zamknął za nimi drzwi.

Dominika weszła do Nate'a i zaczęła wsłuchiwać się w jego oddech, ale Gable zaraz ją stamtąd wyprowadził. Nie chciała zupy, nie chciała chleba, przeszła do siebie, ale po kilku minutach usłyszała, jak zakrada się do sypialni Nasha, i w końcu dał jej spokój. Nieco później, już w nocy, uchylił drzwi do sypialni kolegi i usłyszał jej głos: Nate wciąż spał, wyglądał trochę lepiej, a Dominika siedziała na jego łóżku i mówiła coś po rosyjsku. Wszystko to wyglądało strasznie, ale dzięki Bogu przeżyli.

Następnego dnia po zmroku zajrzał do nich Forsyth z doklejoną kocią bródką i w okularach w drucianej oprawie - greccy wywiadowcy go znali, a wciąż trwała obława na młodą Rosjankę z Grande Bretagne, w której pokoju znaleziono trupa. Zdjęcie z jej paszportu pojawiło się zarówno w prasie, jak i telewizji. W sprawę zamieszana była inna osoba, ciemnowłosa mężczyzna, najprawdopodobniej Amerykanin. Gable powiedział szefowi, że wygląda jak seksuolog z Wiednia, a następnie poinformował o sytuacji i wskazał oddzielne sypialnie. Forsyth usiadł i rzucił na stolik najnowsze gazety. Wieści o krwawych zniwach w Grande Bretagne rozprzestrzeniały się jak ogień, błyskawicznie nawet jak na greckie standardy. Tłumacze z rezydentury dostarczyli listę nagłówek:

JATKA KGB

W SAMYM CENTRUM ATEN

„Kathimerini” (centroprawica)

ZIMNOWOJENNA MASAKRA

W GRANDE BRETAGNE

„To Bhma” (centrowa)

ROSYJSKA LALECZKA, SEKS I MORDERSTWO

„Eleftherotipia” (centrolewica)

AMERYKANIE LEKCEWAŻĄ DZIEDZICTWO

GREKÓW

„Rizospastis” (komuniści)

ZAMACHOWCY PRZED SEZONEM

W PIĘCIOGWIAZDKOWYM HOTELU

„Tribuna Shqiptare” (dziennik wychodzący po albańsku)

Starali się zachowywać cicho w kuchni i czekali, aż Dominika wyjdzie ze swojego pokoju. Po półgodzinie Forsyth zastukał lekko do jej drzwi. Nie otwierając ich, powiedziała, że nie czuje się najlepiej i że nie, nie potrzebuje lekarza, ale musi się porządnie wyspać. Po chwili Forsyth wrócił do salonu.

- Sam nie wiem, ale coś tu jest nie w porządku. Nie chodzi tylko o szok - powiedział do Gable'a.

Potem usłyszeli niewielkie poruszenie w pokoju obok i w końcu zobaczyli obudzonego Nate'a, który szedł, trzymając się ściany. Na brzegach jego opatrunków i plastrów widać było betadynę. Połowa jego twarzy była fioletowa.

Nate usiadł w fotelu, cały zlany potem z powodu wysiłku i bólu.

- Co tu robicie? - szepnął sucho. - Jakiś nagły wypadek?

- Jak się czujesz? - spytał Gable, ignorując jego pytanie. -

Kręci ci się w głowie? Chcesz coś zjeść?

Nate pokręcił głową, a Forsyth zwrócił się do niego delikatnie:

- Rozmawiałem przez zieloną linię z siódmym piętrem. Dwa razy wzywał mnie ambasador, który sam musiał dwukrotnie stawić się przed greckim ministrem spraw zagranicznych. Cała grecka policja szuka pięknej Rosjanki i stara się zidentyfikować nieboszczyka, a przedstawiciele rosyjskiej ambasady mówią, że nie mają o niczym zielonego pojęcia. Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest

dwa kroki od hotelu Grande Bretagne, a telewizja nie wyłącza świateł na placu Sindagma.

- Takie światła to najfajniejsza rzecz w naszej pracy - dodał Gable, patrząc na Nate'a.

- Wszyscy w centrali są w mniejszym lub większym stopniu wkurzeni: albo poważnie, albo kurewsko poważnie - podjął Forsyth.

- Wszyscy się o wszystko oskarżają. Dlaczego nie przewidzieliśmy tego rodzaju działań ze strony SWR? Dlaczego nie wycofaliśmy cię z tej sprawy? Dlaczego Marmur nie przestrzegł przed zasadzką? Oczywiście większość tego to bzdury.

- Dostałem dziś rano e-mail od szefa CIA na Europę. Admirał Nelson sugerował „zmianę kierunku” w sprawie Divy. Wygląda na to, że szef rosyjskiej sekcji operacyjnej powiedział szefowi na Europę, że nie miał o niczym najmniejszego pojęcia. I to przy dyrektorze. Z tym wszystkim damy sobie radę.

- No i wczoraj wieczorem dzwonił Benford, żeby spytać, co było niejasne w jego poleceniu, żeby nie iść do pokoju Dominiki? Przesyła pozdrowienia. Wytłumaczenie się przed nim może nie być już takie łatwe. Zależy, czy zdecyduje się przy okazji wymierzyć ci chłostę.

- Zaproponowałem mu pomoc - dorzucił Gable.

- Ale nie wszystko stracone. Benford twierdzi, że ten incydent otwiera przed nami pewne nowe możliwości. Był z tego powodu bardzo podekscytowany. Przyleci tu jutro wieczorem. A do tego czasu macie się nie pokazywać. - Forsyth podszedł do rozsuwanych drzwi balkonu i wyjrzał przez szparę w zasłonach. - Najważniejsze, żeby Dominika pozostawała w ukryciu, by ich centrala spodziewała się najgorszego, że wszystko nam wygadała, że może powiedzieć o ich zasadzce na Nate'a. Zostało nam najwyżej parę dni.

Gable wstał, przeszedł korytarzem i zastukał do drzwi Dominiki.

Powiedział coś cicho, a ona poprosiła, żeby wszedł do środka. Słyszeli dobiegający stamtąd stłumiony baryton, a po dziesięciu minu-

tach Gable znowu pojawił się w salonie i usiadł.

- Mamy problem - szepnął. - Jest podniecona. To jeszcze nie histeria, ale się porządnie wkurzyła. Zrobiła się jędzowata. Obawiam się, że to poważne. Nie wie już, komu ufać: nam, Marmurowi, z pewnością nie tym swoim. - Nate z trudem podniósł się z miejsca. - Siadaj, kurwa! - warknął Gable. - Przejmuje się również tym, że o mało nie zginąłeś z jej powodu. Od razu zapytała, jak się czujesz.

- Ocaliła mi życie - powiedział Nate. - Ten mechanik już mnie miał.

- Sprawdziliście pokój po przyjściu? - Nate spojrzał gdzieś w bok. - Tak myślałem - zakończył Gable.

- Mówi, że nie chce wracać. Że chce przejść na naszą stronę. Jest jeszcze w szoku, czuje się zdradzona i boli ją noga. Biedne dziecko, musiała spędzić całe dwa dni z tym flakiem, tutaj. Nate nie miał zamiaru pogarszać sytuacji i mówić, że się kochali. Forsyth wstał.

- Marty, zostań z Divą aż do przyjazdu Benforda. Ciebie, Nate, przemycimy jutro do rezydentury. Opiszesz mi całe zdarzenie. Benford będzie żądał pełnego sprawozdania.

Nate skinął głową.

- Dajmy jej teraz trochę czasu - dodał Forsyth. - Możliwe, że straciliśmy w ten sposób agentkę, ale najpierw ona sama musi sobie wszystko przemyśleć.

Forsyth wyszedł, Gable pokręcił się chwilę po kuchni, a potem wrócił do salonu i powiedział, że idzie do sklepiku na rogu po wino, ser i pieczywo.

- Tylko nie wychodź na balkon - zakończył, podchodząc do drzwi. Z kieszeni marynarki wyjął pistolet i rzucił obok Nate'a. - PPK/S, damska broń. Wziąłem specjalnie dla ciebie.

Dominika spędziła większą część nocy, leżąc w pościeli i patrząc w sufit. Następnie przeszła do pokoju Nate'a, usiadła obok

łóżka i patrzyła, jak śpi. Doskonale wiedziała, co się stało. Wujek Wania zmęczył się czekaniem na informacje od niej i wysłał Matorina, żeby dowiedział się, kto jest amerykańskim szpiegiem. Nie przejmował się tym, że wszystkie osoby, które zetkną się z tym katem, mogą zginąć. Czy może wydał rozkaz, żeby Matorin ją zgładził? Trudno jej było zgadnąć, ale chwilowo przyjęła, że tak. To była kolejna zdrada Wani, która wskazywała, że całe służby specjalne to tylko *nawoznaja kucza*.

Powiedziała Gable'owi, że nie wie, czy chce dalej szpiegować. Była poza Rosją, na Zachodzie, i najprawdopodobniej mogła poprosić o azyl. *Bratok* wysłuchał jej uważnie i powiedział, że zrobi to, co uzna za słuszne. Jego aura miała głęboki fioletowy kolor, nie było powodu, by czuł taki spokój, ale ona ucieszyła się na ten widok.

Kolejna noc, zrobiło się późno, widziała światła mikrofalowych wież na tle czarnego masywu pasma Hymet aż do pomarańczowych świateł Zografos i Papagou. Forsyth i Benford siedzieli na krzesłach, a Dominika w szlafroku leżała na kanapie, tak by trzymać nogi w górze. Słyszała wcześniej, że Nate wychodzi z mieszkania, ale go nie pożegnała. Już go nie było.

Benford pojawił się późno i chciał od razu jechać do mieszkania konspiracyjnego. Poprosił o raport na temat ataku i powiedział, że wydział medyczny chce, żeby jak najszybciej dostarczono doń ampułkostrzykawkę SWR. W samochodzie słuchał Forsytha i powtarzał, że w tej chwili najważniejsze jest szybkie działanie.

- Jak się czujesz? - spytał Dominikę. - Możesz chodzić?

Wstała i przeszła dookoła kanapy. Przesunęła palcami po szwach po stronie złamanej nogi.

- Bardzo przepraszam, ale muszę wiedzieć, czy dasz radę chodzić, bo musimy dostać się na ulicę. Powinnaś zadzwonić do Moskwy.

Dominika skrzywiła się, siadając. Benford położył jej dłoń na

ramieniu.

- Nie spiesz się. Chcę najpierw z tobą porozmawiać. Posłuchaj, Domi, musimy wiedzieć, czy chcesz kontynuować to, co zaczęliśmy w Helsinkach. Czy chcesz wrócić do Moskwy i tam dla nas pracować?

- A jeśli nie? - spytała. - Co wtedy ze mną będzie?

Znała tych ludzi, ale ostatnio trudno jej było zaufać komukolwiek. Tutaj chodziło o profesjonalizm, wyniki, a także pracę dla instytucji znajdującej się po przeciwnej stronie barykady. Benford i Forsyth byli skąpani w błękicie, ten kolor nawet znaczył ich słowa. Wrażliwi, przebiegli, prawdziwi artyści. Wycisną z niej wszystko, co będą mogli. Musi uważać.

- To proste. Zawiozę cię do Ameryki, gdzie dostaniesz medal i czek na kwotę, za którą będziesz mogła kupić sobie dom w dowolnym miejscu, oczywiście w porozumieniu z naszymi służbami bezpieczeństwa, gdzie będziesz mogła sobie czytać o tym, co dzieje się w Rosji i na świecie. Uwolnisz się od wszystkich tajemnic, intryg, udawania i niebezpieczeństw. - Błękit na szczycie jego głowy zaczął pulsować.

Jest sprytny, pomyślała. Widzieliśmy się wcześniej tylko raz, ale już zdążył mnie poznać.

- A co mam robić, jeśli zdecyduję się na dalszą współpracę?

- Przede wszystkim będę chciał, żebyś zadzwoniła do wuja - odparł Benford.

Forsyth obserwował ich ze swego miejsca. Otaczała go niebieska aura. Wiedziała, że może mu zaufać - przynajmniej trochę.

- I co mam powiedzieć? - spytała, świadoma, że bawią się z nią w ciuciubabkę. - Co chcecie w ten sposób osiągnąć?

- Forsyth opowiedział mi o tej walce w hotelu. O tym, że uratowałaś Nate'a. Chciałbym ci za to podziękować.

Benford nie odpowiedział na jej pytanie.

- A telefon do Moskwy?

- Chcemy, żebyś po tych wszystkich wydarzeniach mogła wrócić do domu. I żebyś dostała dobre stanowisko w centrali. Oczywiście pod warunkiem, że zgodzisz się na dalszą współpracę. - Poczowała napór pulsującego błękitu.
- Jeśli wrócę, generał Korcznoj zadba o to, żebym miała dobre stanowisko. Stworzymy silny zespół.
- Oczywiście bardzo na to liczymy- rzekł Benford. - Musicie jednak działać oddzielnie, by czuć się bezpiecznie. - Dominika skinęła głową. - A któregoś dnia będziesz musiała zająć jego miejsce. - I znowu kiwnięcie głową. - Ale żeby tak się stało, musisz pilnie zadzwonić do Jasieniewa. Jesteś zmartwiona, wyczerpana, przekupiłaś kogoś, jakiegoś weterynarza, żeby zszył ci nogę. Jesteś zmęczona i zła i dlatego nie stosujesz się do zaleceń i mówisz o wszystkim otwarcie. Zamachowiec ze Specnazu prawie cię wykończył. Ważne, żeby myśleli, że to Nate go zabił. A ty musisz uciekać, policja jest na twoim tropie, CIA lada chwila może cię złapać. Musisz poprosić ukochanego wujka o ratunek.
- Rozumiem. - Dominika westchnęła. - Jest pan pewny, że nie ma pan domieszki rosyjskiej krwi?
- Raczej nie - odparł Benford.
- Wcale by mnie to nie zdziwiło.
- Powinnaś zrobić coś jeszcze - ciągnął Benford. - W czasie rozmowy musisz podać parę błędnych informacji.
- Dezinformacja?
- Właśnie. Operacja przeciwko Nashowi nie wypaliła, ale tobie udało się wydobyć z niego kilka ciekawych rzeczy.
- Co to ma być za *obman*? Co mam powiedzieć? - zaciekawiła się.
- Pokłóciliście się, staraliście się wydobyć z siebie informacje i Nate wygadał, że właśnie złapano w Stanach ważnego rosyjskiego szpiega. Kogoś prowadzonego przez centralę.
- Czy to prawda? - spytała Dominika i pomyślała, że wujowi

musi być teraz ciężko. I na pewno ma trudności.

- Całkowita - odparł Benford. - Musisz mu powiedzieć, że Nate wspomniał, że ich centrala próbowała zmylić polowanie na amerykańskiego kreta, podając informacje o operacji oka. To był fałszywy trop. - Benford urwał.

- Przepraszam, ale jaki jest cel tej informacji? - spytała Dominika. Wydało jej się to dziwne, ale nie mogła nic wyczytać z twarzy Benforda, a jego kolor wtapiał się w tło.

- To ważny szczegół. Chodzi o to, by ludzie z SWR wiedzieli, że przejrzelśmy ich grę. Dlatego ta operacja oka jest naprawdę istotna. No i chcemy, żeby ci z centrali uznali, że wypełniłaś swoje zadanie, żeby cię uratowali... Jasne?

- Tak, ale powiem, że to ja zabiłam Matorina - rzekła z uporem Dominika. - Ja. Bo inaczej zabiłby nas dwoje. Teraz Nash uciekł, i to z winy wuja, nie mojej.

- Doskonale - zgodził się natychmiast Benford. - Świetny pomysł.

Marmur miał rację, to naprawdę inteligentna dziewczyna.

- Spisałem parę informacji na temat twojej kryjówki - wtrącił się Forsyth. - Przejrzymy je i pójdziemy zadzwonić.

Przeczytali notatki, a potem Dominika poszła do swego pokoju, żeby się przebrać. Forsyth i Benford zostali sami.

- Zmartwi się, jak się dowie, że doprowadziła do aresztowania generała - zauważył Forsyth.

- Nie mamy innego wyjścia - mruknął Benford. - Mnie też się to nie podoba, ale nie może się zawahać czy zdradzić, że wie o pułapce.

- Sama się wszystkiego domyśli. A jeśli tak się wkurzy, że będzie chciała zrezygnować?

- To wtedy będzie naprawdę wielka klapa. Mam nadzieję, że nas zrozumie - rzekł Benford. - Grecka policja już gotowa?

- Wszystko przygotowane. Aresztują ją rano po tym telefonie.

GIGANTES - PIECZONA FASOLA PO GRECKU

Cebulkę i czosnek smażymy na małej ilości oliwy. Dodajemy obranych i pokrojonych pomidorów, rosołu z wołowiny, pietruszki i gotujemy do zgęstnienia. Dodajemy ugotowanej fasoli gigantes, dobrze mieszamy i zapiekamy na średnim ogniu, aż fasola będzie miękka, a wierzch chrupiący i nawet lekko podpalony. Podajemy w temperaturze pokojowej.

Było późno, ale Wania Jegorow pracował jeszcze w swoim gabinecie. Początkowo różowe niebo stało się fioletowe, a potem czarne, ale on tylko widział płaski ekran z niekończącymi się obrazami, transmitowanymi przez telewizję grecką, Eurovision, BBC, Sky i amerykański CNN. Wszystkie koncentrowały się na wydarzeniach w Atenach.

Rezydentura w stolicy Grecji potwierdziła tożsamość Siergieja Matorina. Wania czuł, że flaki mu się przewracają, kiedy przypomniał sobie, jak rezydent poinformował go, że Grecy „z niezrozumiałych powodów” już skremowali zwłoki Chajbera, w związku z czym nie można było przeprowadzić sekcji. Niezrozumiałych, kurwa, pomyślał. Grecy siedzą w kieszeni u Amerykanów. I to od dawna.

To nieważne, nie teraz. Wania wiedział, że ktoś jeszcze wyraził zgodę na ten wyjazd do Grecji, wysłał tam tego jednookiego psychopatę. Nie był to ani dyrektor, ani jego odpowiednik z FSB, ani nawet ten karzeł Ziuganow. Jedna, jedyna osoba. W tym momencie, jakby wtórując jego myślom, zadzwonił telefon WCz, a Jegorow aż podskoczył na swoim miejscu. Zaraz też usłyszał znajomy pełen złości, ale jadowicie spokojny głos.

- Operacja w Atenach to hańba - powiedział Putin.

Czy jest w samych skarpetkach? - zastanawiał się Jegorow. A może bez koszuli?

- Tak jest, panie prezydencie - rzekł potulnie Wania. Nie było sensu mówić, że nie wyraził na nią zgody. Putin doskonale o tym wiedział.

- Wyraźnie mówiłem, żeby nie wykorzystywać nikogo ze specjalnej grupy operacyjnej.

- Tak, panie prezydencie. Sprawdzę...

- Niech pan da temu spokój - przerwał mu prezydent. -

Oczekuję od pana sukcesów. Strata pani senator jest ogromna, a

kret dalej działa w pańskich służbach. Co pan robi, żeby wyśledzić tego zdrajcę?

Już byśmy go mieli, gdybyś nie uległ swoim krwiożerczym instynktom, pomyślał Jegorow.

- Jak pan wie, panie prezydencie, wysłałem do Aten oficera SWR. Liczyłem na pomysły...

- Wiem, swoją bratanicę. I gdzie ona jest?

Teraz czekało go najgorsze.

- Nie znamy dokładnego miejsca. Jest gdzieś w Grecji...

Po drugiej stronie panowała cisza.

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że nie żyje?

Nie ciesz się zawczasu, pomyślał Wania.

- Czekamy na informacje.

I znowu długa przerwa. Dominika stanowiła duże zagrożenie dla prezydenta, większe niż sprawa w Waszyngtonie czy kret w SWR.

- Musi wrócić do domu. Niech pan dopilnuje, żeby nie było z tym problemów - rzekł Putin. - Co znaczyło, że nikt nie może dowiedzieć się o tym, co stało się z Ustinowem. Nigdy i pod żadnym pozorem.

Prezydent się rozłączył.

Dominika zaginęła. Jeśli udało jej się przeżyć, to musiała się gdzieś schować. Jegorow nie miał pojęcia, jak mogła sama w obcym mieście znaleźć sobie kryjówkę. Jego mała jaskółka musi być bardzo zaradna. W telewizji pokazywano właśnie szaro-białe furgonetki policyjne, otaczające rosyjską ambasadę na Psychiko. Grecy brali pod uwagę, że zamieszana w to zdarzenie Rosjanka będzie chciała zbiec do jej gmachu.

W wiadomościach mówiono też o jakimś mężczyźnie, ale nikt nie podał nazwiska Nasha. Czy Dominice udało się coś z niego wyciągnąć? Czy CIA ją zabiło? A może złapało? Jeśli żyje, będzie musiał jej pomóc. Zorganizować ucieczkę...

Telefon na jego biurku zadzwonił nie za głośno. Była to linia zewnętrzna, a więc nic ważnego.

- Co tam? - warknął.

- Połączenie zewnętrzne, skierowane do nas przez oficera dyżurnego - odpowiedział jego asystent.

- Kto mi zawraca głowę takimi bzdurami? - wściekał się Jegorow.

- To rozmowa zagraniczna, panie generale - odparł Dimitrij. - Z Grecji.

Jegorow poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku.

- Dawaj!

Po chwili usłyszał w słuchawce głos Dominiki.

- Halo, wujek? Czy mnie słychać?

- Tak, moje dziecko. Doskonale. Gdzie jesteś?

- Nie mogę mówić długo. Wciąż mnie szukają. - Miała zmęczony głos, ale nie była zdenerwowana.

- Możesz powiedzieć, gdzie jesteś? Wyślę kogoś po ciebie.

- Bardzo proszę. Brakuje mi sił...

- Wyślę kogoś. Gdzie można cię znaleźć?

- Mam wiadomość, mój przyjaciel zaczął mówić. Całkiem sporo. Dokładnie tak, jak chciałeś, ale ten diabeł niemal nas zabił.

- Co się stało?

- Walczyli, a potem mój przyjaciel uciekł. Nie mam pojęcia, gdzie jest.

- Ten młody Amerykanin pokonał mechanika ze Specnazu? - spytał z niedowierzaniem Jegorow.

- Nie, to ja go zabiłam. Inaczej zrobiłby to samo. - Po drugiej stronie zapanowała cisza.

Boże, co za demon, pomyślał Jegorow. Jak w ogóle mogła zlikwidować Matorina? Poczuł, że ma mokrą od potu dłoń.

- Rozumiem. A co powiedział ci twój przyjaciel?

- Coś dziwnego. Chwalił się, że Amerykanie złapali naszego

szpiega, jakąś kobietę. Podobno bardzo ważną. Powiedziałam, że mu nie wierzę, nie było żadnych informacji...

O, możesz mu wierzyć, pomyślał Wania.

- Powiedział też, że próbowałeś zmylić Amerykanów, informując, że ten szpieg jest chory i niezdolny do pracy.

Jegorow niemal chciał wykrzyknąć tej idiotce, żeby powiedziała mu wszystko. W przyciśniętej do ucha słuchawce wyczuwał niespokojne bicie własnego serca.

- Ciekawe. Czy powiedział coś jeszcze?

- Tyle, że ten szpieg wcale nie przeszedł operacji oka. Że to był fałszywy trop i Amerykanie od razu nas przejrzeni. Był bardzo dumny z powodu tego wszystkiego - zakończyła.

Ale teraz będą mniej, kiedy stracą swojego człowieka, pomyślał Jegorow. Korcznoj!

- Nic więcej? - Korcznoj!!!

- Nie. No właśnie wtedy nam przerwano.

- Tak, rozumiem. Musimy zaraz kończyć. Gdzie jesteś?

Schowaj się, wyślę kogoś po ciebie.

- Zatrzymałam się w mieszkaniu jakiegoś mężczyzny. Obiecał, że mnie nie wyda, jeśli będę dla niego miła. W końcu w tym mnie szkoliliś, prawda?

Jegorow nie dostrzegł ironii w jej głosie.

- Możesz tam zostać jeszcze jeden dzień? Czy dzwonisz z tego mieszkania?

- Chyba mogę, ale dzwonię z ulicy. Zostawiłam komórkę w hotelu, a w mieszkaniu nie ma stacjonarnego telefonu. Moja budka jest po drugiej stronie ulicy, dopiero dzisiaj zaryzykowałam kupno karty. - Podała mu dokładny adres w robotniczej dzielnicy Patissia na północ od placu Omonia.

- Bądź przy budce dokładnie w południe - powiedział Jegorow. - Wyślę po ciebie samochód. Kierowca poda moje nazwisko. Sprowadzimy cię do domu, ale na razie nie wychodź na ulicę. -

Odłożył słuchawkę.

Pomyślał, że będzie bezpieczny, jeśli uda się sprowadzić Dominikę do domu. I jeśli rzeczywiście przyskrzynią Korcznoja, obsypie ją medalami. Najpierw depesza do tego duraka z Aten, żeby zobaczyć, czy uda mu się odebrać Dominikę mimo tak dużej obserwacji ambasady. A potem trzeba będzie zarządzić ciągłą inwigilację Korcznoja. Żadnych alarmów, stanów gotowości, trzeba zapobiec wycofaniu go przez Amerykanów.

Nawet kiedy starał się uspokoić, jego ciało cyrkowego siłacza reagowało bezwiednie, naprężając mięśnie na myśl o koledze, który zdradził i przekazał Amerykanom informacje o Łabędziu.

- Przyślij mi Ziuganowa! - polecił asystentowi.

Depesza z ateńskiej rezydentury dotarła do Jasieniewa następnego dnia pod koniec pracy. Rezydent pisał o tym, jak dwaj oficerowie przyjechali na Patissię, by odebrać Dominikę spod budki.

Okazało się jednak, że w pobliżu znajduje się aż sześć greckich wozów policyjnych i około dwudziestu policjantów w białych hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Wokół panował chaos.

Ludzie z SWR nie mogli podejść bliżej, ale zobaczyli, jak dwie policjantki pakują do wozu skutą kajdankami kobietę. Była ona „ciemnowłosa i szczupła”, co mogło wskazywać na Dominikę.

Więc znalazła się w ich rękach. Niecałe dwie minuty po tym, jak dostał depeszę, rozdzwonił się stojący na szafce za jego biurkiem telefon WCz. Takiego dźwięku próżno by szukać w naturze.

Minęła północ, czarna skrzycona wstęga rzeki Moskwy była prawie niewidoczna z salonu generała Korcznoja. Wokół widać było światła wieżowców Strogina. Apartamentowce po drugiej stronie rzeki były nowsze, a przy nieukończonych wciąż stały wielkie żurawie. Na kolację przygotował sobie ulubioną *pasta alla mollica* z anchois, okruchami chleba i cytryną. Marmur pozmywał po posiłku, a następnie nalał sobie szklaneczkę brandy, którą wziął do salonu, sprawdził czas i podszedł do biblioteczki. Włożył ostrze

małego kuchennego noża między deski, żeby otworzyć dwa za-
trzaski, a potem uniósł niczym wieko trumny górę biblioteczki.
W środku była niewielka skrytka. Korcznoj sięgnął do środka i
wyjął trzy zawinięte w szmatkę metalowe pudełka. Dwa pierwsze
były wielkości paczek papierosów, a trzecie bardziej płaskie i
szersze. Korcznoj połączył dwa pierwsze końcami, wysuwając
ukryte prowadnice. Z kolei podłączył do nich za pomocą wtyczki
płaskie pudełko z malutką klawiaturą z cyrylicą. Pióro przymo-
cowano do boku za pomocą uchwytu. Korcznoj wcisnął nim dwa
cofnięte guziki i zaraz zapaliły się trzy diody. Pierwsza była wskaź-
nikiem stopnia naładowania baterii. Przy zielonym świetle można
było korzystać z urządzenia. Druga wskazywała, czy zintegrowana z
urządzeniem antena odbiera sygnał amerykańskiego satelity Milstar
Block II na orbicie geosynchronicznej. Silny zielony sygnał. Ostatnia
dioda wskazywała, czy doszło do wymiany transmisyjnej - *rukopo-
zatie*, uścisk dłoni. Barwa żółta - oczekiwanie.

Korcznoj korzystał z pióra - wciskał klawisze, układając ruty-
nową informację. Używał *scripta continua* - bez spacji i znaków
przestankowych. Tajna korespondencja musiała być oszczędna.
Uczył się tego przez wiele lat, przygotowując tajne informacje -
brakowało mu jednak tradycyjnych tajnopisów, wycierania gumką
papieru, przygotowywania specjalnego atramentu i uwagi skiero-
wanej na to, by nie przyciskać zbyt mocno pióra przy kolejnych
drukowanych literach.

Pisał, siedząc w fotelu, z lampą do czytania tuż obok - stary,
pochylony nad pracą człowiek z płócien Vermeera. W pokoju pa-
nowała całkowita cisza. Informacja była już gotowa i podpisana:
niko, co wskazywało, że powstała bez żadnych nacisków. Korcznoj
wcisnął jeszcze guzik „wyślij” i patrzył na żółtą diodę. Jego wia-
domość frunęła wprost do nieba na superkrótkiej częstotliwości,
wpadła na pasmo Ka, otarła się o satelitę, drażniąc jego czujniki.
Zachowana odpowiedź aktywowała się i powróciła w ciągu trzech

sekund na paśmie Q. Moskwa spała, okna Łubianki były ciemne, ale Korcznoj wyciągnął wysoko dłoń, by zetknąć się palcami z Największym Wrogiem. Ostatnia dioda zamrugła zielono. Uścisk dłoni. Wymiana informacji zakończyła się powodzeniem.

Korcznoj rozpakował kabel z płaskiego pudełka i podłączył go do małego telewizora, który dostał trzy lata wcześniej w czasie wymiany z samochodu do samochodu gdzieś na autostradzie MIO. CIA dokonało odpowiednich zmian w odbiorniku i teraz Korcznoj tylko go włączył i wybrał ustawiony kanał. Trzy dotknięcia pióra i śniejący obraz stał się nagle czarny, potem zamigotał i znowu szerniał, ukazując tylko dwa słowa: *soobszczenie - nikto*. Informacja - brak, - tak właśnie wyglądał ekran, a prawdziwą informację stanowił właśnie przecinek zamiast kropki, który mówił: „Gra się właśnie zaczęła”.

Korcznoj zgasił ekran, schował kabel, wyłączył baterię i zabrał się do demontażu radiostacji. Zawinął wszystkie części w szmatkę, ułożył w skrytce na wierzchu biblioteczki, a potem zamknął wierzchnią klapę. Usiadł na fotelu, wziął książkę i wypił trochę brandy. Sięgnął za siebie, wyłączył lampę. Siedział w ciemnym mieszkaniu i patrzył na światła miasta i ciemną wstęgę rzeki, pewny tego, że SWR widziała i nagrała to wszystko, co robił przez ostatnie pół godziny.

Od sierpnia do października 1962 roku KGB prowadziło nieustającą obserwację pułkownika Olega Pieńkowskiego z GRU, włączając w to jego wychodzące na rzekę Moskwę mieszkanie. W tym czasie pułkownik Pieńkowski przekazywał na Zachód mnóstwo informacji na temat sowieckich pocisków balistycznych. Oficerowie FSB, którzy ponad pół wieku później prowadzili obserwację generała Władimira Korcznoja, byli zbyt młodzi, by pamiętać tamtą zimnowojenną sprawę, ale środki, jakie podjęli, były niemal identyczne jak w tym pierwszym przypadku. Po drugiej stronie rzeki w jednym z nieukończonych budynków

ulożowały się trzy ekipy obserwatorów z zamontowanymi paralaktycznie olbrzymimi lornetkami, przez które obserwowano, jak Korcznoj kieruje swój sprzęt na trzynasty stopień, by móc się skomunikować z satelitą. W mieszkaniu na górze wywiercono niewielkie otwory w suficie trzech pokoi, w które włożono kamery z rybnym okiem i mikrofony, wszystko podłączone do cyfrowych urządzeń nagrywających. Oficerowie widzieli, jak generał otwiera skrytkę, składa covcom i wystukuje informacje na klawiaturze. Brakowało im kąta, by móc zobaczyć mały ekran, więc obniżyli wysuwając kamerę na wysięgniku z włókna szklanego z zewnątrz, by móc odczytać wiadomość przez okno salonu. W przeciwieństwie do ekipy Pieńkowskiego ci oficerowie nie potrzebowali trzech miesięcy na obserwację. Tyle im wystarczyło. Północ. W innej części miasta inny zespół przeszukiwał biuro Korcznoj na drugim piętrze budynku SWR w Jasieniewie. Poza dokładnym sprawdzeniem wszystkiego: biurka, szafek, pojemników, członkowie ekipy technicznej pobrali też próbki z różnych powierzchni: klawiatur, biurek, szuflad, uchwytów, teczek, filiżanek i jednego spodka. Następnego ranka Ziuganow przyniósł wyniki testów laboratoryjnych, a Jegorow wyrwał mu je z rąk. „Znaleziono śladowe ilości metki na klamce i wewnętrznej części bi-bularza. Analiza: związek 234, numer serii 18, nosiciel: Nash, N, *amerykańskie posolstwo*.

Korcznoj wrócił do domu z Jasieniewa, wczesny zmierzch siał się jasno na drzewach przy rzece. Nogi miał ciężkie, coś gniotło go w piersi, kiedy tak szedł od metra wzdłuż esplanady. W bloku panowała cisza, zza drzwi słychać było tylko mamrotanie telewizorów, a w powietrzu unosił się ciężki zapach gotowanego jedzenia. Jeszcze przed wejściem wiedział, że to już teraz. Klucz zawsze zacinał się w zamku, musiał parę razy nim poruszyć, a teraz przeszedł jak po maśle. Musieli spryskać zamek grafitem.

W mieszkaniu znajdowało się pięciu mężczyzn, stojących pół-

kolem twarzą do drzwi. Brutalnych, z wąskimi twarzami i kwadratowymi szczękami, nakręconych. Mieli na sobie dżinsy, kombinezony, skórzane kurtki i rzucili się na niego, jak tylko wszedł do środka. Wiedział, że nie powinien się opierać, a oni złapali go za nogi i ręce i podnieśli z podłogi. Poruszali się szybko i cicho, jeden zaciskał przedramię na jego gardle, dwaj inni trzymali go za ramiona. Zawsze wszystkich trzymają, myślał Marmur. Ale gdzie niby mamy uciekać? Nic nie mówił, a oni wepchnęli mu w usta gumowy, śmierdzący rynsztokiem knebel (Prosimy, towarzyszu, tylko bez sztuczek z rozgryzaniem ampułki z cyjankiem) i rozebrali go do bielizny, ani na moment go nie puszczając (Towarzyszu, bez zabaw ukrytą bronią, igłami i tym podobnymi). Ubrali go w źle dopasowany kombinezon i znieśli na dół po schodach, mijając po drodze co najmniej dziesięciu innych mężczyzn w skórzanych płaszczach. Wepchnięto go do paki ciemnozielonej furgonetki, nie puszczając go przy tym ani na chwilę. Korcznoją czuł ból w całym ciele, powoli tracił czucie w ramionach, za które trzymali go napastnicy. To nie ma znaczenia, mówił sobie, szykując się na następny rozdział. Wiedział, czego może się spodziewać.

Jechał długo pozbawioną okien furgonetką. Podskakiwali gwałtownie na wybojach i przejazdach kolejowych i przechylali się na rondach. Korcznoją wiedział, gdzie jadą, rozpoznawał wiodącą na zachód trasę. Kiedy w końcu otwarto drzwi i wywleczono go na zewnątrz, Korcznoją spojrział w górę. Miał ochotę po raz ostatni spojrzeć na atramentowociemne niebo z pomarańczową obwódką miejskich świateł i odetchnąć po raz ostatni czystym powietrzem. Rozejrzał się też szybko, kiedy poprowadzili go do niewielkich drzwi, by potwierdzić to, co już wiedział. Podwórko było brudne i zatłoczone, posępne mury z żuźlowych bloków zdobiły zwoje drutów kolczastych. Trudno też było pomylić charakterystyczny pięciopiętrowy budynek w kształcie litery Y i kolorze ochry. Znajdował się w Lefortowie.

Marmur wiedział, co go czeka: *wyszka* - najwyższy wymiar kary. I znał ostateczne miejsce pochówku: *bratskaja mogiła* - wspólny grób. Do wyboru pozostawał jedynie sposób wykonania kary. Postanowił już, że nie ułatwi im sprawy, co jak na ironię znaczyło, że będzie mówił, i to dużo, ale nie na interesujące ich tematy.

Nie zważając na rosnące zakłopotanie przesłuchujących, mówił, że nie szpiegował przeciwko Rosji, ale właśnie dla Rosji, po pierwsze, by pokonać duszący ją od prawie stu lat sowiecki system, którego spadkobiercami są obecnie te *podonki*, szumowiny z Kremla. Z kamienną twarzą mówił, że niczego nie żałuje i że zrobiliby to jeszcze raz. Jego działalność w charakterze szpiega wszystkich ich oszołomiła - był w końcu generałem. Oszacowanie strat mogło trwać latami. Widział to po ich minach.

Było mu łatwiej myśleć o aresztowaniu i śmierci, gdy przypominał sobie swoją następczynię. Zauważył z satysfakcją, że w czasie przesłuchań w ogóle o niej nie mówiono. Nic nie wskazywało na to, że mogą ją o coś podejrzewać. Była bezpieczna.

Korcznoj odpowiadał na pytania i wymieniał przekazywane przez prawie piętnaście lat informacje. Mimo współpracy Ziuganow zalecił „użycie środków bezpośredniego przymusu”, parę klasycznych technik jeszcze z więzienia na Łubiance. Miał z tego frajdę, a może uważał to za swoją zapłatę. Tak właśnie traktowano zdrajców - wbijano im czarne drzazgi z drewna cedrowego pod paznokcie, a te zaraz zaczynały ociekać krwią, wciskano między palce u nóg drewniane kołki, naciskano natłuszczonymi kłykciami zagłębienia za uchem. W innym pokoju kobieta urolog minimalnie poluzowywała drut, patrząc mu prosto w twarz.

Kiedy przerwali tortury i na cały dzień zostawili samego w celi, Korcznoj uznał, że to prawdopodobnie Wania kazał im przestać. Następnego dnia, gdy jak zwykle przeszedł do pokoju przesłuchań, zastał na stole swój sprzęt do komunikacji z Amerykanami. Czekał chwilę, aż w końcu pojawi się sam Jegorow, który pokazał straż-

nikowi, żeby wyszedł. Zostali sami. Wania zaczął wolno obchodzić stół, nie patrząc na Marmura i dotykając z lekkim uśmiechem sprzętu.

- Parę miesięcy temu przyszło mi nawet do głowy, że to możesz być ty. - Zapalił papierosa, ale nie poczęstował Korcznoja. - Ale powiedziałem sobie, że to niemożliwe, że jesteś jednym z naszych najlepszych ludzi, ostatnim, którego stać by było na taką nielojalność.

Korcznoj siedział w milczeniu, trzymając ręce na kolanach.

- Tak łatwo mogłeś przekreślić te wszystkie lata, naszą wspólną pracę? - spytał Jegorow. - Moją przyjaźń i zaufanie?

- Oczywiście jak zwykle chodzi o ciebie, co, Wania?

- *Załupa*, głupek - warknął Jegorow. - Poważnie zaszкодziłeś służbom i swojemu krajowi. Zdradziłeś Rosję.

Gada tak, bo cała rozmowa jest nagrywana, pomyślał Korcznoj.

- To raczej ty opowiadasz głupoty - mruknął Korcznoj, widząc, jak Wania zgrywa się na patriotę. - O co ci chodzi? Po co tu przyszedłeś?

Wania zerknął na Marmura, a potem na sprzęt na stole.

- Przyszedłem, żeby ci powiedzieć, że to moja bratanica, Dominika, dostarczyła nam informacji, które doprowadziły do twojego aresztowania. - To ona jest prawdziwą bohaterką. No i miał następczynię. Korcznoj pogratulował w duchu Benfordowi.

Wania obserwował jego reakcje i ucieszył się, kiedy Korcznoj spuścił głowę w geście bezsilnej rezygnacji. Wziął papierosa i zastukał do drzwi. Kiedy szedł betonowym korytarzem, robił kalkulację: stracił Łabędzia, ale doprowadził do aresztowania kreta. Dzięki Dominice. Musi ściągnąć ją do domu.

Myszynyje woznia, mysie harce. Technicy z Zarządu T przenieśli ostrożnie sprzęt Marmura do jego dawnego bloku na Stroginie, żeby wznowić transmisje na zwykłych współrzędnych. Zespół

cichych ludzi skupił się na dachu wychodzącym na niebiesko-czarną rzekę Moskwę. Ktoś przycisnął klawisz „wyślij” i wszyscy czekali na *rukopis* z satelity znajdującego się nad kołem podbiegunowym. Zapisany wielkimi literami podpis NIKO powiedział Benfordowi, że wiadomość pochodzi od kogoś innego albo samego Marmura, ale pod przymusem. Niezależnie od sytuacji stanowiło to potwierdzenie jego aresztowania. I chociaż parę ładnych razy przerabiali razem ten scenariusz, Benford aż się wzdrygnął na myśl, że jego agent tak się poświęca. W milczeniu żałował, że go stracił.

Jego mercedes w piętnaście minut pokonał niecałe czterdzieści kilometrów pustą szosą Rublowo-Uspieńską, ale Wania musiał czekać dziesięć w budynku recepcji, zanim samochód służbowy zawiózł go przez iglasty las do neoklasycystycznego wejścia Nowo-Ogariowa. Wania spojrział na zegarek. Dochodziła północ, a on bał się takich nagłych wezwań do odosobnionej podmiejskiej rezydencji „sam-wiesz-kogo”. Batiuszka Stalin kazał swoim podwładnym czekać w pustym, nagrzanym do czerwoności pokoju do trzeciej nad ranem.

Teraz było inaczej. Od razu poprowadzono Jegorowa po wielkich schodach w dół, do mieszczącej się w suterenie, rozciągającej się na całą długość budynku siłowni. Pełno tu było różnego rodzaju urządzeń i lśniących w świetle lamp ciężarków. Jegorow z niechęcią zauważył, że szef kontrwywiadu Ziuganow siedział już koło jednej z maszyn. Świadek, pomyślał Jegorow. Zły znak.

Prezydent Putin był bez koszuli, jego bezwłosy tors lśnił od potu, a na ramionach nabrzmiały mu żyły. Trzymał uchwyty dwóch gumowych pasków przytwierdzonych do metalowej poprzeczki. Prezydent Wszechrosji pochylił się, rozsunął ramiona w chrystusowym geście i zawisł niemal równolegle do maty, niecałe pół metra nad podłogą. Drżąc z wysiłku, uniósł się, zsuwając ramiona, a potem znowu się obniżył. Ta *ulitka*, ślimak Ziuganow, wbił pełne

uwielbienia oczy w prezydenta. Jeszcze chwila, a zaczną zlizywać pot z jego ciała.

Putin opuszczał się i unosił, oddychając świszczaco, a potem zatrzymał się przy największym rozciągnięciu i spojrzał na Jegorowa oczami koloru starego lodowca. Nieruchomy. Lewitujący.

Jeszcze chwila i znowu uniósł się w górę.

- Chcę, żeby wróciła do Rosji - rzekł cicho Putin, wycierając twarz ręcznikiem, który następnie rzucił Ziuganowowi, który chwycił go nerwowo.

Prezydent wbił wzrok w Jegorowa, co było bardzo niepokojące.

Niektórzy twierdzili, że Putin jest jasnowidzem, że potrafi czytać w myślach.

- Sprawdzam parę kontaktów - odparł Jegorow. - Grecy są wściekli.

Putin uniósł dłoń.

- Grecy nie są zdolni do wściekłości. To tylko nadęte pawie.

My im pokazem Kuz'kinu mat '.

Tak, ale najpierw pokaże mnie, gdzie raki zimują, pomyślał Jegorow.

- To Amerykanie stoją za wszystkim, to oni nimi manipulują - dodał Putin, przechodząc do ławki ze stalowymi uchwytami. - Próbują urządzać to tak, żeby zaszkodzić Rosji. Żeby mnie z d y s k r e d y t o w a ć ...

Tak, to była najgorsza zbrodnia. Jegorow zacisnął usta i nic nie odpowiedział. Ziuganow poruszył się na swoim miejscu. Putin położył się na plecach i zaczął naciskać znajdujące się nad jego głową uchwyty. Ciężary to podnosiły się, to opadały.

- Jegorowa to bohaterka - rzucił Putin przy wtórze metalicznych dźwięków. - Nie interesują mnie niuanse tej sprawy ani to, czy popełniła jakieś błędy na ulicy, czy to są tylko wymysły biurokratów z Jasieniewa.

- Chcę-łup,

- żeby-łup,
- szybko-łup,
- wróciła. - Łup.

Dźwięk ciężarów odbijał się echem w głowie Wani niczym walenie szatańskich młotów przez całą drogę powrotną do Moskwy.

Ziuganow, który siedział na tylnym siedzeniu innego, mniej luksusowego samochodu, pędzącego w stronę Moskwy, myślał, że ma niewielką szansę na to, by umocnić swoją pozycję. Uznał, że Jegorowa dzieli zaledwie godziny od rozliczenia, a być może nawet aresztowania. Putin nie zatrzyma go na stanowisku, niezależnie od tego, co stanie się z jego bratanicą. Miał na koncie za dużo porażek, popełnił zbyt wiele błędów. Gdyby teraz jemu, Ziuganowowi, udało się sprowadzić Jegorowa do domu, na pewno dostałby awans i parę medali. Nie mógł jednak przypuszczać, że dostanie wezwanie z CIA, by przedyskutować właśnie tę sprawę.

PASTA ALIA MOLLICA (SALSA ANCHOIS)

Prażymy kawałki chleba do zbrązowienia. Na oddzielnej patelni smażymy na małej ilości tłuszczu anchois w oleju, aż powstanie z nich jednolita masa. Dodajemy pokrojonej w plasterki cebuli, posiekanego czosnku i pokruszonej czerwonej papryki i dalej smażymy do zbrązowienia cebuli. Do salsy z anchois z cebulą dodajemy ugotowanego i odsączonego spaghetti, pietruszki i soku z cytryny. Wszystko dokładnie mieszamy. Posypujemy okruchami chleba i tak podajemy.

Grecka policja po aresztowaniu dyskretnie przekazała Dominikę Forsythowi, który przeniósł ją do kolejnego mieszkania konspiracyjnego w nadmorskiej Glifadzie. Któregoś wietrznego, deszczowego popołudnia powiedzieli jej, że wiele wskazuje na to, iż FSB aresztowała Korcznoja. Jej twarz zastygła w pozbawionym uczuć wyrazie. Kolejna strata.

- Wiedzieliśmy, że to może nastąpić - powiedział Benford.

- Ale dlaczego teraz? - spytała. - Mogliśmy razem pracować.

Jak to się stało?

Benford zauważył, że martwi się tylko o Korcznoja i nie myśli o sobie.

- Nie wiemy dokładnie - odparł. - Po utracie agentki w Stanach kontrwywiad zaczął szukać przecieku. Może popełnił jakiś błąd.

Dominika potrząsnęła głową.

- Po czternastu latach? Nie sądzę. Był na to za dobry.

Forsyth usiłował nie patrzeć na Benforda. Otaczająca go błękitna aura była wyraźnie spłowiała - może był zmęczony? - ale ta Benforda stała się niemal atramentowa. Pracuje, myśli, spiskuje, przyszło Dominice do głowy. Od razu pojęła, że coś jest nie w porządku.

- Wiesz, Dominiko, Wołodia bardzo cię podziwiał - powiedział Benford, patrząc na swoje ręce.

Przyglądała się uważnie jego dłoniom, temu, jak je trzymał.

Benford z całą pewnością zajmował się w tej chwili pracą.

- Widział w tobie swoją następczynię, kogoś, kto będzie kontynuował jego dzieło. Myśleliśmy, że mamy dwa, może trzy lata, by to osiągnąć. Nie mogliśmy przewidzieć tego, co się stało. Więc teraz to zadanie przechodzi na ciebie, wcześniej, niż planowaliśmy, ale jednak.

Dominika obróciła się w stronę Forsytha, który chciał pogłodzić jej dłoń. Cofnęła ją lekko. Dużo tu niebieskiej mgły, pomyślała.

- Jest mi bardzo przykro z powodu tego aresztowania. Nigdy nie zapomnę generała - zaczęła wolno. - Ale jest pan nader bezpośredni, *gospodin* Benford. Mówi pan, że jego praca to teraz moja *otwietstwiennost'*. I tyle, prawda? Sama muszę zdecydować, czy chcę to ciągnąć. - Urwała i popatrzyła na ich twarze. - *Gospodin* Forsyth, co pan i *bratok* myślicie na ten temat?

- Mogę tylko powtórzyć to, co powiedział ci Marty. Sama zdecyduj i rób, co uważasz za słuszne - odparł Forsyth.

Benford spojrział na niego i wyduł z irytacji usta. Mógłby, do cholery, bardziej ją zachęcić do podjęcia ryzyka.

- Twoje motywacje na początku były bardzo skomplikowane - ciągnął Forsyth, który doskonale wiedział, co robi i do kogo mówi.

- Przyjaźń z Nate'em, rozpacz po stracie przyjaciółki, złe traktowanie i niedoceniające w twoich służbach. I to, żeby samej panować nad własnym życiem i karierą. Nic z tego się nie zmieniło, prawda?

- Powinien pan być profesorem - powiedziała, obserwując jego taniec.

- Nie chcemy przeciążać cię ponad twoje siły - dodał Forsyth.

- Chcemy, chcemy. - Benford się zaśmiał. - Cholera, Domi, potrzebujemy twojej pomocy. - I znowu ten atramentowy kolor jak na ogonie pawia.

Popatrzyła na bandaż na swojej nodze.

- Nie wiem, czy się zgodzę - powiedziała. - Muszę się zastanowić.

- Wiemy, że się zgodzisz - rzekł Forsyth. - A wtedy najważniejsze będzie to, byś szybko i bezpiecznie znalazła się w Moskwie. I dlatego tylko my troje wiemy, gdzie się w tej chwili znajdujesz.

- Nawet Nate nie wie?

- Obawiam się, że nie - odparł Benford, a jego kolor się nie zmienił.

Przynajmniej mówi prawdę, pomyślała.

Obudziła się wcześniej i przeszła bosą do przestronnego salonu.

Potrójne drzwi były odciągnięte, a pokój łączył się z balkonem z marmurową podłogą i markizą z niebieskiego materiału, który lekko się wydymał w ostatnich podmuchach wiatru od morza. Po drugiej stronie nadbrzeżnej drogi Morze Egejskie lśniło w porannym, wstającym tuż nad horyzontem słońcu. Dominika czuła ciepło bijące od marmurowej podłogi. Miała na sobie bawełniany szlafrok z paskiem. Stała z rozpuszczonymi luźno włosami, a na udzie miała czysty bandaż. Gable wyszedł po pieczywo.

Aż drgnęła, kiedy usłyszała ciche pukanie, stanęła po jednej stronie drzwi, machnęła złożoną gazetą przed judaszem, zaczęła chwilę, a potem wyjrzała na korytarz. Przed drzwiami stał Nate i patrzył w dół. Dominika otworzyła drzwi. Nate wkuśtykał do środka, opierając się na lasce, i stanął prosto na środku pokoju. Podeszła do niego, przeciągnęła dłonią po jego szyi i pocałowała wprost w usta. Nie widziała go od chwili, gdy trzymała w wozie plastikowy woreczek nad jego głową i jak trafili do pierwszego konspiracyjnego mieszkania.

- Gdzie byłeś? - spytała, ciągnąc go za włosy. - Pytałam o ciebie. - Zaszokowana popatrzyła na jego fioletową twarz, której kolor mieszał się z jego aurą. - Ocaliłeś mi życie, a ja, idiotka, popełniłam błąd. Niepotrzebnie jechaliśmy do mojego hotelu. - Znowu go pocałowała. - Jak się czujesz? Pokaż rękę. - Podniosła jego dłoń i ją pocałowała. - Dlaczego do mnie nie przyszedłeś? Nate odsunął się trochę.

- Czy miałeś zamiar powiedzieć mi o tym mieszkaniu? - spytał drewnianym głosem. - Czy w ogóle chciałeś dać znać, gdzie jesteś? Jego słowa tworzyły w powietrzu fioletowe kółka. Miała wrażenie, że uderzają wprost w jej twarz. Wyszła na balkon.

- Tak, oczywiście, za parę dni - odparła. - Benford prosił, żebym była cicho dwa, trzy dni. Żeby wszystko się uspokoiło. Dominika oparła się o barierkę. Nate wyszedł za nią i oparł się o węgar. Jego fioletowa chmura pulsowała, jakby ktoś gasił i zapalał

światło. Ręce mu się trzęsły i po chwili włożył je do kieszeni.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała Dominika.

- Wszystko, co wiąże się z tą sprawą: mieszkania konspiracyjne, sygnały, wywiad z kanałów łączności musi zyskać aprobatę centrali. Sam napisałem kilka depesz, ale Benford i Forsyth napisali własne i nadali je zastrzeżonymi kanałami. Przeczytałem je wbrew przepisom. Prawdę mówiąc, sporo ostatnio czytałem.

Dominika patrzyła na niego, na jego aureolę, starała się zgadnąć, co myśli, i wyczuła jego gniew. Tego właśnie chciał Benford.

- Czy wiesz, że w Moskwie aresztowano Korcznoja? - spytał brutalnie Nate. - Było o tym w wywiadzie z kanałów łączności, no i linia WCz w Moskwie jest ciągle zajęta. Wiesz, że jest w Lefortowie?

Nie odpowiedziała.

- Co powiedziałaś wujowi, kiedy zadzwoniłaś do Moskwy? - spytał beznamiętnym tonem.

Dominika poczuła, że robi jej się ciężko na żołądku.

- Benford nie chce, żebyśmy o tym rozmawiali, Niejt. Sam to powiedział.

- W depeszach była informacja o twoim telefonie. Mówiłaś, że byliśmy razem. Że powiedziałem ci o swoim agencie w Moskwie. Kto kazał ci to powiedzieć? - Patrzył na nią ponuro z opuszczonymi rękami i tylko jego aura pulsowała. - Czy wiesz, że najprawdopodobniej aresztowali go z powodu tego telefonu? Co powiedziałaś Jegorowowi?

- O czym ty mówisz? - rzuciła zmieszana, przestraszona.

Czuła narastającą wściekłość, tym większą, że dowiadywała się tego wszystkiego od Nate'a. - Wierzysz, że mogłabym ś w i a - d o m i e coś takiego zrobić?

- Więc nie wiedziałaś? To jest w depeszach...

- Wszystko mi jedno, co tam napisali - powiedziała i zrobiła krok w jego stronę. - Wierzysz, że mogłabym zrobić coś złego

generałowi?

Pamiętała instrukcje Benforda, żeby nic nie mówić.

- Kiedy do mnie nie dzwoniłaś, kiedy się gdzieś zaszylaś, myślałem, że chodzi o środki bezpieczeństwa. Ale jak mogłaś się zgodzić na zdradę Korcznoja? Twój telefon wywołał katastrofę.

Dominika patrzyła na niego wielkimi oczami.

- Czy to Benford kazał ci tak mówić?

Nate przeciągnął palcami przez włosy.

- Słuchałaś rozkazów, wypełniałaś plan. Teraz możesz stać się najważniejszym agentem. Gratuluję.

Fiolet emocji wylewał się niczym lawa wszędzie dokoła.

- O czym ty mówisz? Nikogo nie wydałam!

- Cóż, dzięki tobie Korcznoj trafił do więzienia. On jest zgubiony, a ty możesz zająć jego miejsce.

- Myślisz, że to ja? - spytała z niedowierzaniem. - Nie powinieneś do mnie tak mówić. - Chciała krzyknąć, ale mogła tylko niemal szeptem wyrzucać z siebie słowa. - Po tym wszystkim, co przeszliśmy, co między nami jest...

Czuła, że nie może się rozplakać.

- To nie pomoże w tej chwili generałowi - mruknął Nate.

Wyprostował się i obrócił w stronę mieszkania. Mogła go zatrzymać, spróbować wszystko wyjaśnić, ale tego nie zrobiła. Zatrzasnął drzwi, odgradzając się od niej ze swoim świetlistym gniewem.

*

Forsyth musiał powstrzymać Dominikę, kiedy Benford powiedział, iż w istocie jej telefon do wuja był bezpośrednim powodem aresztowania Korcznoja.

- Jak śmieliście mnie do tego wykorzystać! - syczała, starając się odsunąć jego ramię.

Forsyth poprowadził ją do fotela i stał między nią a Benfordem, gdy złapała za poręcz.

- Wykorzystaliście mnie jak jakąś donosicielkę. - Chciała się zerwać na równe nogi, ale powstrzymała ją wyciągnięta w górę ręka Forsytha. - Wszyscy jesteście tacy mądrzy. Nie mogliście wymyślić czegoś lepszego?

Benford chodził po salonie, a za nim ciągnęła się ciemnoniebieska peleryna zdrady. Od drzwi balkonu dochodziła do nich morska bryza.

- Podjęliśmy decyzję - zaczął. - To Wołodia wymyślił ten plan i nalegał, żebyśmy go zrealizowali. Było to najlepsze, co mógł zrobić jako agent: wybrać i przygotować kogoś, kto będzie jego następcą. Zdecydował, jeszcze zanim wypuścili cię z Lefortowa. Myślę, że powinien być zadowolony.

Dominika znowu zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

- Pozwolicie mu umrzeć, byle tylko mieć informacje? Czy to głupie szpiegowanie jest dla was ważniejsze niż taki człowiek?

Wstała i zaczęła chodzić z rękami zaciśniętymi na brzuchu.

Pasma jej włosów rozsypywały się we wszystkich kierunkach.

- To głupie szpiegowanie to nasza praca, o to nam właśnie chodzi. Wszyscy coś poświęcamy, by być w tej grze. Nie ma takich, co niczego nie tracą.

Dominika spojrzała na Benforda, a potem złapała lampkę ze stolika i roztrzaskała ją na kawałki o marmurową podłogę.

- Pytałam, czy informacje są dla was ważniejsze niż generał Korcznoj! - krzyknęła.

Patrzyła na Benforda tak, jakby była gotowa zatopić zęby w jego ciele. Forsyth był tym zaszokowany. Przesunął się trochę w jej stronę na wypadek, gdyby zdecydowała się na atak.

- Prawdę mówiąc - Benford spojrzał na kolegę, a potem na Dominikę - nie. Ale musimy iść dalej. Teraz najważniejsze jest to, żebyś mogła wrócić do Moskwy. Właśnie tym powinniśmy się zająć.

- Najważniejsze? Przecież to przez pana odpowiadam za

śmierć tego człowieka. To przez pana znalazłam się w tej sytuacji. Jeśli odmówię, wiedząc o tym wszystkim, okaże się, że ofiara generała pójdzie na marne. - Zrobiła zwrot i znowu zaczęła chodzić. Zmrużyła oczy i popatrzyła na nich obu. Rąbek jej sukienki zakłuł się, kiedy zadrżała. - Jesteście tacy sami jak oni.

- Uspokój się. Nie mamy czasu na histerie - rzekł Benford. -

Wołodia powiedziała ci dokładnie to samo. Musisz przygotować się do powrotu do Rosji. Musimy wykorzystać tę sytuację, to, że stałaś się sławna jako wywiadowca. Dzięki tobie aresztowano amerykańskiego kreta. Musisz to wykorzystać.

Aureola Benforda przypominała teraz barwą alpejskie jezioro.

Był skoncentrowany, rozdrażniony, niepewny.

- *Szto za bried* - rzuciła. - Brednie. Gdybym znała prawdę, nigdy bym się na to nie zgodziła.

Wszyscy milczeli. Tkwili bez ruchu w salonie i patrzyli na siebie. Forsyth zauważył, że Dominika zaczyna wolniej oddychać, przestaje zaciskać ręce, staje swobodniej. Czyżby chciała się zgodzić? Benford pierwszy przerwał ciszę.

- Musimy działać szybko. Więc zgadzasz się? Przyjmiesz tę propozycję?

Dziewczyna wyprostowała barki.

- Nie, nie mogę jej przyjąć. - Zerknęła na Forsytha. - Jestem oficerem SWR, znam grę, *gadkije miery*, straszne rzeczy, które trzeba robić ze względu na operację. - Popatrzyła na nich obu. - Ale pewne sprawy są ważniejsze niż służba. Choćby szacunek i zaufanie. Między współpracownikami i partnerami. Wy wymagacie ode mnie, więc czemu ja nie miałabym wymagać od was?

- Pamiętaj, że Wołodia sam to wszystko wymyślił. Szkoda jego odwagi... - Benford czuł, że wszystko wymyka mu się z rąk.

Dominika znowu na nich spojrzała, a potem wróciła do swojej sypialni, zamykając za sobą cicho drzwi. Niedobrze, pomyślał Forsyth. Obrócił się do Benforda.

- Myślisz, że nas zostawi?
- Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt - odparł Benford i zmęczonym gestem oparł się o sofę. - Brakuje nam czasu. Jeśli ma wrócić, to musi się na to zdecydować najpóźniej jutro. Marmur był pewny, że się zgodzi. Boję się myśleć, jakie lanie dostaniemy, jeśli zostaniemy z pustymi rękami, jeśli ona tam nie wróci.
- Ale to nie wszystko, prawda?
- Tak? - zainteresował się Benford.
- Masz jeszcze asa w rękawie. Coś, co ją w końcu przekona.
- Nie podoba mi się ta metafora. To nie gra w karty. Tu nie decyduje ślepy los...
- Jesteś pewny, Simon? Bo mnie się wydaje, że przede wszystkim.

Benford siedział na kanapie pod lipą w donicy w atrium wiedeńskiego hotelu König von Ungarn, położonego w kącie Schulerstrasse za katedrą Świętego Szczepana. Wrócił właśnie z hotelu Bristol po zadziwiającej półgodzinnej rozmowie z szefem kontrwywiadu SWR, Aleksiejem Ziuganowem, który pojawił się w dziwnym filcowym kapeluszu. Towarzyszył mu śniady młodzieniec z rosyjskiej ambasady. Rozmawiali przy polskiej wódce i słodko-kwaśnych ogórkach, a Ziuganow wciąż udawał, że nic nie wie o krwawej jatce, która miała miejsce w Atenach. Nie chciał też rozmawiać o generale Korcznoju i tylko powtarzał, że jest on winny zdrady stanu. Nalegał, by Benford osobiście interweniował u greckich władz, które muszą przekazać Jegorową rosyjskiej ambasadzie w Atenach.

Benford całkowicie poważnie oświadczył, że Grecy są w tej sprawie bardzo oporni i nie tylko przesłuchują Jegorową w sprawie śmierci byłego oficera Specnazu, ale chcą, by wzięła udział w konferencji prasowej i opowiedziała o całej swojej działalności w zamian za łagodniejszy wyrok. Ziuganow wyprostował się i powtórzył, że żąda wypuszczenia Jegorowej, a wtedy Benford złożył

mu swoją propozycję. Pół godziny później rozedrgany Ziuganow opuścił gwałtownie hotel i nawet nie zapłacił za brandy. W porządku, pomyślał Benford. Zapłacą za to więcej, niż może im się wydawać.

W gabinecie na Kremlu w lodowato niebieskich oczach pojawił się płomień, a usta w kształcie łuku Amora wygięły się lekko. Jako polityk rozważał korzyści wynikające z propozycji Amerykanów. Były kagiebiści doceniał korzyści wynikające z tej operacji. Ale siłacz skoncentrowany na konsolidacji wszelkiej możliwej władzy w przekształconym imperium nie chciał iść na ugodę. Nawet przy takiej stawce. Ziuganow stał ze spuszczoną głową w obitym boazerią gabinecie, a jego prezydent mówił cicho wprost do jego ucha z ojcowską dłonią na jego małym barku.

SAŁATKA OGÓRKOWA Z HOTELU BRISTOL

Obieramy ogórki i usuwamy z nich pestki; kroimy cienko. Siekamy czerwoną cebulę i jedną papryczkę chili. Mieszamy w misce z octem z białego cydru, solą, pieprzem, cukrem, koprem i odrobiną oleju z sezamu. Podajemy schłodzoną.

Benford, Forsyth i Gable siedzieli w rezydenturze w Atenach. Zajmowali miejsca przy jednym końcu porysowanego stołu konferencyjnego w zabezpieczonym pomieszczeniu, które stanowiła ulokowana w pokoju dziewięciometrowa przyczepa Lucite. W środku paliły się jarzeniówki, dające mocne, nieprzyjemne światło. Kubki z kawą zostawiały na blacie nowe kółka, ale i tak było ich tam bardzo dużo. Nate znajdował się nieco dalej, w ambulatorium, gdzie mieli mu zdjąć część szwów.

- Będzie problem, jeśli Diva nie zgodzi się wrócić - mruknął Gable. - Rosjanie tak się wkurzą, że z czystej złości zastrzelą Marmura.

Benford postawił torbę na stole i rozpiął zatrzaski. Obrócił się do Gable'a.

- Więc pewnie się ucieszysz, że to ty masz ją przekonać, żeby wróciła do Rosji i jarzma. Pomijając naszego superbohatera, to właśnie ciebie najbardziej szanuje. Tylko ciebie nazywa, zaraz, jak to było? Bratek?

- *Bratok* - odparł Gable. - To znaczy brat.

- A tak. Więc posłuchaj, bracie. Diva uważa, że ją zdradziłem, a tym samym, że zdradziło ją CIA. Ze względów operacyjnych nie chcemy, żeby Nash się za bardzo w to angażował. Poza tym z powodu zaniedbań i ich zbyt bliskich kontaktów sytuacja między nimi nie jest do końca czysta. - Spojrzał na Forsytha, a potem znacząco na Gable'a. - Dlatego powierzam to niezwykle delikatne zadanie właśnie tobie, *bratok*. Masz skłonić Divę do powrotu.

Benford przewrócił torbę do góry dnem. Na stół posypały się papiery i lśniące czarno-białe zdjęcia. Forsyth zgarnął je w jeden stos, zaczął przeglądać, podając następnie Gable'owi.

Zdjęcia przedstawiały rzekę, spokojnie i wolno płynącą przez wieś, z odrobiną piany na jazie, a nad nią przebiegał ustawiony na betonowych słupach dwupasmowy most z lekką, nieco łukowatą

barierką. Po obu stronach rzeki stały zamki: jeden z kwadratową wieżą, a drugi płaski, zwieńczony blankami. Wzdłuż rzeki ciągnęły się proste domki, a trochę dalej na tle szarego nieba widać było okopcone bloki. Na moście stały pełne towarów, pokryte plandemkami ciężarówki.

- Most na Narwie - powiedział Benford, wskazując jedno ze zdjęć. - Po prawej Rosja. Po lewej Zachód, jeśli tak można nazwać Estonię. - Obrócił kolejne zdjęcie. - Przejście graniczne, bardzo wolne, zwykle przejeżdżają tędy ciężarówki. Do Petersburga jest stamtąd sto trzydzieści pięć kilometrów. - Benford postukał palcem. - Właśnie tu przekroczy granicę.

- Dlaczego właśnie tu? - spytał Gable. - Grecy mogliby odwiedzić ją na lotnisko i w ciągu trzech godzin byłaby w Moskwie. Benford przez dłuższy czas patrzył na jedną z fotografii, zanim odpowiedział.

- Używając jednej z ulubionych hazardowych metafor Forsytha, wychodzimy mniej więcej na swoje. Z jednej strony, dzięki Marmurowi udało się unieszkodliwić groźną agentkę z Waszyngtonu. Z drugiej, straciliśmy jego samego. W zamian Diva rokuje nadzieje i muszę powiedzieć, że jej notowania znacznie skoczyły. - Wypił trochę kawy. - Dodam jeszcze, że mamy olbrzymie szczęście, bo oboje z Nashem wyszli cało z zaplanowanego zamachu.

- Mnie samemu w tym wszystkim nie odpowiada wielkie poświęcenie bohaterskiego agenta. Próbowałem go przekonać, żeby działał dalej, ale był nieugięty. Czuł, że zostało mu mało czasu. - Benford popatrzył na twarze zgromadzonych, a potem znowu zaczął przeglądać zdjęcia.

- Nie chcę, by tak się to skończyło - podjął po chwili, stawiając torbę na stole. - Chcę więc zająć się ostatnią ważną sprawą.

- Ostatnią sprawą? - powtórzył Forsyth.

- Marmurem. Pragnę go odzyskać. Zasłużył sobie na emeryturę - oznajmił Benford.

W przyczepie zapanowała cisza. Słyszeć było tylko szum wentylatora. Gable potrząsnął głową.

- Pozostaje tylko ten drobiazg, że trzymają go w Lefortowie.

Jako amerykańskiego szpiega - zauważył. - O ile wiem, tacy skazani nie mogą odpracować wyroku.

Forsyth milczał, widział, co się święci.

- Myślę, że ich centrala zgodzi się na wymianę Marmura.

- Wymianę? - powtórzył Gable. - Ale na kogo?

- Na Divę. Na tyle jej potrzebują, że są gotowi puścić Marmura. Coś takiego nigdy by się nie zdarzyło za Stalina czy Andropowa, no ale mamy teraz Rosję, a nie Związek Sowiecki. Putin przejmuje się tym, jak odbierają go w kraju i za granicą. Diva zna jego sekret, kilka sekretów, które mogłyby przysporzyć mu sporo kłopotów w Rosji.

- Rosjanie nigdy się na to nie zgodzą - rzekł Gable. - Nie wypuszczą Marmura. Będą się bać przyszłych zdrajców i utraty twarzy, tego, że okażą słabość...

- Prawdę mówiąc, już się zgodzili. Putin wyda centrali rozkaz, by poszła na ten układ.

- Zaraz, nie rozumiem - sapnął Gable. - Umówiłeś się z Rosjanami na wymianę, nie wiedząc, czy Dominika na to pójdzie?

- Właśnie dlatego na ciebie liczę. Poza tym Diva nie powinna odmówić, kiedy się dowie, że w ten sposób pogrzebałaby wszelkie szanse na uwolnienie Marmura.

- Pieprzony as w rękawie - mruknął Gable, a Benford spojrział na niego z rozdrażnieniem. - To nie jest dobry sposób na to, by ją przekonać do współpracy. Bo jeśli nas znienawidzi, jeśli nie spodoba jej się taka manipulacja, to będzie mogła z czystej złości zerwać kontakty. I już niczego od niej się nie dowiemy.

- Dlatego powinieneś unikać tego tematu. Postaraj się ją na nowo zmotywować. Przygotuj ją na to, że będzie prowadzona na terenie własnego kraju. Podkreśl, że to ona ma w tej chwili klucze

do celi Marmura - tłumaczył Benford.

- Mam unikać tematu manipulacji. Dobrze. Za godzinę będę w Glifadzie - powiedział Gable.

- Goni nas czas - podkreślił Benford. - Powiedziałem Rosjanom, że chcemy szybko załatwić tę sprawę. Zostały godziny, może dni...

- Narwa w Estonii - westchnął Gable. - Dobry Boże!

Dwaj Gruzini stanęli na baczność w gabinecie Ziuganowa i popatrzyli na kawałek ściany tuż nad głową szefa. Byli to *czistiliszcziki* średniego stopnia z wydziału V SWR, specjaliści od mokrej roboty, następcy administracji do zadań specjalnych generała Pawła Sudopłatowa, która przez wiele lat eliminowała wrogów systemu zarówno w kraju, jak i za granicą. Ziuganow czytał właśnie świeży raport od informatora z greckiej policji. Draby w ciszy opuściły gabinet.

Następnie Ziuganow zadzwonił po Ludmiłę Cukanową. Weszła do środka niespiesznie, ospale, z wahaniem, patrząc na wypolerowane czubki swoich brązowych butów, które jeszcze widziała zza wielkiego brzucha wciśniętego w o numer za mały mundur. Brązowe włosy miała ścięte nierówno i dosyć krótko. Na pierwszy rzut oka jej okrągła słowiańska twarz wyglądała na zdrową, ale z bliska widać było, że ta trzydziestolatka ma trądzik. Czerwony wyprysk na jej brodzie wyglądał na bolesny.

Kobieta słuchała niepewnie, jak Ziuganow mówił do niej przez ponad pół godziny. I choć wyglądała na skrepowaną, jej czarne rekinie oczy, oczy lalki, przykute były do jego twarzy. Kiedy skończył, skinęła głową i wyszła z gabinetu.

Gable powiedział później, że wbrew pozorom Benford bardzo się denerwował, kiedy prezentował im tajniki tej chińskiej układanki, a słowa wylewały się z ust Benforda, jakby tama jego mózgu nie mogła utrzymać spiętrzonej elokwencji.

- Forsyth, ty zostaniesz w rezydenturze, żeby odpierać nieu-

niknione zmasowane ataki Pierwszego Lorda Admiralicji, szefa na Europę, i innych ważniaków z centrali. Ja polecę wcześniej do Estonii, żeby zapanować nad tamtejszym młodym rezydentem i nawiązać kontakt z policją, która nazywa się KaPo. Ćwiczyli ich jeszcze Rosjanie, ale teraz należą do NATO i są bardzo lojalni i gorliwi. Podejrzewam, że centrala SWR się włączy do akcji i roześle agentów po całej Estonii. Może nawet próbować odbić Divę. Ty, Gable, dostałeś najtrudniejsze zadanie. Masz ją ukrywać i dbać o jej bezpieczeństwo. I przekonać do powrotu do Rosji. Został ci na to dzień albo dwa, a potem, pod koniec drugiego dnia, musisz dostarczyć ją na most dokładnie o siedemnastej zero zero miejscowego czasu. Do tego momentu nikt pod żadnym pozorem nie może korzystać z telefonu, komórki czy stacjonarnego. Obowiązują zasady z Moskwy. Czy wszystko jasne? Rosyjski wywiad z kanałów łączności wychwytuje wszystkie sygnały telefoniczne, a ich centrala w dalszym ciągu korzysta z urządzeń na ich byłym satelicie. Proponuję, Gable, żebyście polecieeli do Łotwy, a potem wcześniej rano pojechali na miejsce z Rygi. Będziecie mieli do pokonania trzysta sześćdziesiąt kilometrów drogą E67. KaPo zamknie most na Narwie, kiedy skończy się dzienny szczyt, a jeszcze przed nocnym napływem TIR-ów. Gable, musisz poświęcić cały wolny czas, by przeciwyczyć z Divą procedurę wymiany. Będą ją bardzo uważnie obserwować. Chcę, żeby Marmur opuścił Estonię w ciągu dwóch godzin. Musi znaleźć się jak najszybciej poza zasięgiem Rosjan. Attaché lotniczy obiecał mi C-37 z Tallina, ale, Forsyth, przypomnij mu o tym. Nie chcę lecieć z Marmurem do Trondheim estońską klasą turystyczną.

Później, kiedy odprowadzał Benforda do bramki na lotnisku imienia Venizelosa, Forsyth wziął go za ramię.

- Przygotowałeś niezłą operację, Simon - zauważył. - Rosjanie, Estończycy, SWR i CIA będą trzymać nerwowo palce na spustach broni. Z bożą pomocą Marmura ukryje ciemność i mgła na

tym moście.

- Tom, Gable i Diva muszą być czyści. Żadnych komórek czy kontaktów, nic, co pozwoliłoby ich centrali na podjęcie akcji.

- Gable już zniknął. Od wczorajszego popołudnia nawet ja nie wiem, gdzie go szukać.

Benford skinął głową.

- Nie mamy wyjścia. Musimy działać tak, jakby się zgodziła.

Chcę, żeby Marmur się tam znalazł, zanim zdecydują się go stracić.

To nasza jedyna szansa. - Benford spojrział przez szybę na płytę lotniska. - Gable ją przekona. Musi to zrobić.

Młody rezydent z Tallina odstawił kawę i aż się wyprostował, kiedy przeczytał nadaną z centrali depezę od Benforda. Wystawił głowę za róg i zawołał żonę. Pracowali tu tylko we dwoje. Kilka razy wspólnie przeczytali tę depezę; żona stała za nim, opierając się brodą o jego bark, i sporządzała w myśli listę spraw do załatwienia: rezerwacja hoteli i samochodów, przygotowanie sprzętu łącznościowego, lornetek...

Zgodnie z instrukcjami rezydent skontaktował się z łącznikiem z KaPo, Kaitsepolitsei, z prośbą o pilne spotkanie. Eskorta w mieście? Do granicy na Narwie? Skopać dupę naszym byłym rosyjskim gospodarzom? Z przyjemnością, odpowiedzieli policjanci.

Wszystko będzie załatwione.

Benford przyleciał do Tallina przez Tempelhof samolotem Lufthansy. Zatrzymał się na chwilę w hotelu Schlüssle na starówce, a potem razem ze skorym do działania rezydentem odbył jazdę do punktu granicznego i z powrotem, by sprawdzić czas i dokonać obserwacji. Co pewien czas jechała za nimi drogą E20 nierzucająca się w oczy łada, ale zniknęła na przedmieściach Narwy. Rosjanie wiedzieli, gdzie ma się odbyć wymiana. W drodze powrotnej Benford zatrzymał się w przydrożnym barze, by zobaczyć, jak zachowa się kierowca łady. Przejechał on jakieś dwieście metrów dalej i czekał na poboczu. Benford przedłużał lunch jak tylko mógł,

zajadając gotowane kielbaski, marynaty, śledzie i sałatkę *rosolli* z ciemnym chlebem i popijając wszystko gęstym ciemnym piwem. Miał nadzieję, że wywiadowcy z łady są głodni.

Przeszukano też pokój hotelowy Benforda. Wywiadowcy byli bardzo dobrzy, nie naruszyli żadnej z zastawionych na nich przez lokatora tradycyjnych pułapek: rozrzuconych gdzieś włóśców, rozsypanego talku, równo ułożonych na biurku notatników. Nie byli jednak tak dobrzy jak Benford. Rezydent z Tallina patrzył z fascynacją, jak ten za pomocą ukrytej w obudowie zegarka mikroskopijnej soczewki Stanhope'a ogląda pokrywkę zostawionej specjalnie komórki, którą włożył do bocznej kieszeni walizki. Benford skinął głową. Drobne znaki na pokrywie były źle rozmieszczone. Zapewne zdjęli pokrywkę i załadowali jej bezużyteczną pamięć do swojego komputera.

Trwały też inne przygotowania. Dyrektor biura SWR w Petersburgu odebrał telefon z Jasieniewa na linii WCz. Poinformowano go tylko o tym, że na jego terenie odbędzie się wymiana. Kazano mu przygotować zespół, który miał się zająć wypuszczanym więźniem, a następnie w możliwie najkrótszym czasie przewieźć „ważną osobę” z mostu na Narwie do Iwanogrodu, a potem do Petersburga.

Pozwolono mu skontaktować się z petersburską FSB i strażą graniczną leningradzkiego obwodu, by mogły wspierać SWR w czasie wymiany. Pułkownik Ziuganow z Moskwy kładł nacisk na to, że wymiana ma być płynna, niczym niezakłócona i jak najbardziej utajniona.

Dyrektor z Petersburga otrzymał zgodę na wykorzystanie helikoptera straży granicznej przy transporcie „ważnej osoby” z Iwanogrodu do Petersburga. Dalej, aż do Moskwy, miał ją już wieźć odrzutowy Jak-40 z prezydenckiego szwadronu.

Wymiana Marmura była wyznaczona na następny dzień, na godzinę siedemnastą zero zero uniwersalnego czasu koordynowa-

nego. Być może dlatego, że wszyscy byli spięci, a Forsyth martwił się o Gable'a, a może dlatego, że wiedział, iż Nate'a wyłączono z operacji i ma wracać do Waszyngtonu, postanowił zabrać go na piwo.

Siedzieli pod platanami w tawernie Skalakia w dzielnicy Ambelokipi nieco w dół od ambasady. Nate błąkał się bez celu po ambasadzie, czekając na samolot, a Forsythrowi było go żal. Ten dzieciak wiele ostatnio przeszedł i nieźle się przy tym pokaleczył. Forsyth doskonale wiedział, co go gnębi, pomijając zwykłą jego troskę o papiery i pracę.

Poprowadził go więc w dół główną ulicą, a potem w górę schodami do wypolerowanych drzwi tawerny i usiedli na zewnątrz, wsłuchując się w ciche odgłosy miasta pogrążonego w sjęście. Nate spytał Forsytha, czy Diva pojechała do Rosji po tym, jak wydała Marmura, a potem wypił jednym haustem resztę piwa i zamówił następne.

Forsyth popatrzył na niego ostro, a Nate powiedział, że przeczytał raport z zastrzeżonym dostępem, kiedy Maggie nie patrzyła, i wie wszystko o planie Benforda i wydaniu Marmura. Czy nie staramy się chronić naszych agentów? I jak ona mogła? Rosjanie. Marmur nigdy by tego nie zrobił, on był inny.

Forsyth powiedział mu, co myśli, wypalił prosto w oczy, powiedział, że Nate nie ma o niczym pojęcia. Powiedział, że chętnie by mu dokopał za grzebanie w tajnych dokumentach. Powiedział, że Dominika nie wiedziała o planach wydania Marmura, słuchała tylko rozkazów, wykonywała polecenia Benforda, nie wiedziała o pułapce ani że jej słowa będą miały fatalne następstwa. Rozkazano jej także, żeby nie mówiła o tym Nate'owi. Jest zdyscyplinowana, profesjonalna. Załamała się, kiedy powiedzieli jej o Marmurze. Nate milczał przez dziesięć minut. Oświadczył Forsythrowi, że jedzie do mieszkania konspiracyjnego, żeby się z nią spotkać.

- Nie trudź się. Zamknęliśmy je już wczoraj. Dominika jest z

Gable'em i nawet ja nie wiem, gdzie mogą się znajdować. Powiedział Nate'owi o planach wymiany i o dwupasmowym moście w Estonii.

- W tej chwili obowiązuje protokół z Moskwy... czy znad Narwy. Bo mamy tylko jedną taką szansę.

Nate zacisnął szczęki.

- Muszę się z nią zobaczyć, Tom. Musisz mi pomóc.

- Nie mógłbym, nawet gdybym chciał - odparł Forsyth. - Na całym świecie jest tylko jedno miejsce, gdzie może się jutro pokazać, a i tak nie jest to pewne.

Nate zrozumiał, że Forsyth mówi mu to wszystko, ponieważ nie zamierza przeszkadzać mu w wyjeździe.

Przez następne dwadzieścia cztery godziny Nate to czynił sobie wyrzuty, to pogrążał się w nienawiści do samego siebie. Jego podróż zaczęła się w momencie, kiedy wstał od stolika i oddalił się od Forsytha, który wiedział, co będzie próbował zrobić. Forsyth rozumiał, że jeśli tego nie spróbuje, będzie jeszcze gorzej niż teraz. Miał dzień, by dostać się na miejsce przeznaczenia. Samochody w Atenach tkwiły w korkach, egejskie słońce wpadało do wnętrza taksówki, a pot spływał po jego plecach wprost na siedzenie ze sztucznego tworzywa. Nate rzucił taksówkarzowi euro i poszedł do terminalu, gdzie kupił torbę, szczoteczkę do zębów, koszulkę i bilet na najbliższy lot do Monachium, a było w kolejce nie chciało się przesuwac, i on prawie zaczął krzyczeć, ale przekuśtykał przez kontrolę bezpieczeństwa, prawie nie zauważył, jak startują, a potem zastanawiał się, dlaczego samolot leci tak nisko nad Alpami, i dalej autobus przegubowy na lotnisku w Monachium okrążył dwukrotnie płytę lotniska, zanim zatrzymał się przed rozsuwanymi drzwiami, a on mówił sobie, że nie może się spieszyć, że wszędzie są kamery, i w dodatku zaczęły go swędzieć zszyte miejsca. Niekończąca się monachijska hala z kiełbaskami i piwem, które zwymiotował pięć minut później, i dwaj VoPo, policjanci z MP5, którzy poprosili go o

paszport i kartę pokładową, a on prawie im powiedział, że za bardzo się spieszy, urzędnicy z epoletami, przyglądający mu się trochę za długo, a on chciał wyrwać im papiery, ale zmusił drżąca, wilgotną dłoń, by warowała przy jego boku. W poczekalni pełno było grubych Bałtów z obwiązanyymi sznurkiem walizkami, Nate chciał przepchnąć się przez nich do bramki, ale stłoczyli się przed nim, a komunikat o dwugodzinnym opóźnieniu sprawił, że ścisnął mu się jego wypełniony kwasem żołądek, i po raz setny sprawdził zegarek, i usiadł na popękany plastikowym krześle, słuchając rozmów Bałtów, czując zapach chleba i kiełbasek, które jedli, ale na szczęście zdążył do łazienki i zaczął wymiotować, mimo że miał pusty żołądek, co stanowiło prawdziwą męczarnię; uniósł koszulę, by sprawdzić, czy nie puściły mu szwy - jego skóra była różowa i gorąca, ale nic nie przeciekało. Potem przy bramce zasnął spocony, widząc jej twarz, słysząc głos. Ktoś, przechodząc, potknął się o jego nogi, a on znowu stanął w kolejce, półświadomy, senny, z brzęczeniem w głowie, otoczony ludźmi, ale i tak musiał jeszcze czekać na płycie lotniska, aż usuną problemy techniczne, dwadzieścia minut, czterdzieści minut, godzinę, a Bałtowie wciąż gadali, brzęczenie zaś w jego głowie stało się silniejsze i zatkało mu uszy, gdy unieśli się w powietrze, a stewardesa spytała, czy nic mu nie jest. Dwie godziny później nie mogli lądować z powodu mgły i skręcili do Helsinek, a on nie mógł tego znieść, zamknął oczy, oparł głowę o zagłówek, a mgła podniosła się na czas, a stoły na bagaż na miłym nowoczesnym lotnisku w Tallinie były z nierdzewnej stali, ale komórka na kartę, którą kupił na lotnisku, nie chciała działać, a samochód, który wynajął, miał luz w kierownicy, ale brakowało mu czasu, by go wymienić; mały silnik grzechotał pod maską, a on jechał za szybko, pomylił się na obwodnicy Tallina i pojechał na południe E67, aż przeczytał na tablicy, że to kierunek na cholerną Rygę, więc zawrócił na E20 i jechał w towarzystwie ciężarówek z przyczepami, które napierały na jego samochodzik, i policjant z

radarem zatrzymał go, a potem niespiesznie wypisał mandat i zasalutował, wręczając papierek, i miasta znowu potoczyły się za niego, obce nazwy w obcym księżycowym krajobrazie z niewielkimi wzgórzami i szpalerami drzew koło błotnistych farm; zostawił za sobą Rakvere, potem Kohtla-Järve, jakąś Vaivare i wreszcie dotarł na przedmieścia Narwy, obskurnej Narwy - było popołudnie, na niebie ciemne chmury i szybko znalazł zamek z mostem, za wodą rozciągała się Rosja, ale coś mu kazało jechać stamtąd, nie „grzać” tego miejsca - tyle jeszcze mu zostało z operacyjnej dyscypliny. Jeździł po mieście z nadzieją, że ją zobaczy, ale nie było na to szansy, a on myślał o winie i wstydzie i wykrzesał z siebie jeszcze trochę dyscypliny, zaparkował w centrum i siedział, jego samochód trząsał się, kiedy przejeżdżały tramwaje, ręce mu drżały, patrzył przez zamgloną szybę, malutka wskazówka na desce rozdzielczej poruszała się do tyłu, a on wymył twarz, pachy i brzuch wodą - zszyte miejsca wciąż go swędziały - w łazience na stacji benzynowej i popatrzył na swoją posiniaczoną jak u upiora w operze twarz - ale z niego kochanek! - i założył koszulkę z grecką flagą, i zjadł kanapkę ze zbrązowiałą na brzegach sałatą, a smalec aż wylewał się na papier, a Forsyth mówił przecież, że o zmierzchu, więc włączył silnik, i nie czuł nóg ani stopy na pedale zmiany biegów, i znowu pojechał w stronę mostu, ale już ustawiono pasiasty kozioł, a na środku drogi stał zaparkowany jeep, więc powiedział strażnikowi, że jest zaproszony na ceremonię, ale niebieskie oczy i język pod furażerką nie rozumiały słowa „ceremonia” i patrzyły na paszport Nate’a, kiedy on cofnął się i objechał kozioł, usłyszał gwizdek, ale nie sądził, by do niego strzelali, i tuż przed sobą zobaczył furgonetkę i jeepa oraz stojącego obok Benforda i wszystko zaczęło mu się zamazywać przed oczami. Nie wiem, czy to ja, czy ta luźna kierownica, pomyślał; wrzucił luz i w ostatnim odruchu dyscypliny, który mu pozostał, spokojnie ruszył do Benforda.

ROSOLLI - SAŁATKA Z BURAKÓW

Kroimy gotowane buraki i ziemniaki, kiszony ogórek, obrane jabłko, gotowane na twardo jajko, gotowaną wołowinę lub wieprzowinę i solone, suche i oczyszczone śledzie w ponadcentymetrową kostkę i mieszamy wszystko z kwaśną śmietaną, musztardą, cukrem, pieprzem oraz octem, aż do uzyskania jednolitej masy. Podajemy schłodzoną.

Gable wywłókł Dominikę z mieszkania konspiracyjnego - szła nadąsana - a potem zaszyli się w hotelu. Przez cały dzień rozmawiali w pokoju z widokiem na zatokę, który Gable wynajął pod przybranym nazwiskiem w Astir Palace, w położonym dwadzieścia kilometrów od Aten miasteczku Vouliagmeni. Zameldowali się jako małżeństwo, bo tak było łatwiej. Gable nie rozpoznał policjanta po cywilnemu, który obijał się za kontuarem, ale ten poznał wielkiego Amerykanina i sięgnął po słuchawkę. Gable nie dawał sobie nawet pięćdziesięciu procent szans na przekonanie Dominiki. Dziewczyna z miejsca powiedziała mu, że już go nie szanuje i mu nie ufa, i że wszyscy ją wykorzystują. *Bratok* słuchał z prześwietloną egejskim słońcem fioletową aureolą, kiedy mówiła, że od ukończenia szkoły baletowej odebrano jej prawo wyboru i że stała się popychłem tych lub innych, że ukradziono jej to wszystko, co najbardziej ceniła. Właśnie dlatego zdecydowała się z nimi współpracować. Nate, on i Forsyth byli dla niej jak rodzina, wiedzieli, czego jej trzeba. I wszyscy byli tacy mądrzy, tacy profesjonalni.

Okazało się jednak, że są podobni do tamtych. Zmówili się przeciwko niej. Nawet generał ją oszukał. Jej rosyjski umysł wszędzie dostrzegał spiski, a rosyjska dusza czuła się zdradzona. Nie chciała współpracować. Powiedziała mu też, że nie wróci do Rosji. Zrozumiała, że nie ma sensu walczyć z systemem, jego panowie zawsze zwyciężą. Pozostało tylko zdecydować, gdzie ma jechać. Jeśli Amerykanie na to pozwolą, osiedli się w Stanach, jeśli nie, zastanowi się nad jakimś innym krajem. Jeśli CIA to zablokuje, wróci do Rosji jako osoba cywilna. Ale rezygnuje. Ma dosyć.

Gable pozwalał jej mówić, robił herbatę, dodawał cytryny do *perderà* i słuchał. Kiedy się zmęczyła, usiadła na balkonie z nogami na barierce, wpatrzona w turkusową wodę, a Gable opowiadał jej o swoich pierwszych zadaniach, co bardzo ją bawiło. Śmiała się też

przy lunchu, na który zjedli smażoną ośmiornicę z pietruszką, cytryną i oliwą, a kiedy popołudniowe cienie zaczęły się wydłużać, poszli na spacer do ogrodu.

Gable powiedział, że nie będzie próbował jej do niczego przekonać. Dominika uśmiechnęła się i powiedziała: „Po to, żebym zrobiła to, o co ci chodzi”. Gable zaśmiał się i zaprowadził ją do pokoju, gdzie się zdrzemnęła, kiedy on siedział na balkonie. Tego wieczoru założyła letnią sukienkę i sandały i pojechali rozklekotanym autobusem wzdłuż wybrzeża do małej rybackiej restauracji w Lagonissi. Dominika zamówiła pieczone sardynki w liściach winogron i krewetkowe *yiouvetsi* z pomidorami, ouzo i fetą oraz grillowaną rybę piętę w sosie *latholemono*, a Gable dwa wina: butelkę mocno schłodzonego asprolithi i aluminiowy dzbanek cierpkiej retsiny.

Zajrzeli też do innej tawerny na kawę i Gable zamówił dwa kieliszki mawrodafne, słodkiego ciemnego jak krew tętnicza wina z południa Grecji, na którego kolor zabarwiło się niegdyś morze Homera. Na daszku tawerny migąły bożonarodzeniowe lampki, a ukryte w ciemności fale chichotały cicho na plaży. Dominika popatrzyła na wielką twarz Gable'a i jego krótkie włosy.

- A teraz ze mną porozmawiasz, prawda?

Gable zignorował pytanie i powiedział, że chce, żeby sobie wszystko poważnie przemyślała i zastanowiła się nad tym, jakie warunki pragnie postawić. Powie jej, jak sam widzi całą sprawę i co to dla niej znaczy. Zgodziła się posłuchać, spodziewając się jakichś sztuczek, ale jego fioletowa aura pozostała niezmieniona. Pomyślała więc, że zapewne powie jej prawdę. Zapewne...

Gable stwierdził, że zdecydowała się na służbę w SWR ze słusznych powodów. Mogła służyć ojczyźnie i wiele osiągnąć, wykonując trudną i wymagającą pracę. Okazało się, że jest w tym bardzo dobra. Jednak zezwierzczenie systemu sprawiło, że całe jej poświęcenie poszło na marne. Nic jej nie zostało.

- Zgadza się jak na razie? - spytał.

Dominika oparła się o tył krzesła i skinęła głową. Otaczał go wyrazisty, mocny fiolet.

- Dobra - podjął Gable - potem dzięki zbiegowi okoliczności, szczęściu czy losowi poznałaś Nate'a, który był zupełnie inny - podobnie jak wielu przystojnych oficerów CIA - i zdecydowałaś się spróbować, jak to może być gdzie indziej, być może też odegrać się na tych bydlakach z SWR. Nie chodziło o pieniądze czy ideologię, tylko o ciebie samą, poczucie własnej wartości. - Gable pokazał kelnerowi, że chcą jeszcze wina. - A potem wydarzyło się coś dziwnego. Okazało się, że takie życie na krawędzi, z niebezpieczeństwami i zdobywaniem tajemnic, sprawia ci frajdę. Strasznie ci się to podoba, co?, i najwyraźniej masz apetyt na więcej. - Kelner postawił przed nimi kieliszki i Gable wypił trochę wina. - I jak mi idzie? - spytał. - Dominika skrzyżowała ręce na piersi. - Ale nagle zdradzili ci, których uznałaś za sojuszników, chociaż nie powinnaś tak myśleć. - Dominika popatrzyła na niego ze zdziwieniem. - Korcznoj, Benford i inni chcieli, żebyś zajęła miejsce generała. Może powinni byli spytać cię o zdanie, ale nikt się nie pofatygował. Mamy więc przed sobą ostatni akt i Benford chce, żebyś wróciła do Moskwy, ale oczywiście, moja droga, wszystko zależy od ciebie. Nikt cię do niczego nie będzie zmuszać, sama musisz zdecydować. Dominika spojrzała w stronę ciemnego morza, a potem znowu na Gable'a.

- Co zrobisz bez tego wszystkiego? - spytał. - Jak poradzisz sobie z tą swoją potrzebą?

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

- Myślisz, że nie potrafię bez tego żyć?

- Nie myśl o CIA, tylko o generale. Założę się, że powiedziałby dokładnie to samo. Wracaj i bierz się do roboty. Przez pierwsze pół roku nie przejmuj się CIA. Nie przysyłaj tym draniom z centrali choćby cienia informacji. Zaczynij sama dyktować wa-

runki. Zyskałeś przewagę, więc sama zajmij się swoją karierą. Masz niewyrównane rachunki z wujem. Poinformuj centralę, co zrobił, żeby dostał to, na co zasługuje. Masz wszystkie atuty, a to sprawi, że będziesz nieprzewidywalna i groźna. Najpierw złapałaś Korcznoja, teraz zniszczysz wuja. Wszyscy się będą ciebie bali. Sama wybieraj i żądaj, zmusz ich, żeby dali ci ważne stanowisko, tak żebyś miała dostęp do informacji. Może wydział Korcznoja, może kontrwywiad... Zaczynij twarde rządy. Werbuj cudzoziemców, wywołuj kłopoty, łap szpiegów, szukaj sojuszników i staraj się pokonać wrogów. Teraz ty możesz być złośliwa przy stole konferencyjnym.

Dominika próbowała się nie uśmiechnąć.

- Tak, *złobnaja* - powtórzyła.

- Raz albo dwa razy do roku pojedziesz na jakąś operację i się spotkamy. Powiesz nam to, co zechcesz. Sama zadecydujesz w kwestii kontaktów na terenie Rosji. Osobiście zadbam o twoje bezpieczeństwo, jeśli będziesz chciała się z kimś spotkać. Dostarczymy ci sprzęt do komunikacji, jeśli będziesz chciała. Będziemy pomagać, ale jak zapragniesz, żebyśmy zniknęli, to znikniemy.

- A czy Niejt będzie się tym zajmował?

- Niektórym się wydaje, że to kiepski pomysł. Ze względu na waszą przeszłość... Ale mogę cię zapewnić, że jeśli będziesz chciała spotykać się z nim poza Rosją, to jest to do zrobienia.

- Jesteś bardzo usłużny - zauważyła.

- Masz tę pracę we krwi, Dominiko. Przyznaj, że będzie ci bez niej ciężko. To jest w tobie, w całym twoim ciele...

- Nigdy nie poszłabym z tobą na kolację, gdybym wiedziała, że jesteś janczarem - mruknęła. - Czy CIA porwało cię w dzieciństwie i wyćwiczyło?

- Przyznaj - powtórzył Gable. Jego fiolet wypełniał powietrze obok.

- A teraz jesteś *biezkulturnyj* - zauważyła.

- Wiesz, że mam rację. Przyznaj.

Jego barwa zaczęła otaczać ją samą.

- *Możet byt* ‘. Możliwe - powiedziała w końcu.

- Dominiko - fioletowa chmura zsunęła się znad jego głowy i teraz wirowała między nimi - pomyśl o tym. Chcę, żebyś się zgodziła, ale decyzję musisz podjąć do jutra.

- Zaraz, coś tu się nie zgadza. Znowu jakieś podstępny, *bratok*?

Dlaczego właśnie do jutra?

- Bo do jutra musisz być w Estonii. Jesteś tam potrzebna.

Popatrzyła na niego chłodno, trzymając dłonie na blacie stołu.

- Dlaczego?

Gable opowiedział jej o wymianie w Estonii, widząc, jak oczy zwięzają jej się w dwie szparki.

- Tylko się znowu nie wściekaj. Nie powiedziałem ci wcześniej, bo nie chciałem, żeby nam to ciążyło.

- I nie zmyślasz? - upewniła się Dominika.

- Macie się minąć na tym pieprzonym moście - rzucił Gable. -

Trudno tu coś zmyślić.

- Zakładam, że CIA może sobie wybudować most...

- Nie wygłupiaj się - mruknął Gable.

- Dobrze, odpowiem poważnie. Ponieważ mi to powiedziałaś, znowu stanę się katem generała, jeśli odmówię. Tak naprawdę nie dajesz mi wyboru.

- Przecież ci mówiłem, że wybór należy do ciebie - przekonywał Gable. - Możesz powiedzieć już teraz, że odmawiasz współpracy. I tak jesteśmy twoimi dłużnikami. Masz już konto bankowe i mogę przekazać Benfordowi, żeby sam odwiózł cię jutro do Stanów.

- A generał?

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Był naszym najlepszym agentem. Przetrwał czternaście lat.

Sam zaaranżował swój koniec, bo czuł, że jego czas minął. Wy-

dawało mu się, że znalazł godną siebie następczynię, ale to była jego osobista decyzja. Agenci często giną. Ta sytuacja nie powinna mieć wpływu na twoją decyzję.

- Sam nie wierzysz w to, co mówisz. - Dominika pokręciła głową. - Nate wspomniał kiedyś, że uważasz bezpieczeństwo agentów za najważniejsze. Sumienie nie pozwoliłoby ci go opuścić.

- Być może masz rację - rzekł Gable. - Wyrwanie generała z Lefortowa stanowiłoby niezły początek współpracy.

Dominika wypięła łyk wina, wpatrując się weń intensywnie.

Gable uniósł brew i spojrzał jej prosto w oczy. Wiedziała, że mówi prawdę.

- Ale z was sukinsyny.

- Samolot do Tallina wylatuje o dziesiątej.

- Życzę ci przyjemnej podróży - powiedziała.

Wrócili do Astir Palace ostatnim autobusem. Siedzieli obok siebie, ale przez cały kwadrans milczeli. Przeszli przez hol, wdychając zapach bugenwilli oraz morza i wyszli na wielki taras, gdzie zamówili wodę mineralną i usiedli, podziwiając światła promu na Rodos, przesuające się po linii horyzontu.

Gable nie sądził, że zdołał ją przekonać, była na to zbyt oburzona, zbyt gniewna. Potrafił zauważyć, czy ktoś się waha, czy już podjął decyzję. Dominika miała wszystko, czego potrzeba do tej roboty, ale nie można jej było zastraszyć. Gable pomyślał, że Benford będzie miał nietęgą minę, kiedy przyjedzie bez niej. Najgorsze będzie patrzenie, jak strażnicy prowadzą Marmura z powrotem. Żadnej wymiany. Wykonać wyrok.

On jednak zrobił wszystko, co mógł. Dominika wiedziała, że jest jej przyjacielem i że wszystko zależy od niej samej. Wjechali windą na piętro, lekko zakrzywiony korytarz hotelu był cichy, wydawało się, że są sami na tym piętrze. Słyszeć było tylko magnetyczny jęk od strony szybu windy.

Dominika otworzyła drzwi i zajrzała do środka. Ani ona, ani

Gable nie usłyszeli kroków. Dwaj mężczyźni zdjęli buty i teraz zmierzali szybko w ich stronę z obu stron korytarza. Dominika zauważyła ich i wepchnęła Gable'a do pokoju, ale tamci zdołali wcisnąć się za nimi. Wewnątrz paliły się tylko lampki po obu stronach łóżka.

- *Nie bojsia, my przisli pomocz' tiebie* - warknął niskim głosem jeden z napastników, a Dominika zauważyła, że zwraca się do niej na ty, jakby się znali.

Na moment wszyscy zastygli jak słupy soli, ale była to cisza przed burzą. Dominika widziała rękojeść pistoletu za pasem jednego z nich.

Sądząc po wyglądzie, ci wielcy intruzi pochodzili z Gruzji.

Dominika z płaczem przycisnęła się obok Gable i rzuciła się w ramiona jednego z nich, udając prawdziwą radość. Drugi olbrzym natarł na Gable'a, który usunął się, tak że Gruzin rozwalił szafkę i lampkę przy łóżku. Ale podniósł się zbyt szybko i wydawał się zbyt zwinny jak na swoje rozmiary; obaj zwarli się z Gable'em i padli na podłogę, szukając jakiegoś słabego punktu: oczu, gardła, genitaliów, stawów.

Dominika objęła drugiego olbrzyma za szyję, co nie pozwoliło mu od razu rzucić się na Gable'a. Woniał jak mokry pies, a poza tym czuć od niego było czosnek. Dominika aż się zakrztusiła i popatrzyła na sapiącą masę złożoną z Gable'a i drugiego Gruzina. I nagle zrozumiała, że nie dopuści, żeby *bratok* zginął. Przesunęła dłonią po koszuli mężczyzny aż do jego paska i wyczuła kratkę na ręczce niewielkiego pistoletu i nawet nie próbowała go stamtąd wyjmować, tylko szybko odbezpieczyła i nacisnęła spust trzy, cztery razy, stłumione strzały zagłuszyły krzyki wielkoluda, który padł na plecy, jego twarz wykrzywiła się w bólu, a koszula i spodnie całe były we krwi.

Dominika podeszła z bronią do drugiego Gruzina, który przyparł Gable'a do podłogi i naciskał przedramieniem na jego tcha-

wicę. Już po raz drugi CIA musi o mnie walczyć, pomyślała i pociągnęła tamtego za włosy, co pozwoliło Gable'owi złapać oddech. Mężczyzna odwrócił się i zrobił wielkie oczy, widząc, że to ona go pociągnęła, a Dominika skierowała wylot lufy pod jego brodę, obróciła się, żeby krew jej nie powaląa twarzy i ostrożnie, starając się nie celować w Gable'a, dwukrotnie nacisnęła jęczyczek spustowy. Gruzin rzygnął krwią, padł na bok i już się nie ruszył. Pierwszy natomiast wciąż wił się na zupełnie mokrym od krwi dywanie. Gable wstał, żeby wziąć od niej broń, ale ona na to nie pozwoliła. Zdziwiony patrzył, jak podchodzi do tamtego i osłaniając twarz wolną ręką, przykłada mu pistolet wprost do czoła i strzela jeszcze dwa razy. Głowa Gruzina uderzyła o podłogę. Dominika rzuciła pusty pistolet z zablokowaną prowadnicą w kąt pokoju. Gable miał siniak pod lewym okiem i znaki po paznokciach na prawym policzku i szyi. Oboje wiedzieli, że nie można było inaczej załatwić tej sprawy. Gable przyjrzał się Dominice w półmroku, jaki panował w pokoju - jej pierś wznosiła się równomiernie, na przedramieniu widać było ślady krwi.

KREWETKOWE YIOUVETSI

Na niewielkiej ilości tłuszczu smażyimy kawałki czerwonej papryki i czosnku, dodajemy pokrojone pomidory i Oregano, dolewamy ouzo i odparowujemy, aż powstanie gęsty sos. Dodajemy krewetki i pokrojoną pietruszkę, mieszamy i krótko trzymamy na ogniu. Przekładamy wszystko do naczynia do zapiekania, na wierzch dajemy ser feta i pieczemy w średnio nagrzanym piekarniku, aż całość zacznie bulgotać.

Następnego wieczoru o siedemnastej zero zero nad samą Narwą unosiła się niska mgła, a poza tym niebo było czyste. Zawisła przy ziemi, postrzępiona niczym chirurgiczna wata, i co jakiś czas ocierała się brzuchem o drogę i most. Światło lamp, które właśnie się zapaliły, grzęzło w przesuwającej się na lewo mgle. Odnosiło się wrażenie, że most wraz ze słupami płynie wzdłuż brzegu. Nad nią górowała wieża zamku Hermann na zachodnim brzegu rzeki, stojącego na wprost opuszczonych blanków twierdzy w Iwangorodzie.

Po rosyjskiej stronie drogę blokowały dwie lekkie ciężarówki. Wokół nich kryło się sześciu pograniczników w mundurach kamuflażowych. Za nimi stał mały transporter opancerzony Tigre z karabinem maszynowym na obrotowej wieżyczce na dachu. Nikt przy nim nie siedział, a sam skierowany w niebo karabin był zablokowany. Za tymi pojazdami przy drodze prowadzącej do sklepiku z artykułami różnymi i budynku administracji stało pięć wozów SWR z Petersburga: dwa mercedesy i trzy bmw. Ich kierowcy palili razem w ciemności i rozmawiali. Pozostali weszli do budki straży granicznej i czekali, stosując się do rozkazu, by zachować jak największą dyskrecję. Na spadzistym brzegu pod mostem stali dwaj otoczeni mgłą i zupełnie przemoczeni pracownicy straży granicznej.

Po estońskiej stronie w zaparkowanej pośrodku szosy pięćdziesiąt metrów od brzegu furgonetce siedział Benford. Miał stąd widok na biegnącą przez most drogę i rosyjskie pojazdy. Obok na poboczu stał mały jeep KaPo. W środku siedziało czterech ubranych na czarno komandosów, którzy czekali, pałac. KaPo chciało też umieścić dwóch obserwatorów na wieży zamku Hermann, ale w budżecie ministerstwa zabrakło pieniędzy na noktowizory. Musiały wystarczyć światła na moście.

Usłyszeli pisk hamulców, a potem chrobot opon na zwirowym

poboczu. Benford obrócił się w tamtą stronę i zobaczył Nate'a, wysiadającego z małego samochodziku. Włosy spadały mu na czoło, miał na sobie jakąś idiotyczną biało-niebieską koszulkę - no tak, z grecką flagą. Benford wysiadł z furgonetki i podszedł do samochodu.

- Co tutaj robisz, Nate? - spytał niskim, mocnym głosem. - I skąd ta idiotyczna koszulka? Wiesz, co tu się będzie działo za pół godziny? Bądź tak dobry, włącz do furgonetki i więcej się nie pokazuj. Powinieneś się wymyć. - Benford zaprowadził Nate'a do wozu i zasunął za nim drzwi.

Komandosi z KaPo spojrzeli w ich stronę, zastanawiając się pewnie, co się stało. Benford podszedł do nich i przyjął papierosa. Komandosi milczeli z szacunkiem.

Benford widział, że coś dzieje się na drugim końcu mostu. Lekkie ciężarówki rozsunęły się trochę i wjechał między nie opancerzony transporter. Jakiś żołnierz odblokował karabin maszynowy na jego szczycie. Usłyszeli kolejny silnik i z tyłu nadjechał Gable w nierzucającym się w oczy czarnym samochodzie. Wydawało się, że jest sam. Otworzył drzwiczki i podszedł do Benforda.

- I co, udało się? - spytał Benford. - Chcę wiedzieć, że ją przywiozłeś.

- Rosjanie próbowali ją wczoraj odbić. Taka ekipa ratunkowa. Nie mam pojęcia, jak nas wysłędzili, to pewnie ktoś z hotelu, może z policji, sam nie wiem. Zabiła ich obu. Dokonała egzekucji. Komandosi wyszli z wozu i obserwowali teraz rosyjski brzeg przez lornetkę.

- To ona ich zabiła? Gdzie teraz jest? - spytał Benford. - Kogo wymienimy na Marmura?

- Ciągle odmawiała. Przez sześć godzin mówiła nie. W żaden sposób nie mogłem na nią wpłynąć. Rano miałem ją zawieźć Forsythowi, żeby ją odesłał do Stanów, a ona już czekała na mnie przy

aucie. Nie wiem, może na jej decyzję wpłynęło to, że załatwiła tych dwóch mechaników. Jest porządnie wkurzona. - Benford wyglądał tak, jakby za chwilę miał zemdleć. - Leży na tylnym siedzeniu. Przeszła tam, kiedy wjechaliśmy do Narwy. Lekki kamuflaż. Benford wydmuchał smugę dymu. Miał za sobą siedemdziesiąt dwie godziny niepewności.

- Zgodziła się? - spytał.

- I tak, i nie. Powiedziała, żebym się wypchał, i że robi to tylko po to, żeby ocalić Marmura. I że przemyśli sobie kwestię dalszej współpracy, a w tym czasie chce rozpętać burzę w centrali. Być może mamy agentkę, a może nie. Poinformuje nas później.

- Co to znaczy?

Gable zignorował to pytanie.

- I jeszcze jedno. Jest problem z Nashem. Pytała o niego. -

Benford zaczął się śmiać. - Czy powiedziałem coś śmiesznego? - spytał Gable.

- Siedzi w furgonetce. Nash. Nie wiem, jak zdołał tu dotrzeć z Aten, no ale się udało. To jego samochód. - Wskazał zielonego gruchota.

- W jakim jest stanie?

- Nabuzowany, uparty jak osioł, wyczerpany. I co ty na to?

- Myślę, że powinniśmy im pozwolić chwilę porozmawiać. To może im dobrze zrobić. Ona będzie miała wspomnienia na dalszą drogę, a Nate się trochę uspokoi. Mogę podjechać tak, żeby nikt nie zauważył, jak wsiada do furgonetki.

- Dobra. I tak musimy czekać. Ale chcę najpierw pogadać chwilę z Nashem.

Benford otworzył drzwi furgonetki, wlaź do środka i usiadł w środkowym rzędzie obok Nate'a, który nałożył znalezioną z tyłu marynarkę i uczesał palcami włosy. Wyglądał na zmęczonego, ale prezentował się przyzwoicie. Benford pochylił się w jego stronę.

- Przyjechał Gable z Divą. Jest w jego wozie. Wczoraj dwaj

Rosjanie próbowali ją ratować, a ona ich zabiła. Zgodziła się wrócić tylko ze względu na wymianę. Nie zdecydowała jeszcze, czy będzie dla nas pracować. I nie wiemy, czy się na to zgodzi, a jeśli tak, to w jakim zakresie.

- Mamy parę minut, a Gable uważa, że Divie dobrze zrobi, jeśli z tobą porozmawia. Chcę, żebyś znowu zajął się jej werbunkiem. Żebyś ją zainspirował. Musisz jej przypomnieć o obowiązkach, o jej misji i zdobywaniu informacji. Jest tylko jeden sposób, by to zrobić tak, by jej później nie aresztowali. Musisz stać się oficerem prowadzącym, który przygotowuje agentkę do wykonania zadania. Poradzisz sobie?

Nate skinął głową. Benford wysiadł, a on usłyszał silnik, potem szcęk zamka i po chwili Dominika wskoczyła do furgonetki, a Gable zamknął za nią drzwi. Przecisnęła się przez tylny rząd i usiadła obok. Miała na sobie prostą granatową sukienkę i lekki płaszcz w tym samym kolorze. Gable nalegał, żeby włożyła praktyczne czarne sznurowane buty i beżowe pończochy. Upięła wysoko włosy i w ogóle się nie umalowała - miała być jak więziona przez CIA matrona. Jej niebieskie oczy były takie jak zawsze i teraz popatrzyła nimi pytająco na Nate'a. Otaczała go blada fioletowa poświata, co wskazywało, że cierpi.

Po raz pierwszy w czasie swojej krótkiej kariery Nate nie myślał o tym, co oznacza złamanie przepisów, zignorowanie Benforda czy zatajenie jakichś informacji. Pochylił się w jej stronę, chwycił za ramiona i przywarł ustami do jej warg. Dominika zesztyniała, ale po chwili się rozluźniła, aż w końcu położyła dłonie na jego piersi i delikatnie go odepchnęła.

- Mamy mało czasu, strasznie mało czasu i nie mogę ci w pełni wyjaśnić, jak mi przykro z powodu tego, co powiedziałem - zaczął.

- I ile dla mnie znaczysz jako kobieta, kochanka, partnerka. I jak bardzo będę tęsknił... Kazali mi mówić o dalszej współpracy, o tym, że powinnaś szpiegować dla nas w Moskwie. Ale w tej chwili

zupełnie mnie to nie obchodzi. Wiem, że wracasz, żeby ocalić generała. Zrobiłbym to samo, więc niezależnie od tego, co zdecydujesz, uratowałam go. Chcę, żebyś uważała na siebie. Nic z tego, co robimy, nie jest warte życia. Ty jesteś najważniejsza. Przynajmniej dla mnie.

Nate popatrzył niepewnie przez przednią szybę na spowitą mgłą drogę - tunel czasu wiodący w głąb Rosji. Dominika popatrzyła w tym samym kierunku, wciąż myśląc.

- Nie bój się o mnie, Niejt - powiedziała bez emocji. - Wracam do ojczyzny, do swoich ludzi. Nic mi nie będzie. Jaki to miły zbieg okoliczności, że mogłeś mi powiedzieć, że przepraszasz i że ci na mnie zależy pięć minut przed wymianą. Proszę, nie pozwól, żebym musiała jeszcze się nad tym zastanawiać. - Puść mnie, *sołnce*, pomyślała.

Prześlizgnęła się na tył furgonetki i zastukała w szybę. Nate patrzył za nią. Patrzył we mgłę z rękami założonymi za głowę. Gable zobaczył jej oczy i zrozumiał, że ledwo się trzyma. Musiała szybko dojść do siebie. Poprowadził ją do osłoniętego przez furgonetkę wozu.

- Wsiadaj - mruknął. - Chcę z tobą pogadać.

Wskoczyła na tylne siedzenie, a on usiadł obok i zatrasnął drzwiczki. Postanowił być szorstki, udawać, że nie widzi jej oczu.

- Jak tylko wysiądziesz i wyjdiesz na otwartą przestrzeń, skieruje się na ciebie kilkanaście lornetek. Strażnicy będą dbać o bezpieczeństwo, ale będą też inni, oficerowie kontrwywiadu, te małpy, które będą cię o b s e r w o w a ć . Jasne?

Skinęła głową, starając się na niego nie patrzeć.

- Na szosie idź równym krokiem, nie za szybko, ale też bez większego wahania. Ważne, żebyś nie patrzyła na Korcznoja, kiedy będziecie się mijać na moście. Pamiętaj, że jest zdrajcą, i to z twojego powodu trafił do więzienia. Być może zażądatają, żebyście się zatrzymali na środku mostu. To miejsce zaznaczone jest linią

asfaltu, takim niewielkim wybrzuszeniem w poprzek drogi. To normalne, strażnicy lubią sobie pokrzyzczeć przez megafony. Być może będą transmitować wymianę do centrali, żeby potwierdzić twoją tożsamość.

Dominika poczuła się lepiej. Gable zauważył, że zaczęła się koncentrować na czekającym ją zadaniu.

- Więc równy krok aż do ciężarówek, a tam powita cię jakiś tutejszy przygłup w kiepskim garniturze, który powie... Co on może powiedzieć?

- *Dobro pożałował* ' - odparła, wyglądając na zewnątrz.

- Tak, wiesz, ode mnie możesz go kopnąć w jaja. Pamiętaj, że od tego momentu twoje zachowanie jest bardzo ważne - ciągnął Gable. - Wracasz z niewoli u Amerykanów. Jesteś w domu i możesz poczuć się, hm... bezpiecznie. Nie jesteś zbyt rozmowna, to normalne. Jesteś kryta, jeśli idzie o tych trzech mechaników. To wkurzające, że twoi ludzie próbowali cię zabić. Będziesz miała do czynienia z typami z obwodu leningradzkiego, odwiozą cię do Petersburga samochodem albo pociągiem, sam nie wiem.

- Tak, znam tych ludzi - rzuciła Dominika. - Nie będzie z nimi najmniejszych problemów. Przecież wracam z misji centrali. Przesłuchiwać będą mnie ci z Moskwy.

- Właśnie. I jak tylko tam dojedziesz, pokaż im blizny i zacznij krzyzczeć, że ten psychopata ze Specnazu chciał cię zabić. Pytaj o Korcznoja i dlaczego tak długo nie mogli ci pomóc. Pamiętaj, że będziesz w domu.

- Tak - powiedziała. - Będę w domu.

- Zobaczymy się za pół roku.

- Nie liczcie na to za bardzo.

- Pamiętajasz uniwersalny sygnał wywoławczy?

- Już go wyrzuciłam.

- Po tym, jak go zapamiętałaś? - spytał Gable.

- Pożegnaj ode mnie Forsytha - rzuciła.

*

Ludmiła Michajłowna Pawliczenko była owianym legendą strzelcem wyborowym jeszcze z Armii Czerwonej i miała na swoim koncie trzysta dziewięć potwierdzonych ofiar z czasów kampanii krymskiej drugiej wojny światowej. Ale tego popołudnia jej miejsce na wieży zrujnowanej twierdzy w Iwangorodzie zajęła jej imienniczka, wyszkolony snajper z grupy specjalnej B SWR, Ludmiła Cukanowa. Kobieta ułożyła się wygodnie na brzuchu i zajęła odpowiednią pozycję. Miała na sobie workowaty czarny kombinezon z kapturem naciągniętym głęboko na głowę, tak że widać było tylko jej poznaczoną na wiśniowo twarz. Jej buty z filcowymi podeszwami leżały płasko za nią. Ludmiła wyjęła niezwykle celny karabin WSS Wintoriez i przycisnęła kolbę do krostowatego policzka. Spojrzała przez noktowizor NSPU-3 i wybrała miejsce jakieś trzysta metrów dalej po przekątnej na zachodnim brzegu Narwy - taki nocny strzał nie powinien jej sprawić większych trudności. Szukała odpowiedniej sylwetki, ciemnowłosej kobiety, która w charakterystyczny sposób utyka.

Średniej wielkości, pomalowany na czerwono i biało, z czarnym nosem jak u Myszki Miki helikopter Mi-14 w cywilnej wersji transportowej usiadł wolno na pustym parkingu przy dworcu kolejowym w Iwangorodzie. Musztardowe ściany barokowego budynku dworca zaślniły różowo w jego światłach. Helikopter zakołysał się na podwoziu, a wycie silnika nieco przycichło i przeszło w delikatny pomruk. Wielkie płaty wirnika zatrzymały się i opadły w chłodnym wieczornym powietrzu. Drzwiczki pozostały zamknięte do chwili, kiedy zatrzymały się przy nim dwa zaparkowane wcześniej przy drodze samochody SWR. Dopiero wtedy otworzyły się drzwiczki po stronie pasażera, a dwaj mężczyźni w garniturach zeszli po metalowych schodkach i poprowadzili trzeciego, siwowłosego, do auta z przodu.

Samochody odjechały wolno w stronę dwóch blokujących drogę

na most ciężarówek, zatrzymały się i mężczyźni wysiedli - dwaj wyżsi trzymali z obu stron niższego. Przeszli obok ciężarówek i czekali w milczeniu, wpatrując się w zamglone sylwetki na drugim końcu mostu. Strażnicy przy ciężarówkach przygotowali broń i włączyli zamontowane na nich reflektory. Po rosyjskiej stronie granicy zrobiło się białe jak w dzień. Poręcze i lekkie podpory rzucały cień na zalaną światłem drogę. Za ciemną szybą budki strażniczej pojawiły się niewielkie czerwone światełka. Chłopcy z okręgu leningradzkiego palili i czekali w milczeniu.

Wysiedli z furgonetki i przeszli na jej przód. Rosjanie zapalili reflektory i Benford pokazał kierowcy jeepa, żeby zapalił światła i pojedynczy reflektor na dachu. Część mostu po stronie rosyjskiej była teraz gorzej widoczna za ścianą światła, za którą kłębiła się mgła.

- Odprowadzimy cię do początku mostu - powiedział Gable, trzymając ją mocno za ramię.

Benford podszedł, stanął po drugiej stronie Dominiki i złapał jej ramię tuż nad łokciem. Nate wyszedł z wozu i patrzył.

Cała trójka ruszyła przed siebie.

- Zaraz - rzuciła Dominika. Pochyliła się i uderzyła Nate'a prosto w policzek.

- Ale dziewczucha - sapnął Gable.

Komandosi w jeepie zaczęli się trącać łokciami. Dominika i Nate spojrzeli na siebie i na moment cały świat utonął we mgle. A potem szepnęła: *Poka*, wyprostowała się i pociągnęła Benforda i Gable'a za sobą.

- Idziemy - rzuciła.

- Spokojnie, mała - powiedział ledwo dosłyszalnie Gable.

Prowadzili Dominikę z Forsythem tak jak strażnicy w więzieniu, ona zaś zacisnęła dłonie, jakby stawiała opór. Podeszli do miejsca, gdzie zaczynał się most, i stanęli, patrząc na unoszącą się nad drogą mgłę. Widzieli światła zatrzymujących się po drugiej

stronie wozów, ale trudno było dostrzec jakieś szczegóły. Coś się tam poruszyło, a potem zauważyli trzy męskie sylwetki - tę najmniejszą w środku. Reflektor przygasł i się zapalił, a Benford machnął do komandosów, żeby wysłali ten sam sygnał. Światła KaPo mrugnęły, odbijając się w soczewkach skierowanych na nie lornetek.

- Zatrzymaj się, jak dojdiesz na środek - powiedział Gable.

Dominika wyszarpnęła wzgardliwie ręce z uchwytu, rzuciła:

Job twoju mat'!, wygładziła płaszcz i ruszyła przed siebie. Szła płynnie we mgle, tylko trochę utykając, z uniesioną głową i ramionami podanymi lekko do tyłu. Od drugiej strony przybliżała się do niej niska sylwetka mężczyzny.

- Co powiedziała? - spytał Benford.

- Chyba coś nieprzyzwoitego - mruknął Gable.

Jej sylwetka zaczynała się powoli rozmazywać w kolejnych kręgach słabego światła na drodze. Szła niemal pierś w pierś z mężczyzną z naprzeciwka.

- Są oboje z Marmurem w połowie mostu - rzekł cicho Gable.

Zaryczał megafon i oboje się zatrzymali. Stali tak naprzeciwko siebie w świetle reflektorów, spowici mgłą, która osiadała kroplami wody na ich ubraniach. Dominika patrzyła prosto przed siebie, władczo, pogardliwie. Nie obróciła głowy w stronę generała, ale wyczuwała jego majestatyczny fiolet.

To miało być ich ostatnie spotkanie. Marmur spojrział na Dominikę, światło zaśniło w jego siwych włosach, a on zdjął swój płaszcz i podał go Dominice. Uprzejmy gest jednego wymienianego szpiega wobec drugiego. Dominika wzięła płaszcz i rzuciła go na mokry asfalt - tak jak na to liczył. Światła zamigotały w soczewkach lornetek.

Marmur spojrział przed siebie i dostrzegł światła miasta, cień zamkowej wieży, migotanie gwiazdy po zachodniej stronie nieba, światła i sylwetki na drugim końcu mostu. Zaczął iść, kiedy re-

flektory na obu końcach znowu zamrugały. Słyszał za sobą cichnące kroki Dominiki. Czuł się lekko, oswoił się już z bólem, ale zniknęła pustka, którą czuł w piersi. Myśli miał klarowne i koncentrował się na tym, by nie iść za szybko - chciał pokazać im, jak kończy profesjonalista. Przeszedł dalej i dojrzał już twarze - znajome twarze - oczekujących. Spotkanie z przyjaciółmi było ważniejsze niż wolność. Benford, Nathaniel. Wymiana szpiegów. Chciało mu się śmiać.

Nabój 9x39 milimetrów z karabinu Ludmiły przebił szyję Marmura po lewej stronie, przeciął tętnicę szyjną i wyszedł przez prawy mięsień piersiowy pod pachą. Cukanowa planowała strzał w głowę, wycelowała trochę za nisko, a reszty dokonało chłodne wieczorne powietrze, które wpłynęło na lot poddźwiękowego naboju SP-5. Kobieta podniosła się szybko i ruszyła do wyjścia południową ścianą twierdzy, zanim jeszcze nogi ugięły się pod Marmurem. Rosjanie po drugiej stronie mostu nic nie zauważyli. Benford złapał Marmura, ale ten wyśliznął mu się z rąk i upadł na mokry asfalt. Nate usiadł i przytulił jego głowę do uda. Przewrócili go szybko, ale już nie żył - leżał z zamkniętymi oczami i dziwną miną. Benford spojrział na swoje czerwone od krwi Korcznoja ręce.

Komandosi z policji złapali i podnieśli swoje galile, ale Gable krzyknął: „Stop” i dał znak, żeby nie strzelali. Dominika obróciła się lekko po swojej stronie mostu - usłyszała okrzyk Gable'a - ale po chwili połknął ją jeden z reflektorów. Dostrzegła cienie pochylone nad kimś, kto leżał na moście, i instynktownie zrozumiała, co się stało.

W jej głowie wybuchło głośne: „Nie!”, a potem zmusiła się do spokoju i przybrała obojętny wyraz twarzy. Ktoś wepchnął ją do ciepłego, luksusowego mercedesa, który zakołysał się miękko i pomknął przed siebie. Próbowwała ukryć swoje przerażenie, przypominając sobie spędzone z Korcznojem chwile. Auto kołysało się

na zakrętach, a ona powstrzymywała swoją jadowitą złość, kiedy spowity żółcią pułkownik z okręgu leningradzkiego zapalił papierosa.

Sparaliżowany, niezdolny do ruchu, do myślenia Benford patrzył na Marmura. Nate opuścił głowę, ręce mu drżały, ale wciąż ściskał głowę swojego agenta. To był ten rodzaj przemocy, którego nie rozumieli, który wydawał im się zbyt okrutny i zostawiał im tylko poczucie nieodwracalności tego, co się stało. Byli wstrząśnięci perfidią despoty, obrzydliwością tego, co się stało.

Wszyscy poza Gable'em. Ten szybko wstał i podniósł lornetkę do oczu. Dostrzegł parę skłębionych cieni i tylne światła odjeżdżającego luksusowego wozu. Nie wiedział, czy Dominika zauważyła, co się stało, ale miał nadzieję, że tak. Boże, spraw, żeby to do niej dotarło, modlił się w duchu.

Otoczyła ich mgła, która znaczyła wilgocią ich włosy i otarła się o spokojną twarz Marmura. Jego mokry, zapomniany płaszcz leżał na środku mostu.

Podziękowania

Kiedy próbowałem policzyć osoby, które w ten lub inny sposób pomagały mi w napisaniu tej książki, zdziwiła mnie ich liczba.

Wszystkim winny jestem wyrazy wdzięczności.

Pragnę zacząć od mojego agenta, niezrównanego Sloana Harrisa z International Creative Management, który na początku pisania podtrzymywał mnie na duchu i był moim mentorem, a potem stał się zapalonym zwolennikiem tej książki.

Jestem przekonany, że w innym życiu byłby on weneckim dożą albo osmańskim sułtanem. Bez niego *Czerwona jaskółka* z pewnością by nie powstała.

Dziękuję też innym osobom z ICM: Kristyn Keene, Shirze Schindel i Heather Karpas, które wykazały cierpliwość i były w stosunku do mnie tak bardzo wielkoduszne.

Zawdzięczam też wiele mojemu wydawcy z wydawnictwa Scrib-

ner - oddziałowi Simon&Schuster, legendarnemu Colinowi Harrisowi, który jednocześnie zajmował się redakcją tekstu i z zacięciem średniowiecznego skryby uczył mnie dobrego stylu. Jego oddanie sztuce pisania jest naprawdę wielkie i miało ono olbrzymi wpływ nie tylko na proces powstawania, ale samo powstanie tej książki.

Pragnę też podziękować wszystkim z wydawnictwa Scribner i całemu wydawnictwu Simon and Schuster: Carolyn Reidy, Susan Moldow, Nan Graham, Roz Lippel, Brianowi Belfiglio, Katie Mognaghan, Talowi Goretsky'emu, Jasonowi Heuerowi, Benjaminowi Holmesowi, Emily Remes i Dave'owi Cole'owi za wsparcie, ciepłe przyjęcie i wspólną pracę. Dziękuję zwłaszcza Kelsey Smith za czas i wysiłek poświęcone tej książce. Oni wszyscy mieli wkład w powstanie tej książki, choć oczywiście sam odpowiadam za wszelkie błędy językowe czy faktograficzne, które mogą się w niej znaleźć.

Pragnę też podkreślić, że w rozpoczęciu pracy pomogło mi wielu przyjaciół. Niektórych nie mogę niestety wymienić z nazwiska, ale oni wiedzą o kogo chodzi: wnikliwego Dicka K, z Beverly Hills, znajdującego się na wszystkim Mike'a G, z Kongresu USA czy prawnika Freda Richmana, również z Beverly Hills. Oczywiście nigdy bym nie napisał *Czerwonej jaskółki*, gdyby nie praca w CIA. Dzieliłem ją z setkami kolegów, poczynając od szkolenia, włączając w to moich wieloletnich przyjaciół z Langley oraz placówek zagranicznych. Mimo że pracowałem aż trzydzieści trzy lata, wielu z nich jest w dalszym ciągu stosunkowo młodych i pragnę ich teraz pozdrowić.

Jako młody oficer wiele nauczyłem się od (czasami) nie tak łagodnych starszych oficerów, takich jak Clair George, Paul Redmond, Burton Gerber, Terry Ward i Mike Burns, ludzi z wielkim talentem, prawdziwych patriotów. W tamtych czasach mówiło się, że są „baronami” dyrektoriatu operacji. Siadywałem też u nóg małomównego Jaya Harrisa, fizyka jądrowego, który został oficerem wywiadu. Razem zastanawialiśmy się nad operacjami na Ku-

bie.

Mój brat i szwagierka, William i Sharon Matthews, poczynili ważne dla tej książki uwagi, a moje córki, Alexandra i Sophia, niejednokrotnie musiały mi przypominać, że w Woolworth nie da się już kupić magnetofonów kasetowych.

Na koniec pragnę podziękować żonie, Suzanne, która sama przez trzydzieści cztery lata służyła w CIA, za to, że dzieliła ze mną tak ciekawe życie, że przetrwała późne powroty do domu, noce spędzone na obserwacji czy ewakuacji i że wychowała dwie tak wspaniałe córki, a także za cierpliwość, którą okazywała mi w czasie pisania.